Mój wymiar moich czasów

Wspomnienia z lat 1931–1949

Zbigniew Szczupaczyński

Mój wymiar moich czasów

Wspomnienia z lat 1931–1949

DOM WYDAWNICZY ELIPSA

Warszawa 2019

Projekt okładki
Katarzyna Kowalska

© Copyright by Zbigniew Szczupaczyński
and Dom Wydawniczy ELIPSA,
Warszawa 2019

ISBN 978-83-8017-281-4

Opracowanie komputerowe, druk i oprawa:
Dom Wydawniczy ELIPSA
ul. Inflancka 15/198, 00-189 Warszawa
tel. 22 635 03 01, 22 635 17 85
e-mail: elipsa@elipsa.pl, www.elipsa.pl

„Ten kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku teraźniejszości,
ani prawa do przyszłości”.

Józef Piłsudski

Spis treści

Zamiast wstępu 9

CZĘŚĆ PIERWSZA
1. Z przeszłości rodzinnej 19
2. Moje dzieciństwo 35

CZĘŚĆ DRUGA
1. Wrzesień 1939 rok 79
2. Pierwsze miesiące nowej władzy radzieckiej 88
3. Droga na Syberię 98
4. Kazachstan 112
5. Powrót 154

CZĘŚĆ TRZECIA
1. Okupacja niemiecka 195
2. Po wyzwoleniu 257

CZĘŚĆ CZWARTA
1. Ziemie Odzyskane 285

Zamiast wstępu

Od dzieciństwa miałem skłonności do zbierania wszelkich pamiątek, a od chwili, gdy zacząłem posługiwać się piórem, zawsze odczuwałem potrzebę zapisu pamięci mijanego czasu. Niestety, z tych zbiorów i zapisków nic nie pozostało.

Może dlatego zamiar zapisania niektórych fragmentów mojego życia dojrzewał we mnie już od wielu lat. Skłania mnie też do tego świadomość, że dzieci moje nie znają swych korzeni ani koligacji rodzinnych, że po latach nie będą mogły swoim dzieciom przekazać nawet zwykłych informacji rodzinnych. W domu moim ani czasu, ani atmosfery na opowiadanie rodzinne nie było. Wielka szkoda i bardzo tego żałuję, chociaż wiem też, że w młodzieńczych latach rzadko jesteśmy ciekawi życia swoich rodziców, jest to dla dzieci zwykle okres jeszcze zbyt współczesny, aby był interesujący. Kiedy jesteśmy młodzi często nie zależy nam na „nudnych" rodzinnych spotkaniach, jesteśmy zajęci swoimi młodzieńczymi sprawami, a życie rodzinne traktujemy jak mało zajmujący obowiązek. Ale gdy człowiek dojrzeje, wtedy dopiero widzi, że takie spotkania to w życiu rzecz ważna, wartościowa i potrzebna, a z biegiem lat, już u schyłku życia, zainteresowania rodzinnymi problemami przeszłości zwykle wzrastają i są nam nieodzowne. Wtedy jednak często nie ma już żadnych możliwości ich zaspokojenia. Nie zapisane ślady życia ludzkiego szybko się zacierają w pamięci następnych pokoleń, a śmierć pokolenia starszego zamazuje wszystko, przeszłość ginie w pomroce dziejów i pokrywa ją niepamięć.

Nie chcę pozostawić po sobie pustynię rodzinną i nie mogę swoich bliskich pozbawić tej możliwości skorzystania, jeśli odczują taką potrzebę, z mojej wiedzy o rodzinie, o jej korzeniach, o naszym rodowodzie i wreszcie o mnie samym. Dlatego zdecydowałem się sięgnąć do moich wspomnień i spisać je, tym bardziej, że nie mamy już tej „Tuwimowskiej

szuflady", do której przez lata wrzucano wszelkie drobiazgi i która była rodzinnym archiwum. W zawierusze dwóch wojen zniszczone zostały wszelkie, kiedyś częściowo mi dostępne, materialne ślady naszej przyszłości, a z rodzinnych opowieśc niewiele już w mojej pamięci pozostało. Była wojna, ginęli ludzie, wszyscy byliśmy zagrożeni każdego dnia przez prawie sześćdziesiąt dziewięć miesięcy. Cierpieliśmy, doznając głodu, chorób, zimna, strachu, każdy z żyjących, od dziecka do starca, zmuszony był walczyć o swoją kruchą egzystencję – czy w takich okolicznościach mogła być atmosfera sprzyjająca częstym opowieściom rodzinnym i utrwalaniu w pamięci dziejów moich przodków? Po wojnie zaś rodzina moja rozpierzchła się po świecie, a kontakty sporadyczne i listowne nie sprzyjały wspomnieniom o latach dalekich. Te sprawy jeszcze wtedy nie nabrały życiowej ważności. Dziś już, niestety, pozostały jedynie strzępki z tego, co słyszałem i co widziałem przed laty.

Myślę, że teraz, gdy rozpocząłem drugie już półwiecze mego życia, aby wyłuskać z pamięci, co w niej jeszcze pozostało, należy rozpocząć i bez pośpiechu, z pewnego dystansu, realizować swoje wspomnieniowe założenia z myślą o tych, którzy ciekawi będą czasów i życia mego. Nie zamierzam na tych stronicach wskrzeszać dawno już umarły świat, chcę go jedynie przekazać takim, jakim pozostał żywy w mojej pamięci.

Jak wspomniałem nie jest to moje pierwsze przedsięwzięcie pamiętnikarskie. Już od najmłodszych lat usiłowałem utrwalić na papierze to, co najbardziej mnie intrygowało, czemu poświęciłem najwięcej czasu i uwagi, lub co mnie dotknęło najmocniej.

Po raz pierwszy użyłem pióra w drodze na Syberię w 1940 roku. Rozpocząłem – przede wszystkim dla uprawiania się w sztuce pisania – odnotowywania w swoim dzienniczku nazw mijanych miejscowości i spostrzeżeń stacyjno-peronowych. Jednak już po kilku dniach dostrzegłem, w czym pomogli mi dorośli, że najciekawsze sceny z życia odbywają się nie na zewnątrz wagonu, a wśród nas, w naszym środowisku, w naszym bydlęcym wagonie. Tu odżywa przeszłość, tu rozdzierana jest do ran teraźniejszości i jednocześnie rodzi się wizja teoretyczna, jeszcze mglistego, ale już całkowicie innego naszego życia. Wszystko czemu się przysłuchiwałem i co mnie zainteresowało, za namową i przy pomocy dorosłych, zostało nieudolnie zapisane w szkolnym zeszyciku. Spisana tam była cała trasa naszego transportu, nazwiska współtowarzyszy tej podróży, epizody naszego nędznego bytowania, zachowania i stosunek do nas straży, a nade wszystko zażarte dyskusje i kłótnie antagonistów politycznych. Nic nie rozumiejąc z tych rozmów między starszymi i nie

rozróżniając istoty sporów pomiędzy oponentami – usiłowałem zapisać, co i jak mówiono, kto na kogo krzyczał i kto z kogo się naśmiewał. Jeden z panów, który nigdy nie zabierał głosu w tych dysputach, był moim nauczycielem i przewodnikiem. Wyjaśniał, pouczał, poprawiał, zachęcał i zawsze z zapałem odpowiadał na moje naiwne i natrętne pytania. Matce, która mnie strofowała, że dokuczam, odpowiadał, że z przyjemnością pomaga mi komponować dzieło dla potomności. Dzięki niemu powstał dziennik, który po powrocie do Niżniowa był lekturą wszystkich dorosłych członków naszej rodziny. Ciocia Jula po przeczytaniu tych dziecięcych, nieudolnych bazgrołów – ze łzami w oczach, uściskając mnie, powiedziała całkiem poważnie, że ten podniszczony zeszyt stanie się kiedyś dokumentem oskarżającym tych bolszewickich oprawców, którzy nas wywozili. Dziś dziwię się, jakim cudem zeszyt ten zdołałem uchronić przed konfiskatą podczas tak licznych rewizji, gdy nas zatrzymywano i doprowadzano na posterunek milicji lub NKWD. Jedynie chyba te dziecięce bazgroły nie zasługiwały na zainteresowanie się treścią i nie wzbudzały podejrzeń funkcjonariuszy nas rewidujących. Innego wyjaśnienia nie dostrzegam. Niestety, pomimo pieczołowitego przechowywania przez czas okupacji niemieckiej, zapiski te wraz z innymi drogimi dla mnie pamiątkami rodzinnymi spłonęły w 1945 roku w czasie rzezi i pożaru Pużnik. Ogień strawił wszystko.

Utrata tych pamiątek bardzo boleśnie i głęboko utkwiła w mojej pamięci, oddziaływując na moją psychikę przez wiele lat. W latach sześćdziesiątych, regularnie dwa, trzy razy w tygodniu, miewałem kolorowe sny o tej samej treści i tych samych obrazach. Jestem w Niżniewie, na podwórzu babci Paulinki i widzę bajecznie kolorowy krajobraz drugiej strony Niżniowa oraz jego zielone górzyste tło. Wyraźnie słyszę, jak od strony kościoła dolatują smutne dźwięki dzwonów, które jakby mnie wzywały. Pomimo piekielnego upału idę środkiem miasta w kierunku, z którego dolatują te dźwięki z myślą, że w kościele pod posadzką prawej nawy (dlaczego właśnie pod posadzką?), odnajdę ten zapisany zeszyt wraz z innymi drogimi pamiątkami rodzinnymi. Kiedy z największym trudem, potwornie zmordowany, docieram wreszcie do celu, widzę, że na wzgórzu nie ma już kościoła, a jedynie stosy wypalonego gruzu. Dochodzę we śnie do wniosku, że nie ma sensu szukać trwałych śladów z mojej przeszłości i przeszłości osób mi bliskich, bo wszędzie napotykam na ruiny i zgliszcza, na próżnię. Tu ogarnia mnie wielki żal, z którym z przerażeniem budzę się nagle, oblany zimnym potem, bardzo zmęczony i z potwornym szumem w uszach. Po obudzeniu się, już na jawie, chwytało mnie coś

nieokreślonego za gardło i łzy napływały mi do oczu. Myślałem, że świat bez tego kościoła, bez tych pięknych, górzystych widoków i bez materialnych śladów naszej przeszłości istnieć już nie może.

Sny powtarzały się, dręcząc mnie przez kilka lat. Opisane sceny, regularnie i dokładnie były odtwarzane we śnie, jakby z taśmy filmowej. Zacząłem w pewnym momencie zastanawiać się, czy nie doprowadzi mnie to do psychiatry. Nostalgia i rozgoryczenie sięgały szczytu.

Wspominam o tym, bo chcę podkreślić, że bolesne fakty, tragiczne momenty mego życia, w których traciłem wszystko, powinny usprawiedliwiać mój, czasami przesadny, sentyment do przedmiotów i miejsca z którymi coś szczególnego łączyło mnie lub moich bliskich. Nawet nic nie znaczące małe drobiazgi z przeszłości nabierają dla mnie w pewnych chwilach i okolicznościach wielkiego znaczenia moralnego, a nawet patetycznego symbolu. Od wielu lat przechowuję, jak relikwię, kilka kamyków przywiezionych dla mnie z Niżniowa.

Po raz drugi ponowiłem prowadzenie dziennika po przesiedleniu nas na Ziemie Odzyskane. Od czerwca 1945 roku zapisywałem na żywo wydarzenia i swoje spostrzeżenia niemal z każdego dnia, aż do 1949 roku. Był to okres powojennej adaptacji w nowych warunkach, adaptacji mojej, mojej rodziny i mojego narodu. Okres trudny, czasami bolesny, ale bogaty w przeobrażenia, no i okres moich młodzieńczych marzeń i moich pierwszych miłości. Wszystko z czym się zetknąłem w tym czasie było – nie tylko dla mnie – nowe, inne, tajemnicze... Po tych wojennych koszmarach i poniewierkach odżywałem, spostrzegałem wartości, dla których warto było przeżyć, przetrwać, nawet w najcięższych warunkach. Dziennik ten, pomimo okazałej objętości i dostojnej prezentacji (miał skórzaną oprawę), w latach pięćdziesiątych, kiedy odbywałem służbę wojskową, również bezpowrotnie zaginął. Niepowetowana to dla mnie strata. Porównanie swoich ocen i wynikająca z nich zmienność poglądów, byłaby bardzo ciekawa i pouczająca.

Niczym niepoprawny maniak po zawarciu związku małżeńskiego i po obięciu stanowiska w 1955 roku w Warszawie, ponownie wróciłem do pisania. Tematów w tym okresie było moc. Nowe środowisko, nowe obowiązki służbowe, atmosfera dużego miasta, a przede wszystkim tęsknota za rodziną, dawały impuls do wynurzeń. Następnie wydarzenia październikowe w 1956 roku w Polsce oraz Rewolucja Węgierska, zmiany w kraju i w wojsku wlewały w nas optymizm i aż prosiły się o utrwalenie tego klimatu w zapiskach – bo jak praktyka wykazała w niedalekiej już przyszłości, niestety, liberalizm w Biurze Politycznym i ten

optymistyczny klimat w życiu się nie utrwalił. W kraju ponownie powoli wracano do starych wypróbowanych metod rządzenia. Pisanie wtedy, co się myśli i czuje, było zabawą ryzykowną. Dlatego zaniechałem tej pisaniny, a w latach sześćdziesiątych ze zwykłego tchórzostwa zniszczyłem te stronnice, które zawierały mój szczery stosunek do rzeczywistości panującej w PRL, a który był już w tym czasie nieprawomyślny. Od październikowych euforii w kraju następowało powolne usztywnianie całego życia politycznego i społecznego, a o potknięcie nie było trudno. Ja miałem dzieci, które były moją najwyższą wartością i stanowiły treść mojego życia. Dla nich musiałem zachować ostrożność. Zdekompletowany dziennik powinien gdzieś spoczywać wśród starych szpargałów.

Pozostały jednak wspomnienia, to jedyne co ocalało z minionych lat i co chciałbym zachować dla innych. Pamięć jednak nie jest nieograniczona i wszystkiego, co było tego warte wydobyć z niej już nie potrafię, ponadto wiele ogniw w łańcuchu życia mojej rodziny i mojego zostało przerwanych, a czasy pełne babć, cioć, stryjków, którzy mogli odpowiedzieć na wiele teraz interesujących mnie pytań rodzinnych i nurtujących wątpliwości – minęły bezpowrotnie. Kiedyś nie przywiązywałem do tego większego znaczenia, nie przypuszczałem, że tak mi tych wiadomości do połączenia wszystkich ogniw będzie brakować dziś.

Tyle w życiu poznałem osób, tyle rzeczy i zdarzeń, wrażeń i zwykłych wiadomości, o których chcę napisać, że doprawdy, strach mnie ogarnia, czy aby temu trudnemu przedsięwzięciu chociaż po części sprostam. Jestem w pełni świadom, że nie posiadam umiejętności dobierania pięknych, właściwych tym opisom słów oraz trafnych literackich określeń, że nie potrafię krótko i zwięźle ująć swoich myśli, dlatego na wstępie przyznaję, że w tych zapiskach należy szukać jedynie faktów, a nie piękna języka ojczystego. Nie wyjdę w nich poza język „potoczny". Dołożę jednak starań, aby podane tu fakty, pokonując barierę ludzkiej pamięci, były w miarę możliwości chociaż wierne wydarzeniom z przeszłości. Chcę na tych stronicach wydobyć z mroków pamięci wszystko, co się wydobyć tylko da. Część z tego, co w życiu swoim widziałem i doświadczyłem, o czym słyszałem i co przeżywałem – pragnę utrwalić, pisząc swoją prawdę, bez przesady, bez ornamentów, bez wydumanych scen i w miarę możliwości bez przechwałek i fałszu, chociaż pisać o sobie i swoich bliskich jest niezwykle trudno, a tym bardziej trudne jest, gdy wiele obrazów traci już właściwy kształt w mojej pamięci. Jednak to, co napiszę, może nie będzie ani mądre, ani piękne, ale będzie prawdziwe według mojego osądu, wedle moich własnych kryteriów wartości.

Tęskniąc za krajobrazem mojej młodości nie bez wzruszeń dotykam czasów, które już minęły. Dziś z dystansu minionych lat, gdy analizuję wydarzenia z tamtych okresów, wojny i czasów powojennych, odnoszę wrażenie, że moje rozumowanie i moje oceny nic się nie zmieniły, że obrazy i zdarzenia odbieram podobnie, jak odbierałem je przed laty, i podobnie na nie reaguję. Oczywiście jest to złudzenie. Nigdy już nie będę takim, jakim byłem. Dojrzewałem, co jest rzeczą naturalną, nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie. Ewolucja, jak wszędzie, tak i we mnie – bez przerwy zachodziła. Zmieniałem się. Zmieniałem poglądy, sposoby na życie, przyjaciół (chociaż tych nie powinno się zmieniać), zmieniała się moja psychika i niestety, zmieniały się też moje uczucia i oceny. Wiele przekonań, idei, ukształtowanych w moim umyśle, w obronie których oddałbym życie wczoraj, jutro na wskutek innych okoliczności wydawały mi się wątpliwe, a pojutrze... bzdurne i nigdy do nich już więcej nie wracałem. Byłem więc coraz to innym człowiekiem, jak z tą filozoficzną rzeką. To wewnętrzne zmiany w człowieku są zawsze zasadniczą przeszkodą w zapisywaniu wspomnień, dlatego zdaję sobie sprawę z trudności utrzymania w tych intymnych wyznaniach obiektywizmu i określenia właściwej skali napięć opisywanych czasów przeszłych. Niemożliwe jest myśleć, a tym bardziej czuć tymi samymi kategoriami, jak się myślało i czuło przed laty. Trudno jest odtworzyć klimat, barwę i smaczek czasów, w których się żyło. Wszystko, co tworzymy w swoim życiu jest kruche, zmienne, pojęcia, idee, schematy myślowe. Czas, jak woda kamień, poleruje całe nasze życie, naszą pamięć – wygładza załamania i łagodzi odczucia. Często bywa tak, że coś, co dzisiaj wydaje się być ideałem – może wkrótce okazać się pospolitością. Rzeczywistości lat minionych już nie ma. Pozostaje jedynie melancholijna tęsknota za czymś nieokreślonym. Niełatwe jest dojście do prawdy obiektywnej tam, gdzie w grę wchodzą doznania osobiste, ponadto przyszłości nie można mierzyć kryteriami czasów współczesnych i tu będą trudne mielizny w moich wspomnieniach. Dziś żyjemy w ogromnym przyspieszeniu. Szybko następują po sobie zmiany w świecie, w kraju, obok nas i w nas samych. Pamięć nasza nie nadąża za współczesnością, nie zawsze potrafimy umiejętnie i trafnie selekcjonować obrazy z życia bieżącego, a co dopiero gdy sięgamy do przeszłości.

Moją pasją jest przeszłość, w której beznadziejnie jestem uwikłany. Chociaż nigdy nie byłem konserwatystą i zawsze dążyłem do zmian w codziennym życiu na lepsze, myślę, że moje zainteresowania życiem zawsze bardziej skłaniały się ku przeszłości, która wchłania mnie, jak

innych teraźniejszość. Ktoś napisał, że nie można do świata przeszłości powrócić, bo go już nie ma. Ja mogę i powracam, bo świat ten jest we mnie. Dlatego przeszłość traktowałem zawsze z pietyzmem, jako coś, co egzystowało i pozostawiło trwałe materialne i duchowe ślady, dające się umiejscowić, ale które nie mogą być już zmienione nawet przez mędrców. Bez zrozumienia przeszłości w ogóle, a przeszłości naszych przodków szczególnie – jesteśmy o wiele ubożsi. Mojej przeszłości, która sielanką mi nie była, również już nie zmienię, mogę ją jedynie spisać bez fałszu i wymyślania sobie nowej, nieprawdziwej biografii, dając jedynie innym prawo do interpretacji i osądu. Ja zawsze korzystałem – i nie tylko na własny użytek – z prawa sądzenia świata, jaki mnie otaczał. Nie byłem i nie jestem pozbawiony własnych sądów, upodobań, a czasem też wyrażałem je publicznie, chociaż często ponosiłem z tego powodu osobiste ofiary, szczególnie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pragnę, aby moi potomkowie, z myślą o których piszę, również z prawa tego umiejętnie i w pełni korzystali, wzbogacając swoje życiowe doświadczenie i wiedzę, które mogą pomóc w uświadomieniu sobie sensu własnej egzystencji, ułatwić zrozumienie życia. Historia jednostki, jak i też społeczeństw, wprawdzie nigdy, na żadnym szczeblu rozwoju, nie powtarza się dosłownie, ale pełna jest jednak podobieństw, które sprawiają, że jest ona najlepszą obrazową nauką życia, a w życiu nic nie jest proste, życie nie lubi łatwizny, w życiu nie może być żadnych schematów nadających się do powielania. Każdy żyje niepowtarzającym się życiem własnym, jak może, jak potrafi i na ile mu rzeczywistość otaczająca go pozwoli. Rzecz jedynie w tym, że lepiąc swoje niepowtarzalne życie można i należy w pełni korzystać z doświadczeń minionych pokoleń – bez powielania – pamiętając, że jesteśmy jednym ogniwem w łańcuchu historii. Znajomość przeszłości pozwala nam lepiej zrozumieć teraźniejszość i w dużym stopniu ułatwia kształtowanie swojej przyszłości. Aby zrozumieć i określić się kim jesteśmy i kim być chcemy, należy poznać, sięgając korzeni, swoją przeszłość. Bez jej znajomości jesteśmy jak samotny krzak na pustyni.

Nigdy nie chciałem w moich dzieciach widzieć swoich epigonów. Jestem świadom moich ułomności i dlatego dążyłem, i pragnąłem, aby były sobą, kreując własny świat, mogły dać społeczeństwu więcej, niż dałem ja, i żeby z życia wyniosły pełnię satysfakcji. Życie nie jest lekkie ani proste, ale człowiek powinien w nim mieć chociaż małe swoje przyjemności i swój wkład do których po latach będzie mógł wracać myślami z satysfakcją, bez obrzydzenia i wstydu, znajdując w swoim życiorysie jasne iskierki.

Ja czuję i jestem tego w pełni świadom, że moje życie, chociaż sam go mozolnie układałem, jest mocno związane z życiem moich dziadków, moich rodziców, że przeszłość moich przodków zabarwiała to, co jest moim jestestwem, przez co tkwię głęboko korzeniami w ziemi ojczystej i nie chciałbym, aby w przyszłości moi potomkowie, jeśli tacy się narodzą, kiedykolwiek z niej wyemigrowali. Jako Polak jestem dziedzicznie obciążony wszystkim, co polskie i czuję się spadkobiercą dorobku kulturalnego i cywilizacyjnego mojej Ojczyzny. Może jest to pojęcie staroświeckie i zaściankowe, ale taka jest prawda. Być może że za lat kilkanaście nikt nie będzie zwracać większej uwagi, kto gdzie mieszka, gdzie pracuje, jakim językiem włada, jaką wyznaje świętość (czy ją w ogóle wyznaje) i skąd pochodzi. Przewiduję jednak, że będzie to świat jednobarwny, świat bardzo ubogi i nieciekawy.

Recepty na życie nie mam. Samo życie nas kształtuje, a uczyć się go można jedynie poprzez analogię. Na odwieczne pytanie czym i jak żyć nie odpowiedzieli tego świata wielcy umysłem, nie odpowiem też i ja. Prawdziwe życie jest zbyt bogate, by znaleźć w nim można typowe rodzaje zachowań i rozwiązań w klarownej postaci. Moją dewizą w życiu, w tych wyjątkowo trudnych, ale ciekawych czasach, była i jest – bez względu na „otoczenie" – sumienna praca, uporczywość i wytrwałość w dążeniu do wytyczonego celu, ale nie za wszelką cenę. Zawsze chciałem żyć uczciwie nie obciążając swoim życiem swojego sumienia, a innych ciężarem mojej egzystencji. Moja biografia nie uwiera mego sumienia. Czy moje doświadczenie życiowe ma jakąkolwiek wartość dla innych? Ocena nie do mnie należy.

Posłaniem dla moich potomków niech będzie:
Nie traćcie pamięci przeszłości, pielęgnujcie poczucie przynależności do narodu polskiego, bądźcie dobrymi Polakami, kochajcie swój Kraj i swoją rodzinę. Wykorzystujcie uczciwie swoje zdolności oraz każdy łut szczęścia, jakie da Wam los, zostawiając za sobą chociaż odrobinę dobroci.

Być może kiedy się zestarzeję, to co teraz wydaje mi się w życiu tak ważne i wzniosłe, stanie się dla młodych nieważne, śmieszne i nieaktualne, ale to już nie będzie moje życie.

Busko Zdrój, maj 1982 roku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Z przeszłości rodzinnej

Moje wiadomości o przeszłości rodzinnej niestety nie są bogate i nie sięgają w daleką przeszłość. Wszystko co o rodzinie wiem, a wiem niewiele, jak na jej liczebność, oparte jest li tylko i wyłącznie na opowiadaniach, przekazach ustnych i utrwalonych tradycjach rodzinnych. O tym zawikłanym życiu moich przodków niczego nie mogę oprzeć na dokumentach. Wszelkie fakty i zdarzenia umykają datom. Pożogi dwu wojen światowych, niszcząc pamiątki rodzinne i dokumenty urzędowe dokładnie zatarły ślady nie tylko moich dalszych przodków, ale nawet przeszłość moich dziadków, rodziców i moje dzieciństwo. Może dane, które są mi znane i o których zamierzam pisać, kiedyś będą mogły być zweryfikowane dokumentami archiwalnymi, do których dziś nie mam dostępu.

Według wszelkich niezbitych faktów, zachowanych w pamięci współczesnych mi członków rodziny, przodkowie moi zamieszkiwali ze strony ojca w Niżniowie, a ze strony matki w Pużnikach, zapewne jeszcze w okresie przedrozbiorowym. Świadczą o tym takie fakty. Na skraju ogrodu, tuż przy cmentarzu ukraińskim, rósł stary, o pięknej koronie dąb. Drzewo to, jak głosiły podania rodzinne, posadził któryś z przodków naszych i przez następne pokolenia był pielęgnowany i otaczany prawie czcią. Legenda o nim głosiła, że ród nasz będzie pod tą górą cmentarną żyć i egzystować tak długo, jak długo drzewo to istnieć będzie. W cieniu jego rozłożystych gałęzi, na wygodnych ławach, przez stulecia, często siadywano wypoczywając i gawędząc przy szklaneczce miodu lub wina. W latach trzydziestych, jak pamięcią sięgnę, dąb ten był potężnym drzewem, można go było podziwiać z każdego miejsca w miasteczku, a współcześni znawcy ocenili go wiekowo na więcej jak trzysta lat. W koronę tego pięknego dębu, w 1944 r. w czasie działań wojennych, trafił pocisk

artyleryjski. Drzewo mocno ucierpiało, tracąc większą część swojej pięknej rozłożystej korony. Legendzie stało się zadość. Schyłek żywota tego rodzinnego drzewa był końcową fazą naszego tam życia.

Następnym dowodem naszych korzeni na tej ziemi był dużych rozmiarów, o zaokrąglonych kształtach, kamień wkopany przy podejściu na płaski plac podwórkowy, obok wysokiego, kamiennego słupa z potężnymi hakami na zawiasy nie istniejącej już bramy. Ów kamień, otoczony zaroślami, cały był pokryty zielonym mchem. Pewnego razu oczyściłem go z mchu, a moim oczom ukazały się ślady niezrozumiałych znaków. Z ciekawości poddałem go zabiegom kąpielowym. Na jego okrągłej płaszczyźnie widniał mało już czytelny, wyryty napis wraz z częścią jakiegoś wizerunku. Niestety, całość była przez czas, deszcze i wiatry tak wytarta, że nie sposób już było odczytać w całości ani napisu, ani wizerunku. U samego dołu tego głazu, pod strzępami wizerunku były jedynie dość wyraźnie wykute cyfry arabskie – jedynka i mocno pochylona szóstka. Dalsze dwie cyfry były nie do odczytania. Z tych ledwie odczytanych cyfr można domyślać się, że chodzi tu o jakiś rok siedemnastego wieku. A zatem i wiek dębu, i początkowe cyfry określające siedemnasty wiek dają świadectwo, że moi przodkowie zamieszkiwali te strony już co najmniej od trzystu lat.

Sięgając przyszłości, opowiadania rodzinne, potwierdzone często przez sąsiadów, świadczą o zamożności moich przodków. Wprawdzie miejsce zamieszkiwania ostatnich spadkobierców nie wskazuje na to, że na tym górzystym terenie mogły kiedyś być wzniesione duże budowle gospodarskie – teren był wyjątkowo niedogodny, z dużym stokowym spadem, bez możliwości dojazdu większych i cięższych pojazdów konnych – to jednak pokaźny dom mieszkalny i jego wystrój oraz piękny sad z dużym, tarasowo położonym ogrodem jest dowodem, że ludzie, którzy to stworzyli i tam zamieszkiwali, musieli swoje majętności posiadać poza Niżniowem, a sam Niżniów był, tak przypuszczam, jedynie ich czasową siedzibą.

Z nikłych wspomnień rodzinnych wynika, że gdzieś w początkach 19. wieku, nie wiadomo z jakich przyczyn, ta gałąź Szczupaczyńskich zaczęła gwałtownie ubożeć. Już po powstaniu styczniowym wszystko, co było poza Niżniowem, przestało należeć do rodziny. W tajemniczy sposób utracona została większa część majątku trwałego. Zatem przypuszczać należy, że schyłek rozpoczął się zaraz po rozbiorach państwa polskiego, a całkowity upadek tuż po powstaniu styczniowym. Czy przodkowie moi zaangażowani byli w ratowaniu Rzeczpospolitej, co mogło mieć wpływ na sytuację majątkową, czy też majątki pozostałe w zaborze rosyjskim

i zostałe skonfiskowane, nie jestem w stanie tego wyjaśnić. A może zubożenie było wynikiem innych czynników, na przykład hulaszczego trybu życia moich przodków? Jest to hipoteza całkiem możliwa do przyjęcia. Pamiętam, że w rodzinie były jakieś wstydliwe momenty, o których nie mówiło się wcale, ale wyczuwało się przy każdej rodzinnej sprzeczce. Tak to odbierałem i tak czułem. Prawdy już nie poznam. Ci, którzy tę tajemnicę znali, zabrali ją ze sobą. Nawet moja babcia Paulinka, która jedynie przez zamążpójście weszła do rodziny, nigdy nie wtajemniczała nas i nie mówiła nic gorszącego o rodzinie, do której weszła.

Rodzina moja po mieczu szybko się rozrastała i jeszcze dziś w archiwach można spotkać nazwiska Szczupaczyńskich pochodzących z różnych stron Galicji i wywodzących się z tego samego pnia. Z tej przeszłości, do czasu II wojny światowej, a nawet do końca naszego pobytu w Niżniowie, wśród mieszkańców został duży szacunek do Szczupaczyńskich, co wcale nie przeszkadzało ich mordować. Pamiętam, że w tych końcowych latach, kiedy Ukraińcy chętnie wymordowaliby wszystkich Polaków, to przy spotkaniu w miejscach publicznych z moją babcią czy ciocią – zawsze z szacunkiem kłaniali się, a w czasie rozmowy czuli się zażenowani.

Genealogia rodziny Szczupaczyńskich sięga w/g mojej wiedzy do pradziadka Józefa urodzonego w 1789 r. Moje zaś wiadomości już bardziej konkretne sięgają do mojego dziadka Franciszka urodzonego w 1856 r. Jego ojciec, a mój pradziadek Szymon urodzony w 1820 miał trzech synów Michała, Antoniego, Franciszka i córkę Karolinę. Znane mi są gałęzie Franciszka (mojego dziadka) oraz Michała, którego syn Franciszek został zamordowany podczas zbrodni katyńskiej. Pozostałe gałęzie nie są mi znane.

Za życia mojego pradziadka Szymona rodzina jeszcze w miarę była majętna. Na podstawie opowiadań i smutnej rzeczywistości moich już czasów, z całą pewnością mniemać można, że w rodzinie pradziadka Szymona nie było zwyczaju kształcenia dzieci „na uniwersytetach", bo i po co. Mieli majątki, mieli źródło utrzymania i to w zupełności wystarczało. Postępowano zapewne jak w większości postępowała szlachta kresowa, a szczególnie szlachta, której majątki topniały, która przez swoją niegospodarność odczuwała ciągły brak większej gotówki i ubożała często w ciągu jednego pokolenia. Zatem dzieci swoje uczono i kształcono na tyle, aby w przyszłości umiały czytać, pisać i rachować, co powinno im już, jako dorosłym, wystarczać do pracy na swoich większych lub mniejszych posiadłościach. Dlatego, kiedy mój pradziadek otrzymał w spadku i tak już mocno nadszarpniętą schedę, nie kształcił swoich synów nie tylko

dlatego, że zwyczajowo nie widział takiej potrzeby, ale też ze względów finansowych.

Potrzeba jest matką wynalazków. Powiedzenie to w tym przypadku ma zdecydowane zastosowanie. Aby zapewnić byt i przyszłość swojej rodzinie, Szymon stanął w obliczu konieczności szukania innych możliwych rozwiązań, które ratowałyby przed ostatecznym upadkiem. Najprawdopodobniej, gdzieś na początku drugiej połowy 19. wieku, mój pradziadek, wykorzystując koniunkturę, zbudował tuż obok koszar obszerną kuźnię. Sprowadził ze Lwowa potrzebne urządzenia i narzędzia, wynajął początkowo dwóch kowali i rozpoczął zaspakajać zapotrzebowania wojska na usługi kowalskie. Był to swego rodzaju taki mały Cegielski z Niżniowa. Dochód ponoć był tak pokaźny, że po kilkunastu miesiącach kuźnię rozbudował i poszerzył usługi o ślusarstwo. Był to już więc zakład kowalsko-ślusarski, wykonujący wszelkie usługi od kucia koni, do wyrobu zamków, ogrodzeń z żelaza itp. Zakład się poszerzał, zdobywał dobrą opinię wśród klientów, a dochody pozwalały na dostatnie życie. Chłopcy dorastali i po ukończeniu szkoły zaczęli przysposabiać się do zdobywania zawodu oraz umiejętności w kierowaniu zakładem. Pradziadek zmieniając sposób zdobywania środków na utrzymanie rodziny, stworzył swoim dzieciom nie tylko nowe źródło zarobkowania, ale też możliwość szybkiego wejścia w inne dla nich środowisko, środowisko mieszczańskie. Franciszek wraz z Michałem mieli obowiązek uczyć się zawodu oraz doglądania, a następnie kierowania pracami i prowadzenia interesu. Po kilkunastu latach Franciszkowi zostawiając kuźnię przy koszarach zbudował drugą, bardziej nowoczesną i po pewnym czasie przekazał ją Michałowi. Resztki majątku rodzinnego testamentem podzielił pomiędzy nich tuż przed swoją śmiercią.

Mój dziadek Franciszek odziedziczył warsztat kowalsko-ślusarski, rodzinny dom, sad wraz z ogrodem oraz jakieś resztki lasu. Warsztat zatrudniający kilku robotników był głównym źródłem dochodu. Praca zawsze była dokładna i ta dokładność i solidność znana była w całej okolicy. Oglądałem w latach czterdziestych coś w rodzaju dyplomu uznania wystawionego przez jakiś cech jeszcze w ub. wieku. W dokumencie tym tłustym drukiem stwierdzano wysoki kunszt usług warsztatu i uznanie dla jego właściciela Franciszka Szczupaczyńskiego. Babcia mi opowiadała, że dziadek dla zdobycia szerszej wiedzy fachowej wyjeżdżał kilka razy w głąb Austrii i do Niemiec. Przywożone nowości od razu wcielał w życie w swoim warsztacie. W ten sposób wprowadzał nowe technologie, sprawniejszą organizację prac i zawsze taka podróż owocowała w nowe

narzędzia. Marzyło mu się odlewnictwo i snuł plany rozbudowy i poszerzania asortymentu. Dziadek obok umiejętności sprawnego kierowania warsztatem, łatwego nawiązywania kontaktów i przyciągania klienteli posiadał iskrę artysty plastyka. Sam wykonywał co ciekawsze prace na pograniczu sztuki. W warsztacie dziadka, obok prostych, nieskomplikowanych prac, jak kucie koni, naprawa wozu, wykonywanie metalowych ogrodzeń i bram, wyrabiano również przedmioty, których wykonanie wymagało wysokich kwalifikacji i umiejętności rzemieślniczych. Wykonywano np. ozdoby metalowe do różnych urządzeń domowych, nagrobki, trwające chyba jeszcze do dziś, ozdobne bramy i ogrodzenia, a nawet uprawiano metaloplastykę. Wszystko co wymagało artystycznej obróbki metalu, w warsztacie dziadka można było wykonać. Pamiętam stojącą w ogrodzie parafialnym, opodal kościoła, piękną altanę z figurą św. Stanisława autorstwa dziadka. Było to arcydzieło rzemieślnicze, wykute w metalu. Idących do kościoła figura ta przeciągała wzrok. Wszyscy podziwiali kunszt i precyzyjność autora. Dziadek nad tą figurą i altaną pracował ponad rok.

Warsztat dawał dochody, ale jednak najbardziej wartościowym spadkiem po rodzicach był dom rodzinny z przyległościami. Dom był duży, ale skromny, niezamożny choć nie ubogi, pełen starych sprzętów i mebli, a dzięki dobremu nasłonecznieniu, ciepły i wesoły. Położenie tego domu było wręcz wymarzone. Wciśnięty w górę Cementową w kształcie litery E, zwrócony frontem na południowy zachód w kierunku miasta i otoczony z trzech stron ogrodem oraz sadem. Dom był parterowy, ale obszerny, przewidziany i przeznaczony dla licznej rodziny i gości często ten dom odwiedzających. Białe ściany, czerwono-rdzawa dachówka oraz dwie smukłe kolumny, podtrzymujące pośrodku domu dach werandy, dawały w pełnym słońcu uroczy widok. Widziałem przed laty zdjęcie rodzinne wykonane w 1910 roku na tle domu. Biło z niego beztroskie i przyjemne życie, jedynie postać dziadka wydała mi się poważna i jakby zmęczona. Wnętrze domu zapełnione było starymi, jak też i stary był dom, meblami. Ponoć najbardziej reprezentacyjny był pokój jadalny, wyposażony w ciężkie meble dębowe o skąpym, ale gustownym wystroju. Babcia Paulinka opowiadała mi, że tak duży dom wymagał zabiegów i wysiłku w utrzymaniu czystości, a wodę ze studni miejskiej nosiwoda dostarczał kilka razy dziennie.

Dookoła domu, od strony północno-wschodniej na zboczu góry roztaczał się ogród wraz z sadem, natomiast dziedziniec od południowego zachodu urywał się stromą skarpą zasadzoną krzewami, co zapobiegało

obsuwaniu się. Ogród wyglądał jak wietnamskie poletka ryżu. Aby na stromym zboczu utrzymać trochę wilgoci po deszczu, wykonano kilka olbrzymich tarasów w formie półokrągłych schodów, co tworzyło optycznie wiszące płaszczyzny, jedna nad drugą. Całość otoczona była trzema rzędami drzew śliwowych, a na zewnątrz gęstym i wysokim żywopłotem. Tam gdzie ogród i sad graniczył ze spadkiem góry Cmentarnej, ciągnął się nasyp i rów ochronny jednocześnie, co miało chronić całość przed wiosennymi roztopami i ściekającymi powodziami po większych ulewach. Wody te spływały bocznymi jarami, a często były to potężne nawałnice. Sad to wypielęgnowany dywan trawiasty z drzewami wiśni i jabłoni. Wszystkie drzewa owocowe niskopienne, z wyjątkiem jedynej jabłoni wysokiej rosnącej w samym środku sadu. Jabłoń ta rodziła owoce tak słodkie, że już w zielonym jabłku lęgły się robaki. Nie pamiętam, żeby na tej jabłoni dojrzało choć jedno jabłko bez robaków. Całość wraz z ogrodem była dobrze pomyślana i tworzyła wspaniały zakątek.

Dziadkowi Franciszkowi w posagu wniosła pokaźną fortunkę pierwsza żona z Robaszczuków. Rodzina Robaszczuków zamieszkiwała w Niżniowie, posiadała w okolicach liczne majątki, a w samym Niżniowie warsztat stolarski wytwarzający meble i liczne sprzęty domowego użytku. (Rodzina została wymordowana w 1945 r.)

Młoda rodzina Franciszka szybko powiększała się. Na świat przychodziły dzieci. Jednak szczęście dziadkowi nie sprzyjało. Na początku lat dziewięćdziesiątych ub. wieku umiera mu żona, osierocając gromadkę małych dzieci. Będąc w trudnej sytuacji dziadek żeni się powtórnie. Tym razem wybranką jego jest Paulina z Żeleszkiewiczów, która w przyszłości zostanie matką mego ojca.

Paulina Żeliszkiewicz urodzona w 1875 roku pochodziła z rodziny mieszanej wyznaniowo. Matka jej była wyznania rzymskokatolickiego, zaś ojciec wywodził się ze starej, zubożałej rusińsko-polskiej szlachty kresowej i był wyznania grekokatolickiego, był diakiem w cerkwi unickiej. O nim wiem jedynie tyle, że był amatorsko uzdolnionym rzeźbiarzem i malarzem, a uzdolnienia te wykorzystywał w pełni przy upiększaniu cerkwi unickiej. Większość rzeźb i malowideł w obu cerkwiach niżniowskich to jego praca, jego artystyczna spuścizna, być może do dziś ozdabiająca te cerkwie, jeżeli one jeszcze istnieją. Stryjek Kazik opowiadał mi, że jego dziadek interesował się jedynie wystrojem cerkwi, czym potrafił zajmować się całymi dniami. Rodziną, wychowaniem dzieci zajmowała się jego żona, dlatego może wszystkie dzieci bez względu na płeć wychowywane były w katolicyzmie wyznania rzymskokatolickiego.

Mieszkali obok cerkwi Górnej. Z okresu mego dzieciństwa pamiętam sterczące i zarośnięte zielskiem białe, kamienne mury tego obszernego, zniszczonego domostwa.

Pradziadek Żeliszkiewicz również miał dwie żony i obie były wyznania rzymskokatolickiego. Z obu tych związków narodziło się dużo dzieci. Ponieważ pradziadek był człowiekiem światłym i względnie zamożnym, wszystkie dzieci z obu małżeństw otrzymały jako takie wykształcenie i dobre przygotowanie do samodzielnego życia. W miarę dorastania wszyscy rozproszyli się po świecie. Wiem, że jeden z nich otrzymał święcenie i wyjechał do Kanady, gdzie podobno został dostojnikiem kościelnym. W Niżniowie żadne z rodzeństwa nie pozostało. Babcia utrzymywała jedynie kontakt ze swoją siostrą Klimcią, która mieszkała w Stanisławowie. Kontakty rodzinne mojej babci z pozostałą swoją rodziną były bardzo sporadyczne, bardzo luźne i chociaż wszyscy byli spolonizowani, nie pamiętam przypadku, aby ktoś z rodziny babci kiedykolwiek siedział za świątecznym stołem w domu Szczupaczyńskich. Osobiście rodziny tej nie znałem. Pamiętam, że raz jedyny w okresie okupacji niemieckiej, kiedy warunki życiowe były bardzo ciężkie, do babci przyjechała bardzo przystojna, dystyngowana dama ze Lwowa – po żywność. Była to albo siostrzenica, albo bratanica babci. Utkwił mi w pamięci jej duży kapelusz, czarny lis przerzucony przez ramię i dorastający syn, który jej w tej podróży towarzyszył. Pamiętam też oficjalne i trochę sztywne potraktowanie tej pani przez babcię oraz moje zmęczone ręce przy dźwiganiem ciężkiej walizy na stację kolejową. O Żeliszkiewiczach nie mówiło się, jakby oni nie istnieli. Jedynie, jak już wspomniałem Klimcia czasami do babci przyjeżdżała. Wyglądało to tak, jakby babcia miała jakiś ukryty żal do swojego rodzeństwa, a może były inne przyczyny? Niepodobna dziś tego dojść.

Babcia Paulinka wychodząc za mąż za dziadka wniosła w posagu kilka hektarów lasu oraz kilkuhektarową łąkę otoczoną starymi dębami, na której wyrosły małe brzózki, a którą nie wiem dlaczego nazywaliśmy drugim ogrodem. Oprócz tych gruntów babcia posiadała trochę osobistej biżuterii, którą spieniężyła w czasie drugiej wojny światowej.

Pierwszym dzieckiem z tego małżeństwa urodzonym w 1895 roku był Władysław, a następnym był Michał – mój ojciec – urodzony w 1899 roku 18 marca.

Jeszcze do końca 19. wieku dziadek w warsztatach jedynie nadzorował prace wykonywane przez zatrudnionych robotników, czasami tylko wykonywał swoje pomysły, których realizacja wymaga precyzji i większych

umiejętności. Gro czasu dziadek poświęcał swoim ulubionym drzewom owocowym. Sad był jego oczkiem w głowie i ciągle odmładzał go, wzbogacając w nowe odmiany drzew. Z biegiem jednak lat, kiedy dzieci przybywało, a dorastających z pierwszego małżeństwa należało wyposażyć na samodzielną drogę życia, dziadek coraz więcej czasu poświęcać musiał pracy w warsztatach, które były głównym źródłem utrzymania rodziny. Na przełomie wieków dziadkowie moi mieli już siedmioro dzieci, a ciągle przybywały nowe: w 1901 r. urodził się Stanisław, w 1915 r. Stefania, w 1908 r. (28.04) Julia, w 1910 r. Kazimierz i w 1918 r. Jan. Na utrzymanie tak licznej rodziny dziadek musiał pracować ciężko. Wszystkie dzieci starsze, gdy mogły już pracować, wykorzystywane były w warsztatach, ogrodzie lub w gospodarstwie domowym. Z biegiem lat w warsztatach ograniczano ilość obcych zatrudnionych, a w ich miejsce dziadek przygotowywał i zatrudniał swoich synów.

Tak upływało życie. Dzieci dorastały i część z nich rozpoczynała pracę w warsztatach inni zaś wędrowali w świat. Do wybuchu pierwszej wojny światowej wszystkie dzieci z pierwszego małżeństwa zdążyły wyjechać z domu rodzinnego. Wiem jedynie, że jeden z synów wyjechał do Wiednia, a córka znalazła się w Czechach, gdzie wyszła za mąż. Zmarła w latach sześćdziesiątych. O pozostałych nie posiadam żadnych wiadomości. Już w latach czterdziestych, po wojnie, babcia opowiadała mi, przy okazji sprzedaży pierścionka jeszcze z okresu panieńskiego, że na wiano dzieci dziadka z pierwszego małżeństwa poświęcono pokaźną część majątku, w tym sprzedano wszystkie lasy i trochę biżuterii babci. Babcia gotowa była sprzedać nawet drugi ogród, aby tylko pozostać z własnymi dziećmi, które uczęszczały do szkoły, a starsi, Władek i następnie Michał, uczyli się też zawodu pracując w warsztatach. Z opowiadań wynika, że dziadek w tym okresie często odwiedzał ze swoimi klientami szynki, gdzie omawiano różne interesy i opijano sukcesy zawodowe. Babcia zajmowała się domem, ogrodem i wychowywaniem młodszych dzieci. Mam wrażenie, że małżeństwo moich dziadków w końcowej fazie nie było małżeństwem szczęśliwym. Z dziećmi dziadka z pierwszego małżeństwa babcia miała poważne kłopoty. Były one przyczyną coraz częstszych nieporozumień rodzinnych oraz częstej nietrzeźwości dziadka. Sytuacja ta pogarszała się z upływem lat i dojrzewaniem dzieci. Być może, że po śmierci dziadka dzieci jego nie czuły z tego powodu żadnego już związku z przyrodnim rodzeństwem i dlatego nie utrzymywano, nawet luźnych, kontaktów rodzinnych. Stryjek Kazik po powrocie z Czechosłowacji pod koniec lat siedemdziesiątych, opowiadając mi o swoich wrażeniach po spotkaniu

z siostrą przyrodnią, zachwycony nie był. Przyjęto go tam chłodno. Żalił się, że jej syn nie tylko nie mówi po polsku, ale nawet nie jest świadom, że jego matka jest Polką i że w Polsce mieszka jej rodzina.

Pomimo tych trudnych dla babci czasów i trudnego jej charakteru, należy jej oddać sprawiedliwość, że dzieci wszystkie były zawsze zadbane, a dom gotów był o każdej porze przyjąć gości, których dziadek często zapraszał. Najwięcej czasu w domu poświęcano wychowywaniu dzieci. Babcia dążyła wychować powierzonych jej opiece dzieci na dobrych patriotów, aby w otoczeniu Rusinów i Żydów nigdy nie zatraciły swojej polskości, a w oczach ludzi obcych uchodziły za grzecznych, dobrze ułożonych i kulturalnych. Wychowywała religijnie i patriotycznie. Uważała, że kościół Katolicki w tych ciężkich czasach rozbioru spełniał nie tylko rolę świątyń, ale był też ostoją polskości i patriotyzmu w otoczeniu ukraińskiego żywiołu. Dlatego w wychowaniu dzieci łączyła ściśle wiarę ze wszystkim, co polskie. Babcia zawsze była dumna, że jest Polką i dążyła do tego, aby jej dzieci były zdolne stanąć, jak nadejdzie taki czas, w szeregu polskich powstańców. Nie wiem, czy ktoś z rodziny, z moich przodków brał udział w powstaniach narodowych, jest to możliwe, natomiast wiem, bo sam odczułem w mojej edukacji, że powstanie styczniowe i legiony Piłsudskiego kształtowały atmosferę domu i były wzorem miłości i poświęcenia dla Ojczyzny. Przy swoim patriotycznym i religijnym nastawieniu babcia nigdy nie była nacjonalistką ani dewotką. Była katoliczką i Polką bez przesadnej dewocji i chorobliwej patriotycznej egzaltacji, i fanatyzmu. Od niej nauczyłem się szanować inne od mojej religie oraz inne poglądy w ogóle. Pamiętam, że nawet o pogromach Żydów wyrażała się bardzo negatywnie i oburzała ją każda heca antyżydowska lub antyukraińska, organizowana przez pseudopatriotów. Takie postępowanie było nie do pomyślenia, choć w jej rozumowaniu istniała jakaś nieokreślona i nieszkodliwa granica między Rusinem, Żydem a Polakiem. Uczyła mnie, że kto się urodził Polakiem i mieszka w tym zakątku Polski, ten powinien być patriotą, ale też musi mądrze postępować wobec innych narodowości, szanując ich religię, obyczaje i kulturę. Te słowa zapadły głęboko w moją podświadomość, przyłączając się do innych, równie w tym czasie niezrozumiałych dla mnie pojęć. Babcia miała licznych przyjaciół wśród Żydów, jak i Ukraińców. Wszystkie święta ukraińskie były jednocześnie jej dniem wolnym od cięższej pracy. W tym dniu nie było w domu prania, w ogrodzie kopania itp. Często mówiła, że jeśli mamy wspólnie żyć na tej umęczonej różnymi najazdami i chorobami ziemi oraz wymagać od innych narodowości szacunku i uznania, to my Polacy sami winniśmy

przede wszystkim uszanować ich, jako ludzi, oraz ich religię i ich zwyczaje. Babcia, jak i jej współczesne pokolenie, miała wysoko wykształcone poczucie patriotyzmu, tolerancji, sprawiedliwości i potrzeby przyjaźni sąsiedzkiej, między grupami narodowościowymi, które żyją obok siebie i są sobie nieodzowne. Tę sympatię i życzliwość dla innych grup narodowościowych, aczkolwiek zawsze traktowała ich jak coś odrębnego, wyniosła w części z mieszanych koligacji rodzinnych, jak również z codziennych kontaktów. Najbliższą koleżanką babci była bogata sąsiadka, Rusinka z którą babcia uczęszczała do szkoły. Nazywaliśmy ją Baba Sęka z racji zgarbienia z powodu schorzeń reumatycznych. Babcia była kobietą drobną, ale o silnej indywidualności i nieznosząca sprzeciwu. Trudny i despotyczny charakter nie zawsze sprzyjał w jednaniu i pozyskiwaniu przyjaciół, ale jej poczucie sprawiedliwości, uszanowania ludzkiej pracy, wyrabiały jej autorytet w rodzinie i poza nią. Potrafiła w każdej sytuacji zachować swoją godność nie narażając innych. Wśród nawet swoich bliskich wytwarzała respekt do swojej osoby. Nikt ani myślał, że aby się jej w czymkolwiek sprzeciwić. Nigdy nie wywyższała się, a już w żadnym przypadku nie tolerowała ludzi leniwych, którzy sięgali po dobra doczesne, na które swoją pracą nie zasłużyli. Zawsze napiętnowała nierobów. Sama przez całe swoje długie życie pracowała i wymagała podobnie od innych. Największą jej przyjemnością i wypoczynkiem zarazem była praca w ogrodzie. Gdy miała już czas wolny od domowych obowiązków nakładała na nos binokle w złotej oprawie i czytała, rzadziej książki, ale zawsze periodyki, które prenumerowała od niepamiętnych czasów. Zapamiętałem, że jedno z czasopism związane było z Niepokalanowem. Pamiętam też charakter jej pisma. Było staranne, pełne elegancji i trochę staroświeckie, czytało się je jak drukowane. Swoich bliskich obdarzała ciepłym uczuciem, ale nigdy się z tym nie obnosiła. W potrzebie, potrafiła bez rozgłosu pomagać i wspierać. Często babcię Paulinkę odwiedzałem, ale nigdy nie ośmieliłem się spontanicznie rzucić się w jej ramiona, była tu niedostępna, chociaż ją bardzo kochałem. Jej autokratyczny charakter nie tylko mnie odstraszał. Myślę, że charakter babci, co tu mówić, trudny – w genach przekazany został po części każdemu z jej potomków. Widzę to u siebie, jak też u swoich dzieci.

Do wybuchu pierwszej wojny światowej pomimo że część majątku trwałego sprzedano na posag starszych dzieci i że dziadek coraz części zapadał na zdrowiu, w domu był względny dostatek, a młodsze dzieci mogły uczęszczać do szkoły. Po wybuchu I wojny, obawiając się bezpośrednich działań wojennych na linii Dniestru, dziadkowie wraz z dziećmi

wyjechali do Bukaczowic w helickiem, gdzie babcia miała jeszcze jakieś skrawki ziemi. Dom i warsztaty bez nadzoru i opieki ludzkiej pozostawiono pod opieką opatrzności. Kiedy zaistniały dogodne warunki na drogach, cała rodzina powróciła do Niżniowa. Miasteczko poważnie było zniszczone. Już nawet moja mama opowiadała, że będąc jeszcze dzieckiem podczas wojny znalazła się w Niżniowie i zapamiętała z tego okresu palące się domy oraz rozbite i grabione żydowskie sklepy. Dziadkowie po powrocie zastali ruiny domu i zabudowań warsztatowych. Według relacji naocznych świadków Kozacy carscy po wkroczeniu do miasta zajęli stare austriackie koszary i zażądali otwarcia kuźni przy-warsztatowej. Gdy dowiedzieli się, że właściciel wyjechał, ponoć z wielką furią dziczy spalili dom, wysadzając następnie dynamitem już wypalone, sterczące ściany. Z zabudowaniami warsztatowymi zrobiono podobnie po uprzednio zrabowaniu narzędzi. Dla dziadków był to cios okropny i ostateczny. Skutki były tragiczne, nie tylko materialne. Egzystencja rodziny zagrożona. Pięcioro dzieci, Władysław wkrótce ożenił się i wyjechał z Niżniowa, brak pracy, nikłe oszczędności i dom nadający się jedynie do uprzątnięcia gruzowiska. Warunki te poważnie odbiły się na zdrowiu dziadków. Babcia psychicznie długo nie mogła dojść do równowagi, a dziadkowi pogłębiła się astma. Starsi z rodzeństwa musieli opiekować się chorą matką, młodszymi dziećmi i pomagać dziadkowi. Dziadek pomimo ciężkich przeżyć i trapiącej choroby, natychmiast przystąpił do budowy domu mieszkalnego. Mury starego domu i gruz uprzątnięto, i na jego miejscu zbudowano nowy, skromny domek, jako schronienie tymczasowe. Był to nie tylko mały, ale brzydki, bez wygód, wyjątkowo zimny domek, który, jak zwykle bywa z tymczasowością, przetrwał ponad 20 lat, aż do drugiej wojny światowej. Ze starego domu pamiętam kolumny oraz płyty schodowe złożone na skraju podwórka i poprzerastane krzewami.

Z tego upadku rodzina już nigdy się nie dźwignie. Tak zwane dobre czasy pozostaną jedynie w pamięci starszego rodzeństwa. To, co wojna strawiła i co zostało sprzedane na wyprawy i posagi dzieci z pierwszego małżeństwa nie było chronione tajemnicą przed młodszym pokoleniem, natomiast wiele zdarzeń i spraw majątkowych z okresu wcześniejszego, niestety, za milczącą zgodą moich przodków, pozostało dla mnie i mojego pokolenia tajemnicą i dziś nie sposób rodzinny łańcuch złożyć w jedną całość.

Dziadków nękały choroby. Dzieci dorastające dążyły do usamodzielnienia się, tym bardziej, że warunki w domu rodzinnym dawno przestały

być wygodne. Cała sytuacja bytowa zdecydowanie ujemnie wpływała na stosunki rodzinne, które systematycznie ulegały zaostrzeniu.

Dziadek Franciszek cierpiał na dolegliwości astmatyczne, a wydarzenia wojenne i ciężkie chwile powojenne wyczerpały go całkowicie. Na początku lat dwudziestych – dziadek umiera. Stryjek Władysław ożeniony z Rozalią zamieszkał w Tyśmienicy, w domu pozostało jeszcze pięcioro dzieci w tym troje niepełnoletnich. Michał, jako najstarszy, przyjął na siebie obowiązek opiekuna rodziny. Początkowo pracował przy naprawie, a właściwie odbudowie mostów na Dniestrze, które zniszczono podczas działań wojennych, a następnie, gdy mosty zostałe oddane do użytku, otrzymał pracę jako brygadzista w parowozowni w Stanisławowie, gdzie kierował brygadą remontową. Jego też staraniem otrzymał pracę w tejże parowozowni młodszy brat Stanisław, który po ożenieniu się z Heleną, akuszerką z Nadwórnej, mieszkał na stałe w Nadwórnej.

Od mojej teściowej Marii Zimermanowej z domu Szura, która była bliską koleżanką cioci Juli wiem, że ojciec mój, bo o nim teraz wspominam, był wspaniałym człowiekiem. Wszyscy, którzy go znali, podziwiali jego dobroć, spokojny charakter, pracowitość, a nade wszystko gotowość do poświęcenia się rodzeństwu. Pieniądze, który zarabiał, a zarabiał dobrze, oddawał na utrzymanie rodziny. Nie zakładał rodziny własnej, ponieważ obowiązki opiekuna nad matką i młodszym rodzeństwem chciał wypełniać dobrze i do końca, aż osiągną pełnoletność. Dopiero gdy rodzeństwo mogło już stanąć o własnych siłach, zaczął myśleć o swojej przyszłości.

W opowiadaniach mojej babci ten okres w jej życiu zawsze wymieniany był jako bardzo trudny, ale też i ciekawy. Zdobycie przez nasz naród niepodległości, zakładanie polskich instytucji państwowych i reaktywowanie polskiej administracji na tych terenach, ciągłe zmiany, brak stabilizacji polityczno-gospodarczej, wymagało od Polaków na Kresach permanentnej czujności i aktywnego życia społecznego i narodowego. Uaktywnienie żywiołu ukraińskiego stawiało Polaków pod ciągłym pręgierzem, tak w czasie wojny z bolszewikami, jak i długo po wojnie, w latach dwudziestych.

Jeżeli o przodkach mego ojca mam choć mgliste rozeznanie, to przeszłość rodziny mojej matki jest mi prawie nieznana. Dziadka Antoniego Poterałowicza nie znałem i żadne przekazy rodzinne do mnie nie dotarły. Pamięć moja sięga jedynie do babci Genowefy Poterałowiczowej z domu Kasperska, którą od zarania pamiętam jako staruszkę, a pod koniec jej długiego życia nazywaliśmy ją babcią Stareńką. Wiem, że dziadek Antoni urodził się i zmarł w Puźnikach natomiast babcia Genowefa urodziła się

w 1876 roku nie wiadomo w jakiej miejscowości. Z jej opowiadań wiem, że jako sierota wychowywana była u obcych ludzi w bliżej nie znanym mi majątku ziemskim. Jej opiekunowie z tytułami szlacheckimi posiadali na Podolu kilka folwarków, a więc byli bogaci. Babcia do nich trafiła po śmierci rodziców, których łączyła z nowymi opiekunami jakaś przyjaźń. Rodziców swoich w ogóle nie pamiętała i nigdy nie dociekała kim byli i z jakich przyczyn pomarli. W opowiadaniach babci często przebijało się anielskie dzieciństwo, wspaniała młodość i trudne lata życia dojrzałego. Babcia Poterałowiczka była kobietą niezwykłą. Całkowite przeciwieństwo babci Paulinki. Skromna, cicha, życzliwa dla ludzi, wyjątkowo dobrego i szlachetnego serca, ale bez czułostkowości, pełna wiary niemal we wszystkich ludzi. Jej jedynym pragnieniem było mieć czas i siły by służyć swoim bliskim. Umiała innych wysłuchać, chociaż sama mówiła mało, ale to co mówiła, wskazywało na szeroką znajomość praktycznego życia. Dziwi, jak ta kobieta mogła urodzić i wychować aż siedmioro dzieci, nie tracąc nic ze swojej dobroci i spokojnego charakteru. Przyjmowała wszystko, co życie przynosiło z pokorą i spokojem. Taka była do samej śmierci. Nie pamiętam ją mówiącą podniesionym głosem i nigdy nie słyszałem, aby o kimś mówiła źle.

Dziadek Antoni wcześnie osierocił swoją rodzinę, zmarł nagle po powrocie z pierwszej wojny. Babcia, zostając wdową z małymi jeszcze dziećmi i spalonym w czasie wojny domem, musiała ciężko pracować, aby zdewastowaną gospodarkę odbudować i dać dzieciom schronienie. Katarzyna urodzona w 1902 r. wyszła za mąż za Władysława Komarnickiego i poszła, jak mówiono, na swoje, ale pozostałym dzieciom rodzonym: w 1906 r. – Karol, w 1907 r. – Maria, w 1904 r. Antonina, w 1910 r. Stefania, w 1913 r. Domicela i w 1914 r. Franciszek – trzeba było zabezpieczyć byt. Bogatą babcią nie była. Jej opiekunowie dali wprawdzie pokaźne wiano, ale dla tak dużej rodziny nie zawsze starczało. Na wybudowanie domu trzeba było część ziemi ornej sprzedać, a następnie w miarę upływu czasu dorastające dzieci również należało obdzielić skromnym wyposażeniem na samodzielną drogę życia. Dzieci babci – Katarzyna (Komarnicka), Antonina (Działoszyńska) i Karol – po założeniu swoich rodzin pozostali w Pużnikach uprawiając te swoje skrawki ziemi, które trzymali w posagu. Każde z dzieci otrzymało ósmą część ziemi ornej, a babcia dodatkowo zatrzymała dla siebie dom i sad wraz z małą oborą. Jeżeli dobrze pamiętam, wiano babci wynosiło 25 ha podolskiej, a więc doskonałej, ziemi ornej. Gospodarując na takim areale można było żyć na średnim poziomie, ale po podziale, żyło się marnie. Najzamożniejsza

była Kasia, której mąż Władysław Komarnicki potrafił ciągle powiększać swoją gospodarkę, natomiast pozostali, albo uprawiali to co otrzymali i żyli biednie, albo, jak to uczyniły Maria, Stefania i Domicela, sprzedały i wyjechały z Pużnik do miast. Najmłodszy syn babci Franciszek pozostał razem z babcią w rodzinnym domu gospodarując na tym, co z podziału przypadło jemu i babci. Stefania wyjechała do Stanisławowa i tam wyszła za mąż za Romana Kwiatkowskiego, Domicela do Lwowa, a następnie do Warszawy i w Warszawie wyszła za mąż za Stanisława Stankiewicza, zaś Maria, moja matka, wyjechała do niedalekiego Niżniowa, gdzie również wyszła za mąż i o niej teraz słów kilka chcę napisać.

Maria, którą w domu nazywano Marynią po ukończeniu szkoły parafialnej (w Pużnikach tylko taka istniała) pracowała od najmłodszych lat w rodzinnym gospodarstwie. Pod koniec lat dwudziestych, jako młoda dziewczyna, przeżyła tragedię osobistą. Z nieznanych mi powodów, w ostatniej chwili, nie doszło do związku małżeńskiego z ojcem przyszłego jej dziecka. Nie wiem, czy przyczyną była śmierć, czy inne względy nie dopuściły do tego związku. Wszystko jednak wskazuje, że śmierć zburzyła wszystkie jej plany życiowe. Osobiście nigdy tego człowieka nie widziałem, chociaż w późniejszych latach często bywaliśmy z mamą w domu jej niedoszłej teściowej, gdy przyjeżdżaliśmy do Pużnik i zawsze byliśmy w tym domu serdecznie goszczeni. O „nim" się jednak w domu nigdy nie mówiło. Tej tajemnicy już nie rozwiążę. Z tego niedoszłego związku w grudniu 1927 roku przyszedł na świat chłopiec, któremu na imię nadano Mieczysław. Kiedy Mietek miał dwa lata, w celach zarobkowych mama wyjechała do Niżniowa, zostawiając dziecko pod opieką babci. W Niżniowie rozpoczęła pracę u Daszkiewiczów – bogatych mieszczan, właścicieli dłużej masarni oraz dwóch sklepów mięsno-wędliniarskich – zarabiając na swoje i dziecka utrzymanie. Początkowo do obowiązków jej należała opieka nad dziećmi, a ponieważ mama była bystrą i pojętną, bardzo szybko powierzono jej prowadzenie całego gospodarstwa domowego. Mama opowiadając o tym okresie swojego życia podkreślała zawsze, że był to okres dla niej bardzo korzystny, choć wcale nie lekki. Tam zdobyła doświadczenie prowadzenia dużego domu, przez pewien czas była sprzedawczynią, tam poznała wiele tajników kulinarnych, które w pewnych momentach jej życia, po śmierci męża, wykorzystała zarobkowo prowadząc na szeroką skalę kuchnię dla wielu osób, i tam poznała swojego męża.

Ślub moich rodziców, 33 letniego Michała z 24 letnią Marią, odbył się w Pużnikach w 1931 r. Związek ten w oczach babci Paulinki nie znalazł

uznania. Babcia uważała, że Michał, tak jak i Władysław i Stanisław, popełnił nie do wybaczenia mezalians i związku tego nie aprobowała. Jednak po kilku już miesiącach zdanie i stosunek do nowej synowej zmieniła, a po kilkudziesięciu latach babcia mnie powie, że Mania, tak ją w Niżniowie nazywano, jest najlepszą jej synową.

Po ślubie młodzi małżonkowie zamieszkali w wynajętym mieszkaniu dużego domostwa Kupkowiczowej. Dom położony był wśród pięknego ogrodu i sadu przy głównej ulicy, opodal apteki. Byli szczęśliwi i optymistycznie planowali swoją przyszłość, chociaż tak jak cały świat, Niżniów dotknięty był kryzysem gospodarczym.

Ojciec mój był średniego wzrostu, krępej budowy ciała, twarz o łagodnych niebieskich oczach i bardzo spokojnego usposobienia. Był milczkiem, ale nie ponurakiem. Miał wyjątkowe zamiłowanie i uzdolnienia do majsterkowania. Sam w domu wszystko montował i reperował. Potrafił prowadzić i obsługiwać różne maszyny parowe, spalinowe, naprawić zegarek, podzelować buty, a budowa pieca również nie była dla niego problemem. Wykonywał, na rodzinny użytek ładne przedmioty i urządzenia z drzewa, metalu, gliny, a jeśli czas mu pozwalał to nawet rzeźbił. Moja kołyska, w której również „wykołysałem" swojego młodszego braciszka, była dziełem godnym artysty, nawet końce biegunów ozdabiały rzeźby głów kociaków i piesków. W domu większość przedmiotów z drzewa była upiększona jakimś epizodem przyrodniczym lub zwierzęcym. Pamiętam wiszące lustro otoczone ramą rzeźbioną w jakieś tajemnicze małe główki ludzkie, które figlarnym uśmiechem witały mnie przy każdej toalecie. Ojciec był bardzo uczynnym i opiekuńczym, zawsze stawiał troskę o bliskich ponad swoje osobiste sprawy i swoją osobę. Dowodem jest tego, że nie zostawił rodzeństwa bez opieki, utrzymując ich (i matkę) do pełnoletności. Wśród znajomych i przyjaciół miał przydomek „Mechanik", co podkreślało jego zamiłowania i uzdolnienia. Mama go uzupełniała. Była bardzo towarzyska, dowcipna, zawsze było w pogawędce coś, z czego żartowano, każdą rozmowę towarzyską umiała spuentować w obu językach, polskim i ukraińskim. Była bystrą obserwatorką i miała ogromne poczucie humoru, znała niezliczone ilości polskich i ukraińskich przysłów, i anegdot. Bardzo kobieca i doskonała gospodyni domu. Na Syberii i później, podczas okupacji niemieckiej dodatkowo wykazała i wykorzystała zarobkowo umiejętności krawieckie, medyczne i zaradność w kontaktach z ludźmi. Rodzice moi oboje byli pracowici i pomysłowi, życzliwi dla otoczenia i chętni do udzielenia pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Nie przypominam sobie takiego przypadku, aby mama moja odmówiła

pomocy lub wsparcia osobie, która o tę pomoc zabiegała. W domu naszym często mieszkali bezdomni, chociaż miejsca za wiele nie było, głodni byli nakarmieni, chociaż się nie przelewało i sami skromnie żyliśmy.

17 grudnia 1931 roku w czwartek, gdy urodził się im syn, cała rodzina przyjęła tę wiadomość entuzjastycznie. Byłem przecież pierwszym tego pokolenia potomkiem urodzonym w Niżniowie. W tym jeszcze czasie babcia innych wnuków przy sobie nie miała. Rodzeństwo mego ojca mieszkające w Niżniowie było jeszcze bezdzietne. Dzieci Władysława (Hela, Czesia, Kazia i Tadeusz) mieszkały w Tyśmienicy, a syn Stanisława – Aleksander oraz Joanna i Stefania w Nadwórnej.

2

Moje dzieciństwo

Moje wspomnienia z dzieciństwa to oderwane obrazy najwcześniejszych wrażeń i doznań. Kiedy obracam się wstecz, by moich rodziców i dom mój rodzinny odnaleźć w pamięci, to nie wiem już, jaką chronologię zachować, w jakim czasie i w jakiej kolejności umieścić zachowane wspomnienia z najodleglejszych czasów mojego życia. Trudno mi złożyć te okruchy wspomnień, chociaż w pamięci kłębią się zdarzenia, a obrazy nakładają się nawzajem. Tak bardzo pragnę, aby syn mój w pełni korzystał z dziennika, który mu podarowałem w 26 rocznicę jego urodzin. Po latach okazuje się to bardzo potrzebne do rozrachunku z przeszłością, z życiem.

Jak z daty wynika, urodziłem się w latach światowego kryzysu, sto lat po powstaniu listopadowym, sześćdziesiąt siedem po powstaniu styczniowym i trzynaście lat po odzyskaniu niepodległości państwowej mojej ojczyzny. Te wydarzenia historyczne wymieniam dlatego, że one zdecydowanie wpłynęły na moje wychowanie i one kształtowały moją psychikę. Sakrament chrztu dał mi za matkę chrzestną siostrę mego ojca Julię, później najlepszego przyjaciela, mego obrońcę, nauczyciela i doradcę oraz najukochańszą istotę szczenięcych moich lat. Ona też wybrała mi imiona. Ojca chrzesnego nie pamiętam. Był nim znajomy ojca, jakiś bogaty kupiec ze Lwowa. Chrztu dokonał (udzielił) ksiądz proboszcz, który w następnych latach będzie mnie uczyć religii i ministrantury. Szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska. Był to prawy człowiek i szczery patriota. Zginął śmiercią męczennika w 1940 roku z rąk NKWD przy dużym współudziale nacjonalistów ukraińskich. Za jego polskość i religijność przywiązanego do furmanki ciągnęli przez całe miasteczko, aż ciało przestało dawać oznaki życia. Inicjatorem byli Ukraińcy, a wykonawcami bolszewicy. Choć był to w tym czasie wypadek odosobniony – bowiem NKWD publicznie

jeszcze swoich więźniów nie torturowało – nikt z tych oprawców nie został ukarany.

Chrzest odbył się w kościele parafialnym w Niżniowie. Dano mi imiona Zbigniew, bo ładne i w owym czasie Niżniowie wyjątkowo rzadkie, a ja nie mogłem być dzieckiem tuzinkowym nawet z imienia, oraz Franciszek, dla uczczenia pamięci dziadka. W czasie obrządku podobno bardzo niestosownie zachowywałem się, płacz mój słychać było w całym kościele. A że było to w niedzielę, zaraz po sumie, jeszcze przy wypełnionym kościele, i że był to mój pierwszy popisowy występ przed tak liczną publicznością, wyciągano z tego faktu wcale ciekawe wnioski, znać, że w życiu zapewne zostanę śpiewakiem lub kaznodzieją. Tak czy owak publika chętnie słucha i śpiewu, i kazań. O tej niby przypowiedzi, że zostanę księdzem, mama moja długo marzyła, przypominając i uświadamiając mi przez lata, że ksiądz zawsze ma syte życie, że kształcenie księdza nie obciąża finansowo rodziny i wiele jeszcze innych dogodności. Gdy jeszcze byłem małym chłopcem, żywo oponowałem, że ksiądz nie ma żony, a ja chciałbym mieć żonę. Mama rozwiewała moje wątpliwości żartami mówiąc, że ksiądz może mieć więcej żon jak zwykły człowiek.

Ojciec mając syna był bardzo szczęśliwym rodzicem. Jak to zwykle bywa, matka wolała mieć córkę, której pragnęła całe życie, ale to wcale nie wpływało na miłość matczyną do swojego dziecka. Byłem jeszcze w pieluchach, a już mi planowano przyszłość, układając harmonogram mego życia, aż do pełnoletności. Marzyło się mojemu ojcu dać mnie takie przygotowanie do samodzielnego życia, aby mnie nigdy na niczym nie zbywało, abym nie powtórzył jego losu, jego żmudnego życia, które było przepełnione jedynie ciężką pracą, troskami i niepokojami o innych. Chciał mieć syna wykształconego, solidnie przygotowanego do życia pod każdym względem. Jego pragnieniem było, abym został inżynierem, koniecznie inżynierem, ponieważ sam posiadał uzdolnienia techniczne i widział też, jakie to wykształcenie zapewniało perspektywy zawodowe. Od chwili narodzenia stałem się celem w życiu mych rodziców i nie tylko rodziców, ale też całej rodziny ojca. Byłem jedynym dzieckiem wśród dorosłych członków rodziny w Niżniowie, dlatego stałem się obiektem zainteresowań i miłości babci, cioci Julii, stryków Kazia i Janka. Dowodów troski i miłości do mnie było wiele, między innymi, gdy w pierwszym roku życia poważnie zachorowałem i lekarz zalecił kurację „leśno-powietrzną", co dzień bardzo rano wywożono mnie do tzw. Gaju, gdzie wśród iglastych drzew, orzeźwiające, poranne powietrze miało wyleczyć mój nadmierny kaszel i wzmocnić osłabiony organizm; po kolei wszyscy dorośli dyżuro-

wali i o piątej rano, jeszcze śpiącego, noszono mnie do owego wspaniałego „uzdrowiska" oddalonego od nas o prawie trzy kilometry. Takich dowodów miłości, według opowiadań mojej mamy, było wiele.

W owym czasie mieszkaliśmy już w innym miejscu, nad Tłumaczykiem, za pocztą nie opodal szkoły. Ojciec wynajął mieszkanie u Iwańczyka, chłopa ukraińskiego, który dodatkowo trudnił się wyprawą skór baranich, od których ciągły odór przenikał cały dom i podwórko. Rodzice zmienili mieszkanie, ponieważ Kupkowiczowa urządzała częste awantury rodzinne, które zakłócały nam spokój. Pewnej nocy przy takiej awanturze wybito okno w pokoju w którym spałem i szczęśliwie, że nie uległem okaleczeniu. Szkło zbitej szyby okiennej zasypało moją kołyskę niszcząc częściowo przykrycie pod którym spałem. Fakt ten rodziców tak zdenerwował, że jeszcze w tym dniu dokonano przeprowadzki do innego mieszkania.

W takiej rodzinnej atmosferze nabierałem sił, rosłem zdrowo i coraz rozumniej patrzyłem na ten świat i jego życie. Pierwszy obraz z mojego dzieciństwa, który zapamiętałem, to płacz mojej opiekunki, młodej dziewczyny, którą rodzice przyjęli do opiekowania się mną. Było piękne przedpołudnie, opiekunka poszła ze mną na spacer na błonia, koło miejskiej studni. Tam spotkała koleżankę, z którą rozmawiała poświęcając tej rozmowie całą swoją uwagę, a ja wykorzystując brak opieki, zdjąłem z nóg sandałki i konspiracyjnie wszedłem do kanału odpływowego, którym płynęła lodowata woda studzienna. Ojciec wracając w tym czasie ze Śródmieścia do domu, gdy zobaczył, jak brodzę w tym kanale, spokojnie podszedł, wyciągną mnie z wody, wziął na ręce i bez słowa nagany wracaliśmy milcząco do domu. Moja opiekunka idąc obok nas cały czas płakała, bojąc się utracić dobre miejsce pracy. Obraz płaczącej dziewczyny utkwił mi w pamięci może dlatego, że byłem do niej przywiązany i że z jej powodu, z powodu jej płaczu, zacząłem również płakać. Skończyło się przyrzeczeniem, że więcej coś takiego się nie powtórzy i dziewczyna pozostała u nas, aż do śmierci mojego ojca.

Następny obraz utrwalony w mojej świadomości związany jest z bólem, ale tym razem z bólem fizycznym, który związany był z owrzodzeniem stopy. Ojciec przez dwie noce nosił mnie na rękach, ponieważ w czasie takiej opieki przestawałem płakać i zasypiałem. Ból nie był w objęciach ojca tak dokuczliwy. Czułem się przy ojcu bezpieczny.

Trzecim epizodem z mojego dzieciństwa tak wyraźnie tkwiącym we mnie, a który łączy się z moim ojcem, był nasz pobyt w szpitalu, w którym przez dwa już tygodnie walczył ze śmiercią. Starsi już wiedzieli,

że prawdopodobieństwo utrzymania chorego przy życiu jest znikome. Dlatego kiedy tylko ojciec odzyskiwał świadomość, mogliśmy go odwiedzać. W takiej właśnie chwili wezwano mamę do szpitala. Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Na dworze listopadowa plucha i bardzo zimno. Gdy zaprowadzono nas do sali, która miała specyficzny zapach i była cała w bieli, zobaczyłem ojca leżącego nieruchomo na wysokim łóżku z obandażowaną głową. Na sali był sam. Łóżko ojca stało pod lewą ścianą, a na łóżko stojące pod ścianą prawą siostra nam towarzysząca posadziła mnie i nakazała cicho siedzieć. Ze swojego wysoko zasłanego łoża miałem doskonały punkt obserwacji. Widziałem i słyszałem wszystko, co działo się i o czym mówiono w tym dziwnym pomieszczeniu. Ojciec nic nie mówił, jedynie nerwowo oczami wodził po nas. Widać było, że cierpi. Mama mówiła do ojca bardzo dużo. Była bardzo opanowana. W pewnym momencie usłyszałem ojca głos. Z wielkim trudem wypowiedział zaledwie dwa słowa... pilnuj dziecka. Zapamiętałem te słowa, bo długo zastanawiałem się dlaczego one wywołały taki cichy, spontaniczny płacz mamy. Była to nasza, choć jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, ostatnia wizyta, wizyta pożegnalna, choć oficjalnego pożegnania nie było. Mama liczyła, że jeszcze z ojcem się zobaczy. Niestety, tatuś, po dwutygodniowym zwalczaniu choroby tężca, w wielkich męczarniach następnego dnia zmarł. Był listopad 1935 roku. Ojciec zmarł w wieku 37 lat, ja kończyłem dopiero czwarty rok życia, a mama była w ósmym miesiącu ciąży.

Dziś, gdy zanurzam się w świat moich wspomnień z lat szczenięcych, dosięgam głębi najwcześniejszych chwil zapamiętanych z dzieciństwa, a związanych z ojcem, to napotykam jedynie na te zdarzenia, które były powodem moich cierpień. W tych chwilach bólu zawsze towarzyszyły mi dobroć ojca, jego troskliwość, które łagodzą ból i dają poczucie bezpieczeństwa. Czasami myślę, jakimi drogami potoczyłoby się moje życie, gdyby ojciec tak wcześnie od nas nie odszedł.

Na pogrzebie nie byłem. Było zimno i siąpił deszcz. Cała rodzina zjawiła się w Stanisławowie, gdzie ojca pochowano i wszyscy udali się na pogrzeb, a ja pozostałem w domu pod opieką cioci Stefy, która już w tym czasie mieszkała w Stanisławowie.

Po pogrzebie wszyscy wróciliśmy do Niżniowa. Dopiero po powrocie swoim dziecięcym umysłem pojąłem cały tragizm śmierci ojca i naszej samotności. Zrozumiałem, że na tatusia czekać już nie będziemy, bo tatuś jest tam, skąd się nie wraca nigdy. Moje dodatkowe pytania dociekające, dlaczego tak jest, mamę doprowadziły do płaczu, który przerodził się w łkanie. Brak ojca, płacz i rozpacz matki tak mnie przeraziły, że sam

zacząłem płakać. Od tego płaczu dostałem gorączki i całą noc męczyły mnie zmory. Rano odwiedziła nas ciocia Jula i widząc bezradność mamy i moją zapłakaną i rozgorączkowaną twarz, aby uchronić mnie przed takim zbiorowym płaczem, zabrała mnie do siebie. Do domu wróciłem po kilku dniach, kiedy mama była już uspokojona i mogła zająć się codziennymi zajęciami domowymi.

Niespodziewana śmierć ojca przekreśliła wszystkie aktualne i przyszłościowe plany. Zostaliśmy bez środków do życia. Pieniądze zaoszczędzone na budowę domu – rodzice budowę planowali już w następnym roku, a babcia ze swoich zasobów drzewnych ze swojego ogrodu nawet przygotowała budulec – nie mogły na dłuższy czas zabezpieczyć naszego bytu, tym bardziej, że i leczenie i pogrzeb nadwyrężyły te oszczędności. Były to chwile wyjątkowo trudne dla mojej matki. Ja szybko oswoiłem się z nieobecnością ojca w domu i zapomniałem też o mojej opiekunce, którą mama ze względów finansowych musiała zwolnić. Brak pieniędzy zaostrzył nieszczęśliwe nasze położenie. Często zabierano mnie z domu i przebywałem trochę u babci Paulinki, trochę u cioci Juli, co z pewnością miało pozytywny wpływ na moje sieroctwo. Rodzina, a szczególnie ciocia Jula, rozpieszczali mnie, aż do nieprzyzwoitości. To miłość i ciepło rodzinne w późniejszych czasach spowodowały, że nie byłem, jak inni chłopcy w moim wieku, odporny psychicznie na niepowodzenia. Przez wiele lat nie mogłem dostosować się do twardych reguł gry, każdą krzywdę i niesprawiedliwość przeżywam bardzo emocjonalnie. Myślę, że gdybym zaraz po śmierci ojca nie siedział pod rodzinnym parasolem ochronnym, byłbym bardziej odporny na wszelkiego rodzaju brutalności życiowych. Gdy już zostałem ojcem, ciągle miałem na uwadze to doświadczenie i choć nie szczędziłam swoim dzieciom miłości, to jednak cukierkowy nie byłem i dyscyplinę stosowałem w miarę surową.

W tej smutnej i ciężkiej sytuacji przyszły Święta Bożego Narodzenia 1935 roku. Była to pierwsza choinka i pierwsze Święta Bożego Narodzenia, które szczegółowo zapamiętałem. Wszystkie następne z czasów dzieciństwa i mojej młodości będą równie zapamiętane, chociaż w bardzo, a czasami nawet krańcowo różnych nastrojach obchodzone.

W dniu Wigilii tych pierwszych zapamiętanych Świąt wpadła do nas ciocia Jula, przyniosła dużo świeżych ozdób na choinkę, które wspólnie zawieszaliśmy na przygotowane drzewko i po udekorowaniu poszliśmy do babci na kolację wigilijną. Idąc do babci rozkoszowaliśmy się białym puszystym śniegiem, który od wielu już godzin padał. W czasie tych Świąt babcia dołożyła wszelkich starań, abyśmy nie odczuli tak boleśnie utraty

osoby bliskiej, tym bardziej, że mama była tuż przed rozwiązaniem i nie wskazane były w tym stanie mocne wzruszenia.

Od tych Świąt mam dłuższą lukę w swoim życiorysie. Długa przerwa. Istna ciemność. Nie pamiętam nawet kiedy urodził się mój młodszy braciszek. Myślę, że był koniec grudnia 1935 r. Na pamiątkę ojca dano mu na imię Michał.

Trudności nasze, w i tak już kłopotliwych czasach, powiększyły się. Właściciel domu, Iwańczyk, bojąc się niewypłacalności ubogiej lokatorki, wymówił nam w środku zimy mieszkanie, a nawet dopuszczał się szykan. Tyle dobrodziejstw, jakimi całą jego rodziną obdarzyła mama za tzw. dobrych czasów – poszło w niepamięć. Nawet nie chciał czekać do wiosny, chociaż komorne otrzymywał regularnie. Dopiero zdecydowana, męska interwencja przyjacół ojca, między innymi Mikołajewicza, uspokoiła Iwańczyka. Musieli chyba ostro i zdecydowanie z nim rozmawiać, bo do wybuchu wojny nie odważył się nawet wspomnieć o przeprowadzce. Do ponownego wymówienia dopiero doszło we wrześniu 1939 roku, kiedy po wkroczeniu bolszewików każdy Polak narażony był na represje.

Lato 1936 roku pamiętam już dobrze. Przypominam sobie, że w tym czasie, w dniu pięknego słońca, mama pojechała ze mną do Tłumacza z myślą oddania mnie na dłuższy czas do ochronki, co w poważnym stopniu odciążyłoby ją w kłopotach finansowych. Przełożona sierocińca – sierociniec prowadzony był przez siostry zakonne – po rozmowie z mamą oświadczyła, że niestety, ale do ochronki przyjmuje jedynie całkowite sieroty. Wróciliśmy z powrotem do domu. Z tej podróży utkwiły mi w pamięci bardzo szerokie schody przed gmachem sierocińca, piękna pogoda, zmęczenie i nade wszystko żal, że mama, którą kochałem, chciała pozbyć się mnie na korzyść Michałka. Zadra ta tkwiła we mnie długie lata, ale nigdy z nikim tym żalem się nie podzieliłem i nigdy matce nie dałem odczuć. Poniekąd zrozumiałem sytuację, w jakiej się znalazła mama, widziałem, jak trudno jest jej podołać i pogodzić pracę zarobkową z obowiązkami domowymi, jak zdyszana wpadała do domu, aby przewinąć Michasia i z powrotem biegła do swoich obowiązków. To było ponad jej wątłe siły.

Mama jeszcze zimą z początku 1936 roku rozpoczęła pracować u pani Lityńskiej, siostry burmistrza. Początkowo odwiedzała nas w czasie pracy, ale po pewnym czasie przestała. Idąc do pracy zamykała nas w domu, a mnie pouczała, co i kiedy mam robić oraz jak się zachować w różnych sytuacjach. W żadnym wypadku nie wolno mi było brać na ręce Michałka, miałem mu jedynie zmieniać pieluszki zmoczone, zabawiać go i kiedy

budzik zadzwoni, wyciągnąć butelkę z podgrzewacza z pokarmem, którą mama wychodząc wkładała do gorącej wody w garnku, i nakarmić dziecko. I tak było każdego dnia. Byłem Michałka nianią, aż do niepowetowanej jego śmierci. Bardzo go kochałem, a on, jakby z wdzięczności za opiekę, zawsze był wesół i bez kaprysów. Nawet gdy miał zmoczoną pieluszkę, nigdy nie płakał. Michaś był moim jedynym, tego lata, towarzyszem w tym ciągle pustym domu. Dziś jeszcze mam przed oczyma twarzyczkę tego kochanego dzieciaka, wiecznie śmiejące się, duże niebieskie oczy i spadający na czoło biały kosmyk włosków. Taki obraz powtórzy się po dwudziestu latach u mojego syna w jego latach szczenięcych. Michaś nigdy nie płakał, nie grymasił, ze snu budził się z uśmiechem. Wszyscy go kochali za jego radość dziecięcą i za skorość do zabaw i figli.

Zbliżała się pierwsza rocznica urodzin Michasia. Święta Bożego Narodzenia spędzaliśmy częściowo u babci, a częściowo u cioci Juli. Mama musiała też doglądać przyjęć świątecznych u Lityńskich. Mnie i Michasia cieszyła wystrojona choinka, z której czasami zrywaliśmy smakołyki. Michaś już nieporadnie zaczął dreptać, czym zmuszał mnie do jeszcze większej uwagi nad jego zachowaniem. Ciągle bałem się, że przewróci choinkę i pobiją się wszystkie szklane ozdoby choinkowe. Na Nowy Rok nauczyłem się kilka linijek rymowanych życzeń noworocznych i pierwszy raz, razem z mamą i Michasiem, poszliśmy „zasiewać" do babci, cioci Juli i do pani Lityńskiej. W następnych latach chodzić już będę sam.

Ukraińskie Święta Bożego Narodzenia zbiegły się z dużymi mrozami. Od kilku dni, po obfitych opadach śniegu, temperatura ciągle spadała. Pamiętam, że w tym dniu w mieszkaniu było chłodno i razem z Michasiem grzaliśmy się pod pierzyną. Dopiero po południu mama paląc w piecu porządnie ogrzała mieszkanie i mogliśmy zrezygnować z pierzyny. Michaś już całkiem dobrze opanował swoje samodzielne kroczki i z tego, razem z nim, cieszyliśmy się, a on jakby się rozkoszował tym osiągnięciem, ciągle wstawał, idąc padał i ponawiał tę czynność, wciągając mnie w tę zabawę. Pamiętam, że w ten pechowy wieczór w ciepłym mieszkaniu rozrabialiśmy wyjątkowo. Biegaliśmy po mieszkaniu, skakaliśmy po łóżku aż koszulki nasze były mokre.

Tamtejszym zwyczajem w Święta Bożego Narodzenia pod oknami kolędują zespoły kobiece, męskie, dziewczęce i chłopięce (kawalerskie), każdy zespół z osobna, i zbierają datki na cerkiew lub na kościół. W święta ukraińskie Polacy chętnie przyjmowali pod swoimi oknami kolędników, ponieważ kolędy ukraińskie zawsze były pięknie wykonywane. W ten mroźny wieczór pod naszymi oknami, w niespodziewanym

dla nas momencie, taki właśnie kobiecy zespół odśpiewał piękną kolędę, przy czym dodatkowym efektem były światła z zapalonych świec. Śpiew i odbicia w oknie, które zdążyło się już częściowo odmrozić – przerwały naszą zabawę. Obaj przestraszeni wlepiliśmy wzrok w okno i tak nie ruszając się gapiliśmy się na zniekształcone twarze i migające światełka. Trwało to krótko, ale od tego momentu dziecko, jakby przystało reagować na otoczenie. Z twarzyczki Michasia znikł uśmiech, a o własnych siłach nie mógł nawet siedzieć. Mama początkowo myślałam że Michaś w tych naszych harcach zmęczył się i najlepiej będzie, jeżeli go ułoży do snu. Sen jest najlepszym lekarstwem. W nocy, gdy się obudziłem, zobaczyłem siedzącą przy kołysce mamę bardzo przestraszoną. Michaś gorączkował i mama zmieniała mu kompresy. Niestety, gorączka wzrastała i rano wezwany lekarz stwierdził konwulsje. Śmierć nastąpiła po kilkunastu godzinach. Wszelkie zabiegi nie pomagały.

Minęło już tyle lat od tej niespodziewanej śmierci, a dziś jeszcze pisząc o tym brzdącu wzruszam się. Widzę w pamięci żywe obrazy tego kochanego dziecka, którego strata, szczególnie dla mnie była tak bolesna. Nie mogłem pogodzić się, że mojego kochanego braciszka zakopano do ziemi. Wpadłem w apatię, straciłem apetyt i z dnia na dzień traciłem siły fizyczne. Ponownie przysporzyłem rodzinie przez wiele miesięcy poważnych kłopotów. Byłem wtedy bardzo wątłym dzieckiem. Przeróżne rady dawane mojej matce nie przynosiły pożądanych rezultatów. Już wtedy rozumiałem, jakich zmartwień przysparzałem swoim bliskim, co mnie również gnębiło. Ile razy zmuszałem się do jedzenia, aby pocieszyć matkę, że ze mną już jest lepiej, tyle razy zwracałem, co jeszcze bardziej osłabiało mój organizm. Często gorączkowałem, z czego pozostały mi najnieprzyjemniejsze wspomnienia z tego okresu. W czasie gorączki w majaczeniu często widywałem przechodzące przez pokój zmory, mnóstwo ludzi zniekształconych, coraz to dziwaczniejsze postacie, raz byli nieprzyzwoicie otyli i zaraz, na moich oczach, stawali się potwornie wychudzeni, powykrzywiani. Istne koszmary, a najgorsze chwile były wtedy, gdy te potworki wchodziły na mnie, czułem ich ciężar i moje duszenie się. Po takim seansie czułem, jak mi sił ubywało i czekałem zrezygnowany na koniec.

Jeżeli gorączka spadała, gapiłem się przytomnie na malowidła ścienne, dzieło mojej mamy. Mama przy odnawianiu mieszkania nigdy nie używała modnych w tych latach regularnych deseni na ścianę. Była zwolenniczką niepowtarzających się wzorów. Na białą ścianę przygotowaną przez malarza pokojowego – często był to wujek Szklaryk – mama

przygotowywała ze starego sukna zwinięty rulon, coś w rodzaju wałka, i skrapiając go farbami wałowała białe ściany. Dawało to różne niepowtarzające się wzory, które, gdy się wpatrywałem, dawały kontury różnych fantastycznych obrazów i scen zbliżonych do rzeczywistości. Swoim wyobrażeniom pozwalałem fantazjować komponując coraz inne sytuacje. Te zmory widziane w gorączce oraz te malowidła z świadomej rzeczywistości przerażały mnie i wtedy już na jawie w mojej biednej głowie kłębiły się rozpaczliwe wołanie o pomoc. Były to godziny zgrozy przebywane w samotności.

Ostatecznie lekarz nie widząc poprawy w leczeniu, zaproponował matce wyjazd z Niżniowa. Zmiana otoczenia powinna wpłynąć dodatnio na moje samopoczucie, a to wpłynie na poprawę stanu zdrowia. Pani Lityńska nie oponowała i zgodziła się na urlop mamy na czas nieokreślony. Zdecydowano na wyjazd do Stanisławowa do cioci Stefy. W Stanisławowie, w niedługim czasie, nastąpiło całkowite uzdrowienie. Nowe twarze, ciągłe obcowanie w nowych miejscach – pozytywnie wpłynęło na moją psychikę. Śmierć Michasia oddaliła się. Wrócił apetyt, a przyjście wiosny dokonało reszty. Stałem się zdrowym, normalnym dzieckiem.

Z tego okresu, bardzo dokładnie zapamiętałem takie zdarzenie. Pewnego dnia, przy pięknej słonecznej pogodzie do cioci Stefy przyszła w odwiedziny bratanica wujka Romka, Janeczka Kwiatkowska. Bawiliśmy się na małym skrawku podwórka, otoczonym wysokimi murami kamienic i zamkniętym wysoką, stalową bramą. Do zabawy mieliśmy jedynie trochę piachu, wiaderko i łopatkę. Podwórko wyłożone było nieprzyjemną kostką brukową. W czasie zabawy Janeczka wpadła na genialny pomysł, przyniesiemy naszą zabawę na podwórko Janeczki. Tam jest zielona trawa, są drzewa, a podwórko jest dużo, dużo większe. Nawet można bawić się w chowanego. Tam dopiero będzie zabawa. Ponieważ Janeczka była ode mnie starsza, znała dobrze drogę – do cioci wiele razy przychodziła sama, bez opiekunów, ponadto od cioci było niedaleko – zezwolono w końcu na oddanie mnie pod opiekę Janeczki. Trzymając się za ręce ruszyliśmy do jej domu ruchliwymi ulicami. W pewnym momencie, w połowie drogi, oświadczyłem stanowczo, że dalej nie idę i wracam do cioci Stefy. Opiekunka nie oponowała. Nie, to nie. Samodzielnie udałem się w drogę powrotną. Pierwsze skrzyżowanie oraz duży na nim ruch uliczny przeraził mnie i straciłem orientację. Znalazłem się w nieznanym mi terenie, wśród obcych ludzi i na domiar złego nie wiedziałem, gdzie mogę zrobić siusiu. Straciłem całkowicie orientację i zacząłem płakać. Przeplatając nogami stałem się obiektem zainteresowania przechodniów. Nigdy jeszcze

nie widziałem tyle kręcących się ludzi i nie spotkało mnie nigdy tyle pytań. Jak się nazywam, gdzie mieszkam itp. Ale na tych pytaniach się kończyło. Nikt nie zamierzał poświęcić mi więcej czasu, aby zaprowadzić mnie choćby na komisariat policji. Dopiero starsi państwo przygarnęli mnie i bez żadnych pytań zabrali do swojego domu, przerywając swój spacer. Przestałem płakać dopiero wtedy, gdy mogłem swobodnie zrobić siusiu i gdy doznałem ich sympati i ciepłego stosunku do mnie. Zjedliśmy wspólny obiad, na deser dostałam czekoladę, pani domu owinęła mnie puszystym szalem i ponownie wyszliśmy na spacer. Okazało się, że to sympatyczne, starsze małżeństwo było bezdzietne i chętnie zatrzymaliby mnie w swoim domu, a gdy mnie zapytano, czy zgodziłbym się zostać u nich na stałe, bez zastanowienia zgodziłem się. Idąc pośrodku, trzymany za ręce, poczułem do tych ludzi wielką sympatię i gdy już zacząłem oswajać się z nową rodziną, zobaczyłem, jak z naprzeciwka idzie moja mama przestraszona i zapłakana. Niechętnie rozstawałem się z tymi miłymi ludźmi, którzy obdarzyli mnie, w tym krótkim czasie, tyloma czułościami, ale widok zapłakanej mamy był silniejszy. W domu dostałem kilka klapsów, a za kilka dni wróciliśmy do Niżniowa.

Po powrocie w moim życiu nastąpiły znaczne zmiany. Mama uznała, że jestem już na tyle odpowiedzialny, iż może dać mi klucz do mieszkania i zezwolić na wychodzenie z domu kiedy zechcę. Dostałem zezwolenie – z odpowiednim pouczeniem – na samodzielne spacery do pani Lityńskiej, a następnie nawet do babci. Do Lityńskiej chodziłem, ponieważ mama nadal tam pracowała. Brat tej pani był burmistrzem w Niżniowie i dom prowadzony był, jak na stosunki Niżniowskie, okazale i z wielkopańska. Często w tym domu zbierała się inteligencja tamtejsza oraz okoliczni ziemianie na dysputy, karty, plotki, czy też zwyczajnie przychodzono do burmistrza na smaczne i sute obiady. Mama moja prowadziła cały dom, zarządzając dość liczną służbą. Pamiętam, że w samej kuchni, która była olbrzymim pomieszczeniem, zatrudnione były cztery dziewczyny ukraińskie. Najbardziej w pamięci utkwił mi długi stół obity błyszczącą blachą, a nad nim na ścianie wisiała niezliczona ilość patelni różnej wielkości. Mama otrzymywała raz w tygodniu pieniądze na utrzymanie domu i musiała tak zarządzać nimi, aby starczyło na cały tydzień. Często wieczorami, w domowych pieleszach, z ołówkiem w ręku, robiła różnego rodzaju wyliczenia. Wtedy nie mogłem w żadnym wypadku jej przeszkadzać. Zaopatrzenie, czyli zakupy, przygotowanie posiłków, porządki, dobór służby oraz przestrzeganie w domu godzinnego rozkładu zajęć – należało do obowiązków mamy.

Pani Lityńska, tak ją zawsze nazywałem, była kobietą drobnej budowy, w wieku około 43 lat, o szerokich horyzontach kulturalnych i wyjątkowo skromna. Dużo się w jej domu i od niej nauczyłem, bo też i nigdy mi nie skąpiła swojej wiedzy i cierpliwości. Jedyną jej wadą, która utkwiła mi w pamięci, to porywczy charakter. Najwięcej czasu spędzała w ogrodzie, który sama uprawiała i który był dla niej oazą spokoju. Często też widziałem w jej ręku książkę. Wychowywała dwóch siostrzeńców, jeden był w moim wieku, drugi chyba dwa lata starszy. Sama była niezamężna. Ponieważ chłopcy byli wyjątkowo niesfornymi dziećmi, aby nie tracić czasu na ich pilnowanie, pani L. chętnie widziała mnie w swoim domu, bo moja mama wtedy z konieczności musiała doglądać nas wszystkich. Jednym słowem odciążała siebie od spędzania w domu przy dzieciach. Mama wyjątkowo potrafiła trzymać nas w dyscyplinie.

Lityńscy mieszkali nad Tłumaczykiem, tuż obok szkoły. Dom parterowy, usytuowany wzdłuż rzeki, około sto metrów od głównej ulicy, z pięknym, dużym ogrodem i małym zagajnikiem młodych grabczyków. Główne wejście prowadziło do obszernego holu, z którego na lewo był gabinet burmistrza, a na prawo do salonu i jadalni. W salonie urządzona była też biblioteka. Salon trochę był zagracony stolikami i fotelami obitymi zielonym pluszem. Jedna ściana wyłożona była książkami, a każde z wejść – było ich dwa – udekorowane storami w tym samym kolorze, co fotele. Jeszcze dziś czuję woń tego pokoju. Tu często palono, pani L. papierosy, a pan burmistrz fajkę. Od strony rzeki nieduże podwórko zakończone różnymi komórkami, w których przechowywano opał, narzędzia ogrodnicze oraz hodowano króliki, białe angory, a na górnej części gołębie. Od strony podwórka ciągnęła się też duża kuchnia, do której z podwórka służba wchodziła stromymi schodami. Z kuchni było też wejście do piwnicy, w której od wiosny zawsze było pełno dużych brył lodu przełożonych słomą. Tam przechowywano żywność.

W godzinach przedpołudniowych, kiedy nie było jeszcze gości, mogliśmy bawić się w całym domu z wyjątkiem gabinetu burmistrza. Zabawa zawsze była wspaniała. W pogodny dzień mama zachęcała nas do wyjścia na podwórko, z okien kuchni miała na nas baczenie.

Jeżeli obiad był w małym gronie, zapraszano nas dzieciaków do wspólnego stołu. W większości jadaliśmy w pokoju dziecinnym.

Będąc już dorosłym, po latach, długo żadne przyjęcie, czy też spożycie zwykłego posiłku nie mogło się dla mnie równać elegancją, dostojnością i smakiem urządzenia z tym, co w tym domu oglądałem, czego byłem świadkiem i co mi zostało w pamięci. Już samo sadowienie gości za stołem

było przemyślanym misterium i obrządku, i zasad towarzyskich. Etykietę przestrzegano do przesady nie narażając się na śmieszność.

Byłem dzieckiem nadzwyczaj grzecznym, trochę nieśmiałym i bardzo, aż do przesady, posłusznym. Tymi cechami zdobyłem sympatię pani Lityńskiej. Cieszyła ją również moja ciekawość tego, o czym nam, dzieciom często opowiadała lub czytała. Często swoim chłopcom robiła wyrzuty, dlaczego nie słuchają z taką uwagą, z jaką słucha Zbysio. Faktycznie, we mnie miała wiernego słuchacza, a bo też i ciekawie opowiadała, nawet o błahostkach.

W pewny słotny dzień, pamiętam że z nudów rozrabialiśmy trochę ponad normę, pani L. zaprowadziła nas do salonu, posadziła w wygodnych głębokich fotelach i czytała nam przeróżne bajki. W trakcie wyboru spośród dużej ilości bajek podałem pani jedną z książek o krasnoludkach, prosząc o bajkę o małych ludzikach. Pani L. wzięła książkę do ręki, obejrzała i stwierdziwszy, że książka nie ma żadnej ilustracji, która mogłaby ewentualnie zdradzić treść książki, z niedowierzaniem zapytała, skąd wiem, że książka ta jest książką o krasnoludkach? Onieśmielony odpowiedziałem, że tytuł tej książki wskazuje na jej treść. W ten sposób pani L. odkryła, że Zbysio już samodzielnie czyta. Faktycznie, alfabetu, a następnie czytania nauczyła mnie ciocia Jula. Jej zawdzięczam tę umiejętność. Wykazała tyle cierpliwości i stanowczości, że jeszcze dziś podziwiam jej zapał. Ciocia uważała, że sztuka czytania jest mi koniecznie potrzebna, ponieważ kiedy będę opiekować się Michasiem, czytanie bajeczek będzie moją rozrywką. I chociaż Michasia już nie było wśród żywych, ciocia nie zrezygnowała z nauczania. Mając pięć lat czytałem już na tyle dobrze, że gdy zostawałem w domu, samodzielnie czytałem bajki pisane dużym drukiem, przechodząc powoli na druk normalny. Z tego okresu pamiętam jedną z licznych bajek, o tym jak młodą dziewczynę więziono na wieży.

Kosztowało tą moją nauczycielkę dużo wysiłku i czasu, ale trud ten opłacił się. Od tego dnia, w którym pani L. dowiedziała się o mojej umiejętności czytania, sama dobierała mi lekturę, zachęcając do czytania i doskonalenia, przyjmując pieczę nad moją edukacją. Po pewnym czasie zacząłem czytać z polecenia pani L. bardziej pouczające opowiadania, a po ich przeczytaniu opowiadałem treść. Jeżeli przeczytaną książkę rozumiałem, dostawałem następną, trudniejszą.

U pani Lityńskiej często bywałem, nawet gdy mama już tam nie pracowała. Przychodziłem do tego domu bawić się z chłopcami oraz po nowe książki. Z tego okresu utkwił mi w pamięci taki incydent. Pani L. lubiła króliki i gołębie. Gołębie nie były mi dostępne, ale króliki często wypusz-

czano na podwórko i wtedy mogłem dotykając nacieszyć się do woli tymi miłymi zwierzątkami. Szczególnie małe były pocieszne. Białe puszyste kuleczki o czerwonych oczkach, skacząc po wysokiej trawie dawały tyle radości. Jeżeli chodzi o gołębie, trzymane w górnych częściach komórek, to nie pamiętam wyjątkowych ras. Kiedyś pani L. kupiła parę gołębi u niejakiego garbatego Chałaka i po pewnym czasie gołębie uciekły z powrotem do poprzedniego właściciela. Pani L. wezwała Chałaka do siebie i na podwórku spoliczkowała go. Tak zdenerwowanej pani L. nie widziałem. Nie mogła pogodzić się, jak można cudzą własność nie oddać właścicielowi. Za ten niezrozumiały czyn, popełniony w zdenerwowaniu, po wkroczeniu w 1939 roku bolszewików do Niżniowa Lityńska prześladowana była i nie wiadomo, co się z nią stało. W czasie wojny już jej nie widziałem. Z pewnością znalazła się na Syberii.

Po śmierci burmistrza – był on pierwszym nieboszczykiem, którego zapamiętałem leżącego w trumnie – chyba od wiosny 1938 roku mama przyjęła nową pracę, tym razem w szkole. Dzięki staraniom pani L. mama otrzymała funkcje intendentki, prowadząc w szkole dożywianie łącznie z akcją tranową, kolonie letnie oraz odpowiedzialna była za zabezpieczenie szkoły w przybory, jak papier, kreda itp. Pamiętam, że w swoim magazynie miała też odzież z darów, która była rozdzielana biednym dzieciom. Często przychodziłem do szkoły i z ciekawością przyglądałem się życiu szkolnemu.

Jak większość chłopców, tak i ja również, jak tylko nadarzyła się możliwość, obserwowałem parady i ćwiczących na błoniach naddniestrzańskich ułanów obozujących w Niżniowie każdego lata. Z zapartym tchem biegałem za wojskiem w czasie marszów i popisów hipicznych. Nawet z zapałem chodziłem do kościoła, kiedy wojsko w szyku brało udział w nabożeństwie. To były niezapomniane chwile moich szczenięcych lat. Zawsze chciałem być jak najbliżej konia, ułana i wszystkiego, co ich otaczało. Bez przesady były to cudowne chwile. Nieśmiało marzyłem skrycie o mundurze żołnierza polskiego, o szabli, karabinie, a szczególnie pokochałem konie. Miłość do konia będzie mi towarzyszyć przez całe życie i pozostanie już do końca moich dni.

Z tych moich marzeń zrodziły się w moim umyśle zastępcze realia. Pomyślałem, że w pewnym stopniu ułańską szablę może mi zastąpić mundurek harcerski. Przy szkole istniała dobrze zorganizowana drużyna harcerska, do której należeli chłopcy starszych klas. Biegając często po boisku szkolnym widywałem i podziwiałem ich kunszt i sprawność zespołową w wykonywaniu komend. Sztandar i mundur harcerski, który

wyróżniał harcerza, były dla mnie czymś w rodzaju świętości. Tyle słyszałem od cioci Juli o Orlętach Lwowskich, o małych chłopcach walczących w powstaniach narodowych, że zacząłem kojarzyć współczesnego harcerza z tymi bohaterami. Obserwacja tego wspaniałego i tajemniczego życia harcerza rozpaliła we mnie pragnienie zostania jednym z nich, uczestniczenia w tym misterium zbiórek, podchodów, obozów. Swoimi pragnieniami zacząłem nękać mamę, prosząc o zapisanie mnie do harcerstwa. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie trudności mogą mnie spotkać. Mama widząc, że taki zapis wiąże się z wydatkami na niezbędny ekwipunek harcerski, nie aprobowała moich kaprysów i jak tylko mogła odradzała mi harcerstwo do obrzydzenia włącznie, obiecując w zamian wiele innych wspaniałości. Największą jednak przeszkodą był mój wiek. Byłem, według mamy, jeszcze stanowczo za mały, miałem dopiero szósty rok i nie podołam obowiązkom, jakie ciążą na harcerzu. Wszelkiego rodzaju perswazje jednak nie skutkowały. Żadne obietnice nie były nęcące i nie satysfakcjonowały mnie. Chciałem być harcerzem i basta. Skończyło się na tym, że wymusiłem na matce przyrzeczenie, iż zaraz na wiosnę przyszłego roku zostanę harcerzem, a mama kupi mi cały ekwipunek. Zimę muszę przeczekać cierpliwie i składać do skarbonki każdy grosik, ponadto mam dużo jeść, urosnąć więcej i zahartować się. Zima 1937/38 roku była dla mnie jedną z dłuższych w moim życiu. Nawet piękne sanki, które otrzymałem od babci Paulinki na Mikołaja, nie bardzo mnie cieszyły. Większe zainteresowanie tej zimy wykazałem jedynie szachami. Gry w szachy zaczęła mnie uczyć p. Lityńska. Początkowo myślałem, że nigdy nie pojmę całości tylu zasad, chociaż dość szybko zapamiętałem ruchy jednostkowe. Po bardzo cierpliwej pracy mojej nauczycielki, już zimą, mogłem z nią grywać doskonaląc swoje umiejętności. Ta nowo zdobyta umiejętność w przyszłości pomoże mi w życiu realizować moje marzenia.

Przyszedł Nowy Rok. Zgodnie z galicjskim zwyczajem mali chłopcy wczesnym rankiem NR chodzili do domów krewnych i bliskich znajomych z tzw. zasiewaniem. Wierzono, że jeżeli pierwszą osobą odwiedzającą w pierwszym dniu roku będzie chłopiec, to dom ten będzie przez cały rok otoczony szczęściem i dostatkiem. Wyglądało to w ten sposób, że zasiewający posypując po mieszkaniu i domownikach ziarnem pszenicy składał gospodarzom życzenia noworoczne, najczęściej w formie wierszykowanej. Z takimi życzeniami od najmłodszych lat i ja chodziłem składając życzenia osobom, które pokrewieństwem, zażyłością lub przyjaźnią z nami były związane. W pierwszym dniu 1938 roku z rana w siarczysty mróz, zaopatrzony w pszenicę, wyruszyłem z domu, aby spełnić ten miły

obowiązek. Pamiętam ten dzień z detalami. Było bardzo zimno, mróz szczypał policzki, a ręce odmawiały posłuszeństwa, gdy sięgałem po ziarna pszenicy. Zacząłem od pani L., bo mieszkała najbliżej, i tak po kolei odwiedzałem kilka domów, a na końcu doszedłem do babci Paulinki. Gdy wszedłem do domu byłem już tak zmarznięty, że nie mogłem nawet wyraźnie mówić. Babcia widząc zmarzniętego i bezradnego wnuczka, zakrzątnęła się w kuchni szykując coś gorącego do picia. Stryjek Janek, dwudziestoletni młodzieniec, będący po Sylwestrowej zabawie, korzystając z nieobecności babci w pokoju, wlał do szklanki trochę nalewki wiśniowej, specjalności babci, i dał mi do wypicia zapewniając, że płyn ten ma zbawienne właściwości i nie jednego już rozgrzał. Po wypiciu wódka zaczęła faktycznie działać. Czułem, jak w moim ciele rozchodzi się ciepło, a w głowie zaszumiało. Długo u babci nie gościłem. Gdy wracałem do domu dostałem silnego rozstroju żołądka. Mama w ten pamiętny nowy rok miała dużo prania, a mnie należało porządnie wykąpać. Skończyło się łajaniem stryjka Janka, no i moim wstydem.

Minęła zima i częściowo wiosna. Pamiętam, że na tych terenach przedwiośnie było krótkie. Śniegi szybko topniały, śladowo zostawały jedynie w miejscach, w których zimą robiły się duże zaspy i tam, gdzie nie dochodziły promienie słoneczne. Drogi i ścieżki powysychały i można było już w pełni korzystać z boiska, na którym ponownie pojawili się harcerze.

Ponowiłem swoją prośbę przypominając mamie o jej zapewnieniu, że wiosną zostanę harcerzem. Dalsze opory mamy doprowadziły mnie do rozpaczy. Nie mogłem pojąć, jak można nie dotrzymywać obietnic. Początkowo wszyscy perswadowali mi, że nie mogę być harcerzem, bo harcerz, jak żołnierz, nie płacze. Owszem, płakać przestałem, ale ponownie wpadłem w apatię. Brak apetytu, gorączka i osłabienie zmusiło moją matkę do ustąpienia. Na naradzie rodzinnej postanowiono, że zostanę zapisany do harcerstwa, a ekwipunek zostanie zakupiony wspólnymi siłami całej rodziny. Teraz dopiero wystąpiły największe przeszkody. Opiekun drużyny harcerskiej nie wyraził zgody na przyjęcie mnie do drużyny, bo po pierwsze, w drużynie są sami starsi chłopcy, a ja jeszcze nawet do szkoły nie uczęszczam i po wtóre, jestem fizycznie za słaby i nie podołam w obowiązkach harcerza, szczególnie na obozach. Gdyby była drużyna zuchów, no to owszem zostałbym przyjęty, ale do drużyny harcerskiej – stanowczo nie. Jak za dwa, trzy lata będę dobrym uczniem, wtedy będę mógł się ubiegać o ten zaszczyt. Dopiero pani L. rozwiązała moje problemy, wstawiając się do pana Capiego – dyrektora szkoły. Capiego rozczuliła,

chociaż był z oschłości i surowości znany, moja upartość i wytrzymałość w realizowaniu swoich, jak określił, bardzo szlachetnych marzeń. Kropkę nad „i" postawił, gdy dowiedział się, że już biegle czytam i gram w szachy. Pamiętam, że kończąc rozmowę w mojej obecności na ten temat opiekuna drużyny zapytał: ilu ma pan w drużynie szachistów? Opiekun do końca nie był przekonany i nieustępliwie stał na stanowisku, że jestem jeszcze za mały. Decyzja dyrektora szkoły była jednak ostateczna i dzięki tym wysiłkom zostałem harcerzem.

Mundurek uszył mi Żyd Icek, ten, który mieszkał w małym domku, koło aresztu gminnego i studni miejskiej. Praca przy moim umundurowaniu szła mu wyjątkowo powoli. Dzień, w którym miałem wystąpić z drużyną zbliżał się, a mundurek ciągle był w stanie szczątkowym. Odwiedzałem krawca w każdym dniu i bardzo go prosiłem o pośpiech. Rankiem 26 czerwca, w niedzielę wpadłem do Icka i gdy zobaczyłem, że mój wymarzony mundurek jeszcze nie ukończony – zdrętwiałem. Icek widząc, jak mocno przeżywam – wziął się do solidnej pracy angażując jednocześnie żonę do wykończenia i prasowania. Siedziałem w kącie i drżałem, czy też zdążą. Icek tak się spieszył, że aż mu ciągle brudna jarmułka z głowy spadała. Już przed dziewiątą biegiem wracałem do domu z gotowym mundurkiem. Pozostałe części garderoby już od kilku dni czekały na mnie w domu. Kilka dni chodziliśmy z mamą po sklepach żydowskich, aż wszystko, co potrzebne było harcerzowi, zostało zakupione. Wracałem ze świeżo uszytym mundurkiem do domu i czułem, jak mi serce bije z trwogi, że mogę nie zdążyć na zbiórkę.

Kilka dni wystarczyło na naukę musztry i przed Świętem Morza nauczono mnie wszystkiego, co było konieczne do zachowania się w szeregu na zbiórce i w marszu. Reagowałem prawidłowo na wszystkie komendy drużynowego, a był nim dwudziestoletni syn dyrektora poczty, z którym rodzice mieli przed harcerstwem dużo problemów wychowawczych i dopiero „harcerzowanie" zbawiennie wpłynęło na jego zachowanie, nawet rzucił palenie. Wujek Szklaryk opowiadał, jak w wieku 12 lat ciągle uciekał z domu i łapano go na wagarach w Stanisławowie, Lwowie lub u dziadków.

Mój zapał habilitował mnie w oczach drużynowego do tego stopnia, że pozwolił mi uczestniczyć w uroczystościach Święta Morza.

Ile radości, dumy i szczęścia było w tym dniu. Był to chyba jedyny taki dzień w moim życiu, kiedy spłynęło na mnie tyle zaszczytów. Może dlatego tak dokładnie pamiętam te chwile.

Po sformowaniu kolumny czwórkowej, na czele której stanął poczet sztandarowy, ruszyliśmy nad Dniestr, miejsce przewidywanych uroczy-

stości. Dopełnieniem mojej dumy harcerskiej był przypadek spotkania rodzinnego. Na Dni Morza do Niżniowa przyjechała ciocia Stefa ze Stanisławowa razem z córką Martusią i były świadkami naszego przemarszu. Oczywiście nie omieszkałem dać im znać, że w tym wspaniałym szyku maszeruje też ich krewniak. Nie mogłem pozostać niezauważonym.

Po przebyciu trasy 3 km znaleźliśmy się w doborowym towarzystwie. Ustawieni zostaliśmy wzdłuż rzeki na lewym skrzydle kolumny wojskowej, co stawiało nas wysoko w hierarchii. Msza odprawiona została przez kapelana wojskowego przed ołtarzem wystawionym na pontonach na samym środku Dniestru. Budowla wydawała mi się imponująca. Ołtarz ustawiony na wysokim postumencie, udekorowany zielenią, kwiatami oraz sztandarami narodowymi i kościelnymi wyglądał, jakby unosił się w górę błękitnego nieba. To zachwycało. Po mszy nastąpiły przemówienia świeckie, a w dalszej kolejności zawody i pokazy hippiczne. Żar w tym dniu był tak dokuczliwy, że chłodu wody nie czuło się stojąc tuż nad rzeką. Gorąc i silny ból nóg, dzięki nowym butom, tak mi dokuczył i zmęczył, że jedynie moja silna wola i wstyd przed druhami i rodziną utrzymywały mnie w szeregu. Obok dumy i zmęczenia w tym dniu doznałem też zawodu. Po skończonej uroczystości i po zawodach hippicznych, kiedy część uczestników szukała cienia i chłodu w czystej dniestrzańskiej wodzie, drużyna nasza musiała jeszcze spełnić obowiązek odprowadzenia sztandaru do szkoły, gdzie była nasza siedziba. Wydawało mi się, że nie podołam, że będzie to ponad moje siły, że tego zmęczenia i bólu nóg oraz głowy nie wytrzymam. A jednak wytrzymałem. Ten wysiłek dał mnie tyle satysfakcji i hartu, że wszystko inne było nieważne. Dzień ten skończył się nadmiarem zmęczenia fizycznego, olbrzymią ilością wrażeń i potężną burzą, jaka przewaliła się nad Niżniowem w godzinach wieczornych. Burza i ulewa jakby upamiętniły symbolicznie mój chrzest harcerski. Od tego dnia harcerstwo stanowiło w moim chłopięcym życiu rzecz najważniejszą. Ciągle doskonaliłem przed lustrem musztrę i wkuwałem prawa i obowiązki harcerza. Od tego czasu wiem, że jeśli nas coś bardzo pasjonuje, to potrafimy pokonać takie przeszkody, które byłyby nie do pokonania w innych okolicznościach, bez tak mocnego postanowienia podyktowanego pragnieniem. Chcieć to móc, jak uczyła mnie ciocia Jula.

W lipcu 1938 roku przeżyłem w szeregach harcerskich drugą wspaniałą przygodę. Byłem na pierwszym w moim życiu obozie harcerskim. Obóz urządziliśmy na Łysej Górze. Na płaskim wierzchołku tej góry były jeszcze w dobrym stanie okopy ziemne i schrony z czasów pierwszej wojny światowej. Wszystkie umocnienia zbudowane były z białego

kamienia i grubych bali drewnianych, a schrony przykryte grubą warstwą ziemi. Wszystko razem łączyły głębokie rowy. Największy schron wybrany został na obóz. Tu urządzono miejsca do spania, kuchnię i sztab drużyny. Wszystkie zajęcia bez względu na pogodę prowadzone były na wolnym powietrzu. Było to miejsce wymarzone na obóz. Cała dolina Dniestru i długi trakt, który ciągnął się przez miasteczko – leżały u naszych stóp. Widok bajeczny. Z lewej strony w dole błyszczał Dniestr, wijący się w słońcu wśród urwisk i nawisów skalnych, naprzeciw Niżniów, przecięty drugą rzeką zwaną Tłumaczykiem, a za plecami obozu strome zalesione zbocza spadające wprost do jeziora. Olbrzymie rozłożyste buki oraz ptasia muzyka dopełniały krajobrazu.

Czas na obozie wypełniony był rozlicznymi obowiązkami, od obierania ziemiaków i prac porządkowych, do różnego rodzaju ćwiczeń i warty nocnej włącznie. Wszystkie te czynności miały odpowiednią oprawę i wyglądało, że ważniejszych nauk i zajęć od naszych – nie ma. Najatrakcyjniejsze były podchody i wieczornice przy ognisku. Moje wiersze, których wyuczyłem się na inne okazje, były teraz bardzo w cenie. Występowałem prawie w każdej wieczornicy. Pamiętam też swoją pierwszą nocną wartę. Ponieważ byłem w drużynie najmniejszym i najmłodszym harcerzem, na wartę wystawiono mnie zawsze w towarzystwie druha starszego wiekiem i bogatszego w doświadczenia. Stojąc na tych czatach nocą miałem takiego pietra, że każdy podmuch wiatru, szelest liścia powodował silniejsze bicie serca. Każdy przesuwający się cień chmur napawał mnie lękiem. Bałem się wszystkiego, a najbardziej ciemności. Zwalczenie strachu, tak jak i tremy, nie jest ani proste ani łatwe, tego uczyć się będziemy całe życie, od najmłodszych lat i bez większych rezultatów. Pod koniec obozu złożyłem przyrzeczenie harcerskie, co dawało mi uprawnienia prawdziwego harcerza.

Do domu wróciłem niedomyty, niedoprany, cały okopcony i śmierdzący dymem, ale dumny i szczęśliwy. Był to mój pierwszy samodzielny pobyt poza domem, bez czujnej i troskliwej opieki mamy, cioci czy babci. Miałem o czym opowiadać. Szczególnie ciocia Jula umiała mnie słuchać i pobudzać moją wyobraźnię. Mama zauważyła, że na obozie poprawiłem się na ciele, co ją cieszyło, i dziwiło.

Drużyna harcerska była dumą szkoły. Będąc już uczniem, moja wychowawczyni pani Lewicka często stawiając mnie za wzór dla całej klasy, podkreślała moją przynależność do harcerstwa. Tam wpajano nam harcerzom patriotyzm, kształtowano polski etos narodowy i uczono odróżniać dobro od zła, udzielania pomocy słabszymi itp.

Uczestniczenie w życiu harcerskim i noszenie munduru dawało mi tyle radości, dumy i satysfakcji, że do dziś wspominam te chwile z wielką przyjemnością. Przynależność do ZHP pozbawiło mnie całkowicie miana „maminsynka", które tak mocno do mnie przylgnęło. Ciocia wprawdzie broniła mnie przed tym mianem mówiąc często, który z maminsynków potrafi tak troskliwie opiekować się niemowlakiem, ale do czasów harcerskich ten argument do nikogo nie trafiał. Dopiero mundurek harcerski usunął w rodzinie przypisywanie mnie maminsynka.

Zaraz po obozie wpadłem na genialny pomysł. Latem 1938 roku remontowano szkołę i na podwórku szkolnym było mnóstwo przeróżnych, nikomu już niepotrzebnych materiałów budowlanych. Pomyślałem, że można by z tych odpadów budowlanych zbudować łódź. Majster prowadzący budowę zezwolił wziąć trochę desek, smołę i sam wsypał do torby gwoździe zachęcając do pracy. Współwykonawcą pomysłu był syn p. Zięby. Na podwórku Ziębów, tuż nad Tłumaczykiem, rozpoczęliśmy budowę łodzi, którą zamierzaliśmy popływać hen, aż do morza. Mozolnie pracowaliśmy kilka dni. Ojciec mojego kolegi, pan Zięba (zginął w czasie okupacji w Oświęcimiu), nie wtrącał się do naszej pracy, ale widziałem, że chociaż nas zachęcał do realizacji tego wspaniałego pomysłu, miał wątpliwości, czy aby daleko dopłyniemy tą łodzią. Zbudowana łódź prezentowała się okazale, mogła pomieścić w swoim kadłubie nawet cztery osoby, ale na brzegu, przed wodowaniem. Na wodzie jej wyporność już nie była tak okazała. Gdy weszliśmy i zdążyliśmy usiąść, łódź powoli zaczęła się zanurzać, aż całkowicie osiadła na dnie rzeki. Na tym zakończyła się nasza podróż do morza Czarnego. Ja przeżyłem rozczarowanie, a dorośli mieli więcej uciechy z naszego wysiłku. Pan Zięba pocieszając nas dał nam cenną radę: aby coś zbudować, należy wpierw zdobyć o tym wiedzę od podstaw.

Dalszą część wakacji spędziłem w Pużnikach, u babci. W sierpniową niedzielę, wczesnym rankiem, razem z mamą wyszliśmy z domu kierując się w stronę Dniestru. Do Pużnik zwykle dochodziliśmy pieszo. Zaścianek ten nie posiadał łatwego dostępu i żadnej planowej komunikacji z nim nie było. Chociaż do Niżniowa nie było tak daleko, to jednak w Pużnikach świat zabity był deskami. Na wynajęcie dorożki mama nie bardzo mogła sobie pozwolić, a i dorożkarz nie chciał ryzykować na taki wypad ze względu na polne i leśne drogi. Ranek w tym dniu był pogodny, ciepły i bezwietrzny. Zapowiada się upalny dzień. Mijając budynek posterunku policji, uwagę moją zaprzątnął niecodzienny obrazek, dzięki któremu, tak myślę, zapamiętałem dzień ten w szczegółach. Na pierwszym piętrze

tego budynku, oparty łokciami o parapet otwartego okna, wychyla się posterunkowy, zapatrzony w szerokie korony drzew kasztanowych, jakby z uwagą wysłuchiwał porannego koncertu ptasiego rozbrzmiewającego w tych rozłożystych, przydrożnych drzewach. Na ulicy, jeszcze o tej porze całkiem pustej, stoi samotnie ukraiński chłop, ubrany w zgrzebne portki i takąż długą koszulę podwiązaną sznurkiem, a w ręce trzyma sękatą laskę. Był boso. Jego głowa zadarta do góry w stronę posterunkowego była cała we krwi. Chłop, jak z obrazu Michałowskiego. Długie włosy, oblepione krwią i kurzem, były w dużym nieładzie, a twarz posiniaczona i pokrwawiona oraz cała opuchnięta. Wyglądał zastraszająco. Na chwilę zatrzymaliśmy się przy nim. Słychać było ptasi jazgot i przerywane skargi chłopa. Skarżył się przed policjantem, że brat go pobił i on pobity przyszedł, aż zza Dniestru, prosić wielmożną władzę o interwencję i pomoc. Mówił po ukraińsku, wtrącając często słowa polskie. Z jego wypowiedzi wnioskować można było, że wierzy w sprawiedliwość wielmożnej władzy, i że dojdzie do interwencji, i aresztowania napastnika. Posterunkowy – odniosłem wrażenie, że od niechcenia – tłumaczył chłopu, że jeżeli brat go nie zabił, awantura już skończona – policja w takich okolicznościach nie może interweniować, nie ma takiej potrzeby, a ponadto on mieszka w innym województwie i policja tutejsza nie ma uprawnień na tamtym terenie. On, poszkodowany powinien teraz iść do lekarza, a następnie sprawę oddać do sądu, gdzie zapadnie sprawiedliwy wyrok. Chłop jednak nie ustępował i cały czas domagał się natychmiastowej interwencji. Nie czekaliśmy końca dyskusji i nie wiem, jak długo jeszcze trwała. Idąc cały czas rozmyślałem nad tym zdarzeniem. Widok pobitego wzruszył mnie bardzo. Matce ciągle zadawałem pytania. Dlaczego policjant nie udzielił pomocy człowiekowi, który go o nią prosił i której potrzebował. Nurtowało mnie to, aż do Pużnik. Przez całą drogę mamę męczyłem pytaniami: dlaczego i dlaczego. Pytaniom końca nie było. Byłem poruszony i żal mi było tego chłopa, i chociaż mama usiłowała zbagatelizować ten incydent, tłumacząc mi, że rany nie były tak groźne, a po opatrzeniu przez lekarza szybko się zagoją i nawet śladu nie będzie, moich jednak wątpliwości nie rozwiała. Cały czas przed oczami miałem zakrwawionego chłopa oraz z góry patrzącego policjanta bez cienia współczucia. Było to moje pierwsze zetknięcie się z tak jaskrawą niesprawiedliwością i obojętnością ludzką wobec pokrzywdzonego.

W Pużnikach przez kilka pierwszych dni przed rodziną i kolegami paradowałem w mundurku harcerskim, zdobywając uznanie, a wśród chłopców podziw i zazdrość. U babci Poterałowiczowej dobrze się czu-

łem. Lubiłem rano wstać i razem z chłopakami chodziłem na łęgi, na których wypasano krowy i konie. Z pastwiska zwykle wracałem konno, na oklep. Byłem szczęśliwy, bo dla samych koni gotów byłem przyjeżdżać do Płużnik o każdej porze roku. Wtedy pierwszy raz dosiadałem konia, chociaż początkowo piekielnego miałem pietra.

Do Niżniowa wróciłem kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zaraz po powrocie rozpoczęliśmy z mamą wędrówkę po sklepach na zakupy niezbędnych przedmiotów w szkole. Pamiętam, że pierwszym zakupionym przedmiotem był tornister. Pojemny, sztywny, na szerokich szelkach, koloru zgniłej zieleni – wygodny, ale brzydki. Kosztował jeden złoty dziesięć groszy. Najbardziej ucieszył mnie piórnik. Góralskimi rzeźbami ozdobiony, o trzech piętrach, mieścił wszystkie przybory do pisania, mazania, malowania, a nawet wycinania. Wszystko miało w nim swoje przeznaczenie. Takich już teraz nie ma. W prezencie od cioci Stefy dostałem „Pelikana" – wieczne pióro, ze złotą stalówką z urządzeniem tłokowym, w kolorze czarno-zielonym. Sprzedałem go na Syberii.

Nadszedł wreszcie dzień rozpoczęcia roku szkolnego. Już z rana plac przed szkołą zaczął się wypełniać starszą i młodszą dziatwą. Ranek był dość chłodny i mglisty. Każde z dzieci otrzymało biało-czerwone chorągiewki zlepione z bibuły, które na wietrze tak szeleściły, że u pierwszaków potęgowały zdenerwowanie. Z placu szkolnego parami wyruszyliśmy w zależności od wyznania do swoich świątyń. Polacy do kościoła, Ukraińcy do górnej Cerkwi, a Żydzi do bóżnicy. Po powrocie z nabożeństwa ponownie zebrano nas na placu i po krótkim otwarciu roku szkolnego przez dyrektora poszliśmy do swoich klas. Byłem już obeznany ze szkołą i z jej zwyczajami, bywałem w jej murach często odwiedzając mamę, która tu pracowała.

Szkoła była ładnym, obszernym, dwupiętrowym budynkiem. Zbudowano ją po pierwszej wojnie na obszernym placu po zburzonych austriackich koszarach. Szkoła usytuowana była poniżej poziomu głównej ulicy, z której szerokimi schodami schodzono do parteru, a następnie również szerokimi schodami przez czteroskrzydłowe drzwi wchodziło się na pierwsze piętro. Do pomieszczeń parterowych wchodzono wejściami bocznymi. Korytarze wyłożone mozaikową posadzką były szerokie i widne, natomiast klasy, czyli izby szkolne miały zwykłą podłogę zapuszczoną ropą. W każdej klasie dwa rzędy ławek po sześciu uczniów w każdej, stół i krzesło na podwyższeniu, a na ścianie bocznej wieszaki na wierzchnie odkrycia uczniów. Sale były obszerne, o dużych oknach i szerokich drzwiach. W holu, na pierwszym piętrze, na ścianie wisiał średnich roz-

miarów dzwonek o wyjątkowo przyjemnych tonach, którym ogłaszano początek i koniec każdej lekcji. Lekcje rozpoczynaliśmy odśpiewaniem „Kiedy ranne wstają zorze".

Znalazłem się w klasie I b, której wychowawczynią była pani Symynowa, znana jako wyjątkowo nerwowa i bezwzględna nauczycielka. Swoich wychowanków za byle przewinienie karciła biciem i krzykiem. Jej donośny krzyk często roznosił się po szkole. Mama moja natychmiast zareagowała, prosząc dyrektora o przeniesienie mnie do I a, którą opiekowała się pani Lewicka, słynąca z anielskiej cierpliwości i wręcz fanatycznej miłości do dzieci. Nauczycielka ta zasługuje na ciepłe wspomnienie. Przystojna, bardzo kobieca, o żywych i łagodnych oczach, ujmującym uśmiechu oraz łagodnym i ciepłym głosie. Umiała zjednywać sobie młode serca. Do dzieci nigdy nie podnosiła głosu, a swoją dobrocią i łagodnością przekraczała chyba wszelkie granice i zasady przyjęte w ówczesnej szkole polskiej, w której bicie ucznia było codziennością. Pani Lewicka była Polką, zaś mąż jej, przed wojną prawie Polak, a w czasie wojny ukraiński intelektualista i nacjonalistyczny działacz. Mieli troje dzieci, dwóch synów i młodszą córeczkę. Chłopcy byli w moim wieku. Pani Maria uczyła nas wszystkiego z wyjątkiem religii. Jej lekcje zawsze przepojone były dobrocią i polskim patriotyzmem. Dzieci, bez względu na narodowość i status społeczny, zawsze traktowała jednakowo, pilnych chwaliła, a słabszym pomagała. Młodzież ją bardzo lubiła. Najprzyjemniejszą lekcją był śpiew. Sama grała na skrzypcach i pięknie śpiewała. Uczyła nas piosenek polskich i ukraińskich, patriotycznych i ludowych, na zakończenie lekcji śpiewu zawsze poświęcała kilka minut solowej grze na skrzypcach. Potrafiła nas zainteresować swoją grą do tego stopnia, że nikt nawet się nie poruszał. Klasa nasza liczyła ponad trzydzieści osób płci obojga, a najliczniejszą grupą byli Ukraińcy. Wśród nas byli też uczniowie pochodzenia niemieckiego, czeskiego, węgierskiego. Moja np. koleżanka była ładną dziewczyną o nazwisku Stechlik, której dziadkowie byli Czechami od wielu lat zamieszkałymi na tych terenach. Ponieważ i nieliczne dzieci niemieckie i dzieci czeskie były wyznania rzymsko-katolickiego, na religię chodziliśmy razem. Ukraińskie dzieci miały religię osobno, z nimi prowadził lekcje religii ksiądz unicki w języku ukraińskim.

W sumie dzieci polskie miał lepszy start, ale były też nierzadkie przypadki, że dzieci ukraińskie uzyskiwały bardzo dobre wyniki i po ukończeniu naszej szkoły wyjeżdżały na dalsze nauki do Stanisławowa i Lwowa. Była to młodzież ambitnych rodziców, którzy nie szczędzili pieniędzy na kształcenie swoich dzieci i poprawienie im statusu społecznego.

Rok szkolny w którym ukończyłem pierwszą klasę wspominam najcieplej ze wszystkich moich skąpych lat szkolnych. Na lekcje uczęszczałem z największą przyjemnością. Nauka nie sprawiała mnie żadnych trudności. Czytałem już płynnie, w pisaniu robiłem postępy, swoją nauczycielkę polubiłem, w życiu harcerskim czynnie uczestniczyłem – słowem, miałem powody do zadowolenia. Bezspornie, byłem najlepszym uczniem klas pierwszych, a moja wychowawczyni twierdziła, że gdyby zasady pozwalały – mógłbym dobrze sobie radzić w klasie starszej. Nawet dyrektor, wyjątkowo surowy i skąpy w pochwałach, będąc na hospitacjach uważał za stosowne pochwalić mnie przed klasą. Te wszystkie pochwały bardzo mnie mobilizowały. W przyszłości niestety bardzo rzadko w szkole zasługiwałem na wyróżnienie. Wyniki w nauce osiągałem bardzo mierne. Po latach, gdy się zastanawiam, co mnie tak mobilizowało do nauki w pierwszej klasie – przyczynę zawsze upatruję w mojej tamtego czasu ambicji, którą ciągle pobudzano w domu i w harcerstwie, oraz w swojej nauczycielce pani Marii Lewickiej, która w mojej świadomości pozostała nie tylko nauczycielką, ale i kobietą, do której instynktownie, podświadomie mogłem też odczuwać dziecięcą miłość. Pamiętam, że w roku 1943, kiedy pani Lewicka przeżywała tragedię po stracie córeczki, będąc na pogrzebie odczuwałem jej rozpacz bardzo dotkliwie i boleśnie. Współczułem jej serdecznie. Po wyzwoleniu ponoć męża jej aresztowano, za działalność w czasie okupacji niemieckiej w szeregach nacjonalistów ukraińskich, a ona wraz z synami wyjechała do Polski. Ile jest w tym prawdy – nie wiem.

Moi wychowawcy i w szkole, i harcerstwie, korzystając z moich możliwości samodzielnego uczenia się tekstów oraz z mojego „dorobku scenicznego", do maksimum eksploatowali mnie angażując do różnego rodzaju recytacji na akademiach lub w teatrzykach. Już w maju 1936 roku na akademi z okazji rocznicy 3-Maja zadebiutowałem w Domu Polskim w recytacji wiersza Władysława Bełzy – „Kto ty jesteś". Wiersz ten, jak i jego autor, dziś mało znany, w Galicji w owym czasie był bardzo popularny, jako że sam był Galicjaninem i w Galicji działał. Wiersz „Kto ty jesteś" to utwór dzieciństwa także moich rodziców. Mnie tego wiersza nauczyła ciocia Jula i też dzięki niej, umieszczono mnie w programie akademi. Ubrany byłem w granatowy marynarski mundurek z dużym kołnierzem w białe paski, u boku szabelka, a na głowie o długich blond włosach – czako ułańskie. Gdy na scenę wszedł taki mały szkrab – nie miałem jeszcze pięciu lat – publiczność przywitała mnie licznymi oklaskami. W czasie tej owacji, nie czekając, aż oklaski umilkną, wyrecytowałem

wiersz i zgodnie z pouczeniem ukłoniłem się, aż ciężkie czako przegięło mnie do przodu i wróciłem za kulisy. Pani reżyser tej akademii nakazała mi jeszcze raz wyjść na scenę i ponownie wygłosić wiersz, ale dopiero wtedy, jak się wszyscy uciszą. Tak też postąpiłem. Ponownie wyszedłem na scenę, ukłoniłem się i stanowczym głosem poprosiłem o ciszę, bo po raz trzeci wierszyka już nie powiem, a więc niech słuchają. Tedy dopiero sala ryknęła śmiechem i długo nie mogli się uspokoić. Stojąc na scenie przed salą pełną ludzi dziwiłem się, co ich mogło tak rozbawić, ale tym razem czekałem, aż się wszyscy uciszą i wtedy wyrecytowałem:

Kto ty jesteś?
Polak mały.
Jaki znak twój?
Orzeł biały.
Gdzie ty mieszkasz?
Między swemi.
W jakim kraju?
W polskiej ziemi.
Czym twa ziemia?
Mą ojczyzną.
Czym zdobyta?
Krwią i blizną.
Czy ją kochasz?
Kocham szczerze.
A w co wierzysz?
W Polskę wierzę.

Od tego momentu podobnych recytacji miałem często. Brałem udział w jasełkach, na akademiach w święta państwowe, w uroczystościach szkolnych, przy ogniskach harcerskich. Ciągle uczyłem się nowych wierszyków i ról w teatrzykach dziecięcych i młodzieżowych. Ja ćwiczyłem pamięć, a rodzina miała i spokój i satysfakcję.

Przy okazji tych aktorskich popisów spotkała mnie pierwsza w życiu niesprawiedliwość, która, jak każda, bardzo mnie dotknęła, nad którą długo się zastanawiałem i która tkwi w mojej świadomości do dziś. W szkole, na zakończenie w 1937 roku półkolonii letnich, zorganizowano dla rodziców i zaproszonych gości występy dziecięce. Miałem wyrecytować jakiś wiersz, a w innych punktach programu wystąpić w scenach zbiorowych w rolach żółtobrzuszka i króla. Ubiór żółtobrzuszka mama przygotowała we własnym zakresie, zaś korona królewska miała być wypożyczona. W dniu

przedstawienia nierozważna wychowawczyni wysłała mnie do państwa Dancewiczów, aż opodal Domu Polskiego, gdzie miano wypożyczyć mi koronę. Udałem się raz i drugi nie zastając nikogo w domu. Drzwi były zamknięte, a na moje pukanie nikt nie zareagował. Zmartwiony wróciłem do szkoły. Po powrocie poinformowałem wychowawczynią, że pani Dancewicz nie ma w domu i korony nie przyniosłem. Ponieważ było to tuż przed uroczystościami, wychowawczyni tak bardzo się tym zdenerwowała, że uderzyła mnie ręką w twarz, aż poczułem mdłości. Zamroczony i wystraszony stałem tak bezradny, mając poczucie krzywdy, jaką mi wyrządzono. Nie widziałem tu swojej winy. Odczułem to jako niesprawiedliwą karę za niepopełnione grzechy. I pomimo że w domu o tym incydencie nie powiedziałem, żal miałem do mamy, że nie zareagowała, że mnie nie obroniła. Przeżywałem to zdarzenie bardzo długo. Pierwszy raz wychodząc na scenę poczułem suchość w gardle, a recytując wiersz ciągle się myliłem. Podobny wypadek miałem przy innym zdarzeniu. Pewnego dnia, idąc do babci Paulinki, spotkałem obok willi Rabaszczuków, w której od strony ogrodu mieszkała pewna zubożała hrabina (nazwiska której nie pamiętam), grupkę chłopców Ukraińców. Wokół tego ogrodu rosły duże, stare drzewa kasztanowe. Przy jednym z tych drzew chłopcy ci rzucając kamieniami strącali dojrzałe kasztany, zapewne potrzebne im do szkoły. Bałem się tych chłopców okrutnie, ale nie mogłem wybrać innej drogi, bo takiej nie było. Z prawej strony był głęboki wykop, odprowadzający wody spływające z gór do Tłumaczyka, a po stronie lewej wysokie ogrodzenie przy ogrodzie. Chcąc iść dalej musiałem chwilowo zmieszać się z całą grupą. W tym momencie do ogrodu weszła owa hrabina, grożąc chłopcom, że każe ogrodnikowi skóry im wygarbować, jeżeli nie przestaną wrzucać do ogrodu kamieni. Na widok wygrażającej hrabiny wszyscy winni uciekli, a ja nie poczuwając się do winy, ukłoniłem się znajomej pani, wypowiadając galicyjskie „całuję rączki", i poszedłem swoją drogą, czując radość, że chłopcy uciekli i nie będą mi już zagrażać. Niedługo za mną do babci przyszła moja mama, przed którą hrabina zdążyła poskarżyć, że Zbysio razem z innymi łobuzami rzucał do jej ogrodu kamienie i zniszczył cenne kwiaty. Mama wpadła w furię i sprawiła mi tęgie lanie. Zanosząc się w płaczu, stałem obok babci i słuchałem relacji, za co byłem bity. Mama uspokoiwszy się opowiadała babci, co się wydarzyło, za co oberwałem. Gdy mama opowiadała babci wydarzenia, Stryjek Janek, który pracował na poczcie mieszczącej się w tym samym budynku, w którym mieszkała hrabina, przyszedł na obiad. Widząc mnie płaczącego zapytał, o co była awantura. Po wtajemniczeniu go Stryjek opowiedział, co widział przez

okno pokoju, w którym pracował. Wyjaśnił, że ja wcale nie jestem winien, kamieniami nie rzucałem, a jedynie przypadek sprawił, że znalazłem się wśród tych chłopców. Babcia, słysząc te wyjaśnienia nie wytrzymała. Z hrabiną utrzymywała dobre towarzyskie kontakty od wielu lat i nie mogła jej darować tak brzydkiego posądzenia jej wnuczka, tym bardziej, że kilka razy odwiedzała ją ze mną i hrabina wiedziała, że mnie na takie psoty nie stać. Mocno zdenerwowana natychmiast udała się do hrabiny i ponoć urządziła jej taką awanturę, że stosunki między tymi paniami zerwane zostały na zawsze. Babcia, kończąc rozmowę oświadczyła swojej koleżance, że niesłuszne posądzenie jej wnuka o brak dobrego wychowania i nazwanie go łobuzem to wystarczająco dużo na zerwanie dobrych, koleżeńskich stosunków i wyszła. Po incydencie tym pozostał ból i pamięć przykrego i niesprawiedliwego mnie posądzenia. Pytanie, jak dowieść w takich okolicznościach swojej niewinności długo mnie męczyło. Te incydenty z mojego dzieciństwa w przyszłych, już dorosły latach zadecydują, że nigdy nie wydawałem świadectwa o kimś na podstawie posądzeń. Lubię jasne sytuacje. Nie cierpię sądów kapturowych nawet wtedy, gdybym miał być sędzią. Pracując w Oddziale Kadr nigdy nie wydaję opinii o oficerze, jeżeli nie jestem o niej przekonany. A praktyka wykazuje, że w każdej grupie społecznej nawet przyjaciel wobec przyjaciela nie zawsze jest lojalny. Posądzić kogoś o niegodne czyny łatwo, ale wymazanie tego to czasami zadanie niewykonalne.

Do tej samej klasy ze mną uczęszczał syn naszego gospodarza, Mytro Iwańczyk. Jaki był z niego gagatek, trudno opisać. W klasie ciągle kogoś pobił. Pamiętam, że Mytro książki i zeszyty nosił w torbie uszytej ze zgrzebnego płótna, którą nosił na sznurku przewieszoną przez ramię. Gdy wychodziliśmy ze szkoły, Mytro zdejmował z ramienia ową torbę i z zamachem walił na oślep wszystkich, kto się nawinął. Nawet starsi chłopcy mieli przed nim pietra. Byłem przez niego ciągle atakowany i bity. Bałem się go, jak diabła, bo stale byłem poszkodowany. W czasie lekcji natomiast nic do niego nie docierało. Sprawiał wrażenie niedorozwiniętego, chociaż takim wcale nie był. Ojciec jego, Wasyl, chciał i nawet dokonał takich wszelkich możliwych mu starań, aby Mytro mógł się uczyć, nawet w domu nie obciążano go żadnymi obowiązkami. Ojciec twierdził, że jeżeli będzie miał dobre wyniki w nauce, to w przyszłości gotów syna kształcić za wszelką cenę. Miał wobec syna ambitne plany. Zawsze po powrocie ze szkoły Mytro stawał przed obliczem ojca, który go rytualnie pytał, co było na lekcjach, czegoś się nauczył w tym dniu, no i oczywiście co zadane było do odrobienia w domu. Mytro stojąc z opuszczoną głową

miał jedną odpowiedź, niezmienną od początku roku szkolnego: „Pytajcie się Zbyszka". U starego natychmiast zachodziła reakcja – brał do ręki wiszący na ścianie gruby rzemień i tak bił syna, że często z omdlenia należało dzieciaka cucić. Matce mojej żal było maltretowanego dziecka i na czas odrabiania lekcji brała go do nas, ratując od bicia. Liczyła też, że wspólna nauka da nam obu lepsze efekty i zwiąże nas przyjaźnią. Przy takiej wspólnej pracy niestety zawsze byłem pokrzywdzony, ponieważ Mytro, gdy tylko lekcje zostały odrobione, z wdzięczności stale mnie bił, a ja nie potrafiłem się bronić. Biernie przyjmowałem jego ciosy, a bił gdzie popadło. Pewnego popołudnia, w czasie takiej wspólnej nauki Mytro, jak zwykle, kopnął mnie w nogę. Wprawdzie był boso, ale trafił mnie w piszczel i silny ból wywołał we mnie taką wściekłość, że zaatakowałem go z całych swoich sił i pokonując strach, nie mając takiej siły ani sprytu na normalną bójkę, ugryzłam go w ramię. Z rany obficie polała się krew. Widok krwi Mytra tak mocno przestraszył, że uciekając do swojego mieszkania pozostawił torbę z zeszytami. Ugryzienie było bolesne i niebezpieczne, ale dzięki zabiegom leczniczym mojej mamy rana zagoiła się szczęśliwie, a jego ojciec w ogóle nie zareagował na mój tak brutalny postępek. Wiedział, że moja wina była znikoma. Na ramieniu Mytra pozostała jedynie blizna, a ja natomiast od tego dnia miałem święty spokój. Mytro już na mnie więcej ręki nie podniósł. Mój odruch w samoobronie dał nadspodziewanie dobre rezultaty i już nie tylko nic mnie nie groziło ze strony pogryzionego, ale inni przestraszyli się moich zębów, bo wieść o tym, że gryzę, obiegła całą szkołę. Doszedłem do wniosku, że ciocia Jula ma rację twierdząc, że zdecydowane i odważne przeciwstawienie się napastnikowi może odstraszyć lub pokonać nawet silniejszego przeciwnika. Już sam strach, pouczała mnie, obniża twoje możliwości obronne, paraliżuje twoje siły fizyczne. Wypadek z Mytrem potwierdził w pełni zasadność tych pouczeń.

Nadszedł koniec roku szkolnego. Na uroczystość rozdania świadectw przyszedłem w mundurku harcerskim. Zakończenie całorocznej pracy było bardzo uroczyste, z licznymi akcentami patriotycznymi – było już po majowym przemówieniu w Sejmie ministra Becka. Rozdanie świadectw nastąpiło w klasach. Pani Lewicka jedynie wygłosiła pod moim adresem wiele pochwał, ale świadectwa w klasie nie otrzymałem. Swoje świadectwo, jako prymus pierwszych klas, otrzymałem z rąk dyrektora pana Capiego, na uroczystości ogólnoszkolnej, na którą przybyli zaproszeni goście oraz rodzice. Tam też odbyły się występy chóru, zespołu tanecznego oraz popisy zręcznościowe harcerzy. Pierwszy raz nie zostałem angażowany

w tych szkolnych podpisach. Przy okazji wręczenia świadectw wyróżniającym się uczniom dyrektor wręczył nam też książki z dedykacjami. Ja otrzymałem w nagrodę „Pana Tadeusza", przy czym dyrektor zaznaczył, że wręcza mi ten poemat ponieważ wie, że czytam już biegle. Byłem dumny, ale niestety, wyjeżdżając do Stanisławowa w następnym roku książkę zostawiłem Niżniowie i nigdy tego egzemplarza nie przeczytałem. Zawieruszył się, gdy byłem na Syberii. Mytro niestety promocji do klasy następnej nie otrzymał.

W kilka dni potem wyjechaliśmy na obóz. Tym razem obóz rozbiliśmy pod namiotami nad Dniestrem, kilka kilometrów od Niżniowa, gdzie również przez kilka dni ćwiczyła Obrona Narodowa. Z żołnierzami nawiązaliśmy bliskie kontakty, obserwowaliśmy ich ćwiczenia, oglądaliśmy karabiny, a na zakończenie ich ćwiczeń zorganizowano nawet wspólny obiad polowy. Było to już lato bardzo niespokojne. Mówiło się dużo o wojnie.

Jeszcze w lipcu tegoż pamiętnego 1939 roku, zaraz po powrocie z obozu, mama odprowadziła mnie do Pużnik na dalszą część wakacji. Były to moje ostatnie beztroskie wakacje. Nieubłaganie zbliżał się wrzesień.

Teraz z perspektywy czasu zastanawiam się, czy potrafię określić, jakim dzieckiem byłem, jakie czynniki i bodźce głównie wpłynęły na kształtowanie mojego wnętrza, komu i co zawdzięczam, że jestem takim, a nie innym człowiekiem? Obcowanie z kim pozostawiło największe ślady w mojej psychice z tego okresu, osobowość czyja zostawiła największe ślady na mojej? Odpowiedzi kategorycznej, niestety, nie mam i nigdy takiej mieć nie będę. Przeświadczony natomiast jestem, że wszyscy w tym okresie, po części, zadbali o to, aby początki mojego rozwoju umysłowego i psychicznego były należyte, ale bez wątpienia, największy wpływ wywarły na mnie ciocia Jula, pani Lityńska i pani Lewicka – moja pierwsza nauczycielka w szkole. Ciocia Jula była moim cierpliwym, pierwszym nauczycielem domowym i powiernikiem. Instynktownie odnajduję w sobie jej piętno największe, chociaż niewątpliwie są też ślady innych moich najbliższych, matki, babci, stryjka Kazika, a nawet ojca, o którym „legenda" przekazywana mi pozostawiła ślady. Poza domem najczęściej przebywałem u cioci Julii, pani Lityńskiej i babci Paulinki. One też zaraziły mnie polskością, rozpaliły w mojej duszy dziecięcej wieczny ogień patriotyzmu i ciekawości świata. Ich opowiadania rodzinne, opowiadania z dziejów narodu polskiego, o wydarzeniach z powstania styczniowego i zasługach legionów Piłsudskiego, chociaż skąpe, były dla mnie tak barwne i tak bliskie, że często utożsamiałem się z tymi czasami i z bohaterami tych

czasów. Jednak największe poczucie bezpieczeństwa widziałem w matce. Jej opiece zawsze oddawałem się bez zastrzeżeń. Wierzyłem, że mnie obroni z każdej opresji. Pamiętam pierwsze nieuświadomione jeszcze lęki, gdy wieczorem czekałem w domu na powrót mamy. Każda minuta opóźnionego powrotu mamy do domu była dla mnie koszmarem. Nasuwały mi się najtragiczniejsze myśli. Odczuwałem wtedy pierwszy w moim życiu strach i silne szarpnięcie serca, jakby je kto wydzierał ręką. Co się stanie ze mną, jeżeli mama nie wróci do domu. Swój los w takich przypadkach zawsze widziałem w czarnych kolorach, bez względu na wybór opiekunów. Od tego czasu zawsze trapiła mnie obawa, czy też nie przytrafi się coś złego moim bliskim.

W latach trzydziestych, po odbyciu służby wojskowej w pułku ułanów, stryjek Kazik ożenił się z Marią Sobczak i na stałe pozostał w Niżniowie. Podziwiałem go zawsze, był dla mnie wzorem zaradność życiowej. W każdej sytuacji i w każdym środowisku potrafił znaleźć swoje miejsce. Przed wojną pracował na kolei, a w czasie wojny imał się różnych zajęć i zawsze w wykonywanej pracy radził sobie doskonale. Najczęściej chwytał się pracy związanej z techniką, do której wykazywał zamiłowanie i uzdolnienia. Tak myślę, że gdyby Stryjek miał techniczne wykształcenie, to czyniłby cuda w tej dziedzinie.

Razem z żoną, a następnie z córką Krystyną urodzoną w kwietniu 1938 roku zamieszkali w wynajętym ładnym domu obok dolnej cerkwi. Pamiętam, że zawsze gdy wierni wychodzili z nabożeństwa, stryjenka podkręcała głośność w radio, które było w tym czasie w Niżniowie rzadkością, i obserwowała, jak Ukraińcy gromadzili się pod oknem i jak komentowali to nieznane dla nich zjawisko.

Babcia, jak zwykle, ożenku swego syna Kazimierza nie aprobowała, a żonę jego przyjęła bez entuzjazmu. W całym długim życiu stosunki babci Paulinki ze stryjenką Marysią były krańcowo różne. Raz była przyjaźń, a innym razem niechęć i wrogość. Największe jednak opory i wręcz wrogość wykazała babcia do Szklaryka, narzeczonego, a następnie męża cioci Julii. W tym przypadku wszyscy byli zgodni, cała rodzina na ten związek nie wyrażała zgody, a Babcia wręcz twierdziła, że ślub jej córki z Szklarykiem będzie hańbą dla rodziny. Szklaryk w jej oczach był kobieciarzem, leniwym, a przede wszystkim synem służącej. Jak on śmiał sięgać po jej córkę. To według babci przekraczało wszelkie zasady przyzwoitości i zdrowego rozsądku. Przykro wspominać o tym, ale faktycznie wujek Szklaryk znany był w Niżniowie jako wałkoń. W tym czasie nigdzie nie pracował, a czas oraz swoje zainteresowania i siły angażował w flirtach

i przesiadywaniu w knajpach i na stacji kolejowej, gdzie w towarzystwie sobie podobnych obserwował, kto wyjeżdża a kto przyjeżdża do Niżniowa. Miał już trzydzieści lat, a pracą swoich rąk nie splamił. Żył z ciężkiej pracy swojej bardzo uczciwej i wyjątkowo pracowitej matki. W czasie wojny kobieta ta wydajnie pomagała cioci Julii oddając jej dzieciom, a swoim wnukom ostatni kęs chleba. Dla sprawiedliwości, już po wojnie, zajął się swoimi dziećmi sumiennie, dbając o ich wychowanie i edukację. Ale do tego jeszcze powrócę.

Niestety, nie pomogły tłumaczenia, perswazje, zakazy ani groźby. Na miłość nie ma rozumnej rady. Wszystkie przeciwdziałania nie dawały pożądanego rezultatu. Ciocia Jula w czasie takich rodzinnych rozmów wypowiedziała na długo zapamiętane zdanie: „Nawet gdyby ojciec mój z grobu wstał, to ja i tak uczynię, co postanowiłam i za Józka wyjdę". Miłość potrafi pokonać wiele przeszkód, które nigdy nie będą pokonane bez niej. Do ślubu doszło, ale niechęci do zięcia do końca życia babcia się nie wyzbyła. Młodzi zamieszkali za apteką, przy bocznej ulicy Lelewela, gdzie ciocia miała swój dom, którego zdjęcie zachowało się do dziś.

Moje kontakty nie zostały przerwane, byłem częstym gościem i zapamiętałem, że ciocia często przebywała w domu sama. Wujek Józek zaraz po pracy – po ślubie dostał pracę na poczcie, gdzie pracował do wybuchu wojny – jak za czasów kawalerskich, w licznym towarzystwie, ciągle przebywał poza domem. Nawet po urodzeniu Nusia nie czuł się związany mocno z domem, nadal chadzał swoimi, krętymi drogami. Taki tryb życia wujka wtrącał ciocię w melancholię. Nigdy nie widziałem na jej obliczu radości, uśmiechu, zadowolenia. Nawet na zdjęciach, które zachowały się, ciocia jest smutna, a jej twarz pełna szlachetnego tragizmu. Przeżywała swoją rozpacz w samotności. Pamiętam, że jedynie moja mama była jej powierniczką, przed którą otwierała swoje serce i wyrzucała swój żal. Często szeptały sobie swoje smutki i tajemnice w przekonaniu, że nikt ich nie słucha. Po takich szeptanych wyznaniach, których byłem świadkiem, nie jeden raz miałem do wujka żal, że z jego powodu tak bliska mi osoba jest smutna i ma wilgotne oczy. Przed innymi osobami ciocia nie zdradzała się swoimi kłopotami, była owładnięta dbałością o rodzinną zgodę i harmonię oraz poświęcała cały czas dziecku.

Po wojnie nie chciałem o tym pamiętać. Nawet polubiłem wujka Józka i dokładałem wiele starań, aby doprowadzić do rodzinnych kontaktów wujka Józka ze stryjkiem Kazikiem. Wiele razy odwiedzałem go w Bytomiu. Czułem z nim więź rodzinną. Żałuję, że nie byłem na jego pogrzebie.

Niżniów w tych czasach przeżywał swoje tłuste lata. Po kryzysie w miasteczku drgnęła tafla zastoju gospodarczego. Magistrat z powodzeniem rozwijał przeróżne prace publiczne, dając ludziom możliwości zarobkowania. Rozbudowano zaplecze dla turystyki i letników, powiększono miejską plażę i przystań kajakową na Dniestrze, naprawiono główne drogi, a nawet domy użyteczności publicznej otrzymały nowe elewacje. Największe jednak prace prowadzono w kierunku zapobiegania powodzi. Niżniów z racji swojego położenia narażony był na częste powodzie, w związku z tym zbudowano liczne tamy zaporowe w jarach, którymi spływały wody deszczowe i śniegowe. Wiele odpływowych rowów zostało pogłębionych i wyłożonych granitowym kamieniem. Na drogach nad wąwozami i rzekami zbudowano nowe betonowe mosty – jak dziś się zastanawiam, mostów naliczam jedenaście – no i posadzono mnóstwo młodych drzew wzdłuż głównej drogi oraz w niewielkim parku przy rynku. Jeszcze przed tymi budowlami przeciwpowodziowymi w czasie wiosennych roztopów oraz burzowych ulew spływające wody z gór były zmorą mieszkańców bocznych ulic, niszczyły drogi, domy, ogrody. Z tego okresu zapamiętałem zawołanie ukraińskie „prował ide", czyli woda przewalała się przez ulicę. Wybudowane tamy razem z całym systemem rowów odprowadzających eliminowały to niszczycielskie działanie. Miasteczku dodał przyjemnego wyglądu urządzony park, który zieloną trawą, różnorodną roślinnością i żwirowymi alejkami spacerowymi miał tworzyć wizytówkę i zachęcać letników do przyjazdu. Koniunktura umiejętnie wykorzystana przez władze miasta dała ludziom pracę, a miastu dobrą reklamę przyciągającą turystów i letników, szczególnie kajakarzy, którzy mieli w Niżniowie dobrze urządzoną bazę wypadową na spływ Dniestrem na południe, do Zaleszczyk i dalej.

Pamiętam ten ruch budowlany. Pojawiły się na drogach nowe, dotąd w miasteczku nieznane maszyny, którym przechodnie z ciekawością przyglądali się, rozpoczęto masową produkcję betonowych płyt, krawężników, kręgów itp. Tu i ówdzie rozpoczęto budować nowe domy. Babcia również rozpoczęła wspólnie z ciocią Julą budować nowy dom. Dom w którym mieszkała od początku lat dwudziestych nosił widoczne znamiona tymczasowości, był bardzo zimny i bez wygód, jedynie miał doskonały piec do pieczenia chleba. Był tak wkomponowany, że trudno było go dostrzec.

Żyliśmy w Niżniowie – pomimo kwasów i niechęci do Wujka Józka – bardzo rodzinnie. Często wszyscy spotykali się u babci. Tam można było poleżeć w cieniu drzew owocowych, pospacerować po dobrze utrzymanym ogrodzie, stamtąd też zwykle chodziliśmy na spacer do tzw. „ogrodu

drugiego". Lubiłem te spotkania rodzinne, a najbardziej cieszyły mnie niezapomniane, ciepłe i pogodne wieczory spędzane na podwórku babci. Wieczorem, przy czystym powietrzu, po ciepłym dniu dochodziły do naszych uszu od strony rzek rechotania żab. Istny koncert żabi. Takich chwil się nie zapomina. To były wspaniałe momenty. Teraz żabiego koncertu mogę posłuchać w lasku przy drodze z Buska do Wislicy. W głębi lasu, w bagiennym ustroniu, rezerwat żabi daje podobne popisy. Czasami zachodzę w te strony, posiedzę, posłucham i myślami przenoszę się do Niżniowa.

Przed rozpoczętą budową domu ciocia Jula sprzedała swoją skromną posiadłość przy ul. Lelewela i przeprowadziła się do wynajętego mieszkania u Paliwody w Przewale przy Górnej Cerkwi (ulica administracyjnie nosiła nazwę Cmentarnej, ale nikt tą nazwą się nie posługiwał, potocznie wszyscy nazywali ją Przewałem). Teraz częściej przychodziłem do cioci. Niusiek był malutki i często pomagałem cioci w zakupach lub w zabawianiu dziecka. Czynności te wykonywałem chętnie. Byłem w ogóle bardzo uczynny i załatwianie innych drobnych sprawunków sprawiało mi dużo radości i dawało wiele satysfakcji. Czułem się użyteczny. Bałem się jedynie chłopców grupami wałęsających po ulicach i każde wyjście do sklepu napawało mnie lękiem na samą myśl, że mogę ich spotkać. Jeżeli z daleka zauważyłem, że na ulicy stoi zgraja wyrostków, to zwykle zmieniałem trasę i okrężnymi drogami docierałem do celu. Byłem takim tchórzem, że aż tego się wstydziłem przed swoimi bliskimi. Ciocia dodawała mi odwagi i poczucia, że strach należy pokonywać między innymi zdecydowaną postawą wobec intruzów, niech widzą i słyszą, że stać mnie na wszystko we własnej obronie, a wtedy oni poczują mores i będą się mnie bać. Pewnego dnia szedłem do sklepu kupić kilogram cukru. Idąc powtarzałem, co mam kupić i w pewnym momencie z daleka ujrzałem kilku chłopców stojących na skraju parku. Widok ich tak mnie przestraszył, że zacząłem kluczyć po równej drodze i obserwując ich nie zauważyłem przy figurze św. Jana wiszącą szynę, która służyła za dzwon alarmowy. Uderzyłem głową o tę szynę. Szczęście, że na głowie miałem wełnianą czapkę z pomponem, która zamortyzowała uderzenie. Skończyło się na lekko stłuczonej głowie i zakrwawionej czapce. Od tego przykrego wypadku ciocia wysyłając mnie do sklepu dawała mi na smyczy Lidę, białą suczkę rasy szpic, która niejednemu już natrętowi poszarpała spodnie. Mój lęk przed chłopcami wypływał z tego, że nigdy nie puszczano mnie do takiego towarzystwa, a więc nie miałem obycia i nie potrafiłem nawiązać kontaktu z takim środowiskiem. W tym czasie jeszcze nawet

nie potrafiłem płynnie rozmawiać w języku ukraińskim. Stale przebywałem wśród dorosłych, a z dziećmi, nie licząc Mytra, jedynie obcowałem z chłopcami u pani Lityńskiej i przy okazji wizyt składanych przez mamę znajomym, jeżeli mnie zabierała i o ile oczywiście tam dzieci były. Nie mając takich kontaktów, nie znając dobrze języka miałem podstawy do strachu.

Pamiętam, że po śmierci Michasia ciągle prześladowała mnie myśl o niepojętym wydarzeniu. Nie potrafiłem określić, co to za wydarzenie mnie zagraża, ale czułem związany z nim jakiś nieokreślony strach. Moje poczucie bezradności i strachu przed nieznajomym mi życiem było tak wielkie, że często, gdy mama wieczorami była poza domem, siedziałem w kącie pokoju w ciemnościach, zrozpaczony i przerażony, i intensywnie rozmyślałem, co ja zrobię ze sobą, jeżeli mamie coś się takiego nieokreślonego wydarzy i mama do domu nie wróci. Czułem się wtedy tak nieszczęśliwy. Mama o tym wiedziała, dlatego wychodząc z domu często mnie zabierała. Tego strachu i przerażenia nigdy nie doznawałem za życia Michasia.

Mama moja była kobietą towarzyską i bez kontaktów z ludźmi nie wyobrażała sobie normalnego życia. Miała dużo znajomych oraz koleżanek i często w wolnych chwilach odwiedzała ich lub gościła w swoim domu. Lubiłem te wizyty i nawet w towarzystwie ludzi dorosłych nigdy nie nudziłem się. Cieszyły mnie szczególnie wizyty składane Marysieńce. Marysieńka, panna w wieku około 25 lat z bogatej obszarniczej rodziny, wykształcona, ale w Niżniowie znana jako nienormalna, głupia. Rodzice jej wcześnie zmarli, a jedyny starszy brat zagarnął wszystkie rodzinne majątki ziemskie, przyznając jej jedynie roczną pensję oraz dom z ogrodem w Niżniowie. On mieszkał chyba we Lwowie, a Marysieńka sama, opuszczona przez rodzinę, mieszkała w obszernej willi – jedynie ogrodnik doglądał ogrodu, a ogród był pięknie utrzymany. Cały kompleks ogrodzony był wysokim, metalowym parkanem z taką metalową bramą, ponoć wykonaną przez warsztat mojego dziadka. Willa położona była tuż przy rynku, ale frontem zwrócona do ogrodu. Wejście do wewnątrz prowadziło pod pięknym zadaszeniem, opartym na kamiennych filarach z szerokim podjazdem dla powozów. Całość zarośnięta tzw. dzikim winem.

Panna Marysia, tak się do niej zwracała moja mama, bardzo przeżyła śmierć rodziców. Zamknęła się sama w tym obszernym domostwie, z nikim nie utrzymywała kontaktów i wszyscy uważali, że Marysieńka jest pomyloną. Faktycznie były chwile jej niezrównoważenia. Wtedy rozmawiała ze sobą, rozpalała ognisko na posadce w kuchni i ogrzewała

ręce, ale nie była groźna i zawsze czyniła wszystko ze stoickim spokojem. Często chodziła do kościoła i przez cały rok, bez względu na pogodę i porę roku zawsze była ubrana w ten sam niebieski płaszczyk, czarny beret i skromna torebka pod pachą. Nawet w największe mrozy nie zmieniała swojej garderoby. Ludziom nie mieściło się w głowach, że będąc dziewczyną bogatą, bo pomimo wszystko taka była, może być tak skromnie ubrana i żyć w niedostatku. Nikt jej poważnie nie traktował, nawet Żydzi sklepikarze – chociaż za towar płaciła gotówką –, szydzili z niej. Mama często ją odwiedzała, ale odwiedzała ją chyba, tak sądzę, bardziej z litości nad jej samotnością, niż dla towarzyskiej rozrywki.

Dla mnie ten dom był rajem, pełen sekretów i zapytań, pluszowych mebli i ciężkich wiszących stor, różnych ciemnych korytarzy, w których czuć było wieczną stęchlizną, i dużej jasnej biblioteki. Ogród z altanami, alejami spacerowymi i dobrze utrzymanymi przez starego ogrodnika grządkami i inspektami. Były też duże zabudowania przeznaczone dla koni, powozów oraz składy warzyw i owoców. Mogłem bez przeszkód chodzić i zwiedzać. Kiedyś panna Marysia doradziła mi zwiedzenie strychu, jak określiła, rupieciarni rodzinnej.

Strych był olbrzymi. Wszystko tu pachniało starocią. Pod dachem przeplatały się liczne drewniane belki o różnej grubości, a na całej powierzchni strychu liczne szafy, kufry i półki. Niektóre kufry miały ozdobne metalowe okucia. Wszystko było zapełnione rupieciarnią, zakurzonymi książkami, a jeden z kufrów przepełniony był starymi dziewiętnastowiecznymi zabawkami. Strych ten pamiętam w drobiazgach. Mieszanina zapachów starego drewna, kurzu i dymu kręciła w nosie i chociaż męczyło mnie kichanie, zadomowiłem się tam na dobre. Był to dla mnie raj. Szafy zapełnione starymi sukniami, frakami, nawet stroje maskaradowe wisiały na wieszakach. Ściany i słupy obwieszone starymi zegarami, obrazami, a na półkach i w kufrach mnóstwo książek. Dziś można by porównać do magazynów Dessy. Początkowo byłem zdezorientowany i nie wiedziałem od czego zacząć, czy zająć się zabawkami, czy też książkami. I zabawki, i książki mnie nęciły. Byłem tymi starociami tak zafascynowany, że mama nie mogła mnie oderwać od tego strychu. Od tego czasu często grzebałem w tych skrzyniach i ciągle coś ciekawego z nich wyciągałem. Mama z tego nie była zadowolona, bo schodząc ze strychu zawsze byłem brudny i zakurzony.

Kiedyś ujrzałem w starej skrzyni, upstrzonej gęsto metalowymi okuciami, duże grube zeszyty, oprawione w brązową skórę i spięte srebrnymi klamrami. Zaciekawiły mnie w tych zeszytach metalowe zapięcia

i może dlatego wziąłem jeden z tych zeszytów do obejrzenia. Zeszyt miał grube kartki i był zapisany bardzo starannym pismem, które chociaż było pismem w języku polskim, większość wyrazów były dla mnie niezrozumiałe, jakby obce, pomimo swojskiego brzmienia. Niektóre miejsca zapełnione były rysunkami przedstawiające domy, góry, lasy oraz postacie. Ponieważ nie potrafiłem samodzielnie odczytać tego pisma, zaniosłem zeszyty do salonu, gdzie panie rozmawiały, prosząc pannę Marysię o przeczytanie kilku wierszy. Pierwszy raz spotkałem się z taką księgą ręcznie pisaną. Wszystkie dotąd przeczytane książki pisane były drukiem i były łatwe w czytaniu, ale pisma odręcznego nigdy nie miałem możliwości czytać, sam jeszcze pisać nie umiałem, było to przed szkołą. Marysieńka wyjaśniła nam, że jest to jeden z licznych tomów pamiętnika prababci, z okresu pierwszej połowy 19. wieku, a jeżeli mnie ciekawi, co tam jest napisane, to o ile mama pozwoli, ona mi jutro przeczyta kilka stron. Mówiąc to panna Marysia ożywiła się i jakby dostała wypieków. Przez kilka dni słuchałem autentycznych przeżyć młodej nieszczęśliwej damy, którą rodzice wydali za mąż za człowieka, którego nie kochała i którego nigdy nie pokochała. Były tam opisy licznych podróży, wspomnienia z miast, o których nigdy nie słyszałem, egzotycznych krajów, przeróżnych zdarzeń, ale najczęściej autorka skupiała swoją uwagę na odnotowywaniu swoich stanów psychicznych, wywołanych nieszczęśliwą miłością do mężczyzny, którego już nigdy w doczesnym życiu nie spotkała. Wiele zjawisk i zdarzeń opisanych w tym pamiętniku nie mogłem zrozumieć, pomimo że dręczona Marysieńka cierpliwie mnie tłumaczyła. Szczególnie trudne dla mnie do zrozumienia były cierpienia autorki z powodu miłości do obcego mężczyzny. Pytałem, czy można aż tak długo rozpaczać za obcym panem? Wiedziałem już, co znaczy cierpieć, bo sam bolałem i płakałem nad losem Sierotki Marysi, Jasia i Małgosi, czy też Janka Muzykanta, ale w tych książkach w większości zło przemijało i kończyło się radością, a tu cierpienie trwa pernamentnie, nawet opisywane bale były smutne. Czytanie tego pamiętnika zawsze kończyło się płaczem panny Marysi, co mnie bardzo smuciło. Marysieńka mając łzy w oczach tłumaczyła i płakała jednocześnie, że życie składa się z goryczy, krzywd, rozczarowań i zawodu. Z ożywieniem i bardzo otwarcie opowiadała mi dużo o swoim życiu, o swoich stanach psychicznych. Chyba nie wierzyła, że coś z tego rozumiem, a jej było lżej, że może się wyżalić, że ktoś ją wysłuchuje, bez względu na to, czy coś z tego pojmuje. Była nieszczęśliwa i subtelna, dlatego nieszczęście innych tak mocno ją bolało. Nie zasługiwała na lekceważenie i miano pomylonej. Wiele dni spędziłem na słuchaniu

jej opowieści oraz przeżyć jej prababki i chociaż czasami spotykałem się z milczeniem i obcością Marysieńki, chętnie tam chodziłem. Jeżeli w danym dniu jej nastrój był dla mnie nieprzychylny, wtedy bez słowa odchodziłem, a ona mnie nie zatrzymywała. W czasie wojny, chociaż nadal widywano ją w tym samym skromnym płaszczyku, panna Marysia doszła do równowagi, była nawet tłumaczem władz niemieckich, a po wojnie, tak słyszałem, gdziś na Ziemiach Odzyskanych została pedagogiem w gimnazjum. Na pamiątkę naszych kontaktów panna Marysia sprezentowała nam XVIII-wieczny zegar ścienny. Zegar ten wyjeżdżając w 1940 roku do Stanisławowa mama zostawiła cioci Julii. W latach sześćdziesiątych widziałem go wiszącego na ścianie w pokoju wujka Szklaryka, ale już nie chodził.

Bardzo mnie również cieszyły wizyty u pani Izy, Żydówki. Pani Iza była właścicielką piekarni i mleczarni. Tu, korzystając z pozwolenia, chodziłem po zapleczu i przyglądałem się pracy robotników. Poznałem tajemnicę wyrobu chleba i przerobu mleka. Robotnicy byli chętni i życzliwie opowiadali o swojej pracy. Były to dla mnie pouczające rozmowy. Wolałem słuchać robotników i przyglądać się ich pracy, niźli bawić się z córką pani Izy.

Uwielbiałem również te chwile spędzone w domu, gdy byli u nas goście. Do mamy często przychodziły koleżanki, czasami nawet ze swoimi dziećmi. Ja jednak wolałem towarzystwo starszych. W czasie takich wizyt zawsze czułem, że w domu zachodziła jakaś nieuchwytna zmiana, że codzienność przemieniała się w jakiś czas błogiego i wzniosłego spokoju, ciekawych rozmów. Każde wyjście gości kończyło się moim smutkiem i żalem, że już coś się skończyło. Tego stanu ducha nie potrafię sobie uświadomić i wyjaśnić. To mnie prześladowało długo.

Ponieważ dziś pojęcie kupna na książeczkę, czyli borg, nie jest powszechnie znane i nie jest stosowane, słów kilka na ten temat. W okresie międzywojennym, szczególnie w małych miasteczkach, Żydzi, właścicieli małych sklepów, ale z szerokim asortymentem, aby przyciągnąć klientelę, stosowali sprzedaż swoich towarów na kredyt bezprocentowy. Wyglądało to w ten sposób, że Żyd w swoim sklepie robił w swojej księdze spis swoich klientów, a klienci otrzymywali swoje oddzielne książeczki. W zależności od stopnia zaufania, klienci mieli odpowiedni pułap kredytu, a niektórzy mogli nawet kupować na kredyt bez ograniczeń. Przy zakupie towaru sklepikarz należność wpisywał do swojej księgi i do książeczki klienta. Należność regulowano okresowo, w zależności od możliwości finansowych kupującego. Mama również miała takie książeczki w kilku

sklepach, między innymi w sklepie Liblicha niedaleko szkoły. Liblich w swoim sklepie sprzedawał wszystko, co mogło być sprzedane, od śledzi, nafty, czekolady, do butów i zeszytów włącznie. Żyd chętnie udzielał kredytu mojej matce, ponieważ rachunki były spłacane w przyzwoitym czasie. Często chodziłem do sklepu i w ten sposób kupowałem to i owo, a Liblich do książeczki wpisywał dopiero, kiedy mama czyniła zakupy. Było to dwustronne zaufanie. Pewnego razu, korzystając z pozwolenia, że mogę czasami na książkę kupić sobie cukierków, w czasie długiej pauzy między lekcjami zaprosiłem kilku chłopaków z klasy do Liblicha, gdzie zakupiłem pewną ilość smakołyków z wpisem do księgi. Każdy z towarzyszących mi chłopców otrzymał słodki poczęstunek. W następnym dniu w domu była awantura połączona z naukami, że nie można bezmyślnie wydawać ciężko przez matkę zarobione pieniądze. Więcej już tak nie postąpiłem, chociaż zaufania mnie nie cofnięto i w dalszym ciągu z kredytu mogłem korzystać.

Na audycje radiowe przed wojną chodziłem do stryjka Kazika. W domu radia nie mieliśmy. Byliśmy za biedni na taki zbytek. Radio w owych czasach to luksus, na który mało kto w Niżniowie mógł sobie pozwolić. Szczególnie polubiłem słuchowiska z Tońciem i Szczepciem, lwowskimi baciarami. Gagami swoimi i przyśpiewkami bawili radiosłuchaczy w każdym wieku. Ponadto radio nadawało aktualne piosenki, często przyswajane przez młodzież, a wiele z tych piosenek stawały się szlagierami i do dziś czasami są wykonywane przez współczesnych piosenkarzy.

Niezapomniane wrażenia wyniosłem z cyrku, w którym byłem pierwszy raz. Było to na wiosnę 1939 roku. Podziwiałem tresurę lwów i karła jeżdżącego malutkim powozem z łaciatym kucykiem. Frajdą była też karuzela.

Wszystkie te wydarzenia, o których piszę, tkwią mi w pamięci tak wyraziście, że aż sam się dziwię, bo nie bardzo pamiętam, co było w ubiegłym tygodniu.

Lata 1938 i 1939 to okres intensywnego życia społeczno-politycznego mieszkańców Niżniowa. Ożywiła się działalność różnych towarzystw, kółek kulturalnych, ochotniczej straży pożarnej i wreszcie Klubu Sportowego – odczuwało się to we wszystkich grupach narodowościowych. Ugrupowania polskie, najbardziej aktywne, skupiały się wokół Domu Polskiego, kościoła i straży pożarnej. Ukraińcy skupieni byli w swojej „Czytelni", gdzie mieli zorganizowaną bibliotekę, koło teatralne i tam też organizowano huczne zabawy, kończące się często bijatyką. Żydzi natomiast skupiali się w Synagodze XVIII-wiecznej. Każdy mieszkaniec

miał swoje miejsce, gdzie mógł po pracy w sobotę i niedzielę spędzić wolny czas.

Pewnej niedzieli obserwowałem ćwiczenia straży pożarnej. Z ćwiczeń tych pozostał mi uraz do tej skądinąd pożytecznej organizacji dla każdej nacji. Otóż w piękny słoneczny dzień ćwiczebnie straż pożarna wezwana została do pożaru. Strażacy wyciągnęli z remizy, która mieściła się obok magistratu, na plac wozy strażackie i przenośny sprzęt, i zaczęli przechwytywać przygodne konie, swoich chyba nie mieli. Widziałem, jak jeden wóz z całym ekwipunkiem wyjechał z placu do „pożaru", a pozostałe czekały na konie. Wtedy jeden ze strażaków – ubrany, jak pozostali, w czarny uniform, błyszczący hełm i z toporkiem u pasa – wyskoczył na ulicę i zatrzymał jadącego furmanką, odświętnie ubranego chłopa ukraińskiego i zażądał koni, celem przewiezienia sprzętu do gaszenia pożaru. Chłop tłumacząc, że jedzie do rodziny z wizytą, sprzeciwił się i stanowczo odmówił wyprzęgnięcia koni, powtarzając swoje racje. Strażak, Polak, nawet nie usiłował chłopu wytłumaczyć konieczności zabrania zaprzęgu, wyszarpnął woźnicy bat z ręki i zaczął go okładać tym batem. W konsekwencji chłopa pobito, konie zabrano, a baba jadąca tym wozem narobiła takiego wrzasku, że pół miasteczka zleciało się na to widowisko. Epilog był w sądzie. Sąd uznał pożar i jego gaszenie za nadrzędną powinność społeczną. O pobiciu nie wspomniano w wyroku, a sprawę umorzono. O tym zdarzeniu jeszcze tego samego dnia opowiedziałem babci i kiedy doszedłem do momentu pobicia chłopa, babcia myśląc głośno powiedziała: dureń. Zapytałem kto, chłop? Nie – usłyszałem odpowiedź – strażak. Chłop jemu tego incydentu nigdy nie zapomni i nie wybaczy, nawet gdyby strażak działał zgodnie z prawem. Chłop, gdy będzie miał sposobność, każe sobie drogo za ten wygłup strażaka zapłacić. Długo zastanawiałam się, kiedy ta sposobność nastąpi i czym chłop każe sobie płacić. Już niedługo sposobność taka będzie, a będą nią mordy na Polakach. Ale zanim co, do strażaka nabrałem niechęci. Znaczenie inne przypisywałem temu zdarzeniu niż sąd w swoim werdykcie.

Nie pamiętam, który to mógł być rok. Może 1937, a może 1938 – mamę spotkał jeszcze jeden cios. Jej najukochańszy brat Karol poważnie zachorował. Groziła mu amputacja nogi lub śmierć. Wybrał śmierć. Nie wyobrażał sobie życia w kalectwie. Pozostawił syna Leszka w wieku 9. lat. Mama po śmierci Karola bardzo rozpaczała. Drugi brat mamy Franciszek w 1938 roku ożenił się z mieszkanką Kolonii w Pużnikach. Mieszkańcy tej Kolonii, zwani Kolonistami, jako zasłużeni z czasów wojny 20. roku w darze od państwa otrzymali ziemię, którą od połowy lat dwudziestych

uprawiali. Na kolonii tej mieszkała też Aniela Krzywoń, późniejsza Sybiraczka i bohaterka 1. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki. Zginęła w bitwie pod Lenino, a dziadek jej został zamordowany przez Ukraińców w 1945 roku.

Jesienią 1938 roku wujek Franek został powołany do służby wojskowej, a wujenka Lidzia została z babcią Poterałowiczową w Pużnikach. Babcia była dla niej nie teściową, a matką. Nigdy nic złego pod jej adresem nikt od babci nie usłyszał, zawsze traktowała swoją synową jak jakiś skarb. Nawet gdy Lidzia w latach czterdziestych odeszła z innym mężczyzną, babcia zawsze dobrze ją wspominała.

Kończąc ten okres nie mogę pominąć spraw związanych z sytuacją społeczno-polityczną okresu międzywojennego w tych regionach, które zasadniczo różniły się od sytuacji w Polsce centralnej. Przesiedleńcy z Galicji do dziś nie utracili swojego kolorytu, pielęgnując swoje obyczaje i swoją kuchnię.

W Niżniowie, jak w całym Pokuciu, przeważali (około 70%) Ukraińcy zwani również Rusinami. Społeczność ta to przede wszystkim chłopi, którzy nie mieli jeszcze wtedy rozbudowanego poczucia przynależności do swojej narodowości, ale byli mocno przywiązani do swojej ziemi, do swoich obyczajów i tradycji, a szczególnie do cerkwi unickiej i związanych z nią tradycji religijnych. Warstwa chłopska była bardzo zróżnicowana, od bogaczy do nędzarzy.

W Niżniowie Polacy byli w miejszości, ale pomimo zaborów przez całe stulecie zwyczajowo i ze względu na fachowość piastowali stanowiska w administracji, nauczycieli, kolejarzy, policjantów i na poczcie. Było też kilku rzemieślników. Pozostali to albo posiadacze folwarków, albo zarządcy tymi folwarkami.

Nie oznacza to wcale, że nie zdarzyły się wyjątki. Znałem np. Ukraińców uczących w szkole, leśniczych czy też trudniących się kupiectwem, a wśród Polaków byli też biedni i bogaci, robotnicy i chłopi, ale to tylko w ramach wyjątku.

Ciekawą zbiorowością byli Żydzi. Ci byli grupą najbardziej zamkniętą. Trudnili się drobnym handlem, rzemiosłem, hotelarstwem, było kilku lekarzy oraz, jeżeli się nie mylę, oni prowadzili biuro adwokackie. Żydzi w małym stopniu pospolitowali się z Polakami, a z Ukraińcami nie utrzymywali żadnych towarzyskich kontaktów, nazywali ich Gojami. Jako dziecko odczuwałem, jak mocno Żydzi różnicowali inne narodowości. Ukraińców zawsze traktowali hierarchicznie niżej od siebie. Wśród Żydów również majętnościowe zróżnicowanie było bardzo duże. Była biedota,

którą kozie mleko ratowało przed głodem, a w domu pięcioro i więcej dzieci – i byli też bogaci, właściciele hoteli, restauracji itp. Bez względu jednak na majętność każdy Żyd miał swój własny dom.

W okresie międzywojennym widoczny jest pęd wśród Ukraińców do oświaty, do szkół i uniwersytetów, co już w latach trzydziestych zaczęło owocować. Powiększała się inteligencja ukraińska. Wykształceni Ukraińcy zaczęli budzić świadomość narodową wśród swoich rodaków. Zakładano liczne stowarzyszenia społeczno-ludowe oraz tzw. czytelnie, wokół których skupiono zespoły folklorystyczne, tam organizowano odczyty, zabawy, występy artystyczne, a tuż przed wojną założyli nawet sklep spółdzielczy, sklep o szerokim asortymencie, odciągając chłopa od sklepów żydowskich. Ukraińcy mieli do dyspozycji dwie cerkwie, unicką i prawosławną, i mogli swobodnie posługiwać się swoim językiem.

Żydzi również korzystali z dużych swobód. Mieli swoją zabytkową piękną bożnicę, posługiwali się swoim żargonem, ściśle w życiu przestrzegali nakazów religijnych i ortodoksyjnych obyczajów oraz wyróżniali się ogólnym wyglądem. Żyli w swoim światku.

Polacy byli najbardziej otwartą grupę społeczną. Wyróżniali się ubiorem, kulturą bycia, no i oczywiście rzymsko-katolickim wyznaniem. Zwyczaje Polaków były bardziej współczesne, zmieniające się do potrzeb i wymogów, przyjmujące nowinki kultury europejskiej. Polacy gromadzili się wokół Domu Polskiego, gdzie odbywały się różne imprezy kulturalne, mieli różne organizacje i stowarzyszenia, od sportowych do militarnych włącznie.

W tej mieszaninie społecznej byli też spolszczeni Czesi, Niemcy, Turcy, a nawet Tatarzy i Węgrzy. Cała ta zbiorowość żyła zgodnie, korzystając ze wzajemnych usług i wsparć. Współżycie w miasteczku w okresie międzywojennym było prawie zgodne. Prawie, ponieważ incydenty pojedyncze bywały, w których np. Polak nawymyślał Żydowi, Ukrainiec pobił się z Polakiem, ale wystąpień zbiorowych jednej narodowości przeciw drugiej nie było. Wszyscy się wzajemnie tolerowali. Sąsiedzi, znajomi zapraszali się wzajemnie na różnego rodzaju uroczystości rodzinne, obchodzono wspólnie święta religijne, młodzież uczęszczała do wspólnej szkoły, większość posługiwała się dwoma lub trzema językami i żyło się bez otwartej nienawiści. Zróżnicowanie majątkowe widoczne było w każdej grupie dość wyraziste. Biedni i bogaci byli wśród Polaków, Ukraińców, jak też i Żydów. Były też co prawda nieliczne przypadki zawierania związków małżeńskich pomiędzy młodymi różnych narodowości. Pod tym względem najbardziej hermetyczną grupą byli Żydzi. Tu rzadko wchodzono

w związki małżeńskie z Polakami lub Polkami, a w ogóle nie znam przypadku, aby Żyd pojął za żonę Ukrainkę i odwrotnie. Jeżeli występowały zjawiska dyskryminacji, to chyba najbardziej widoczne na płaszczyźnie majątkowej. W owym jeszcze czasie nacjonalistyczna polityka nie w pełni sięgała nizin społecznych oraz wsi i małych miasteczek. Dopiero pod koniec lat trzydziestych i w czasie okupacji bolszewicko-niemieckiej podsycane urazy i animozje jeszcze z okresu I wojny światowej odżywały i wychodziły na światło dzienne, a przy najbliższych, sprzyjających okazjach zaczęło wrzeć – czego skutki dla wszystkich grup narodowościowych Galicji były opłakane, tragiczne. Żydów wymordowali Niemcy, przy dużej pomocy Ukraińców, Polaków mordowali Ukraińcy, a Ukraińców mordowali i wywozili komuniści, co również masowo spotkało Polaków w 1940–41 r. Nadmierne poczucie więzi narodowej przeradza się w nacjonalizm, a to może być w sprzyjających okolicznościach zarodkiem wielu nieszczęść, czego praktyka wykazała na Wołyniu, Podolu i Pokuciu.

Przypominam sobie, jak jeszcze nie tak dawno, 8 maja 1938 roku w czasie odpustu – Stanisław był patronem parafii rzymsko-katolickiej – do Niżniowa przyjechał biskup. Łacinnicy wraz z unitami zorganizowali z tej okazji szumne uroczystości w całej okolicy. Biskupa goszczono i w kościele, i w cerkwi. Budowano wspólnymi siłami bramy powitalne. Pamiętam, jak czarna limuzyna z biskupem eskortowana była przez oddziały konne w ludowych strojach ukraińskich i polskich. Przemówienia powitalne w obu językach, szpalery niżniowskich bonzów wszystkich narodowości. Wydawało się, że słowa „kochajmy się" znalazły praktyczne zastosowanie na tym terenie i żadna siła nie zmieni tych dobrych stosunków. Jeszcze nie przeczuwano czasów, które niebawem miały nadejść, których motto „albo oni nas, albo my ich" będzie dominować w naszym codziennym życiu.

Temat ten jest zbyt bolesny dla Polaków z tych terenów i poważny dla dzisiejszej polityki. Czas najwyższy, aby zajęli się nim badacze, bezstronni historycy, a pogmatwane stosunki między dwoma narodami pilnie odkłamać, przedstawiając je takimi, jakimi one faktycznie były. I mordy za Bugiem, i Akcja „Wisła" nie mogą być tabu. Przestańmy koniunkturalnie nakręcać historię, bo to się zawsze kiedyś odbije czkawką, z powodu której cierpieć będą przyszłe pokolenia. Myślę, że wspólna praca nad naszą wspólną historią w ramach mieszanej komisji historyków – może dać dobre wyniki. Nie mogą w tych pracach uczestniczyć Rosjanie. Oni na tych nutach wygrywają swoją melodię.

Warszawa, marzec 1983 r.

CZĘŚĆ DRUGA

1

Wrzesień 1939 roku

Był to ostatni rok mojego dzieciństwa. W tym nieszczęsnym roku drugą połowę wakacji spędziłem w Puźnikach. Z tych wakacji u babci Poterałowiczki pamiętam jedynie końcową ich część. Wszystko inne uleciało z pamięci.

Wieści ze świata do Puźnik docierały z dużym opóźnieniem, a i te, które dotarły rozchodziły się po domach zawsze już odpowiednio zabarwione fantazją i swoistą, puźniecką filozofią. Przekazywane były bowiem z ust do ust i każdy wzbogacał dodając coś od siebie. A fantazji i polotu tym ludziom nie brakowało. Kilka egzemplarzy gazet, które trafiały do Zaścianka, docierały z dużym opóźnieniem, a radio było jedno lub dwa i to nie zawsze czynne.

Koniec sierpnia w Puźnikach był spokojny i nie wprowadzał w życie żadnych zmian. W tej szarej codzienności wszyscy wykonywali pospołu swoje obowiązki gospodarskie i nie zawsze był czas na pogawędki polityczne. Jeżeli już mężczyźni w niedzielę po sumie pod Kościołem rozmawiali o sytuacji na świecie, to swoje wypowiedzi opierali na rządowej propagandzie o naszej sile i naszych związkach z zachodem. Nikt nie przepowiadał wojny. Powszechnie uważano, że Niemcy nie odważą się na taki krok, jeżeli z nami są takie potęgi, jak Anglia i Francja. W te dwa państwa wierzono, ufano ich potędze i wierzono w ich uczciwość wobec nas Polaków. Wprawdzie wszystkie tego rodzaju dyskusje ludzi doświadczonych, pamiętających nie tylko pierwszą wojnę, ale nawet wojnę japońską z 1905 roku – kończyły się optymistycznymi wnioskami, to jednak atmosfera, jaka wkradła się do chat ludzi ciężko pracujących, na podstawie zasłyszanych wiadomości, była niewesoła i nie wróżyła nic dobrego. Wyczuwało się coś, co mogło, co groziło wybuchem. Nikt nie był zachwycony sytuacją. Wszyscy jednak byli zgodni, że o ile zaist-

nieje potrzeba, mężczyźni gotowi będą stanąć w szeregach obrońców ojczyzny. Takiego uniesienia patriotycznego już więcej u tych ludzi nie widziałem.

Tą atmosferą żyłem i ciągle myślałem o powrocie do Niżniowa. Nawet na pastwisku chłopcy o niczym innym nie opowiadali jedynie o wojnie i naszym zwycięstwie. Mama, na którą z taką niecierpliwością czekałem, wreszcie 30 sierpnia pojawiła się w Pużnikach. Sprawiała wrażenie trochę jakby zmartwionej. Opowiadała – a chętnych świeżych wiadomości było dużo – o sytuacji w Niżniowie, że ludzie robią zapasy, szykują taśmy do zalepiania szyb okiennych, co miało uszczelniać przed gazem i jednocześnie wzmacniać odporność przed wstrząsami w razie wybuchu bomb, że wkrada się nieufność między Polakami i Ukraińcami i że w ogóle atmosfera robi się coraz gorsza.

W tym samym jeszcze dniu wyruszyliśmy w drogę powrotną. Nikt nie przypuszczał, że z Pużnikami żegnamy się na prawie dwa lata.

Dzień był słoneczny, a nagrzane powietrze suche i bez większych przewiewów mogło sprzyjać jedynie leżącym na piaszczystej plaży lub na trawie w cieniu drzew. Lato 1939 roku było niezwykle piękne i bardzo długie. Trasa, którą musieliśmy pokonać, była dla mnie zawsze męcząca i nudna, i aby zmęczenie to przezwyciężyć, w ukryciu przed otoczeniem zwykle robiłem z długiego kija bardzo skocznego „konia". I tak w rytmie końskiego galopu pokonywałem odległości, wyprzedzając mamę. Gdy wyprzedzenie było dostatecznie długie, siadałem razem z „koniem" na zielonej murawie i czekałem, aż mama mnie wyprzedzi. Po takim wypoczynku wyruszałem na swoim „koniu" w dalszą drogę, powtarzając tę samą sztafetę. Stosując taką metodę skokową lżej mi się szło i czas się nie dłużył, nie było monotonii, no bo czasami nawet i „koń" odmawiał posłuszeństwa i należało go skarcić. W tym jednak dniu zrezygnowałem z jazdy konnej. W tak poważnej chwili harcerzowi nie przystoi zabawa, harcerz powinien zaprawiać się w trudach marszowych. Żyłem już cały czas wojną. Widziałem, w wyobraźni, naszą całą drużynę harcerską w bitwie, jak razem z żołnierzami wykonujemy z honorem ważne zadania. Przecież po to nosimy mundury. Biłem więc znienawidzonego Niemca, który odważył się pluć nam w twarz, aż do ostatecznego zwycięstwa. Po odniesionym zwycięstwie byłem bohaterem, którego podziwiała nie tylko własna rodzina. Niestety, nic z tych rzeczy się nie zdarzy. Od połowy przebytej drogi gnębić mnie zaczęła myśl, że choć prawdziwy harcerz powinien brać udział w obronie ojczyzny, to jednak drużyna nasza, w/g informacji mamy, nie została postawiona w stan pogotowia i na ewen-

tualną wojnę nie wyruszymy. Pozostaniemy w swoich domach. Nic mnie bardziej zasmucić nie mogło. Nie dane mi będzie spożytkować mego uniesienia patriotycznego i moich umiejętności zdobytych na obozach. Mama szła zamyślona, czasami nawet popłakiwała, co mnie bardzo dziwiło i nie mogłem znaleźć odpowiedzi, jaki może być powód tego płaczu. Przecież taka wojna, chociaż nie potrwa długo, każdemu Polakowi umożliwi zostać bohaterem. Więc po co się martwić? Szliśmy tak razem nie przeszkadzając sobie w rozmyślaniach i dociekaniach. Byłem już bardzo zmęczony i spragniony. Przy gościńcu na trasie z Niżnowa do Koropca, tam gdzie stała obudowana głęboka studnia z bardzo zimno źródlaną wodą, zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Po ugaszeniu pragnienia i krótkim odpoczynku – wyruszyliśmy już gościńcem do Niżniowa.

Po powrocie do domu, pomimo zmęczenia, nie mogłem się oprzeć ciekawości i natychmiast poszedłem do cioci Julii. Tam zasłyszałem, jak starsi rozmawiali, że jeżeli dojdzie do wojny, to nasze bezpieczeństwo wśród Ukraińców będzie wątpliwe. Oni już dziś są albo obojętni, albo zaczynają głośno myśleć o swoich sprawach, o możliwych korzyściach, jakie mogą z tej wojny wynieść.

Ostatniego dnia sierpnia bardzo sumiennie przygotowałem się do szkoły. Tornister pełen nowych książek i zeszytów, mundurek wyprasowany, i aby dobrze przed uroczystościami wypocząć, wcześnie poszedłem spać. Rano, podniecony i pochłonięty wszystkimi myślami, jak też będzie wyglądała nauka w drugiej klasie, gdy kończyłem ostatni kęs naszykowanego przez matkę śniadania, do mieszkania wpadł jak bomba kolega jeszcze z pierwszej klasy i radośnie krzyczy, że szkoły nie będzie, bo wojna... We dwójkę pobiegliśmy na plac szkolny, gdzie już zebrała się grupka dzieciaków odświętnie ubranych, czekając na rozpoczęcie roku szkolnego. Była już chyba godzina dziesiąta, do zebranych wyszła z budynku szkolnego nauczycielka i oznajmiła, że mamy iść do domu, ponieważ rozpoczęcie roku szkolnego nastąpi w terminie późniejszym, o czym wszyscy zostaną powiadomieni. Wróciłem do domu, ale mamy jeszcze nie było. Musiała zabezpieczyć w szkole materiały, za które była odpowiedzialna. Poszedłem zobaczyć, co się dzieje w miasteczku, a następnie odwiedziłem ciocię. Na rynku było spokojnie, ale duży ruch. Chłopi, którzy przywieźli swoje płody do sprzedania, nie wiedzieli jeszcze, że Niemcy napadli na Polskę, a gdy do nich ta wieść dotarła, za sprzedane płody zaczęli wykupywać ze sklepów wszystko, co na wsi będzie przydatne. Żydzi zdezorientowani część sklepów zamknęli. Mieszkańcy Niżniowa również uwijali się za towarami pierwszej potrzeby. Wyglądało na to, że lada moment sklepy

będą puste. U cioci zastałem rodzinną naradę. Wszyscy byli podnieceni i poruszeni. W radio komunikaty potwierdzały niemiecką napaść i wdarcie się przez naszą granicę. Dopiero teraz, coraz wyraziściej, zaczęło do mnie docierać, że wojna ta dla moich bliskich ma ujemne znaczenie, że nikt nie chce zostać bohaterem, wszyscy są zatroskani i przestraszeni. Ciocia Jula zapłakana. Mąż jej, jako żołnierz Obrony Narodowej będąc na manewrach do domu już nie wrócił, pozostał w szeregach wojska. Ciocia pozostała bez większych zapasów, z dzieckiem i w trzecim miesiącu ciąży. Pieniądze za sprzedany dom włożyła na zakup materiałów budowlanych nowego domu i teraz została bez środków utrzymania, bez domu i bez pracy. Babcia, pamiętająca dobrze pierwszą wojnę wiedziała, jakie straty materialne i moralne niesie za sobą wojna. Ponadto miała w wojsku syna Janka oraz trzech pozostałych, których mogą powołać w każdej chwili, jeżeli jeszcze nie powołali. Władysław w Tyśmienicy, a Stanisław w Nadwornej – od nich żadnych wieści. Stryjek Kazik, jako jedyny syn, opiekun rodziny w Niżniowie rozważa możliwość wyjazdu, ponieważ obawia się, że Dniestr i mosty na nim mogą być przyczyną bombardowań. Te wszystkie rozważania, nerwowe rozmowy zaczęły mnie napawać strachem. Jeszcze nie pojmowałem, ale czułem, że spotyka nas coś bardzo złego. Stryjek Kazik jako żołnierz rezerwy, a więc wojennie przygotowany, pouczał nas, jak należy zachowywać się i postępować w czasie bombardowań lub gdyby użyto gazów, i że w żadnym przypadku znalezioną czekoladę nie należy spożywać – jest zatruta.

Atmosfera była przygnębiająca. Teoretyczne znaczenie słowa „wojna", pochodzące z opowiadań i z książek, w których dla mnie na czele szła przygoda, nabierać zaczęło praktycznego znaczenia, gdzie lęk, strach, bałagan i niepewność jutra wysuwa się na plan pierwszy i gdzie nie przewiduje się bohaterskich czynów. W mojej chłopięcej głowie nie mieściło się tyle nieszczęść i spustoszeń, ile przynosi i pozostawia po sobie wojna. W dotychczasowym moim pojęciu wojna to piękna bohaterska przygoda, a tymczasem zachowanie mojego starszego otoczenia nie wróży nic z tej przygody. W następnych dniach w radio z Warszawy, nadawano optymistyczne w treści, ale tragiczne w głosie komunikaty, że Westerplatte broni się, ale też, że ...uwaga nadchodzi...

Ja jednak, pomimo narastającego lęku, miałem niezmienne marzenie; nadal bardzo chciałem dokonać czegoś niezwykłego, a najbardziej chciałem zostać dowódcą i wygrywać bitwy z naszymi wrogami. Ponieważ nie mogłem swoich marzeń ziścić, bardzo bolałem nad nieużytecznością moją w tak wielkiej sprawie, za jaką uważałem obronę ojczyzny. To pragnie-

nie było silniejsze od strachu. Dziś widzę, w jak dużym stopniu przez wychowanie można oddziaływać na młody umysł.

W takiej nerwowej atmosferze i wyczekiwaniu przetrwaliśmy kilka dni września. Nie pamiętam w którym to było dniu, na naradzie rodzinnej, bojąc się narazić dzieci na bezpośrednie działania wojenne, bez większego jednak przekonania postanowiono Niżniów opuścić. Jedynie babcia postanowiła pozostać w swoim domu. Jej doświadczenia z pierwszej wojny nie zezwalały na opuszczenie swojego dobytku. Miała już 64 lata i była obojętna na działania frontowe. Dla niej gorsze zło to zostać bez dachu nad głową.

Drogi były już zatłoczone uchodźcami i wojskiem. Część świadomie dążyła do granicy rumuńskiej, inni zaś nie bardzo zdawali sobie sprawę, gdzie i w jakim celu podążają. Zdezorientowani szli, aby najdalej znaleźć się od Niemców. Któż na początku września mógł przypuszczać, że nie Niemcy będą tych terenów pierwszymi okupantami, a nasi sąsiedzi ze wschodu.

Późnem wieczorem my również wyruszyliśmy w drogę. Stryjostwo z Krystyną, ciocia Jula z Nusiem i mama ze mną. Ciekawy byłem tej wędrówki, chociaż w skrytości, pod wpływem atmosfery strachu osób starszych, bardzo się bałem. Bałem się już nie tylko wojny, która trzymała wszystkich w napięciu i niepewności i która coraz groźniej zbliżała się do nas, ale bałem się też tych piekielnych ciemności, w których pokonywaliśmy polne, nierówne drogi. Wyruszyliśmy przez górę Cmentarną, następnie przez polne równiny do Bukowiny, z zamiarem przedostania się do Ostry, dużej wsi za Dniestrem, gdzie stryjenka Marysia miała kuzynkę. Tam mieliśmy przeczekać krytyczne chwile. Były to tereny poza szlakami komunikacyjnymi, całkiem na uboczu, dokąd prowadziły jedynie ścieżki leśne i polne drogi. Z lasu, stromą ścieżką, ze skarpy gęsto zalesionej schodziło się na polną drogę ciągnącą się wzdłuż Dniestru. W tym miejscu przed wojną kursował mały prom, którym przewożono wędrowców i turystów w obie strony. Stryjek liczył, że rano uda nam się przeprawić. Całą trasę poznałem dopiero trzy lata później, kiedy zajmowałem się handlem wymiennym. Ale teraz wracamy na Bukowinę. Noc naszej wędrówki była potwornie ciemna. Jako najstarszy z dzieci szedłem pieszo i pomimo że mama trzymała mnie za rękę, ciągle potykałem się i wpadałem w jakieś doły, które akurat zawsze były pod moimi nogami. Dziwiło mnie, dlaczego starsi, idąc przecież tą samą ścieżką, czy drogą co ja, nie potykają się. Stryjek, chociaż posiadał latarkę nie używał jej twierdząc, że istotną sprawą w czasie wojny jest maskowanie swojego

miejsca pobytu, swojego położenia. Zastanawiało mnie to bardzo, bo gdy byliśmy już na Cmentarnej, skąd Niżniów widoczny był jak na dłoni, w dole widziałem jadące samochody na pełnych światłach i nikt się nie przejmował, że zostaną wykryci i zbombardowani, a tu małe światełko może nas zdekonspirować? Dziś dochodzę do wniosku, że te obawy, ostrożność podyktowane były nie w obawie przed Niemcami, a przed tubylcami. Nawet małe światełko mogło z daleka ściągnąć rabusiów.

Gdzieś po północy dotarliśmy na odpoczynek do znajomego gajowego, którego dom położony był w głębi Bukowiny. Jeszcze przed wojną, jak i później w czasie okupacji, w towarzystwie babci w domu tym bywałem wiele razy. Jego piękne położenie mogło zachwycić każdego. Mała, równinna polana, obszerny dom o białych jak śnieg ścianach i rdzawo-czerwonym dachu z gospodarskimi zabudowaniami i głęboką studnią po środku. Wszystko to otoczone głębokimi jarami i liściastym lasem. Stare buki i dęby oraz młode graby jesienią zawsze dawały kolorystycznie tak piękny krajobraz, tak piękną mozaikę, że często chodziło się w to miejsce tylko dla tego piękna. Dziś przypomina mi ten pejzaż bardzo łudząco obraz podarowany mi przez stryjka Kazika. Obraz ten w spadku otrzyma Jurek, a po nim Michałek, jego syn. Ma zostać przy nazwisku.

W domu gajowego podobnych nam uciekinierów była już spora grupa. Z trudem znaleziono nam trochę wolnego miejsca na odpoczynek. W każdej izbie ludzie ułożeni jak śledzie w beczce odpoczywali, nabierając sił na dalszą bezcelową wędrówkę. Następnego dnia, z nieznanych mi bliżej przyczyn, wróciliśmy wszyscy do domu. Zapewne doszli do wniosku, że przed tą wojną nie ma bezpiecznego miejsca, wszędzie ona poluje na człowieka i wszędzie jednakowo narażeni jesteśmy na jej zgubne działanie. Widok koczujących w tej gajówce ludzi z pewnością był tego potwierdzeniem. Myślę, że nie bez znaczenia były też doświadczenia dziadków z poprzedniej wojny. Do domu wróciliśmy tą samą drogą, ale dziury mi już nie przeszkadzały, dotrzymywałem kroku dorosłym.

W tych smutnych, pełnych rozterki dniach widziało się moc ludzi szukających ratunku w ucieczce w nieznane. Ruch na trasach komunikacyjnych z dnia na dzień stawał się większy, żywszy, nieuporządkowany i coraz bardziej rozpaczliwy i agresywny. Szczególnie zwiększające się ilości żołnierzy polskich, ciągnących ze Stanisławowa oraz z innych stron – wojsko koncentrowało się w miasteczku lub przez nie przemaszerowywało. Jedni, najczęściej zmotoryzowani, razem z samochodami cywilnymi jechali dalej przez Dniestr do szosy zaleszczyckiej, inni zaś, piesi i jeźdźcy konni, drogami polnymi na przełaj do Rumunii.

Wszyscy byli sobie podobni, zmęczeni, zrezygnowani oraz często głodni i spragnieni. Niektórzy żołnierze usiłowali zdobyć ubranie cywilne, inni kupić konie, jeszcze inni nie widząc sensu dalszej wędrówki zostawali u przygodnych znajomych, aby przeczekać najgorsze lub wręcz natychmiast wracać do domu. Nikt już nie mówił o dezercji i nie odczuwało się żadnego dowodzenia. Te obrazy oraz rozpaczliwe komunikaty radiowe dawały przygnębiające widoki upadającego państwa, które nawet guzika oddać nie zamierzało. Czy aby tak wyglądał ostateczny upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej w XVIII wieku?

Wszędzie dużo porzuconego sprzętu wojskowego. Ukraińcy wszystko, co nadawało się do wzięcia brali i chowali w swoich skrytkach. Broń, a szczególnie broń strzelecką, co bardziej przewidujący ukrywali głęboko przed postronnymi. Umundurowanie, koce i inny sprzęt natychmiast wchodził do użytku domowego.

Pamiętam, że do babci przyszedł młody oficer i mając łzy w oczach prosił o przechowanie jego szabli i pistoletu wraz z amunicją. Solennie obiecał w dogodnym czasie zgłosić się po te rzeczy. Metalowe części zabezpieczyliśmy smarem, wszystko razem owinęliśmy starymi szmatami oraz peleryną żołnierską i w małej skrzyneczce zakopaliśmy w ogrodzie, gdzie być może do dziś leży i czeka na ten dogodny czas. O zakopanej broni wiedziała tylko babcia i ja. Pomagałem temu oficerowi konserwować i kopać dół. Zobowiązaliśmy się o tym nikogo nie wtajemniczać. Ja jednak nie dotrzymałem tajemnicy i po pewnym czasie pochwaliłem się przed ciocią Julą. Ciocia jednak tego nie pochwaliła, a o dotrzymywaniu tajemnic, do czego się wtajemniczony zobowiązuje – usłyszałem długi wykład. Było mi wstyd i teraz powtórnie obiecałem nikogo nie wtajemniczać.

Mnie bardzo interesowały maski przeciwgazowe oraz bagnety. Uzbierałem tego sporo, aż mama, bojąc się konsekwencji, kazała mi cały ten arsenał wynieść z domu.

Czas mijał, pogoda wyjątkowo była piękna, ale wydarzenia i echa z pól bitewnych docierały do nas bardzo niepokojące, a to, co widzieliśmy na drogach, potwierdzało te wieści. Zaczęliśmy się już przyzwyczajać do scen na drogach i zmiennych sytuacji. Zaczęliśmy oczekiwać na najgorsze. Nawet już oczy suche były. Tak jak przy ciężko chorym, bliscy początkowo rozpaczają, płaczą, a po pewnym czasie oswajają się z chorobą, przestają płakać i godzą się nawet z odejściem. Podobnie społeczeństwo polskie zachowywało się we wrześniu 1939 roku. Zachowaliśmy jedynie jeszcze odrobinę łez na ostateczną rozpacz, kiedy nastąpi agonia. Wszystko co się działo wokół, utwierdzało nas o nieodwracalnej klęsce. Trzeba było

długich i mozolnych lat życia, żebym zrozumiał w pełni rozmiary tej klęski. Wtedy jeszcze nie w pełni rozumiałem tych tragicznych dni, czułem jedynie swoim chłopięcym sercem, że dzieje się coś, co śmiertelnie zagraża mnie i mojemu otoczeniu i czego nie da się już odwrócić.

W drugiej połowie września do Niżniowa dotarła wieść złowroga, że bolszewicy są już przed Dniestrem, że droga na Zaleszczyki odcięta. Wszyscy kierujący się za Dniestr, w wielkiej panice i nieładzie ruszyli na drogi i ścieżki polne, które prowadziły na południe, do Rumunii, na skróty. Stojąc na podwórku babci z góry obserwowałem, jak Przewałem przepychał się tłum ludzi różnych nacji, widziałem tę paniczną ucieczkę przed bolszewikami, która trwała kilka godzin. Wyglądało to widowisko przerażająco. Panika i ograniczona przepustowości Przewału dały upust co silniejszym. Końmi tratowali pieszych, a wszyscy przedzierali się przez to wąskie gardło, aby tylko zdążyć wyjść na polne bezdroża i nie dać się wziąć bolszewikom. Spłoszone konie, krzyki, nawoływania, płacz – to sceny na które gapiłem się osłupiały i przerażony, stojąc nad przepaścią, w której, jak na Średniowiecznym obrazie kłębowisko potępionych ciał ludzkich, z którego każdy potępieniec chce się wydostać.

Trwało to długo, bardzo długo, a ja się zastanawiałem, dlaczego my nie uciekamy, jeżeli bolszewicy są tacy groźni. Gdy ta ciżba się przerzedziła, nastąpiła cisza, a na ulicy pozostało wiele porzuconych rzeczy, które powoli znikały w domostwach Ukraińców.

Nie wszyscy wędrowcy i nie wszyscy żołnierze uciekali. Część uciekinierów – zrezygnowani i zmęczeni – biernie czekała na metę swojej ucieczki przed Niemcami. Bolszewicy jednak do miasta w tym dniu nie wkroczyli. Dopiero po dwóch dniach od tych pamiętnych scen, w godzinach rannych od strony Dniestru słychać było odgłosy zbliżających się strzałów. Do miasta zbliżyły się tankietki, z których od czasu do czasu puszczano serie z KM, chociaż nikt żadnego oporu nie stawiał. Po godzinnej przerwie z wielką paradą do Niżniowa wkroczyło wojsko. Na czele kolumny pieszych, na rosłych koniach, jechała orkiestra grając skocznego marsza. Wyglądała imponująco, ale kroczące zaraz za nią wojsko spieszone wyglądało bardzo nędznie. W porównaniu do naszych żołnierzy bolszewicy wyglądali wręcz niechlujnie. Długie, obszarpane płaszcze, niektórzy odziani byli jedynie w długie wypuszczone bluzy, czapki o dziwnym kroju zakończone u góry szpicem z naszytą olbrzymią czerwoną gwiazdą wyciętą z sukna, karabiny długie, na parcianych paskach z długimi bagnetami sterczącymi wysoko nad głowami maszerujących.

Jedynie ci na koniach mogli zaimponować. Konie rosłe, długie czarne szable i błyszcząco wyczyszczone instrumenty.

Stałem wśród dzieciaków i kilku osób dorosłych w miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno stał pokrwawiony chłop dyskutując z policjantem, i gapiłem się na te dziwne, umundurowane stwory ludzkie, których nazywano bolszewikami, przed którymi nasz wspaniały, bojowy, odważny żołnierz tak panicznie uciekał Przewałem do Rumunii. Nie wszystko było mi zrozumiałe. W mojej wyobraźni oprócz niemieckich również i ci bolszewiccy żołnierze byli naszymi śmiertelnymi wrogami. Oni wykorzystując nasze osłabienie zadali nam cios w plecy, którego nie spodziewaliśmy się. Ale zaraz nachodziły mnie inne myśli: jak taki żołnierz nędznie ubrany z karabinem na sznurku mógł pobić naszego żołnierza? Tego nie mogłem zrozumieć, było to ponad moje zdolności rozumowania. Wychowany byłem w atmosferze wrogości do Niemców oraz głębokiej pogardy i niechęci do Sowietów. Postawę tę kształtował kościół, szkoła i rodzina. Teraz widząc ich maszerujących w naszym miasteczku nienawidziłem ich jeszcze bardziej. Tam na ulicy, stojąc i gapiąc się na maszerujące kolumny, pierwszy raz usłyszałem pogardliwe przytyczki i spojrzenia wyrostków innych narodowości. Poczułem żal do naszych żołnierzy za przegraną wojnę, za gorycz klęski. To była dla mnie harcerza rozpaczliwa, haniebna chwila. W moich wspomnieniach z tego dnia zachowało się odczucie poniżenia i strasznej grozy, jaką niosły maszerujące kolumny parcianych żołnierzy.

Na rynek, gdzie Rada Żydowska i przedstawiciele ukraińskich organizacji witali uroczyście „wyzwolicieli" i gdzie bolszewicy przyjmowali resztki naszych żołnierzy do niewoli, już nie poszedłem. Nie mogłem. Było to ponad moje możliwości psychiczne. Wojsko jeszcze maszerowało, ale ja wróciłem do cioci i kiedy jej opowiedziałem, co się dzieje na ul. Piłsudskiego, zauważyłem, że po policzkach cioci płyną łzy. Płakaliśmy razem, cicho, bez histerii. Czułem dziecięcym sercem, że mój świat, chociaż nie był światem dobrobytu, ale był światem sytości i spokoju – runął w gruzy i już nigdy nie odżyje, że moja ukochana ojczyzna, która tyle lat cierpiała w niewoli jest nadal hańbiona i nikt w jej obronie nie zamierza stanąć. Te chwile jeszcze dziś stoją mi przed oczami. Mój patriotyzm został boleśnie zraniony.

2

Pierwsze miesiące nowej władzy radzieckiej

Psychiczny uraz wrześniowej klęski działał jeszcze wiele tygodni. Nam, Polakom trudno było pogodzić się z hańbą i poniżeniem dostarczanym przez „wyzwolicieli", za jakich bolszewicy się mieli i o czym głośno krzyczeli. Wiedziałem, że utraciliśmy wolność, że nastąpiła wymiana urzędników w magistracie na niepiśmiennych krzykaczy i potakiwaczy, i że Ukraińcy i Żydzi notowani są wyżej od Polaków w hierarchii społecznej, ale nie byłem jeszcze świadom, co to w praktyce oznacza. W pierwszych tygodniach nowej władzy nie pojmowałem jeszcze w pełni rozmiarów ani znaczenia poniesionej klęski, która będzie przyczyną upadku zwyczajów kształtowanych przez pokolenia, naszej nędzy i barbarzyńskiego traktowania.

W naszą codzienność wdzierały się nie znane nam nowe obyczaje w propagandzie. Częste mitingi, na które spędzano dorosłych, stały się areną globalnego potępienia burżuazyjnego i obszarniczego rządu polskiego z całą bezwzględnością. Tam precyzjnie wyjaśniono, że oni, władza radziecka i Czerwona Armia, wyzwolili nas spod ucisku kapitalistów i polskich panów, że teraz wszyscy są równi i mogą w pełni zachwycać się prawdziwą wolnością. Często któryś z ukraińskich działaczy wznosił okrzyk: „hej żywe mudraja partia bolszewikow" lub „hej żywe bat'ko Stalin".

Za Domem Polskim pod Gajem, w każdy wieczór instalowano letnie kino. W ciemne i chłodne już wieczory na wolnym powietrzu wyświetlano różne filmy, przeważnie propagandowe. Chodziłem na te kinowe seanse i od tego czasu, przez wiele lat, stałem się i byłem zapalonym kinomanem. Na filmy te zwykle chodziłem z Staszkiem Kaczmarkiem, który po filmie odprowadzał mnie do babci na nocleg. Babcia w tym czasie pozostawała w starym domu sama i raźniej jej było na tym pustkowiu, jeżeli miała

możliwość z kimś porozmawiać. Dom częściowo był już po rozbiórce, ale w jednym pomieszczeniu można było jeszcze mieszkać, chociaż było okrutnie zimno. Zimą w każdą noc zamarzała woda. Wracając z imprezy kinowej długo rozgrzewałem się w łóżku.

Pod koniec października lub na początku listopada otwarto szkołę. Rozpoczęcie roku szkolnego było bardzo uroczyste. Młodzież zebrano na placu szkolnym i pod groźbą kary nakazano nam regularnie uczęszczać na lekcje. Były dekoracje odświętne, dużo czerwieni, portrety Stalina no i oczywiście długie polityczne przemówienia. Mówiono o wrogach, o socjaliźmie, o partii i o dobrodziejstwie, jakim jest darmowa nauka w radzieckich szkołach. Okrzyki na cześć Stalina też były. Gdy już wszyscy porządnie zmarzli, rozprowadzono nas do klas. Przyjęto mnie do drugiej klasy i już w pierwszym dniu spotkała mnie w tej klasie pierwsza przykrość. Wychowawczynią naszej klasy została młoda Ukrainka, która w tym roku zdała małą maturę w gimnazjum kupieckim w Stanisławowie. Nie miała najmniejszego pojęcia o nauczaniu, nie mówiąc już o wychowaniu. W czasie zapoznawania się z uczniami dała mi książkę z ukraińskim tekstem i kazała na głos czytać. Nie znałem jeszcze w owym czasie biegle tego języka nawet w mowie, a co dopiero w piśmie. Nieśmiało przyznałem, że nie potrafię po ukraińsku czytać. Wtedy ironicznie wychowawczyni zapytała: jak to, prymus i nie potrafi czytać? Do końca lekcji wywodziła przed nami, jak dalece dzieci polskie były faworyzowane w przedwrześniowej szkole, zapominając, że przecież w tej obszarniczej Polsce ona, choć Ukrainka, kształciła się i gdyby nie wojna skończyłaby średnie wykształcenie, którym, niestety, rzadko który Polak mógł się w tym czasie legitymować. Swoje wywody zakończyła stanowczym stwierdzeniem, że tacy jak ja prymusami w jej klasie nie będą. Jej stanowisko było w jaskrawej sprzeczności z tym, o czym mówiono na placu szkolnym, a mówiono o równości, o sprawiedliwości… Niestety, nasza nauczycielka na każdej lekcji upajała się wolnością, jaką Ukraińcy zdobyli dzięki Armii Czerwonej, a każdemu uczniowi Polakowi potrafiła w prymitywny sposób dokuczyć i obrzydzać szkołę. Zapamiętale uczyła nacjonalizmu ukraińskiego i nienawiści do wszystkiego, co polskie. Zadawnione urazy przodków odświeżyła i wkładała w nasze niedojrzałe umysły oraz sączyła w nasze serca. Nawet na lekcje przychodziła w ludowym stroju ukraińskim. Zraziła mnie do tego stopnia, że nie chciałem uczęszczać do takiej szkoły. Zacząłem opuszczać lekcje wymyślając na usprawiedliwienie coraz to nowe powody. W domu tłumaczono mi, że dobrze jest umieć wszystko, bo w życiu zawsze przydaje się, czego w szkole się dziecko uczy, że język

ukraiński, czy też rosyjski, to nie ma znaczenia, a nawet więcej, umiejętność posługiwania się obcym językiem w przyszłości może być bardzo owocna. Ciocia Jula nawet sugerowała, że wpajana przez nauczycielkę nienawiść do polskości może w przyszłości u dzieci polskich zaowocować głębokim patriotyzmem. Te argumenty jednak do mnie nie docierały. W dalszym ciągu jak tylko mogłem szkoły unikałem. Nie mogłem sobie poradzić ze swoją niechęcią i lękiem przed wychowawczynią. Zacząłem sobie wmawiać, że harcerz nie powinien chodzić do szkoły w której uczą tylko w języku obcym, a zwykła niechęć do nauki w języku ukraińskim zaczęła przybierać formę patriotyzmu.

Mamę wezwano do szkoły i zaczęto jej grozić konsekwencjami za moją nieusprawiedliwioną absencję w szkole, ale nawet te groźby nie mogły mnie zmusić do tego obowiązku. Po tej rozmowie kilka dni pokazywałem się w klasie i ponownie wagarowałem. Do takiej szkoły uczęszczać nie chciałem i zacząłem się jej panicznie bać.

Aktywnych politycznie spośród Żydów i Ukraińców było wielu. Wyrastali jak grzyby po deszczu. Gdzie oni byli przed wojną? Żydzi przed wrześniem mieli szeroko rozwinięte interesy i kontakt z władzami polskimi i z Polakami; Ukraińcy, szczególnie bogaci chłopi i sklepikarze (byli i tacy), którzy powiększali swoje majątki bez żadnych ograniczeń i cieszyli się uznaniem społecznym – z dnia na dzień stali się gorliwymi zwolennikami bolszewizmu i władzy radzieckiej. Trudno było uwierzyć w takie szybkie przeistoczenie się. Wszędzie wypływali, jak rozlana oliwa, na mityngach, w urzędach, w szkole, deklarując swoje oddanie nowej władzy. Szczególnie uaktywniali się tam, gdzie tępiono polskość i wszystko, co z nią było związane. Gorliwi przed wojną, teraz w obliczu władzy bolszewików stali się jeszcze gorliwsi. Gdyby władza nakazała lub nawet podsunęła pomysł, gorliwi działacze i ze strony ukraińskiej, i ze strony żydowskiej gotowi byli popełnić każde świństwo, ze zbrodnią włącznie, byleby tylko władzy tej się przypodobać, zdobyć jej zaufanie. Taki np. Chałak – chłop bogaty, przed wojną aktywny prorządowo, społecznik, cieszący się uznaniem całej społeczności, był pierwszym, który inicjował wrogi stosunek do Polaków. To on wkroczył do kościoła i sprofanował ołtarz, rabując monstrancję, która stanowiła świętość Katolików. Był gorliwy w denuncjacjach i nieustannie dręczył Polaków osobiście. Takich osobników było więcej, chociaż większość Ukraińców przyglądała się biernie, bez angażowania się w tę polityczną rozgrywkę. Niedługo ci „wyzwoleni" cieszyli się przywilejami. Pierwsze rozczarowania przyszły, kiedy nakazano Ukraińcom pochować „syno-żoute fany", a Żydom zamy-

kać sklepy. Chyba do grudnia w obrocie był jeszcze polski złoty, ale gdy wprowadzono do obiegu rubel, w sklepach żydowskich zrobiło się pusto, nikt nie dysponował rublami i to pomogło w zamieraniu handlu i zamykaniu sklepów prywatnych. Jako takie zaopatrzenie w towary odczuwało się jedynie w sklepie spółdzielczym, w tzw. ukraińskiej kooperatywie. Był to jedyny sklep z czasów przedwojennych akceptowany przez nową władzę. Pojawiły się, nieznane dotąd kolejki. Nawet sól była towarem trudnym do zdobycia.

Z tego okresu zapamiętałem atmosferę ulicy naszego miasteczka. Uliczne przyśpiewki i tańce czerwonoarmistów, picie wódki z butelki pod ogórek lub czarne suchary, którymi czasami obdarowywano dzieciaków, palenie papierosów skręcanych z grubo krojonego tytoniu i skręcanego w gazetowy papier, a czasami pojawiały się na czarnym rynku ciemne bryłki cukru. Na naszych oczach zmieniał się folklor. Chłopom zaczęto przydzielać ziemię folwarczną. Zapanowała wśród chłopstwa histeria. Wszyscy chłopi, ci bogaci i ci biedni, chcieli z tej parcelacji jak największą ilość ziemi zdobyć, nie licząc się wcale z możliwościami jej uprawy swoimi siłami. Pazerność chłopa jest iście kosmiczna, szczególnie jeżeli chodzi o ziemię. Chłopi ukraińscy przeżywali okres bogacenia się, tylko nieliczni byli sceptycznie do tej łaski nastawieni. Oni wiedzieli, że lada moment i tak zostaną zrzeszeni w kołchozach.

Kiedyś poszedłem z mamą na miting, na którym mieli podać informacje o przydziale żywnościowych produktów. Miting zwołany został do czytelni ukraińskiej. Stół prezydialny stał na scenie, a za stołem siedział już jeden czerwonoarmista, z którym rozmawiał znajomy mi Ukrainiec. Zasłyszałem taką mniej więcej rozmowę – Ukrainiec pyta tego żołnierza, jeżeli ty, jak powiadasz, jesteś Ukrainiec spod Kijowa, to dlaczego nie mówisz po ukraińsku, jak my tu wszyscy Ukraińcy. Czym to można wytłumaczyć, że na Zachodniej Ukrainie, gdzie nas Polacy gnębili, wszyscy znamy swój język, a u was przy tak dużej wolności mało kto zna swój język. Żołnierz na te pytania nawet nie usiłował odpowiadać, spuścił głowę i tempo patrzył na swoje zniszczone buty. Tak złożony problem zrozumiałem dopiero na Syberii, gdzie mieszkaliśmy wśród sporej grupy Ukraińców, którzy nie znali swojego języka. Rusyfikacja zrobiła swoje.

W grudniu 1939 roku Iwańczyk, w którego domu mieszkaliśmy od kilku lat, zrealizował swoje plany z 1936 r. wyrzucając nas z mieszkania. W przeciągu jednego dnia kazał nam się wyprowadzić i nie było żadnej dyskusji. Nie mieliśmy dużego wyboru. W podobnej sytuacji znalazła się ciocia Jula. Paliwoda, tłumacząc się potrzebami rodzinnymi, a taki

przed wojną był prawomyślny i życzliwy Polakom – również wymówił mieszkanie. Po wyprowadzeniu się cioci mieszkanie to wynajął rodzinie rosyjskiej. Ciocia nie mogła tego przeboleć i ciągle przypominała znajomym, że przed wojną dzięki stryjkowi Kazikowi Paliwoda dostał dobrze płatną pracę na kolei, a teraz wykazał tyle niewdzięczności. Był prawie Polakiem. Chwile wręcz tragiczne. Zima w pełni, a my bez dachu nad głową. Z pomocą przyszła Kaczmarka, siostra teściowej cioci Julii. Anna Kaczmarka była prostą kobietą i o ile dobrze pamiętam nawet czytać nie umiała. Była wdową z dwoma synami. Kazimierz w 1939 roku służył w wojsku i w pierwszych dniach września zginął. Śmierć syna Kaczmarka przeżyła bardzo boleśnie, opłakiwała go przez całą wojnę. Młodszy syn Stanisław, z którym chodziliśmy na te same seanse filmowe, dostał pracę poza Niżniowem i Kaczmarka w swojej biednej chałupie mieszkała sama. Chałupa składała się z sieni, małej stajenki i izby z dwoma małymi okienkami. W tej izbie zamieszkaliśmy jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Po prawej stronie tuż za piecem stało jedno łóżko, na którym spały Kaczmarka z teściową cioci, po środku stał stół z ławą pod oknem, z lewej strony stały dwa łóżka – na pierwszym od wejścia spaliśmy ja z mamą, a na następnym ciocia z Nusiem. Pamiętam, że w czasie ciężkich mrozów Kaczmarka przyprowadzała do izby na nocleg małego cielaczka, żeby w stajni nie zamarzł. W tej izbie wykonywało się wszystkie zajęcia domowe – od prania, gotowania, do parzenia paszy dla krowy włącznie. Sześcioro osób w małej izbie to stanowczo za dużo. Korzystałem z tego zamieszania i całymi dniami byłem poza domem. Były to moje pierwsze samodzielne decyzje w wyborze kolegów i sposobu spędzania czasu. Co mi zostało w pamięci z tego mieszkania to ciasnota i zaduch oraz zgodność współlokatorek. Nie słyszałem żadnych utyskiwań. Wszyscy znosili tę niedogodność cierpliwie pomagając sobie wzajemnie. Mama sprzedała wszystko, co nie mogło zmieścić się na nowym lokum. Za pieniądze ze sprzedaży mebli i części sprzętu domowego zakupiła ziemniaków, fasoli, kaszy, mąki oraz trochę opału. To miało starczyć na przeżycie zimy, a zima była wyjątkowo ciężka, z dużymi opadami i niskimi temperaturami non-stop.

Pomimo że warunki mieszkaniowe były ciężkie, wyżywienie nędzne, odzienie jeszcze gorsze, to jednak okres ten wspominam przyjemnie, z jakimś sentymentem. Obiektywnie wytworzone warunki narzuciły mi odmienny sposób życia, rzucając mnie na szerokie wody. Po raz pierwszy otrzymałem dostatecznie dużo swobody. Swoim czasem – po wykonaniu swoich obowiązków, a należały do nich przynoszenie wody ze studni

miejskiej oraz rąbanie drzewa na opał – mogłem dowolnie dysponować, bez tłumaczenia się, gdzie, z kim i w jakim czasie. Dzień cały spędzałem poza domem, nikt mi tego nie zabraniał, a nawet zachęcano mnie do sanek i nart, obym tylko nie przeszkadzał i tak już w przeludnionym domu. Ciągle przebywałem, pomimo przenikliwego zimna, na ślizgawkach. Z nowym otoczeniem zapoznałem się i szybko oswoiłem, przestałem się bać chłopców, a nawet zaprzyjaźniłem się z największymi w Przewale chuliganami. Najczęściej przebywałem w towarzystwie Staszka Giełbutowicza, starszego ode mnie o kilka lat i największego łobuza. Bali się go wszyscy chłopcy, bez względu na narodowość i wiek. Ojciec Staszka, były ekonom na pobliskim folwarku, polskiej narodowości, matka zaś pochodziła z rodziny mieszanej, ale cała rodzina katolicka. Staszek miał dwie siostry. Obie zostały w Związku Radzieckim, najstarsza zamieszkała w Moskwie. Stacha w latach pięćdziesiątych, przypadkowo spotkałem na rynku w Nowej Rudzie, gdzie z rodzicami osiedlili się na stałe. Widać było, że towarzystwo, z którym stał, było mu całkowicie podporządkowane i nie cieszyło się uznaniem przechodniów. Zamieniliśmy kilka słów obiecując spotkać się w innych okolicznościach. Do drugiego spotkania jednak nie doszło, ale w latach sześćdziesiątych, poprzez Józka Wiśniewskiego, Staszek złożył potrzebne mi do akt oświadczenie o mojej pracy zarobkowej w charakterze pastucha w latach czterdziestych. Staszek zimą 39/40 był moją ochroną, ja zaś jego tutumfackim. Musiałem wykonywać wszystkie jego polecenia, a już samo jego towarzystwo chroniło mnie przed ewentualnymi napastnikami, zapewniało mi nietykalność osobistą. Kiedyś pożaliłem się, że starszy chłopak Ukrainiec, notabene jego sąsiad, groził mi pobiciem, bo mnie nie lubi. W wyniku tego grożący mi przez kilka dni chodził z podbitym okiem, a ja cieszyłem się z bezpieczeństwa.

Staszek nauczył mnie dużo, ale przede wszystkim dużo złego. Pod jego czujnym okiem poznałem życie. Dzięki niemu poznałem smak papierosa, smak bimbru i zobaczyłem pierwszy raz dziewczynę publicznie zdejmującą swoje odzienie do nagości. Nauczył mnie grać w karty i bić się z chłopakami. Przy nim poznałem ciężką pracę w jego gospodarstwie i przebogate słownictwo chłopców z Przewału. Staszek uczył też mnie stolarki i rzeźbienia w drzewie lipowym, a gdy rzeźbiliśmy lalki do wertepu, wprowadzał do stodoły hożą dziewkę i kazał jej nago godzinami w zimnie pozować przy rzeźbieniu. Dziś przyznaję, że miał talent i zamiłowanie do drewna. Staszek również zrezygnował ze szkoły i podtrzymywał mnie w tym uporze. Swoją edukację uważał za skończoną. Przed naszą znajomością nie znałem brzydkich słów, przekleństw, ani wstydliwych

uczynków. Po krótkim intensywnym szkoleniu towarzysko przygotowany byłem pod każdym względem i Stacha to była zasługa. Dzięki niemu i pod jego nadzorem wykonałem dla siebie z drewna jesionowego „wspaniałe" narty, na których uczyłem się jeździć i które służyły mi przez całą zimę. Staszek miał duże, mocne sanki, na których zjeżdżaliśmy spod cerkwi Górnej, chociaż goniono nas stamtąd, lub z Bukowiny trasą kilometrową, aż do Głównego Traktu. Nie dbaliśmy o wygody w zjazdach, czym więcej osób uczepiło się tych sanek, tym sanki nabierały większej szybkości. Takie i inne eskapady imponowały mnie. Dla mnie było to coś nowego, nie tak dawno zabronionego. Trzymałem się kurczowo tej znajomości ze Staszkiem, pomimo że niejednokrotnie doznawałem od niego upokorzeń i kopniaków w tyłek, ale wolałem od niego, jak od innych. Pamiętam, jak razu pewnego w śnieżną zawieruchę przez cały dzień wywoziliśmy na jego pole, hen pod Bukowiną, gnój. Pomagałem w nakładaniu na sanie i na polu zrzucaniu na kupy. Przy tej pracy podarły mi się włóczkowe rękawiczki i zostałem bez. Następne dwa dni poświęcałem na leczeniu zbolałych dłoni i na szyciu nowych rękawic. Rękawice, które uszyłem z grubego sukna o jednym palcu służyły mi jeszcze przez następną zimę na Syberii. Potrzeba zmusza człowieka do wykorzystania swojej inteligencji i sprytu.

Już od początku drugiej połowy grudnia rozpoczęliśmy ze Staszkiem przygotowywać na ruskie Święta Bożego Narodzenia werstep, czyli taką ukraińską szopkę, z którą mieliśmy iść po kolędzie w czasie świąt ukraińskich. Każda z lalek bardzo szczegółowo była wyrzeźbiona i ucharakteryzowana. Całość misternie wykonana, do której mama jego przygotowała ciekawe teksty cerkiewno-ludowe w języku ukraińskim. Niestety, nie najlepiej jeszcze wtedy umiałem posługiwać się językiem ukraińskim i po kolędzie ze Staszkiem nie poszedłem.

Zbliżały się polskie Święta Bożego Narodzenia. Kiedy zastanawiam się, co mi najbardziej z mojego życia utkwiło w pamięci, jakie zdarzenia najczęściej wspominam z dzieciństwa, zawsze mam natychmiastową odpowiedź – wszystkie Święta Bożego Narodzenia lat trzydziestych i czterdziestych. Wspominam je z wielkim sentymentem, bo święta te to cały świat moich przeżyć rodzinnych, to świat moich iluzji i marzeń, to wreszcie lata beztroskie, to moje dzieciństwo i moja młodość. Dlatego chyba te święta, a przede wszystkim ich obrządek i patriotyczne kolędy wyryły w mojej duszy ślady, których już nikt nie zdoła wymazać. Lubiłem ponadto tę porę roku, w której świeży, biały śnieg przykrywał swoim puchem całą szpetotę końca błotnistej jesieni, zaś sama Wigilia,

która zawsze obfitowała, nawet w latach głodowych, w smakołyki i sama w sobie była wspaniałym misterium – dopełniała reszty.

Smutne były Święta w tym historycznym 1939 roku. W domach polskich krwawiły jeszcze świeże rany, panowało ogólne przygnębienie po utracie niepodległości państwowej i narodowej, po utracie bliskich oraz przed niepewnym jutrem – wśród żywiołu ukraińsko-żydowskiego. Dla wszystkich czujących serc polskich były to Święta smutne. Lęk obejmował nasze umysły, a wszystkich nurtowało pytanie, co będzie dalej?

Od połowy grudnia panowały silne mrozy i obficie zasypało śniegiem. Zima była ciężka. W ten tajemniczy wieczór wigilijny rodzina zebrała się u stryjostwa, obok Dolnej Cerkwi. Było to jedyne miejsce, gdzie mogliśmy się zgromadzić w komplecie. Mieszkanie było obszerne i ciepłe. Cały dom, w którym stryjek wynajmował mieszkanie, należał do ukraińskiej porządnej rodziny. Zbudowany był ciekawie, ze smakiem. Na wysokich fundamentach wzniesiono potężne ramy z grubych bali, a następnie wypełniono ściany od wewnątrz cegłą, a od zewnątrz deskami. Otwory okienne ozdobione płaskorzeźbami, a wejście do domu prowadziło przez ganek misternie udekorowany ludowymi wycinankami w drzewie. Całość pomalowana na zielono, a latem dodatkowo częściowo zarośnięta dzikim winem. Dom z ogrodem i sadem ogrodzony wycinanym wzorzyście parkanem. Wnętrze sieni tego domostwa wypełniały liczne sprzęty tradycyjnie ludowe. Święta bogate nie były, ale nie zaniedbano niczego, co wypływało z tradycji. Była więc choinka, był opłatek z miodem, potrawy tradycyjnie wigilijne, znalazły się nawet skromne prezenty pod choinką. Pamiętam, że otrzymałem wymarzony kozik. Babcia Paulinka, jak zwyczaj nakazywał, złożyła wszystkim życzenia świąteczne, łamiąc się z każdym z osobna opłatkiem. W czasie tej ceremonii dorośli byli bardzo poważni, a niektórym płynęły po policzkach łzy. Życzenia wzajemne wyrażały mocne pragnienie przetrwania do lepszych czasów. Smutniejszych Świąt nie pamiętam. Może te na Syberii. Nawet święta 1935 roku, zaraz po śmierci mojego ojca, nie były tak przygnębiające, smutek był jednostkowy, nie wychodził poza obręb rodziny, natomiast teraz w 1939 roku tragedia i smutek były powszechne, ogarniały cały naród.

W czasie kolacji do mieszkania weszli kolędnicy i swoją kolędą wnieśli do domu trochę radości i zapomnienia. Na pasterkę poszli dorośli, a dzieci pod opieką cioci Julii zostały w domu.

W takich też nastrojach powitaliśmy nowy 1940 rok, rok dalszych niespodzianek, nowych upokorzeń, ale też bogatych doświadczeń i większego hałasu życiowego. Żyliśmy z brzemieniem klęski, z poczuciem gorzkiego

zawodu. Sytuacja Polaków była nie ustabilizowana. Do głosu dochodzili coraz to inni ludzie, żądni władzy i odwetu. W początkowym okresie nawet kościół był penetrowany przez nacjonalistów przy cichym zezwoleniu bolszewików. W życiu i obyczajowości zachodziły duże zmiany. Nowe nieporządki, mitingi agitacyjne, pseudoreforma, wymazywanie polskości z życia publicznego, kolejki przed sklepem, to tylko niektóre nowości. Jedynie kościół, pomimo szykan ze strony Ukraińców oraz przeszkód stawianych przez okupanta, pozostawiał jeszcze oazą języka i obyczajowości polskiej.

Pamiętam, jak po uprzednim zrabowaniu przez okoliczną ludność ukraińską sprzętu klasztornego, a następnie wypędzenie przez Armię Czerwoną wszystkich zakonnic, klasztor zajęło wojsko. Żołnierze, korzystając z przejścia z klasztoru na górną galerię po lewej stronie głównego ołtarza, przesiadywali tam przeszkadzając w obrządku liturgicznym. W czasie odprawiania nabożeństwa słychać było przekleństwa, śmiechy, a często zrzucano popiół z papierosów i niedopałki z ich gazetowych skrętów. Złożona skarga długo była rozpatrywana przez dowódcę wojskowego, dopiero po ponownej skardze przejście zostało zaszalowane deskami. Zaraz po tej skardze NKWD aresztowało księdza, który po długim śledztwie zamęczony został na torturach. Do zbrodni tej w dużej mierze przyczynili się też nacjonaliści ukraińscy, donosząc władzom o nieprawdziwych wystąpieniach politycznych przeciw radzieckiej władzy tegoż księdza. Tym mordem pokazano społeczności polskiej, co ich może spotkać, jeżeli ośmielą się występować o swoje racje, jeżeli ktoś ośmieli się nawet myśleć inaczej, jak nakazują propagandowe hasła.

Ukraińcy również doznali pewnego zawodu. Z upływem tygodni, miesięcy, ci nieprzejednani nacjonaliści, po jawnym ataku na Polaków i na wszystko co polskie – uciszali się powoli. Po zdjęciu z masztu swoich barw narodowych zorientowali się, że to jeszcze nie to, czego oczekiwali, a oczekiwało wielu z nich wolnej Ukrainy, tak jakby nie wiedzieli, jaką wolnością cieszyła się Ukraina radziecka, ze stolicą w Kijowie, ilu ich rodaków zginęło w latach trzydziestych, dzięki tej samej władzy bolszewickiej.

Już w styczniu 1940 r. mama postanowiła o naszym wyjeździe z Niżniowa zaraz po połogu cioci Julii. U Kaczmarki, w tej małej chałupie, po urodzeniu następnego potomka Szklaryka będzie nam stanowczo za ciasno. Narazie zastanawialiśmy się, gdzie wyjedziemy – do Stanisławowa, czy do Pużnik. Innych możliwości nie było.

W drugiej połowie lutego – myślę, że było to chyba nocą z 18. na 19. – na sąsiednim łóżku odbył się poród. Nie zdążono nawet mnie na czas porodu

gdzieś wysłać na nocleg. Tej nocy obudziły mnie wzmożone szepty i duża, jak na nocną porę, ruchliwość podekscytowanych kobiet. Byłem zdziwiony i podniecony tymi wydarzeniami. Po pewnym czasie te dziwne zachowania się osób starszych i cierpienia rodzącej przerwał mocny płacz noworodka. Usłyszałem, że chłopiec… i zasnąłem. Rano, gdy się obudziłem, ujrzałem małą wystającą z becika główkę z ciemną grzywką. Zaraz musiałem dużo wody nanosić, bo ubytek z wczorajszych zapasów był znaczny.

Nowonarodzone dziecko, które moja mama podawała do chrztu, otrzymało imię Józef, tak jak jego ojciec. Zaraz po chrzcinach mama otrzymała list ze Stanisławowa, w którym ciocia Stefa zaprasza nas do siebie. Ciocia Stefa po wrześniu została z córeczką Martą sama. Wujek Romek po zmobilizowaniu poszedł na wojnę i nie powrócił do domu. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której do kraju wrócił dopiero w 1946 roku.

Przez dalsze dwa tygodnie pozostaliśmy jeszcze w Niżniowie pomagając cioci, na ile nas tylko było stać, by wreszcie w pierwszych dniach marca 1940 roku, po spakowaniu niezbędnych rzeczy wsiedliśmy z mamą do pociągu do Stanisławowa. Nikt z nas nie przewidywał, że wyjazd z Niżniowa tak fatalnie wpłynie na nasze życie.

3

Droga na Syberię

Był jeszcze marzec 1940 roku, a my już na dobre zaaklimatyzowaliśmy się w Stanisławowie. Chociaż duże miasto nęciło mnie swoją cywilizacją, to jednak z żalem żegnałem się z bliskimi mi osobami, z żalem żegnałem swoje ukochane miasteczko Niżniów, gdzie przeżyłem tyle szczęśliwych chwil i gdzie ostatnio po raz pierwszy w swoim życiu, korzystałem z pełnej wolności w dysponowaniu swoim czasem. W tę piękną zimę ostatnie całe dnie spędzałem na ślizgawkach, na trasach narciarskich w naszych górzystych partiach. Pagórki nasze nieduże, niegroźne, ale dawały szerokie możliwości uprawiania sportów zimowych dla chętnych w różnym wieku.

W Stanisławowie, niestety, tego dobrodziejstwa już nie było. Dom i spacer po mieście – to cała rozrywka. Większość dnia spędzałem w domu, najczęściej nad książką. Zima w dużym mieście nie ma tego piękna, tej delikatności, co zima w Niżniowie, a gdy przyszły roztopy, ulice w Stanisławowie były wręcz okropne. Dlatego większość czasu spędzałem w domu. Pierwszy raz poznałem, co znaczy nuda.

Nie pamiętam jaki to był dzień, mógł być piątek, a mogła też być sobota. Pamiętam, że w te dnie zwykle w łazience grzano wodę i braliśmy kąpiel. Po kąpieli, nie przeczuwając żadnych groźnych zdarzeń, wszyscy ułożyliśmy się do snu. Około trzeciej nad ranem obudził nas donośny krzyk i gwałtowne dobijanie się do drzwi naszego mieszkania. Wszyscy zerwaliśmy się z łóżek i pospiesznie zaczęliśmy się ubierać. Ciocia Stefa zestraszona zdecydowała otworzyć drzwi, bo w przeciwnym razie nieznany głos męski groził ich wyważeniem. Po otwarciu do mieszkania wtargnęło czterech uzbrojonych enkawudzistów z okrzykiem „ruki w wierch".

Wiele razy wracałem myślami do tej nocy, rozważałem brutalność i bezmyślne rządy bolszewików na tych terenach – nigdy nie znalazłem

i nie znajduję dziś moralnego usprawiedliwienia stosowanych represji wobec Polaków. Tego postępowania usprawiedliwić się nie da i tego upodlenia nie można zapomnieć. Jedynie można to rozważnie i przytomnie rozliczyć, dać właściwy wymiar krzywd i sprawiedliwą ocenę w historii naszych wzajemnych stosunków. Zbrodni popełnionych na Polakach przez rosyjskich siepaczy nie należy chować jako coś wstydliwego, nawet jeżeli ma to zaważyć chwilowo na naszej przyjaźni, która jest wątpliwa. Pamięć pomordowanych, zamęczonych i deportowanych powinna być zachowana. Trudno nam jest wybaczyć, a w żadnym razie nie możemy zapomnieć, chociaż partyjni przywódcy robią wszystko, aby głośno o tych zbrodniach nie mówić. Na dłuższą metę fałszowanie historii nie uda się. Oby odkłamanie naszych stosunków z Rosją bolszewicką nie odbywało się w „gorącej" atmosferze, a wszystko wskazuje na to, że pęczniejąca żółć kiedyś pęknie.

Wracam do Stanisławowa roku 1940. Wiedzieliśmy już wszyscy, nawet my dzieci, po co, a właściwie po kogo ci panowie przyszli o tak wczesnej porze. Od pewnego czasu Polacy żyjących na Kresach Wschodnich przygotowywali się do odwiecznego losu Polaków–Sybiraków. Prawie co dzień znajomi wpadali do cioci z wiadomościami, że tego wywieźli, tamtego aresztowali, a jeszcze innego zakatowali. Większość gromadziła żywność nadającą się do przechowywania, ciepłą odzież i inne potrzebne w takich okolicznościach przedmioty. My również przygotowywaliśmy się do ewentualnej niespodzianki, ale bardziej psychicznie niż materialnie. Odczuwaliśmy brak żywności na co dzień i nie mieliśmy możliwości robienia dużych zapasów. Owszem, trochę sucharów, herbaty, kaszy trzymaliśmy, jako żelazne racje, ale były to znikome ilości. Ponadto zapas przygotowywano na dwie osoby. Moja mama była przekonana, że jeżeli już zapadnie decyzja wywózki jej siostry, to nam w żadnym razie grozić nic nie może, jesteśmy przyjezdni, na tym terenie nieznani, korzystający z prawa gości – nikt z nas tu w Stanisławowie nie ma żadnych zaszłości, a więc nie może być żadnych motywów do podjęcia tak srogiej decyzji. Nie braliśmy serio pod uwagę tego słynnego w owym czasie porzekadła, jakie krążyło po mieście: „Jak posadzą, to na pewno winę znajdą". Dlatego na ewentualną wyprawę syberyjską przygotowywano jedynie na dwie osoby, tym bardziej że jak już wspomniałem z żywnością były poważne trudności, władza radziecka nas nie rozpieszczała. Anegdoty głosiły, że Moskale przywlekli do nas nie tylko srogą zimę, ale razem z nią też i nędzę.

Po wtargnięciu do mieszkania ustawiono nas twarzą do ściany z podniesionymi rękami. Rozpoczęto bardzo szczegółową rewizję. Jeden

z intruzów stanął przy drzwiach, drugi trzyma nas pod ścianą, a dwaj pozostali prowadzą szczegółową rewizję. Rewidowano wszędzie i szczegółowo wszystko przeglądano. Czego lub kogo szukano, nie było nam wiadome, ale odnosiło się wrażenie, że oni sami również nie bardzo wiedzieli, czego szukają i co powinni znaleźć. Szukając zaczęli nawet rozpruwać oszklony, duży obraz z Jezusem i owieczkami. Pamiętam jak ciocia Stefa, która znana była z temperamentu i ostrego języka, w pewnym momencie zareagowała pytaniem: „Czy w tym obrazie spodziewacie się znaleźć karabin?" Szukający zareagował ordynarnie „mołczat". Po pewnym czasie jeden z nich widząc, jak nam mdleją ręce, zezwolił je opuścić, co przyjęliśmy z wielką ulgą.

W czasie podróży dzielili się podróżni swoimi uwagami, opowiadano sobie, jak się zachowywali enkawudyści w ich domach. Okazało się, że tego typu zachowań nie stosowano w każdym domu. Tylko niektórzy byli doświadczeni rewizją, większości kazano od razu pakować się i wychodzić do samochodu lub do zwykłej furmanki. Rewizję prowadzono u rodzin szczególnie podejrzanych o jakąś aktualną działalność.

Po bezowocnej rewizji oznajmiono nam, bez podania powodów i szczegółów, że zostaniemy wywiezieni na inne tereny, a na podróż możemy zabrać rzeczy osobiste, pościel i żywność, nie przekraczające 50 kg na osobę.

Moja mama z dowódcą tego pacyfikacyjnego zespołu wszczęła pertraktacje, tłumacząc mu, że w Stanisławowie znaleźliśmy się przypadkowo, że jesteśmy gośćmi i właściwie nawet nic nie wiemy, o co tu chodzi, że nie mamy potrzebnych na daleką podróż rzeczy osobistych itp. Wszystkie te wywody potwierdzone zostały przez ciocię oraz przez dozorcę, ale żaden z argumentów nie okazał się przekonywującym, dowódca był nieustępliwy. W pewnym momencie zwracając się do cioci z przerażającą szczerością zapytał, a czy ty wiesz, za co ciebie zabieramy? Ta wypowiedź przedstawiciela władzy właściwie zamykała całą dyskusję, odrzucając wszelkie argumenty. Dowódca jednak widząc przerażenie na twarzy mojej mamy zaczął ją pocieszać dając nadzieję, że wszelkie nieścisłości zostaną wyjaśnione przy transporcie, gdzie naczelnik ma wszystkie dokumenty i imienne wykazy, w których będzie można sprawdzić, czy jesteśmy tam ujęci, czy też w spisach tych nie figurujemy. W tej sytuacji wszyscy zaczęliśmy się pospiesznie pakować. Zabraliśmy szczupłe zapasy żywności, bardzo w tym czasie popularny prymus z zapasem spirytusu, najpotrzebniejszą odzież, pościel oraz inne drobiazgi, które mogły być nam potrzebne w podróży. Niestety, w pośpiechu nie wszystko co konieczne było do życia zostało

zabrane. Wiele przedmiotów nie zdążyliśmy zapakować. Szczęśliwym trafem w ostatniej chwili mama zdążyła jeszcze zawinąć w prześcieradło komplet srebrnych sztućców, które rodzice otrzymali w prezencie ślubnym, oraz dwa garnki. Sztućce w późniejszych miesiącach ratowały nas przed głodem. Najgorsze, że nie mieliśmy za wiele żywności, bo i skąd mogliśmy ją zdobyć. Nowa władza nie była skora do zorganizowania na zdobytych terenach zaopatrzenia ludności w żywność. Sklepy były puste.

Wraz z bagażem wyprowadzono nas na ulicę, gdzie na nas i nam podobnych oczekiwał samochód ciężarowy marki ZIS-5. Bagażu nie ważono i nie kwestionowano, nawet jeżeli ktoś miał objętościowo za dużo, ponad normę wagową. Mieszkanie wraz z pozostałymi rzeczami zamknięto i zaplombowano. Po raz wtóry doznałem okrucieństwa wojny, która skazała nas na długą tułaczkę i poniewierkę.

Jeszcze w czasie pakowania rzeczy, kiedy pierwszy strach paraliżujący ruchy minął, wszyscy zaczęliśmy płakać, a właściwie nie tyle płakać, co dusić w sobie ten płacz, który tylko momentami wydostawał się na zewnątrz. Był to płacz bezsilności i żalu.

Nas i nasz bagaż załadowano na podstawiony samochód. W czasie, gdy nas wyprowadzano do samochodu zorientowaliśmy się, że nasi sąsiedzi zdołali już powiadomić krewnych wujka Romka i niektórych bliższych znajomych. Wszyscy w odpowiedniej odległości stali w grupkach popłakując i czekali na okazję, aby nas pożegnać. Byli strwożeni naszym opłakanym widokiem i również swoim niepewnym losem, czy też dzień jutrzejszy nie zgotuje im podobnej niespodzianki. Nikt nie był pewny dnia jutrzejszego. Dostępu do nas nie było i nikt nie mógł się zbliżyć, pożegnać się, wymienić ostatni uścisk.

Mroźny ranek, jak również nadmiar wrażeń wywołał w moim organizmie jakąś prawdziwą trzęsionkę, która wbrew moim oporom trzęsła moim ciałem, a najbardziej szczękały moje zęby. Zęby mi tak dzwoniły, że nawet warkot silnika i jazda tym gratem po kocich łbach nie mogły zagłuszyć tego dzwonienia. Dojeżdżaliśmy do miejsca, gdzie załadowywano wagony ludźmi okrutnie przestraszonymi. Wzdłuż ulic, którym jechaliśmy, chociaż godzina była jeszcze wczesna, ludzie stali grupkami i gapili się na ten wzmożony ruch samochodowy oraz furmanek, które również wykorzystywane były do zwożenia przyszłych Sybiraków. Samochód zatrzymał się i kazano nam wysiadać. Zeskakując z samochodu ujrzałem obraz, jaki w latach następnych często powtarzać się będzie. Tylko kolor mundurów się zmieni, dojdzie szczekanie psów i rozkazy wydawane będą w innym języku. Wszystko to zostanie powtórzone z perfekcją przez Niemców.

Plac, zastraszeni ludzie, okratowane drutem kolczastym wagony bydlęce i uzbrojeni żołnierze. Nie byliśmy jedynie bici i nie szczuto nas psami. Niemcy robili to brutalniej i z większą bezwzględnością.

Ciekaw wydarzeń badałem ten obraz, nie potrafiąc go jeszcze zrozumieć i ocenić. Spędzeni ludzie szybko byli segregowani w/g spisów i ładowani do wagonów towarowych, na niespotykaną dotąd skalę, na oczach licznych gapiów stojących w ciszy i zamyśleniu. W dalszym ciągu nie dopuszczano do nas postronnych. Po dotarciu na rampę załadowczą, przed wyznaczonym dla nas wagonem, mama natychmiast ponowiła wyjaśnienia niewątpliwą pomyłką zaliczenia nas do grona tych ludzi stojących przed wagonami. Naczelnik tego targowiska, do którego dostała się po wielkich trudach, oświadczył, że powinniśmy swoją sprawę zgłosić na miejscu, w domu, tam należało dowodzić swoich racji, teraz on naczelnik transportu nie ma na takie drobiazgi czasu, jego zadanie to doprowadzić transport do celu. Postara się jednak sprawą zająć w czasie podróży, kiedy będzie miał czas na analizę i jeżeli po zbadaniu okaże się, że prawdą jest to, co mama mówi, będziemy mogli wrócić do domu. Na potwierdzenie tego nakazał pisarzowi wciągnąć nas na wykaz, w którym figurowało nazwisko cioci i czekać na jego decyzję. Pisarz kopiowym ołówkiem, śliniąc go, na ostatniej pozycji wyraźnie wykaligrafował nazwisko i imię mamy plus syn Zbigniew. Mama już nie nalegała, bo dalsza dyskusja była bezprzedmiotowa, a dana nadzieja cierpliwego czekania z góry skazanego na fiasko – były fikcją, tylko dla pozbycia się petenta. Biedna mama tymi wykrętami była całkowicie skołowana, dlatego do sprawy tej już nie wracała w czasie całej podróży, tym bardziej, że ten naczelnik nie konwojował naszego transportu, on pozostał w Stanisławowie, komendantem okazał się inny oficer, a ten działał na podstawie listy imiennej, na której figurowaliśmy w świetle prawa. Nadzieje ostatecznie się rozwiały.

Ciocia długo analizowała i szukała w myślach i w rozważaniach przyczyn i osób, które mogły przyczynić się do jej i naszej niedoli. Pewnej odpowiedzi nigdy nie znalazła. Najczęściej podejrzenia padały na pewnego Żyda, z którym łączył ją jakiś zadawniony spór.

Wagon, do którego nas załadowano, był, jak pozostałe, wagonem towarowo-bydlęcym, bez urządzeń sanitarnych i bez ogrzewania. Środek wagonu posiadał wolną przestrzeń, zaś po obu jego stronach wmontowane były piętrowe prycze. Ponieważ wagon nasz był odrobinę dłuższy od pozostałych, przeto miał więcej pasażerów. Przeciętnie w wagonach podróżowało około 30 osób, w naszym było około 50.

Nam przydzielono ogólną pryczę przy oknie. Było to miejsce o wiele lepsze od pryczy parterowej, gdzie mocno trzęsło i było zimno. Pamiętam, że na naszej pryczy można było swobodnie leżeć w różnych pozycjach, ale siedzenie było niemożliwe, „sufit" nie pozwalał. Powszechnie przyjęta była pozycja łokciowa, która częściowo chroniła pasażerów przed odleżynami. Środek wagonu wykorzystano organizując spacery, spożywanie posiłków, towarzyskie spotkania oraz wydzielono część na miejsce intymne osłaniając je kocami. W tych ciężkich i trudnych warunkach rodacy wykazali dużo pomysłowości i sprawną organizację życia. Wszystko dopięte na ostatni guzik. Ponieważ wolniej przestrzeni nie było zbyt wiele, musiał obowiązywać jakiś ogólnie respektowany harmonogram dziennego życia. Nocą ze względu na brak światła wszyscy zajmowali swoje leżące miejsca i albo spali, albo po sąsiedzku gawędzili. Każdy z nas znał swój przydzielony czas na korzystanie z miejsc publicznych, a więc czas spaceru, czas posiłku itp. Zorganizowano apteczkę, a w osobie jednego z pasażerów, który był felczerem, pomoc lekarską. Skompletowano bibliotekę, a nawet zespół muzyczny. Zorganizowano życie wagonowe i ułożono mu regulamin. Była to społeczność chociaż skazana bez wyroku, ale zorganizowana i świadoma swego położenia. Kolejny raz Polacy wykazali prężność i zaradność w obliczu beznadziei.

Gdy skończono załadunek, sprawdzono raz jeszcze obecność w/g spisu eszelonu, w którym oficjalnie już figurowaliśmy, z wielkim zgrzytem i trzaskiem zamknięto za nami drzwi wagonu. W godzinach południowych transport nasz odstawiony został na inne tory, gdzieś całkiem już na obrzeżach Stanisławowa. Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy w daleką, która następnie okazała się też być nieskończenie długą w czasie – podróż. Od pierwszego dnia bardzo ściśle dzieliliśmy swoje racje żywnościowe, których ilość w naszej „spiżarni" nie napawała optymizmem. Inni mieli jej o wiele więcej, ponieważ od tygodni przygotowywali się do tej podróży.

W godzinach wieczornych transport nasz dotarł do Niżniowa, na przeszło godzinny postój wjechał na ślepy tor. W owym czasie ta linia kolejowa była jednotorowa i pociągi jeździły systemem wahadłowym. Pomimo że warty nie zezwalały na podchodzenie do transportu, ludzie przygodni nawiązywali jednak kontakt z nami. Mając miejsce przy oknie mieliśmy trochę szczęścia, wśród śmiałków mama dostrzegła znajomych, którzy natychmiast zorganizowali dwa bochenki chleba i trochę osolonej słoniny. Dostawa odbyła się przez odrutowane okno windą zrobioną z małego koszyka na długim sznurku. Ten koszyk umieszczony na sznurku służył

nam przez całą podróż do wymiany towarowej na postojach. Wartownicy na rozmowy przygodnych gapiów z pasażerami nie zezwalali, ale przymykali oczy na nielegalne dostawy żywności, zdając sobie sprawę, że z wyżywienia dostarczanego nam oficjalnie przez komendę transportu wyżyć było trudno. Znajomych tych mama poprosiła o powiadomienie rodziny o naszym położeniu.

Zawsze gdy byłem u babci Paulinki, z zachwytem patrzyłem na przejeżdżający pociąg w stronę Dniestru i wtedy marzyłem znaleźć się w tym pociągu i przejechać mostem przez Dniestr na drugą stronę. Jaka byłaby frajda zobaczyć jak rzeka wygląda w górnej części, gdzie jak mówiono jest szeroka i ma piękne widoki. Niestety nigdy tego nie doznałem, a nawet teraz w drodze na Syberię nie mogłem zobaczyć tych ciekawych widoków, bo była już noc. Nigdy więcej tym mostem nie przejeżdżałem.

Nocą dotarliśmy do Czortkowa. Wjazd do tego miasta utkwił mi w pamięci z powodu pięknych widoków. Ślimaczym tempem transport zdążał do stacji, a w dole migotały światła żyjącego organizmu miejskiego. Wyglądało to jak bezchmurne niebo nocą z niezliczoną ilością gwiazd. Następnych miejscowości na naszej trasie teraz już nie pamiętam. Przypominam sobie tylko niektóre, związane z jakimś niecodziennym wydarzeniem i gdzie udawało się nam zamienić coś z garderoby na żywność. Wymienny handel najczęściej dochodził do skutku w małych miasteczkach, gdzie najprawdopodobniej łatwiej było o żywność.

Transport nasz choć był transportem wiozącym ludzi z przywilejów pociągów osobowych nie korzystał, traktowano go jako transport rzeczy i na bocznych torach trzymano nawet po kilkanaście godzin. Puszczano go wtedy, gdy wszystkie już pociągi były odprawione. Dlatego postoje nasze były częste i długie. Strażnicy raz na dobę rozsuwali drzwi wagonu, puszczając nam trochę świeżego powietrza i dostarczając posiłek. Racje żywieniowe były nadzwyczaj skąpe. Wnoszono kocioł zupy, zwykle rzadkiego krupniku, 25 bochenków razowego i często bardzo kwaśnego chleba, trzy wiadra gorącej wody (tzw. kipiatok) oraz napełniali dużą bekę wodą zimną. Ten przydział dostarczono nam w każdym dniu chociaż w nieokreślonej porze. Największą zaletą tych posiłków było to, że były gorące. Jeżeli chodzi o ich kaloryczność, to była chyba na pograniczu długiego, głodowego konania. Już na terenach azjatyckich, kiedy nasze zapasy żywności poważnie zmalały, a u niektórych wyczerpały się całkowicie, starszyzna wagonu złożyła na ręce komendanta transportu protest w związku z bardzo niskimi, głodowymi racjami żywności. Wyjaśnienie było natychmiastowe i bez cienia niedomówienia. Komendant osobiście

przybył w czasie postoju do wagonu i wszem oświadczył: „Nie pracujecie, kalorii nie tracicie i to, co otrzymujecie w pełni do życia wam wystarcza". Gdyby nie handel wymienny nie wiadomo ile osób żywych dowieźliby do celu.

Najciekawsze pomimo tych udręk było jednak nasze życie rozrywkowe i kulturalne. Aby nie zwariować z nudów, organizowano różne formy rozrywek. Zorganizowany został zespół muzyczny, który dawał niezapomniane koncerty. Muzykowanie było najczęstszą i najwyższą formą rozrywki. Wykorzystywano przeróżne utwory muzyczne, od przedwojennych szlagierów, do utworów Moniuszki i muzyki poważnej. Grano i śpiewano pieśni kościelne, ludowe, patriotyczne, a nawet operetkowe. Repertuar był tak różnorodny, że mógł każdego zadowolić. Nawet strażnicy najczęściej na postojach stali przed naszym wagonem w czasie koncertowania. Jeden z członków orkiestry był zawodowym muzykiem, właścicielem skrzypiec. O swój instrument troszczył się do przesady. Kiedy drzwi wagonu otwierano, tenże muzyk swoje skrzypce natychmiast chował do futerału i dodatkowo owijał go kocem. Cały czas drżał, że nie są to warunki dla tak delikatnego instrumentu. Twierdził, że skrzypce, jak małe dziecko – delikatne i bardzo podatne na zmiany atmosferyczne i jeśli się o nie nie dba, to tracą swoje piękne brzmienie, swój oryginalny dźwięk. Uważano go za zidiociałego fanatyka, ale gry jego wszyscy chętnie słuchali. On sam jednak na szyderstwa i ironie uwagi nie zwracał, a o swoje skrzypce dbał bardziej niż o swoje zdrowie. Była też harmonia i trąbka.

Była wśród nas pani, która wróżyła z kart. Pamiętam że karty, którymi wróżyła, były bardzo zniszczone i bardzo kolorowe. Wróżby odbywały się w określonych godzinach na „deskowym" stole, wykonanym w wagonie z nieheblowanych desek, zdobytych jeszcze na terenie naszego kraju. Jeden ze strażników, za obfitą zapłatą, dostarczył kilka desek i parę gwoździ, z czego wykonano coś w rodzaju stołu, który służył nam do różnych celów. Z usług wróżki korzystali wszyscy dorośli, a niektórzy nawet po kilka razy. Nie wiem, na ile wróżby te sprawdziły się w życiu, natomiast zapamiętałem, że wszyscy podkreślali nieomylność pani wróżki w przepowiadaniu tych samych zdarzeń danej osobie w drugim, czy nawet trzecim wróżeniu, pomimo, że czasokres wróżenia tej samej osobie wynosił po kilka dni. Wróżka miała albo fenomenalną pamięć i zapamiętywała, co komu wywróżyła w pierwszym wróżeniu, albo posiadała umiejętność odczytywania w kartach losów ludzkich. Mojej matce wywróżyła, że przeżyje głęboką rozterkę duchową związaną z daleką podróżą. Nie przywiązywaliśmy do tego żadnej wagi i mama szybko o tym zapomniała.

Dopiero gdy otrzymaliśmy pozwolenie na powrót, przypomniano sobie o wyniku wróżenia. Rozterkę mama przeżyła bardzo mocno, podejmując decyzję o wyjeździe, kiedy jej siostra z dzieckiem pozostaje na obcej ziemi.

Najwięcej pracy w naszym wagonie niewątpliwie miał felczer pan Adam. Ludzie, w większości nieprzyzwyczajeni do trudnych warunków życia, cierpieli na różne dolegliwości, a po tygodniowym bezczynnym leżeniu, przy niewłaściwym odżywianiu, a właściwie niedożywieniu, zachorowania były tak częste, że pan Adam ciągle po kilka osób leczył. Jego opieka medyczna była na tyle skuteczna, że nikt nie chciał korzystać z wagonu sanitarnego, będącego w składzie transportu z lekarzem i sanitariuszami. Dziwić się należy, że przy takiej wegetacji i przy takich warunkach sanitarnych w naszym wagonie jedynie jedna osoba zmarła. Była to starsza pani, która zachorowała w czasie jazdy i nie było sposobu zatrzymać transport i przenieść ją do wagonu sanitarnego. Gdy transport zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce, ciało zmarłej zabrali sanitariusze i nikt z rodziny nie wiedział, gdzie zostało pogrzebane.

Pewnego dnia gruchnęła wieść, że zbliżamy się do Moskwy. Wszyscy chcieli być jak najbliżej okna i zobaczyć jak też wygląda ich stolica i jej mieszkańcy, jak są ubrani i jak będą reagować na widok bydlęcego transportu z ludzkim towarem. Transport jednak wjechał na jakąś podmiejską, cichą stacyjkę i zatrzymał się przy normalnym peronie osobowym, z ludzkim życiem dworcowym. Rzadko zatrzymywano transport przy peronie, zwykle zawożą nas na rampy towarowe, gdzie nie było zbyt dużo ludzi. Tym razem stało się inaczej, ale czy to była Moskwa, pewien nie jestem. Zaraz po zatrzymaniu transportu energicznie otwarto drzwi naszego wagonu i do jego wnętrza razem z powiewem świeżego powietrza wszedł strażnik i nakazał, aby dzieci do 16 roku życia zebrały się na środku wagonu. Na rodziców padł blady strach.

Obawiano się możliwości, że dzieciarnia zostanie odebrana rodzicom i oddana do domów dziecka i w ten sposób rodzice zostaną rozłączeni ze swoimi pociechami. Władzę radziecką stać nawet na taką zbrodnię. Jakie więc było miłe zaskoczenie, gdy do wagonu wniesiono dwa duże koszy, jeden z bułkami, drugi z cukrem. Każdemu z nas dzieciaków wręczono po dwie półrazowe bułki i po jednej bryłce niezbyt białego cukru, przy czym wręczając te dary, przy każdym dzieciaku strażnik wypowiadał z atencją sakramentalne zdanie „to od bat'ka Stalina". Teraz ilekroć jestem na uroczystości wręczenia odznaczeń, kiedy dekorujący wypowiada, że w imieniu tego, a tego dekoruję, zawsze mi się przypomina moment uroczystego wręczania bułek od Stalina. No, ale teraz można traktować

to humorystycznie, bez lęku, a wtedy dla nas strach był większy od frajdy konsumpcyjnej. Kiedy drzwi za strażnikami zostały zatrzaśnięte, orkiestra nasza dała piękny koncert, który zgromadził na dotąd spokojnym peronie licznych słuchaczy. Grano melodie polskie i rosyjskie, a na zakończenie tego koncertu odegrano Mazurka Dąbrowskiego. Ludzi przed naszym wagonem przybywało, a w naszej koszykowej windzie było teraz więcej żywności. Po Mazurku strażnicy zabronili orkiestrze grać, a ciekawskim nakazano rozejść się. Przy okazji tego wydarzenia zdobyliśmy tyle prowiantu, że wszyscy pasażerowie otrzymali swój przydział.

Czym bliżej końca naszej podróży, tym częściej trzeba się było zdobywać na pokorę wobec strażników, mieli oni bowiem uprawnienia nieograniczone w wypuszczaniu po kilka osób na spacer w czasie dłuższego postoju. Czym głębiej Związku Radzieckiego, gdy postoje transportu były dłuższe i na bezludziu – tym więcej osób decydowano wypuścić na świeże powietrze, ale tylko wtedy, gdy podopieczni byli grzeczni i posłuszni. Czasami zezwalano, jeżeli były możliwości, przyniesienia świeżej wody, poczynienia odpowiednich zakupów, a nawet wypicia w bufecie dworcowej herbaty. Z ulgą korzystaliśmy z tych dobrodziejstw i dbaliśmy o to, aby strażnikowi nie narażać się, bo mógł zabronić i nie wypuścić z wagonu nikogo. Ruch był nam potrzebny. Ludzie w czasie takiego pierwszego spaceru wyglądali trochę komicznie i jednocześnie żałośnie. Samo już zeskoczenie z wagonu wielu sprawiało duże trudności.

Nadmiar wolnego czasu w czasie jazdy w większości spędzano na dyskusjach. Poruszano przeróżne tematy. Współtowarzysze tej wyprawy byli o bardzo zróżnicowanym poziomie intelektualnym, kulturalnym i wiedzy, oraz różnym statusie społecznym. Wywodzili się z różnych środowisk i warstw społecznych, od robotników i kupców, do profesorów i posiadaczy ziemskich. Największe i najbardziej różniące tych ludzi były dyskusje o tematyce politycznej. Jednoczącym ich w tych dyskusjach było jedynie umiłowanie kraju ojczystego i nienawiść do Niemców. Pozostałe tematy i sprawy zawsze rodziły różnice poglądów, stwarzały spory i zażarte kłótnie dyskutantów, dając postronnemu słuchaczowi możliwość odnotowywania różnic w ocenie zachodzących zmian politycznych, gospodarczych, kulturalnych oraz ich przyczyn i skutków.

Największe różnice rysowały się przy „wrześniu". Przyczyn klęski każdy upatrywał w czym innym, wyszukując przeróżne błędy rządów sanacyjnych i splotów przypadków w polityce międzynarodowej. Z dyskusji tych panów można było doliczyć się dziesiątków przyczyn utraty

państwowości i co ciekawe, każdy z nich miał niezbite argumenty na swoje zdanie.

Był wśród nich jeden nauczyciel szkoły średniej (gimnazjum) ze Stanisławowa, znany ze swoich lewicowych przekonań, członek PPS i aktywny działacz społeczny. Przed wojną, ani też w czasie podróży nie taił swych sympatii do komunistycznych haseł, do zdobyczy rewolucji bolszewickiej, głosił wręcz, że komunizm to jedyna i najlepsza przyszłość ludzkości. Jako nauczyciel języka polskiego i aktywny działacz społeczny był przed wojną bardzo niewygodny władzom szkolnym, a po wrześniu niebezpieczny nacjonalistom ukraińskim i dlatego chyba podróżował razem z nami. Przed wojną groziła mu utrata tylko pracy w szkolnictwie, teraz jego ukochany ustrój zabrał mu wolność. Jego lewicowe poglądy na nic się tu przydały. Na podstawie doniesień – przyszli, zabrali – bez sprawdzenia wyznania czy poglądów politycznych. Był nauczycielem i to im wystarczyło. W czasie tych dyskusji wyczuwało się cały tragizm tego człowieka, jego wewnętrzne rozdarcie. Ludzie ideologii, której był apologetą, wsadzili go do bydlęcego wagonu i razem z innymi wywożą w nieznanym kierunku. On sam stał między barykadami, narażając się na ataki z obu stron. Ci którzy byli wrogo nastawieni do bolszewizmu, a takich w tym zbiorowisku była zdecydowana większość, przez cały czas tak mu dokuczali i tak zawzięcie się znęcali nad jego rozdarciem, że co wrażliwsi nawoływali, aby dać mu już spokój, że jego sytuacja wystarczająco go już pokarała za głoszenie tych komunistycznych herezji. Po wielu latach dowiedziałem się, że ten komunizujący nauczyciel wyjechał ze Związku Radzieckiego jako żołnierz Armii Andersa. Idea komunizmu po pobycie w tym wymarzonym przez niego ustroju była mu już obca i daleka, nie sprawdzalna w praktyce bolszewików.

W tych zażartych dyskusjach wypływał jeden zasadniczy wniosek – Sowieci wobec Polaków w 1940 roku popełnili kardynalny błąd, rodzący jeszcze dziś negatywne odczucia w naszym społeczeństwie. Przecież ci ludzie, w tym wagonie, w tym transporcie, w większości inteligencja, nigdy nie zapomną tej poniewierki, podeptanej dumy narodowej. Ci ludzie, gdziekolwiek będą, na miarę swoich możliwości, świadomie czy też podświadomie tę głupotę władzy radzieckiej przekazywać będą z pokolenia na pokolenie. Pokutować to będzie przez wiele pokoleń, tak jak żywa pamięć jest w narodzie sybiraków z czasów carskich.

W tych dyskusjach nigdy nie potępiano Rosjan jako narodu, potępiano i przeklinano bolszewizm, porównując go z caratem, przy czym wszyscy byli zgodni, że wywózki carskie nie były tak perfidne, w większości

opierały się na wyrokach sądowych, gdzie usiłowano chociaż pozornie stosować jakieś prawa – zaś teraz Polacy pozbawieni zostali elementarnych praw, karano zbiorowo, masowo i bez sądów.

Moje przysłuchiwania się tym wywodom poruszały mój umysł, wzbogacały ubożuchne wiadomości i wzbudzały we mnie zainteresowania historią, której nieznajomość pozbawiała mnie przyjemności zrozumienia wszystkiego, o czym rozprawiano, co było przedmiotem sporu, co dla dyskutantów przedstawiało wartość dowodową. To były dla mnie niezapomniane chwile, które zdecydowały o moich zainteresowaniach historią w późniejszych latach.

Do codziennych rozrywek zaliczyć należy też rozgrywki szachowe i brydżowe. Brydża nie znałem i nie wykazywałem tym rozgrywkom zainteresowania. Gra w karty znana mi była jedynie z czarnego Piotrusia. Fascynowały mnie natomiast szachy i ciągle gapiłem się, jak dorośli grali. Pewnego razu przyglądając się rozgrywanej partii szachów, bąknąłem nieśmiało zza pleców jednego z graczy, że według mnie najkorzystniejszym ruchem jest... W ten sposób odkryto jeszcze jednego partnera do szachów. Grę w szachy poznałem jeszcze w 1937 r., a nie mając w domu partnera, często grywałem sam na dwie strony, przechodząc z czarnych na białe i odwrotnie. Był to trening, który dopiero teraz owocował. Gdy szachiści dowiedzieli się, że gram w szachy, już do końca podróży byłem rezerwowym i często zasiadałem do partyjki, gdy wśród dorosłych nie było drugiego chętnego. Byłem dumny, że traktowano mnie poważnie. Czasami nawet dawano mi wygrać, ale niektóre moje ruchy zmuszały przeciwnika do długiego zastanowienia.

Większe poruszenie wśród pasażerów wywołał wjazd na most na Wołdze. Rzeka szeroka, a wody płynęły leniwie, o gliniastej barwie i z dużą ilością kry. Kra chyba nie była groźna, bo w dole, na rzece widoczne były małe statki rzeczne z dużymi dymiącymi kominami. Była już druga połowa kwietnia. Do Wołgi tereny były jeszcze ciekawe, urozmaicone, natomiast czym dalej od Wołgi na wschód, kiedy minęliśmy góry, krajobraz stał się monotonny, bezludny, a odległości coraz dłuższe. Przed nami było jeszcze ponad tysiąc kilometrów.

Gdy minęliśmy Wołgę największą radością naszą była możliwość swobodnych spacerów w czasie postojów transportu, a postoje czasami trwały kilkanaście godzin. Strażnicy, czym dalej na wschód, tym szerzej otwierali drzwi naszego wagonu i nie zabraniali wychodzić. Mogliśmy już dowolnie ćwiczyć ruch na świeżym powietrzu. Pamiętam, że wiele osób nie korzystało z tych przywilejów ze względu na trudne zejście z wagonu.

Wagony towarowe nie miały schodów i jeżeli transport zatrzymał się przy peronie wysokim, a była to rzadkość, to wyjście z wagonu jeszcze było łatwe, ale bez podwyższenia osobom starszym sprawiało wielką trudność.

Powoli, ale systematycznie przyzwyczajaliśmy się do nowego życia, pokonując trudy podróży. Ostatnim długim postojem był Swierdłowsk. Ze Swierdłowska transport nasz skierowano bardziej na południe. W wagonie zaczęto głośno rozmyślać, gdzie też nas dowiozą, ale z kierunku południowego, w którym teraz podążaliśmy, wszyscy byli zadowoleni, rozumiejąc, że na południu chociaż mrozy nas ominą. Mylili się. Przed tajgą drżeli wszyscy, uważano, że lasy syberyjskie byłyby dla nas zabójcze. W tym przypadku nie mylili się.

Pewnej nocy transport zatrzymał się i nastała cisza, gdy obie lokomotywy odczepiono i odesłano do uzupełnienia wody. Skoro świt do wagonu wszedł strażnik i oświadczył, że jesteśmy na miejscu i mamy zabrać swoje rzeczy i wysiadać. Miejsce zbiórki przed swoim wagonem. Znaleźliśmy się na prawdziwym stepie. W oddali zauważyłem kilka małych baraków, jakieś urządzenia kolejowe i nic więcej. Jeszcze raz sprawdzono obecność i przeprowadzono nas na plac obok jednego z tych barakowych zabudowań, który okazał się być stacją kolejową. Tam na udeptanym placu stały już furmanki i chłopi oczekujący na nasz przyjazd. Patrzyliśmy na siebie, my nieufni, oni z litością i sympatią. Po oficjalnym przemówieniu komendanta transportu rozpoczął się targ żywym towarem.

Nie pamiętam treści przemówienia. Z pewnością chwalił ustrój, Stalina, kołchozy i inne bzdurne słowa obowiązujące w każdym przemówieniu urzędowo-partyjnym. Ja byłem zajęty obserwacją otoczenia. Już po wyjściu z pociągu nie mogłem nadziwić się krajobrazem. Wszystko co mnie otaczało, było dla mnie nowe, tajemnicze, nawet wagonowe dyskusje nie dały mi tego obrazu, który roztaczał się przede mną. Podziwiałem spokojnie stojące wielbłądy zaprzęgnięte w furmanki, wozy chłopskie, inne od wozów, jakie widywałem na targu w Niżniowie, a najbardziej zainteresowały mnie tereny – płaskie i bezdrzewne.

Każdy z chłopów obecny na placu miał przydział na jedną rodzinę, którą musiał przyjąć do swojego domu i zapewnić jej utrzymanie w zamian za pracę. Każdy dorosły członek rodziny, którą chłop bierze do swego domu, ma obowiązek pracować w kołchozie na rachunek tego kołchoźnika, nazwijmy go, opiekuna. W związku z tym kołchoźnicy dążyli do zrobienia jak najkorzystniejszego interesu, a więc chcieli młodych, zdrowych i zdolnych do pracy fizycznej, lub bogatych, w przypadku

których mogli liczyć na obfite dary. Rodziny, gdzie byli starcy i dzieci oraz skromne bagaże, nie były mile widziane, one nie dawały gwarancji wyrobienia w kołchozie wystarczającej ilości „trudodni". W tym handlu nie mieliśmy dużych szans, na nas nikt nie reflektował. Mama i ciocia chciały być w jednym domu lub chociaż w sąsiedztwie, tymczasem dwie zmizerowane kobiety z dwojgiem małych dzieci nie miały wzięcia w ogóle. Tak więc staliśmy na placu z innymi podobnymi rodzinami, bez właścicieli. Ostatecznie jeden z kołchoźników zdecydował się na ciocię Stefę z Martą, a nas komendant przydzielił jego sąsiadowi. W ten sposób zostaliśmy własnością naszego opiekuna, który okazał się nawet sympatycznym człowiekiem. Gospodarz nasz, tak go będę teraz nazywać, pomógł nam zająć miejsce na jego furmance i ruszyliśmy w dalszą drogę.

W końcowym efekcie naszej podróży mieliśmy i tak dużo szczęścia w porównaniu do tych, których transport skierowany został dalej, na wschód, w głąb Syberii. Ci ludzie nie przyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej w surowym klimacie często musieli w tych ciężkich warunkach sami budować dla siebie schronienie przed zimnem i deszczem i sami sobie zapewnić byt. Tam ludzie marli z wycieńczenia, zimna i głodu. Nas te tragiczne uciążliwości minęły, myśmy trafili w porównaniu do nich w prawdziwy komfort stepowy. Mieliśmy dach nad głową i nie marliśmy z głodu.

Niestety, nie zapamiętałem nazwy tej końcowej stacji, chociaż do dziś tkwią mi w pamięci te baraczki w pejzażu stepowym i te furmanki zgromadzone na placu. Nie pamiętam też, jaki to był dzień. Przypominam jedynie, że następny był dniem świątecznem, może 1 maja, a może zwykła niedziela lub Święta Wielkanocne prawosławne.

4

Kazachstan

Po zetknięciu się z całą rzeczywistością surowego klimatu następowały liczne zdarzenia, które dla nas były czymś nowym, niepowtarzalnym przeżyciem. Zetknięcie z ludźmi, którzy okazali się być sympatyczni, wyrozumiali i bardzo ludzcy w życiu prywatnym, z ich obyczajami, poziomem życia – niejednokrotnie było dla nas zaskakujące.

Jadąc stepem lekkim wozem odczuwałem przyjemność i dużą radość. Jazda była płynna, bez szarpania i trzęsienia, jakby koła tego chłopskiego wozu były na gumowych obręczach. Droga prowadziła stepem, nigdy nie kończącą się równiną, jedynie czasami spotykaliśmy małe, jakby sztucznie usypane kurhany. Śniegu prawie już nie było, a pogoda obiecywała wiosnę, ale wiosnę bez kwitnących kasztanów i zielonych lip. Na uprawnych polach spotykaliśmy traktory, woły wprzęgnięte leniwie ciągnęły maszyny rolnicze, oraz krzątających się ludzi. Widziało się dużo maszyn rolniczych, o wiele więcej w porównaniu do Podola i Pokucia. Było to dla nas dużym zaskoczeniem. U nas maszyny rolnicze były w użyciu, ale na polach folwarcznych, natomiast chłop indywidualnie stosował pług, kosę i cep, który czasami wyręczała młockarnia. Tu, jak później się okazało, nawet mieli sporą ilość kombajnów.

Największe jednak wrażenie wywarła na mnie równina, płaszczyzna o nieskończenie długim horyzoncie. W Niżniowie teren górzysty i zachodzące słońce wydawało się być tuż tuż, a tu w stepie, nawet tarcza słoneczna, jakby była mniejsza, daleka i nawet bledsza. Jadąc stepem odnosi się wrażenie dreptania w miejscu, brak punktu odniesienia dla niewprawionego oka.

Po kilku godzinnej pełnych wrażeń przejażdżce dotarliśmy do wsi o nazwie Terentiewka, w której mieliśmy zamieszkać na stałe. Wieś duża, zabudowana w kwadrat domami z różnych „epok", najczęściej tzw. lepian-

kami lub inaczej ziemiankami. Pośrodku tego obudowanego kwadratu stała duża, murowana budowla, która kiedyś była cerkwią, a teraz przeznaczona na warsztaty maszyn rolniczych i traktorów. Liczne maszyny i traktory parkowane były bez większego porządku na obszernym placu rozpościerającym się wokół. Plac ten z całym składem maszyn i żelastwa oddzielony był od chłopskich zagród wiejską drogą. Zabudowania przydrożne były regularnie uszeregowane ze wszystkich stron, z wyjątkiem kilku gospodarstw usytuowanych od 100 do 150 m od skrajnych chałup. Budynki urzędowe, takie jak szkoła, sklep czyli „ławka", siedziba władz kołchozowych, oraz kołchozowe stajnie i obory pobudowano na uboczu za niewielkim stawem. Domy mieszkalne, ścianą czołową lub boczną, stały w równych rzędach przy drodze, natomiast chłopskie zabudowania gospodarcze budowano na zapleczu. Wszystkie zagrody wiejskie posiadały swoje oddzielne podwórka, ale żadna z zagród nie była ogrodzona. Na każdym podwórku głęboka studnia w większości z żurawiem. Za zabudowaniami gospodarczymi każda rodzina miała swój własny ogród. W jednej ścianie wiejskiego czworoboku tuż przy drodze stał na dość wysokim nasypie duży, drewniany wiatrak, a wewnątrz stary młyn, już od wielu lat nie używany.

Dom naszego gospodarza, typu lepianka, był nieduży, niski i starannie, włącznie z dachem, wyprawiony gliną. Do małej sieni wchodziło się wąskim wejściem zamykanym od wewnątrz prymitywnie zbitymi z desek drzwiami. Na prawo wejście bezdrzwiowe do stajni i obory, na wprost do ciemnego pomieszczenia spełniającego rolę spichlerza, a na lewo wejście do kuchni. Kuchnia urządzona była bardzo skromnie i zarazem surowo. Przy wejściu po stronie prawej stał piec, w którym gospodyni piekła chleb, bardzo smaczne pierożki i smażyła w tłuszczu ziemniaczane placki, tzw. żarinoje kartoszka. Dalej pod ścianą stała mała szafka z wieszakami na garnki, pamiętam, że miała kolor jaskrawo zielony. Obok tej szafki, zawieszony na ścianie, mały blaszany zbiorniczek na wodę wraz z ręcznikiem – służył do mycia rąk. W ścianie, między kuchnią a pokojem wbudowany był potężny piec. W kuchni było palenisko wraz z blatem kuchennym, a w pokoju było przedłużenie tego paleniska, tzw. piczka, na czym sypiała cała rodzina. Piec ten wraz z kominem zajmował około ¼ powierzchni pokoju. Ponadto w pokoju stały pod ścianą kufer, długi stół i dwie ławy. U sufitu podwieszana lampa naftowa, którą zapalano jedynie przy święcie, ponieważ ciągle brakowało nafty. Na ścianach wisiał zegar z kukułką napędzany odważnikami złotymi zwisającymi na długich łańcuszkach, portrety Lenina i Stalina oraz w rogu izby cały

zestaw ikon. Izba ta miała trzy małe pojedyncze okienka zamykane na metalowe haczyki. W kącie izby na niskim stoliku stał piękny mosiężny samowar. W domu tym mieszkała cała rodzina: gospodarz z gospodynią, ich dwóch synów i synowa z córką. Pozostali synowie służyli w wojsku; jeden w Stanisławowie i dwóch na Białorusi. Zawsze zastanawiałem się, gdzie tyle osób mogło się pomieścić, gdy synowie wszyscy byli jeszcze w domu.

Młodszy syn Kola był kaleką, ale bardzo zdolnym uczniem piątej klasy, dodatkowo uzdolnionym muzycznie. Grał na każdym instrumencie, jaki wpadł mu do rąk, w domu zwykle grywał na harmonii i na bałałajce. O nutach nigdy nie słyszał i nie mógł uwierzyć, że każda melodia może być nie tylko zapamiętana, ale też i zapisana. Starszy syn Jura dorastał do pełnoletności, a w szkole ciągle był w siódmej klasie, ale tylko teoretycznie, bo za moich czasów do szkoły nigdy nie zaglądał. Pamiętam, że z tego powodu ojciec ciągle robił awantury używając ciężkiej ręki, gdy zbyt mocno mu przewodniczący kołchozu nadokuczył.

Do rodziny tej zostaliśmy włączeni jako coś nieokreślonego, bez wyraźnego statusu, bez określonych praw i obowiązków. Jadaliśmy razem ze wszystkimi domownikami, z jednego garnka, sypialiśmy początkowo w tej samej izbie na łączonych ławach. Mama pracowała w kołchozie na rachunek gospodarza, ja zaś wykorzystywany byłem w posługach gospodarskich, a w okresie spiętrzenia pracy wysyłano mnie też do kołchozu.

Pierwszym zetknięciem z ich obyczajami, które nas początkowo szokowały, była bania. Jeszcze w transporcie niektórym z powodu niedomycia, szczególnie we włosach, zagnieździły się wszy, niektórzy cierpieli na świerzb, inaczej mówiąc, przedstawialiśmy sobą opłakany obraz wynędzniałych, brudnych koczowników. Dlatego gospodarze przygotowali banię, przewidując, że zwykłe mycie do czystości nas nie doprowadzi. Zaraz po przyjeździe zaprowadzono nas do takiej bani, która mieściła się w letnim domku po przeciwnej stronie podwórka. Z sieni na prawo była pojedyncza izba bez pieca, a po lewej małe pomieszczenie z małym oknem i z dużym paleniskiem pod spiżowym kotłem obłożonym kamieniami i wyposażonym w drewniane beczki z zimną wodą, ławy i coś w rodzaju stołu. Były tam też konewki drewniane oraz kilka pęków gałęzi brzozowych powiązanych jak powiązane są miotły. Bania gotowa była wtedy, gdy polane kamienie na palenisku wytwarzały parę, a woda w kotle bliska była wrzeniu. W sieni była rozbieralnia. Po zdjęciu odzienia, nago, wchodziła cała rodzina do bani i tam godzinę, dwie, w zależności jak

długo kamienie utrzymywały należytą temperaturę, zażywano kąpieli i biczowania tymi miotłami.

Pierwsza bania była dla nas bardzo krępująca. Mama nie mogła przełamać wstydu nagości wśród obcych ludzi. Ostatecznie jednak uległa perswazjom gospodyni, która ośmieliła nas swoją golizną. W ten sposób przełamana została na zawsze nieśmiałość i skrępowanie.

Z bani korzystaliśmy w rodzinnym, damsko-męskim gronie w każdą sobotę. W ten sposób oszczędzano na opale, urządzając banię koedukacyjną. Te parne kąpiele, szczególnie zimą, nie tylko zmywały z naszych ciał brud, ale też hartowały nasze organizmy przed zaziębieniami. Pamiętam, jak zimą nawet przy temperaturze –40°C nago wylatywaliśmy na podwórko i przez kilka minut nacieraliśmy się śniegiem, a następnie rozgrzewaliśmy się ponownie wracając do bani.

Po pewnym czasie dla gospodyni stałem się w bani niezbędny. Wręczyła mi dużą miotłę brzozową i kazała się obijać na wszystkie strony, a było w co bić. Gospodyni nasza była dobrze zbudowaną wiejską kobietą, same jej piersi były jak dwie piłki futbolowe. Obracała się, jak na rożnie, na wszystkie strony, a ja waliłem miotłą po tym cielsku leżącym na stole ile sił w ręku.

W czasie pierwszej kąpieli całe nasze odzienie oraz pościel używana w podróży zostały poddane działaniu gorącej pary i przez pewien czas pozostawione na gorących kamieniach. Wszystkie pasożyty przywiezione z transportu wytępiono dokładnie.

Następnego dnia gospodyni cioci Stefy zaprosiła nas na wspólny posiłek zakrapiany rosyjską wódką. Mnie poczęstowano tłustymi kiełbaskami. Do dziś czuję ich smak. Były tłuste, gorące i bardzo chrupiące. Mocno się przeliczyłem w swoich możliwościach. Gospodarze nie żałując zachęcali do jedzenia, a ja im nie odmawiałem. Żołądek, po tak długim, nieregularnym i skąpym odżywianiu, nie wytrzymał. Przez cały tydzień chorowałem.

Nasze początki bytowania u naszych gospodarzy były nawet przyjemne i zapowiadały dobre perspektywy na przyszłość. Domownicy uprzejmi, troskliwi i co dla nas było najważniejsze, traktowano nas rodzinnie. Jadaliśmy przy jednym stole i dosłownie z jednego garnka. Gospodyni równo obdzielała wszystkich, nie robiąc nikomu krzywdy. Gotowała zwykle w dużym spiżowym saganie bardzo treściwą zupę, w której najczęściej była kapusta, marchew, ziemniaki lub kasza, groch, cebula i od czasu do czasu mięso. Sagan pełny tej mieszaniny wkładano za pomocą specjalnych uchwytów w kształcie podkowy na długim drążku do pieca i pozo-

stawiano go tam na określony czas w gorącym powietrzu wlatującym od paleniska. Następnie sagan wyciągano i stawiano na kuchennym stole, przy którym wszyscy domownicy zasiadali na ławach z drewnianą łyżką w ręku. Później dowiedziałem się, że z gorącego sagana najwygodniej jest jadać łyżką drewnianą, bo tak szybko nie nagrzewa się jak łyżka metalowa. Zupę spożywaliśmy bezpośrednio z garnka bez pośpiechu, rytmicznie zanurzając łyżkę i nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Mięso, jeśli w zupie było, gospodyni uprzednio porcjowała i każdemu wraz z kromką chleba przydzielała na płaskim talerzu. Jeśli zupa była bezmięsna, to wtedy zwykle dodatkowo otrzymywaliśmy pieczone pierożki, byliny, ziemniaki smażone na słoninie lub zwykłe placki kartoflane. Chociaż posiłki ich były smaczne i kaloryczne, to jednak po tygodniu, dwóch mogły być już uprzykrzaniem kulinarnym. Polacy zaczęli wprowadzać zmiany w kuchni, zmieniając sposób odżywiania, poprzez nowe potrawy i inaczej przygotowane jarzyny. Mama zaproponowała gospodyni, że chociaż w niedzielę będzie przygotowywać posiłki, oczywiście z produktów dostępnych, bez dodatkowych wydatków. W tych niedzielnych obiadach w domu zaszły rewolucyjne zmiany. Zmieniły się niedzielne zwyczaje. Odczuwano ten dzień nie tylko jako dzień wolny od pracy, ale zmiany nastąpiły we wszystkim, co związane było z głównym posiłkiem. Stół był zawsze pokryty czystym obrusem, oczywiście przywiezionym ze Stanisławowa, obiad składał się z dwóch dań podstawowych i czasami z deseru, każdy jadł ze swojego talerza, a najważniejsze to urozmaicony jadłospis. Mama zawsze zaskakiwała nowym, nieznanym im posiłkiem. Pojawiły się nowe zupy, inne dania mięsne, surówki – nawet przyrządzona surówka z kiszonej kapusty zadziwiła ich oryginalnością. Gospodyni szybko spostrzegła, że przy tych posiłkach zaoszczędza się, szczególnie jeżeli obiad jest mięsny. Pamiętam, jak mlaskano z podziwem, gdy na stole jako deser pojawiły się knedelki z ciasta drożdżowego gotowane na parze i polewane bitą śmietaną. Była to dla nich uczta kulinarna najwyższej klasy. Niestety, w tygodniu jadaliśmy po staremu, a czasami gdy w kołchozie były pilne prace, to i takiego obiadu nie było. Wtedy jadaliśmy coś „na sucho", chleb i np. kawałek słonej słoniny. W niedzielę po obiedzie pito herbatę, najczęściej gorzką, brakowało cukru. Herbatę przyrządzano z całym rytuałem w samowarze. Pito ze szklanki, a starsi często pili ze spodka. Czasami do herbaty otrzymywaliśmy po jednej landrynce koloru malinowego. Pito wtedy na prikusku. Po obiedzie samowar w pogotowiu utrzymywano już do kolacji. Następnego dnia młodzież czyściła samowar do połysku.

W ten sposób w nowym środowisku pochłonięci nowymi zajęciami przezwyciężaliśmy żal i tęsknotę. Początkowo po przyjeździe na Syberię często mówiono wśród Polaków o powrocie, później coraz rzadziej taka nadzieja nas nawiedzała, aż wreszcie powrót w strony rodzinne stał się czymś abstrakcyjnym, nierealnym. Jedynie moja mama nie straciła tej nadziei i od początku wysyłała do Moskwy ciągle nowe podania do różnych dygnitarzy partyjnych i państwowych. Motywy wyrażane w skargach zawsze te same. Wywieziono nas pomyłkowo.

W naszym domu zaczęło się coś psuć. Atmosfera rodzinna nie trwała długo. Gdzieś w drugiej połowie czerwca gospodyni, po którejś z kolei rodzinnej awanturze, tym razem gospodarzowi, swojemu mężowi, urządziła karczemną awanturę. Gospodarz, już po pięćdziesiątce, ale jeszcze pełen młodzieńczego wigoru, wracając z kołchozu – a wracał zawsze po dużej wódce – zaczynał od umizgów do swojej synowej, ładnej i dobrze zbudowanej Sybiraczki lub do mojej mamy. Kiedyś nawet wrócił nocą, gdy wszyscy już spali, wlazł na piec i zaczął się kochać ze swoją synową. Awantura była głośna, a gospodarz tłumaczył się, że pomylił synową z żoną. Oboje wtedy dostali za swoje – mąż i synowa zostali pobici przez rozwścieczoną gospodynię. Oboje rano poszli do kołchozu z siniakami na twarzy. Gospodyni synowej przebaczyła, ale mojej matce za umizgi gospodarza nie darowała. Wprawdzie wiedziała, że mama wobec niej była lojalna, ale na wszelki wypadek wolała nie mieć świadków domowych awantur. Zostaliśmy wyjęci spod prawa i opieki, i wyekspediowani do samodzielnie stojącej lepianki, gdzie była też bania. W ten sposób odłączeni zostaliśmy od stołu. Do tego znacznie i ja przyczyniłem się. Gospodarz od początku darzył mnie sympatią i przy każdej sposobności stawiał mnie za wzór przed swoimi synami. Według jego ocen byłem mądrym i posłusznym chłopcem, czego nie mógł powiedzieć o swoich synach, szczególnie o starszym, który leniuchował, nie uczył się, zaczynał pić alkohol wykradany ojcu, awanturował się na wsi i ciągle z nim były kłopoty. O synach, którzy służyli w wojsku nigdy nie wspominał. Gospodyni swoich synów broniła i tu również dochodziło do sprzeczki, a na mnie zaczęła patrzeć nieprzyjaźnie. W taki sposób zostaliśmy skazani na banicję. Wprawdzie kontakty z gospodarzami były nadal żywe, ale na zasadzie tylko kontaktów sąsiedzkich.

Był to już okres pełnego lata i większych trudności w urządzeniu izby nie mieliśmy. Wszystko co zalegało w tej izbie zostało przeniesione do obory, ściany wybieliliśmy świeżym wapnem, po obu stronach zbito nam dwie prycze, sienniki wypchaliśmy słomą, kilka desek pod ścianą

z oknem służyły nam za stół i izba nadawała się do zamieszkania. W tym w dużym stopniu pomógł nam kołchoz, gdzie mama już regularnie od trzeciej nad ranem pracowała. Trochę garnków pożyczyli nam sąsiedzi, naczynia małe i sztućce mieliśmy swoje i tak po kilku dniach w tej nędznej szopie z niedomykanymi oknami i drzwiami urządziliśmy prawdziwą letnią rezydencję. Sąsiedzi podziwiali, jak w tak nędznej szopie można urządzić tak przyjemny kąt. Gorzej było z przygotowywaniem posiłków. Nie mieliśmy w tej izbie kuchni. Razem z Kolą, za pozwoleniem gospodarza, zbudowaliśmy na podwórku kuchnię z prawdziwym kominem, paleniskiem i jednolitym blatem nad paleniskiem. Płytę metalową dostałem w warsztatach. Po wielu latach, kiedy przyglądałem się, jak zdun, fachowiec w budowaniu pieców, męczył się przy stawianiu prawdziwego pieca, z dobrym „cugiem", uświadomiłem sobie, jak łatwo nam udało się sklecić tą kuchnię, która należycie funkcjonowała, a dym wylatywał kominem bez żadnych zakłóceń.

Kiedy było już na czym i w czym gotować, nie bardzo mieliśmy co gotować. Uratowały nas srebrne sztućce, prezent ślubny moich rodziców i wyjątkowa zaradność mojej mamy. Dwunastoosobowy zestaw jako całość nie przedstawiał większej wartości. Nikt na całość nie reflektował, były za drogie i kołchoźnikom mało przydatne. Jadano w tych okolicach łyżką drewnianą lub metalową, a widelców i noży przy posiłku nikt tu nie używał. A więc amatorów na cały komplet sztućców nie było. Wspaniałą myśl podsunął nam pewien technik dentystyczny ze Stanisławowa, który robił tubylcom sztuczne zęby, rozwijając interes na szeroką skalę. Do tego interesu potrzebował złota i srebra. Miał duże wzięcie, szczególnie u tutejszych kobiet, które chciały mieć coś błyszczącego w ustach. W wielu wypadkach ów technik pomysłowy w interesach na zdrowe zęby nakładał złotą lub srebrną koronkę, która upiększając usta dawała równocześnie świadectwo zamożności właścicielki takich zębów. W ten sposób powstało zapotrzebowanie na szlachetne metale, między innymi na nasze noże i łyżki. Każdą pojedynczą sztukę z kompletu było można sprzedać – można było wytargować godziwą cenę i nie było trudności o nabywcę. Sztućce, jedyna pamiątka rodzinna zabrana na Syberię ratowała nas przed głodem. Ostatnie sztuki sprzedaliśmy przed naszym powrotem do ojczyzny.

Mając trochę gotówki, mama wypożyczyła od sąsiadki maszynę do szycia. Maszyna ta nie była przez wiele lat używana i wymagała pewnych zabiegów konserwatorskich. W warsztatach, gdzie często zaglądałem, pomogli ją oczyścić z brudu i rdzy, naoliwiono metalowe części, dorobiono

urwaną korbkę do ręcznego napędu i maszyna nadawała się do szycia. W wolnych chwilach mama szyła, przeważnie dzieciom, proste sukienki, spódnice oraz przerabiała starą odzież. Za tę pracę otrzymywała zapłatę przede wszystkim w produktach. Baby przynosiły mąkę, ziemniaki, a czasem nawet kurę lub słoninę.

Lato 1940 roku było przepiękne. Wieś nasza położona na równinie stepowej, oddalona od głównych traktów komunikacyjnych, od wiosek i osiedli, była oazą na tym pustkowiu. Polne drogi z wioski wszystkie prowadziły w step i czym głębiej w step – gdzie kończyły się pola uprawne wydarte stepowi – tym słabiej w suchych trawach zarysowane były koleiny po wozach. Zawsze dziwiłem się, jak można nie zboczyć z głównej drogi. Dopiero gospodarz wyjaśnił mi – przy okazji naszej przygody, do której jeszcze wrócę – że konie same zawsze trafią do domu bez ingerencji człowieka.

Kilka kilometrów od naszej wioski płynęła rzeka o nazwie Toguzak, wąska, ale bardzo głęboka, jakby specjalnie przez ludzi pogłębiana. Na brzegu tej rzeki kołchoźnicy w dniach świątecznych urządzali sobie majówki. Brano ze sobą jadło, picie, instrumenty i na kilku wiejskich wozach dojeżdżano do celu. Tam nad tą rzeką bawiono się do wieczora. Tańce, śpiewy, kąpiel w rzece i dużo alkoholu. Było to chyba jedyne miejsce, gdzie zmęczony ciężką pracą kołchoźnik zapominał o troskach codzienności. Ta rzeka i jej brzegi to była prawdziwa oaza wśród kurzu i suchych traw stepowych. Rzeka płynęła przez step miejscami otoczona trzcinami i wysoką, zieloną trawą. Nigdzie nie widziało się śladów wystąpienia wody z brzegów rzeki, jedynie w niektórych miejscach rzece towarzyszyły małe bagienka, na których rosła bujna trzcina. Wszędzie prawie jednakowy rów, jakby sztucznie wykopany kanał 20 – 25 m szerokości, którym leniwie płynęła zawsze zimna woda. Prócz festynów ludowych i kąpieli tam też jeździliśmy na sianokosy i beczkowozami po wodę w czasie letniej produkcji cegieł, gdy w wiejskim stawie zaczynało brakować wody. Niejednokrotnie na trasie tej byłem poganiaczem wołów ciągnących beczkowozy.

Oprócz częstej nietrzeźwości mojego gospodarza cechowała go wesołość i gawędziarstwo. Opowiadał ciekawie, nawet o błahych sprawach mówił z ożywieniem. Pomimo nieprzyjemnego zgrzytu, nie utraciłem sympatii gospodarza. Nadal cieszyłem się jego względami. Pewnego pięknego letniego popołudnia zaproponował mi wyjazd po trawę świeżo koszoną i, jak podkreślił, w nagrodę za pomoc zaprowadzi mnie w jedno takie niezwykłe miejsce. Tam mało kto dociera, bo daleko, bezdroża i teren

kamienisty. Zaprzęgłem naszego konika do chłopskiego wozu, gospodarz zabrał kosę oraz, w skrytości przed gospodynią, butelczynę i wyruszyliśmy w kierunku rzeki. Do kąpieli chodziliśmy zawsze tam, gdzie rzeka swoim zakolem najbardziej zbliżona była do wsi, natomiast tym razem po wyjeździe z wioski zaraz skręciliśmy w lewo w górę rzeki. Jechaliśmy cały czas po stepowych bezdrożach, pośród wysuszonych burzanów i po dość długiej podróży z dala na horyzoncie oczom moim ukazały się nieduże wzniesienia. Czym bliżej tych wzniesień podjeżdżaliśmy, tym wyraźniej widziałem skalne wzniesienia, sporą ilość rosnących wokół brzózek i gęstą zieloną trawę soczystą, jak młoda koniczyna. Krajobraz tu był inny, niespotykany na tym stepowym terenie, wyglądało jakby na płaskim stole – wielkości 4–6 km^2 – wyrzeźbił ktoś w dużej bryle małe i większe skały, ozdabiając jednocześnie zieloną roślinnością. Nie było tam charakterystycznych dla pagórkowatych terenów wzniesień stopniowych – tam był step i od razu na tej stepowej płaszczyźnie strome skały, które częściowo pokryte były zielonym mchem, a szczyty zupełnie nagie. Przez tę skalną bryłę w sposób pokrętny, wijącą się wstęgą, płynęła nasza spokojna rzeka. Teren był trudnodostępny. Głazy i zakrzaczenia broniły dostępu do samych skał, dlatego wozem stanęliśmy w sporej odległości, konia spętanego puściliśmy na zieloną trawę, a sami poszliśmy pod skały. Kiedy zbliżyliśmy się już całkiem blisko podnóża tych skał, na szczytach ujrzałem stojącego orła, a zaraz też w górze ukazał się drugi, krążył nad nami prawie nie poruszając skrzydłami. Widok tych orłów tak mnie zaszokował, że długo stałem zapatrzony w to niecodzienne zjawisko nie poruszając się, aby nie spłoszyć tych pięknych ptaków. Gdy pierwsza fascynacja minęła, opowiedziałem gospodarzowi legendę naszego orła białego. Gospodarz uważnie mego opowiadania wysłuchał i po chwili patrząc na mnie powiedział: „teraz tylko ci pozostała legenda, mój biedny chłopcze".

Długo jeszcze chodziłem po tym dziwnym terenie, który przypominał mi moje rodzinne strony, naddniestrzańskie skały, brzozy, a nade wszystko orły wśród wysuszonych stepów – które były tak niecodzienne, że dziś jeszcze zastanawiam się, czy nie był to czasami sen lub moje urojenia. Trawa była tam zielona, bujna i bardzo soczysta. Skały i utrzymująca się wilgoć chroniły ją przed promieniami słonecznymi, przed wiatrami, a zimą też przed mrozami. Gospodarz szybko nakosił pełny wóz trawy, ja naciąłem brzozowych gałęzi na miotły do bani i usiedliśmy obok wozu na małą przekąskę, podczas której mój łaskawca opróżnił swoją butelczynę i od razu zasnął. Wykorzystałem tę drzemkę. Dosiadłem wierzchem konia i bez pośpiechu pojechałem w górę rzeki. W pewnym momencie strome

skały z obu stron wywarły na mnie jakieś niesamowite uczucie lęku i jednocześnie ciekawości, co jest dalej, jak wygląda miejsce, gdzie rzeka z równiny stepowej wpada w te skały. Strach był jednak silniejszy. Galopem wróciłem do miejsca, gdzie gospodarz smacznie spał. Zaprzęgłem konia do wozu, obudziłem gospodarza i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Jazda na świeżo ściętej trawie była równie bajeczna jak te skały wśród wysuszonego stepu.

Kołchoz latem często kierował nas, chłopaków do pracy w MTS, między innymi do walki z plagą szpaków, które były istną zmorą kierownika MTS. Odstawiane do remontu maszyny czasami, a właściwie często stały na placu zbyt długo, ponieważ brak było części zamiennych i wtedy szczególnie kombajny narażone były na zasiedlenie się ptaków. W mało dostępnych otworach szpaki, który stadami zlatywały do wioski, zakładały gniazda i znosiły jaja. Aby nie dopuścić do zgnieceń żywych piskląt przy uruchamianiu maszyny, mieliśmy zadanie niszczyć gniazda w początkowej fazie, co jednocześnie chroniło przed uszkodzeniem co delikatniejszych urządzeń. Często była to syzyfowa praca. Gniazdo zniszczone w jednym dniu pojawiało się ponownie za dzień, dwa. Raz pamiętam natrafiłem na gniazdo z pisklętami, które za kilka dni mogły wylecieć z gniazda. Zostawić w gnieździe nie mogłem, bo czekałaby mnie kara, zabić pisklęta tak duże w ogóle nie wchodziło w grę. Postanowiłem razem z gniazdem zabrać do domu. Przez 10 dni pisklęta karmiłem robakami, muszkami i wreszcie chlebem, aż mogły już same wyszukiwać pokarmu. Przyzwyczajenie jednak, nawet u ptaków, trudno jest zmienić. Ptaszki już latały i ciągle mnie nachodziły, upominając się o pokarm. Musiałem dużo czasu poświęcić, aby nauczyć je samodzielności. Wypuściłem do stada, a one wracały i siadały mi na ramieniu, czekając na smaczny kąsek. Dopiero po kilku zabiegach zmieszały się razem z innymi i zdążyłem je wyekspediować w cieplejsze strony. Gospodarz z tego faktu wyciągnął ciekawy wniosek. Powiedział, że gdyby mnie mama nie nauczyła samodzielnego jedzenia – do dziś karmiony bym był piersią lub butelką. Każde żywe stworzenie uczy się życia, gdy musi.

Prace w MTS (stacja maszynowo-traktorowa) zaliczano nam do trudodni i dlatego chodziłem tam chętnie, tym bardziej, że każdy pobyt w warsztatach kończył się kradzieżą. Kradliśmy złom, a czasami nawet użyteczne części do maszyn z miedzi lub mosiądzu. Ukradziony złom, jak też butelki sprzedać można było w sklepiku zwanym „Ławką". Często pieniądze za sprzedany złom zasilały nasz bardzo skromny budżet domowy.

Jak już wspomniałem, wieś nasza podzielona była stawem. Z jednej strony stawu była wieś mieszkalna, z zagrodami chłopskimi, a z drugiej były budynki „urzędowe" i budowle kołchozowe. W tej części mieściła się też szkoła. Sam staw był tworem sztucznym. Wykorzystano naturalny średniej wielkości jar, a zamknięto go usypanym pokaźnym wałem, którym puszczono drogę wiejską do zabudowań kołchozowych. Do jaru skierowano niepokaźne źródełko, wydostające się nie wiadomo skąd. Zimą zawiewało cały jar śniegiem, a wiosną, gdy śniegi tajały, staw napełniał się wodą, która przez całe lato oddawała wielkie usługi całej wsi. Pojono tam bydło, wokół wypasano gęsi, z wody korzystano przy wyrobach cegły, no i oczywiście był to „basen pływacki" dla dzieciaków.

Gospodarz mój miał młodego konia, dopiero co ujeżdżonego. Klacz ta przez pierwszy rok swojego życia przebywała razem ze stadem kołchozowym wypasanym w stepie niedaleko kołchozowych obór. Kiedy koń nadawał się już do zaprzęgu, gospodarz przyprowadził go do domu i powoli przyzwyczajał do tego, do czego był przeznaczony. Był to dla konia trudny okres i jeżeli tylko nadarzyła się okazja, koń wykorzystywał ją uciekając do kołchozowego stada. Moim jakby etatowym już obowiązkiem było konia odszukać i przyprowadzić do domu. Bardzo lubiłem te obowiązki, bo w czasie poszukiwania konia nie byłem używany do innych posług, a kiedy już konia odnalazłem, dosiadałem go na oklep i konno wracałem do domu. To mi sprawiało wielką przyjemność. Często nawet sam ułatwiałem kobyłce ucieczkę i natychmiast wyruszałem za nią w step lub do kołchozowej stajni.

Pewnej niedzieli, przy parnej pogodzie, w samo południe wracałem wierzchem z pastwiska, dokąd jeszcze rano to mądre zwierze uciekło. Idąc na pastwisko w żar lejący się z nieba – okrutnie się zmęczyłem i gdy wracając dotarliśmy do stawu nie mogłem odmówić sobie chłodnej kąpieli. Wjechałem na koniu do wody i wtedy po raz pierwszy doznałem lekkości swego ciała i doświadczyłem, jak koń potrafi pływać pomimo swego ciężaru. To była lekcja, której zapomnieć nie sposób. Na końskim grzbiecie czułem się jak na żaglowcu, który pruje wody bez większego wysiłku. Po kąpieli skierowałem się do domu i lekkim truchtem jechałem przez wieś. W pewnym momencie koń opędzając się od wrednych much szarpnął głową w dół, pociągając mnie trzymającego się sznurka uwiązanego tylko z jednej strony skórzanego kantara. Przeleciałem przez koński łeb i znalazłem się pod jego nogami. Gdybym zdecydował się w tym momencie konia puścić, co najwyżej przez dzień lub dwa odczuwałbym jedynie lekkie potłuczenie. Ale nie, ja chciałem być bohaterem

i za wszelką cenę konia doprowadzić do domu, aby gospodarz nie miał powodów do żartów ze mnie. Niestety, nie ja konia doprowadziłem do domu, a koń mnie zaciągnął do stajni. Gdy upadłem pod kopyta, koń spłoszył się moim upadkiem i galopem podążał do domu po wiejskiej drodze, pełnej ostrej, błotnistej grudy i kamieni, ciągnąc mnie kurczowo uczepionego sznura między kopytami. Ponoć ludzie obserwujący ten galop krzyczeli, abym konia puścił, bo mnie swoimi kopytami stratuje, ale do mnie te nawoływania nie docierały. Koń jak szalony przyspieszał, a ja jedynie zaciskałem dłonie na grubym powrozie... i puściłem dopiero kiedy poczułem, że jesteśmy na miejscu. Wstać o własnych siłach nie mogłem. Spodenki, które miałem na sobie – nota bene z kompletu harcerskiego – zostały kompletnie zniszczone, a moje pośladki, plecy i dłonie wydawały się jedynie do artystycznego cerowanie. Byłem obdarty ze skóry, dotkliwie potłuczony, miałem znaczne ubytki ciała na pośladkach i na prawej stronie pleców, a dłonie całe pokrwawione od wrzynającego się sznura. Jedynie twarz i brzuch nienaruszone, wszystkie inne części ciała w opłakanym stanie. Zaniesiono mnie na moją pryczę i ułożono na brzuchu. Zacząłem dopiero wtedy odczuwać ból. Wszystkie moje członki były obolałe i zakrwawione. W oczach mi się dwoiło i dostałem torsji. Zjawił się nasz felczer i aż zagwizdał z wrażenia na widok takich pośladkowych zniszczeń. Po odkażeniu ran i usunięciu zanieczyszczeń pan Adam bardzo starannie i delikatnie uporządkował moje ciało, a zbędne strzępy skóry wyciął zwykłymi nożycami. Przy każdym dotknięciu syczałem jak gęś. Najgorsze momenty były przy odkażaniu ran. Ten ból przekraczał moją wytrzymałość. Później, gdy już wyzdrowiałem, żartowano, że nożyczki mojej mamy i wódka gospodarza uratowały moją pupę. Kiedy pan Adam swoją pracę skończył, do izby wszedł gospodarz i oczywiście obok troskliwej opieki, jaką mnie otoczył, nie żałował drwin i żartów. Dogadywał, że niby taki mądry chłopak i dał się ciągnąć głupiej kobyłce, która teraz stoi w stajni i ze śmiechu boki zrywa. Cierpiałem bardzo, ale nie chcąc dać gospodarzowi powodu do litowania się nade mną, dusiłem płacz i uśmiechałem się do jego żartów. Na zdrowy śmiech nie było mnie stać.

Najbardziej ten wypadek przeżyła moja mama. Chodziła po izbie i ciągle płakała. Najwięcej jednak zawdzięczam panu Adamowi, który grzebał się w tych strzępach ponad godzinę, układając każdy kawałek mięśnia na swoim miejscu. Rany po dokładnej dezynfekcji spirytusowej bez komplikacji szybko goiły się. Po pięciu dniach mogłem już nawet wstać o własnych siłach.

Sobota, czas na banię. Do bani jeszcze iść nie mogłem, więc leżałem na swoim łożu madejowym wyłapując jedynie odgłosy dochodzące z sieni. Cisza potwierdzała, że wszyscy już weszli do bani i zażywają kąpieli. W pewnym momencie dotarły do mnie krzyki, jęki i odgłosy zamieszania. Do mojej izby wniesiono naszego gospodarza i ułożono go na pryczy mamy. Gospodarz, jak zwykle z kołchozu wrócił mocno podpity i w takim stanie wszedł do gorącej bani. Tam wysoka temperatura spowodowała zachwianie równowagi i delikwent gołymi pośladkami z całym impetem usiadł na gorące kamienie. Prawy pośladek i łokieć prawej ręki wyglądały okropnie, ubytki były dotkliwe i widoczne. Poparzony jęczał niesamowicie, a felczer ponownie miał zajęcie. Leżeliśmy na swoich pryczach do góry pośladkami przeżywając, każdy na swój sposób, swoje cierpienie i swoją niemoc. Dopiero po kilku dniach, kiedy mogłem już dobrze chodzić i usługiwać choremu gospodarzowi, poszedłem do stajni i ze schowka przyniosłem mu butelczynę. Po kilku łykach gospodarzowi poprawił się humor i wtedy z ożywieniem pół żartem przepraszać mnie począł za kpiny z moich cierpień. Teraz to on wie, co to za ból, a tak w ogóle to on mnie współczuł, ale śmiechem i żartem chciał mnie pocieszyć, co łagodzi ból. Współczucie i ubolewanie pokrzywdzonemu nie daje otuchy, ale wręcz pogłębia jego cierpienie. Od tego naszego wspólnego bolenia w gospodarzu miałem prawdziwego, wypróbowanego przyjaciela. Mama moja na noc wychodziła do cioci Stefy, a mój gospodarz pociągał z butelki, kopcił skręty i godzinami opowiadał mi o swoim życiu.

Do Kazachstanu przesiedlono jego rodzinę jeszcze za czasów carskich. Jego ojciec brał czynny udział w rewolucji 1905 roku, a po jej upadku nadal działał w jakiejś partii chłopskiej. Za tę działalność został aresztowany i po kilkumiesięcznym dochodzeniu skazany i wysiedlony na Syberię. Po trzyletnim pobycie na dalekiej Syberii zezwolono mu osiedlić się na stałe w Kazachstanie. Wybrał tę wieś i tu sprowadził rodzinę. Jeszcze dobrze się nie urządził, gdy przyszła śmierć ojca, a krótko po nim zmarła matka mojego gospodarza. Został sierotą w wieku 12 lat. Jego żonę natomiast przesiedlono już po Rewolucji Październikowej. Ten domek pobudowali wraz z żoną. Jest prymitywny, bo budowali nie mając możliwości zdobycia dobrych materiałów budowlanych. Mówił o rewolucji, o nieprawościach i krzywdach doznanych tak przed rewolucją, jak i po rewolucji. Bolała go niegospodarność w kołchozie oraz absolutyzm władzy. Opowiadał mi nawet o swoich zalotach do dziewczyn. Żona jego była Ukrainką, córką Kułaków spod Kijowa, ale teraz to już nie ma znaczenia, teraz we wsi wszyscy są „prawie" równi. Słowo „prawie" podkreślał z naciskiem

i powtarzał kilka razy. Jakby dziś, widzę jego zadumę przy tej „równości". Opowiadania jego były tak interesujące, że mogłem nawet przez całą noc go słuchać.

Po wyzdrowieniu, gdy byliśmy już zajęci każdy swoimi obowiązkami, gospodarz zawsze miał dla mnie czas i cierpliwość, życzliwość i nawet kilka kopiejek. Obdarzał mnie wyjątkową, jak na zwykłego kołchoźnika, serdecznością. Być może w jakimś stopniu była to pewnego rodzaju wdzięczność za towarzyszenie mu w jego chorobie, w czasie której potajemnie często podawałem mu wykradzioną ze schowka szklaneczkę wódki na pocieszenie, a nade wszystko wiązało nas wspólny bolenie.

Pewnego dnia gospodarz wpadł do domu mocno podekscytowany i nakazał mi natychmiast wziąć coś cieplejszego i iść z nim do kołchozu. W drodze do kołchozu dowiedziałem się, że zabiera mnie do Karagandy, dużego miasta, w którym już dwa razy był i które go tak bardzo zachwyciło. Przed biurem przewodniczącego kołchozu stał już samochód ciężarowy ZIS-5, chyba jedyny, jaki kołchoz posiadał, i obaj wsiedliśmy na skrzynię samochodu, a kierowca z pomocnikiem do kabiny i natychmiast ruszyli w daleką drogę. Dokładnie nie pamiętam powodu naszej podróży, natomiast dobrze pamiętam samą podróż, bo była to wspaniała wycieczka. Mijaliśmy przeróżne miejscowości, wioski, małe osady, miasteczka i wszędzie widziało się nędzę w porównaniu z naszą wioską, której gospodarność doceniłem dopiero po powrocie z tej podróży. Jechaliśmy cały czas po bezdrożach lub po bardzo słabych drogach. Upajał mnie step. Nasz samochód, który dwa razy nam się zepsuł, sprawiał wrażenie małego żaglowca zagubionego na przestworzach oceanu. Dwie noce spędziliśmy w stepie. Po upalnym dniu zapach i odgłosy stepu mają coś z tajemniczości. W chłodną noc step jakby wydzielał z siebie część promieni słonecznych pobranych za dnia i jakby parował promieniami. Wyczuwało się, jak owiewa nas chłodne powietrze, a od dołu ogrzewa nas ziemia.

Do celu dotarliśmy następnego dnia dopiero wieczorem, po usunięciu awarii. W Karagandzie byliśmy trzy dni i z tego pobytu zapamiętałem jedynie wąskie uliczki, stare, zaniedbane, brudne i zadymione domy, ścisk tłumu na bazarze i tubietiejkę, którą kupił mi gospodarz. Noclegi zapewnione mieliśmy w hotelu robotniczym. Sala hotelowa zapełniona łóżkami, podobna do sali szpitalnej, łóżko przy łóżku – uspokajało się dopiero po północy, po libacji wódczanej, jaką robotnicy sobie urządzali po pracy. Krzyki, a następnie zbiorowe chrapanie nie dały mi się wyspać. Odsypiałem w drodze powrotnej w czasie jazdy i w nocy spędzonej ponownie w stepie. Wróciłem do domu brudny, zmęczony i bardzo zadowolony.

Do moich już etatowym obowiązków, chociaż gospodyni nie żywiła mnie od dłuższego czasu i nie płaciła za pracę – należało doglądanie gęsi, których stadko liczyło około setki. Gęsi były prywatną własnością gospodyni. Musiałem je skoro świt zapędzić do stawu, gdzie spędzały cały dzień, a wieczorem przyprowadzić do domu. Po prostu byłem poganiaczem gęsi, nawet w te dni, w których zatrudniano mnie w kołchozie. Nie były to obowiązki ponad moje siły, ale absorbowały mnie, szczególnie rano, kiedy się smacznie spało. Pamiętam, że mama wstawała rano o godzinie trzeciej, budzono ją pukaniem w okno, przygotowywała mi coś do jedzenia i wychodząc do pracy w kołchozie budziła mnie do moich obowiązków. Stadko moje było oznakowane i nie nastręczało dużych trudności przeprowadzenie go przez wieś, ale raz jedyny, gdzieś pod jesień, gęsi sprawiły mi figla. Rano, jak zwykle, wypędziłem gęsi na drogę i podążaliśmy w kierunku stawu. W pewnej chwili w stadzie coś się wydarzyło, gęsi się ożywiły, zaczęły głośno gęgać, przyspieszyły kroku i jedna za drugą część gęsi wzbiły się w powietrze ulatując w dal. Myślałem, że polecą w step i trudno mi będzie je odnaleźć. Bojąc się gospodyni, poddenerwowany pobiegłem z pozostałą częścią nad staw. W stawie „moje" gęsi pływały, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Poczułem wielką ulgę i radość, gdy całe stado zostało połączone.

Niezatarte wrażenia pozostawiły chwile, kiedy wieczorami, po ciężkiej pracy, z kołchozowych pól wracały do domów kobiety śpiewając ruskie przyśpiewki. Żywe, melodyjne pieśni, wykonane przez zdrowe i dźwięczne głosy – były zawsze pięknym koncertem spracowanego ludu. Ludzie tam w ogóle skorzy byli do śpiewu, zabawy i alkoholu nawet po ciężkiej pracy i przy pustym żołądku.

Na polach oddalonych od wioski pracowały brygady, zwykle ludzie młodzi, którzy nocowali na tych zagonach i do domów wracali w sobotnie wieczory lub po zakończeniu pilnych prac polowych. Czasami gospodarz zabierał mnie, gdy wyjeżdżał do nich na kontrolę. Tam gdzie są jeszcze pola uprawne, step nie jest tak dziki. Zboża dojrzewające na tych łanach dają poczucie silnego powiązania z wioską, z ludźmi. Ale gdy znajdujemy się w stepie nieujarzmionym przez człowieka, odczucia są nieporównywalne. Zapachów suchej trawy, mięty, piołunu i innych polnych kwiatów oraz przeróżne głosy wydobywający się z tych traw, a ponadto przestrzenie – dają uczucie nicości człowieka wobec przyrody i całkowitego osamotnienia i zagubienia. Przeżywałem i doznawałem tego uczucia ilekroć znalazłem się w stepie. Często obserwowałem, jak w nagrzanym powietrzu, drgającym nad stepem, jastrząb polował na gołębie stepowe,

lub jaszczurka stojąca bez ruchu jakby czekała na swoją zdobycz, grzejąc się na słońcu jednocześnie.

Każdy z kołchoźników przy swojej zagrodzie miał nieduży ogród, który uprawiał dla swoich potrzeb. Pozwalano kołchoźnikom również w swoim gospodarstwie hodować świnie, trzymać na własny użytek krowy, a nawet konie. Tego nie zabraniano, oczywiście twierdzenie to opieram na obserwacji stanu posiadania mojego gospodarza, który w kołchozie pełnił jakąś wysoką funkcję. Myślę, że kto był bardziej przedsiębiorczy i przebiegły, hodowlę inwentarza przyzagrodowego prowadził w szerokim zakresie, korzystając z kołchozowych odpadków wynikłych z niegospodarności i które były dostępne dla części kołchoźników w drodze półlegalnej. Mój gospodarz należał do tej grupy, w której dzielono się tymi „odpadkami", powiększając swoje prywatne dobra. Już od wczesnej wiosny powiększali swój inwentarz z myślą o ciężkiej zimie. Oprócz stada gęsi mieli krowę, jałówkę, kilka świń, dwa konie, no i oczywiście pełne podwórko kur i kaczek. Wszystko to karmione było zbożem wybrakowanym po zimowym stertowym magazynowaniu pod chmurką oraz kradzionym zbożem z magazynów kołchozowych. Karmy dla inwentarza nigdy nie brakowało.

Ogród moich gospodarzy niewielki, ale zadbany i do maksimum wykorzystany. Przede wszystkim w ogrodzie sadzono ziemniaki i pospolite jarzyny, jak kapusta, marchew, pietruszka i buraki. Na ogórki było już za zimno i za sucho, i choć gospodyni grządki z ogórkami pielęgnowała z wielką pieczołowitością, sukcesów niestety nie odnotowywała. Bydło latem wypasane było na pastwiskach daleko w stepie poza polami uprawnymi. Pastuchami byli Kirgizi. Raniutko każdego dnia, po udoju, gospodarze wyprowadzali swoje krowy na bydlęcy trakt, a pastuch na małym koniku zaganiał je do stada, które wędrowało w step, na pastwisko. Do domu krowy wracały wieczorem bardzo spragnione i zwykle wypijały ogromnie dużo wody. Pamiętam, że Polacy ubolewali nad tym bydłem i proponowali dowożenie wody beczkowozami na pastwisko, ale władze kołchozu nie wyrażały zgody na wypożyczenie beczkowozu, a na zakup nie było ich, kołchoźników, stać i chyba nie było takich możliwości. Kołchozowe beczkowozy wykorzystywane były do dostarczenia wody pracującym daleko od wioski oraz do „wytwórni" cegieł.

Wiosną, już po naszym osiedleniu, gospodarz rozpoczął budowę nowej obory. Wyrównano i ubito plac przeznaczony pod budowę, w stepie wyorano grube skiby, poddano je osuszeniu i obróbce, oraz przygotowano z drewna kołchozowego stolarkę, tj. drzwi z futryną oraz podpory dachu. Budowano metodą murarską, jak buduje się z cegły, tylko zamiast

cementu używano gliny. Postawione ściany natychmiast wylepiono grubo gliną, tak aby do wewnątrz ścian nie przedostawało się powietrze. Gdy ściany wyschły, ustawiono dach. Na drewniane przęsła ustawiono grube maty trzcinowe wielowarstwowe. Po umocowaniu, maty również zalepiono gliną, a następnie na tę glinę ustawiono normalną strzechę ze słomy. Obora zimą okazała się być ciepłym schronieniem inwentarza. Wprowadzono tam konie i gęsi, natomiast krowy, kury i świnie pozostały w oborze przyległej do domu mieszkalnego. Przy budowie domów mieszkalnych używano więcej trzciny, pseudo-cegły, a do budowy pieców sprowadzano cegłę z daleka. Wszystkie budowle z takich materiałów latem każdego roku poddawane były zabiegom konserwacyjnym, wylepiano świeżą zaprawą glinianą i ściany zewnętrzne, i dach. Dawało to jednocześnie efekty estetyczne. Przy okazji budowy obory razem z Kolą zbudowaliśmy tą metodą mały domek, w którym kryjąc się często grywaliśmy w karty lub paliliśmy papierosy. Był to nasz dom rozpusty. Tam pierwszy raz poznałem smak papierosa i zawrót głowy po kilku „dymkach".

Do budowy budynków dla kołchozu używano cegły, którą na skalę przemysłową kołchoz produkował przez całe gorące lato. Wytwórnia mieściła się daleko poza wsią. Pamiętam, że głębokie wykopy wskazywały na zasób gliny nadającej się do wyrobu cegły. Nie była to glina w naszym pojęciu. Cegła z takiej gliny była koloru błotnistego i bardzo krucha. W tej cegielni pracowało kilka osób mając do dyspozycji trzy pary wołów. Dwie pary dowoziły wodę w beczkach, a para trzecia chodząc w kółko mieszała glinę. Wydobytą glinę z wykopów zlewano wodą i wołami mieszano na „ciasto". Następnie dodawano trochę słomy pociętej na długość ok. 20 cm, wsypywano jeszcze jakiś proszek i w dalszym ciągu mieszano. Po dokładnym wymieszaniu wkładano do odpowiednich foremek, ubijając to błotko do zwartej masy. Następnie uformowaną cegłę uwalniano z formy i pozostawiano na słońcu do wysuszenia. Taka wysuszona bryłka była dość twarda, wytrzymała na ciężar, ale bardzo krucha. Nadawała się jednak do murarki. Nie wiem co, ale musieli coś dodawać do tej gliny, która przy murowaniu nie reagowała na mokre zaprawy i nie rozmywała się. Często wysyłano mnie do tej „wytwórni" i wyrabiałem gospodarzom moim trudodni, za które w rozliczeniu otrzymywali zapłatę w naturze, czyli w zbożu. Najczęściej woziłem wołami w beczkowozach wodę ze stawu lub z rzeczki. Pamiętam, że w gorących dniach, gdy zanosiło się na burzę, woły sprawiały nam często figla. Gryzione przez muchy wpadały w szał i bez opamiętania na oślep gnały przed siebie po bezdrożach, trudno

było je zatrzymać i uspokoić. W takich sytuacjach poganiacz zwykle był bezsilny i sam nie mogąc się utrzymać na takim bczkowozie ratować się musiał ucieczką. Kiedyś moje woły, przy takiej wariacji, wpadły z całym zaprzęgiem w stertę wysuszonej już cegły, zostawiając mnie daleko w stepie. Gdy dotarłem na miejsce dowiedziałem się, że celowo spłoszyłem woły puszczając jej wolno. Dopiero mój gospodarz zaręczać musiał, że nie był to sabotaż, a jedynie zwykły wypadek, że nawet doświadczony poganiacz w takiej sytuacji nie zawsze potrafi opanować rozbrykane woły. Dano mi spokój i więcej do cegieł mnie nie wysyłano. Żałowałem, ponieważ praca ta mi bardzo odpowiadała.

Latem, pomimo ciężkiej i wyczerpującej siły pracy, sąsiedzi często wieczorami schodzili się pod nasz dom, siadali na pryzmie pod oknem i gawędzili o różnych sprawach życiowych, a przy okazji kobiety naszej wioski zamawiały u mojej mamy – która zdobyła już sławę i uchodziła za dobrą krawcową – różne przeróbki sukienek, spódnic, bluzek, jednym zdaniem garderoby w szerokim asortymencie. Lubiłem przysłuchiwać się tym opowiadaniom i dlatego, aby goście zabawiali jak najdłużej, odstraszałem komary, które były plagą o tej porze. W tym celu rozpalałem ognisko, zasilając je suchymi trawami skrapianymi zużytym olejem – w MTS-ie było tego oleju pod dostatkiem – i różnymi skrawkami gumy po starych oponach. Zżyci już z nami sąsiedzi coraz części i śmielej opowiadali o swoim życiu. Sołżenicyn z tych opowiadań mógłby napisać nie jedną opowieść obfitującą w dramaty ludzkie. Wspominali, jak im było ciężko w początkowych okresach po osiedleniu się w tej wsi, jak ciężko musieli pracować wydzierając stepu ziemię pod uprawę. Pochodzili z różnych stron Rosji i Ukrainy, i w różnych okresach ich przesiedlano, ale pomimo surowego klimatu i ciężkich warunków życia – wszyscy zaaklimatyzowali się i tereny te uważali już za swoje na równi z tymi, którzy byli tam od pradziadów swoich. Pocieszali nas, że my również puścimy tam korzenie, a po pewnym czasie razem z Kirgizami, Ukraińcami i Rosjanami będziemy czuć się jak w jednej rodzinie. Przed rewolucją, za czasów carskich, była tu cerkiew i jedynie kilkanaście domów, a dziś, porównywano, to duża i dobrze zorganizowana wieś kołchozowa, w której mieszkańcy nie cierpią już głodu. Mężczyźni opowiadali o ciekawych polowaniach na wilki, o wyprawach myśliwskich aż do Tajgi, a na południe po wielbłądy. Lubiłem słuchać tych opowiadań i chociaż zwykle po całodziennej pracy byłem już zmęczony – chętnie dbałem o to, aby gawędziarzy nie gryzły komary i aby jak najdłużej opowiadali o tych ciekawych wydarzeniach w ich życiu, choć nie wszystko było dla mnie zrozumiałe. A nie rozumia-

łem wiele z tego, o czym mówili. Nie mogłem pojąć głównie, jak ci ludzie mogli porównywać naszą, Polaków, sytuację do ich sprzed laty. Przecież, myślałem, oni byli i są w swojej ojczyźnie, ich traktowano jako pełnoprawnych obywateli tego państwa, oni głosowali, oni wybierali swoich ludzi do władz w kołchozie, oni posługiwali się swoim językiem... A my byliśmy w innej sytuacji, byliśmy nikim, nie mieliśmy nie tylko określonych praw, ale i obowiązków, żadnego określonego statusu, żadnego dokumentu tożsamości, nawet w pierwszym roku kołchoz za naszą ciężką pracę nie zapłacił nam, lecz naszym gospodarzom. Nam nie dano, jak im przed laty, możliwości założenia, zbudowania swoich domów. Nie, nie widziałem podobieństwa. Widziałem natomiast i mocno czułem naszą, Polaków, krzywdę i poniżenie, ale obcując z tymi biednymi ludźmi nigdy nie patrzyłem na nich przez pryzmat doznanych krzywd, upokorzeń i niedostatków syberyjskiego życia. Porównując ich opowieści z rzeczywistością zauważyłem znaczne różnice i zmiany zachodzące w tych ludziach. Prywatnie byli zwykłymi, sympatycznymi, ale gdy zetknęli się z władzą, nawet szczebla kołchozowego – stawali się jej poddanymi, bezkrytycznie zgadzali się, a priori, na wszystko i nawet gdy ktoś z Polaków zaczął dowcipkować i żartować np. z przewodniczącego kołchozu, natychmiast zmieniano temat, dając do zrozumienia, że rozmówca za daleko poszedł w swoich wypowiedziach. Prawie wszyscy, których obdarzono jakąś władzą, natychmiast zmieniali swoje oblicze. Z ludzi łagodnych, sympatycznych – stawali się surowi, zaślepieni i w imię swojej władzy gotowi zdeptać każdego oponenta.

Z okresu letniego zapamiętałem jeszcze, o czym nie sposób nie wspomnieć, specyficzny zapach stepu. Step wydaje sobie tylko właściwe zapachy suchego burzanu zmieszanego z zapachem rozgrzanego w promieniach słonecznych piołunu. Było w tym coś orzeźwiającego, co rekompensowało poniekąd brak lasów, za którymi Polacy tęsknili.

Zbliżała się jesień, a razem z nią powiększały się nasze udręki codziennego życia. Mama pomimo że pracowała w kołchozie przez całe lato, otrzymywała, jako zapłatę, jedynie 70 kg kawonów. Na inną zapłatę liczyć nie mogła, ponieważ utrzymanie zapewnione mieliśmy u gospodarza. Moje trudodni, wypracowane latem przy wyrobie cegieł, a jesienią przy zwózce zbiorów, również zaliczano na korzyść gospodarza. Stanęliśmy przed obliczem głodu, mama jednak uniosła się ambicją i pomimo takiej kryzysowej sytuacji do domu gospodarzy nie wchodziła i z ich opieki nie korzystała. Liczyła, że nadal szyciem utrzyma dom.

Lato było krótkie, ale gorące. Pszenica w polu niska, ale kłos wydajny, sypiący się – wymagał szybkich zbiorów i omłotów. Tym pracom kołchoz zmuszony był poświęcić wszystkie siły robocze. W pole pędzono wszystkich zdolnych do pracy. Koszono, młócono, czyszczono i usiłowano dostarczyć czyste ziarno pszenicy państwu. A było go w tym roku dużo. Urodzaj był wyjątkowy. Na polach pracowano dniami i nocami. Zboże zwożono w jedno miejsce w stepie. Tam zboże czyszczono z plew i przygotowywano do transportu. Niestety, środki transportowe nie nadchodziły, a swoich kołchoz nie posiadał. Usiłowano organizować dostawę do transportu kolejowego furmankami, co wydłużało czas i absorbowało siłę roboczą potrzebną do pracy w kołchozie. Pamiętam, że kolumny furmanek kursowały ze zbożem do jesiennych opadów. Pierwsze opady przerywały dostawę, a zboże, którego nie zdołano dostarczyć do punktów kolejowych, zsypywano w duże kopce, przykrywano grubą warstwą słomy i zostawiano na zimowanie. Wiosną, gdy z kopców śniegi stopniały, a słońce i wiatry słomę trochę przesuszyły – odkrywano zboże i stwierdzano, że straty w ziarnie dochodzą do 50–60%, a i to, co pozostało nadaje się jedynie na paszę bydlęcą. Brak elewatorów i brak środków przewozu nie mogło zabezpieczyć dorobku ludzkiego wysiłku. Tak się działo, według opowiadań cioci Stefy, w każdym roku jej pobytu w Kazachstanie. Oczywiście że zboże pozostawiane w kopcach można by podzielić i przyznać dodatkowo kołchoźnikom jako deputat, ale takie praktyki nie były brane pod uwagę, to byłoby odchyleniem od linii partii, ponieważ wzbogacałoby chłopów czyniąc z nich kułaków – na co ideologia partii nie zezwalała. Lepiej świadomie poddać zniszczeniu lub umożliwić kołchoźnikom dokonywanie kradzieży, aniżeli rozdać ludziom – ze strat łatwiej władzom kołchozu było rozliczyć się przed zwierzchnością. W latach sześćdziesiątych gościłem przedstawiciela Armii Radzieckiej mjr. Iwana Tkaczenko. Po trzeciej secie rozwiązały się nasze języki i nastąpiła między nami szczera wymiana poglądów. Opowiedziałem mu swoje zapamiętane obrazy z życia kołchoźników. Okazało się, że Iwan pochodził z tego samego województwa w Kazachstanie, w którym spędziłem swoje wygnanie. Jego dziadek został zesłany w ten rejon i tam pozostał już na stałe. Iwan wysłuchał mojej opowieści i z zadziwiającą szczerością stwierdził, że na początku lat pięćdziesiątych odwiedzał matkę pracującą w kołchozie w tym rejonie i niestety jeszcze wtedy odczuwano duże braki samochodów i nie zawsze zbiory były właściwie wykorzystywane. Często straty były większe od kosztów budowy w tym rejonie elewatorów.

Ostatnimi pracami polowymi, które zdążono wykonać przed srogą zimą, to zbiór kapusty i czerwonych buraków. Łany słoneczników uprzątnąć już nie zdążono, pozostały nietknięte na zimowisko. W ramach jesiennych prac w kołchozie przydzielono mnie do zwożenia kapusty. Było już zimno i aby nie marznąć, trzeba było dobrze się w pracy ruszać. Kapustę zwoziliśmy wołami do obszernej stodoły tuż obok kołchozowych obór. Po co im było taki łan kapusty, nie wiem. Przez kilka dni ładowałem te główki na wóz i poganiałem woły w kierunku wsi. Kiedyś obudzono mnie skoro świt i przed wyjazdem w step nie zdążyłem nawet gorącej wody się napić. Był to czas niedoboru w naszej spiżarni. Pracowaliśmy cały dzień do zapadającej ciemności. Jeden z kołchoźników, z którym obsługiwałem nasz „pojazd", widząc, że przez cały czas nic nie jem, poczęstował mnie kromką chleba z cebulą. Czułem głód przez cały dzień, a wieczorem osłabiony, nie nadający się do żadnej pracy ledwie dowlokłem się do domu. Wychodząc ze stodoły, korzystając z ciemności, przyswoiłem sobie główkę kapusty i kilka ziemniaków. W domu faktycznie nie mieliśmy co jeść. Mama pracowała w kołchozie, szycia nie otrzymywała, a na sztućce chwilowo zbytu nie było. Groziła nam honorowa nędza. O należną nam pomoc do naszych gospodarzy mama nie zamierzała się zwracać, a na zażalenie u kołchozowych bonzów ani czasu, ani sposobności nie było. Wszyscy zajęci byli pracami polowymi bo zima się zbliżała i była tuż, tuż...

Gdy kradłem tę nieszczęsną kapustę byłem w takim strachu, że przez moment chciałem nawet zaniechać kradzieży, ale głód był jednak silniejszy. Jedna z Polek z małego miasteczka pracując w przedszkolu wzięła dla swoich małych dzieci dwie bryłki cukru, za co ukarano ją więzieiem, a dzieci zabrano do domu dziecka. Z tubylców, za mojej bytności, pomimo masowych kradzieży, nikt nawet sądzony nie był. Ten przypadek kary, nieprzypadkowo nagłośniony, był dla nas Polaków przestrogą, że jeżeli już musimy okradać kołchoz, to należy tę czynność wykonać ostrożnie i nie dać się złapać. Mnie nie złapano, a zupa ugotowana z tych produktów, które kosztowały tyle strachu, była tak pyszna, że smak jej czuję jeszcze dziś. Uczucie chwilowego szczęścia szybciej się ulatnia niźli smak tak ubogiej zupy. Zdumiewające?

Na początku jesieni dokwaterowano nam do naszego „domku" nowych lokatorów. Do tej małej izby, w której już nawet nam było ciasno, doszły jeszcze cztery dorosłe osoby, żona byłego wysokiego urzędnika policji wraz z trzema synami. Razem mieszkaliśmy 3–4 tygodnie. Był to okres katorgi na katordze. Swoje łoże odstąpiłem pani Marii, a sam przeniosłem się na wspólne posłanie na ziemi, gdzie na grubo ułożonej słomie

sypialiśmy razem z jej dorosłymi synami. Ci wykształceni i wytworni panowie matkę swoją traktowali jak traktuje się osobę pomyloną, zwracali się do niej per Świrku Stary. Ciągłe kłótnie, awantury i płacz tej bardzo niezaradnej kobiety – dopełniał brzegi naszej nędzy. Dobrze że o świcie wszyscy wychodzili do swoich prac, bo w innym przypadku wszyscy byśmy powariowali. Po naszym wyjeździe pani Maria umarła, ale jej synowie zgłosili się do wojska i z Andersem przedostali się do Palestyny. Niestety, nie pamiętam ich imion ani nazwiska.

W tej izbie było nam bardzo niewygodnie, warunki prymitywne. Nocą, gdy wszyscy już ułożeni byli na swoich miejscach do snu – nikt nie mógł wyjść, ponieważ drzwi otwierane były do wewnątrz, a przy samych drzwiach rozpoczynało się nasze łoże i aby otworzyć drzwi wszyscy ułożeni na ziemi musieli wstawać, burzyć posłanie i dopiero wtedy można było otworzyć drzwi. Najgorsze jednak był brak kuchni. Na prymusie można było jedynie zagotować wodę na herbatę, a pod koniec października, gdy spadł śnieg i zasypał naszą kuchnię podwórkową – ostatnią możliwość przygotowania obiadu – zaczęliśmy szukać lepszego lokum. Wtedy, chyba na interwencję władz kołchozowych, nasza gospodyni ponownie zabrała mamę i mnie do swego domu. Na starych zasadach sypialiśmy na ławach, jadaliśmy przy wspólnym stole i wspólnie korzystaliśmy ze wszystkich dobrodziejstw ogniska domowego. Było nam ciepło i syto. Gospodarz przy posiłkach często mawiał – pilnowałeś latem gęsi, to teraz należy ci się duża porcja mięsa gęsiego. Ale nasz wkład pracy nie ograniczał się li tylko do pilnowania gęsi. Cały czas pracowaliśmy w kołchozie zdobywając naszym gospodarzom wiele trudodni, za które w rozliczeniach otrzymali zboże i inne płody rolne. Chleba gospodarzom nie brakowało, mięso wisiało na sznurach i żerdziach w nowej stodole. Na zimę zabito 75 gęsi, 2 duże świniaki, 1 jałówkę. Cały zapas mięsa zamrożono w warunkach naturalnych.

We wsi był jedyny sklep zwany „ławką", w którym od czasu do czasu pojawiały się towary różnego asortymentu. W wolnej sprzedaży były towary mało chodliwe, takie jak zabawki, garnki, coś z garderoby, adikałon, czyli woda kolońska, wódka, sól itp. Artykuły takie jak nafta, cukier, marmolada, cukierki, materiały na sukienki itp. – były reglamentowane i sprzedawano je w/g listy. Pamiętam, że przed każdą dostawą towarów do sklepu, na wiele dni przedtem ustawiała się kolejka, tzw. „oczerid", i aby ludzie nie marnowali czasu na stanie w kolejce, numer w takiej kolejce zapisywano kopiowym ołówkiem na lewej dłoni i ludzie rozchodzi się do swoich zajęć. Gdy towar zjawił się w sklepie, każdy w/g zapisanego

numeru mógł swobodnie robić zakupy. Dla Polaków było to coś nowego, co nie miało żadnego odniesienia do naszych przedwojennych zwyczajów. Jeszcze na początku października gospodarz w/g takiej kolejki poczynił pokaźne zakupy zaraz po dostawie świeżego towaru. Po towar przyjechaliśmy furą chłopską. Gospodarz był uprzywilejowany odnośnie ilości nabycia towaru. Pamiętam niektóre liczby z tych zakupów. Nabył kilkanaście litrowych butelek wódki, 15 litrów nafty, pół worka soli koloru szarego, 5 kg landrynek koloru malinowego, kilka brył cukru, pół worka herbaty, przyprawy, zapałki… To wszystko musiało nam wystarczyć na całą zimę – nie liczono bowiem na dostawę towaru zimą. O tej porze roku zaopatrzenia w zasadzie nie było. Myślę, że nie tylko złe drogi i zapasy były przyczyną. Przy takich zapasach zakupionych w sklepie oraz zgromadzonych z uboju i kołchozowych deputatów – można przetrzymać najsurowszą zimę.

W listopadzie przewodniczący kołchozu przydzielił również kwaterę dla pani Marii i jej synów. W tym domku mieszkać zimą było niemożliwe.

Zajęcia zimą były całkiem odmienne od prac wykonywanych letnią i jesienną porą. W kołchozie pracowali jedynie ci, którzy byli zatrudnieni przy inwentarzu, traktorzyści, mechanicy przy remoncie maszyn rolniczych oraz część kołchoźników przy pracach dorywczych, jak np. przy odśnieżaniu. Zamiecie, krótkie dnie, niskie temperatury – paraliżowały każdą pracę na powietrzu. W domu również czas pracy był ograniczony. Wszystkie zajęcia wykonywano za dnia, a długie wieczory – z powodu braku nafty – spędzano po ciemku przy piciu wódki, herbaty, rozgryzaniu ziarenek kradzionych słoneczników i na niekończących się rozmowach rodzinno-towarzyskich. Jeden z domowników zawsze pełnił dyżur przy piecu. Palono słomą, a to wymagało stałego ładowania do pieca skręcanych wiązek słomy.

A propos słoneczników. Niedaleko wioski, w polu pozostał olbrzymi łan nie ściętych słoneczników. Jak to było w zwyczaju, nie zdążono przed śniegiem. Braliśmy narty i wieczorami zwoziliśmy pełne wory zmarzniętego już słonecznika. Mieliśmy tak duży zapas, że pozwalano sobie na ucztę słonecznikowych ziarenek w każdy wieczór, do czego światło nie było konieczne, jedynie rano było co sprzątać. Tu mamy nowy przykład głupoty. Zamiast pozwolić oficjalnie kołchoźnikom zabrać te plony wiedząc, że przed zimą nie zdążą, przymykano oczy na kradzież tych słoneczników. Te wieczorowe wypady nie były niczym innym, jak tylko kradzieżą.

Herbatę pijano gorzką, cukierki lub cukier do herbaty podawano jedynie w niedzielę i to tylko na prykuskę. Wieczory te umilane były

często przez Kolę, który grywał na harmonii lub na bałałajce. Czasami też śpiewano ludowe piosenki rosyjskie lub ukraińskie przy akompaniamencie Koli.

Mama moja czasu nie marnowała, nawet w ciemnościach zawsze coś robiła. Często przyjmowała do przeróbki starą garderobę, którą przygotowując do szycia pruła, a za dnia szyła. Często też wieczorami spełniała rolę misjonarską ucząc synową gospodarzy modlić się po polsku. Gospodyni wprawdzie z tych nauk zadowolona nie była, ale nie oponowała. Sama była prawosławna, a wiszące ikony w kącie izby zawsze przyozdobiała polnymi kwiatami, zasuszonym zielem stepowym lub wycinankami z kolorowych bibułek.

Jesienią przyjęty zostałem do szkoły, początkowo do pierwszej klasy. Po rocznej przerwie ponownie rozpocząłem swoją edukację, tym razem w języku rosyjskim. Język ten w mowie nawet szybko opanowałem, inne dziedziny, jak liczenie, rysowanie – wyniosłem ze szkoły polskiej. Pozostał mi jedynie do opanowania odmienny alfabet. Systematyczne ćwiczenia dały szybkie i dobre rezultaty. Już w grudniu w szkole podjęto decyzję przesunięcia mnie do klasy starszej. Zdecydowały tu chyba bardziej moje lata niźli moje postępy w nauce. Skończyłem 9 lat. W drugiej klasie również nieźle sobie radziłem. Do pracy już mnie nie wysyłano, czasami jedynie odgarniałem śnieg na naszym podwórku, a więc miałem więcej czasu na naukę. Gorzej było z językiem polskim. W domu był jedynie gruby modlitewnik w języku ojczystym, który w całości dawno był przeze mnie już przeczytany, a do powtórnego czytania nie bardzo chciałem wracać. Mama jednak nie rezygnowała i robiła wszystko, aby mnie zachęcić do czytania i pisania po polsku, ponieważ w zastraszającym tempie traciłem kontakt z językiem, który powinienem znać przede wszystkim. Dziś rozumiem tych, którzy na obczyźnie będąc przez kilka lat – kaleczą swój ojczysty język. Rozumiem tych ludzi i jednocześnie bardzo im współczuję.

Zbliżało się Boże Narodzenie 1940 roku, pierwsze Święta na wygnaniu. Wydawało się, że święta te spędzone na Syberii, z dala od najbliższych, wśród obcych ludzi o innych tradycjach i o całkiem odmiennej obyczajowości – będą dla nas bardziej smutne. A jednak tak nie było. Minęło już wiele miesięcy od dnia, w którym wyrwano nas ze snu i wyprawiono na wschód, do obcej nam, surowej rzeczywistości. Powoli jednak oswajaliśmy się ze swoim losem i w końcu uodporniliśmy się na niewygody i krzywdy nasze, niedolę i surową codzienność. Żyliśmy razem z tubylcami i widzieliśmy, że ich warunki życia rażąco nie odbiegają od naszych, że biedę klepiemy podobnie. Polacy poczuli się w pewnym stopniu nosicielami

nowych, nieznanych tutaj obyczajów oraz podstaw kultury europejskiej. To nas umacniało, a wśród tutejszych ludzi, choć powoli, wyrabiało szacunek do nas i do naszego stylu życia.

Przed Świętami Bożego Narodzenia i my i ciocia Stefa otrzymaliśmy od swoich rodzin paczki żywnościowe. Chociaż na Pokuciu było ciężko naszym bliskim, przysłano nam prawie wszystko, co potrzebne jest do urządzenia świąt w domu polskim. Nawet opłatek i rodzynki w paczkach się znalazły. Ciocia Jula pamiętała też o choince (w Galicji mówiono drzewko) nie wiedząc, że z powodu braku na naszym terenie lasów przesłane dekoracje nie zostaną należycie użyte, a kilka wisiorków szklanych i tak zostało zniszczonych podczas pokonywania tak dużych przestrzeni. Smakołyki, które mama przyrządziła były na tym „odludziu" czymś, co dawało namiastkę Świąt w domu rodzinnym i choć przez chwilę zapomnieliśmy, gdzie się znajdujemy. Wigilię mamy nasze (moja i Marty) urządziły z pełnym polskim ceremoniałem. Był opłatek, a przy nim życzenia, oczywiście życzenia siły przeżycia i rychłego powrotu do domu rodzinnego, były niektóre potrawy wigilijne, no i oczywiście pełny repertuar kolęd polskich. Myślami wszyscy przenieśliśmy się do kraju... Zapachniało nam Polską. Gospodarze patrzyli na nas z ciekawością i jednocześnie z pełnym zrozumieniem, a kiedy alkohol przełamał bariery – ucztowali razem z nami do późnej nocy. Mama była wdzięczna gospodyni, że pozwoliła zaprosić gości na tę kolację wigilijną. Oprócz cioci Stefy z Martą było jeszcze kilka osób, bliskich znajomych mamy. Ponieważ Święta wypadły w środku tygodnia następnego dnia, zgodnie z zakresem obowiązków, każdy przystąpił do pracy bez żadnych ulg.

Zimowa pora wyjątkowo sprzyjała nostalgii. Nawet i nas dzieci czasami coś chwytało za gardło i przez moment tęskniliśmy wracając myślami do swoich stron ojczystych. Kiedyś, pamiętam było to późną wieczorową porą, gospodyni wysłała mnie po wodę do studni. Wieczór był pogodny, bezchmurny i bardzo mroźny. Musiała to już być pora głębokiej zimy, bo pryzmy śniegu wokół naszej chaty były bardzo wysokie i sięgały jej zadaszenia. Mroźny trzask pod nogami głuszony był w tych tunelach śniegowych, a gdy stanąłem przy studni nastała idealna cisza. Taka cisza może przerazić samotnego dzieciaka stojącego wśród zwałów śniegu. Spojrzałem w czyste błękitne niebo, skąd mrugały do mnie gwiazdy. Poczułem jakiś dziwny, ciepły kotakt z moją ciocią Julą, za którą tęskniłem najbardziej. Wydawało mi się, że ona o tej porze również obserwuje te piękne gwiazdy i nasz wzrok tam się spotyka. Długo tak stałem z zadartą głową, nie czując zimna, aż gospodyni czekając na

wodę straciła cierpliwośc i wyszła z chłupy zobaczyć, co też się mogło mnie przydarzyć. Takie przeżycie w latach późniejszych spotka mnie jeszcze wiele razy, przypominając ten syberyjski wieczór. Następnego dnia odnotowałem w swoim zeszycie mój kontakt z ciocią, która po naszym powrocie odczytując to zdanie rozpłakała się serdecznie.

W takich warunkach i w takiej atmosferze dni nasze przemijały i gdy już przekonani byliśmy, że świat o nas zapomniał, do mamy docierać zaczęły odpowiedzi na wniesione jeszcze w maju 1940 roku prośby. Zaraz po osiedleniu nas w Terientiewce mama wysłała błagalne prośby do przywódców radzieckich, do każdego z osobna, o zezwolenie na powrót do domu. Takie pisma skierowane zostały między innymi do Stalina, Woroszyłowa, Kalinina, Mołotowa… Ciocia Stefa nie wierzyła w taki cud, że któryś z nich w ogóle zechce zająć się prośbą jakiejś tam wywiezionej Polki i dlatego nic w tym kierunku nie poczyniła. Mama również nie bardzo wierzyła w pozytywne załatwienie takiej prośby, ale dla zaspokojenia sumienia, na wszelki wypadek, po nieudanych apelach do kierowników transportu, chciała do końca wyczerpać możliwości zabiegania o zezwolenie na powrót. Teraz, kiedy już zapomnieliśmy o naszych pismach, zaczęły napływać odpowiedzi, oczywiście odpowiedzi negatywne. Wszystkie urzędowe pisma były podobne w treści: nie widzą podstaw, a w jednym, pamiętam, nadmieniono, że po wnikliwym rozpatrzeniu nie widzą podstaw… Nadzieje na powrót stracone ostatecznie. Nawet przestaliśmy się z tego powodu zamartwiać. O sprawie zapomniano. I właśnie wtedy, gdy pozbyliśmy się złudzeń, w połowie lutego 1941 roku w piękny, pogodny, mroźny dzień, mamę moją wezwano do przewodniczącego kołchozu w pilnej sprawie. Z kancelarii kołchozu mama wróciła załamana. Opowiadała, że gdy zobaczyła enkawudzistę, do którego ją skierowano, zasłabła z wrażenia. Takie spotkanie wiadomo czym się kończyło. Władza radziecka karała surowo, chociaż karany nic karalnego nie uczynił. Od tego ekawudzisty otrzymała pisemne wezwanie do stawienia się w komendzie NKWD w miasteczku oddalonym o 35 km, a ustnie posłaniec przekazał, że stawić się ma obowiązkowo dziś, bez wyjaśnienia w jakiej sprawie i czym ma się dostać do miasteczka. Po powrocie do domu myśląc, że to jakaś sprawa kryminalna mama postanowiła, że na dolę i niedolę, na to wezwanie stawimy się razem, bez względu na to, co nas może tam spotkać. Gospodarza w domu nie było, sąsiedzi którzy byli posiadaczami koni – niewielu ich było – nie wyrazili chęci nas zawieść, tłumacząc się złymi warunkami i nieprzejezdnością stepowych dróg, dlatego zdecydowaliśmy się iść pieszo, licząc jednocześnie na łut szczęścia,

na przypadek, że może ktoś jadąc w tym kierunku zabierze nas swoimi saniami. Była to decyzja szalona, podjęta bez znajomości surowych realiów na tutejszych „drogach", nawet gospodyni nasza doradzała iść do przewodniczącego kołchozu i prosić o „podwodę". W innym przypadku nie ruszać się z domu. Dotarcie do miasteczka w tych warunkach mało prawdopodobne albo wręcz niemożliwe.

Do przewodniczącego kołchozu mama jednak nie poszła. Przecież wezwanie enkawudzista wręczył mamie w obecności przewodniczącego i gdyby chciał pomóc, to od razu zaproponowałby kołchozową podwodę. Niektórzy sąsiedzi zgodnie z rozumowaniem naszej gospodyni również nam odradzali, posądzając nas o intencje samobójcze. Dla mamy jednak straszniejsze było więzienie, które w/g jej rozumowania nam groziło, jeżeli w tym dniu nie stawimy się w Komendzie NKWD. Bóg nam pomoże dotrzeć na czas przed oblicze naczelnika – jeszcze przed jedenastą wyruszyliśmy na stepowy trakt.

Zima w tym roku, jak wszyscy tubylcy stwierdzili, była bardzo ciężka. Cięższej nie pamiętali wiele lat wstecz. W grudniu 1940 roku i styczniu 1941 roku wichury omal nie zwalały z nóg, a opady śniegu były tak duże, że często rano dom nasz bywał zasypany śniegiem na równi z dachem i pierwszą czynnością po obudzeniu było odśnieżanie domu. W czasie burzy śnieżnej, zwanej z rosyjska „buran", zamierał wszelki ruch na stepie. Nawet we wiosce trudno było trafić do własnego domu takim nowicjuszom, jak my byliśmy. Pryzmy śniegowe dochodziły do 3 m i przewyższały wysokość budynku. Do domów prowadziły śnieżny tunele, które wiosną topniejąc zalewały domostwa, do których wyjście prowadziło na równi z podwórkiem. Pamiętam, jak w tylnej części domu zjeżdżaliśmy na nartach z dachu, z czego gospodarz był bardzo niezadowolony, groził nam nawet pasem. W drugiej połowie stycznia i w lutym 1941 r. wichury i zadymki ustały, ale zaczęły docierać do nas silne mrozy, przekraczające –40 stopni, a były nawet noce, w których temperatura sięgała –50°. Przy takich temperaturach życie ograniczało się tylko do pieleszy domowych, gdzie bez przerwy palono w piecach słomą i kiziakiem. Słomy mieliśmy trzy olbrzymie sterty, z kiziakiem było gorzej.

Przypominam sobie swoje przeżycia podczas pierwszej burzy śnieżnej. Zaczęło mocno zawiewać dużymi płatkami śniegu już w godzinach rannych. Wiało i padało tak przez cały dzień i całą noc. Rano po obudzeniu ujrzałem okna całkowicie zasypane śniegiem, który nie przepuszczał nawet odrobiny światła dziennego. Poczułem jak narasta we mnie strach przed brakiem możliwości wyjścia na otwartą przestrzeń. Myślałem, że

lada moment braknie nam powietrza, a dach runie na nas nie wytrzymując ciężaru mokrego śniegu. Od tego chyba momentu w pewnym stopniu cierpię na klaustrofobie. Nawet nieprzyjemne odczucie odnoszę, gdy pomyślę, że po śmierci zamkną wieko mojej trumny. Lęku pozbyłem się dopiero po wyjściu z domu i ujrzeniu kawałka ciemnej chmury. W domach, a szczególnie w niskich ziemiankach drzwi wejściowe, aby nie było trudności otwarcia po nocnych zamieciach, otwierane były do wewnątrz. Po otwarciu trochę śniegu wpadło do sieni i dalej łatwo było już łopatami robić przejście. Po godzinie przejście do studni i wokół domu było gotowe.

Wracam do naszej podróży do miasteczka. Kiedy wyruszyliśmy w drogę, temperatura w tym dniu wzrosła do około –20° Celsjusza. Od kilku dni trochę się uspokoiło, tylko polatywał lekki śnieżek i drogi, jak ogólnie mówiono, były przetarte, a więc aura nam sprzyjała. Największe jednak obawy mieliśmy, czy też nie zboczymy z traktu, bo step był dla nas kresem wszystkiego, nawet wilków tak nie obawialiśmy się jak błądzenia po stepie i powolnego umierania z zimna. Mnie, jak każde trudne zadanie, wyprawa ta podniecała, dałem się porwać emocjom i sam zachęcałem mamę do natychmiastowego wyruszenia w drogę. Zawsze coś mnie popędzało do pokonywania trudności, chociaż często czułem wewnętrzny lęk przed ryzykiem. Tym razem zaślepiła mnie przygoda i straciłem całkowicie instynkt samozachowawczy. Pragnąłem być bohaterem w oczach tych, którzy nam odradzali.

Niebawem wieś nasza zniknęła nam z oczu. Znaleźliśmy się sami na trakcie, który początkowo wydał się nam uczęszczany, a więc przetarty, ale gdy droga wiejska się skończyła, wpadliśmy w zaspy i zaczęliśmy brnąć po śniegu. Spojrzałem na wszystkie strony, wyglądało jak byśmy stali pośrodku nieskończenie olbrzymiego białego kręgu. Męcząca jest jednostajność barwy białego krajobrazu. Żadnego kontrastu, wszystko w jednym, jaskrawym, białym kolorze z błyszczącymi punkcikami słonecznych promieni, a idealną ciszę zakłócało jedynie skrzypienie śniegu pod naszymi nogami. Wokół nas mroźny, dziki, nieprzyjazny step. Żadnych znaków, czy drogowskazów o prawidłowym (właściwym) kierunku naszej marszruty. Utwierdziły nas jedynie zwały śniegu, spotykane co pewien czas, że idziemy w dobrym kierunku.

Zbyt szybko nawiedziło nas pierwsze zmęczenie. Zaczął nas ogarniać strach i wkradać się zaczęło zwątpienie, czy damy radę, czy aby nie jest to wyprawa ponad nasze siły i czy wreszcie szczęście nam dopisze i spotkamy jakąś podwodę? Jedynie, jak na razie, pogoda nam sprzyjała.

Jaskrawe słońce nie wróżyło zadymki. Mogliśmy z ulgą zwolnić tempo marszu. Idąc posilaliśmy się chlebem i słoniną, którą naprędce gospodyni wręczyła nam na drogę. Posiłek dodał nam sił. Zwiększając ponownie szybkość, brnęliśmy dalej po tej mało uczęszczanej „drodze". Szliśmy tak ponad dwie godziny i nie spotkaliśmy żywej istoty. Nikt nie jechał ani w jedną, ani w drugą stronę. Byłem już bardzo zmęczony i zacząłem odstawać. W pewnym momencie usłyszałem za nami bardzo słabiutki dźwięk dzwonków, który w miarę upływu czasu potęgował się. Były to dźwięki dzwonków nadjeżdżających koni. Poczułem radość i ulgę. Podbiegłem do mamy i stanęliśmy na skraju oczekując na zbawcę. Sanie jednak jak szybko do nas się zbliżyły, tak jeszcze szybciej się oddaliły, bez żadnej reakcji na nasze błagalne nawoływania o zatrzymanie się. Jadącego w głębokich saniach mama rozpoznała człowieka, który rano wręczył jej wyzwanie. Byliśmy zdruzgotani. Pierwszy spotkany na naszej trasie podróżny i pierwszy zawód. Trudno mi jest nawet wyrazić to, co czułem. Mogę sobie wyobrazić po tym doświadczeniu jak się czuje skazaniec oczekujący na ułaskawienie, którego mu odmówiono. Nie załamaliśmy się jednak. Nadal podążaliśmy w kierunku w którym pomknęły sanie. Na powrót było już za późno.

Marząc o środku lokomocji, na horyzoncie, przed nami, spostrzegłem ruszające się ciemne punkciki w białym tle. Był to ten sam zaprzęg, który nie tak dawno nas minął i ten sam enkawudzista, którego przed chwilą tak nienawidziłem. Widok tych sań, zaprzęgniętych w trójkę koni, wcale tym razem nie uradował mnie, przestałem liczyć na dobroć i człowieczeństwo tego żołdaka. Gdy zrównaliśmy się, woźnica spojrzał na mnie, na mamę, chwilę zastanowił się i głosem rozkazującym kazał nam wsiąść do sań. Zdziwił się mocno, że wybraliśmy się pieszo. Twierdził, że bez zagrożenia iść możemy za dnia, natomiast z chwilą ściemniania się grozi nam niechybna śmierć. Wrogami wędrowców samotnych na stepowych bezdrożach są wilki, zmęczenie i niskie temperatury. O tym mama powinna wiedzieć i nie narażać dziecka i siebie na takie niebezpieczeństwa. Ostatnie zdanie wypowiedział prawie krzycząc.

W saniach okrył nas lichą derką, nogi kazał przykryć słomą i ruszyliśmy z kopyta. Dla nas była to okoliczność zbawienna, o czym przekonaliśmy się niebawem.

Niska temperatura i silny pęd powietrza szybko mnie oziębiły. Idąc rozgrzewałem się i za wyjątkiem nóg, które ciągle były zmarznięte (buty moje nie były przewidziane na taki klimat), było mi gorąco, byłem nawet

spocony. Teraz w czasie jazdy szybko się oziębiłem i zacząłem się trząść, jak kozi ogon przy opędzaniu much. Nasz wybawca, widząc mnie tak zmarzniętego, zatrzymał konie, nakazał zejść z sań i pobiec trochę za saniami. Rozgrzany wsiadłem ponownie do sań i wtedy enkawudzista poczęstował nas gorzałką. Wypiliśmy po jednym blaszanym kubku i po chwili po całym ciele poczułem rozpływające się ciepło, w głowie mnie zaszumiało, a oczy zaszły mgłą. Drugi raz doznałem smaku alkoholu. Był wstrętny, ale tym razem skutecznie rozgrzewał.

Zaczęło się ściemniać i dodatkowo chmurzyć. Chmury nisko płynące, po słonecznym dniu, wyglądały groźnie. Pogoda uległa pogorszeniu. Konie, dotychczas idące równym kłusem, zaczęły szarpać, prychać i okazywać zdenerwowanie. Widoczność już była bardzo ograniczona. W pewnym momencie woźnica, trzymający lejce z pewną nonszalancją, ściągnął je mocno, trzymając konie jakby w pogotowiu, i wskazał nam z prawej strony kilka poruszających się słabo widocznych punkcików. Po chwili powiedział, że te oto niewinnie wyglądające zwierzęta miałyby z nas smaczną kolację. Czułem, jak mi włos się jeży. Tyle słyszałem opowiadań, jak wilki napadały na konie i ludzi, i jak trudno się bronić przed tymi drapieżnikami, jeżeli są głodne. Biegły równolegle z nami, w odległości z której widziałem wyraźnie każde z osobna, tworząc równy rząd. Biegły jedne za drugim, ale bez wyraźnej chęci napaści na nas. Nasz towarzysz podróży i wybawca, nie spiesząc się, spokojnie – chyba często bywał w podobnych sytuacjach – trzymając zdecydowanie lejce, wyciągną szpiczki (czyli zapałki) i kazał mi zapalić umocowany w tylnej części sań, mocno osadzony i chyba naftą nasączony wiecheć, umieszczony na długim kiju. Nie bardzo mnie to podpalanie wychodziło. Ze strachu, a może i z zimna, trzęsło mnie i zmarnowałem kilka zapałek. Wreszcie wiecheć zaczął się palić, wydzielając dużo dymu i smrodu, a mało płomieni. To jednak wystarczyło. Obserwowałem, jak powoli rezygnowały z naszego towarzystwa, zostając z tyłu coraz dalej i dalej, aż całkiem zniknęły w ciemności. Po kilkudziesięciu minutach jazdy, przy już dopalającej się pochodni, sytuacja z wilkami powtórzyła się. Teraz już odważnie obserwowałem i zauważyłem, że wilki biegły równolegle, podobnie jak latem, gdy jechałem z gospodarzem w step, biegł nasz podwórkowy pies. Biegły i ciągle spoglądały w naszym kierunku, aby nie stracić nas z pola widzenia. Enkawudzista oddał mi lejce i kazał mocno trzymać, bo konie są zdenerwowane, a sam oddał dwa strzały w kierunku tej biegnącej watahy. Słychać było pisk i ujrzeliśmy kłębowisko, jakby żrących się wilków. Zostaliśmy ponownie sami na stepowym trakcie. Odetchnąłem

z ulgą i z podziwym patrzyłem na naszego towarzysza, który zachował zimną krew nie wykazując nawet odrobinę zdenerwowania. Wiedzieliśmy, co mu zawdzięczamy. Uratował nam życie. Podjęta decyzja na taką podróż i w takich warunkach nie świadczy o nas najlepiej. Mama nic nie mówiła, ale jestem przekonany, że po takim doświadczeniu drugi raz takiej decyzji by nie podjęła, nawet pod groźbą więzienia.

Zbliżaliśmy się do miasteczka. Jak przez mgłę widoczne już były zabudowania. Enkawudzista zatrzymał konie, wytłumaczył, jak dostać się do komendy NKWD, oznajmiając, że komendant do późnych godzin nocnych pracuje i kategorycznie nakazał zachowanie w tajemnicy z kim przyjechaliśmy. Bał się, że z tego powodu miałby poważne kłopoty ze strony przełożonych. Mama dziękując zapewniła go, że nikt się o tym nie dowie, może spokojnie odpoczywać po podróży. Długo szukałem przyczyny zachowania tego faktu w tajemnicy. Po powrocie mama surowo mi zabroniła mówić z kimkolwiek na ten temat.

Miasteczko Karabałyk było brzydkie, nawet bardzo brzydkie. Domy parterowe, zbudowane jakby w pośpiechu, bez zamierzonego planu, tu i ówdzie walące się ziemianki, wszędzie olbrzymie zwały śniegu i egipskie ciemności, jedynie w niektórych małych okienkach słabe światełka przenikały na zewnątrz. Na ulicach zauważyłem jedyne światełko na pokaźnym budynku z tablicami urzędowymi. Ulice puste, nawet nie mogliśmy zasięgać informacji odnośnie poszukiwanego domu znajomej mojej mamy. Z trudem odnaleźliśmy dom, w którym mieszkała znajoma. Była już godzina późna i należało w pośpiechu podążyć do siedziby NKWD. Z tego wieczoru wyjątkowo zapamiętałem wszystkie wydarzenia i wszystkie obrazy, które dane mi było widzieć. Zdziwienie znajomej, serdeczne przywitanie i płacz obu kobiet. Mama rozpłakała się nad swoją znajomą, nad jej niedolą, nad jej dziećmi. Natomiast ta pani płakała nad niepewnym losem naszym, bo co dobrego może spotkać Polaka wzywanego przed oblicze powiatowego dostojnika NKWD? Obie panie rzewnie płakały, nie szczędząc łez i narzekając na swój los.

Razem z tą panią jechaliśmy w tym samym transporcie. Razem wystawieni byliśmy na licytacji po dotarciu do stacji przeznaczenia. Nam się poszczęściło, „kupiono" nas do kołchozu, ją zaś wzięto do pracy w jakiejś placówce leczniczej. Przed wojną pracowała w szpitalu w charakterze pielęgniarki, mąż zaś był felczerem w wojsku. Teraz zostawszy z dwoma małymi chłopcami żyła w bardzo trudnych warunkach. Prymityw, smutek i nędza, tak skrótowo można określić jej sytuację. My, na wsi, w porównaniu do ich życia opływaliśmy w dobrobycie. Jej mieszkanie, a właściwie

ciemna nora, od wielu tygodni nie opalana, na ścianach gruba warstwa szronu, dzieci głodne, cały czas leżą pod pierzyną, bo nie mają ciepłego odzienia ani butów. Matka ich pracuje w niewymiarowym czasie, nigdy nie wiadomo kiedy wróci po pracy do domu, za marne pieniądze może utrzymać siebie i dzieci jedynie na chlebie i rzadkiej kartoflance, przyrządzanej na prymusie, bo opału nie ma. W tej tzw. izbie jedno duże łoże wyłożone grubym siennikiem słomą wypchanym, stół, ława i wieszak przybity do ściany. Wszystkie meble zbite nieporęcznie z desek. Jeszcze dziś widzę niedolę tej rodziny.

Po krótkiej debacie obie panie wyszły do komendy NKWD, ja zaś w pełnym „umundurowaniu" położyłem się na ławie i od razu zasnąłem. Obudziłem się rano cały skostniały z zimna i niewygody. Gorąca herbata i kromka chleba ze słoniną postawiły mnie na nogi. Resztki chleba i słoniny mama zostawiła dzieciom. Kartoflanka ze słoniną z pewnością była dla nich rarytasem. Ciekaw jestem, jak im się ułożyło życie, czy wrócili do kraju?

Przy śniadaniu mama opowiadała przebieg rozmowy z komendantem. Wprowadzono ją do mocno ogrzanego pokoju i kazano czekać. Po dość długim oczekiwaniu wezwano ją przed oblicze samego komendanta, który powitał ją bardzo zagadkowo. Gdy dowiedział się, że mama część drogi pokonała pieszo, a część przyjechała z przygodnie złapaną podwodą – oburzył się na podwładnego, który nakazał matce stawić się w tym samym dniu, a przecież sprawa nie jest taka pilna. Jednocześnie zapytał, dlaczego nie przyjechała razem z tym posłańcem. Następnie przystąpił do wypytywań o różnych sprawach, mniej lub bardziej istotnych. W pewnym momencie konfidencjonalnie zapytał, czy nam tu jest źle, czy nas ktoś we wsi krzywdzi, czy nie mamy gdzie mieszkać itd., itd. Mama jąkając się ciągle zaprzeczała, że nic podobnego, że nigdy nie doznała ani od władz kołchozu, ani od mieszkańców Terientiewki żadnej krzywdy, a w ogóle, to jest jej nawet dobrze wśród tych przyjaznych ludzi, już się do nich przywiązała i nie ma powodu do narzekania. Wobec tego, ciągną komendant, po co zawracasz tak wysokim władzom radzieckim głowę, zabierasz im drogocenny czas prosząc o zezwolenie na powrót do dawnego (tu mocno zaakcentował) – skoro twój dom, jak sama stwierdzasz, jest tu, z czego jesteś bardzo zadowolona. Mama wtedy całkowicie straciła orientację o co mu chodzi, nie spodziewała się takiego zwrotu w rozmowie. Przebiegłość komendanta pozbawiła mamę rzeczowego myślenia. Jeszcze bąkała coś o surowym klimacie, słabym zdrowiu, o tęsknocie za swoją matką, ale wszystko to było opowiadane w strachu, bez przekonania i bez

logiki. Jeszcze opowiadając po powrocie i nocnym wypoczynku, bladła z wrażenia. Długo znęcał się nad bezbronną kobietą, pytając ją o różne stosunki w kołchozie, o opinię o sąsiadach, czy nie byłoby jej żal opuścić siostrę, gdyby zaistniała taka potrzeba lub konieczność, aż wreszcie, gdy mama była już na skraju wyczerpania psychicznego oznajmił, że towarzysz Woroszyłow udzielił nam zezwolenia na powrót do Niżniowa, i że w związku z tym z radością wręcza jej dokument pozwalający wykupić bilet kolejowy na powrót do miejsca poprzedniego zamieszkania. Wyjechać możemy w dowolnym terminie. Dopiero po powrocie do Niżniowa dowiedzieliśmy się, że milicja tutejsza prowadziła na nasz temat wywiady środowiskowe. Pytano o przeszłość, powiązania w okresie międzywojennym i lojalność wobec władzy radzieckiej.

Radość nasza była olbrzymia. Znajoma gratulując mamie takiego obrotu sprawy ponownie popłakała ukradkiem. Ona z dziećmi żyła w warunkach barbarzyńskich i straciła już wiarę, czy w ogóle kiedykolwiek powróci w swoje strony i zobaczy swoją matkę. Mama po powrocie do Niżniowa, jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej, wysłała tej biednej kobiecie paczkę z odzieżą i żywnością. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy paczka do adresata dotarła. Wojna przerwała kontakty. Dziś nawet nie pamiętam nazwiska tej rodziny.

Następnego dnia, z polecenia naczelnika, jadący do naszego kołchozu weterynarz, zabrał nas tymi samymi saniami, ale tym razem już legalnie, w drogę powrotną. Wracaliśmy jakże z innymi uczuciami.

W czasie podróży rozważaliśmy, czy aby nie zabrać ze sobą Martusię, może cioci bez dziecka będzie lżej? Widziałem, jak mama intensywnie rozmyśla nad tą możliwością, rozważała za i przeciw, ale argumentów negatywnych stanowczo było więcej. Po pierwsze, czy ciocia zgodzi się oddać dziecko, samotność może doprowadzić ją do rozpaczy; po drugie, dokument opiewa na dwie osoby, a w przypadku kontroli, jak wytłumaczyć obecność dziecka nie wymienionego w dokumentach. Takie dywagacje prowadziliśmy z mamą przez czas podróży powrotnej do Terientiewki. Weterynarz był zorientowany w naszej sytuacji, od czasu do czasu wtrącając się do rozmowy wyrażając podziw dla mamy za upór i wytrwałość w czynionych staraniach.

Do domu wróciliśmy jak triumfatorzy. Znajomi nasi nie sądzili, że jeszcze nas zobaczą, nie liczono na nasz powrót. Jedni twierdzili, że nawet do celu nie dotarliśmy – wilki nas rozszarpały, inni zaś nie wierzyli, że wezwani do NKWD mogą jeszcze liczyć na jakąś łaskę. Ci, którymi zainteresował się ten resort, z reguły nie wracali tak szybko.

Ciocia już nas opłakiwała i cały czas zastanawiała się nad przyczynami. Tymczasem sprawiliśmy wszystkim „zawód". Na przekór sądom i losowi wróciliśmy z cennym łupem w postaci zezwolenia na powrót i bardzo szczęśliwi.

O krzywdzie i doznaniach, i wręcz tragicznych chwilach, dopiero co przeżytych – nie pamiętaliśmy już, cieszyliśmy się możliwością powrotu. Dodatkowo jeszcze opowiadałem gospodarzowi o przygodach z wilkami i zadymce, jaka nas złapała w drodze powrotnej. Otóż już z samego rana w dniu powrotu z miasteczka pogoda była zła i ciągle się pogarszała. Było cieplej, ale wiał silny wiatr i niebo było zachmurzone. Po godzinie, kiedy byliśmy już daleko w stepie, złapała nas silna zadymka. Widoczność była tak słaba, że woźnica – weterynarz – w pewnym momencie stracił orientację i nie bardzo wiedział, czy jedziemy drogą, czy też zboczyliśmy na stepowe bezdroża. Oczy nam zaklejało śniegiem mokrym i lepkim. Byliśmy wszyscy zdenerwowani, ponieważ woźnica wcale nie ukrywał swojej niepewności co do właściwego kierunku jazdy. Błądzenie po stepie zimową porą to prawdziwa loteria trafienia na przygodną wieś lub osadę. Wszyscy, którzy wyjeżdżają zimą poza wieś zawsze starają się dotrzeć do celu za dnia, ale dla bezpieczeństwa, na wszelki wypadek podróżny winien zabrać ze sobą pochodnie, strzelbę, trochę jadła dla siebie i koni, oraz derki, kożuchy itp. Nigdy nie wiadomo, jaką pogodę w drodze spotkamy lub kogo spotkamy. Były liczne przypadki zaginięcia podróżnych w stepie. Tej zimy do domu z naszej wioski nie wróciły dwie osoby, które wyjechały saniami zaprzęgniętymi w dwa konie. Do naszego wyjazdu nie odnaleziono ani ludzi, ani koni.

Po chwilowym strachu i niepewności zorientowaliśmy się, że jedziemy „traktem" i wtedy odważyłem się naszemu woźnicy doradzić, aby konie puścił samopas, one dojadą według swojego końskiego rozumu, byle im nie przeszkadzać. Woźnica nie był z tej rady zadowolony, miał na ten temat nie chłopską, ale naukową teorię. Koniem należy w każdej sytuacji kierować.

Podobną przygodę mieliśmy jeszcze w grudniu ubiegłego roku. Gospodarz mój zorganizował wyprawę po trzcinę, która w gospodarstwie służyła jako budulec oraz używana była razem z kiziakiem jako opał przy wypieku chleba. Słoma nie dawała tyle ciepła, aby można upiec chleb, tu potrzebne było drzewo lub coś zastępczego i tym zastępczym opałem była trzcina. Do dużych sań, które były przygotowane celowo do przewózki trzciny i dużej ilości słomy, gospodarz zaprzągł trzy konie, dwa swoje i trzeciego wypożyczył od sąsiada. Wrzucił potrzebny sprzęt, mnie wziął

do pomocy i skoro świt ruszyliśmy po bezdrożach w kierunku tzw. Dużych Bagien. Ziemia i bagna były już mocno zmarznięte i przykryte grubą warstwą śniegu. Gospodarz znający step jak swoją kieszeń prowadził konie równo do celu i po godzinie znaleźliśmy się w terenie porośniętym gęsto trzciną. Gospodarz od razu wziął się do solidnej pracy i narzędziem podobnym do sierpa ścinał trzcinę, wybierając co większe kępy. Moim zadaniem było zbierać ściętą trzcinę, wiązać w snopki i układać gotowe snopki przy saniach. Początkowo moje snopki ciągle się rozsypywały, ale szybko nabrałem wprawy i następne były coraz lepsze, ciaśniejsze, zgrabniejsze i wygodniej układały się w kopcu. Nie nadążałem za gospodarzem, chociaż bardzo chciałem i bardzo się starałem. Gdzieś w połowie tego zbioru poczułem zmęczenie i spływający pot z czoła. Gospodarz widząc moją mitręgę przerwał ścinanie, pomógł mnie w wiązaniu snopków i zarządził przerwę na posiłek. Jedzenie na mrozie do przyjemności nie należy, tym bardziej że jadło podmrożone. Gdy trochę odpoczęliśmy, ponownie przystąpiliśmy do pracy. Zbiór w tym dniu był obfity. Sanie wyładowane były tak wysoko, że mieliśmy trudności z wdrapaniem się na wierzch góry trzcinowej. Było jeszcze dużo czasu do wieczora, a że dzień był pogodny, nie było powodu do pośpiechu. Jechaliśmy z powrotem wolno obserwując step uśpiony już zimową porą. W pewnym momencie sanie nasze wpadły w jakiś uskok terenowy, jakąś nierówność i nastąpił przechył. Poczuliśmy powolne spadanie razem z trzciną na prawą stronę sań. Snopki trzciny razem z pasażerami rozsypały się po stepie. Na szczęście nam nic się nie stało, ale zbieranie i ponowne układanie snopków na saniach zabrało dużo czasu. Zaczęło szarzeć, a w czasie już jazdy zrobiła się noc i wracaliśmy w zupełnych ciemnościach. Gospodarz, jako doświadczony myśliwy – ponoć polował nawet w tajdze – obeznany był ze stepem i jego bezdrożami, a jednak w pewnym momencie nastąpiła chwila dezorientacji i zwątpienia, czy aby w dobrym kierunku jedziemy. Wtedy opowiedział mi różne swoje przypadki błądzenia po stepie, kończąc wygłosił pouczającą maksymę: „jeżeli kiedyś w stepie zabłądzisz, nie szukaj drogi, bo jej możesz nie znaleźć. Daj koniom swobodę, puścić lejce wolno, a konie same pójdą we właściwym kierunku, one mają swoją orientację, której nie ma człowiek i zawsze dowiozą cię do domu, jeżeli im wilki w tym nie przeszkodzą".

Dojechaliśmy wtedy szczęśliwie do domu i to bez końskiej intuicji, wtedy końska „mądrość" potrzebna nie była, gospodarz bezbłędnie powoził i jeszcze przed północą zmarznięci i głodni zjawiliśmy się w domu, gdzie nas oczekiwano w zdenerwowaniu, czy aby nam się coś złego nie

przydarzyło. Jedynie żona gospodarza była spokojna, wierzyła, że mąż jej nie może zbłądzić w stepie, za dobrze go zna, nawet w zadymce sobie potrafi dobrze radzić. Po trzcinę wyjeżdżaliśmy jeszcze kilka razy, ale już podobnych przygód nie mieliśmy.

W styczniu 1941 roku starszy syn gospodarzy Jura szykował się do wyjazdu na ryby. Czekał na dogodną pogodę. Nigdy zimą nie łowiłem ryb i byłem ciekaw, jak też taki połów wygląda. Jura nawet chętnie zgodził się na moje towarzystwo. Miałem wyznaczone konkretne obowiązki w całym tym przedsięwzięciu. Rano, w dniu wyjazdu, zapowiadała się ładna, mroźna pogoda, bezwietrzna i bez opadów. Z domu wyjechaliśmy, po sutym posiłku, około godziny ósmej. Zaprzęgnięte dwa konie mocno ciągnęły po zamarzniętym śniegu małe, wiejskie sanie. W przeddzień dokładnie wszystko przygotowaliśmy, a więc łomy, siekiery, czerpaki, słomiane maty, pochodnie, strzelbę, derki, siano dla koni itd. Jednym słowem wszystko, co może być potrzebne w takich przedsięwzięciach. Dziś zastanawiam się, jak wytrzymałem mrozy syberyjskie będąc tak licho ubrany. Jura jadąc ze mną na ryby ubrany był w watowane spodnie, kufajkę, na nogach walonki, a ja lichą wiatrem podszytą kurteczkę, krótkie spodnie, pończochy, zwykłe podniszczone buty oraz wełniana czapka z pomponem.

Zaraz po dotarciu do rzeki wyładowaliśmy sprzęt na lód, konie okryliśmy derkami i zabraliśmy się do solidnej pracy. To była mozolna praca, o której przedtem nie miałem zielonego pojęcia. Lód na rzece okazał się być tak zwarty i tak gruby, że przebicie się do lustra wody zabrało nam ponad trzy godziny. Wykonaliśmy dwa przeręble i ciągle należało kruszyć lód w przeręblu, ponieważ permanentnie tworzyła się warstwa lodu. Do tych otworów zaczęła napływać ryba różnej wielkości. Początkowo kilka i w miarę upływającego czasu coraz więcej i więcej, nawet ciągłe mieszanie wody w tych otworach nie odstraszało ryb. Jura podbierakiem ciągle wydostawał z otworów piękne sztuki i wyrzucał je na lód. Musiało być bardzo zimno, ponieważ złowiona ryba szybko zamarzała. Nam jednak było gorąco, byliśmy obaj zgrzani i tego zimna nie odczuwaliśmy tak dokuczliwie. Widać było jedynie parowanie naszych ciał.

Jura zorientował się, że ryba wyrzucana na lód szybko przymarza i trudno będzie ją oderwać. Wybierając większe okazy zaczęliśmy złowioną rybę wrzucać bezpośrednio do worka. Robiliśmy ciągłe zmiany. Z jednego przeręblа Jura wyciągał ryby, przy drugim przeszkadzałem zamarzaniu przez ciągłe mieszanie, krusząc świeżą warstwę lodu. Kiedy w moim przeręblu przybywało ryb, następowała zmiana.

Połów był obfity. Z radością zaczęliśmy się szykować do powrotu. Gdy mieliśmy już ruszać w powrotną drogę, Jura zorientował się, że na lodzie pozostałe jeszcze maty słomiane, które chroniły nas od poślizgu. Podał mi lejce do trzymania, a sam wrócił po te nieszczęsne maty. Myślałem już o szybkim powrocie, bo mróz był tęgi, a w saniach nawet dostatecznej ilości słomy nie było, aby się w niej zagrzebać. Gdy tak marzyło mi się o ciepłej izbie, usłyszałem przeraźliwy krzyk mego kompana przeplatany siarczystymi przekleństwami. Język rosyjski chyba najbogatszy jest w słownictwo rynsztokowe. Wpadłem na lód i ujrzałem jedynie głowę ludzką wystającą z przerębla. Jura usilnie pracuje nad wydostaniem się z tej lodowej dziury i ciągle ześlizguje się z powrotem, jakby go ktoś wciągał siłą. Biegiem wróciłem do sań po sznurek i łom, ponieważ zorientowałem się, że topielec sam nie poradzi sobie w wydostaniu się z przerębla. Lód polewany wodą jest zbyt śliski i pokonać go nie mając czego się chwycić jest mało prawdopodobne. Uwiązany łom podałem przestraszonemu topielcowi i sznurem zacząłem go wyciągać. Najcięższy był, gdy wydostawał się z przerębla, po lodzie już ślizgał się lekko. Pomogłem mu wdrapać się na sanie, ponieważ jego odzienie nasiąknięte wodą było tak ciężkie, że Jura o własnych siłach nie mógł swobodnie się poruszać. Okryłem go derką, wziąłem lejce i ruszyłem z miejsca. W czasie jazdy nie rozmawialiśmy, ale słyszałem jak Jura dzwoni zębami i przestaje się poruszać.

Po przyjeździe do domu Jura wymagał już wniesienia go do domu, był usztywniony w „zamkniętym" ubraniu. Wyglądało to komicznie, jakby go wsadzono w gipsowy gorset. Zaalarmowani domownicy wnieśli go do izby, położyli na stół i przystąpili do rozbierania. Najtrudniej było ściągnąć z nóg walonki. O ile dobrze pamiętam walonki ściągnięto z nóg dopiero po roztopieniu zlodowaciałej warstwy przy palenisku kuchennym. Gdy uporano się z odzieżą i obuwiem, Jurę napojono wódką i gorącą herbatą, a następnie natarto go naftą i ułożono na ciepłym piecu do spania. Po chwili słyszeliśmy już tylko miarowe chrapanie. Jura smacznie spał, a mnie nękano pytaniami, jak doszło do wypadku. Następnego dnia Jura zlazł z pieca, jakby nigdy się nie znalazł w przeręblu przy tak niskiej temperaturze, nawet kataru nie dostał. Jedynym świadectwem tego zdarzenia były lekkie podrapania skóry, jakich doznał przy ściąganiu odzieży i odmrożony duży palec u prawej nogi.

Ludzie urodzeni w tym klimacie są odporni na wszelkie trudy i przeciwności. To ich hartuje. Pamiętam, bo sam brałem w tym udział, jak w czasie zażywania bani, zimą, bez względu na śniegi i mrozy, po kilka

razy wylatywaliśmy na powietrze i po śnieżnej kąpieli wracaliśmy do bani na gorącą kąpiel i biczowanie miotłami brzozowymi. Podobne zabiegi i samo życie uodporniało tubylców na wszelkie choroby. Organizmy słabe nie wytrzymywały i umierały, a te, które przeżyły nie musiały korzystać z opieki lekarskiej. Sąsiad nasz pewnego razu przekroczył dawkę alkoholu i nie był w stanie wejść do swojej chaty. Postanowił noc spędzić na świeżym powietrzu przy temperaturze –30° C. Rano, gdy go żona przytargała do izby, delikwent ugasił pragnienie sokiem kiszonej kapusty i poszedł łagodzić kaca. U nas ludzie zamarzają już przy –10°, szkoły zamykają przy mrozach –20°, a tam szkołę zamknięto przy temperaturze –45° i tylko dlatego, że nie mieli czym ogrzać pomieszczeń klasowych. Żadna pogoda nie mogła przerwać koniecznych, rutynowych prac w kołchozie. Życie bez względu na aurę musiało toczyć się i trwać. Bardziej dokuczliwe były zaspy. Niskie temperatury dla nich nie były istotne. Polacy powoli również się dostosowywali do tych wymogów, ale początkowo było nam ciężko, tym bardziej, że nie mieliśmy kufajek ani walonek, które w tym klimacie i w tej wyjątkowo ciężki zimie były niezbędne. Nasze ubrania zabezpieczały nas przed mrozem w minimalnym stopniu.

Zimą największą zmorą w owych czasach był brak opału. Słoma jako główny materiał opałowy wymagała ciągłego dokładania do pieca i nie dawała zbyt dużo ciepła. Jedna osoba musiała być ciągle zatrudniona przy tej żmudnej czynności. Słomę przynoszono do kuchni, robiono z niej ścisłe wiązanki i widłami na długim drążku, specjalnie do tego celu przeznaczonymi, dokładano do paleniska. Była to ciężka i absorbująca praca. Często powierzano tę czynność mnie albo Koli. Frajda była dopiero wtedy, gdy gospodyni piekła w piecu chleb, bliny lub pierożki – wtedy piec ogrzewano trzciną lub kiziakiem, czyli suchym łajnem mieszanym ze słomą.

Lasów, do których tęskniliśmy latem, w całej okolicy nie było. Węgla kołchoźnikom nie dostarczano. A więc opału wieś nie miała. Należało zabezpieczyć się korzystając z tego, co natura nam dostarczała. O trzcinie już wspomniałem. Przez całe lato zbieraliśmy krowie łajno, które rozrzedzone, zmieszane z plewami, słomą i suchymi badylami suszono i składowano w szopie. Nazywano ten produkt kiziakiem. Kiziak służył za opał i był bardzo kaloryczny, ale przez oszczędność palono nim jedynie w piecu przy wypiekach i w bani. Na co dzień palono słomą.

Wieś naszą obok ludności historycznie napływowej zamieszkiwali również azjaci, między innymi kilka rodzin kirgizkich. Oni w znaczący sposób różnili się zwyczajami od pozostałych mieszkańców. Byli inni i ta inność

wyróżniała ich w tej zbiorowości, jak u nas w okresie międzywojennym wyróżniali się Żydzi.

Zaprzyjaźniłem się z jednym chłopakiem z rodziny kirgizkiej. Mieszkali o kilka domów, a że byli bardzo sympatycznymi ludźmi – często u nich bywałem. Dom ich na zewnątrz podobny był do innych ziemianek, ale jego wnętrze różniło się zasadniczo od pozostałych. Wewnątrz domu mojego kolegi nie było sprzętów takich jak ławy, stoły, szafy. Jedynym meblem w tym domu był duży jaskrawo malowany kufer o grubych metalowych okuciach. Pośrodku izby gościnnej rozścielony na ziemi duży, gruby i bardzo wzorzysty dywan z wielbłądziej wełny. W tym miejscu przyjmowano gości i jadano posiłki, a siadano na małych poduszkach obszytych jedwabiami. Sypiano na dużym piecu na skórach zwierzęcych, których było niezliczona ilość. W kuchni wisiały na ścianie kolorowe półki na których widziałem dużo różnego rodzaju fajansowych i glinianych misek, talerzyków, filiżanek i innych przedmiotów służących do przygotowania i spożywania posiłków. Nigdy w tym domu nie widziałem szklanek. Przy wejściu wisiał nad glinianym naczyniem metalowy zbiorniczek z wodą, pod którym wszyscy myli ręce wycierając w biały, płócienny ręcznik wiszący obok. Za stół do prac kuchennych służyła szeroka podmurówka przy ścianie, wnętrze której wykorzystywano do przechowywania produktów żywnościowych, taka nieduża spiżarnia. Gospodarze tego domu byli bardzo gościnni i jeżeli gość zawitał do nich w porze posiłku, zawsze zapraszali go do swojego „stołu". Miałem i ja tę przyjemność być zaproszonym do wspólnego posiłku.

Utrwalił mi się w pamięci ten posiłek i jego skutki na wsze czasy. Zostałem posadzony obok ojca mego kolegi na dywanie, przy czystym obrusie rozesłanym pośrodku dywanu. Gospodyni domu rozstawiła naczynia z produktami przeznaczonymi do spożycia oraz przed każdym siedzącym postawiła fajansową czarę z talerzykiem. Głównym daniem były suche placki pszenne z równie suchym mięsem końskim. Mięso suszone na słońcu, jeszcze długo po tym posiłku wisiało nanizane na drucie nad podwórkiem. Cała rodzina żuła płaty końskiego mięsa, gryząc od czasu do czasu placki i popijając zieloną herbatą. Nie chcąc obrazić gospodarzy razem z nimi żułem i popijałem tym wstrętnym płynem, nie mogąc przełknąć. Czułem, jak w moich ustach pęcznieje ten pierwszy kęs i jeżeli go nie połknę, stanie się coś, co mnie skompromituje. Tego się najbardziej bałem, dlatego przemogłem się i jedynie poprosiłem o herbatę bez soli i bez sadła. Herbata już bez tych dodatków była dla mnie wstrętnym płynem.

Po tym posiłku przez kilka dni chorowałem, a w następstwie wiszące płaty mięsa, które obsiadły muchy, widziane z daleka nad ich podwórkiem – napawało mnie wstrętem i powodowało odruchy wymiotne. Jakie sprzeczności i kontrasty – przy tak idealnej czystości przy „stole" spożywa się tak zanieczyszczone mięso. Gdy opuszczałem ten gościnny dom matka kolegi zaprosiła mnie na ponowny poczęstunek, gdy przyrządzi baraninę w tłuszczu opiekaną. Truchlałem, aby do tego nie doszło, choć baraninę przyrządzoną przez moją matkę od najmłodszych lat lubiłem. Nie pamiętam, czy byłem kiedyś jeszcze raz zaproszony.

Kirgizi z naszej wsi najczęściej byli pasterzami koni i bydła oraz pracowali w chlewniach kołchozowych. Nigdy ich nie spotkałem przy pracach polowych. Byli doskonałymi pasterzami i przy stadach kołchoz ich wykorzystywał.

Pod koniec lata ktoś ze znajomych mojej gospodyni przywiózł małe i bardzo kolorowe owoce papryki, uprawiane gdzieś na południu Kazachstanu. Zapamiętałem trzy kolory tych owoców tworzące ładny bukiet: żółty, czerwony i biały. Starsi chłopcy, którzy znali już smak i działanie tych kolorowych owoców, namówili mnie – wchodząc na mój honor – do spożycia jednej papryki obojętnie w jakim kolorze. Założyłem się o kilka kopiejek, że zjem każdą, którą mi wskażą. Wskazali żółtą przyjmując uprzednio zakład. Ugryzłem, jak gryzie się jabko i natychmiast poczułem piekącą moc tego świństwa. Ale nie zrezygnowałem, przyśpieszyłem jedynie konsumpcję – gryzłem razem z jej wnętrznościami i w pośpiechu połykałem myśląc, że po połknięciu najgorsze będzie już pokonane. Efekt tego żartu był dla mnie opłakany. Już w trakcie jedzenia w ustach, gardle oraz w żołądku czułam okropne pieczenie, jakbym zjadł miskę żaru z pieca hutniczego. Ogień wnet ogarnął mój cały organizm. Wszelkie zabiegi nie pomagały w ulżeniu mojej niedoli. Piłem wodę, gorącą herbatę, gorzałę i nic nie było lepiej. Latałem jak kot z przywiązanym pęcherzem. Wezwany nasz felczer dał mi do wypicia odrobinę oleju i wypędzlował podrażnioną jamę ustną. Wykonując ten zabieg pan Adam ciągle powtarzał: aleś głupi... aleś głupi... Kilka dni jeszcze chorowałem, ale zakład wygrałem, a inni serdecznie ubawili się moją głupotą.

Obok nękającego nas klimatu, który rujnował nasze organizmy, trapiła nas wszystkich tęsknota. Tęskniliśmy za bliskimi, za swoim rodzinnym domem, za krajem. Wprawdzie ja z mamą nie byliśmy sami, była z nami ciocia Stefa z Martusią, ale to nam nie wystarczało. Wszyscy Polacy na tym terenie czuli się wyobcowani, bez widoku lepszej przyszłości, pozbawieni praw, oderwani od swoich korzeni. Nie mogę teraz po latach

oskarżać mieszkańców naszej wioski o małoduszność i wrogi stosunek do nas, Polaków, pomimo że propaganda wyrabiała nam opinie burżujów, ciemiężców i wrogów władzy radzieckiej. Tak nie było. Nie odczuwałem na co dzień wokół siebie wrogości, przeciwnie, sami mieszkańcy – oczywiście, jak wszędzie, byli lepsi i gorsi, ale jako zbiorowość – byli dla nas przychylni, rozumieli naszą sytuację i wiele razy nam pomagali w trudnych sytuacjach. Władza natomiast wszędzie traktowała nas jak zesłańców, jak wrogów. Za najmniejsze przewinienie Polaków karano z całą bezwzględnością. Ciągle nas władza o coś złego podejrzewała. Dzięki jednak mieszkańcom naszej wioski, ich wyrozumiałości i przychylności – wszelką podejrzliwość, bądź prostacką bezmyślność władzy radzieckiej i ludzi bez serca – znosiliśmy lżej, bez dramatów. Nie doznaliśmy od tych prostych kołchoźników znęcania się, poniżania i nie zaznaliśmy głodu. Spaliśmy razem z nimi, jedliśmy przy jednym stole, razem przeżywaliśmy swoje niepowodzenia i razem cieszyliśmy się z sukcesów.

Męczyła nas nostalgia i ona, szczególnie w długie zimowe wieczory, gnębiła nas najbardziej. Czasami nachodziły mnie takie smutki, że nic mnie nie cieszyło, nawet żarty mojego gospodarza nie mogły zmienić mego stanu psychicznego. Gospodarz widział to i rozumiał mnie. Często mawiał do swoich chłopców „nie krzywdźcie go, bo on każdą krzywdę odczuwa podwójnie, bo on jest daleko od swojego kraju". Prostym był chłopem, ale tyle w nim było subtelności i dobroci. Jestem mu za to stokroć wdzięczny.

Polacy na Syberii, w porównaniu do poziomu życia sprzed wojny, żyli nędznie, wegetowałali i aby się nie poddawać losowi, i swoją biedną dumę obronić chociaż schludnym i czystym wyglądem, nicowali i przeszywali swoją starą, wyniszczoną garderobę.

Władza traktowała nas wrogo i my czuliśmy się obco. To fatalne uczucie towarzyszyło nam przez cały czas pobytu na tej nieprzyjaznej nam ziemi. Dziś myślę, że ten pobyt na Syberii wyrobił we mnie niechęć do wojaży zagranicznych, a już w żadnym wypadku nie mógłbym wyjechać z kraju na stałe. Jestem synem tej ziemi i tego narodu, tu moje miejsce na dobre i złe czasy. Żal mi tych ludzi, którzy w tych ciężkich dla nas czasach opuszczają kraj w poszukiwaniu „lepszego" życia. Żal mi ich, bo nie wiedzą, co czynią, nie wiedzą, że tęsknota może ich zabić nawet w dobrobycie.

Żałuję, że dotychczas historycy polscy nie zajęli się bliżej, bez obciążeń politycznych, problemem Polaków wywiezionych na Syberię w latach czterdziestych naszego wieku. Dziś sytuacja społeczna wymaga jasnego

powiedzenia, dlaczego nasi rodacy znaleźli się w Związku Radzieckim. Historia winna wyjaśnić przyczyn i skutków tych wywózek.

Wkład nasz w rozwój kultury, dobrych obyczajów oraz cywilizacji na terenach syberyjski był znaczny. Dorobek w tym względzie pozostawili Polacy nie tylko z wywózek okresu stalinowskiego, ale też i z okresu panowania caratu. Ten dorobek nie może być zrusyfikowany. Mamy przecież swój wkład w odkryciach na tych terenach. Upominajmy się o polskość ludzi znanych z osiągnięć naukowych, których się fałszywie zalicza do Rosjan tylko dlatego, że przyszło im żyć z konieczności na tych ziemiach.

W każdej formacji politycznej wywożono przede wszystkim inteligencję, a więc okradano nasze społeczeństwo, wzbogacając swoje, rosyjskie. Wszyscy wiemy, ilu żołnierzy Armii Czerwonej poległo wyzwalając nasz kraj, a czy wiemy, ilu Polaków zmarło w więzieniach, tundrach, kopalniach, kołchozach u przyjaciół Moskali. Czerwonoarmiści mają w Polsce pomniki, groby, nazwy ulic, a co mają nasi rodacy pomordowani, zamęczeni w ich kazamatach, kopalniach, ciężkich pracach w niesprzyjającym klimacie. Nawet ofiary stalinowskie w Katyniu nie mają swoich grobów nie mówiąc o pomnikach. Jeżeli tych „tajemnic" nie ujawnimy i nie potępimy – nasi wschodni sąsiedzi nie mogą liczyć na naszą szczerą przyjaźń. W każdym Polaku drzemie chęć odwetu i każdy z nas czeka na okazję. Jestem przekonany, że okazja – wcześniej czy później – nadejdzie.

Busko Zdrój, maj 1984 r.

5

Powrót

Po uzyskaniu dokumentów, kiedy minęła euforia i przyszedł czas na otrzeźwienie, w rodzinie zapanował niepokój i niezdecydowanie. Były to chwile wyjątkowo ciężkie dla obu sióstr. Wszyscy zastanawiali się nad naszą i cioci Stefy sytuacją. Mama rozważała możliwość zrezygnowania z powrotu, bo jak uzasadniała tę myśl: „Czy będzie to ludzkie pozostawić siostrę z małym dzieckiem wśród obcych na nieprzyjaznej ziemi?" Ciocia jednak ostatecznie i kategorycznie sprzeciwiła się ewentualnej naszej rezygnacji z powrotu, motywując tym, że zostaliśmy z jej przyczyny wywiezieni i że w Pużnikach na nas oczekuje babcia i chociaż jedna córka powinna powrócić do rodzinnego domu i ucieszyć staruszkę. Martę z nami ciocia bała się puścić, bo i podróż daleka, i dokumenty wystawione jedynie na dwie osoby, a jeżeli w podróży dopatrzą się tej niezgodności i zabiorą dziecko? Tedy zdecydowano wspólnie, że wracamy zgodnie z pozwoleniem – tylko we dwoje. Ufni i pokorni losowi poczęliśmy czynić przygotowania do wyjazdu oczekując jednocześnie przychylnej pogody.

Na Syberię nas wywieźli, ale na powrót władza radziecka nie zatroszczyła się nawet o bilet kolejowy. Ograniczono się do wydania dokumentu, dalej radź sobie sama, jeżeli tak bardzo zapragnęłaś wracać. Kołchoz również nie zainteresował się naszym powrotem, chociaż i mama i ja wypracowaliśmy tyle trudodni. Nawet nie zaproponowano podwody z kołchozu do stacji kolejowej. Wręczono papierek i skończyła się troska, i opieka, jakbyśmy przyjechali tu turystycznie, z własnej i nieprzymuszonej woli. Barbarzyńskie zwyczaje barbarzyńskiego państwa stosowano do końca. Tej zadry z mojej pamięci nikt nie zdoła mi usunąć, nawet najtkliwsza propaganda o naszej przyjaźni. Nie podobno tego zapomnieć i nikt nie może mieć pretensji, że tak drastycznie i ostro te wydarzenia pamiętam, one powinny, one muszą mieć odbicie w naszej historii i w naszych sto-

sunkach. Mogę przebaczyć, ale nie zapomnieć. To nie dotyczy jedynie mnie i mojej rodziny. Takich było wielu. Do dziś nawet nie wiemy ilu Polaków wywieziono w latach czterdziestych i ilu z nich nigdy nie wróciło do kraju.

A więc powrót zmuszeni byliśmy finansować sami. Rzeczy, które przedstawiały jeszcze jakąś wartość i dotychczas nie zdążyliśmy sprzedać – spieniężyliśmy lub wymieniliśmy na produkty żywnościowe. Mieliśmy przygotowane wszystkie produkty do dłuższego przechowywania tak, aby po kilkunastu dniach nadawały się do spożycia. Solone masło, smalec przetopiony z cebulą, soloną słoninę i suszone pszenne placki. Żywności było tyle, że powinno nam wystarczyć na dwa tygodnie, a nasze obliczenia mówiły nam, że podróż w najgorszym wypadku powinna trwać 10–12 dni. Pieniądze ze sprzedaży ostatniej poduszki, kołdry i pozostałych sztuk sztućców mama przeznaczyła na bilety kolejowe oraz na nieprzewidziane wydatki w podróży. Do wyjazdu byliśmy gotowi już w końcu lutego i gdy tylko warunki atmosferyczne stały się znośne, wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Pożegnanie z ciocią Stefą i pięcioletnią Martusią było ciche i spokojne, ale nasze wnętrze targała rozpacz. Wszyscy z osobna, każdy na swój sposób – przeżywaliśmy smutne chwile rozstania. Z gospodarzami pożegnanie było inne, bardziej hałaśliwe. Mama moja synowej gospodyni, którą uczyła katolickiej modlitwy i katechizmu – na pamiątkę ofiarowała srebrny łańcuszek z medalikiem Matki Boskiej. Gest ten tak wszystkich rozczulił, że szczerze popłakali się i starzy, i młodzi. Gospodarz ściskał mamę wiele razy dając jednocześnie kilka rubli na drobne wydatki. Obiecałem po powrocie napisać do niego list. Nie pamiętam, czy z tego się wywiązałem. Chyba nie. Napad Hitlera uniemożliwił.

Na stację kolejową wyjechaliśmy wczesnym rankiem wynajętą, za sowitym wynagrodzeniem, podwodą sąsiada. Zima jeszcze nie ustępowała. Leżący na stepie śnieg już mocno stwardniał i wiatry marcowe pędziły fale świeżo popadającego śniegu po lodowatej płaszczyźnie stepu. Było nieprzyjemnie i zimno. Drogi trudne. Często musieliśmy pokonywać potężne śniegowe, oblodzone wydmy nawiewane wiatrami. Na stację kolejową, którą tworzył w szczerym stepie jedyny stary barak, dobrnęliśmy jeszcze za dnia. Chłop nas pożegnał i odjechał do swoich krewnych mieszkających gdzieś w pobliżu. Pozostaliśmy sami w zimnym i brudnym pomieszczeniu barakowym, które spełniało rolę poczekalni, kas oraz biura dyżurnego ruchu. Gdy wyszedłem z poczekalni, aby się trochę biegając rozgrzać, w dali zobaczyłem zbliżające się postacie. Pobiegłem w tym kierunku

i po pewnym czasie ujrzałem całkiem wyraźną panoramę miejscowości, której nazwy nie pamiętam. A więc stacja kolejowa nie była w szczerym polu, była tylko oddalona od danej miejscowości. Gdy rozgrzany wróciłem, w poczekalni już sami nie byliśmy. Kilku pasażerów stało przed kasą. Wieczorem wsiedliśmy do pociągu w kierunku zachodnim. Niestety, niewiele pamiętam z tych pierwszych dni podróży. Wydarzenia z tego okresu wyleciały mi zupełnie. Chyba przespałem albo w przedziale nic szczególnego, godnego zapamiętania nie wydarzyło się. Jedynie pamiętam, że często przesiadaliśmy się z pociągu do pociągu. Zapamiętałem doskonale dopiero wydarzenia z naszego pobytu w Magnitogorsku, do którego dotarliśmy chyba po dwóch lub trzech przesiadkach. W tym mieście nastąpiły wydarzenia, które rozpoczęły naszą Golgotę na całej drodze powrotnej i których nie sposób zapomnieć. W Magnitogorsku, czekając na pociąg mieliśmy cały dzień do dyspozycji. Zaproponowałem mamie zwiedzić miasto. Był pogodny mroźny dzień i dobrze byłoby rozprostować nogi. Mama jednak nie była chętna, tłumacząc zmęczeniem. Po tych przesiadkach czuła się źle. Zdecydowałem się na spacer w pojedynkę, z samej ciekawości miasta. Z tego spaceru po brudnych ulicach zapamiętałem szarość ulicy i mieszkańców, dużo nowych budynków i zwały brudnego śniegu na jezdni i na chodnikach. Żałuję, że ten widok zniechęcił mnie do dłuższego spaceru i nie doszedłem do rzeki Ural. Gdy wróciłem zauważyłem, że mama jest zaniepokojona swoim stanem. Zająłem dogodną ławkę obok lady bufetowej i posililiśmy się naszymi zapasami. Jeszcze dopijałem swoją herbatę, gdy mama wzięła ręcznik i wyszła do dworcowej umywalni z zamiarem odświeżenia się. Pilnując naszego bagażu obserwowałem ludzi poruszających się po poczekalni i cierpliwie czekałem na powrót mamy. Czas oczekiwania pokaźnie się wydłużał, a mama nie wracała. Zacząłem się denerwować. Przypomniałem sobie, że już w pociągu mama narzekała na ból głowy, a ja zauważyłem jakby ją trawiła gorączka. Zdradzała mocne zmęczenie. Coraz częściej zaniepokojony spoglądałem na drzwi umywalni. Po dłuższej nieobecności mama wróciła i ciężko usiadła na ławce. Twarz miała bladą, oczy zamglone, a po policzkach spływały łzy. Wróciła w towarzystwie starszej kobiety, bez ręcznika i bez torebki, którą ze sobą zabrała idąc do umywalni. Pamiętam skórzaną torebkę, o podwójnym zatrzasku, przeładowaną drobiazgami. W niej też były pieniądze, bilety kolejowe oraz dokumenty. Siadając na ławce mama przestała płakać, nie miała już sił. Patrzyła przed siebie bez wiary, zrezygnowana i obojętna. Towarzysząca mamie kobieta opowiedziała całe zdarzenie, jakie miało miejsce w umywalni. Kręciło się tam dużo kobiet. Mama w trakcie mycia

zmęczona i osłabiona poczuła się źle i zemdlała. Zemdlona usunęła się na posadzkę. Kobiety, które znalazły się obok, przystąpiły do cucenia i gdy mama ocucona doszła do świadomości, z przerażeniem stwierdziła brak rzeczy osobistych w tym torebki. W trakcie opowiadania tej kobiety zaczęli się gromadzić ciekawscy. Ktoś wezwał milicję. Zaczęło się zeznawanie świadków, spisywanie danych personalnych i w końcu milicjant zdecydował zabrać nas do komendy milicji. Nie bardzo orientował się, jak powinien postąpić z osobą, którą okradziono z dokumentów i która nie potrafi udokumentować swojej tożsamości. Dobrze, że chociaż w protokole wymienił nazwiska świadków, co było podstawą do ulgowego nas traktowania, tzn. że nie zatrzymano nas w areszcie. Wkrótce potem i w następnych tygodniach i miesiącach doświadczyłem bycia bez dokumentów tożsamości na bratniej ziemi radzieckiej.

W komendzie stanęliśmy przed obliczem starszej władzy od tej, która nas przywiozła. Teraz długo odpowiadaliśmy na szczegółowe pytania łącznie z życiorysem. Spisano długi protokół, odnotowano w rejestrze i obiecano szukać złodziejkę. Jeżeli dokumenty zostaną odzyskane bez problemu będziemy mogli kontynuować podróż, jeżeli nie – otrzymamy zaświadczenie o kradzieży, które będzie naszym tymczasowym dokumentem. Polecono miasta nie opuszczać i codziennie meldować się w komendzie. Na pytanie mamy gdzie mamy się zatrzymać i za co żyć – władza wzruszyła ramionami i głupio się uśmiechnęła. Pokonaliśmy około 400 km, zaledwie 1/8 drogi dzielącej Terientiwkę z Niżniowem, a już spotykają nas takie przeszkody.

Wracając, ale już pieszo, na dworzec kolejowy mama powiedziała mi, że przed toaletą zdjęła z palców ślubną złotą obrączkę i srebrny pięknie rzeźbiony pierścionek i włożyła do torebki. Pozostałe jeszcze kolczyki, może, gdy sprzeda okazyjnie starczy na ciepłą strawę. Poza tymi kolczykami nic nam nie pozostało. Mamy jeszcze na dzień – dwa trochę prowiantu, ale jak poradzimy sobie z biletami kolejowymi, co zjemy, gdy zapasy zostaną zjedzone. Dopiero teraz ta potworna rzeczywistość zaczęła do mnie docierać. Gorycz i strach przesiąkały moją duszę coraz głębiej, ponieważ uświadomiłem sobie załamanie oraz rezygnację u mojej mamy. Zaczął ją opuszczać instynkt samozachowawczy, co od razu odczułem w swojej psychice. Dotychczasowa opieka mamy w każdej sytuacji dawała mi komfort psychiczny, że nic złego mnie spotkać nie może, że z każdej opresji mnie wyciągnie, pomoże. Teraz, w ciągu kilku godzin zostałem tego wszystkiego pozbawiony. Już na komendzie w większości rozmawiano ze mną, ponieważ mama była jakby nieobecna.

Po powrocie do poczekalni byliśmy wykończeni i fizycznie, i psychicznie. Zajęliśmy wolną ławę w kącie słabo oświetlonym i ja momentalnie zasnąłem. Niestety, dyżurujący kolejarz ciągle podchodził do naszej ławy i budząc nas pouczał „w wagzale spat' nielzia". Nocą dodatkowo wyproszono z poczekalni wszystkich oczekujących na pociąg – na czas sprzątania. Rano czułem się zmęczony, niewyspany i potwornie bolała mnie głowa. Bufetowa, której pożaliłem się na ból głowy, dała mi jakiś sproszkowany lek, szklankę herbaty i oświadczyła, że za kilka minut będę zdrów jak ryba. Tak faktycznie się stało. Był to nie tylko pierwszy proszek od bólu głowy w moim życiu, ale był to też pierwszy dzień w moim życiu, w którym poczułem się odpowiedzialny za bezpieczeństwo mamy i swoje. Zacząłem rozmyślać i zastanawiać się, jak pokonać trudności, w jakich znaleźliśmy się i do kogo zwrócić się o pomoc. Mama ciągle nie była tą kobietą, która na Syberii wykazywała tyle inicjatywy, zaradności i pomysłowości. Nie płakała, nie narzekała i nic nie mówiła. Siedziała na ławce i patrzyła się przed siebie. Taka apatia trwała dwa dni. Dopiero trzeciego dnia mama jakby ocknęła się z letargu, zaczęła reagować na bodźce zewnętrzne i uaktywniać się w rozwiązywaniu naszych problemów. Mogłem już zostawić mamę samą bez obaw, że resztka naszego bagażu nie zostanie ukradziona. Sam chodziłem żebrząc o kilka kopiejek na herbatę.

Przez tydzień chodziliśmy do komendy milicji. Początkowo raz dziennie, a po trzech, czy czterech dniach byliśmy już natrętni i stawialiśmy się w komendzie dwa–trzy razy dziennie. Nie liczyliśmy już na odzyskanie torebki z zawartością, chodziło nam o uzyskanie zaświadczenia, które obiecano wystawić. Raz nie było komendanta, a tylko on mógł podjąć taką decyzję, innym razem był komendant, ale miał pilniejsze sprawy na głowie od naszej. Ciągle przyjmował nas inny funkcjonariusz i za każdą bytnością w komendzie musieliśmy od nowa, po kolei, o wszystkim im opowiadać. Służbę trzymali coraz to nowi ludzie i każdy chciał dokładnie wiedzieć o sprawie. Po wysłuchaniu zwykle radzono zgłosić się ponownie za kilka godzin względnie jutro, a decyzja w sprawie z pewnością zostanie podjęta. Jutro było, jak wczoraj, a wczoraj podobnie, jak dziś i tak bez nadziei, że coś w tej komendzie zyskamy. Ostatni raz gdy zgłosiliśmy się któryś już raz z kolei powiedziano nam z rozbrajającą szczerością, że dopóki dochodzenie w sprawie kradzieży nie zostanie zakończone, komendant nie może nam wystawić żadnego dokumentu. Końca dochodzenia nikt nie potrafił przewidzieć.

Nasza upartość i determinacja w uzyskaniu urzędowej bumagi została po tygodniu wyczerpana i chociaż baliśmy się okrutnie zostać bez dokumentów, postanowiliśmy Magnitogorsk opuścić. Łatwo jednak postanowić, gorzej wykonać. Świeżo mieliśmy w pamięci częstotliwość sprawdzania naszych dokumentów w podróży. Jeden z kontrolerów, taki z gorliwych i czujnych wątpił nawet w prawdziwość tych dokumentów, które legalną drogą nam wręczono. Jak sobie poradzimy, skoro teraz nie mamy żadnych. Kto uwierzy w prawdziwość naszych opowieści o kradzieży, jeżeli nie otrzymamy tu odpowiedniego zaświadczenia. Stąd nasze częste wizyty w Komendzie milicji, która miała potwierdzenia świadków i nie miała żadnej wątpliwości, co do utraconych naszych dokumentów. Nasza sytuacja znana już była nie tylko wszystkim milicjantom tej Komendy, znali ją też ludzie pracujący na dworcu kolejowym. Znając nasze położenie personel dworcowy obdarzał nas pewnymi względami. Nocą przestano nas wypraszać z poczekalni, bufetowa obdarzała herbatą i kanapkami, a jeden z kolejarzy nawet postanowił zebrać od kolegów kolejarzy po kilka rubli na bilet kolejowy. Odwdzięczając się – przy każdym sprzątaniu hali dworcowej brałem udział i pomagałem sprzątaczkom.

Jak często bywa ludzie ludziom będącym w potrzebie doradzają i w miarę możliwości pomagają. Ktoś nam doradził, co nas tylko utwierdziło w podjętej decyzji, wracać do domu bez dokumentów. Milicja się wykręcała od definitywnego załatwienia naszej sprawy, czas nieubłaganie leci, nam sił ubywa, najistotniejsze, że po pewnym czasie sami milicjanci mogą stracić cierpliwość do nas i złośliwie mogą nas potraktować, jak traktują włóczęgów. W ostatnim dniu postanowiłem jeszcze rano zgłosić się na posterunku, powiadomić, że mama nie czuje się dobrze i nie będzie mogła teraz codziennie zgłaszać się. Dyżurny coś w zeszycie odnotował, powiedział mi, że złodziejkę jeszcze nie złapali i na tym zakończyliśmy nasze wizyty w Komendzie milicji.

Jeszcze w tym samym dniu wspomniany kolejarz za zebrane pieniądze kupił nam bilety do Buzułuku i pierwszym pociągiem wyjechaliśmy w kierunku zachodnim. W pociągu dzięki temu kolejarzowi zaopiekowała się nami bardzo energiczna, przystojna konduktorka o imieniu Natalia. Pamiętam jej imię, bo w czasie podróży była dla nas bardzo serdeczna i opiekuńcza. Zapewniała nam spokój i przez kilka godzin nikt nas nie kontrolował i nie nagabywał. Częstowała nas sucharami i słodzoną herbatą. Mama ją tak polubiła, że nawet zaprosiła ją do Niżniowa na wakacje wymieniając z nią adresy. Dzięki Natalii, jej pocieszeniom, mama

w pociągu już całkowicie „doszła" do normalnego stanu psychicznego, przestała się dręczyć i obwiniać wypadkiem kradzieży.

Po serdecznych pożegnaniach z Natalią wieczorem wysiedliśmy z pociągu w Buzułuku. Pociąg Natalii, o ile dobrze zapamiętałem, jechał dalej w kierunku północnym, a ten kierunek nam nie odpowiadał.

Buzułuk nie zostawił w mojej świadomości miłego wrażenia. Czuliśmy się tu wyjątkowo obco i chyba dlatego postanowiliśmy jak najszybciej to miasto opuścić (warto jednak pamiętać, że właśnie tam formowano w 1941 r. Armię Andersa). Na tablicy zawieszonej na ścianie poczekalni dworcowej rozklejona była dużych rozmiarów mapa z głównymi liniami kolejowymi. Długo przyglądałem się nazwom miejscowości i liniom łączącym te miejscowości, aż wybrałem dla nas trasę, zdaniem moim zdążającą aż do Tarnopola. Nie wiem czym się wtedy kierowałem wybierając kierunek na Charków–Połtawę i Kijów. Być może mapa kolejowa nie precyzowała dokładnego położenia tych miejscowości pod względem geograficznym, a jedynie przedstawiała schemat połączeń kolejowych, dlatego wydawało mi się, że jest to prosta droga do wybranego celu. Jednak chociaż wybrana trasa nie była najkrótszą z możliwych, pokonywaliśmy ją przez czas całej naszej podróży bardzo dokładnie.

Niestety na dalszą wygodną podróż w wagonie kolejowym nie możemy sobie pozwolić. Pozostać dłużej w Buzułuku również nie ma większego sensu. Pozostały nam jedynie nogi, jak na razie zdrowe i nie zmęczone. Postanowiliśmy przenocować na dworcu i rano pieszo wyruszyć w drogę.

Miasto opuszczaliśmy w brzydką pogodę. Był marzec i zmienność w pogodzie nas nie dziwiła. Było zimno i padał deszcz ze śniegiem. Na ulicach kałuże i lepkie błoto. Gdy wyszliśmy już z miasta, na otwartej przestrzeni odczuwaliśmy silny powiew wiatru. Byliśmy przestraszeni, jak w tych warunkach potrafimy długo maszerować. Wokół pustka, z góry pada, pod nogami kałuże, a wiatr przenika do szpiku kości. Zrobiło mi się smutno, ale to była mała chwilka. Szybko tym marszem rozgrzałem się i przestałem marzyć o ciepłym łóżku. Przypominam sobie, że po długim marszu żaden z jadących samochodów nie zatrzymał się i nie zaproponował nam podwiezienia, chociaż w naszym kierunku kilka samochodów pomknęło. Doszliśmy do pierwszego skrzyżowania dróg i stanęliśmy przed poważnym problemem. Żadna z nazw miejscowości wymienionych na drogowskazach nic nam nie mówiła. Długo z mamą medytowaliśmy, która droga powinna być naszą drogą. Na drogowskazach nie ma ani jednego większego miasta, same małe miejscowości – nam nie znane. Kiedy tak zastanawialiśmy się nad wyborem kierunków dalszej naszej

podróży, od Buzułuku nadjechał samochód ciężarowy i za skrzyżowaniem zatrzymał się. Z kabiny starego klekota wysiadł kierowca odziany w kufajkę, z papierosem w ustach – przyszedł do nas i zapytał dokąd jedziemy, a po chwili głośno się zaśmiał i zmienił swoje pytanie na dokąd idziemy. Odrzekłem, że w kierunku Tarnopola. Kierowca stanął zdumiony i mówi, że on poważnie, bez żartów pyta, w którą stronę idziemy, bo jeżeli w tym kierunku, co on – to nas zabierze. I w ten sposób znaleźliśmy się na skrzyni ciężarowego samochodu. Kierowca wracał z Buzułuku do domu wiozący na skrzyni jakieś duże butle napełnione płynem. Zdziwienie kierowcy było uzasadnione odległością od Tarnopola, która dla pieszego była niebagatelna. W czasie jazdy nachodziły mnie różne myśli, a jeżeli samochód zatrzyma milicjant i zechce sprawdzić kogo i co wiezie. Czym się wtedy wylegitymujemy, jak się wytłumaczymy skąd i dokąd jedziemy. O swoich obawach nic mamie nie wspomniałem, ale mnie to prześladowało przez całą drogę. Dopiero, kiedy zeszliśmy z tej skrzyni zmarznięci przestałem się tym przejmować. Marzyłem o ciepłej herbacie. Kierowca jakby wyczytał moje marzenie w moich oczach i zaprosił nas do obok stojącego obskurnego baru. Tam było sucho i ciepło oraz pełno dymu. Po chwili, gdy oczy się trochę oswoiły z dymem, zobaczyłem kilka stolików przykrytych ceratami, a przy nich siedzących samych mężczyzn pijących alkohol. Nasz opiekun z bufetu przyniósł po kanapce, nam po herbacie, a sobie duże piwo. Czułem, jak od gorącej herbaty żyły mi się poszerzają. Miasteczko było i małe, i brzydkie. Może plucha i błoto dodawały mu brzydoty. Dobrze, że nie pamiętam jego nazwy. Naszemu dobroczyńcy gorąco i serdecznie podziękowaliśmy i we wskazanym kierunku szybko podążyliśmy brudnymi ulicami.

Po dzisiejszym doświadczeniu pozbyłem się obaw, że jazda przygodnym pojazdem może być niebezpieczna. Kierowca, którego przed chwilą pożegnaliśmy swoim zachowaniem i ciepłym stosunkiem do takiej biedoty, jak my, ośmielił mnie i zachęcił do jazdy przygodnym środkiem lokomocji. Pomyślałem, że teraz będę sam zatrzymywać samochody i prosić o podwiezienie. Czekać, aż jadący sam zaprosi nie ma sensu, można się nie doczekać.

Z mamą ustaliliśmy, że wszystkie rozmowy między nami i z obcymi prowadzić będziemy tylko w języku rosyjskim, a że tym językiem lepiej się posługuję od mamy – ja będę emisariuszem i sam z obcymi będę rozmawiać.

Dziś, gdy przelewam te zdarzenia na papier, zastanawiam się, jak się to dzieje, że moja pamięć nie odnotowała zdarzeń, równie godnych

zapamiętania, z okresu lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, czy nawet ostatnich z taką dokładnością, z jaką odnotowała zdarzenia z tych okrutnych lat wojny. Niektóre obrazy z tych czasów noszę w pamięci z taką dokładnością i wyrazistością, że aż mnie przeraża. Dziś często zapominam, jakie czynności wykonywałem wczoraj, a z tamtych czasów prześladują mnie nawet smaki i zapachy.

Cieszyliśmy się z mamą, że w jednym dniu pokonaliśmy tyle kilometrów. To osiągnięcie dodawało nam otuchy i dlatego ochoczo wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Wychodząc z tej mieściny popełniliśmy fatalny w skutkach błąd. Nie przypuszczaliśmy, że następna miejscowość jest zbyt daleko, abyśmy mogli zdążyć pokonać tę odległość przed nocą. Zmierzch złapał nas w szczerym polu przy ciągle siąpiącym deszczu. Strach przed ciemnościami i zdenerwowanie przyśpieszały nasze kroki, co bardzo szybko odbiło się na zmęczeniu. Zgrzani i zmęczeni zaczęliśmy nerwowo szukać zacisznego miejsca na odpoczynek i schronienia przed deszczem. Wokół żadnej żywej istoty. Wyprzedziły nas trzy lub cztery samochody, ale żaden nie zareagował na moją podniesioną rękę.

Byliśmy akurat na zakręcie drogi, gdy nadjechał z naprzeciwka samochód i oświetlił przestrzeń poza drogą. Przez chwilę snop światła padł na coś, co przypominało wyglądem sterty syberyjskiej słomy. Pobiegłem w tę stronę i rzeczywiście około 100 m od drogi stały trzy duże kopce zbutwiałej słomy. Zaczęliśmy wygrzebywać pieczary do których następnie całkowicie po wejściu zasłoniliśmy wejście grubą warstwą słomy. Mieliśmy spokojną i względnie ciepłą noc. Nasze rozgrzane ciała zdołały ogrzać tę szczelną pieczarę na tyle, że ciepła starczyło na całą noc. Była to pierwsza noc spędzona w stogu. Przed nami będzie jeszcze kilka takich nocy. Napotkane w drodze słoma lub siano zawsze było okazją do dobrego wypoczynku.

Podróż do Charkowa była w większości golgotą. Psia pogoda oraz beznadziejne szutrowe drogi były istną torturą. Mieliśmy kilka przypadków okazyjnej jazdy samochodami ciężarowymi i furami chłopskimi, ale też i kilka razy zgarniała nas milicja. Przetrzymywano nas zwykle za włóczęgostwo i żebraninę. Pamiętam, że w jakimś małym miasteczku, które podobało mi się ze względu na piękne położenie nad stromymi brzegami małej rzeczki, zatrzymał nas milicjant. A było to tak. Poszedłem do stojącego na ulicy, sympatycznie wyglądającego, w średnim wieku jegomościa i poprosiłem o jałmużnę. Tak to zwykle bywa, że często spotykamy w życiu nie tych ludzi, których spotkać chcemy. Tenże jegomość

okazał się być funkcjonariuszem milicji w cywilu. Złapał mnie za kołnierz i poprowadził na komisariat milicji. Mama widząc to zdarzenie, całkiem niepotrzebnie podreptała za nami i przyznała się do macierzyństwa. Przytrzymano nas kilka godzin w zamknięciu, a następnie wywieziono za rogatki miasteczka i zabroniono wracać. Towarzyszący nam milicjant powiedział na pożegnanie, że włóczęgów, złodziei, żebraków i w ogóle obcych tolerować w miasteczku nie będą. Mamy wracać skąd przyszliśmy.

Innym razem zatrzymano nas bez podania przyczyn, ale szybko okazało się w jakim celu. Wręczono nam wiadro z wodą i kilka starych szmat. Przez dwa dni sprzątaliśmy posterunek milicji. Tu chociaż dostawaliśmy swoje racje żywnościowe i nie cierpieliśmy głodu. Po wiosennym sprzątaniu wypuszczono nas na wolność bez żadnych wyjaśnień i konsekwencji.

Dokuczał nam głód, któremu od czasu do czasu można było zaradzić, oraz padający deszcz ze śniegiem, przed którym trudno się było skryć. Znaleźliśmy się w mieście o dziwnej, nierosyjskiej nazwie, nad Donem. Złapała nas potężna burza gradowa, przed którą skryliśmy się w wejściu do dużej restauracji. Ktoś zwrócił nam uwagę, że stoimy w przejściu i nakazał opuścić pomieszczenie lokalu, a ktoś inny zaprowadził nas na zaplecze restauracji i zaproponował mamie zmywanie naczyń, bo pomywaczka nie zgłosiła się w pracy. Przez dwa dni, do powrotu pomywaczki, mieliśmy pracę, jedzenie, dach nad głową i ciepłe spanie na poddaszu budynku restauracyjnego. Kierownik restauracji musiał być w dużej potrzebie, bo nawet nie zażądał od mamy żadnego dokumentu.

Z przygodami dotarliśmy wreszcie do Charkowa. Od początku wkraczając już na ulice Charkowa poczułem do tego miasta sympatię. Ulice wydały mi się szerokie, domy o jasnych tynkach, duży ruch uliczny, zapachniało odrobinę Europą. Zapytałem jakąś babinę o drogę do głównego dworca kolejowego. Spojrzała na nas z politowaniem i zapytała skąd idziemy. Gdy się dowiedziała, że z Kazachstanu, z niedowierzaniem pokręciła głową i choć z wyglądu, z ubioru, wyglądała biednie, wysupłała kilka miedziaków, jak powiedziała, na gorącą herbatę, bo nie wyglądacie na sytych i rozgrzanych. Idąc we wskazanym kierunku podziwiałem wielkomiejski ruch, samochody, dorożki – to wszystko zrobiło na mnie miłe wrażenie. Miasto wydało się być gościnne i napawało otuchą. Nawet nieporządki po zimie na ulicach tak mocno mnie nie raziły, jak w poprzednich miejscowościach.

Oszołomieni miastem i słońcem, jakie od rana zajaśniało na niebie, trafiliśmy na dworzec. Weszliśmy do poczekalni, przestrzennej i dość czysto utrzymanej sali i zajęliśmy miejsca na wolnej ławie, aby trochę

odpocząć. Idąc do bufetu po herbatę zatrzymał mnie widok młodego chłopaka w białym kitlu i z dużą skrzynią wiszącą na jego brzuchu. Chłopak wykrzykiwał morożonoje... morożonoje... przechwalając ich smak. Kupiłem tylko jedną herbatę i wracając zapytałem sprzedawcę tych smakowitych lodów o cenę jednej porcji. Lody były bardzo tanie, chyba w cenie słodzonej herbaty. Poprosiłem mamę o zezwolenie kupna porcji lodów w zamian za herbatę. Przed wojną w Niżniowie często latem dostawałem 10 groszy na lody i zawsze sprzedawano mi lody „miękkie", lekko mrożone, a tu sprzedawał mi coś białego, twardego, z czego wystawał patyk do trzymania. Był to słodki o smaku landrynkowym zabielany lód. Po zlizaniu tego lodu pozostał mi w ręku patyk i żal wydanych pieniędzy. Postanowiłem się zrehabilitować. Niepostrzeżenie wszedłem do sali restauracyjnej i nastawiłem czapkę denkiem odwróconym prosząc konsumentów o drobny datek. Zatrzymał mnie przy stoliku jeden pan i zaczął mnie wypytywać, kto ja jestem, po co mi są potrzebne pieniądze, kiedy ostatnio jadłem obiad i na koniec, niespodziewanie dość ostro zapytał, czy palę papierosy. Stanowczo odparłem, że nic podobnego nigdy nie paliłem i palić nie będę. Wtedy poprosił kelnera o jeszcze jedną porcję. Zjadłem obiad z trzech dań. Pamiętam kapuśniak i ziemniaki polane sosem oraz słodką herbatę. Ponieważ mój dobroczyńca wiedział już, że jestem w Charkowie z mamą, zamówił u kelnera kanapkę z żółtym serem. Pieniędzy mi nie dał. Do końca nie wierzył, że nie jestem kuriaszczyj. Gdy wstaliśmy od stolika zauważyłem, że obiad spożywałem z dobrze ubranym panem, jakby przybył do tych szaraczków z innej planety i wyjechał w nieznane. Noc na tym dworcu już do przyjemnych nie należała. Były tam zwyczaje identyczne jak na innych dworcach. W dzień nikt nie pytał przybywających na dworzec, czy mają bilety, czy wyjeżdżają, czy też może jedynie chronią się przed zimnem i deszczem. Nie zabraniano nawet leżenia na ławie, jeżeli nie była zajęta. Natomiast już po godzinie $22^{\underline{00}}$ kontrolowano, czy obecni w poczekalni mają bilety kolejowe. Usłyszałem, jak jeden bezbiletowiec opowiadał, że od czasu do czasu milicja robi na dworcu coś w rodzaju obławy. Wyłapują prostytutki, włóczęgów i drobnych złodziejaszków, bo za dnia w tak dużym mieście łatwo jest ukryć się w tłumie, a nocą wszyscy szukają swego miejsca na dworcach, bo to ciepło i darmo, wystarczy wykupić bilet do najbliższej stacji i możemy korzystać z poczekalni. O tym, co usłyszałem opowiedziałem mamie i jeszcze tego wieczora postanowiliśmy Charków opuścić z samego rana.

Noc przeszła bez obławy i nawet udało nam się zdobyć współczucie biletera, który wpuścił nas do poczekalni zaraz po zakończonym sprząta-

niu. Rano wyszedłem z poczekalni dworcowej na żebraninę. Odwiedziłem kilka sklepów spożywczych, w których nastawiałem swoją czapkę sfatygowaną prosząc, co łaska. Sklepy w których byłem, były ubogie w towary. Na półkach stały jakieś konserwy, olej, sery, sól itp. Łatwo też można było kupić kapustę, buraki, ziemniaki, owoce były już rzadkością. Pieczywo sprzedawano w jednym sklepie, zwykle przy piekarni i tam widziałem kolejki. Podobne kolejki do sklepów z pieczywem spotkałem w Kijowie. W kilku sklepach uzbierałem parę rubli, a w jednym dostałem nawet konserwę rybną. Czułem się coraz pewniej i wiedziałem już, że z głodu nie umrzemy. Rano po posiłku i rozpoznaniu w którym kierunku tory prowadzą do Kijowa wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przed wyjściem jeszcze podszedłem do kasy biletowej i poprosiłem o informację. Ciekaw byłem ile też jeszcze pozostało kilometrów do Tarnopola. Usłyszałem odpowiedź, że daleko, a na dokładne obliczanie nie ma czasu. Odchodząc już od okienka usłyszałem, że około 800–900 km. Gdy już byliśmy daleko za miastem zacząłem obliczać, ile jeszcze dni nam pozostało w podróży. Długo nie mogłem się zdecydować, ile kilometrów pokonać możemy w jednym dniu. W końcu przyjąłem, że więcej jak 20 km dziennie pokonać nie możemy tym bardziej, że teraz idziemy torami i tempo marszu stało się słabsze. Długo męczyłem się nad tym zadaniem, w końcu wyszło mi, że do domu możemy dotrzeć dopiero za 45 dni, jeżeli nikt nam w tym nie przeszkodzi. Wynik ten mnie do tego stopnia przeraził, że zacząłem wątpić, ale w chwilę po tym uświadomiłem sobie, że zbliża się wiosna, lato, że będzie ciepło i nadzieja szybko wróciła.

W Charkowie doszliśmy z mamą do wniosku, że łatwiej nam będzie iść torami kolejowymi. Buty moje pozbawione częściowo były zelówek, marsz po drodze szutrowej powoduje szybkie ścieranie zelówek, drobne kamyki i piach przedostające się do buta kaleczą nogi, a kałuże powodują, że ciągle mam nogi mokre. Po podkładach kolejowych będzie mi się wygodniej chodzić i łatwiej chronić nogi przed zmoczeniem. Na dworcu znalazłem jakiś stary karton, odrysowałem swoją stopę, wyciąłem i włożyłem do butów. Stąpając po podkładach nie raniłem już stóp.

Drugi powód wyboru toru kolejowego to większe bezpieczeństwo. Na tej drodze nie spotyka się milicjanta, żadnego ruchu pieszego... Jedynie pociągi mogą być niebezpieczne. Teraz idąc tą drogą natknąłem się na jeszcze jedno utrudnienie. Podkłady kolejowe śliskie i rozstawione w odległościach utrudniających utrzymanie równomiernego kroku.

Aura nadal była zmienna. Jednego dnia obiecująco piękna pogoda, słonecznie i sucho, drugiego śnieg, deszcz, wiatr i ziąb.

Szliśmy w kierunku Połtawy. Był to już chyba czwarty dzień chodzenia po torach. Było zimno i mokro. Lepki śnieg padający od kilku godzin przemoczył nas do przysłowiowej nitki. Nie bardzo byliśmy zorientowani w jakim punkcie się znajdujemy, jak daleko do następnej stacji. Idąc nie spotkaliśmy ani ludzi, ani zwierząt. Jedynie od czasu do czasu ryczały syreny przejeżdżających pociągów. Żadnego miasteczka, żadnej wioski ani żadnego śladu życia ludzkiego w okolicy. Zaczęło się ściemniać i coraz trudniej nam iść po śliskich podkładach. Byliśmy głodni, zmęczeni i mokrzy, a wokół nas pustka. Pocieszaliśmy się, że linia kolejowa prowadzić musi do jakiejś miejscowości, że gdzieś w pobliżu musi być życie. Późnym wieczorem przestało padać i chwycił lekki mróz. Kiedy już zacząłem tracić chęć do życia, z dala ujrzałem bardzo słabe światełko, które wlało w nas nadzieję i wyzwoliło resztki sił. Potykając się prawie biegłem do tego światełka. Uradowany wreszcie ujrzałem w pełnej nocnej krasie mały, drewniany domek, położony tuż przy torach, gdzie krzyżowały się z drogą kołową. W domku mieszkał dróżnik, który na odgłos naszego pukania stanął w drzwiach trzymając w ręku lampę naftową. Groźnym głosem zapytał, co my o tak późnej porze na torach robimy i czego chcemy. Wyjaśniłem, że od rana nic nie jedliśmy i jesteśmy bardzo zmęczeni po całodziennym marszu, i czy nie mógłby nas trochę w swojej chacie ogrzać. Mężczyzna ów nieprzyjaznym głosem odburknął, że to nie chata, a budka dróżnika w której się nie śpi i nie odpoczywa, a dyżuruje. Uprzedzając naszą prośbę oświadczył także, że jedzenia również nie ma i poratować nas w niczym nie może. Po chwili jednak, gdy nam się uważnie przyjrzał, trochę już łagodniej kazał poczekać, a sam zamykając przed nami drzwi zniknął w głębi swego pałacyku. Minęła długa chwila i drzwi ponownie się otworzyły, a na progu stanął dróżnik trzymając w jednej ręce garnek z siadłym mlekiem, w drugiej zaś dwie kromki razowego chleba. Wygłodniali wpadliśmy na to jadło jak drapieżnik wpada na swoją ofiarę. Zsiadłe mleko było zimne, ale na możliwe skutki, jakie po spożyciu mogły nastąpić, nikt z nas nie zastanawiał się. Szybko spożyliśmy te dary i pokornie czekaliśmy na dalszą reakcję tego nieprzystępnego, ale jednak litościwego człowieka. Dróżnik widząc, że nie zamierzamy wcale odchodzić w ciemną dal, chwilę zastanowił się i poradził nam udać się do chaty, która stoi teraz pusta, obok torów, około kilometra stąd. Dziś tam nikogo nie ma i on dróżnik, zezwala nam na nocleg w tej chacie. Zakończył, że nawet jest tam piec i drzewo przygotowane na opał. Możemy ogrzać się i wysuszyć swoje odzienie. Zaznaczył, że chata przeznaczona jest dla robotników pracujących na rzecz kolei.

No cóż, szliśmy cały dzień bez posiłku, to pokonamy jeszcze i ten ostatni kilometr, tym bardziej że trochę posililiśmy się i mamy perspektywę wypoczynku. Ponownie zaczął padać gęsty śnieg. Był to na dziś ostatni kilometr, a tej wiosny ostatni śnieg.

Idąc we wskazanym kierunku do wymarzonego domku czułem, że nogi mi odmawiają posłuszeństwa, każdy krok wymagał dużego wysiłku, nogi usuwały się z podkładów kolejowych, a ten ostatni w tym dniu kilometr był najdłuższym kilometrem w dotychczasowej naszej wędrówce. Ta droga zdawała się nie mieć końca. Dotarliśmy wreszcie tracąc ostatni zapas sił i doszczętnie przemoknięci. Po lewej stronie torów z ciemności wyłonił się wreszcie upragniony widok drewnianej chaty. Weszliśmy do wnętrza, które okazało się obszerne i ponure. W ciemności trudno było zorientować się, co do rozkładu tego pomieszczenia. Gdy już wzrok się oswoił z ciemnościami, zauważyłem w jednym kącie dużą pryczę, a pod przeciwną ścianą zwykły wiejski piec. Niestety, okazało się, że nie mamy zapałek i nie możemy wzniecić ognia pod kuchnią. Nie miałem już sił na wyjście po kamienie i krzesanie starym zwyczajem ognia. Zdjąłem w pośpiechu mokre swoje łachy i jedynie w wilgotnej, brudnej bieliźnie rzuciłem się na pryczę, na której było trochę słomy. Zasnąłem natychmiast. Mama jeszcze coś do mnie mówiła, ale ja nie byłem już w stanie odpowiadać – senność była silniejsza od zimna i innych bodźców zewnętrznych. Spałem skulony do rana. Mama, czuwając nad naszym bezpieczeństwem zapadała w płytki i czujny sen. Często wstawała i chodząc po izbie od czasu do czasu prostowała zmarznięte kości, i rano nie miała większych trudności w zejściu z tego łoża. Czuła jedynie zmęczenie i potworny ziąb. Ze mną było gorzej. Wstać o własnych siłach nie mogłem, bo nie potrafiłem nawet leżąc na pryczy rozprostować swoich skostniałych członków. Skulony zastygłem i wyglądałem jak nieboszczyk. Byłem jednak w pełni świadom swego położenia. Mama zaczęła siłą prostować moje kończyny, obracając mnie na wznak i nawet nie czułem bólu. Leżąc już na wznak zobaczyłem w oczach mamy bezgraniczne przerażenie. Przypomniałem sobie Jurę i intensywne nacieranie naftą. Mama, jak mi potem opowiadała, również przypominała sobie te zabiegi. Chwyciła stojącą na kuchni dużą miskę, coś w rodzaju miednicy i wybiegła z izby. Po chwili wróciła z miską wypełnioną świeżym śniegiem, który przez noc obficie napadał. Ściągnęła ze mnie koszulę i śniegiem zaczęła mocno nacierać. W pewnym momencie doznałam takiego uczucia, jakby mnie tysiącami igieł nakłuwano, a w żyłach autentycznie poczułem krążenie krwi, ciepło przepływało przez cały organizm. Rozprostowałem wreszcie

swoje ciało i po krótkich wstępnych ruchach wstałem na równe nogi. Byłem uratowany. Mamę zaś emocje, strach i wysiłek tak wyczerpały, że bez sił opadła na pryczę.

W trakcie tych zabiegów do chaty zaczęli przybywać robotnicy. Widząc nas w potrzebie serdecznie się z nami zajęli. Natychmiast rozpalili pod kuchnią, zagotowali wodę i zaparzyli herbatę lipową oraz przygotowali godny posiłek. Było nawet gorące mleko. Po śniadaniu, gdy siły nam wróciły opowiedziałem robotnikom o naszym krytycznym położeniu i jego przyczynach. Na poszarzałych twarzach tych ludzi zobaczyłem przyjazne spojrzenie i usłyszałem słowa podziwu dla naszych dokonań. Nabraliśmy do nich zaufania i szczerze naświetliliśmy im naszą przeszłość, włącznie z pomyłkową wywózką. Po wysłuchaniu naszej epopei, robotnicy uradzili między sobą i kategorycznie nam zakomunikowali, że w takim stanie, w tym dniu mamy nie wychodzić z chaty. W dalszą drogę puszczą nas dopiero wtedy, gdy porządnie wypoczniemy i poprawi się pogoda. Ostrzegli nas jednocześnie, że czasami drezyną przyjeżdża do nich ktoś z „góry" w ramach nadzoru i jeżeli, choć to mało prawdopodobne, wejdzie do chaty, mamy milczeć, oni sami nas wytłumaczą, dlaczego tu jesteśmy. Przez cały dzień pod kuchnią palono starymi podkładami i ciągle coś szykowano do jedzenia. Wysuszyliśmy naszą garderobę i co dla ciała było tak potrzebne, zmyliśmy swój brud ciepłą wodą. Po pracy robotnicy zostawili nam zapas opału i rozeszli się do swoich domów. Jeden z nich obejrzał moje buty, pokiwał głową i zabrał je ze sobą obiecując doprowadzić do użytku, bo jak powiedział, w tym stanie moje buty nadają się tylko do straszenia wron. Gdy zostaliśmy sami, mama zaczęła powątpiewać, czy aby nie ma wśród nich gorliwca, który nie omieszka sprowadzić milicję. Noc, ciepła chata i brak butów nie pozwoliły nam jednak na ucieczkę, tym bardziej, że i tak daleko uciec nie bylibyśmy w stanie. Pozostała nam modlitwa i nadzieja. Przez całą noc dokładaliśmy do ognia suchego drewna nadrabiając braki z poprzedniej nocy. W ciepłej izbie wypoczynek był wyśmienity. Szybko przestałem podzielać obawy mamy o doniesieniu milicji i bez obciążeń spałem budząc się jedynie do podtrzymania ognia. Pamiętam, że mama podziwiała tej nocy moją czujność w porównaniu do poprzedniej nocy. Rano, kiedy robotnicy zapełnili ciepłą izbę – byliśmy gotowi już do wymarszu, brakowało mi jedynie butów. Zacni ludzie nie tylko nie sprowadzili milicji, ale przynieśli nam na drogę bochen wiejskiego razowca, kawałek solonej słoniny, a na śniadanie usmażyli mnóstwo jajecznicy, którą wszyscy razem smacznie zajadaliśmy. Po śniadaniu, wdzięczni tym prostym ludziom za tyle dobroci i okazanego nam

zrozumienia, po serdecznych pożegnaniach wyruszyliśmy w dalszą drogę, do domu, który był jeszcze od nas bardzo daleko, ale coraz bliżej.

Jeszcze przed wyjściem zapytałem jednego z robotników, dlaczego idąc przez cały dzień torami nie natknęliśmy się na żadną miejscowość. Wyjaśnił mi, że wzdłuż linii kolejowej w ich rejonie nie spotkamy żadnej wsi, ponieważ wioski i osady są oddalone od linii kolejowych, jedynie do miast nas tory doprowadzą, a i to często się zdarza, że stacja kolejowa jest oddalona od miasteczka. To są jeszcze zwyczaje carskie. Ale jeżeli zechcemy oddalić się od torów i zajść do wioski, to wystarczy zboczyć pierwszą lepszą drogą polną i po 2–3 km dotrzemy do wioski.

Idąc teraz odczułem dużą ulgę przy stawianiu nóg na podkładach. Buty jako tako doprowadzone do stanu użytecznego, podkłady wiatr zdążył osuszyć – szło mi się wyjątkowo dobrze.

Dalsze noclegi urządzaliśmy w opuszczonych stodołach, stertach słomy, do których skradaliśmy się zwykle nocą i opuszczaliśmy wczesnym rankiem, kiedy ludzie jeszcze spali, lub na dworcach kolejowych. Jeżeli zdążyliśmy przed nocą dotrzeć do domów chłopskich, baliśmy się wchodzić, niedowierzaliśmy ludziom kołchozowym, chociaż robotnicy z pamiętnej chaty wykazali wobec nas tyle serdeczności i współczucia. Jednak strach przed milicją, a szczególnie przed NKWD był wielki, silniejszy od wszystkiego. Mieliśmy już na tyle doświadczeń z kontaktów z milicją, że praktyka i rozsądek nakazywały unikać ludzi w mundurach oraz miejscowości niepewnych.

Otrzymane chleb i słonina szybko zostałe zjedzone i ponownie należało organizować coś do jedzenia, a możliwości było niewiele. Głód na nowo towarzyszył nam w naszej podróży.

Idąc tak torami kolejowymi przeżywaliśmy coraz to nowe przygody, a każda z tych przygód pozostawiała w naszej psychice niezatarte ślady, a na naszym zdrowiu fizycznym znaczne ubytki, które owocowały dopiero po latach. Oto na przykład po jednym takim marszowym dniu, wczesnym popołudniem, widno jeszcze było, zobaczyliśmy daleko od torów samotnie stojącą szopę. Niepostrzeżenie podszedłem i ujrzałem starą, rozwalającą się stodołę wypełnioną sianem. Jedna połówka drewnianych drzwi powalona leżała przed wejściem do wnętrza. Wokół ani śladu życia, a w stodole pachnące siano. Wyglądało tak, jakby był to zapas dla większej ilości bydła. Zdziwiło mnie, że lato tuż, tuż, a tu taki zapas siana, czy aby im bydło wyzdychało? Doszliśmy z mamą do wniosku, że chyba jesteśmy na terenie kołchozu i gdzieś niedaleko powinna być wieś, choć żadnych zabudowań widać nie było. Nie mając pewności, czy idąc dalej

natkniemy się na lepsze warunki noclegu, postanowiliśmy zatrzymać się na noc w tej pełnej siana stodole. Mama zaczęła się krzątać przy szykowaniu skrytego i ciepłego legowiska na sianie, ja zaś poszedłem na zwiady. Szedłem wzdłuż mało widocznych śladów, którymi chłopi jesienią zwozili siano. Po dłuższym marszu usłyszałem charakterystyczne odgłosy żywej wsi. Szczekanie psów i zapach ulatniającego się z kominów dymu były tego dowodem. Podszedłem bardzo blisko zagrody położonej na skraju wsi bacząc, czy w obejściu kręcą się ludzie. Cisza i spokój ośmieliły mnie. Na zapleczu zabudowań gospodarczych na małym ogrodzonym placyku zobaczyłem stadko kur. Po dłuższej obserwacji całego gospodarstwa, nie widząc żywej duszy, doszedłem do wniosku, że gospodarze nie dotarli jeszcze po pracy do domu. Powstała myśl upolować kurę! Ale jak? Wyszukałem przy płocie narzędzie zbrodni w postaci ciężkiego kija i cicho z rozwagą zbliżyłem się do ogrodzenia. Rozsądek nakazywał wycofać się z tego zamiaru i nie czynić nic, co mogłoby zakłócić spokój w tej zagrodzie. Ale czy może zwyciężyć rozwaga i rozsądek, gdy głód nam dokucza, a w naszej torbie podróżnej żadnych zapasów?

Moment wystarczył na podjęcie decyzji. Z całych sił rzuciłem kijem w sam środek stadka kur grzebiących za ogrodzeniem. Kury z dużym wrzaskiem rozleciały się na wszystkie strony, ja zaś skryłem się za rogiem jakiegoś zabudowania, czekając co się po tym kurzym wrzasku wydarzy, czy kurzy krzyk sprowadzi tu kogoś z zagrody, czy też nikt tego wrzasku nie usłyszał. Do końca nie byłem przekonany, że dom jest pusty. Szybko przeskoczyłem ogrodzenie, wskoczyłem do środka pobojowiska i chwyciłem dwie trzepocące się kury. W szalonym tempie zacząłem uciekać trzymając dwie na wpół żywe kury. Do stodoły wpadłem z łupem, zdyszany i bardzo przestraszony. Mama przestraszona równie, jak ja, zaczęła nerwowo wypytywać, co się stało. Nie mogąc, z powodu zadyszki, wypowiedzieć się pokazałem tylko kury, który mama natychmiast uśmierciła i zagrzebała w sianie. Długo nadsłuchiwaliśmy, ale wokół panowała cisza. Nic nie wskazywało na to, że wykryto kradzież i szukają złodzieja. Kiedy byliśmy już pewni, że nikt nas nie goni, zaczęliśmy się zastanawiać, co z tym drobiem robić, nie ma wody, garnka, a najgorsze, nie ma zapałek. Po co nam te kury? Nie dałem za wygrane. Wyszedłem z kryjówki i wróciłem na tory, gdzie wyszukałem najlepszy z możliwych, twarde kamienie i wróciłem do stodoły. Zacząłem krzesać iskry. Ale do iskry potrzebne jest coś delikatnego, łatwopalnego, z czego można rozdmuchać ogień. Długo medytowałem i wreszcie tym delikatnym materiałem zostały pióra kurze. W ten sposób wznieciłem ognisko za stodołą tak, aby nie

było widoczne od strony wsi. Siano i stare deski posłużyły do upieczenia kur, które mama oskubała, wnętrzności wypruła, posługując się gwoździem w desce zamiast noża, a resztę części oczyścił ogień. Kolacja była wyśmienita, jedynie pluliśmy od czasu do czasu resztkami niespalonych końcówek z piór. Zjedliśmy jedną z kurzych ofiar, bez chleba, bez soli i bez żadnych innych przypraw. Drugą kurę mama schowała do torby na następny dzień. Ogień wygasiłem, trochę przesypałem ziemią i udałem się do przygotowanej sypialni. Emocje tego wieczoru długo nie dały mi zasnąć, chociaż zapach siana zachęcał do natychmiastowego zaśnięcia. Rano, skoro świt wypoczęci i syci wyruszyliśmy na szlak żelaznej drogi. Mama, gdy byliśmy już daleko od stodoły przyznała, że nocą nasłuchiwała, czy nikt nie szuka złodziei kur. Na złodzieju czapka z norek, ale często gore.

Nigdy nie przekraczaliśmy granic bezpieczeństwa. Baliśmy się terenów wiejskich, dróg publicznych, bocznic kolejowych i wejść torami na dworce kolejowe. Tu każdy oberwaniec był pod „obstrzałem". Dochodząc do dworców i węzłów kolejowych schodziliśmy z torów na drogi bite, którymi docieraliśmy do miasta. Poruszając się wśród ludzi ulicami miejskimi nie rzucaliśmy się tak bardzo w oczy. Takich biedaków w dużych miastach było wielu i nie wszystkich kontrolowano.

Miasto również opuszczaliśmy normalnymi drogami i dopiero daleko za miastem wkraczaliśmy na szlak kolejowy. Wszystkie bocznice, rozrządy i tory w okolicach dworców penetrowane były przez różne straże. Dlatego staraliśmy się nie dawać powodów do legitymowania i zatrzymywania nas bez potrzeby.

Chodzenie po torach jednak jest męczące. Ale ma też i dobre strony – można przy dobrej pogodzie chodzić boso. Butów używałem teraz tylko gdy było bardzo zimno i gdy szliśmy drogą szutrową. Był już maj i większość dni były słoneczne i ciepłe.

Pewnego razu szliśmy torami przy pięknej pogodzie. Boso przeskakiwałem z pokładu na pokład i przegapiliśmy miejsce, w którym należało zejść z torów na drogę bitą. Niespodziewanie znaleźliśmy się na małej stacyjce, na której zatrzymują się zaledwie cztery pociągi osobowe, dwa w jedną stronę i dwa w odwrotną. Zaszliśmy do poczekalni małego, ale schludnego pomieszczenia, w którym pod ścianami stały trzy długie ławy. Kasa była zamknięta, a na całej stacyjce pustka – ani żywej duszy. Wieczór się zbliżał, więc postanowiliśmy, że tu zatrzymamy się na nocleg. Rozejrzałem się po poczekalni, żadnego napisu zabraniającego leżenia, czy spania, rozkład jazdy wskazywał, że najbliższy pociąg przyjedzie

dopiero jutro raniutko, a więc spokój mamy zapewniony. Obawy mieliśmy jedynie, czy stacyjka będzie całą noc czynna i czy przed zamknięciem nas nie wyrzucą. Usłyszałem nadjeżdżający pociąg. To towarowy, przemknął z charakterystycznym gwizdem dla lokomotyw radzieckich. Pociąg przejechał, a na stacyjce nikt się nie pojawił. Zawsze na takich małych stacyjkach widziałem przed przejeżdżającym pociągiem kolejarza z chorągiewką, a tu nikt pociągu nie witał. Rozłożyliśmy się na ławach i zaczęliśmy drzemać. W pewnym momencie mama usłyszała zgrzyt klucza w wejściowych drzwiach, zaniepokojona podeszła do mojej ławy i zaczęliśmy się naradzać, jak się zachować, czy krzykiem ujawnić swój pobyt, czy spokojnie pozostać do rana. Wybraliśmy drugi wariant i położyliśmy się na swoich ławach. Było jeszcze ciemno na dworze, jak mama mnie obudziła polecając przygotować się do drogi. Jeszcze przed budzeniem mnie otworzyła okno przez które wyskoczyliśmy na zewnątrz. Okno przymknąłem i wyszliśmy na ulicę małej mieściny. Wszystko w tym miasteczku wyglądało schludnie i czysto. Widać było, że mieszkańcy dbali o swoje ulice, domy, nawet krzewy puszczające pierwszą nieśmiałą zieleń były świeżo oczyszczone po zimie.

Minęliśmy śpiące jeszcze miasteczko i wyszliśmy na główny trakt. Wyniesione dobre wrażenie z miasteczka wpłynęło na naszą decyzję kontynuacji naszej pielgrzymki gościńcem. Liczyliśmy w skrytości, że może jakaś okazja nam się przytrafi. Tym razem drogowskazy wyraźnie wskazywały nam prawidłowy kierunek. Była to główna arteria ciągnąca do stolicy Ukrainy Kijowa. Pogoda nam sprzyjała, słońce przygrzewało i gdyby nie napierający głód i dziurawe buty byłoby wspaniale. Któryś z kolei zatrzymywanych samochodów zabrał na skrzynię, ale niestety, gdzieś po 20 kilometrach w najbliższym mieście kazał nam wysiąść, ponieważ dalej nie jechał. Zdjąłem buty, czapkę wziąłem w rękę i poszedłem do ludzi prosić o jedzenie. Długo chodziłem po uliczkach i sklepach. Wróciłem z razowym chlebem i dwoma plasterkami kwaśnego, białego sera. Jeszcze tego dnia opuściliśmy to miasto, trzymając się nadal gościńca.

W pewnym momencie droga zaprowadziła nas do brzozowego lasku. Był to nieduży lasek, podobny bardziej do parku. Na jego skraju droga skręcała małym łukiem w prawo i ponownie znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Tuż za zakrętem ujrzałem różne maszyny, samochody ciężarowe oraz większe zbiorowisko ludzi, którzy pod liczną strażą pracowali przy utwardzeniu drogi. Odwrotu już być nie mogło, za późno na obejście. Byliśmy zbyt widoczni. Zbliżając się do tych ludzi usłyszałem polski język. Byli to jeńcy wojenni wykorzystywani do pracy fizycznej.

Pilnowali ich strażnicy w mundurach wojskowych uzbrojeni w karabiny, a pracami kierował jeden cywil ubrany w kombinezon i w pilotce na głowie. Głośno wydawał polecenia. Zobaczyliśmy wynędzniałych, szarych na twarzach naszych polskich żołnierzy. Pracowali w swoich wyblakłych mundurach tak zniszczonych, że trudno się było zorientować, iż są to żołnierze przedwojennej armii polskiej, jedynie rogatywki na głowach i język polski utwierdzały nas, że są to nasi, polscy żołnierze. Trudno było ukryć żal i wzruszenie. Udaliśmy jednak, że nie rozumiemy tej mowy. Nie mogliśmy zdradzić, kim jesteśmy i skąd idziemy. Pospuszczaliśmy głowy i bez większych trudności, wolnym pasem jezdni, minęliśmy tych ludzi. Widziałem spływające łzy po policzkach mamy. Długo szliśmy w smutnym zadumaniu. Bolało poniżenie tych żołnierzy i naszej dumy narodowej.

Więcej nie odważyliśmy się na odbywanie podróży drogami bitymi. Do Kijowa dotarliśmy już cały czas idąc torami.

Do miasta weszliśmy w czasie fatalnej pogody. Być może była to zimna Zośka. Może dlatego Kijów wywarł na mnie wstrętne wrażenie i pozostawił na zawsze niechęć do tego miasta. Zapamiętałem je jako ponure miasto brudu i odrapanych tynków na nieciekawych budynkach. Sam dworzec kolejowy, na który trafiliśmy, sprawiał wrażenie ponurej stodoły. Zapamiętałem też długie kolejki przed sklepami na trasie, gdy podążaliśmy na dworzec. Pierwsze wrażenia pozostają zawsze najtrwalsze.

Byłem zmęczony. Tęskniłem za ciepłym i suchym kątem, gdzie mógłbym zasnąć i spokojnie nadrobić braki w spaniu. Stale byłem głodny, zmęczony i ciągle chciało mi się spać. Gdy dotarliśmy na dworzec natychmiast przeszmuglowałem się do poczekalni, gdzie znalazłem wolną ławkę i natychmiast nie bacząc na napisy zabraniające sypiania na ławkach – zasnąłem.

W poczekalni każdej stacji kolejowej w owym czasie zabraniało się sypiać na ławach, ale na każdej stacji były inne zwyczaje. Jedni przestrzegają ten przepis, inni traktują go ulgowo, z przymrużeniem oka. Tu w Kijowie budzenie śpiących na ławkach, posadzkach, parapetach okiennych odbywa się z wielkim krzykiem, co pewien czas, ale budzenie i wypraszanie tłumu z poczekalni przed nocnym sprzątaniem miało coś z sadyzmu. Ludzie zmęczeni, rozespani, wyrzucani są na zewnątrz bez względu na pogodę. Wokół słychać przekleństwa, płacz dzieci, głośne ziewanie i pomstujący tłum opuszcza na trzy godziny ciepły kąt. Nowicjusze targują się, narzekają, że zimno, że mokro, proszą, że nie będą przeszkadzać w sprzątaniu, ale weterani wiedzą, że tu żadna dyplomacja nie pomoże, weterani wstają i leniwie bez słowa wychodzą, aby po

trzech godzinach z powrotem powrócić. W tę pierwszą noc w Kijowie ze snu wyrywał mnie krzyk kolejarza, który na czas sprzątania wszystkich pasażerów i nie pasażerów wypraszał z poczekalni. Wyszliśmy na ulicę. Pamiętna to była noc. Silny wiatr zacinał deszczem. Szukaliśmy schronienia razem z innymi bezdomnymi, chodząc po pobliskich ulicach. Trafiliśmy wreszcie na ciasny zaułek w studziennym zabudowaniu i tam z kilkoma nam podobnymi osobami – zziębnięci i zdesperowani – zbliżyliśmy się, jak stado owiec, ogrzewając się wzajemnie. Czułem znużenie, senność i przenikający ziąb przez moje łachmany, aż do kości. Oczy mi się zamykały wbrew mojej woli, ale słabość tą musiałem zwalczać z całych sił. Cały chłód przechodził od mokrych nóg przez cały organizm.

O czwartej godzinie przed wejściem do poczekalni zebrał się tłum przepędzonych i wszyscy zaczęli szturmować wejście, aby zdobyć sobie siedzące miejsce na ławie i do rana przedrzemać. Myślę, że wśród nacierających było więcej bezdomnych jak pasażerów i może dlatego wejść na poczekalnię mogli tylko pasażerowie posiadający bilety kolejowe. Udało mi wśliznąć do wnętrza i zająć dwa siedzące miejsca na ławie, pod ścianą, gdzie nawet oświetlenie było słabe. Kiedy już wygodnie siedziałem rozkoszując się ciepłem zobaczyłem, że mama nie mając biletu pozostała w hali biletowej. Pamiętam, że posadzka w tej hali wysypana byłam trocinami, myślę, że dla oczyszczania z błota, i trociny czepiając się mokrego obuwia wnosili pasażerowie do poczekalni. Po godzinie poczekalnia zaśmiecona była tymi wiórami do tego stopnia, że nie odczuwało się już trzygodzinnego sprzątania. Sąsiad siedzący obok, widząc moje zniecierpliwienie, wziął ze sobą dwa bilety i wprowadził mamę do poczekalni. Odpoczywaliśmy na tej ławie aż do godzin południowych. Ze względu na niesprzyjające warunki atmosferyczne, na dworcu spędziliśmy kilka dni oczekując na lepszą pogodę.

Poznanie zwyczajów panujących na tym dworcu kolejowym pomogło nam uniknąć chwil podobnych do pierwszej nocy w Kijowie. Był duży ruch pasażerów i w tłumie udawało się osłabić czujność kolejarza pilnującego porządku oraz biletera stojącego w drzwiach wejściowych. Człowiek ma chyba w genach zaprogramowaną walkę o przetrwanie. Jedną noc nawet spędziliśmy w wagonie robotniczym. Na bocznicy, na którą zabłąkałem się w dzień, stał cały pociąg składający się z wagonów, w których nocowali robotnicy zatrudnieni na kolei. W tym pociągu było kilka wagonów pustych. Kobiecie sprzątającej w tych wagonach zaproponowałem pomoc w sprzątaniu. Spojrzała na mnie niedowierzająco i po chwili zapytała, czy potrafię i co za taką pomoc zechcę dostać. Powiedziałem, że w zasa-

dzie na żadną zapłatę nie liczę, ale zauważyłem, że kilka wagonów stoi pustych i czy nie mógłbym z matką chociaż jedną noc przespać w takim wagonie. W ten sposób zapracowałem na nocleg w wagonie, na pryczy z siennikiem. Pościeli nam nie dała, ale dostaliśmy jeden stary koc, który więcej dla nas znaczył od pościeli. Wieczorem, gdy poszliśmy na ten obiecany nocleg, zostaliśmy przez tę kobietę zaproszeni na gorącą gorzką herbatę i pszenne suchary. Okazało się, że ta kobieta była kierowniczką tego pociągu, magazynierką, sprzątaczką i strażnikiem w jednej osobie. Spaliśmy długo, nawet poranny ruch robotników nie był w stanie zakłócić nam tego snu.

Dzień w Kijowie zawsze poświęcałem na żebraninę. Wychodziłem do miasta i zawsze wracam z kilkoma rublami w kieszeni i często też z jakimś pieczywem. Na dworcu nie żebrałem. Bałem się konsekwencji. Służba porządkowa kolei nie tolerowała żebrzących. W mieście gdybym nawet trafił na wroga żebraniny, a nawet na milicjanta – zawsze była możliwość ucieczki, na dworcu tej możliwości nie było, dworzec był naszym domem.

Po kilku dniach deszczowych i zimnych przestało padać i ponownie zaświeciło nam wiosenne słońce. Nie zwlekając ruszyliśmy w drogę, na swój utarty szlak kolejowy. Miasto zdążyłem już trochę poznać i bez większych trudności wyszukałem właściwy kierunek na Tarnopol. Kijów, jak już wspomniałem nie zachwycił mnie, ale zapamiętałem jedną ulicę, która mi się wyjątkowo podobała. Szeroka, gęsto zadrzewiona starymi kasztanami i lipami, tak mi się wydaje, i prosto przebiegała przez wznoszący się teren. Nawet domy przy tej ulicy utrzymane były bez zniszczeń, o czystych tynkach.

Za miastem trafiliśmy na właściwy trakt kolejowy. Po ostatnich doświadczeniach z jeńcami pracującymi przy drodze na torach czuliśmy się bezpieczniej, a ponadto mogłem po podkładach iść już boso, było suche i nagrzane promieniami słonecznymi. Buty moje były na wykończeniu, już nawet popękały cholewki, a do domu jeszcze ponad 400 km. Chodzenie po torach do przyjemności nie należały, układ podkładów nie dostosowany do długości kroku człowieka dorosłego, a co dopiero ma powiedzieć dziesięcioletni chłopiec. Ponadto chodzenie torami odbierało nam nadzieję na jakąkolwiek okazję „złapania" samochodu lub furmanki.

Tymczasem, gdy wyszliśmy już z Kijowa i zdążyliśmy, co tylko, wejść na tory, od strony Kijowa nadjechała drezyna, którą ręcznie napędzał starszy już mężczyzna. Zeszliśmy z toru robiąc wolny przejazd, a ja

z ciekawością przyglądałem się temu wehikułowi, który zatrzymał się obok nas. Mężczyzna zapytał dokąd tak po torach podążamy. Przestraszony jąkająco odpowiedziałem, że idziemy do Tarnopola i jednocześnie usprawiedliwiająco zacząłem wyjaśniać, że mam podarte buty i boso idąc po podkładach nie kaleczę stóp. Chciałem jeszcze coś mówić, ale usłyszałem przyjaznym głosem wypowiedziane zaproszenie na drezynę. Gdy już znaleźliśmy się na tej platformie chwyciłem za ramię dźwigni obu rękoma i razem z tym mężczyzną ruszyliśmy z miejsca. Gdy drezyna była już dostatecznie rozpędzona nasz towarzysz podróży pozostawił napęd w moich rękach i zaczął pouczać, że chodzenie po torach jest zabronione, grozi wypadkiem i ostrzegł, że straż kolejowa może nas ukarać. Wreszcie przestał i ponownie chwycił za ramię ręcznego napędu. Drezyna mknęła mijając przystanki i małe stacyjki. Na jednym z przystanków zjechaliśmy na boczny tor, czekając na przyjazd pociągu. Gdy pociąg pospieszny nas mijał, nasz towarzysz wskazał na pędzący pociąg i powiedział to był wasz pociąg, jedzie przez Tarnopol, aż do Lwowa. Z bocznego toru natychmiast pognaliśmy w kierunku za tym pociągiem, a nasz łaskawca zaczął żartować że może go dogonimy.

Drezyną dojechaliśmy do małej, cichej stacyjki, na której czekali już jacyś ludzie na naszego towarzysza podróży. Wiedział on, że nie mamy pieniędzy i jesteśmy zmęczeni i chyba dlatego zwrócił się do jednego z oczekujących w formie ni to prośby, ni to rozkazu, aby nam umożliwił spędzenie nocy w poczekalni. Dzień ten był dla nas pomyślny, tyle kilometrów za nami, nie wiem, czy trzy dni starczyłoby na pokonanie ich pieszo i nocleg zapewniony, a ponadto jazda drezyną, którą sam napędzałem – to frajda nie byle jaka, nawet dla chłopca udręczonego, jakim ja byłem w tym czasie.

Mamy już wiosnę, jest ciepło, sucho, ale gorzej z wyżywieniem. Coraz trudniej zdobyć coś do zjedzenia. Wszyscy przeżywają trudny przednówek. Sił dodaje nam nadzieja, że w Żytomierzu trochę odpoczniemy. Do Żytomierza specjalnie podążamy ponieważ mama w tym mieście ma znajomych, z którymi jeszcze w Niżniowie utrzymywała kontakt listowny. Ostatni list mama wysłała z Terentiewki, ale odpowiedzi już nie otrzymała. Byliśmy jednak dobrej myśli, że znajomi nadal mieszkają pod starym adresem. Niestety myliliśmy się. Jak wielu w owym czasie zniknęli i ślad po nich zaginął. Pod zapamiętanym adresem mieszkali od kilku miesięcy obcy ludzie, którzy albo nie chcieli, albo z niewiedzy nie mogli nam wyjaśnić, co z naszymi znajomymi się stało. Zawiedzeni odeszliśmy tracąc jeden dzień marszu.

W Żytomierzu udało mi się dokonać coś takiego, co do dziś nie mogę w pełni sobie uświadomić, jak tego dokonałem. Wiele godzin szukaliśmy znajomych. Mama pamiętała nazwę ulicy, ale pomyliła numery. Chodziliśmy od domu do domu i dopiero przypadek naprowadził nas na właściwy numer. Gdy stanęliśmy przed domem nr 69, mama aż krzyknęła z radości: dom nr 6, mieszkanie 9. Czas spędzony na szukaniu zmęczył nas. Byliśmy zmęczeni i odczuwaliśmy potworny głód. Na stacji długo nie udawała się mnie żadna prośba o jałmużnę. Wyszedłem na peron i ujrzałem grubą kobietę sprzedającą kanapki. Towar ułożony był na oszklonych półkach na przewoźnej ladzie. Od strony kupujących dostępu do towaru nie było, jedynie sprzedawczyni miała dostęp. Przy wózku stało kilka osób kupujących. Przez kilkanaście minut obserwowałem całą procedurę prowadzonego handlu i w pewnym momencie, kiedy sprzedawczyni rozliczała się z klientem, podszedłem od tyłu wziąłem z półki dwie bułki i odszedłem. Klienci najprawdopodobniej wzięli mnie za syna sprzedawczyni, a ona zajęta liczeniem pieniędzy nie zauważyła tego zdarzenia. Bułki były z czarnym salcesonem. Dopiero gdy swoją porcję zjadłam, doznałem takiego pietra, że już powtórzyć tego wyczynu bym nie potrafił. Zapewnieniom, że ktoś wolałby umrzeć z głodu, a kradł nie będzie – nie dam wiary, a jeżeli już są tacy, to wyjątki i to rzadkie wyjątki. Może te wyjątki zdarzają się wśród osób starszych, ale nie dzieci. Dzieci na głód nie są wytrzymałe.

Pewnego dnia, a zdarzyło się to przed Szepietówką, idąc torami z dala ujrzeliśmy pokaźną grupę ludzi pracujących na torach. Ponieważ było ciepło i słońce przygrzewało, pracownicy pracowali w większości bez roboczych bluz, ale wszyscy na głowach mieli jednakowe nakrycia. Później się okazało, że tymi pracownikami byli więźniowie, których pilnowali liczni strażnicy. Stanęliśmy przyglądając się tym ludziom, nie zdając sobie sprawy, że już od dawna byliśmy śledzeni. Nie wiadomo skąd, na torach, w niedalekiej odległości od nas, wyrósł, jak spod ziemi, żołnierz, czy strażnik, z długim karabinem, którego lufa przedłużona byłam ostrym bagnetem. Zbliżył się do nas na odległość wyciągniętego w naszą stronę karabinu i ostro zapytał, dlaczego chodzimy po torach kolejowych. Nasze jąkanie i pokrętne odpowiedzi zrodziły u strażnika podejrzenia i zaprowadził nas do dowódcy, czy też kierownika robót do udzielenia bliższych wyjaśnień. Dopiero teraz, zbliżając się do stanowiska kierownika tego zbiorowiska zorientowałem się, że są to więźniowie. Dowódca napisał coś na luźnej kartce, wezwał innego strażnika i nakazał odprowadzić nas na posterunek milicji. Zaczęliśmy go prosić, błagać o wyrozumiałość, że nie

uczyniliśmy nic, co by miała rozstrzygnąć aż milicja, ale ten typ okazał się godny swojej władzy radzieckiej. W ten sposób znaleźliśmy się w areszcie. Formalności zatrzymania były krótkie, ale przyczyny mało konkretne. Na pierwsze przesłuchanie przed oblicze komendanta wezwano tylko mamę. Zarzucono włóczęgostwo i bezprawne chodzenie po torach kolejowych. Wieczorem otrzymaliśmy „kolację" i mogliśmy na pryczy rozprostować swoje umęczone członki. Pryczę rozkładano o godzinie 22^{00} a składano o 6^{00}. Była to szeroka deska, przyczepiona zawiasami do ściany i podpierana dwoma metalowymi postumentami. W dzień pryczę podnoszono i na płasko przyczepiano do ściany. Wieczorem dodatkowo otrzymaliśmy koc. Byliśmy prawie szczęśliwi nie przypuszczając jeszcze, co nas może w tym szczęśliwym miejscu spotkać. Dotychczas każdy pobyt na posterunkach czy komendach milicji kończył się dla nas pomyślnie. Liczyliśmy więc, że już tak blisko celu nie może nas spotkać jakiś nieprzewidziany kataklizm. Nawet sen mieliśmy spokojny. Rano po śniadaniu składającym się z kromki gliniastego razowca i kubka lury, tj. bardzo cienkiej kawy zbożowej zostaliśmy doprowadzeni przed oblicze tego samego, co wczoraj, komendanta. Tym razem rozpoczął przesłuchiwać mnie. Zadawał mnóstwo pytań i wymagał bardzo szczegółowych odpowiedzi. Co drugie pytanie tyczyło rodziny i czasów przedwojennych. Gdy zadawał pytania ciągle zmieniał głos od łagodnego do krzyku i irytacji. Byłem przestraszony do tego stopnia, że dostałem torsji i kilka razy musiałem wybiec z pokoju do ubikacji. Komendant nie zwracał uwagi na moje przerażenie i ciągle o coś pytał. Gdy wyczerpał zasób pytań, odesłał nas do celi. Następnego dnia ponowiono przesłuchania, ale teraz wezwano mamę osobno, a następnie mnie. W tym dniu byłem już oswojony i nie miałem takiej tremy, co wczoraj. Na pytania odpowiadałem wyczerpująco, ponieważ pytania zadawał takie, jakie wczoraj, co mnie bardzo dziwiło. Myślałem, że sekretarka wczoraj nie zdążyła wszystkiego dokładnie zaprotokółować i dziś trzeba powtórzyć. W pewnym momencie komendant bardzo łagodnie zapytał, co robiliśmy na torach i czy wiem, jak dużo robotników tam pracuje. Powiedziałem o podartych butach, a ile robotników tam pracuje nie wiem, bo nie zdążyłem policzyć. Komendant, aż wstał z krzesła i zaczął naciskać na mnie, że niby ktoś mi kazał liczyć tych robotników. Teraz przestraszyłem się bardzo i zacząłem się jąkać. Nie wiedziałem, co mam mówić. Odetchnąłem, gdy odprowadzono mnie do celi. Mnie już więcej nie wzywano, natomiast mamę przesłuchiwano w każdym dniu naszego przetrzymywania. Po kilku dniach mama wróciła do celi, po rutynowym przesłuchaniu, bardzo spłakana. Postawiono nam zarzut szpiegostwa.

Normalny włóczęga nie chodzi po torach, jego szlak prowadzi normalnymi drogami, na których może liczyć na okazyjną przejażdżkę, na pomoc ludzką, a na torach nic z tych rzeczy. Chodzić po torach mogą tylko ci, którzy szpiegują i donoszą. Ponadto dowodem, że zbieramy materiały, są niezgodności w naszych zeznaniach, a moje zeznanie, że nie zdążyłem policzyć robotników pieczętowało jego komendanta podejrzenia.

Zatrzymani jako włóczędzy nikt nas nigdy nie rewidował, ale gdy mama wróciła i opowiedziała mi o co nas posądzają, natychmiast pomyślałem, że zrewidują nasze rzeczy i zabiorą mój zeszyt z różnymi zapiskami w języku polskim. Wyciągnąłem te bazgroły z torby i schowałem za pryczą czekając na poważną rewizję. Rewizji jednak nie przeprowadzono, a następne przesłuchanie nie potwierdzały już tych podejrzeń. Myślę, że poważnie tego szpiegostwa nikt z prowadzących przesłuchań nie potraktował, chociaż i za włóczęgów też już nas nie brano. Z tych zeznań komendat wywnioskował, że uciekliśmy z miejsca zsyłki i po tygodniowym dochodzeniu dowiedzieliśmy się, że zostaniemy odesłani tam skąd idziemy. Czekaliśmy teraz, już tylko na końcową i ostateczną decyzję. Mama w celi ciągle powtarzała, że tyle wyrzeczeń, taki wysiłek poniesiony przez nas zostanie zmarnowany.

Po spożyciu posiłku zwanego obiadem jeszcze raz wezwano nas przed oblicze komendanta. Teraz już nie bałem się, nie miałem tremy i mogłem trzeźwo obserwować i oceniać. Komendant, mały, rudy człowieczek o twarzy Sfinksa stał przed swoim biurkiem i przez chwilę świdrował nas swoimi małymi oczkami. W oczekiwaniu na wyrok dopiero teraz zobaczyłem, że mundur na tym człowieczku jest stanowczo za duży, a przy strażniku, który nas przyprowadził, wygląda pociesznie, strażnik chudy i wysoki, a komendant niski i ten za duży mundur.

Po dłuższym milczeniu, bez wstępu i bez uzasadnienia, komendant oświadczył, że jeszcze dziś zostaniemy odstawieni do pociągu w drogę powrotną, tzn. do Kazachstanu. Decyzja, sposób i termin jej wykonania była tak stanowcza, że nie zdążyliśmy ani bronić się, ani o cokolwiek zapytać. Strażnik wziął kopertę od komendanta i wypchnął nas na korytarz.

Szliśmy pod konwojem w kierunku stacji kolejowej. Pamiętam, że dzień ten był wyjątkowo piękny. Ciepło, sucho pod nogami, drzewa czarują świeżą zielenią, ludzie chodzą w lekkich ubraniach, a nam przyglądają się przechodnie. Mama była załamana i zniechęcona. Szliśmy, popychani przez konwojenta, brudnymi ulicami o dzikiej zabudowie i nawet świeża zieleń nie mogła przykryć szpetoty obdrapanych domów. Miasto podzie-

lone było torami kolejowymi na dwie części. Komenda milicji mieściła się po przeciwnej stronie stacji kolejowej, do której aby dojść, należało z prawej strony przejść pomostem nad torami lub z lewej pod szlabanami. Gdy dochodziliśmy do torów, pociąg nasz stał już przy peronie. Konwojent ocenił, że od strony peronu nie zdążymy już wsiąść, bo i przez pomost, i pod szlabanami wymagało zbyt dużo czasu na pokonanie tego dystansu. Zdecydował się wsadzić nas do wagonu od strony po której aktualnie znajdowaliśmy się. Po tej jednak stronie stało dwóch żołnierzy uzbrojonych w karabiny i nie zezwolili nam zbliżać się do pociągu. Wszczęła się kłótnia. Nasz konwojent zaczął się odgrażać, że on im pokaże. To jeszcze bardziej tych wartowników zdenerwowało. Zatrzymali i nas, i konwojenta, a pociąg odjechał. Zaprowadzono nas wszystkich na dworzec. Weszliśmy do słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym przy szerokim biurowym stole siedział szczupły w średnim wieku mężczyzna. Na stole lampa, telefon polowy i przybory do pisania. Gdy weszliśmy ów mężczyzna wstał, zapiął mundur i wtedy zobaczyłem wysokiego, uśmiechniętego oficera. Okazało się, że zostaliśmy doprowadzeni do Wojskowej Komendy Odcinka Kolejowego, do samego Komendanta, który w tym pokoju wykonywał swoje obowiązki służbowe i jednocześnie prywatnie mieszkał. Gdy wzrok oswoiłem z półmrokiem panującym w tym pomieszczeniu zobaczyłem, że jedna strona tego pokoju przedzielona była parawanem, a po drugiej stronie stała szeroka ława. W pokoju było bardzo gorąco. Gospodarz tego pomieszczenia wywarł na nas bardzo korzystne wrażenie i to nie tylko z powodu uśmiechu i łagodnego spojrzenia, ale rozmawiając z nami stał nie wykazując swojej przewagi, jaką mu daje władza na tym terenie. Mama natychmiast wykorzysta tę małą iskierkę nadziei i, jak u kobiet zwykle bywa, zaczęła lamentować i prosić go o łaskę i pomoc. Komendant odnotował coś na dokumencie, który mu wręczył konwojent i wszystkich nam towarzyszących wyprosił z pokoju. Nas natomiast posadził na ławie w tym przegrzanym pokoju i rozpoczął wypytywać o przyczyny zatrzymania przez milicję. Mama w czasie opowiadania o naszych przygodach zakończonych tak surowym wyrokiem, chcąc u tego człowieka wzbudzić litość, coraz zanosiła się spazmatycznym płaczem. Komendant początkowo patrzył na nas, jakby bezradny i zażenowany, wreszcie wstał, nalał do blaszanego kubka wody i podał mamie pocieszając jednocześnie, że on, oficer, obiecuje, że dołoży wszelkich starań i sam osobiście dopilnuje, abyśmy jeszcze jutro rano wyjechali pociągiem do swojego Tarnopola, a jeżeli zechcemy to nawet do Lwowa. Ale teraz mamy się uspokoić. Pocieszył nas, że komendant milicji jest jego dobrym znajomym, a w ogóle tenże

Komendant o naszym zatrzymaniu dowie się dopiero rano, gdy my już wyjedziemy pociągiem z Szepietówki. Kończąc te wywody wskazał nam ławę, na której siedzieliśmy i poradził ułożyć się do snu, a sam zajął się swoimi sprawami. Ciepły pokój, chociaż skąpo oświetlony i po spartańsku umeblowany, wydał mi się oazą szczęścia, bo i nadzieja na dalszą podróż pociągiem i ciepło za którym tak tęskniłem. Cela milicyjna ogrzewana nie była, wszystkie, prawie wszystkie noce nasze były zimne, a teraz tyle ciepła, ciepła piecowego i ciepła ludzkiego. Noc minęła bez zakłóceń, spokojnie, ale mama ranka oczekiwała w napięciu, trawiły ją wątpliwości, czy ten sympatyczny człowiek wczoraj dotrzyma obietnicy dziś. W jej myśleniu było więcej wątpliwości co do spełnienia przez komendanta tych trudnych obietnic niźli wiary w jego dobroć.

O świcie komendant ogłosił nam pobudkę, poczęstował śniadaniem i ponownie przystąpił do badania naszej sprawy. Był zdenerwowany i zmęczony. Myślę, że nasze towarzystwo i sytuacja w jakiej znaleźliśmy się dręczyły go całą noc i kto wie, czy nie żałował swoich oficerskich zapewnień danych nam wczoraj pod wpływem chwili, że bezpiecznie odjedziemy do Tarnopola. Prosił, aby jeszcze raz powoli opowiedzieć mu wszystko po kolei całą naszą historię, ale tylko prawdę. Ponieważ mama znowu nie wytrzymała nerwowo i zaczęła płakać, Komendant zaczął mnie wypytywać. Słuchając moich odpowiedzi, od czasu do czasu coś notował w podniszczonym grubym zeszycie. Podczas tej rozmowy zadzwonił stojący na stole polowy telefon. Rozmowa Komendanta ze swoim rozmówcą, którym okazał się być nasz „sędzia", była bardzo nerwowa i głośna. Dotyczyła oczywiście naszej sprawy. Komendant bronił nas, przekonując władzę milicyjną o naszej niewinności, że nie jesteśmy ani włóczęgami, ani uciekinierami, a tym bardziej nie wyglądamy na szpiegów. Po prostu, zostaliśmy okradzeni i z wielkim trudem podążamy do rodzinnego domu. W pewnym momencie krzyknął do telefonu, że na stacji kolejowej on jest komendantem i prócz jego zwierzchników nikt mu nie będzie rozkazywać i nie będzie go pouczać, on swoje obowiązki zna i sumiennie je wykonuje, a w ogóle to trzeba być bez serca, aby bezbronną kobietę z dzieckiem po tak długiej tułaczce wysyłać w nieznane, bez dokumentów, bez pieniędzy i bez biletu. Rozmowę zakończył, rzucając słuchawkę na stół, a nam nakazał zdecydowanym głosem przygotować się do odjazdu.

Rozmowa ta uspokoiła nas. Wiedzieliśmy już, że nasz komendant nie zmieni swojej decyzji, a we mnie po tej ostrej, męskiej rozmowie telefonicznej wezbrała fala czułości do tego dobrego i rozumnego człowieka.

Byliśmy już na peronie, gdy na pierwszy tor z dużym impetem i piskiem wjechał pociąg pospieszny do Lwowa przez Tarnopol. Komendant osobiście pomógł nam wsiąść do zatłoczonego wagonu i przekazał nas pod opiekę konduktorowi z poleceniem, że ma nas dowieść do Lwowa lub Tarnopola i w żadnym wypadku nikomu nie zdradzić w którym jedziemy wagonie. Na pożegnanie dał nam jeszcze kilka rubli, jak się wyraził „na czaj".

W czasie krótkiego postoju pociągu, przepchnąłem się do okna, aby raz jeszcze pożegnać komendanta i ujrzałem na peronie scenę mrożącą krew w moich żyłach. Do naszego wybawcy zbliżył się rudy oprawca. Stanęli na przeciw siebie, nie podając sobie ręki. Zaczęła się ożywiona dyskusja, które już nie mogłem usłyszeć, ale której należało się domyślać. Obaj wymachiwali pięściami, grożąc sobie nawzajem. Wyglądało na to, że wnet złapią się za bary... Pociąg ruszył, a ja modliłem się o jak najszybszy przyjazd do Tarnopola. Zdążyłem jeszcze raz odczytać nazwę miejscowości: Szepietówka.

W tych ciężkich dla nas czasach, spotykaliśmy dużo różnych ludzi, ludzi złych lub nieprzychylnych biurokratów, nieprzejednanych w swych uprawnieniach i swoich urzędowych racjach, ale byli też ludzie dobrzy, myślący, ludzie którzy potrafili odróżnić ziarno od plew, zrozumieć innych oraz współczuć i pomóc w potrzebie. Takich ludzi nigdzie nie brakuje i takim był Komendant Wojskowej Komendy Odcinka Kolejowego na stacji w Szepietówówce. Jeszcze dziś zastanawiam się, co go skłoniło do tak stanowczej obrony nas przed władzą milicyjną narażając, niewątpliwie, swoją reputację. Czcigodny i dobry obcy człowieku, za szlachetne serce i dobroć nam okazaną zachowałem Ci tyle wdzięczności, a jeśli jeszcze żyjesz, przyjmij moje gorące podziękowanie za tę, tak odważną, a zdecydowaną obronę i pomoc.

Długo nie mogliśmy się uspokoić. Konduktor–Polak, widząc nasz zwykły, ludzki strach i zniecierpliwienie, będąc już częściowo zorientowany o naszych kłopotach, pełen podziwu dla naszego uporu, doradzał nam jechać tylko do Tarnopola. Sugerował, że jadąc dalej tym pociągiem, może nas jeszcze dosięgnąć gniew tego rudzielca, nikczemnika, który telefonicznie może powiadomić milicję w miastach, przez które pociąg ten jedzie i on konduktor nie będzie mógł nas obronić. Nasza długa przebyta już droga i olbrzymi trud może okazać się całkiem zmarnowany. Na wszelki wypadek lepiej wysiąść w Tarnopolu, a tymczasem dla zmylenia ewentualnych poszukiwaczy mamę umieścił w przedziale, a mnie poprowadził o dwa wagony w przodzie. Gdyby szukali, szukać będą matki z dzieckiem,

a gdy będziemy osobno, będzie im trudniej znaleźć. Umówiliśmy się, że wysiadamy w Tarnopolu i dopiero po wyjściu z dworca na ulicę możemy się połączyć. W Tarnopolu natychmiast wyskoczyłem z wagonu, odszukałem wzrokiem mamę i w oddaleniu od siebie wyszliśmy z dworca na ulicę. Tarnopol opuściliśmy jeszcze tego samego dnia. Dopiero teraz byliśmy pewni, że do domu wrócimy. Z trudem, ale szczęśliwie opuściliśmy ten smutny i wrogi nam kraj. Do Pużnik pozostało nam już tylko 80 km.

W dalszą wędrówkę udaliśmy się już drogami bitymi, bez większych obaw, byliśmy przecież w swoich stronach, które przed wojną zamieszkiwali w większości Polacy. Miasta w województwie tarnopolskim były prawie tylko zasiedlone Polakami, a więc i o jadło, i o nocleg łatwiej. Nie będziemy zmuszeni do poniżania się kradzieżą, czy też żebraniną uliczną. Tu na Podolu mamy inne obyczaje, nawet wiosenne słońce było nam w tych stronach przychylniejsze. Wiosna na Podolu jest piękna, nawet wiosenny deszcz jest cudem natury. Raz jedyny pogoda nam spłatała figla. Było to w Brzeżanach, w miasteczku prezydenta Mościckiego. Oziębiło się i padał deszcz, ale nam to nie przeszkadzało, szliśmy jak na wycieczkę, bez pośpiechu i z ciekawością obserwując zmiany, jakie zaszły od naszej wywózki. Pamiętam, co wywołało we mnie przerażenie – gdy zobaczyłem w Podhajcach na placu zgromadzone czołgi, ogrodzone drutem i pilnujących wartowników. Dotarliśmy do Monasterzysk. Mama przypomniała sobie, że tu przed wojną mieszkali Zimermanowie, znajomi z Niżniowa. Bez trudu odnaleźliśmy ich ślady, ale oni już do Monasterzysk nie powrócili po wyjeździe do Niżniowa, jeszcze za naszych czasów.

Pokonując trzy tysiące km w tak trudnym warunkach dotarliśmy wreszcie w pierwszej połowie czerwca do Pużnik. Przypominam sobie, że była to sobota, chyba dwa tygodnie przed wybuchem wojny niemiecko – rosyjskiej. Wróciliśmy u kresu wyczerpania nerwowego i fizycznego. Brudny i zawszone łachmany wisiały na naszych szkieletach. Ta ponad trzymiesięczna podróż pozostała w mojej pamięci jak potworna zmora widziana we śnie. Głód, zimno i zmęczenie wycisnęły na moim organizmie nieodwracalne piętno. Moja psychika została przenicowana i dojście do równowagi wymagało wiele czasu. Strach, jaki mi towarzyszył w czasie podróży, dopiero teraz „owocował". W snach ciągle byłem zagrożony, uciekałem, krzyczałem, zrywałem się na równe nogi. Ciągle przed oczami miałem koszmary.

Dzisiaj już nie pamiętam nazw miasteczek, wiosek, które mijaliśmy, w których zatrzymywaliśmy się. Zostały mi tylko w pamięci wydarzenia i szare obrazy, jak wyjęte z koszmarnego snu w czasie wysokiej gorączki.

Wieści o naszym powrocie rozeszły się po zaścianku lotem błyskawicy. Od dłuższego już czasu czekano na nas w rodzinnym domu. Ciocia Stefa listownie powiadomiła babcię o naszym wyjeździe i wszyscy w rodzinie przeżywali niepokoje, domyślając się najgorszego. Tego, że wracamy pieszo nikt nawet nie mógł przewidzieć, nawet teraz nie wszyscy dawali wiary naszym opowiastkom, dopiero nasz wygląd wychudzony, nasze zlepione brudem włosy, a szczególnie moje poranione nogi przekonywały niedowiarków.

Teraz w domu babci ruch jak w karczmie. Ludzie byli ciekawi naszych przygód, każdy chciał na własne oczy zobaczyć i własnymi uszami usłyszeć – czy, aby naprawdę wróciliśmy, czy też ktoś plotkę puścił. Przecież stamtąd nikt jeszcze nie wrócił za czasów sowieckich. Ludzie byli zorientowani, co oznaczało być wywiezionym na Syberię. Z Pużnik i okolic obok rodziny Krzywoniów na Syberii przebywało kilka rodzin, a o niektórych słuch zaginął. Dlatego nasz powrót był przedmiotem tak dużego zainteresowania. Wszyscy, którzy nas zobaczyli szczerze nam współczuli i płakali nad losem tych, którzy tam pozostali.

Pierwszą czynnością po powrocie była kąpiel i spalenie naszej odzieży. Jeszcze dziś widzę siebie w tych łachmanach brudnych i podartych, a w każdym załamaniu, w każdym rąbku materiału gnieździły się wszy. Kilka najbliższych dni udzielaliśmy „wywiadów" i odpoczywaliśmy, lecząc rany nóg.

Wiosna tego 1941 roku miała dla mnie tyle uroku, że chyba żadna inna nie była tak urocza i piękna, dająca tyle szczęścia i radości. Niczego nam nie brakowało, wszyscy się o nas troszczyli i nie mogliśmy się sobą nacieszyć, a moi rówieśnicy patrzyli na mnie z podziwem i z niemałą zazdrością. Dla nich była to wielka przygoda podróżnicza, o ubocznych skutkach tej przygody nikt w tym wieku nie zastanawia się. Chwaliłem się prezentami, jakie otrzymywałam od mojego gospodarza. Wspomniałem już, że gospodarz lubił obdarowywać mnie upominkami i z tych prezentów do domu dowlokłem między innymi mały klarnet, składaną miniaturową wieżę, wańke-wstańkę i najbardziej cenną pamiątkę tiubietiejkę o przepięknym kolorowym wzorze. Inne, uciążliwe wyrzucaliśmy w podróży, żeby sobie zmniejszyć ciężar bagażu. Oczywiście zachowałem zeszyt z moimi gryzmołami. Chłopakom najbardziej jednak podobał się klarnet, na którym wygrywałem kilka znanych melodii. Grać nauczył mnie syn gospodarza Kola, który był znanym we wsi wirtuozem i na każdym dostępnym mu instrumencie wygrywał przeróżne ludowe i rewolucyjne melodie. Był wyjątkowo muzykalny. Szkoda, że taki talent muzyczny nie został wykorzystany.

Do zdrowia dochodziłem szybko. Żywienie regularne, mleko kozie, słońce wiosenne i przede wszystkim przyjazne otoczenie leczyły mój organizm w tempie niespodziewanym. Gorzej było ze zdrowiem mamy. Biedna mama. Pomimo troskliwej opieki ze strony rodziny, ciągle była osłabiona i bardzo blada. W trosce o jej zdrowie rodzina zdecydowała, że będzie lepiej, jeżeli mama uda się do Niżniowa, gdzie podda się badaniom i opiece lekarskiej. W Pużnikach lekarza nie było, ludzie tam leczyli się sami, jedynie z cięższymi przypadkami dojeżdżano do Niżniowa, Buczacza lub Koropca.

Sąsiad babci ofiarował swoje usługi i proponował nas furmanką odwieźć do Niżniowa, ale mama postanowiła przejść drogę do Niżniowa pieszo. Tyle razy ją swoim życiu pokonywała pieszo, że zapragnęła bliskie duszy widoki odświeżyć w swojej pamięci. Ostatnio tą drogą i tymi ścieżkami przeszliśmy 30 sierpnia 1939 roku. Wracałem wtedy z wakacji, marząc o bohaterstwie, obronie ojczyzny... W tym czasie nie mogłem, nikt nie mógł przewidzieć, że moim bohaterskim czynem będzie nie walka z wrogiem, a walka z przeciwnościami, walka o przetrwanie.

Mijaliśmy znane nam lasy, pola, domy, wszystko to samo, ale nie to samo. Czasy były już inne, inna sytuacja od tej w 1939 roku. Kiedy znaleźliśmy się już na moim ukochanym moście nad Dniestrem, taka mnie radość i wzruszenie ogarnęły, że nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Rzeka, most, piękne wzniesienia, nawet brzegowe zarośla wydały mi się szczytem urody. Idąc gościńcem w stronę rynku mijałem swojskie domy, drzewa, nawet te dziury i wyboje na drodze były mi znane i jakieś bliskie, gościnne.

Pojęcia takie jak rodzina, bliscy, moje miasto, ojczyzna – zawsze wiązałem z Niżniowem. Kochałem to miasteczko, te górki, doliny, gdzie każda pora roku miała swoją odrębność, swoją specyficzną barwę i każda była piękna, niepowtarzalna. Powrót do tych miejsc jeszcze dziś wywołałby wielkie wzruszenie. Pozostał sentyment i nostalgiczna tęsknota. Myślę, że ostatnią moją świadomą myślą będę z moimi dziećmi w Niżniowie.

W Pużnikach wszyscy uprzedzeni byli o naszym wyjeździe z Kazachstanu i oczekiwali naszego powrotu, natomiast dla rodziny w Niżniowie nasze pojawienie się było całkowitym zaskoczeniem. Kiedy byliśmy już przy znajomym kamieniu, gdzie kiedyś, kiedyś stała brama wjazdowa i zaczęliśmy się piąć pod górę do babci, nogi uginały mi się z wrażenia, a na policzkach dostałem takich wypieków, jak zawstydzona panna, gdy ją chłopak pocałuje publicznie. Przeżywałem coś, czego nigdy dotąd nie doznałem, nawet gdy witano nas w Pużnikach.

Dzień był słoneczny, ciepły i wszyscy domownicy bawili na podwórku, które zmieniło swoje oblicze. Stary dom wyburzony, nowy stoi przed sadem i zasłania piękny ongiś widok sadu, a na schodach siedzi inny pies, zamiast Lidy. Widząc swobodnie rozmawiających moich bliskich zdziwiło mnie ich beztroskie życie wtedy, gdy ja cierpiałem poniewierkę i wtedy z wielkim żalem zrozumiałem, że i bez nas życie toczyło się swoim torem, a za rok, dwa – gdybyśmy nie wrócili – zapomniano by o nas. Ale była to tylko chwila, bo gdy nas ujrzano, te niedorzeczne myśli zniknęły.

Wpierw olbrzymie zdumienie. Wszyscy stanęli bez ruchu i z niedowierzaniem gapili się na nas, jak na jakąś zjawę. Dopiero po chwili okrzyki i łzy radości, uściski, wzruszenia – oto, co mi pozostało w pamięci z tego dnia. Zrozumiałem, że ponownie znaleźliśmy się wśród kochających i życzliwych nam osób. Zrozumiałem też, że nasza męka, nasz trud wynagrodzony został w pełni tymi przeżyciami radości powrotu.

Długo byłem ściskany i podziwiany, że urosłem, zmężniałem, ale i też, że niestety mam już trudności mowy polskiej. Dopiero teraz zrozumiałem, że na Syberii zaniedbałem swój język ojczysty i teraz solennie sobie obiecałam nadrobić tę stratę.

Po gorących przywitaniach opowieściom końca nie było. Babcia Paulinka słuchając naszych relacji ciągle powtarzała, jak ciężką musieliśmy przejść drogę, nim doszliśmy do domu rodzinnego. Wszyscy pomstowali bolszewikom, że tylu Polakom zgotowali tak poniżający, ciężki los. Zastanawiam się dlaczego z tych pierwszych dni pobytu u babci nie pamiętam żadnego z rodzeństwa ciotecznego i stryjecznego. Pamiętam z momentu powitania wszystkich dorosłych, babcię Paulinkę, ciocię Julę, stryjka Kazika, stryjenkę Marysię, a nie pamiętam dzieciaków, Krystyny, Nusia, Józia i Jadzi, którą pierwszy raz zobaczyłem – urodziła się, gdy nas już w Niżniowie nie było. Pamięć ludzka zatrzymuje w swoich zwojach wybiórczo tylko te zdarzenia, którym towarzyszą emocje. Być może dzieci nie zachwyciły mnie na tyle, aby został trwały ślad w pamięci.

W następnym już dniu mama udała się do lekarza, starego znajomego Żyda, który jeszcze przed wojną prowadził prywatną praktykę lekarską i opiekował się mamą jako pacjentką. Rozpoznanie było bardzo niepomyślne: anemia pożółtaczkowa z przewidywanymi komplikacjami mogącymi nękać organizm przez całe życie. Konieczna ścisła dieta, wypoczynek oraz stosować przepisane leki, które zdobyć było bardzo trudno. Przeżycia mamy na Syberii i w czasie powrotu zrujnowały organizm tak mocno, że do pełnego zdrowia mama już nigdy nie doszła. Kobieta mając 34 lata miała przed sobą perspektywę nie do pozazdroszczenia. Dolegli-

wości zdrowotne nękały ją przez cały czas, a po 14 latach następstwa okazały się fatalne i przez dalsze 13 lat mama zmuszona była odwiedzać szpitale, co 6–7 miesięcy dla ratowania życia.

Ponieważ w domu babci było duże zagęszczenie, mama wynajęła mieszkanie u Paraski, Ukrainki mieszkającej niżej, zaraz przy wejściu na posiadłość babci. Schodząc z podwórka babci, po przekroczeniu wąskiej dróżki wkraczało się na podwórko Paraski, którą zwano Pałacajnyczką, od funkcji posłańca, jaką jej mąż pełnił przed wojną w radzie miejskiej. Magistrat dobrze płacił, a Paraska jako służąca w bogatym domu polskim dobrze zarabiała, mogli sobie wybudować dom. Dom murowany z białego kamienia, kryty blachą z przybudówką przeznaczoną na stajnię stał pośrodku dużego ogrodu, a całość porządnie ogrodzona. W domu tym Paraska mieszkała z synem Mytrem, moim rówieśnikiem. Mąż jej już wtedy nie żył. Zajęliśmy duży pokój z wejściem od kuchni. Paraska wynajęła nam mieszkanie nie z potrzeby, ale z chytrości na pieniądze. Była to kobieta już nie młoda, postawna, władająca doskonale polszczyzną, a od śmierci starszego syna, po którym bardzo rozpaczała – milcząca, bez uśmiechu na twarzy. Była skąpa i pazerna, co było też powodem, że często podwyższała komorne grożąc wypowiedzeniem. Językiem polskim posługiwała się bardzo rzadko. Była przepojona nacjonalizmem ukraińskim. Nie mając jednak w pobliżu innych możliwości, urządziliśmy się w tym pokoju, godząc się z tymi przeciwnościami, na dłuższy pobyt. Z naszych starych mebli zachowała się komoda, dwa krzesła, umywalka i kopia obrazu Kossaka „Olszynka Grochowska". Kopia wykonana była tak wiernie, że po latach, kiedy ujrzałem oryginał, o mało nie krzyknąłem z wrażenia. Niestety, nazwiska autora kopii nie znam. Obraz ten wisiał w naszym domu od zawsze i był pierwszą lekcją mojego patriotycznego wychowania. Jako mały chłopiec, patrząc na walczących żołnierzy, których malarz dowolnie umundurował, dziwiłem się dlaczego po stronie powstańców walczących z Moskalami znalazł się Moskal. Dla mnie każdy żołnierz noszący czapkę bez daszka był Moskalem, a na obrazie wyszukałem takiego osobnika i stąd to skojarzenie. Obraz spłonął w 1945 roku w Pużnikach.

Po kilku dniach z Pużnik dostarczono nam produkty żywnościowe, które miały nam zapewnić sytość na kilka tygodni. Były ziemniaki, fasola, mąka, masło, słonina, jaja, a nawet kapusta kiszona i miód. Mama miała czas na szukanie sobie jakiegoś lekkiego zajęcia.

Nieoczekiwanie szybko zdążyliśmy się jakoś urządzić. Inne, potrzebne meble otrzymaliśmy od znajomych, naczynia kuchenne nasze z przecho-

wania u cioci, nawet część pościeli ciocia przechowała, jakby przeczuwała nasz powrót. Staliśmy się samodzielni z perspektywą polepszenia swojej sytuacji.

Radość niedługo trwała. Naszym powrotem zaczęła interesować się milicja. Jeden z urzędników, Ukrainiec, dobry znajomy mamy, przyszedł do nas wypytywać, dlaczego wróciliśmy, kto i na jakiej podstawie wydał nam dokumenty powrotne, chociaż dobrze wiedział, że sprawa nasza była badana jeszcze w 1940 r., a gdy dowiedział się, że nie mamy dokumentów oznajmił, że jesteśmy nielegalnymi mieszkańcami Niżniowa. W końcu zaczął wygrażać, że za niezgłoszenie swojego powrotu władzom czeka nas kara. Interesowano się nami coraz częściej i dociekliwiej. Mamę wezwano na posterunek milicji, gdzie zapytano ją wręcz, czy aby nasz powrót był legalny, skoro nie mamy żadnych dokumentów. Jedynie odległość między Kazachstanem a Niżniowem przemawiała do nich, że kobieta tak wątła nie byłaby zdolna stamtąd uciec. Argument ten jednak nie zamykał sprawy. Mama zaczęła myśleć o ucieczce do Pużnik i nie wiadomo, co by się stało, i czym uwieńczone byłyby te dociekania, gdyby nie 22 czerwca 1941 roku. Wyjątkowy paradoks. Wojna niemiecko-rosyjska uratowała nas przed dalszymi dochodzeniami i nieprzewidzianymi konsekwencjami.

Ponieważ mieszkaliśmy tak blisko, przesiadywałem co dzień przez wiele godzin u cioci Julii, bawiąc się jednocześnie z dziećmi. Byłem wśród nich najstarszy i bardziej się nimi opiekowałem niż bawiłem. Ciocia Jula nie mogła nacieszyć się moim powrotem. Byłem jej chrześniakiem i jedynem synem jej ukochanego brata. Dużo jej musiałem opowiadać o Syberii, o ludziach tam żyjących, o życiu Polaków tam wywiezionych, a szczególnie wypytywała mnie o szczegóły naszej wędrówki do kraju ojczystego. Te wydarzenia musiałem opisywać z detalami i wielokrotnie. Słuchając moich opowiadań ciocia zawsze była bardzo przejęta naszymi przygodami i stale ubolewała, że pobyt na obczyźnie bardzo źle wpłynął na mój język ojczysty. Twierdziła, że ja właściwie nie mówię po polsku, a jedynie kaleczę ten piękny język, wtrącając słowa, ba, całe zdania rosyjskie, których dzieci nie rozumieją. W każdej naszej rozmowie budziła we mnie egzaltację patriotyczną, ponownie, jak to było w 1939 roku, mówiła o naszej historii, o powstaniach narodowych, o potrzebie patriotycznego widzenia naszych polskich spraw w tym mieszanym społeczeństwie, o dumie narodowej, którą powinien mieć i czuć każdy Polak, pomimo chwilowej naszej słabości. Wszystkie te pojęcia cierpliwie utrwalała w mojej duszy i w moim umyśle. Bardzo często przypominała mi moją przynależność do harcerstwa i jakie z tej przynależności wynikają obo-

wiązki. Kiedyś zapytała, czy pamiętam swoje występy w Domu Polskim i czy potrafię jeszcze powiedzieć z pamięci wiersz Bełzy „Kto ty jesteś". Teraz tego wszystkiego nie mamy, nie ma ani harcerstwa, ani żadnej placówki polskiej, ale jest potrzeba utrzymania odrębności narodowej wśród nieprzyjaznego nam otoczenia i dlatego indywidualnie, w rodzinnym gronie, w otoczeniu tutejszych Polaków, muszę tym żyć, muszę się uczyć, dużo czytać i doskonalić język ojczysty.

Myślę czasami, czy ciocia Jula w tym czasie uświadamiała sobie, jakie piętno wyciśnie na całym moim życiu, swoimi poglądami, swoją postawą i swoją miłością do wszystkiego, co polskie. Pod jej wpływem zacząłem zdawać sobie sprawę z mojej lekkomyślnej niewiedzy, z mego lenistwa, jakie ogarnęło mnie na Syberii, kiedy mama nakłaniała do czytania, a ja lekceważyłem jej perswazje. Teraz postanowiłem te zaległości w jak najkrótszym czasie odrobić. Opanowała mnie pasja głośnego czytania, a systematyczna praca dała postępujące efekty. Już jesienią 1941 roku byłem stałym czytelnikiem biblioteki klasztornej, w której znalazłem opiekę i mądrych doradców w doborze lektury.

Już z początkiem lata odświeżyłem swoje koleżeńskie kontakty z chłopakami z Przewału. Dla większości z nich byłem godny podziwu, fascynowały ich moje wojaże i moja znajomość języka rosyjskiego. Chętnie przyjmowano mnie do swojej paczki. Ja jednak ponownie najmocniej związałem się ze Staszkiem Giełbutowiczem, którego nadal podziwiałem i któremu byłem uległy i niewolniczo oddany. Dla równowagi zaprzyjaźniłem się z Mytrem Pałacajnikiem, zaniedbanym i stale przestraszonym, przed swoją matką, chłopcem. Mały, jak na swój wiek, niedożywiony, niedomyty i stale nosił obszarpane i połatane odzienie, a boso chodził do pierwszego śniegu. Paraska, jego matka, nie obdarzała go macierzyńską miłością, a jedynie nakładała na niego liczne obowiązki domowe. Pasł kozę, która w tym domu była jedynym zwierzęciem czworonożnym, z odległego lasu przynosił na plecach „oberemki" drzewa na opał, przynosił z miejskiej studni wodę, pracował w ogrodzie itp. Mytro się nigdy nie uśmiechał, nie miał kolegów, bo i nie miał dla nich czasu, i stale milczał. Odpowiadał jedynie na pytania. Miałem nad nim przewagę, chociaż nie posiadałem tego sprytu fizycznego, co on posiadał. Mytro był świetnym grzybiarzem. Jego matka w każdym roku sprzedawała na targu suszone grzyby, które Mytro przynosił. Mytro był też znanym w całej okolicy złodziejem sadownikiem. Wszystkie sady penetrowane były przez niego. Był zmorą sadów mojej babci, która każdą kradzież owoców z reguły obarczała Mytra. W codziennym naszym obcowaniu, chociaż trochę go

się bałem, miałem na niego wpływ, co akceptowała jego surowa matka sądząc, że będzie to wpływ dodatni. Mytro będąc w moim wieku nie potrafił jeszcze poprawnie odczytywać wszystkich liter w alfabecie. Mylił litery łacińskie z cyrylicą i odwrotnie. A więc przewyższałem go, co mi dawało satysfakcję i rekompensowało moje poddaństwo Staszkowi. Czy ja Mytra czegoś dobrego nauczyłem, czy miałem na niego wpływ dodatni, jak sądziła jego mama? Dziś trudno mi osądzić.

Kiedy mieszkaliśmy u Paraski, mama dała mi dużo swobody zaznaczając, że nie chce wysłuchiwać skarg sąsiadów czy znajomych na moje zachowania, mam tak postępować, aby nikogo nie obrazić, nie kraść, nie przeklinać i wszystkim starszym osobom kłaniać się. Mama zajęta codziennością nie mogła mi wiele czasu poświęcać, musiałem sobie radzić sam. Samodzielnie układałem sobie plan zajęć i zabaw. Poznawałem zmiany, jakie w miasteczku zaszły, poznawałem od nowa okolice, dużo czytałem, zgłosiłem się w kościele na kandydata służenia do mszy, co wiązało się z nauką (na pamięć) po łacinie ministrantury, pomagałem cioci w pilnowaniu dzieci, załatwiałem różne sprawunki dla babci w miasteczku i korzystałem z zabaw z chłopakami. Pamiętam, że wtedy moda była na dalekie wypady za kółkiem, kierowanym drutem złożonym w kształcie czwórki. W Kazachstanie tak za Niżniowem tęskniłem, że teraz po powrocie wszystko tu wydawało mi się piękne, nawet oszpecone domy żydowskie były w moich oczach pałacami.

Poznawanie nowości niżniowskich – jeszcze gdy byli w miasteczku bolszewicy – dało mi wiele satysfakcji. Nawet w tej sprawie zadawałem cioci pytania. Otóż już w pierwszym dniu, gdy szliśmy główną ulicą do domu babci zauważyłem, że Żydzi nie noszą już czerwonych opasek na rękawach, które tak często i chętnie nakładali przed rokiem ofiarując swoją lojalność wobec nowej bolszewickiej władzy. Na Czytelni Ukraińskiej (taki ich dom kultury) nie wisi już „fana żouto-syna", narodowe barwy Ukraińców. Ciocia mi wytłumaczyła, że rozczarowanie wśród Żydów i większości Ukraińców przyszło nadspodziewanie szybko. Początkowo nacje te nic nie przeczuwały, jaką politykę zastosuje nowa władza wobec nich, i dopóki sklepy żydowskie funkcjonowały, a Ukraińcom rozdawano rozparcelowaną ziemię, wszystko było cacy, służalczość się opłacała. Ale gdy ta sama władza zaczęła propagować wyższość gospodarki kołchozowej i tłumić dążenia Ukraińców do samostijnoje Ukrainy oraz ograniczać handel prywatny – przyszły pierwsze rozczarowania, zginął entuzjazm. Przestano wykrzykiwać „haj żywe Stalin". Wiadomo jakby się zakończyło, gdyby nie napaść niemiecka na Rosję.

Gdy przyjechaliśmy do Niżniowa, zastaliśmy już na stałe zadomowionych Zimermanów po wyprowadzce z Monasterzysk. Zamieszkali w Przewale w domu Szurów, których spadkobiorcą była Maria Zimermanowa z domu Szura. Z sadu babci widać cały dom z podwórkiem ogrodzonym parkanem. Maria była bliską koleżanką cioci Juli, jeszcze z czasów młodości, a jej mąż Stanisław Zimerman był dobrym znajomym całej mojej rodziny. Ciocia bywała w tym domu i przy tej okazji poznałem wszystkie dzieci Zimermanów. Zaprzyjaźniłem się z Wilusiem, a następnie najstarsza Lila... zaczęła mi się śnić po nocach.

Czerwiec 1941 roku zamyka pewien okres w moim życiu, okres nie lekki, bogaty w doświadczenia życiowe i bardzo urozmaicony. Nigdy się w tym czasie nie nudziłem, ale i niewiele czasu miałem na zabawy. Zdążyłem już być i na wozie i pod wozem. Wojna zawsze wpływa na wcześniejsze dojrzewanie dzieci, ale dzieci Drugiej Wojny Światowej dojrzewały wcześniej, niż wszystkie inne roczniki innych wojen. Ja byłem jednym z tych, któremu wojna nie poskąpiła niczego, co przyspieszało dojrzewanie. Z tego pierwszego okresu wojny wyniosłem jedno zasadnicze doświadczenie, które w owym jeszcze czasie w moim umyśle nie mogłem, nie potrafiłem tak sprecyzować, a które dziś określam, że upór w dążeniu do celu oraz nadludzka determinacja, nie pozostawia miejsca w naszej psychice na wątpliwości i rezygnację. Kto idzie, ten z wielkim prawdopodobieństwem dojdzie..., ale po drodze należy liczyć się z przeszkodami.

Przewędrowaliśmy z mamą tysiące kilometrów w zimowej zawierusze, w mroźne dnie, w deszczu, po zawianych śniegiem stepowych drogach, po błotnistych bezdrożach, torach kolejowych, w brudzie i o głodzie, bez noclegu i bez nadziei na wypoczynek, w strachu przed milicją i władzą sowiecką, przeżywając niejednokrotnie sytuacje, z których cudem wychodziliśmy na prostą, ale silne pragnienie dotarcia do domu rodzinnego i silna wiara w powodzenie i ziszczenie naszych pragnień – pomogły osiągnąć cel. W czasie tylko tego małego epizodu mojego życia doświadczyłem więcej, niż niejeden starzec u schyłku swojego życia. Dźwigam z tego okresu bagaż bolesnych wspomnień, a gorycz tych czasów pozostanie mi do końca moich dni.

Warszawa, styczeń 1985 rok.

CZĘŚĆ TRZECIA

1

Okupacja niemiecka

Bolszewicy swoją rygorystyczną polityką, wrogą wobec Polaków, wytworzyli i ugruntowali wśród nas, Polaków mieszkających w tej części kraju – atmosferę nieufności i wrogości. „Radziańska własť" nie była poważnie traktowana przez społeczność w ogóle, a przez Polaków w szczególności. Rządy ich były raczej obiektem kpin i kopalnią kawałów krążących wśród społeczeństwa polskiego, za głoszenie których groziła wywózka, albo zwykłe morderstwo w kazamatach NKWD. Dlatego 22 czerwca 1941 roku, kiedy Niemcy napadli na Związek Sowiecki, nie było w nas rozpaczy, byliśmy obojętni wobec tragedii Rosjan, nie odróżnialiśmy wrogów, mierzyliśmy ich jedną miarą, jako zaborców i ciemiężycieli. Niejednokrotnie słyszałem rodzinne rozmowy starszych osób, z których biła wiara na ich wykrwawienie i wyniszczenie się wzajemne, a wtedy nadejdzie pomoc z Anglii i Francji, szczególnie liczono na Anglię. Powszechna wrogość, ból i żal wobec Sowietów były w pełni zrozumiałe i usprawiedliwione. Do dziś tysiące Polaków tuła się po Syberii od tych czasów, nie mówiąc o zakatowanych.

Wojska i władze bolszewickie z Niżniowa uciekły niepostrzeżenie, w ogromnym pośpiechu, nocą, nie pozostawiając po sobie tęsknoty ani u Polaków, ani u Ukraińców. Charakterystyczne, że z Niżniowa, spośród jego stałych, przedwojennych mieszkańców nikt nie wyjechał na wschód, nawet taki znany u nas jeszcze przed wojną, z przekonania komunista, jakim był Sabat, szanowany krawiec, pozostał na miejscu. Żydzi niżniowscy, którzy byli zorientowani w hitlerowskiej polityce w stosunku do nich, również nie zabrali się z bolszewikami i nie uciekali przed Niemcami. Woleli czekać w swoich domach na oświeconych wrogów, aniżeli uciekać z ciemnotą tłuszczą bolszewicką, chociaż w 1939 r. tak gorąco ich witali. Zastanawiające. Czy prawdą jest, że władza radziecka wprowadzając

przez półtora roku nowe porządki nie pozyskała zaufania naszej małej społeczności lub nawet pojedynczych osób? Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć. Fakty jednak mówią za siebie. Tak ograniczonej wolności ludzie nie odczuwali ani w okresie rządów polski „burżuazyjnej", ani w czasach zaboru austriackiego. Bolszewicy w każdym kulturalniejszym człowieku, który biegle czytał i pisał, upatrywali wroga klasowego. Każdy Polak był ich zdaniem ciemiężycielem. Nawet Polacy komunizujący przed wojną nie cieszyli się pełnym zaufaniem nowej władzy. Nacjonaliści ukraińscy również nie doczekali się spełnienia swoich nadziei. Biedocie początkowo obiecywano na mityngach dużo, a dano jedynie niektórym trochę gruntów folwarcznych, które lada moment miały być oddane kołchozom, identycznie jak było na Ukrainie wschodniej. Na obiecany dobrobyt przestano liczyć. Żydzi utracili swoje źródła zysku czerpanego z handlu i rzemiosła. Kto więc mógł mieć powody do satysfakcji z nowych porządków? Nikt! Zamordyzm dotknął wszystkich, jednych więcej, innych mniej, ale wszyscy to odczuli dostatecznie boleśnie. Byt materialny również nie sięgnął obiecanego pułapu. Warunki życia, szczególnie w małych miasteczkach, obniżyły się wszystkim. A więc powodu do żalu za uciekającymi bolszewikami nie było.

W Niżniowie i okolicach oporu wojsk sowieckich nie było. Bez wystrzału, w dużym pośpiechu, wszyscy przybysze ze wschodu opuścili miasto, pozostawiając tubylców swoim losom. Jedynym głośnym dowodem ucieczki były detonacje wysadzanych w powietrze mostów na Dniestrze. Potężne wybuchy wstrząsnęły okolicą. Przęsła mostu drogowego i kolejowego rozszarpało, a część żelastwa z nich siła wybuchu rozniosła daleko we wszystkie strony. Z siedemnastu wysokich filarów mostu drogowego trzy środkowe rozbito doszczętnie. Ozdoba naszego miasteczka, piękny most, którego budowniczym był między innymi mój ojciec, został okaleczony na zawsze. Do pierwotnego wyglądu nikt go już nie doprowadzi.

Po ucieczce Sowietów przez kilka dni Niżniów ponownie opanowali nieprzejednani nacjonaliści ukraińscy, którym nie powiodło się utrzymać swojej politycznej działalności za rządów sowieckich. Teraz w oczekiwaniu na wojska niemieckie całkowicie zmienili front i wypełnili lukę, jaka powstała po ucieczce Sowietów. Liczono na pełne poparcie Niemców dla swoich odwetowych dążeń. Odnosiło się wrażenie, że Hitler napadł na Rosję tylko dlatego, aby Ukraińcy mogli zrealizować swoje marzenia zemsty na Polakach i zbudowania Wielkiej Ukrainy. Wielu z nich dopiero co zdjęło ze swego ramienia czerwone opaski, którymi obdarzali ich bolszewicy. Na gmachach publicznych ponownie pojawiły się, olbrzy-

mich rozmiarów chorągwie o barwach „syno-żoutych", a na ulicach, tu i ówdzie, widziało się wiwatującym, uszczęśliwionych Ukraińców.

Po dwóch lub trzech dniach gminna wieść głosiła, że do Niżniowa wkracza regularne wojsko. Ponieważ pogoda była piękna, żadnych strzałów, a ciekawość niepohamowana – postanowiłem być świadkiem tego historycznego wydarzenia. Dochodząc do rynku zdążyłem, gdy czoło kolumny ukazało się na całej szerokości ulicy. Zobaczyłem coś, czego nigdy jeszcze nie widziałem. Widywałem już wojsko na koniach, na samochodach, na furmankach, w kolumnach spieszonych ale… drogą od strony kościoła, w szyku zwartym, żołnierze jechali na rowerach, niczym ułani na koniach, z dziwnymi plecakami wyłożonymi brązową skórą i przypiętymi do ramy roweru krótkimi karabinami. Wyglądali trochę egzotycznie. Czapki ich, podobne do naszych furażerek, zakończone niczym rogiem na czole okrągłym trójbarwny znaczkiem. Ale nie byli to Niemcy, których spodziewałem się ujrzeć. Do Niżniowa wkroczyli Węgrzy. Wśród rowerzystów było kilku jeźdźców konnych. Od osób starszych, którzy razem ze mną obserwowali paradę dowiedziałem się, że byli to oficerowie. Będąc jeszcze na rynku nie wiedziałem jaka dla nas była różnica pomiędzy Niemcami a Węgrami. Dopiero od babci dowiedziałem się, że powinniśmy się z tego powodu cieszyć, ponieważ Polaków i Węgrów łączą przyjacielskie stosunki od niepamiętnych czasów. Oba narody łączy kościół katolicki, a przed wielką wojną (tak babcia określiła I Wojnę Światową) łączył nas cesarz Franciszek Józef I, którego babcia widziała w okolicznościach, których już nie pamiętam. Tak więc Polacy z wkroczenia Węgrów do Niżniowa mieli powody do zadowolenia.

Po obiedzie i krótkim odpoczynku większa część wojska wyruszyła w dalszą drogę. Przez Dniestr żołnierzy przewożono dużymi łodziami, które dostarczono ciężarowymi samochodami. Żołnierze pozostali w Niżniowie zostali zakwaterowani w szkole oraz w budynku żydowskiej gminy. Na placu szkolnym rozwinięte zostały kuchnie polowe i całe zaplecze kwatermistrzowskie. Sztab zajął budynek gminy, a oficerów zakwaterowano w domach polskich.

Liczne dowody życzliwości Węgrów dla Polaków doprowadzały ukraińskich nacjonalistów do białej gorączki. Czuli się całkowicie zawiedzeni. Historyczne związki naszych narodów owocowały w tych ciężkich czasach. Dowództwo garnizonu dawało Ukraińcom liczne dowody, że nie będzie tolerować ich nacjonalistycznych wybryków wobec Polaków, a każdy nieobliczalny krok jednej grupy narodowościowej przeciw innej będzie surowo w/g prawa wojennego karany. Ukraińcy doszli do przekonania, że

ich czas jeszcze nie nadszedł i ponownie zwinęli swoje chorągwie, czekając na dalszy, bardziej im sprzyjający rozwój wypadków. Piszę może za dużo o nacjonalistach ukraińskich, chociaż w tym czasie było ich niewielu. Ale ta nieliczna grupa była bardzo aktywna i w krótkim czasie pociągnęła za sobą wielu spokojnych dotychczas wieśniaków narodowości ukraińskiej, co w następnych latach dało opłakane wyniki.

Węgrzy, jako naród katolicki, w każdą niedzielę w szyku zwartym maszerowali do kościoła na sumę. Przypominało mi to nasze wojsko. W czasie nabożeństwa kolumna czwórkowa kompanii węgierskiej stała w tym samym miejscu, w którym zawsze stali nasi ułani, a z kolumny emitował identyczny zapach potu i skóry. Lubiłem być jak najbliżej żołnierzy, a szczególnie po nabożeństwie, gdy maszerowali przez miasteczko. Mam tyle pozytywnych wspomnień z tego okresu. Pamiętam atmosferę w miasteczku, która dawała nam poczucie chwilowej wolności i bezpieczeństwa.

Dużo czasu spędzałem wśród żołnierzy, którzy wypoczywali nad Tłumaczykiem i na placach zatrawionych. Często po obiedzie zmywałem żołnierzom menażki o dziwnie płaskiej budowie. Kucharze po obiedzie, gdy w kotle jeszcze coś było do zjedzenia, wybierali polskie dzieci i ustawiali nas w kolejkę do kotła, po porcje paprykarzu z ryżem lub ziemniakami. Długo jeszcze po spożyciu czuło się jego piekącą moc w usta. Po nakarmieniu wybrańców, jeżeli w kotle jeszcze coś zostało, dzieci ukraińskie mogły dostąpić tego zaszczytu i otrzymać ten piekący posiłek.

Kiedyś przeżyłem szok. Na placu szkolnym przyszedłem w godzinach rannych i zobaczyłem uwiązanego do drzewa byka, a obok stał żołnierz z karabinem przyglądając się zwierzęciu. W pewnym momencie żołnierz ów odszedł od byka na odległość sześciu – siedmiu kroków, stanął naprzeciwko głowy byka i przez chwilę utopił swój wzrok między rogami byka. Stałem bardzo blisko i obserwowałem z zainteresowaniem te sceny. Byk stał w bezruchu z utkwionymi ślepiami w nogach tego żołnierza. Gdy obserwowałem byka, niespodziewanie padł strzał. Poczułem w uszach potworne uderzenie, ale swojego wzroku z byka nie zdjąłem. Byk nadal stał w tym samym miejscu, a po czole spływała mu struga krwi. Raptem usłyszałam potężny ryk i byk zwalił się na ziemię. Inny żołnierz podbiegł do leżącego zwierzęcia i olbrzymich rozmiarów nożem poderżnął mu szyję. Uciekłem z tego miejsca i przez kilka dni chodziłem ogłuszony i rozżalony. Obraz walącego się z nóg byka pozostał mi na zawsze.

Przyjacielski stosunek Węgrów do Polaków u części Ukraińców rozpalał nienawiść i wzniecał wściekłość. My zaś nie wykorzystywaliśmy tych

przychylnych nam układów. Polacy wiedzieli, że są to układy chwilowe, że wnet przyjdą inne czasy, dla nas nie tak korzystne. Wprawdzie Polacy zacieśniali kontakty i znajomości z Węgrami, ale nie znajduję przykładu, że te znajomości i przyjaźnie były choć w części skierowane przeciwko Ukraińcom. Były one raczej powłoką ochronną przed atakami ze strony ukraińskiej. Było nas w miasteczku o wiele mniej niż Ukraińców.

W tym przełomowym czasie byliśmy już jako tako urządzeni i mieliśmy mały zapasik żywności, ale nie mieliśmy porządnej odzieży i nie było pieniędzy na jej zakup. Mama od powrotu z Syberii leczyła się i nie miała stałej pracy, i aby jako tako egzystować, zmuszona była chwytać się każdego nadarzające go się zajęcia. Jak dotychczas z każdej trudnej sytuacji, przypadkowo, czy też dzięki naszym staraniom, zawsze wychodziliśmy obronną ręką, nawet jeśli sytuacja wydawała nam się beznadziejna. Zdarzało się często coś, co przywracało nadzieję i dawało siły do pokonania trudności, i do zmiany na lepsze, do przetrwania. Tak też i teraz było. Ktoś ze znajomych zaproponował mamie pranie bielizny pewnego oficera węgierskiego hrabiego Balaszo, czy Belaszo, niestety dokładnie nie pamiętam brzmienia tego nazwiska. Nie była to ciężka praca, ponieważ bielizna hrabiego zawsze była wyjątkowo czysta i nie wymagała dużego wysiłku w samym praniu. Gro pracy należało natomiast poświęcić prasowaniu. Pamiętam, że często po prasowaniu mama cierpiała na ból głowy i nudności, których przyczyną zawsze był czad wydobywający się z żelazka. W owym czasie używano żelazek z tzw. „duszą" lub na węgiel. W domu były oba rodzaje, ale mama używała na węgiel, bo było tańsze w eksploatacji. Wystarczyło kilka rozżarzonych suchych patyków na całe prasowanie. Natomiast prasowanie z „duszą" wymagało utrzymania ciągłego paleniska do ogrzewania wkładu, czyli tzw. „duszy". Niestety, żelazko ogrzewane żarem wydzielało zabójczy czad.

Byłem częstym dostawcą czystej garderoby i bielizny hrabiego, który zawsze mile mnie gościł częstując smakołykami. Był to bardzo wytworny i przystojny mężczyzna w średnim wieku, o czarnych włosach i z wąskim wąsikiem. Od niego wracałem obładowany produktami żywnościowymi, natomiast zapłatę zasadniczą zwykle przynosił ordynans przy dostawie nowej porcji prania. Przez cały czas pobytu hrabiego w Niżniowie mieliśmy w domu dostatek i możliwość udzielenia pomocy cioci Julii, która mając dwoje małych dzieci pomocy takiej potrzebowała.

Mama drobiazgowo dbała o czystość i estetykę garderoby swojego chlebodawcy. Nie mogła sobie pozwolić na nawet najmniejsze uchybienie. Przypominam sobie, jak ordynans przyniósł pewnego razu białą bluzę

letniego munduru poplamioną czerwonym winem. Mama kilka godzin studiowała w starych kalendarzach czym i jak należy tego rodzaju plany usuwać, aby pan hrabia mógł ponownie paradować w tym reprezentacyjny mundurze. Za każdą wykonaną pracę hrabia hojnie płacił i w pełni zasługiwał na wzorową usługę.

Gdy Węgrzy opuszczali Niżniów, których wyjazd długo opłakiwany był przez Polaków, na pożegnanie hrabia przez swojego ordynansa, przesłał nam duże pudło wypełnione różnymi produktami i smakołykami. Nawet o winie węgierskim i czekoladzie pamiętał. Wędlin, ryżu i cukru mieliśmy razem z ciocią Julą na wiele tygodni. Hrabiego wspominaliśmy często i bardzo ciepło, żałując jednocześnie utratę źródła tak dobrego i hojnego zaopatrzenia w żywność i bezpieczeństwa osobistego, jakie nam dawali Węgrzy.

Po wyjeździe Węgrów nastały rządy całkowicie niemieckie, wspomagane ukraińską policją. Niemców po raz pierwszy ujrzałem jeszcze na początku lipca 1941 roku. Zatrzymali się na kilka godzin w rynku przejeżdżając przez Niżniów. Byli to żołnierze Wehrmachtu uzbrojeni w broń osobistą z CKM-em na każdym samochodzie. Wyglądali groźnie i byli nieprzystępni. Niebawem w mieście pojawiło się gestapo oraz nieliczna załoga garnizonu do ochrony mostów, do odbudowy których zwożono materiały i angażowano fachowców. W odbudowie mostów brały udział firmy „Maja" i „Kruppa". Jak pamiętam kierownictwo odbudową sprawowała firma „Maja", która zajęła budynek, w którym przed wojną mieściła się policja.

Teraz dopiero Ukraińcy zaczęli wykorzystywać sprzyjające trendy, rozwijając swoje nacjonalistyczne żagle. Niewesoły był los Polaków w tych latach na wschodnich terenach Polski. Byliśmy narażeni ze wszystkich stron. Mieliśmy wprawdzie polskie pieniądze i polskich kolejarzy, ale w miasteczku było jednocześnie gestapo, ukraińska policja i morze wokół nieprzyjaznych nam ludzi. Nawet niektórzy sąsiedzi ukraińscy traktowali nas wrogo, zapominając o poprawnych, a w niektórych przypadkach nawet zażyłych stosunkach, jakie utrzymywaliśmy przed wojną, tzn. przed wrześniem 1939 roku. Oni tego wrogiego nastawienia od Polaków nigdy nie doznali.

We wrześniu 1941 poszedłem do szkoły. Ale co to była za szkoła. Utworzono chyba dwie klasy z językiem polskim, do których przyjęto polskie dzieci w różnym wieku i o bardzo zróżnicowanym poziomie. Uczyła nas pani Stankiewiczowa, która nie wiadomo skąd przybyła do Niżniowa po wkroczeniu Węgrów i od tego czasu na stałe u nas zamieszkała. Pamię-

tam, że miała dwóch synów i jeden młodzieżowy rower, o który ciągle się bili. Nasza nauczycielka była słabym pedagogiem i jeszcze słabszym wychowawcą. Nie potrafiła zapanować nad młodzieżą, tym bardziej trudno jej było uczyć taki konglomerat, w którym jedni biegle już czytali i pisali, a inni nie opanowali jeszcze całego alfabetu. Z tych nauk nie wyniosłem wiele, bo zdaje się, że i sama nauczycielka niewiele umiała. W tych czasach nikt nie sprawdzał umiejętności nauczycieli, bo i kto miał to robić.

W czasie dużej pauzy często wybiegałem do domu na drugie śniadanie. Biegnąc do domu, czy z powrotem, musiałem biec obok ambulatorium niemieckiego. Niemcy zajęli całe piętro obszernego domu Chirowskiego dla potrzeb garnizonowej służby zdrowia. Była to duża izba chorych w której mieli nawet salę operacyjną. Pewnego dnia biegłem wracając po śniadaniu na dalsze lekcje – kiedy minąłem już ambulatorium niespodziewanie poczułem silne uderzenie w plecy i ostry, kleszczowy uchwyt za kark. Upadłem twarzą na chodnik, dodatkowo rozbijając sobie czoło i nos. Nad moim karkiem brutalnie znęcał się duży wilczur niemiecki, którym zostałem poszczuty przez jego właściciela. Pies długo mnie trzymał w swoich kłach, aż przyszedł Niemiec i oderwał jego pysk od mojego karku. Było mu głupio, widząc mnie pokrwawionego i przestraszonego. Nie mogłem o własnych siłach wstać. Czułem, jak ciepła krew zalewa mi plecy i twarz. Spośród gapiów doszła do mnie jakaś babina i po ukraińsku zaczęła nawoływać, żeby mi pomogli. Po chwili wezwani sanitariusze położyli mnie na nosze i przenieśli do ambulatorium, gdzie opatrzono moje zranienia. Przez całą dobę byłem ich pacjentem. Wróciłem do domu z obandażowaną głową i karkiem z zaleceniem zgłoszenia się na drugi dzień do zmiany opatrunku. O ile na czole i nosie rany tłuczone możliwie szybko mi się goiły, o tyle pogryziony kark ranił mi się bardzo długo. Zgrubienie bliznowe mam do dziś, jako pamiątkę głupoty i sadyzmu niemieckiego nadczłowieka. Świadkowie tego wydarzenia opowiadali mojej matce, że Niemiec poszczuł za mną psa i zanosił się od śmiechu widząc, jak jego pies zręcznie powalił mnie na ziemię. Był ubawiony i zadowolony z wyników szkolenia psa. Od tego czasu pomimo wielkiej miłości do psów, podświadomie czuję nieokreślony lęk do tych czworonożnych, sympatycznych i wiernych przyjaciół człowieka.

Szkołą długo nie cieszyliśmy się. Już w listopadzie polskie dzieci wyrzucono do innego budynku, nie przystosowanego do tego celu. W nowym miejscu zorganizowano cztery klasy, od pierwszej do czwartej, i wszystko wskazywało, że będzie to normalne nauczanie. Normalność

jednak trwała jedynie do półrocza. Zaraz po wręczeniu nam świadectw za pierwsze półrocze – świadectwa pamiętam że wypisane były na szarym papierze w językach niemieckim i polskim – szkołę zlikwidowano. Toczyła się batalia o budynek dla potrzeb biurowych. Zwyciężyła władza niemiecko-ukraińska. Ponownie zostaliśmy na lodzie i wtedy z pomocą przyszedł nam klasztor i pan Capi, były dyrektor szkoły. Pod pretekstem nauki religii, rachunków i robót ręcznych – co było legalne – uczono nas języka polskiego, historii – co było nielegalne. Do szkoły tej chodziłem regularnie i z dużą przyjemnością, chociaż oddalona była 2–3 km. Pachniało tu wielką przygodą, a nawet ryzykiem. Wszystko, co w tej szkole robiliśmy, owiane było tajemnicą i nie mogło wyjść poza mury klasztoru. Miejsce było wymarzone. Klasztor otoczony był wysokim murem, a brama i furtka z grubych desek była stale zamknięta. Zakonnice otwierały furtkę na głos dzwonka, a zatem zawsze był czas na zmianę lekcji z historii na ręczne roboty. Aby zabezpieczyć się przed niespodziewanym wtargnięciem wizytacji, nakazano nam wykonać w/g swojego pomysłu jakąś zabawkę i przynosić ją do szkoły w każdym dniu. Te przedmioty miały być kamuflażem i w razie czego miały dać świadectwo, że nauka odbywa się zgodnie z programem. Utrwalił mi się w pamięci fałszywy alarm. Czytaliśmy w rękopisie jakieś opowiadanie i gdy dotarł do nas głos dzwonka pan Capi błyskawicznie zebrał wszystkie zapisane kartki, schował je do kieszeni i jak gdyby nigdy nic się nie stało zaczął omawiać, jak należy posługiwać się dostępnymi nam narzędziami. Ja wykonałem bardzo wierną kopię, w małych rozmiarach, pospolitych, chłopskich żaren. Tak byłem tymi żarnami zachwycony, że nawet pochwaliłem się Staszkowi. Owszem, pochwalił, ale mojego zachwytu nie podzielił.

Dziś, po tylu latach, chciałbym chociaż w tym miejscu wspomnieć o jednym spośród tysięcy nieznanych nauczycieli tajnego nauczania. Pan Capi w pełni zasługuje na pamięć. Milczący, surowy, nauczyciel wymagający, żarliwy patriota z przekonania i w działaniu, za naukę języka ojczystego oddał swoje życie. Aby umożliwić dzieciom uczenia się w domu, osobiście przez kalkę pięknym wyraźnem pismem przypisywał ciekawe teksty, wiersze i opowiadania z przedwojennych czasopism młodzieżowych i wciskał dzieciom głęboko do kieszeni – nakazując czytać, czytać i jeszcze raz czytać. Uświadamiał nam, że w ten sposób nikt z nas nie zapomni ojczystego języka. Ci którzy już płynnie czytali, mogli korzystać z biblioteki klasztornej, zaś inni musieli ograniczyć się do tych wypisów. Pamiętam, gdy jako już uczeń odwiedziłem bibliotekę i siostra zorientowana, że płynnie już czytam, wybrała mi książkę o żywotach świętych.

Siedziałem nad tym poważnym dziełem i nic nie rozumiałem, co czytam. Nie potrafiłem opanować zdenerwowania, bo choć książka druk miała wyraźny na kredowym papierze, nie wychodziło mi płynne czytanie. Byłem zniechęcony i gdy po długim czasie zjawiłem się ponownie w bibliotece, siostra chyba się zorientowała, że taka lektura jest jeszcze dla mnie za trudna.

Pana Capiego uczniowie bali się, bo zwyczajnie karał uczniów, włącznie z biciem po rękach i siedzeniu za najmniejsze przewinienie. Sam doznałem siły uderzenia prętem po dłoni za podpowiadanie swojej przyszłej żonie na lekcji rachunków. Mimo tej surowości potrafił pozyskać sobie przywiązanie uczniów. Niestety, Capiego aresztowano i wywieziono do Oświęcimia, a nasze klasztorne nauczanie zostało przez Niemców zakazane. Zostaliśmy przyjęci do normalnej, publicznej szkoły. Tu uczono nas w języku polskim, ale jakich przedmiotów – nie pamiętam, może dlatego, że nie chodziłem na lekcje regularnie. Uczniów często zatrudniano do pracy na rzecz okupanta lub na rzecz szkoły. Wiosną zrywaliśmy kwiat lipowy, młodą pokrzywę, natomiast jesienią chodziliśmy po polach po dojrzałe ziele. Wszystko to dostarczane było do przerobu na leki. Kiedyś, pamiętam, wykorzystano uczniów do obierania stosu ziemniaków, które po opłukaniu w dużych kotłach poddawane były suszeniu w suszarniach urządzonych na ciężarowych samochodach. Przez wiele dni, na zmianę, zatrudniano młodzież za jeden ciepły posiłek. Zacząłem wagarować. Nie widziałem żadnej korzyści z tej nauki, a ponadto musiałem zarabiać na nasze utrzymanie. Mama nie miała stałego zatrudnienia, musiałem jej ulżyć.

Ze szkół okupacyjnych wyniosłem niewiele. Całego cyklu w żadnej klasie nie ukończyłem, chociaż od klasy drugiej do piątej naukę rozpoczynałem z zapałem, a po kilku tygodniach zniechęcony już byłem na tyle, że bez przykrości przerywałem. Niemcom nie zależało na regularnym uczęszczaniu dzieci podbitego narodu, uważali, że umiejętność czytania i rachowania w zupełności sile roboczej wystarczy.

W Środę Popielcową 1943 roku wracałem z kościoła, gdy dotarła do nas wiadomość, że nasz nauczyciel Pan Capi i pan Ziemba, nasz doradca przy budowie łodzi jeszcze z lat trzydziestych, zostali straceni w Oświęcimiu. Pierwszy za patriotyzm i działalność konspiracyjną, drugi za lewicowe poglądy. Poruszenie wśród Polaków było duże. Dzień ten utrwalił mi się też z powodu topniejącego śniegu oraz po raz pierwszy dowiedziałam się, że Oświęcim uśmierca wszystkich, którzy tam się znaleźli.

Wracam jednak do roku 1941. Po wypadku z psem dotkliwie odczuwałem ropne dolegliwości karku. Nie goiło mi się, a wręcz rana pogłę-

biała się i ropiała. Chodziłem na opatrunki do siostry zakonnej. Obok Domu Polskiego w obszernym budynku mieszkały zakonnice. Nawiasem mówiąc, dom ten przed wieloma laty był własnością Szurów, rodziców mojej przyszłej teściowej. Żeński zakon kupując dom ten przeznaczył dla sióstr zakonnych, które miały zajmować się szerzeniem oświaty sanitarnej i leczeniem drobnych dolegliwości wśród biednych ludzi. Zapamiętałem jedną siostrę, starszą wiekiem, wysoką, która przez całe swoje długie życie leczyła chorych ziołami, traktując to jako swoje posłannictwo. Zawsze ubrana była w długą, szarą suknie zapiętą pod szyją i biały czepek przedłużony białym materiałem i puszczony luźno na plecy. W obszernej izbie o trzech dużych oknach, w której było jej królestwo zielarskie, całe ściany obstawione półkami na których ułożone były różnej wielkości słoiki z napisami. Słoików tych było, jeżeli nie tysiące to setki, co zawsze zastanawiało mnie, jak można z tego gąszcza wydobywać pożądany lek. Siostra zawsze bezbłędnie sięgała po słoik, w którym był lek potrzebny w danej chwili. Pod oknami była leżanka i stół, a przy drzwiach umywalka z miednicą i dzbankiem. W pokoju panowała zawsze nieskazitelna czystość i pachniało różnymi ziołami. Znałem tę izbę i jej władczynię od dawna. Jeszcze przed wojną stłukłem sobie palec wskazujący prawej ręki. Skaleczenie było tak niefortunne, że palec ciągle był opuchnięty strupami i pomimo długotrwałego leczenia nie było żadnej poprawy. Lekarze orzekli, że palec należy amputować, ratując tym samym całą dłoń. W innym przypadku rana może się poszerzyć, a wtedy innego wyjścia już nie będzie. Rodzina nie pogodziła się z takim werdyktem. Uważano, że brak palca wskazującego u prawej ręki to poważne kalectwo. W ostateczności zaprowadzono mnie do tej staruszki, która podjęła się leczenia. Codziennie chodziłem do niej na kąpiele ziołowe i okładanie czarną maścią. Po trzech tygodniach palec został wyleczony i nawet wyrósł nowy paznokieć. Ile się w tym pokoju nacierpiałem, tylko ja i siostra, moja wybawczyni, widzieliśmy. Najgorsze bóle przeżywałem przy zrywaniu opatrunku. Razem z bandażem siostra odrywała całe płaty zastrupiałego ciała. Ale w rezultacie to się opłaciło. Palec do dziś jest sprawny.

Pamiętając o tym leczniczym sukcesie, kiedy kark coraz bardziej mnie dokuczał, udałem się do siostry. Siostra obejrzała moją ranę, pokręciła głową i bez słowa przystąpiła do leczenia. Początkowo chodziłem na zmianę opatrunku co dzień, a gdy widoczna poprawa była, co dwa, co trzy dni.

Pewnego dnia idąc na opatrunek byłem świadkiem pogromu Żydów niżniowskich. Z domu wyszedłem kilka minut po dziesiątej. Pogoda była

słoneczna, chociaż w powietrzu czuło się orzeźwiający jesienny aromat, jakby wnet miały do nas zawitać pierwsze przymrozki. Szedłem wolno główną ulicą w kierunku śródmieścia. Dochodząc do rynku zauważyłem na placu targowym jakiś podejrzany ruch ludzkich postaci. W miarę zbliżania się zacząłem odróżniać wśród licznych cywilów mundury czarne i stalowe. Podszedłem bliżej, jak tylko było można i razem z innymi gapiami, przeważnie krajanami, obserwowałem to potworne widowisko. Niemcy nie zabraniali patrzeć. Byłem świadkiem wyrachowanego, zimnego okrucieństwa niemiecko-ukraińskiego. Akcja trwała już od godzin rannych. Żydów, całymi rodzinami, spędzali na duży plac targowy i tu segregowano na dwie zasadnicze grupy. Osobno ustawiono mężczyzn zdolnych do pracy fizycznej i osobno pozostałych. Przypomniał mi się z całą jaskrawością rok 1940 w Stanisławowie, tylko że nas nie bito, ale podobnie wyciągano z domów i wywożono w nieznane. Po mojej stronie ustawiono kobiety i mogłem dokładnie obserwować ten dramat. Właściwie nie ustawiono a układano na ziemi, jak się układa podkłady pod tory kolejowe. Ponoć układano kobiety w ten sposób, bo były zbyt ruchliwe i oprawcy mieli trudności w utrzymaniu porządku. Znęcano się nad tymi ludźmi okrutnie. Chętnych do wyładowania swojego sadyzmu nie brakowało. Niemieccy żandarmi i ukraińscy policjanci mogli do woli, bez zahamowań znęcać się nad swoimi ofiarami. Szczególnie jeden żandarm – zapamiętałem jego jasno-miedziane włosy wystające spod czapki i mocno piegowatą gębę – gorliwie spełniał swoje obowiązki, wybierając przy tym swoje ofiary spośród otyłych Żydówek. Bił je pejczem i z lubością chodził po nich. Było to widowisko iście godne barbarzyńców. Pogarda dla człowieka, uwielbienie siły i sadyzmu w blasku okrucieństwa wykazanego na oczach nielicznych gapiów, pozostawiło w mojej psychice zupełne spustoszenie. Niemcy zezwalając pozostałym mieszkańcom Niżniowa obserwować, jakby chcieli nasze sumienia obciążyć współwiną za te barbarzyńskie wydarzenia. Patrząc na te sceny, czułem ucisk w gardle. Prawie wszystkich Żydów znałem, każdy z nich pozostawił w nas jakieś określone wspomnienia. Byli to nasi sklepikarze, krawcy, szewcy, lekarze, a więc ludzie potrzebni innym ludziom na co dzień. Gmina Żydowska w Niżniowie była liczna, ilościowo przewyższała grupę wyznania rzymskokatolickiego, a więc na rynku i ulicach prowadzących do rynku był tłok. Poszedłem boczną uliczką w kierunku Domu Polskiego i widziałem jak policjanci ukraińscy penetrowali już opuszczone domy żydowskie. Brali wszystko, co przedstawiało jakąś wartość i było do udźwignięcia.

Siostry zakonne wiedziały już, co Niemcy robią z Żydami i były tym bardzo przejęte. Po zmianie opatrunku wracałem tą samą boczną ulicą, ponieważ okrutnie bałem się wpaść w to kłębowisko. Na rynek w dalszym ciągu spędzano Żydów mieszkających na uboczu. W godzinach popołudniowych na rynek zajechały samochody ciężarowe i rozpoczął się załadunek. Z miasta wywieziono starców, kobiety i dzieci. Głośno mówiono, że wywożą ich do Stanisławowa, gdzie zamieszkają razem z innymi Żydami w wyznaczonej dzielnicy. Słowo getto jeszcze w owym czasie nie padło. Mężczyźni zdolni do pracy pozostali na miejscu. Zakwaterowano ich w dużej, dwupiętrowej kamienicy, skąd przez długie miesiące, pod strażą, maszerowali do pracy przy mostach na Dniestrze i na drogach publicznych.

Wracałem do domu nie wszystko jeszcze rozumiejąc, przerażony i z ogólnym chaosem w głowie. Zadawałem sobie, a w domu bliskim, pytanie: dlaczego, po co, w imię jakiej sprawy, co ci ludzie zawinili? Ale znikąd odpowiedzi nie otrzymałem. U pytanych dostrzegłem te same wątpliwości i taki sam strach, jaki trawił mnie. Byliśmy przeświadczeni, że po uporaniu się z problemem żydowskim Niemcy niechybnie wezmą się podobnymi metodami za Polaków, w czym gorliwie i masowo pomogą im Ukraińcy. Ogarnął mnie bezbrzeżny smutek, tyle wysiłku i z takim trudem z Kazachstanu doszliśmy do Niżniowa, aby teraz być narażonym na takie niebezpieczeństwa?

W tym dniu i w następnych w gronie rodzinnym nie mówiono o niczym innym, tylko o naszych znajomych Żydach, o ich nieszczęściu, o luce w naszej zbiorowości społecznej, jaka powstała przez wyeliminowanie z życia tak licznej grupy ludzi.

Wieczorem położyłem się do łóżka w nienajlepszym nastroju. Byłem przygnębiony, a przed oczyma ciągle przewijała mi się piegowata gęba z grubym pejczem w ręku. Drugi raz los zetknął mnie w krytycznych chwilach z rudym człowiekiem o sadystycznym usposobieniu, co zdecydowało, że od tego czasu jestem nieufny do ludzi rudych. Po północy obudziło nas delikatne pukanie w szybę okna. Zerwaliśmy się z mamą z łóżek na równe nogi, bojąc się podejść do okna. Przed naszym oknem stała zrozpaczona i bardzo zabrudzona pani Iza, znajoma mamy jeszcze z czasów przedwojennych. Przed wojną często się wzajemnie odwiedzały na ploteczki. Teraz Iza stała przed naszym oknem zrezygnowana, trzymając za rękę swoją ośmioletnią córkę, bez większych nadziei na pomoc z naszej strony. Iza była rasową Żydówką. Czarne, długie włosy upięte w kok, semicki nos, o pulchnej budowie ciała i pełne usta złotych zębów.

Córka natomiast nie przypominała dziecka żydowskiego, jedynie imię miała typowo żydowskie – Hindełe. Była zaprzeczeniem swojej narodowości. Blada, drobniutka twarzyczka, proste blond włosy i oczy jasne, ciągle zalęknione. Często z mamą bywałem u nich, a po naszym powrocie z Syberii Iza wspomagała nas w urządzeniu się. Dziwne, że tyle razy postacie te widywałem, a zapamiętałem je jedynie takimi, jakie ukazały się nam tej nocy.

Mama początkowo ze strachu nie mogła zapanować nad swoimi nerwami. Stanęła przed oknem bezradna, blada, bliska omdlenia. Przecież doskonale wiedziała, co nam od tego momentu grozi. Niemcy w tych sprawach byli zdecydowani. Litość jednak i stosunki, które mamę łączyły z tą kobietą zwyciężyły. Wciągnęliśmy obie do mieszkania przez okno. Mała Hindełe natychmiast zasnęła, natomiast Iza wymagała pomocy. Ranę postrzałową prawej piersi należało przemyć i opatrzeć. Rana groźna nie była, ale jej wygląd był przerażający. Zakrzepła krew z gliną tworzyła naturalny tampon i krwawienie po postrzale nie było tak wielkie, ale teraz po zerwaniu z rany skrzepu i obmyciu ciepłą wodą krwawienie ponownie nastało i to w dwóch miejscach z małej rany prawej piersi i z dużej pod prawą pachą. Postrzał był ukośny i uszkodził jedynie pulchne ciało Izy nie naruszając kości. Pamiętam tak dokładnie, ponieważ sam ranę opatrywałem. Mama po umyciu Izie ran tak osłabła, że nie mogła się już utrzymać na nogach i choć pani Iza się krępowała, rany opatrzyłem zgodnie z wymogami. Kawałek czystego prześcieradła zmoczyłem czystą wódką i przyłożyłem do ran, na co nałożyłem trochę waty i owinąłem bandażami dartymi z prześcieradła.

Tej nocy już nie spaliśmy. Obie kobiety naradzały się nad dalszym losem Izy i jej córki, a ja myślałem, jak zdobyć leki do leczenia ran. Pani Iza opowiedziała nam, co się stało poprzedniego dnia z Żydami, których wywieziono z Niżniowa. Transport samochodowy wyjechał z miasta do pobliskich lasów i tam dokonano dalszej selekcji. Część Żydów ponownie załadowano na samochody i wywieziono do Stanisławowa do tworzącego się tam getta, a pozostałych ustawiono nad olbrzmim dołem i rozstrzelano. Nie pamiętam, jaką drogą dotarły do nas i jakim sposobem te biedne istoty uratowały się przed śmiercią. Przypominam sobie jedynie, że obie były całe oblepione gliną i że do Niżniowa wróciły pod osłoną nocy. Wszystkie inne szczegóły poszły w niepamięć, najprawdopodobniej w czasie opowiadania po tych wstrząsających przeżyciach nie byłem zdolny świadomie uczestniczyć i zapamiętać to opowiadanie Izy. Rano mama z konieczności wtajemniczyła Paraskę wręczając jej jednocześnie grubą,

złotą obrączkę. Wiedzieliśmy, że Paraska chytra jest na dobra materialne i spodziewając się jeszcze większej zapłaty, będzie milczeć. Iza w swojej grubej spódnicy zaszyte miała pierścionki, złote monety i inne precjoza. Miała czym płacić za milczenie i utrzymanie przez wiele miesięcy. Paraska zgodziła się być niezorientowaną w tej trudnej sytuacji, ale jedynie do czasu wygojenia rany. Jeszcze tego samego dnia zjawiłem się u siostry zakonnej i poprosiłem coś do rany. Skłamałem, że jeden chłopak zranił się w łydkę i boi się rodziców. Zdziwiona była moim poświęceniem dla jakiegoś chłopaka, ale dała jakieś zioła do przemywania ran. Mama robiła wywar z tych ziół i sumiennie kurowała tym panią Izę. Ostatecznie mama postanowiła, że niedoszłe ofiary niemieckich zbrodniarzy obowiązkowo, gdy tylko rana nie będzie dokuczać, wyprowadzimy z Niżniowa. Dokąd, jeszcze nie wiadomo. Iza w miasteczku znana była i wszyscy mieszkańcy bez trudu mogliby ją rozpoznać, a ukrywanie ich w naszym mieszkaniu w dłuższym okresie jest niemożliwe. Zbyt duże ryzyko dla wszystkich wtajemniczonych, którym groziła śmierć w razie wsypy, a i Paraska postawiła warunki.

Po tygodniu, gdy rana goiła się bez żadnych komplikacji i pani Iza mogła już odbyć dłuższą, pieszą podróż, nad ranem, przy nocnych jeszcze ciemnościach wyruszyliśmy okrężną drogą do Pużnik, gdzie Niemców, jak na razie, jeszcze nie było, a policja ukraińska docierała rzadko. Wybraliśmy drogę dłuższą, przez pola i lasy do Ostry, a następnie ścieżkami polnymi z dala od Koropca do rodzinnego zaścianka mamy. Nie mogliśmy iść naszą najkrótszą drogą, ponieważ musielibyśmy przejść przez połowę Niżniowa, a przy promie i mostach warty niemiecko-ukraińskie były nie do pokonania. Okrężna droga dawała nam możliwość wyjścia z Przewału od razu w pole przez cmentarz ukraiński i lasem aż do Dniestru. Tam przewoźnik nie znał nas i bez obaw można było dostać się na drugi brzeg.

Podróż była ciężka. Iza wraz z małą wlekły się ostatkiem sił, bez nadziei i zapału. Na twarzy Izy widać było śmiertelne znużenie. Oczy były pełne smutku i rezygnacji. Musieliśmy z mamą zachęcać ich do dalszego wysiłku. Mama moja, chociaż nie całkiem jeszcze zdrowa, wykazała więcej troski o ich życie, aniżeli sama Iza. Do celu dotarliśmy późnym popołudniem. Babcia Peterałowiczowa, widząc strudzone i zrezygnowane ofiary postanowiła zatrzymać Izę z córką u siebie pod jednym warunkiem, że pod zmienionymi imionami i nazwiskiem Iza z córką będą uczęszczać na nabożeństwa kościelne. Niestety, nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy Żydówki te uratowały się, czy przetrwały. W Pużnikach przebywały do jesieni 1943. Gdy było już wiadomo, że Niemcy w Pużnikach rozwiną

polową rzeźnię – w tym celu zaczęto przygotowywać teren i kwatery – wszystkich Żydów przechowywanych w Pużnikach wyprowadzono i przerzucono do innych miejscowości. Pozostał jedynie chłopak w wieku 16–17 lat, który pracował w gospodarstwie jako parobek. Po przyjściu Rosjan w Buczaczu został enkawudzistą i udawał, że nie zna nikogo z Pużnik. Jeżeli chodzi o Izę i jej córkę, żadnej wiadomości nie mieliśmy.

Do domu wróciliśmy następnego dnia, trasą jak zwykle przez Werbkę. Deszcz i zimno towarzyszyły nam przez całą drogę. Nad Dniestrem widoczne były już efekty czteromiesięcznej pracy nad odbudową mostów. Z rusztowań wyłaniały się kamienne filary i przęsła. Ruch kołowy narazie odbywał się promem i łodzią dla pieszych, a kolej dojeżdżała tylko do Niżniowa. Rzekę pokonaliśmy promem. Potężne łańcuchy głośno przesuwały się po stalowej linie przerzuconej nad wodą. Prom wydawał się bezpieczny. Łodzi panicznie się bałem, co skrzętnie ze wstydu ukrywałem. Tego strachu pozbyłem się dopiero gdy będąc w marynarce handlowej wypływaliśmy kutrami w morze.

W domu oczekiwała nas następna niespodzianka. Do babci Paulinki dotarł jeszcze jeden uciekinier, Icek, były właściciel sklepu i warsztatu krawieckiego. Jego syn, również Icek, szył mi mundurek harcerski. Tenże Icek senior był dobrym znajomym babci. Ponoć jeszcze od czasów pierwszej wojny światowej. Icek w selekcji trafił, wraz z innymi Żydami, chociaż młodym już nie był, do brygady roboczej do naprawy dróg. W każdy dzień, przez cały tydzień kolumna Żydów maszerowała główną ulicą w kierunku Dniestru z łopatami na ramieniu i z opaską na rękawie ozdobioną gwiazdą Dawida. Kolumnę pilnował jedynie policjant ukraiński. Ickowi ktoś doniósł wiadomość, że jego cała rodzina została stracona w egzekucji, z której uratowała się Iza. Wiedząc, że rodzina nie będzie już represjonowana, Icek postanawia oddalić się, korzystając ze sprzyjającej okazji. Trudności w ucieczce nie miał. Pod koniec dnia, w czasie formowania kolumny marszowej, odskoczył w zarośla i brzegiem rzeki przeszedł w odludne miejsce, skąd pod osłoną nocy, drogą okrężną, dotarł do domu babci. O jego zniknięciu w komendzie tego obozu dowiedziano się dopiero wieczorem przy sprawdzaniu obecności. Icek ukryty został na strychu, w kryjówce odgrodzonej deskami. Miał tam wszelkie wygody i był w miarę bezpieczny. Przez sześć tygodni przechowywał się bez żadnych utyskiwań. Po tym czasie, jak zwykle późnym wieczorem wyszedł na podwórko na spacer i nic nikomu nie mówiąc dobrowolnie oddał się w ręce gestapo. Psychicznie nie wytrzymał tego odosobnienia. Przeżyliśmy kilkanaście dni w takim strachu i niepewności, że już

więcej nikt z rodziny nie byłby w stanie innym potrzebującym pomocy jej udzielić. Icek zachował się jednak bardzo dzielnie. Torturowany do granic wytrzymałości kryjówki swojej Niemcom nie zdradził. Wszyscy odetchnęliśmy pozbawiając się strachu, gdy do nas dotarła wiadomość, że Icek został przez gestapo zamordowany. Po pewnym czasie dotarła do Niżniowa wiadomość – o ile pamiętam sami Niemcy ją ogłosili – że na wskutek ucieczki rodzina Icka przebywająca w Gettcie została stracona. Pierwotna wiadomość o straceniu rodziny Icka była fałszywa. A może odwrotnie. Tego nikt nie sprawdzał. Niestety, były to tragiczne paradoksy ostatniej wojny.

Paradoksem była też postawa Żydów w czasie wojny. Mam oczywiście na uwadze wschodnie tereny Polski. We wrześniu 1939 r. Żydzi bolszewików witali, jak wita się wyzwolicieli spod obcej niewoli. Niejeden Polak doznał od nich zdrady. W wielu przypadkach byli sprawcami bezpośrednimi lub pośrednimi aresztowań i wywózek na Syberię. Między innymi domniemanym donosicielem na ciocię Stefę był Żyd stanisławowski, dzięki czemu znaleźliśmy się na Syberii. Ale gdy w czerwcu 1941 r. bolszewicy uciekali – Żydzi pozostali w Niżniowie, chociaż dobrze znali dyskryminacyjne założenia Hitlera. A teraz, gdy groziła im zagłada, o pomoc zwracano się nie do Ukraińców, a właśnie do Polaków. I w wielu przypadkach pomoc taką otrzymywali, chociaż za przechowanie Żyda groziła śmierć.

Jesień w dorzeczu Dniestru była dla mieszkańców tych rejonów tragiczna. Takiej powodzi nie widziałem ani przedtem, ani potem. Niżniów stale narażony był na niszczące działanie żywiołu wody, ale takiego spustoszenia nie pamiętała z lat poprzednich nawet moja babcia Paulinka. Opowiadano mi, jak to wiosną 1932 roku wywożono mnie jako niemowlaka nocą z zagrożonego budynku w balii. Była to wtedy jednak powódź o wiele mniejszych rozmiarów w porównaniu do tej z okresu wojennego. Padające deszcze spowodowały wystąpienie wód z brzegów wszystkich rzek i rzeczek wpadających do Dniestru. Wylew nastąpił na całej jego długości. Głównym nurtem rzeki płynęły całe stodoły, słomiane dachy, potopione zwierzęta, ludzie na strzępach zabudowań. Woda zalała większą część miasteczka. Jedynie zabudowania położone na wyższych terenach nie ucierpiały, a wszystko, co stało w dolinie, zalane było wodą. Z Cmentarnej Góry widok terenów zalanych żywiołem wody był przerażający. Jedno olbrzymie rozlewisko. Szkoła oddalona od Dniestru o ponad trzy kilometry do połowy pierwszego piętra tkwiła w wodzie. Remont zakończony w 1939 r. zniszczony został całkowicie. Po tygodniu, czy dwu – nie pamiętam – gdy wody zaczęły opadać w Tłumaczyku i Dniestrze

miasteczko wymagało renowacji. Odprowadzając wujenkę Lidzię, która z powodu powodzi zmuszona była przedłużyć swój pobyt w Niżniowie – widziałem jak olbrzymie topole rosnące na błoniach swoje wierzchołki miały połamane i zabrudzone śmieciem, jakie woda naniosła. Widziałem poniszczone domy, powalone olbrzymie drzewa i olbrzymie wyrwy w drogach. Na górnych częściach przęseł mostu drogowego resztki z płynących zanieczyszczeń. Tuż pod mostem przewalały się jeszcze potężne, jak na małą rzeczkę, spienione wiry. Na drugi brzeg przewożono, co bardziej odważnych, jedynie dużą wojskową amfibią – do której wsiadano bezpośrednio z mostu. Woda cały czas sięgała jezdni mostowej. Prom rozbity tkwił między przęsłami mostu. Silny prąd, szerokość rzeki oraz przerażająca głębina nie zachęcały do wsiadania do łodzi. Wielu zrezygnowało czekając na lepsze, mniej ryzykowne warunki. Tych odważnych, którzy wsiadali do łodzi, zniosło daleko w dół rzeki. Ze wszystkich klęsk żywiołowych człowiekowi najbardziej znane są powodzie, a mimo to często jest on przez ten żywioł zaskakiwany, nawet w czasach współczesnych. Klęskę tej powodzi najdotkliwiej odczujemy dopiero w następnym roku, ale jej żywiołem i rozmiarami przygnębieni są wszyscy – już teraz.

Dopiero w grudniu wody opadły do normalnego swojego zimowego stanu, a ludzie, których dotknęła klęska powodzi, długo przywracali swoim domostwom normalne właściwości użytkowania. Ruszyła też pełną parą odbudowa mostów i głównego traktu prowadzącego przez miasteczko. Główną siłę roboczą stanowili Żydzi, kolumna których co dzień przemierzała odległość z rynku do Dniestru.

Zaraz po ustąpieniu wód, od władz miejskich otrzymaliśmy zgodę na zasiedlenie jednorodzinnego domku pożydowskiego, który do połowy zalany był wodą, przez co uległ częściowej dewastacji. Włożyliśmy dużo wysiłku w wysuszenie i doprowadzenie go do normalnego użytkowania. Pamiętam, że całymi dniami i nocami paliliśmy w kuchni, aby wysuszyć podłogę i ściany, które ciągle się pociły. Pracowaliśmy z mamą ochoczo, ponieważ dom nam bardzo odpowiadał, a szczególnie duża, ciepła i widna kuchnia. Wszystkie otwory miałe dodatkowe okiennice, a drzwi zabezpieczone okuciami i mocnymi zamkami. Dodatkowe pomieszczenie przeznaczone było na sklep wraz z jego zapleczem. Przy domu podwórko i ładny, zadbany ogród. Mieszkało nam się wygodnie i bezpiecznie, ale niedługo.

Chyba w marcu otrzymaliśmy nakaz przeprowadzić się do sąsiedniego domu, który również wymagał remontu i który pod każdym względem był gorszy od poprzedniego. Pokój duży, ale zimny i bez żadnych zabez-

pieczeń. Nawet drzwi wejściowe oszklone, zamykane na lichy zamek. Zaletą jego była przytulna i wyjątkowo ciepła kuchnia oraz duży ogród z przybudówką gospodarczą. Ponownie praca przy odnawianiu. Bielenie ścian, czyszczenie podłogi, malowanie okien i drzwi. Sprzątając mieszkanie w końcowej fazie mama ponownie otrzymała wiadomość, że mogą nas wyrzucić z mieszkania, ponieważ obok naszego domu w pięknej dużej willi mają zamieszkać Niemcy, rodzina gestapowca i dla ich bezpieczeństwa nasz dom będzie zajęty przez innych Niemców, pracujących przy odbudowie mostów. Byliśmy tą wiadomością załamani. Samodzielne mieszkanie w naszym położeniu dawało nam pewnego rodzaju poczucie wolności, a we własnym domu nawet głód nie dokucza tak dotkliwie.

Święta Bożego Narodzenia w 1941 roku były ponownie bardzo zimne i biedne, chociaż spędzone w lepszym nastroju, niż te, które przybijały nas przed rokiem na Syberii. Byliśmy jednak w Polsce, wśród swoich, mieliśmy gdzie mieszkać i nawet, jak na razie, nie cierpieliśmy głodu.

Pomimo, że drogi były nieprzejezdne z powodu dużych opadów śniegu i niskich temperatur – święta postanowiliśmy spędzić w Pużnikach, gdzie nie byliśmy od czasu odprowadzenia tam Izy z córką. Cieszyłem się z tej decyzji. W Pużnikach obiecano mi, że wezmą mnie „po kolędzie" z Turoniem w roli Żyda, o czym marzyłem już od dawna. Ciężka to była podróż. Jak zwykle zorganizowaliśmy wyprawę pieszo. Już po przejściu na lewy brzeg Dniestru miałem bardzo przykry wypadek „drogowy". Sroga zima była już utrwalona i wszelkie doły terenowe tworzyły zdradliwe zaspy śnieżne. Droga prowadząca od strony mostu biegła wysoką skarpą, na której było skrzyżowanie dróg. Na prawo dużym spadem trakt prowadził do Koropca, a lekkim łukiem w lewo do Monasterzysk. Dochodziłem do tego skrzyżowania, gdy od strony Monasterzysk ukazały się chłopskie sanie zaprzężone w parę koni galopem zbliżające się do skrzyżowania. Końmi powoził tęgi chłop odzianych w kożuch i wysoką baranią kuczmę. Konie z wielkim impetem skręciły w lewo, w stronę Koropca, zarzucając saniami w kierunku przepaści. Znalazłem się w tym momencie między prawym bokiem sań a nasypem śniegowym na skraju skarpy. Nie dane mi były możliwości ucieczki. Zostałem uderzony wystającym kabłąkiem sań tak mocno, że przekoziołkowałem pryzmę śniegową i z lawiną śniegu stoczyłem się do wąwozu. Na dole śnieg wchłoną mnie jak gąbka wchłania wodę. Pogrążony całkowicie w zaspach śniegu poczułem ból w lewym udzie i pośladku. Ze śniegu wygrzebałem się bez trudu, ale wydostanie się z tego miejsca było dla mnie istną Golgotą. Gruba warstwa śniegu na tak stromym zboczu – była wyjątkowo trudna do pokonania, tym bardziej, że

czułem ból w całej lewej nodze. Wielokrotnie spadłem z połowy skarpy z powrotem do wąwozu. Po godzinnym chyba wysiłku wydostałem się z tego wąwozu, ale siły moje były tak wyczerpane, że bez wypoczynku nie byłem już zdolny do dalszej podróży. Zmęczenie, szok i mokre od potu i śniegu odzienie – uniemożliwiły dalszą podróż. Dopiero po wypoczynku i wysuszeniu swojego ubrania w pobliskiej chacie chłopskiej, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Mama pomstując chłopa mówiła, że śmiech jego słyszała długo, gdy sanie się oddalały. Do babci, gdzie nas z niecierpliwością oczekiwano, dotarliśmy późnym wieczorem.

Podczs Kolacji wigilijnej wszyscy się popłakali, jedynie babcia bardzo trzeźwo i rzecowo przy życzeniach opłatkowych nakazała nam modlić się o rychłe zakończenie wojny i za szczęśliwy powrót Stefy z córką, Domy i Franka oraz wszystkich ludzi przebywających na obczyźnie. Kolacja, jak i całe Święta – była skromna. Do dwunastu potraw, jak bywało przed wojną, było w tej kolacji daleko. Mnie jednak sprawy kulinarne nie interesowały. Ze zniecierpliwieniem oczekiwałem pierwszego występu w zespole kolędniczym. Rolę swoją wyuczyłem i wyćwiczyłem przed lustrem, i chciałem jak najszybciej zaprezentować się przed „publiką". Ucharakteryzowano mnie na brodatego, garbatego Żyda. Mieliśmy pięknie wyrzeźbioną głowę kozy, z potężnymi dużymi rogami, z ruchomą dolną szczęką zakończoną długą brodą. Do głowy tej doczepiona skóra barania, która przykrywała Leszka, udającego kozę, czyli Turonia. W rolę Żyda, handlującego starociami, włożyłem wszystkie swoje umiejętności i pomysłowość. Musiałem wypaść dobrze, bo w latach następnych powierzono mi tę rolę bez zastrzeżeń. O północy wszyscy wzięliśmy udział w pasterce. Była to moja pierwsza pasterka w której uczestniczyłem. Wszystkie poprzednie przysypiałem. Pużniki słynęły w okolicach z pięknych pieśni kościelnych oraz świeckich, komponowanych na swój użytek i wykonywanych przez zorganizowane chóry. Przed wojną w Pużnikach miano swoją orkiestrę, kapelę, chóry, kółko teatralne, a w czasie wojny komponowano i śpiewano świeckie pieśni z reguły przepojone patriotyzmem i czynami bohaterskimi. W kościele również śpiewano wszystko to, co było zabronione. Na pasterce usłyszałem, w tym drewnianym, starym kościółku, cały repertuar kolęd polskich. Byłem zauroczony. W Niżniowie tak śpiewać nie potrafiono. Śpiewano tak pięknie, że słuchanie tych kolęd było dla mnie najwyższym uniesieniem patriotycznym.

Pużniki, jako zaścianek czysto polski, na tych terenach miał w czasie wojny swoje walory, których np. nie posiadał Niżniów, który był mieszanką narodowościową i wyznaniową oraz leżał na głównym trakcie

komunikacyjnym. Tu, w Pużnikach, gdzie jak powiadano, diabeł mówi dobranoc – Niemcy długo nie docierali, w każdym razie nie było ich na co dzień. Początkowo odstraszały ich błotniste drogi, a w okresie późniejszym – partyzanci różnych nacji i poglądów. W takich warunkach długo cieszono się w Pużnikach wolnością, a swoje poglądy i pragnienia wyrażono w piosence patriotycznej. Układany przez domorosłych poetów strofy do znanych melodii przepojone były miłością do ojczyzny, chęcią walki lub ośmieszaniem okupanta. Ludzie byli umuzykalnieni, mieli w sobie wiele humoru i potrafili też z tych dobrodziejstw korzystać. Śpiewano i recytowano wszystko, co polskie, co dawało poczucie więzi i nadzieję na wyzwolenie. Zawsze kiedy wracałem do Niżniowa, obowiązkowo musiałem drobiazgowo relacjonować cioci Julii wszystkie nowości w twórczości zaściankowej. Tak ją te wieści pasjonowały, że nie mogła ukryć wzruszenia. Ta nieukrywana polskość krzepiła jej ducha patriotki Polki. Dziś trudno jest to młodym zrozumieć.

Zima 1941/42 roku dopisała pod względem śniegu, mrozu i wspaniałą sanną. W domu nie miałem konkretnych obowiązków i gdy główne i uciążliwe prace przy oczyszczaniu z powodzi naszych mieszkań zostały wykonane, całe dnie miałem do własnej dyspozycji. Ponieważ do szkoły nie uczęszczałem, dużo czasu spędzałem z książką. Czytałem wszystko, do czego dostęp miałem. Każda książka była dla mnie dobra, nawet bajki czytałem. Kilka godzin tygodniowo zajmowałem się też handlem, który zimą jednak był bardzo utrudniony. Pozostały wolny czas poświęcałem całkowicie sportom i zabawom zimowym. Narty, sanki, łyżwy... Z chłopakami używaliśmy zabaw do woli, wymyślając przeróżne formy i sposoby zjazdów z naszych górek. Pamiętam, że miałem tylko jedną łyżwę, szczęśliwie prawą, i z konieczności doszedłem do takiej wprawy, że na jednej nodze uzbrojonej w łyżwę tzw. śniegową potrafiłem zjeżdżać trasą od Bukowiny, którą zwożono drewno i wywożono obornik, aż do targowicy, a była to odległość ponad cztery kilometry i ciągle z góry. Na sanki czteroosobowe „dosiadało" dziesięć osób dbając jedynie o wygody kierującego. To były niezapomniane chwile wyrwane z mrocznej niedoli wojennej. Pewnego pogodnego dnia razem z Pałacajnikiem wybraliśmy się na lód na Tłumaczyku, gdzie w 1945 r. zastrzelony zostanie mój kuzyn. W przeddzień naszego ślizgania się w przeręblu łowiono ryby. Przez noc górny otwór zdążył pokryć się cienką warstwą lodu, ale lód nie stwardniał na tyle, aby utrzymać większy ciężar. Mytro najechał na ten przymarznięty otwór i wpadł po pachy do przeręblа. Utopić się nie mógł, bo i woda była płytka, i otrzymał od chłopaków natychmiastową

pomoc. Mytro przeraził się, ponieważ zmoczył, wzięty bez wiedzy matki, jej odświętny, pięknie wyszywany kożuszek. Długo błąkaliśmy się obok domu bojąc się reakcji jego mamy, która znana była z surowości. Naradziliśmy się nad kłamstwem, które tłumacząc wypadek – złagodziłoby karę. Chyba nic nie wymyśliliśmy logicznego, bo Mytro dostał takie baty, że przez wiele dni leczył rany zadane twardym narzędziem tortur. Innym razem w czasie zjazdu sankami drogą od Górnej cerkwi wpadliśmy na kasztanowe drzewo i wszyscy, a było nas na sankach dziewięć osób, doznaliśmy uszkodzenia ciała łącznie ze złamaną jedną kończyną i zniszczeniem sanek. W następnym dniu kulejąc ponownie ciągnęliśmy sanki pod samą bramę cerkiewną, co było surowo zabronione, i zjeżdżając doznawaliśmy mocnych wrażeń. Dziś, gdy obserwuję dzieciaki podczas zimowych zabaw, widzę swoje pokolenie, które nie dysponowało takim sprzętem, jakimi dysponuje młodzież współczesna, ale mieliśmy więcej pomysłowości, odwagi i radości.

Przed ukraińskimi Świętami Bożego Narodzenia przygotowałem z dużym wysiłkiem „gwiazdę". Obręcz starego sita okleiłem kolorowym papierem, puste ściany przetłuszczonym, przeźroczystym papierem z uprzednio wykredkowaną gwiazdą betlejemską. Wewnątrz na kołowrotku umieściłem wycięte z tektury pasterza, osła i dwie owieczki. W centralnym miejscu kołowrotka umieszczona była świeca, którą zapalałem przez wycięty od mojej strony otwór. Przy zapalonej świecy i obracaniu kołowrotkiem umieszczone wewnątrz postacie rzucały cień, co w sumie dawało ładny efekt poruszających się postaci pasterza i zwierząt. Z gwiazdą tą w czasie Świąt poszedłem do domów ukraińskich z kolędą. Niektóre kolędy ukraińskie jeszcze do dziś potrafię zaśpiewać. Podczas takiego występu u jednego bogatego Ukraińca, od którego spodziewałem się godziwej zapłaty za kolędę, zapaliła mi się gwiazda, a że była mocno nasączona tłuszczem, paliła się jak pochodnia i wypadła mi z rąk. Od palącej się gwiazdy zapalił się snopek zboża stojący, ich zwyczajem świątecznym, w kącie izby. Groziło dużym pożarem. Ogień jednak szybko ugaszono, a mnie posądzono o świadomy zamiar podpalenia domu ukraińskiego. Dostałem od gospodarza mocne lanie i więcej kolędować do Ukraińców nie chodziłem.

Minęła ciężka zima i nagle nastało przedwiośnie 1942 roku. Już zimą odczuwaliśmy duży niedostatek, do domu często zaglądał głód. Mój przyuliczny handelek zimą był mizerny, mama nie miała stałego zajęcia, a jedynym źródłem utrzymania były jej usługi medyczne. Mama zdobyła dodatkowe kwalifikacje, leczyła chłopów z przeziębień i innych dolegli-

wości. Komplet baniek, kilka pijawek, butelka spirytusu do nacierania, trochę aspiryn i proszków od bólu głowy oraz dobre rady – niejednemu ulżyło w jego chorobie. Moim zadaniem było zdobywanie spirytusu i tabletek, mama umiejętnie to wykorzystała. Szczególnie sprawnie stawiała bańki. Po mamę do chorego najczęściej przyjeżdżano z okolicznych wiosek. Od pogromu Żydów lekarzy w miasteczku prawie nie było. Piszę – prawie nie było, bo lekarze niemieccy nie angażowali się w leczeniu cywilów, a Stasiak, jedyny lekarz Polak nie wyjeżdżał już poza Niżniów. Fama o umiejętnym stawianiu baniek przez mamę szybko rozeszła się po wioskach. Za te usługi mama zwykle dostawała od chłopów żywność. Czasami nawet przywoziła odrobinę mięsa. Często głodny czekałem z niecierpliwością na powrót mamy z takiej wyprawy do chorego.

Pamiętam, że kiedyś przyjechał chłop z sąsiedniej wioski i rano mama pojechała z nim do chorej jego córki. Na powrót mamy czekałem cały dzień. Dopiero późnym wieczorem usłyszałem dzwonki u sań zatrzymujących się przed naszym domem. Mama przywiozła, pamiętam jakby to było wczoraj, duży bochenek razowego chleba, kawałek solonej słoniny i kilka kurzych jaj. Zajadając jajecznicę z razowym chlebem słuchałem relacji z wyprawy. Dziewczyna w wieku 17 lat przeziębiła się i z chorobą chodziła kilka dni, aż straciła siły. Gdy mama zmierzyła jej gorączkę, aż się przestraszyła. Dziewczyna przy 42°C gorączki cały czas majaczyła. Mama bała się stawiać bańki przy tak wysokiej gorączce, dopiero gdy po aspirynie lekko gorączka spadła, mama postawiła bańki. Cały dzień spędziła przy chorej, bojąc się o jej zdrowie. Dlatego tak późno wróciła. Do chorej tej jeździła jeszcze dwa razy, a za uratowanie córki od niechybnej śmierci chłop sowicie mamę wynagrodził. Przez kilka dni byliśmy syci. Podobnych wyjazdów było wiele, ale żadnych mama nie przeżywała tak emocjonalnie, jak wyjazdów do tej dziewczyny. Cały czas myślami była przy chorej i ciągle mówiła, jak gorączka może obezwładnić i ciało, i świadomość człowieka.

Wraz z zbliżającą się wiosną zmniejszyła się liczba zachorowań i powiększyła się nasza nędza. Źródło dopływu żywności wysychało, aż wyschło całkowicie. Ta wiosna, obok drogi powrotnej z Syberii, była dla mnie najgłodniejszym i najpodlejszym okresem mego życia. Nawet sam pobyt na Syberii nie był tak głodowo uciążliwy, jak ta wiosna 1942 roku. Bywały dnie całkowicie postne. Były to długie dni, nieskończenie długie. Dopiero kiedy można było zerwać trochę pokrzyw i lebiody, nastąpiły lepsze czasy. Z tego mama przyrządzała smaczne posiłki. Często w tym czasie krążyłem obok niemieckiej kuchni polowej, którą obsługiwali rosyj-

scy dezerterzy i czasami udawało mi się uzbierać trochę obierek z ziemniaków. Obierki zmieszane z pokrzywą i lebiodą doskonale nadawały się na „kotlety" siekane lub na zwykłe placki.

Gdzieś pod koniec kwietnia mama zorganizowała wyprawę na dalekie Podole, do Drabika, dalekiego krewnego mojego ojca, który był administratorem w majątku zarządzanym przez Niemców. Po kilku dniach wróciła zmęczona z kilkoma kilogramami ziemniaków i woreczkiem mąki kukurydzianej. Te szczupłe racje żywnościowe wlały we mnie iskrę nadziei i chęć do działania. Wróciłem do handlu. Początkowo handlowałem sacharyną, kamyczkami do zapalniczek i bibułką do papierosów marki „Solali". Chociaż z tego handlu były pewne korzyści, to jednak nie starczało na zaspokojenie minimalnych potrzeb życiowych. Za te pieniądze nie mogłem wiele kupić. Żywność była bardzo droga, bo jej na rynku prawie nie było. Nie znalazłszy większych korzyści z handlu podwórkowego przyjąłem „posadę" pastucha.

Rok 1941 był na Pokuciu i Podolu wyjątkowo pechowy. W czerwcu część zasiewów i z sadzonek zniszczyły wycofujące się wojska radzieckie, natomiast jesienią w całym dorzeczu Dniestru powódź dokonała na polach zniszczeń całkowitych. Uratowane przed powodzią ziarno chłop zmuszony był utrzymać do zasiewów wiosennych. Wiele ziemniaków zakopcowanych na zimę woda rozmyła i z prądem zabrała w dół rzek. Były podstawy braku żywności. Głód panował nie tylko w miastach, wieś również doznała tej klęski.

Doświadczeni głodem, mając przed domem piękny ogród, już w kwietniu – nie bacząc na groźbę wysiedlenie z tego domu – zaczęliśmy przygotowywać się do jego uprawy. Postanowiliśmy wykorzystać każdy skrawek ziemi pod uprawę ziemniaków i fasoli tak, aby starczyło nam na zapasy zimowe. W tym celu, jak tylko pogoda pozwalała, systematycznie przygotowywałem ziemię do przyjęcia sadzonek. Skoro tylko śnieg zniknął z dróg i ścieżki obeschły, udałem się nad Dniestr, w łozy, po tyczki do fasoli. To zajęcie pamiętam szczególnie. Byłem wycieńczony głodem i osłabiony. Każda ciężka praca była dla mnie trudnym przedsięwzięciem, a ta praca była wyjątkowo ciężka. Wycinałem w gąszczu długie, proste pręty, wiązałem w oberemek i na plecach, właściwie na ramionach, znosiłem do domu pokonując ponad trzy kilometrową trasę. Po kilku dniach nanosiłem wystarczającą ilość tych tyczek, ale potem musiałem długo leczyć pęknięte pęcherze na dłoniach i ramionach. Nie pamiętam skąd mama zdobyła sadzonki. Pamiętam jedynie, że mieliśmy wyjątkowy urodzaj i cały zbiór przeznaczony był na zimę.

Wracam do pastucha. Po drugiej stronie ulicy mieszkali całym klanem Robaszczukowie. Rodzina liczna i bardzo dobrze sytuowana. Było tam, określając współczesnym językiem, całe osiedle jednej rodziny. Wszystkie domy murowane, kilkupiętrowe, z różnymi warsztatami i pomieszczeniami gospodarczymi. Jednego z tych domów właścicielami byli państwo Chirowscy, a pani Chirowska wywodziła się z Robaszczuków. Dom Chirowskich to przestrzenna willa, której piętro zajmowali Niemcy wykorzystując na rzecz wojskowej służby zdrowia, a cały parter zajmowali właściciele. W przybudówce, w której kiedyś urządzony był jakiś warsztat, Chirowscy w czasie wojny trzymali krowę. W rodzinie tej były chyba dwie małe dziewczynki i nie było komu zajmować się wypasem tej krowy. Otrzymałem propozycję zatrudnienia za wyżywienie. Przed podjęciem się tego obowiązku w gronie rodzinnym odbyła się dyskusja, czy też zajęcie pastucha będzie zajęciem odpowiednim dla mnie. Wszyscy odnosili się krytycznie do mojej zgody, ale nie z powodu mojej pracy pastucha, pracy jako takiej, tylko że codzienne kontakty z pastuchami mogą mnie wyedukować do ich poziomu, że wpadnę w złe towarzystwo, że nie będę miał czasu na zajmowanie się książką i braków syberyjskich nigdy nie odrobię. Negatywów widziano mnóstwo i tylko jeden pozytyw – nie będę głodny. Ten jedyny pozytyw przeważył w decyzji „za". Ponadto babcia rozstrzygnęła mówiąc, że złego kościół nie naprawi, a dobrego nawet diabeł nie zepsuje. I w ten sposób otrzymałem błogosławieństwo i wiele dobrych wskazówek na nową drogę mego żywota. Wynagrodzenie nie było wygórowane. Rano o godzinie $6^{\underline{00}}$, zaraz po udoju, dostawałem kubek ciepłego jeszcze mleka i kromkę razowca, natomiast na obiad i kolację mama raz w tygodniu dostawała różne produkty żywnościowe, jak ziemniaki, mąka, fasola, i potrawy przyrządzała sama. Całe lato i część jesieni miałem zapewniony trzykrotny posiłek każdego dnia i jeżeli pamięć mnie nie myli na zimę otrzymałem trzewiki. Z tego powodu miałem wiele satysfakcji i pewności dnia jutrzejszego. Jedynie mama ubolewała, że jej syn, któremu wraz z ojcem przewidywali perspektywy oszałamiającej kariery życiowej, został zwykłym pastuchem i to nie swojej krowy. Ciocia Jula zaś ubolewała, że moje towarzystwo, o nienajlepszej reputacji, będzie jej bratanka demoralizować. Ani mama, ani ciocia nie były usatysfakcjonowane moją pracą, chociaż przynosiła ona ewidentne korzyści. Innego jednak wyjścia nie było.

Rozpocząłem nowy, bardziej optymistyczny okres w moim życiu. Początki tego okresu najlepsze niestety nie były. Musiałem już na zawsze wyrzec się chłopięcej, beztroskiej wolności i dostosować do wymogów

podjętych zobowiązań. Nie mogłem dysponować swoim czasem według osobistych zachcianek. Dzień cały miałem rozpracowany i bez względu na pogodę przez cały tydzień miałem zajęcie w godzinach przedpołudniowych i popołudniowych. Najgorsze to codzienne ze świtem wstawanie. Ledwie słońce wzeszło, a ja musiałem już prowadzić tę krowinę na pastwisko na wzgórzach za Przewałem. Były tam świetne pastwiska i znakomite tereny do zabaw. Przez całe lato trawa na tych terenach zielona i soczysta. Krowy smacznie zgryzały wierzchołki trawy, a kozy na sąsiednich skałkach szukały czegoś twardszego, skubiąc zielone pędy krzewów i twarde badyle skalistej trawy. Dopiero po żniwach pędziliśmy bydło na ścierniska pól folwarcznych. My w tym czasie używaliśmy przeróżnych, czasem niebezpiecznych psot, zabaw i zawodów sportowych. Często też poświęcaliśmy czas na rozbrajaniu min i pocisków artyleryjskich – wspomnienie tego dopiero dziś powoduje przerażenie, na co byliśmy narażeni. Pomysłów na rozrywki nigdy nam nie brakowało. Każdy z pastuchów chciał mieć oryginalny pomysł na zabawę. Zabawy te jednak nie zwalniały nas z obowiązku pilnowania swoich zwierząt, a więc zawsze trzeba było mieć baczenie, co się dzieje na pastwisku. Razu pewnego zajęliśmy się swoimi sprawami do tego stopnia, że krowy moja i Staszka G. oddaliły się od stada i przez pół dnia szukaliśmy ich po okolicy. Odnalazły się w samym środku pola kukurydzianego, leżące i beztrosko przeżuwające to, co zjadły. Strachu się najadłem co niemiara.

W ten sposób znalazłem się w kręgu przeróżnych osobników trudniących się wypasaniem na gminnych pastwiskach trawożernych zwierząt należących do rodziny lub ludzi obcych. Byli to przeważnie chłopcy i dziewczyny narodowości ukraińskiej. Polskiej młodzieży było niewiele, między innymi Staszek Giełbutowicz i Janka Robaszczuk (zamordowana później przez nacjonalistów ukraińskich). Większość pastuchów znałem już z zimowych zabaw, innych z widzenia, a Staszka G. znałem od początku wojny, był on nadal moim idolem i dzięki niemu bardzo szybko zaaklimatyzowałam się w tym towarzystwie, ba, niektórych nawet zaliczyłem do swoich przyjaciół. Początkowo na pastwisko brałem ze sobą książkę do czytania, ale szybko zauważyłem, że takie zajęcie nie będzie podziwiane przez pastuchów. Oni nie pochwalą takich zainteresowań. Szczytnych dążeń i potrzeb kulturalnych chłopcy ci nie mieli. I aby uniknąć kpin i miana maminsynka, zarzuciłem tę praktykę i więcej na pastwisko książek nie zabierałem. Chociaż nie zatracałem poczucia odrębności, włączyłem się w ich towarzystwo i na czas przebywania na pastwisku stawałem się jednym z nich, przyjmując ich zwyczaje oraz ukształtowaną

i przyjętą hierarchię. Wszyscy tworzyli jednolitą grupę, jednoczyły nas wspólne zadania, co wytwarzało wśród nas duże poczucie solidarności. Zawsze wspólnie rozwiązywaliśmy swoje problemy, pomagając sobie wzajemnie, chociaż często były między nami nieporozumienia, a nawet bójki. Pamiętam taki przypadek, w którym wykazaliśmy wobec siebie solidarność, a nawet poświęcenie. W miejscu, gdzie Przewał łączył się z laskiem Robaszczuków i potężną tamą zbudowaną przed wojną, na prawo wąska ścieżka prowadziła do głębokiego wąwozu, który sprawiał wrażenie głębokiej studni. Wokół pionowe skały, a w górze skrawek nieba. Widok robił wrażenie. Często zrzucaliśmy do tej przepaści blaszane pojemniki zapełnione prochem artyleryjskim. Zapalony proch wyrzucał płomienie przez liczne otwory pojemnika, co dawało wspaniałe efekty wizualne, ale i było też bardzo niebezpieczne. W tym wąwozie prowadziła w górę wąska ścieżka zwana serpentyną, którą od czasu do czasu pokonywaliśmy wraz z bydłem pnąc się ostrożnie w górę, gdzie brały swój początek pastwiska. Pewnego dnia, w czasie wspinaczki, krowa moja będąc już w połowie drogi dostała napadu konwulsyjnej trzęsionki, która obaliła ją na tej wąskiej ścieżce. Zobaczyliśmy przerażający widok. Na skalistej ścianie miota się duże cielsko, co w każdej chwili grozi usunięciem się w dół na inne zwierzęta będące na niższych partiach. Mogłoby to wyrządzić duże szkody w bydle, a nawet i w ludziach. Ścieżka była tak wąska, że trudno było od razu wycofać bydło idące gęsiego. Wszyscy chłopcy narażając się momentalnie znaleźli się przy chorej krowie, zabezpieczając ją przed usunięciem się w przepaść. Trwało to dość długo, ale w końcu zwierzę się uspokoiło i przy naszej pomocy wstało na nogi i spokojnie karawana ruszyła dalej. Byliśmy zmęczeni i mocno przestraszeni tym wypadkiem. Szczególnie ja byłem przestraszony i długo nie potrafiłem opanować zdenerwowania. Dopiero po pewnym czasie, kiedy ochłonęliśmy, zdaliśmy sobie sprawę, że tarzająca się krowa mogła któregoś z nas przygnieść swoim cielskiem lub strącić w dół, na skalne głazy. Wspólne działanie nas wszystkich dało pożądany efekt i zapobiegło tragicznemu wypadkowi oraz było przestrogą na przyszłość.

Latem, kiedy z nieba spływał żar, pomimo że znaleźć można było zawsze trochę cienia – chciało się chociaż na chwilę wejść do wody. Marzyliśmy o kąpieli w Dniestrze lub Tłumaczyku. A lato było przepiękne. Z Cmentarnej mieliśmy doskonały wgląd na obie rzeki, co jeszcze bardziej podniecało nas i zachęcało do kąpieli. Wtedy albo losowaliśmy, lub graliśmy w karty i przegrywający pozostawali przy krowach, a wygrywający szli do rzeki w pierwszej turze. Ci, którzy oczekiwali na swoją kolej

w drugiej zmianie zwykle byli pokrzywdzeni, ponieważ limit czasu pierwsza zmiana nagminnie przekraczała. Dochodziło do awantur i ostrych przekleństw.

Razem z nami pasła swoje kozy Margidka, córka Husara, jedynego w miasteczku baptysty, który wiecznie grał na skrzypcach. Margidka była dobrze zbudowaną dziewczyną, z pełnymi już krągłościami, bardzo dziewczęca i wyjątkowo naiwna. Miała na nosku kilka piegów i lekko kaprawe oczy. Margidka robiła wszystko, aby tylko upodobnić się do chłopców i być przez nich akceptowana jako kumpel. Sama była inicjatorką „męskich zabaw". Za wszelką cenę chciała dorównać chłopakom. Grała w karty, w noża, paliła papierosy, łaziła po drzewach, a nawet rozbierała pociski artyleryjskie. Nie przerażał ją fakt, że grając z chłopakami w karty z góry wiadomo wszystkim było, że ona, w zależności od stawki – ma przegrać. Dżentelmenami wobec niej nie byliśmy. Najczęściej przygrywający zobowiązany był wykonać uciążliwe czynności np. nago odtańczyć taniec cygański, zjeść robaka, usługiwać zwycięzcom itp. Margidka nie przejmowała się, wszystkie zobowiązania podjęte przed grą wypełniała bardzo rzetelnie, a taniec cygański, przy muzyce na grzebieniu, wykonywała ze wszystkimi figurami z uśmiechem, obdarzając widzów widokiem swoich dziewczęcych wdzięków.

Drugą dziewczyną w naszym gronie była Janka Robaszczuk. Właściwie Janka nie była drugą, ona była pierwszą osobistością w naszych światku pastuchów. Dziewczyna wysoka, o mocnej budowie, dziś mogłaby osiągać dobre wyniki w pchnięciu kulą lub rzucać dyskiem. Piła, paliła, przeklinała i siała postrach w całym naszym towarzystwie. Była wojownicza i miała cechy dyktatorskie. W kartach oszukiwała, ale nikt z nas nie miał odwagi o tym głośno jej powiedzieć. W 1945 roku Ukraińcy ją razem z całą rodziną żywcem spalili w ich własnym domu.

Podczas pogody gorszej, kiedy było chłodniej, Janka organizowała zabawę w rodzinnym lasku. Zabawa polegała na tzw. „łapance", ale nie bieganiu po ziemi, a po drzewach, młodych grabczykach. Uciekających gonił wybrany z losowania. Ucieczka polegała na przeskokach z drzewa na drzewo. Młode drzewa nadawały się do nachyleń w stronę drugiego, sąsiedniego i rzecz polegała na tym, że uciekający i goniący musieli przy przechyle skakać z drzewa na drzewo. Małpie skoki i chwyty mieliśmy dobrze wytrenowane, ale były liczne przypadki, w których uciekający lub goniący spadał przy ogólnym śmiechu i drwinach. Kiedyś jeden z chłopaków spadł na wysuszony, ostry kikut złamanego drzewa. Upadek był tak niefortunny, że kikut ten rozpruł mu kawałek brzucha, a spadając

dodatkowo jeszcze dotkliwie się potłukł. Byliśmy wszyscy zestraszeni, zdenerwowani i bezradni. Rana wyglądała przerażająco. Kiedy ranny oprzytomniał z omdlenia, zaczął głośno jęczeć. Wymagał natychmiastowej opieki lekarskiej. Ponieważ w harcerstwie, na obozie letnim uczono nas udzielania pierwszej pomocy i bandażowania ran, razem z Janką zajęliśmy się przestraszonym i jęczącym nieszczęśnikiem. Widok tej rany przyprawiał mnie o mdłości. Wszyscy zaczęli zrywać ziele odkażające rany (to taka mała roślinka podobna do paproci). Sokiem tego ziela oblaliśmy ranę i owinęliśmy podartą jego koszulą zgrzebną. Rana po pewnym czasie przestała krwawić, ale chłopak dostał wysokiej gorączki. Myślę, że gorączka wystąpiła z powodu potwornego bólu, bo zakażenia rany nie było. Nie pamiętam, kto i jak dostarczył rannego do domu. Pamiętam natomiast, gdy po 2. tygodniach pojawił się na pastwisku, wszyscy oglądali z podziwem bliznę jeszcze gojącą się. Blizna grubości dziewczęcego warkocza przebiegała przez połowę brzucha.

Bywało też czasami, szczególnie jesienią, zimno i deszczowo, wtedy budowaliśmy szałasy, które chroniły nas przed deszczem, lub paliliśmy ognisko dla ogrzania się. Jesienią ognisko obowiązkowo z pieczonymi ziemniakami lub kukurydzą – oczywiście kradzionymi w chłopskich ogrodach.

W okresie tym przeszedłem wręcz monstrualną edukację chamstwa, seksu, bójek oraz sprytu w oszustwach i nad podziw szybko opanowałem plugawy język, jakim posługiwał się pastuch. To wszystko działo się na pastwisku i na ulicy, gdy przebywałem wśród tych chłopców. W domu i tam gdzie wymagano ode mnie dobrego wychowania byłem całkiem innym chłopcem. W wolnych chwilach dużo czytałem, regularnie chodziłem do kościoła, pilnie uczyłem się po łacinie ministrantury i następnie służyłem do mszy, a w oczach członków rodziny i znajomych uchodziłem za wyjątkowo grzecznego i uczynnego chłopca. Na pastwisku czasami, paląc papierosy – bo każdy z nas palił, a najwięcej kopciła śmierdzące skręty Janka – rozmawialiśmy o świeżych wydarzeniach polityczno-militarnych na świecie. Wtedy każdy z nas mądrzył się wypowiadając swoje opinie o wojnie, o sile poszczególnych armii, o przyszłości Ukraińców i Polaków, chociaż nikt z nas nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. W tych rozmowach zawsze odczuwałem potęgującą się nienawiść do Polski, do Polaków i optymistyczne oczekiwania na Samostijnu Ukrainu. Z rozmów tych, z wypowiedzi niektórych chłopców można było wywnioskować, że w domach ukraińskich często o tych sprawach się mówi, ba, były symptomy, że Ukraińcy już w tym czasie prowadzą szeroko zakrojoną „robotę" organizacyjną.

Pasałem bydło i bawiłem się z Ukraińcami. Znaliśmy się bardzo dobrze i niektórych uważałem nawet za przyjaciół. Nie było jeszcze wtedy między nami istotnych różnic i wrogości. Nawet jeżeli przebiegała między nami linia podziału – nie była to linia wyraźna i nie do nieprzekroczenia w jedną lub drugą stronę. Początkowo różniło nas wyznanie i sposób ubierania się, a dopiero później narodowość i odmienność patrzenia na problem naszego współżycia na tych terenach. Jeszcze głośno nie nawoływano „Chłopci pidemo na bij, pidemo za Ukrainu, za swobodu". Dopiero za rok rozpoczną się mordy, które apogeum osiągną zimą 1944/45 roku. Dziś możemy jeszcze bawić się razem i wspólnie opowiadać, co myślimy o tych sprawach.

Pewnego dnia, latem 1942 roku przeglądając książki w antykwariacie (tu też sprzedawano inne starocie) natknąłem się na broszurę w szarych okładkach o hodowli królików. Kupiłem tę książeczkę i natychmiast przeczytałem. Lektura była pouczająca. Dotychczas myślałem, że z królika można wyczesywać tylko delikatną wełnę. Angory pani Lityńskiej, gdy brałem na ręce, to puszysta skóra i koście, a w mojej broszurce mówi się o sporej ilości mięsa i pożytecznej skórce. Zacząłem rozmyślać nad hodowlą takich mięsnych królików. Wystąpił zasadniczy problem – gdzie? Przy naszym domu warunki były wyśmienite, gdyby klatki były zabezpieczone przed złodziejami. Podwórko bez kompletnego ogrodzenia, przy ruchliwej ulicy, każdy może bez ograniczenia wchodzić i wychodzić, ponadto, czy sąsiad gestapowiec zezwoli na taki eksperyment? Jak zwykle w trudnych sytuacjach udałem się po radę i pomoc do cioci Julii. I nie zawiodłem się. Po naradzie rodzinnej babcia Paulinka ostatecznie wyraziła zgodę na wydzielenie małego kąta na podwórku pod klatki dla moich królików. Wprawdzie babcia mięsa króliczego, jak i baraniny nie jadła, ale rozumiała potrzeby innych. Jeden warunek miał być spełniony, klatka i teren przyległy utrzymany ma być w idealnej czystości, bez zapachu odchodów króliczych. Oczywiście, bez znajomości rzeczy i głębszego zastanowienia przyrzekłem każdego dnia klatki czyścić i otoczenie klatek utrzymać w czystości (już po kilku dniach doszedłem jednak do wniosku, że codzienne czyszczenie klatek przekracza moje możliwości). Wspólnie ze stryjkiem Kazikiem zbiliśmy z desek dwie duże klatki, ułożyliśmy je z dala od domu i zabezpieczyliśmy przed wiatrami, deszczem i słońcem. Miejsce było wymarzone. Długo szukałem rasy, którą w broszurze zalecono. Dopiero po kilkunastu dniach udało mi się kupić od pewnego kolejarza dużą samicę rasy belgijskiej, a drugą, taką pospolitą, otrzymałem od stryjka, którą kupił na wsi. Rozpocząłem hodowlę zgodnie

z podręcznikiem. Jak już wspomniałem, jeszcze przed wojną widywałem króliki angory, jakie hodowała pani Lityńska. Były to białe, puszyste, o czerwonych oczach i bardzo delikatne zwierzęta. Wymagały wiele zabiegów pielęgnacyjnych, a jedynym pożytkiem była biała delikatna wełna. Często pomagałem w wypuszczaniu ich z klatek na trawę. Harcowały po całej łące nad Tumaczykiem.

Moja hodowla była inna, nie chodziło o wełnę, a o mięso i skórki. Już jesienią w klatkach miałem ponad 30 królików, a te rasy belgijskiej sięgały 7 kg wagi. Króliki hodowałem do końca wojny, a po wojnie przez pewien czas w Niemysłowicach miałem ich pełną komórkę. Króliki nie tylko dawały korzyści materialne w postaci mięsa i skórek, ale dawały mi wiele radości, szczególnie oseski, które obok psich i kocich szczeniąt są najpocieszniejsze.

Kiedyś do ogrodu babci zabłąkały się dwa małe zajączki, które bez większego wysiłku dały się złapać cioci Julii i stryjkowi Kazikowi. Zajączki te wpuściłem do klatki z królikami, a nuż dadzą się oswoić. Nigdy nie przypuszczałem, że tak łagodne zwierzęta, jakimi na pozór są króliki, mogą tak ostro zareagować na obecność innego gatunku. Następnego dnia w klatce zastałem pełno sierści zajęczej, a moje zajączki wyglądały jakby je ktoś świeżo ogolił. Biedne zwierzaczki z przerażenia i zimna trzęsły się jak galareta. Żal było patrzeć. Zajączki przez kilka dni nocą trzymałem w osobnym ciepłym pomieszczeniu, a w dzień wypuszczałem do sadu. Po kilku dniach skorzystały z wolności.

Stryjek tego lata kupił kozę, której mleko miało wzmacniać organizmy dzieci. Zbudowaliśmy murowaną, obszerną przybudówkę z prawej strony domu z przeznaczeniem dla kozy, a górną część dla moich królików. Ja podjąłem się zabierać kozę na pastwisko razem z krową. Było to wyjątkowo nieporęcznie. Kozy pasły się na skałach, a krowy po przeciwnej stronie wąwozu na wzniesieniu. Ponadto moja koza była postrachem wszystkich kobiet i dziewczyn. Nie wiadomo dlaczego widok kobiety wprowadzał ją w stan szczytowego zdenerwowania, nawet smaczne zielone gałęzie porzucała goniąc uciekającą. Miałem z nią wiele kłopotu i po kilku dniach uganiania się za kozą zacząłem ją wiązać na długim sznurku, zmieniając jedynie miejsce uwiązania. Dojenie kozy również należało do mnie, bo bestia na widok stryjenki tak reagowała, że nie mogłem utrzymać jej w bezruchu. Często przez swoje tańce wydojone mleko wylewała z naczynia. Gdy ją doiłem, koza stała przez cały czas bez ruchu. Kiedyś wyrwała mi się spod kontroli i pogoniła babinę z Korobca. Po godzinie przyszła do stryjka pokazać siniaki na pośladku i na nogach.

Czy dostała jakąś rekompensatę – nie pamiętam, ale pamiętam, że na ten temat wśród rodziny i znajomych krążyły przeróżne anegdoty i kawały.

Prócz tych zajęć, z których czerpaliśmy korzyści materialne, obowiązkiem moim było zabezpieczenie domu w opał i oświetlenie. W tym celu chodziłem z workiem na bocznice kolejowe po węgiel. Węgiel kupowałem za bimber u kolejarzy, oczywiście węgiel pochodzący z kradzieży, lub sam kradłem ze składu. Jeżeli na składzie węgla nie było, trzeba było nosić drzewo z lasu. Tego zajęcia nie lubiłem wyjątkowo. Z lasu przynosiłem suche gałęzie związane w oberemek, a czasami udawało mi się podwędzić coś grubszego, ale takie drzewo było pod nadzorem leśników i wymagało wielkiego ryzyka, a ja do odważnych nie należałem. Do lasu lub na kolej zwykle chodziłem pod wieczór po południowym wypasie. Pora ta wydawała mi się bezpieczna.

Kiedyś jesienią, a może był to koniec lata udałem się jak zwykle do lasu po chrust. Pod lasem natknąłem się na kilku pastuchów pasących na ściernisku krowy. Chłopcy zajęci byli ogniskiem, a jeden z nich wymachiwał pochodnią. Pochodnie robiliśmy z puszek po konserwach. Puszki takie dziurkowało się, zawieszało się na długim drucie, wsypywało dużo żaru z ogniska i machając utrzymywaliśmy cały czas ogień buchający przez te dziurki. Dawało to ładny efekt i jednocześnie w chłodne pory można było się ogrzać. Dokładając do puszki suchych gałązek utrzymywaliśmy „wieczny" ogień, a wieczorem, gdy nadchodziła pora opuszczania pastwiska rzucaliśmy tymi pochodniami w górę, co dawało ładny ognisty efekt. To były nasze sztuczne ognie.

Jeden z tych pastuchów, kiedy byłem już blisko, rozpoznał we mnie Polaka i jak gdyby dawno już to zaplanował, zaczął wykrzykiwać, że należy mnie napiętnować. Inny zawyrokował – niech nas pamięta przez całe życie. Kiedy zorientowałem się w ich zamiarach, byłem już w ich mocy, żadnej możliwości ucieczki. Złapali mnie za ręce, przywlekli do ogniska i obnażyli moje lewe przedramię. Do nagiego przedramienia przyłożono denkiem rozżarzoną pochodnię. Poczułem swąd palonego ciała, a następnie potworny ból i zemdlałem. Nie potrafię określić, co było bezpośrednią przyczyną omdlenia, strach i przerażenie przed zabiegiem, czy też sam ból spowodował utratę przytomności. Gdy się ocknąłem z omdlenia, nikogo już przy mnie nie było. Leżałem sam przy wygaszonym ognisku. Czułem ból całej lewej ręki i okropny szum w uszach. Byłem bezsilny i nie mogłem wstać. Rana wyglądała jak wieprzowa pieczeń na patelni. Przez pewien czas leżałem przerażony zastanawiając się, jak wrócić do domu. Byłem osłabiony, do domu daleko, wokół żywej duszy, a ręka coraz

bardziej bolejąca. Przemogłem jednak ból. Do domu wracałem z trudem obolały i zapłakany. Płakałem i z bólu, i z żalu, i z wściekłości. Kiedy już dowlokłem się do babci – poruszenie było duże nie tylko w rodzinie. Nawet sąsiedzi ukraińscy czyn ten nazwali barbarzyństwem.

Jeszcze tego wieczoru raną moją zajęła się, jak zwykle, siostra zakonna. Przy pierwszych oględzinach głośno wyraziła swoje obawy, czy kość nie ucierpiała, bo wypalenie było głębokie i rozległe. Po kilku dniach, kiedy strup trochę stwardniał na przedramieniu, po wewnętrznej stronie wyraźnie widać było uformowane już koło, jakby przerwane, niepełne. Początkowo nie mogłem poruszać palcami, ponieważ każdy mięsień przy wysiłku bardzo bolał i siostra biadoliła, czy też nerw nie naruszony i czy będę mógł swobodnie posługiwać dłonią. Na pocieszenie powiedziała mi, że jeżeli przy poruszaniu dłonią czuję ból, to jest duża nadzieja, że zginacze nadgarstka po zrośnięciu rany będą funkcjonować właściwie. Długo leczyłem tę ranę czekając na wypełnienie ubytków i na wyrównanie tej wstrętnej bruzdy. Teraz, po tylu latach, pozostała mi jeszcze blizna przypominająca barbarzyństwo tych czasów.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia 1942 roku, które zapragnąłem ponownie spędzić w Pużnikach. Jeszcze dziś zastanawiam się, co mnie tak przyciągało do Pużnik. Przecież w Pużnikach i zimą, i latem miałem gorsze warunki niż w Niżniowie pod każdym względem. A jednak ciągle tam zaglądałem. Zimą u babci Poterałowiczki w domu było tak zimno, że nawet pod pierzyną trudno się było ogrzać, chociaż w piecu palono cały dzień. Wyżywienie również było gorsze. Babci w czasie wojny żyło się mniej niż skromnie. Mnie jednak nic nie przestraszało, byłem zawsze chętny pokonać tę czasami nieprzyjemną, a nawet niebezpieczną drogę, aby święta lub jakiś chociaż czas spędzić w Pużnikach. Przyciągała mnie tu utrwalona tradycja i atmosfera życia tych ludzi. Tu się czuło czasy przedwojenne, oddychało się wolnością bez obawy, że ktoś podsłuchuje i donosi na gestapo. Odległość między Niżniowem a Pużnikami tak mała, a różnica życia – tak dużą, nawet sposób myślenia i interpretacji zachodzących zjawisk był różny. Ba, język którym posługiwano się na co dzień różnił się znacznie. Wiele przedmiotów nosiło różne nazwy. W tym roku w Pużnikach nie odnotowano jeszcze niebezpiecznych napadów, chociaż urzędnicy i policja ukraińska sporadycznie zjawiają się w Pużnikach, ale jak na razie wizyta ich ogranicza się do ściągania kontyngentu i do określania prac przymusowych na rzecz okupanta.

W tym czasie krążyło już coraz więcej wiadomości o Sikorskim, którego postać zaczęła wtedy być dla nas legendą. Z ust do ust przekazywano

o nim i o jego działalności różne wieści, prawdziwe i mniej prawdziwe, które podtrzymywały nas Polaków na duchu, dodając sił do zwiększonego oporu okupantowi. Rozwijały się grupy partyzantów o różnych zabarwienia ideowych i politycznych, ale mający wspólny cel – zwalczanie i osłabianie siły niemieckiej. W lasach pużnieckich takich leśnych ludzi ciągle przebywało, a że zaścianek był na odludziu – partyzanci często urządzali sobie w Pużnikach bazę wypoczynkową. Niemcy nie docierali w te strony, a policja ukraińska, jeżeli wizytowała, to z większą siłą przyjeżdżali.

Do Niżniowa wróciłem w końcu grudnia 1942 r. Ręka jeszcze nie w pełni sprawna, ale obaw już nie było, co do jej sprawności. W styczniu rozpocząłem ponownie handlować. Udało mi się zdobyć przez przypadek większą ilość nici kolorowych do wyszywania. Chodziłem po domach chłopskich i wyjątkowo szybko sprzedałem lub zamieniłem za żywność cały zapas. Pieniędzy utargowałem tyle, że mogłem zapłacić dostawcy za towar i kupić większą ilość kamyczków do zapalniczki. I tak powoli poszerzałem asortyment, ale cały czas handlowałem tylko w Niżniowie. Mama kategorycznie zabroniła mi opuszczać miasteczko i ja również po ostatnim incydencie bałem się samotnie wędrować po polach do najbliższych wiosek.

Mamy już 1943 rok, a ja skończyłam 11 lat. Ale moje 11 lat należy pomnożyć przez 2 lub nawet przez 3. W moim przypadku nie liczą się lata, liczy się doświadczenie życiowe. Gdy skończę 20 lat nie potrafię sobie tak radzić, jak w tym wieku – jedenastu lat.

Gdy śniegi stopniały ponownie, przyjąłem posadę pastucha. Tym razem zdecydowałem się nie z konieczności a z przywiązania do krowy i sympatii do pana Chirowskiego, który wynagrodził mnie hojnie za pracę w ub. roku. Jeszcze zimą czasami podrzucał nam coś z żywności. Niestety, długo nie pracowałem. Niemcy zabrali Chirowskiemu krowę w ramach kontyngentu. Nie pomogły prośby, interwencje. Pamiętam ten dzień. Posiadacze krów otrzymali nakaz zjawienia się z bydlęciem na placu targowym do rejestracji. Tam bydło segregowano – część do rzeźni polowych na front, część do pozostawienia na następny spęd. Krowa „nasza" została ostemplowana i zaliczona do tej pierwszej grupy. W domu Chirowskich była prawie rozpacz, a i mnie smutek i żal nie ominęły. Pozbawiony zostałem pracy i dobrej zapłaty, a i do zwierzęcia byłem uczuciowo przywiązany.

Mieszkaliśmy już wtedy u Rubaszczuków, ponieważ Niemcy nasz dom zajęli dla siebie. W nowym miejscu mieszkało się nam bardzo dobrze. Żal było jedynie ogrodu, który z takim wysiłkiem przygotowywałem do

uprawy i który w ubiegłym roku dał nam poważne zbiory. Nowe mieszkanie prezentowało się okazale. Usytuowane nad pocztą, z dużym balkonem, dwa przytulne pokoje i idealna cisza. Najciekawsze było wejście do tego mieszkania. Strome i kręte schody kryły w sobie coś tajemniczego, jak w starym zamku z duchami. Było to najładniejsze mieszkanie spośród wszystkich, jakie zajmowałem w swoim życiu. Niestety, tam również długo nie mieszkaliśmy. Niemcy budynek przeznaczyli dla swoich celów i wszystkim mieszkańcom, włącznie z właścicielką, nakazano się wyprowadzić w ciągu kilku dni. Mieliśmy i w tym przypadku szczęście. Zamieszkaliśmy w domu w Przewale, którego właścicielką była Maria Zimermanowa, mieszkająca już od pewnego czasu w Meketyńcach pod Stanisławowem. Tu mieszkaliśmy do końca naszego pobytu w Niżniowie. Dom był parterowy, ogrodzony drewnianym parkanem i z dużym podwórkiem. Po lewej stronie domu rosła, a może tylko już była, leciwa, rozłożysta jabłoń rodząca bardzo cierpkie jabłka, a po prawej duży, okrągły klomb z różnym kwieciem. Mieliśmy dwie duże izby, obszerną sień, a w górnej części długi strych. Dach dwustronnie spadzisty, kryty blachą. Dekoracją był mały ganeczek pośrodku domu. Dom posiadał dwa wejścia, w tym jedno nieczynne. Wejście przez ganeczek było na stałe zaryglowane. Do domu wchodziliśmy przez sień. Pierwsza izba była przejściowa. Za domem dużo miejsca na cele gospodarcze. Z prawa i z lewa, lekko wzniesione na skarpie gospodarstwa bogatych Ukraińców.

Nie mając już stałych obowiązków od momentu zabrania Chirowskiemu krowy, jeszcze bardziej rozwinąłem swoją działalność kupiecką. Teraz handlowałem czym się tylko dało, każdy towar miał zbyt. Do mojej spółki handlowej przyłączyła się ciocia Jula i we dwoje było nam raźniej, a ja nie musiałem przymierać strachem, gdy wyruszaliśmy za interesami do wiosek. Chodziliśmy po okolicznych wioskach sprzedając chłopom sita, nici, igły, kamyczki do zapalniczek, sacharynę, naftę, karbid, grzebienie a nawet starą odzież. Wymienialiśmy te dobra za jaja, słoninę, masło, tytoń, mąkę, fasolę, bimber. W obie strony nosiliśmy te towary na przemian, jak wielbłądy w karawanie. Szybko pojąłem, ile czego żądać za swój towar. Musiało się wszystko kalkulować. Handel wymienny to rzecz trudna. Handlowaliśmy do momentu, kiedy mama dostała pracę na folwarku. Zgromadziliśmy dużą ilość samogonu i tytoniu, i czekaliśmy na dogodną chwilę, aby towar dowieść do Stanisławowa i na bazarze sprzedać.

Kiedyś zdarzył się nam przykry wypadek. Wracając z wyjątkowo udanej wyprawy, mieliśmy dużo z wymiany produktów żywnościowych. Dwa

rubzaki wypchane mąką, tytoniem, fasolą, jedną bańkę bimbru i pełne wiaderko blaszane po marmoladzie jaj. W pewnym momencie rączka wiaderka nie wytrzymała i duża część jaj wysypała się na polną drogę. Wiele jaj wylatując z wiaderka potłukła się. Ciocia zbierając z kurzu te jeszcze nadające się do spożycia jaja płakała, że tyle wysiłku i strachu zamieniło się w takie straty. Rzeczywistość była okrutna.

Tymczasem w Niżniowie przeżyliśmy kilka wydarzeń godnych odnotowania. Do Niżniowa docierały przeróżne wieści odnośnie stosunku Ukraińców do Polaków. Wiedzieliśmy już o mordach popełnianych na Polakach na Wołyniu i na Podolu. Już nawet usiłowali Ukraińcy podpalać domy w Pużnikach. Polacy w Niżniowie na razie czują się bezpiecznie. Życie bez zakłóceń toczy się, jakby nas to nie tyczyło, a już nie wierzono w pogłoski, że nakazano ukraińskim patriotom, zrodzonych z mieszanych małżeństw, zabijać rodzica narodowości polskiej oraz rodzeństwo tej samej płci. Jeżeli matka jest Polką i ma też córki, to syn, którego ojciec jest Ukraińcem, powinien zamordować i matkę, i siostry. W takie nakazy nikt nie wierzył. A jednak.

Przełomem tego spokoju stał się mord rodziny Sabatów, pierwsza w Niżniowie zbrodnia Ukraińców, którą popełniono z wielkim sadyzmem. Sabat, znany w Niżniowie z przekonań komunistycznych jeszcze z czasów przedwojennych, dobry krawiec, był Ukraińcem ożeniony z Polką. Dziwiliśmy się, że Gestapo go nie wysłało do obozu koncentracyjnego za przekonania, jeżeli Polaków socjalistów już dawno aresztowano. Sabatowie mieli cztery córki i chociaż sami nie wytykali sobie przynależności narodowej, pomiędzy ich córkami nastąpił w czasie okupacji niemieckiej wyraźny, bardzo drastyczny podział. Wszyscy o tym wiedzieli, ponieważ dwie córki czujące się Ukrainkami obnosiły się z tym po całej okolicy. Jedna z nich, o proukraińskich ciągotkach, ochotniczo wyjechała do Niemiec do pracy. Sabatowie mieszkali w rynku, kilkanaście metrów od Gestapo i posterunku policji. Była pogodna, trochę chłodna noc. Jęki mordowanych słyszano aż w Przewale, ale w pobliskim Gestapo ponoć nikt nic nie słyszał. Rano czworo dorosłych ludzi, o zdeformowanych twarzach, leżało na chodniku przed domem. Widać było, jak musieli cierpieć. Część włosów wyrwane były z głów, a obnażone ciała od bicia były całe posiniaczone. Ludzie medytowali, że pod bokiem gestapo i ukraińskiej policji można było dokonać czegoś podobnego. Oprawcy męczyli swoje ofiary przez kilka godzin. Na oczach Sabata męczyli żonę i córki, a następnie zamęczyli jego. Miała to być nauczka dla tych, którzy sami tego nie dokonują na swoich bliskich. Dla Polaków, których ta zbrodnia

mocno poruszyła, był to sygnał, że Niżniów pomimo siedziby Gestapo i garnizonu niemieckiego, nie jest już miejscem bezpiecznym. Sabatów pochowano na cmentarzu ukraińskim we wspólnej mogile, a w pogrzebie udział wzięli licznie i Ukraińcy, i Polacy. Życie zachowała najmłodsza córka, czująca się Ukrainką. Pamiętam, że fama głosiła dwie wersje – jedna, że skryła się pod łóżko, druga, że darowano jej życie, ponieważ chciała być Ukrainką. Po pogrzebie zabrała ją siostra do Niemiec. Myślę, że trudno było jej żyć z obrazem mordowanych rodziców i sióstr, chociaż na pogrzebie nie widziałem rozpaczy na obliczu obu sióstr żyjących.

Te morderstwa odbiły się głośno w społeczności niżniowskiej. Niektórzy Polacy zaczęli wyjeżdżać do Stanisławowa lub do centralnej Polski, jeżeli było ich stać na taki wydatek. Wśród wyjeżdżających był stryjek Kazik, który z żoną i córkami wyjechał do Stanisławowa. Bał się Ukraińców, a znał ich, jak nikt inny z naszej rodziny. Od początku wojny nie pracował już na kolei. Dorywczo wykonywał różne prace, a najczęściej pracował u Stasiowa. Do handlu stryjek nie miał smykałki i uważał, że to zajęcie nie odpowiada jego pozycji społecznej, ale potrafił robić wszystko, co z techniką było związane. Stasiów, Ukrainiec, właściciel dużego domu z pięknym ogrodem usytuowanym w trójkącie rozchodzącej się ulicy Przewału, czyli Cmentarnej, prowadził jeszcze z przed wojny duży sklep z artykułami mieszanymi. Tenże sklep nie był w niczym podobny do sklepów żydowskich, których w Niżniowie był nadmiar. W sklepie Stasiowa była zawsze idealna czystość, towar był ułożony w/g przeznaczenia na półkach w licznych ukośnych schowkach i dużych szklanych słoikach. W sprzedaży zawsze miał dobrą czekoladę „Piasecki" oraz doskonałe, twarde „Kukułki". Prowadził też salę bilardową z bilardem tzw. twardym i grzybkowym. Często z chłopakami chodziliśmy do Stasiowa na bilard i lemoniadę. Stasiów miał też dużą młockarnię i silnik spalinowy. Maszyny te przerzucał ze wsi do wsi, młócąc chłopom, oczywiście bogatym, zboże. Kierownictwo tego interesu powierzył stryjkowi Kazikowi, który jednocześnie obsługiwał te maszyny. Stasiów ufał strajkowi, a przyjaźń ich zasługuje na uwagę, ponieważ bariera narodowościowa nigdy nie była przeszkodą w ich współpracy i częstych kontaktów rodzinnych. Stasiów dobrze stryjka wynagradzał, a stryjek pilnie doglądał jego interesów. Stryjek jeżdżąc po wsiach, które z reguły były ukraińskie, miał możność bliżej zapoznać się z ich mentalnością. Widział, jak szybko dojrzewało w ich świadomości dążenie do odwetu na Polakach. Dlatego strach go wygonił z Niżniowa, tym bardziej że Stasiów, mając za żonę Polkę, również zamierzał wyjechać z Niżniowa. Ostatecznie Stasiów po wojnie znalazł

się w Kanadzie i przez cały czas prowadził korespondencję ze stryjkiem. Jadzia, córka stryjka, była chrześniaczką żony Stasiowa. Ciekawy jestem, jak się zachował ich syn zwany Miziem. Mizio był zagorzałym ukraińskim nacjonalistą. Zawsze dawał tego dowody w dyskusjach potępiając ojca, że utrzymuje bliskie kontakty z Polakami, chociaż matka jego nie wyrzekła się swojej narodowości i do końca uczęszczała na nabożeństwa kościelne.

Innym ważnym wydarzeniem była eskapada głośnego partyzanta z Monasterzysk Niedźwieckiego. Niedźwiecki znany był w Pużnikach z czynnego oporu przeciw Niemcom. Organizował zasadzki, przenikał szeregi policji i był stałym zagrożeniem dla Niemców. Pewnego pięknego dnia do Niżniowa przyjechało bryczką zaprzężoną w dwa piękne konie dwóch gestapowców z woźnicą w mundurze żołnierza Wermachtu. Wizyta ich w budynku Gestapo może byłaby niezauważona, gdyby nie było zabitych żołnierzy. Ci wizytatorzy wracając przez most na Dniestrze „sprzątnęli" wartowników pilnujących mostu. Jednym z tych gestapowców był wspomniany Niedźwiecki. (w przebraniu) Po tym incydencie do Niżniowa wkroczył oddział SS. Wszystkie ulice obstawione posterunkami, a na placach ustawiono czołgi i samochody. Rozpoczęła się łapanka. Z ulicy zgarniali wszystkich, którzy wyszli rano z domów. Następnie chodzili po domach i zabierali z domów wszystkich mężczyzn bez wyjątku, Ukraińców i Polaków. Pamiętam, jak wpadli do naszego domu, a u nas w tym czasie przebywał Janek Szura, brat Zimermanowej. Mama widząc ich na podwórzu wepchnęła Janka za drzwi w drugim pokoju, a sama cofnęła się do pierwszego i zajęła się jakąś domową pracą. Niemcy stanęli w drzwiach i głośno łamaną polszczyzną zapytali, czy w domu jest „pan". Mama nie wykazując zmieszania ni strachu stwierdziła, że i owszem jest i pokazuje ręką na mnie. Oni spojrzeli w moim kierunku i śmiejąc się jeden z nich krzyknął „szajsen taki pan", i wyszli z domu nie sprawdzając drugiego pokoju. Janek, po ich wyjściu, długo był roztrzęsiony i blady, jak ściana wapienna. Ja natomiast byłem oburzony sposobem potraktowania mojej osoby.

W szkole przez całą noc trzymano wszystkich doprowadzonych. Po segregacji kilkadziesiąt osób zabrano i wywieziono z miasteczka. Po tygodniu zaczęły docierać wiadomości. Część z zabranych wysłano na przymusowe roboty do Niemiec, a część zatrzymano w obozach. A w ogóle, to szukano ponoć jakiejś osobistości podziemia. Skojarzono tę obławę z Niedźwieckim. Po tej łapance miasteczko jakby wyludniło się, ulice puste, nawet przez kilka dni plac targowy był pusty.

Gdy wszystko się unormowało, postanowiliśmy z ciocią wyjechać do Stanisławowa. Mieliśmy w bimbrze i tytoniu zbyt dużo zamrożonej gotówki. W Stanisławowie zatrzymaliśmy się u stryjka, który z rodziną czasowo zamieszkał w kamienicy przy ul. Sapieżyńskiej. Mieli jedynie jeden olbrzymi pokój na pierwszym piętrze. Towar przywieziony do Stanisławowa w wielkim strachu szybko został upłynniony, ale ciocia Jula ze względu na zmęczenie i stres poczuła się źle i musieliśmy się zatrzymać na dłużej. Postanowiłem poznać miasto, z którego wywieziono mnie przed trzema laty na Syberię i w którym na cmentarzu pochowany jest mój ojciec. Przez kilka dni włóczyłem się po nieznanych mi ulicach obcego miasta. Do domu wróciliśmy, gdy ciocia wypoczęła i zdobyliśmy za uzyskane pieniądze potrzebny towar do wymiany. Pamiętam, że oprócz towarów drobnych, jak kamyczki do zapalniczek i sacharyny zdobyliśmy pół worka włóczki w motkach DM i kilkanaście dużych kawałów szarego mydła. Ten towar starczył nam na długie tygodnie do wymiany na żywność.

Drugim mordem w Niżniowie była męczeńska śmierć stryjecznego brata mego ojca – Stanisława Szczupaczyńskiego s. Michała. Stanisław, spadkobierca i właściciel drugiej kuźni, mieszkał niedaleko Domu Polskiego, obok mostu przerzuconego przez głęboki parów, przy którym na wzniesieniu stała święta figurka. Głowię się teraz, co to była za figurka i niestety nie pamiętam. Na lewym brzegu tego rowu, na skarpie, przy głównej ulicy stała ładna willa. Pamiętam, że główne wejście przez obszerny taras prowadziło od ulicy, natomiast wejście tylne prowadziło przez strome schody. W dole skarpy zbudowana była duża dobrze prosperująca kuźnia. Stanisław z Niżniowa nie uciekał, jak uczynił Kazimierz, ponieważ czuł się w swoim domu bezpieczny. Jego dom był w pełni zabezpieczony przed napadem. Nawet młoty i łomy nie pomogłyby w pokonaniu wszystkich umocnień. Wszystkie okna ukryte za metalowymi okiennicami, podwójne drzwi metalowe zamykane od wewnątrz żelaznymi zasuwami, nawet komin zabezpieczony metalowymi kratami. A jednak. Banderowcy wiedzieli doskonale, że nie podołają w pokonaniu tej twierdzy, że napad w ich stylu nie powiedzie się. Stanisław miał czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów. Pewnego dnia z ulicy porwali jedną z córek i zażądali wymiany. Osoba seniora nęciła ich bardziej od młodej Polki i dlatego robili wszystko, aby go z tej kryjówki wydostać. Ratując życie córce sam oddał się w ich zbrodnicze ręce. Innego wyjścia nie widział. Córce grozili męczeńską śmiercią. Po kilku dniach córka wróciła do domu, a ciało ojca znaleziono w lesie przecięte na trzy części. Marian, starszy syn Sta-

nisława Szczupaczyńskiego wstąpił do Kościuszkowców i pod Berlinem w maju 1945 r. zmarł z odniesionych ran. Najmłodszych syn Stanisław, mój rówieśnik, zimą 1945 roku wrócił do Niżniowa po zapomnianą jakąś rzecz i przez swoich rówieśników, dawnych kolegów, został zastrzelony na zamarzniętym Tłumaczyku. Matka z córkami Wandą i Kazimierą wyjechały do Polski i zamieszkały w Trzebiatowie. Rodzony brat Stanisława – Franciszek zginął w Katyniu, trzeci z braci Piotr mieszkał od początku w Sanoku. O pozostałych z rodzeństwa Stanisława – żadnych wiadomości nie posiadam.

Zaraz po tym mordzie pozostali członkowie tej rodziny wyjechali do Stanisławowa. Razem z nimi chciałem również wyjechać z Niżniowa i nawet z bagażem przenocowałem w wagonie na bocznicy, czekając na podłączenie wynajętego wagonu towarowego do transportu. Jednak rano, po chłodnej nocy, nie pamiętam z jakich przyczyn, wróciłem ze swoim bagażem do domu.

Wracam pamięcią jeszcze do zimy. Zima była ciężka i długa. Śniegi po zimie zaczęły topnieć i drogi wyłożone były mazią śniegowo – błotną. Pewnego dnia, gdy chmury ołowiane zawisły tuż nad ziemią, Niemcy i zaangażowani Ukraińcy w popłochu opuścili Niżniów. Już od kilku dni docierały do nas wieści o dużej sile oddziału partyzantów działających za Dniestrem. Front był jeszcze daleko i niewtajemniczeni nie wiedzieli z jakich przyczyn miasteczko bez walki zostało opuszczone przez Niemców. Czyżby naprawdę partyzanci byli tak silni? Okazało się, że oddział, jaki dotarł do nas liczył może 50 partyzantów. Poruszenie w miasteczku było duże. Partyzanci opróżnili część niemieckich magazynów z żywnością i jak szybko przyjechali, tak jeszcze szybciej odjechali z pełnymi furmankami żywności. Niemcy nazajutrz powrócili i życie normą okupacyjną potoczyło się dalej.

Podobne wydarzenie jeszcze raz przeżyłem w sierpniu 43. roku. Dotarła do nas wiadomość, że w Pużnikach Niemcy rozwinęli rzeźnię polową, do której spędzają setki sztuk bydła rogatego, owiec i świń. Wiadomo, że przy takich placówkach zawsze kwitną różnego rodzaju szwindle. Nawet Niemcy nie byli tak solidni wobec swojej armii, kradli z magazynów mięso, podroby, skóry i wymieniali na inny towar, szczególnie na bimber. Poszedłem do Pużnik z bańką bimbru. Już od lasu zobaczyłam olbrzymie tereny ogrodowe zagrodzone, z mnóstwem bydła. Krowy wychudzone i potwornie brudne, widać dawno je nie karmiono. Dostawa była większa od możliwości przerobowej rzeźni. Zatrzymałem się u Leszka, ponieważ mieszkanie babci po przeciwnej stronie sieni

zajęli Niemcy na swoją kancelarię. Czasami rozrabialiśmy z Leszkiem, czym przeszkadzaliśmy w pracy pisarzom pracującym w kancelarii. Dnie były gorące, jak całe to lato 1943 roku, drzwi wszystkie otwarte, a więc każde głośne zachowanie słyszalne było w całym domu. W czasie takiej rozróby jeden z Niemców wpadł wściekły do izby Leszka i trochę mnie poturbował. Od tego momentu porozumiewaliśmy się szeptem.

W Pużnikach okazało się, że niepotrzebnie dźwigałem z Niżniowa bimber, tam bimbrownia była prawie w każdej rodzinie. Bimber pędzono w lasach na potęgę – ponieważ było duże zapotrzebowanie. Mięsa i wyrobów mięsnych wszyscy mieli pod dostatkiem, wszystko za bimber. Cały Kluków obwieszony skórami, stosy kości i olbrzymie doły z nieczystościami rzeźniczymi. Dawało to razem taki smród, że dopiero po kilku dniach nos mój mógł tolerować bez większego buntu.

Właśnie wtedy na ten mały garnizonik natarł swoimi oddziałami partyzanckimi Kowpak. W samych Pużnikach przez dwie, może trzy godziny było trochę zamieszania i dużo strzelaniny. Partyzanci szybko pokonali opór i poszli jak burza w kierunku Karpat. Większy opór Niemcy zorganizowali w lasach koropieckich, ale zatrzymać Kowpaka nie zdołali, tracąc kilku zabitych i wielu rannych. Na trzeci dzień po tej walce zaopatrzony w mięso wróciłem do Niżniowa. Po moim powrocie do domu dowiedziałem się, że Niemcy z policją ukraińską dokonali pacyfikacji górnej części Pużnik paląc kilka domów i aresztując kilku mężczyzn. Niemcy początkowo myśleli, że byli to AK-owcy. Dopiero po wyjaśnieniu nieporozumień – aresztowanych zwolniono, ale kilka domów dogorywało.

Po tych wydarzeniach niemiecki garnizon w Niżniowie został poważnie wzmocniony wojskiem. Żołnierzy rozkwaterowano w szkole oraz po prywatnych domach. Nam również dokwaterowano dwóch żołnierzy żandarmerii wojskowej. Rzadko przebywali w domu, ciągle byli na patrolu, a do kwatery przychodzili ogolić się i przez trzy, cztery godziny wypocząć. Nie byli dla nas przeszkodą. Odstraszali nieproszonych gości. Do Niżniowa ściągnięto działa przeciwlotnicze i rozlokowano w kilku miejscach. Samoloty radzieckie często nas nawiedzały – bombardując mosty. Były dnie, że nawet dwa, trzy naloty przeżywaliśmy i wtedy wszystkie działa grzały do samolotów w obronie mostów. Piękne widowisko, szczególnie nocą, kiedy po niebie przelatują liczne smugi reflektorów szukając samolotów przeciwnika, a z dołu leciały ogniste pociski rozrywające się w powietrzu. Nasz teren szczególnie nadawał się na tego rodzaju „pokazy". Imponujący efekt. Nawet groźne spadające odłamki z rozpryskujących się pocisków nie odstraszały nas przed obserwacją takiego widowiska. Najgroźniej-

szymi dla Niemców i mostów były samoloty wykonujące zadania bojowe w pojedynkę, tzw. kukuruźniki. Lotnicy na tych prostych, zdawałoby się prymitywnych maszynach potrafili lotem szybowcowym zaskakiwać Niemców o każdej porze doby. Często zza gór, nad mostami zjawiał się samotnie taki Kukuruźnik, wyrzucał cały swój ładunek i na pełnych obrotach silnika wracał na południowy-wschód wzdłuż Dniestru, tuż nad taflą wody. Działa nawet nie otwierały ognia, bo i po co? Jedynie gdzie niegdzie odzywały się pojedyncze, krótkie serie z broni maszynowej. Po takim nalocie, zwykle łapano przechodniów i zapędzano ich do usuwania skutków bombardowań. Były też częste walki powietrzne. Artyleria wtedy milczała, jedynie piloci zmagali się, kto kogo. Zjawiska te, pomimo że okrutnie bałem się, obserwowałem z wypiekami na policzkach. W czasie tych utarczek w powietrzu i strzelań z armat jedynie jeden samolot został strącony.

Będąc w Koropcu, jak zwykle w celach handlowych, po takiej strzelaninie nad Niżniowem widziałem jak samolot w drodze powrotnej lądował na niewielkiej płaskiej górce. Nigdy dotąd z bliska nie widziałem samolotu, więc nie mogłem nie skorzystać z takiej okazji. Porzuciłem towar zostawiając ciocię samą na ulicy, a sam poleciałem w kierunku „lądowiska". Pamiętam, że pod górę razem z innymi leciałem, jak burza, aby się tylko nie spóźnić. Pilot wylądował, ponieważ linka sterownicza została uszkodzona. Drutem powiązał co trzeba i jak cicho wylądował, tak cicho wzniósł się w powietrze odlatując w stronę Dniestru. Gdy policjanci ukraińscy dotarli na miejsce lądowania, samolot już był dla nich niewidoczny. Wracając z górki policjanci klęli siarczyście oskarżając się wzajemnie o guzdralstwo. Przyglądałem się z bliska i samolotowi, i pilotowi. Tylna część kabiny i jedno skrzydło dwupłatowca przeszyte były licznymi pociskami, a jedna z licznych dziur była wielkości pięści. Pilot nie zważał na te mankamenty. Jedynym zabiegiem przy samolocie było podwiązanie drutem stalowej linki. Dziś, gdybym tego nie widział, nie uwierzyłbym w podobne opowiadania. Kiedy wróciłem z tej eskapady, ciocia żartowała, że dla lada ciekawostki gotów jestem zostawić na pastwę złodziei cały swój majątek.

Po powrocie z Koropca w domu zastałem kartkę wydartą z zeszytu, na której mama napisała, że dostała pracę na folwarku i za kilka dni da mi znać, co mam dalej robić.

Ucieszyłem się tą pracą, bo chodzenie po wsiach już mnie trochę znużyło i zmęczyło. Zacząłem wałęsać się po zaułkach niżniowskich i trafiłem na stację kolejową. Przyszedłem bez konkretnego celu. Z placu

przed stacją zauważyłem, że na rampę wyładowują coś z wagonu, to coś okazało się być karbidem. Podszedłem nieśmiało do pracujących przy wyładunku i gapiłem się. Jeden z robotników zapytał mnie, czy nie wiem, kto chciałby kupić trochę tego, jak się wyraził, wapna. Wystarczyłoby trochę bimbru do płukania gardła. Zapytałem, czy nie żartuje. A on na to, że jeżeli obiecam przynieść butelkę bimbru, to mogę od razu dostać tyle karbidu, ile uniosę. Zgodziłem się na taką transakcję. Rozmówca mój podszedł do pozostałych dwóch, coś między sobą poszeptali, nasypali do worka sporą ilość karbidu, zarzucili mi na plecy i kazali szybko z nim zwiewać. Pouczyli mnie jednocześnie, że z bimbrem mam czekać na stacji, bo tu zaraz zjawi się nadzorca Niemiec. Trochę przecenili moje siły. Pod ciężarem tego worka nogi mi się uginały i do domu ledwo się dowlokłem. Wiedziałem jaką wartość przedstawia ten szaro-biały kamień i bimbru im nie żałowałem. W owych czasach przy braku nafty każdy szanujący się dom posiadał karbidówkę. Były to takie specjalne lampy, wykonywane ze sprzętu wojskowego, najczęściej z łusek artyleryjskich, które były hermetycznie uszczelniane, z karbidem i wodą wewnątrz. Z tego naczynia wyprowadzony był cienką rurką zakończoną palnikiem gaz wytwarzany w zbiorniku. Karbidówka dawała tak jasny płomień, że w zależności od wielkości palnika można było oświetlić każde pomieszczenie. Wadą było ulatnianie się – z braku szczelności pojemnika – szkodliwego gazu, jaskrawość światła i konieczność dopalania się lampy do końca za każdym ładowaniem. Ale pomimo tych negatywów takie oświetlenie było szeroko i powszechnie stosowane, dlatego zapotrzebowanie na karbid było duże. Ciocia Jula wymieniła na wiele produktów, ale wyjątkowo zapamiętałem woreczek rzepaku, z którego w olejarni wycisnąłem olej. Ten fakt utrwalił mi się, ponieważ cebula ze świeżym olejem była moim przysmakiem.

Po kilku dniach mama przysłała po mnie i po część garderoby furmankę folwarczną. Mama została zatrudniona na folwarku dzięki czyjejś protekcji. Miała rozległe obowiązki, była, jak babcia żartowała, restauratorem i hotelarzem jednocześnie. Odpowiadała za wyżywienie i czystość w całym dworku.

Na folwarku szarogęsili się Niemcy, a cały folwark produkował wyłącznie dla nich. Była to bardzo duża posiadłość. Rozległe lasy, łąki i pola orne. Wiele maszyn rolniczych. Prowadzono intensywną gospodarkę hodowlaną, a w gorzelni produkowano alkohole. Administracja folwarku polska – pod całkowitym nadzorem niemieckim. Głównym nadzorcą był Niemiec, oficer Wehrmachtu, nie pamiętam w jakim stopniu wojskowym. Do pomocy było kilku Niemców w cywilu i jeden Holen-

der noszący mundur ni to wojskowy, ni to partyjny. Wszyscy uzbrojeni. W administracji i dozorze technicznym pracowali sami Polacy. Wszyscy robotnicy i techniczni, i rolni przychodzili do pracy z pobliskich wiosek i z Niżniowa – sami Ukraińcy.

Zabudowania folwarczne rozmieszczone na dużym obszarze płaskiej wyżyny, daleko od miasta. Drogą, jadąc od kościoła, odległość wynosiła około 5 km. Zaś ścieżkami polnymi, przez Przewał o połowę krócej. Sam folwark położony w pięknym otoczeniu lasów i tajemniczych jezior. Z dwóch stron lasy i jary, a z pozostałych łąki i pola orne. Wszystkie zabudowania wraz z placami ogrodzone wysokim murem. Dwie metalowe bramy, artystycznie ozdobione, przecinały drogi prowadzące na teren folwarku. Zastanawiam się, czy też autorem i wykonawcą tych bram nie był mój dziadek. Brama główna przeznaczona dla lekkich pojazdów, zaś bramą boczną zwożono zbiory, wywożono alkohole i zwierzęta przeznaczone do uboju. Wieczorem wszystkie bramy zamykano i po terenie zamkniętym rozpoczynali pracę nocni stróże. Idąc od bramy głównej w kierunku dworku po stronie lewej stał dwupiętrowy budynek, w którym na parterze mieściła się siłownia i gorzelnia, zaś na piętrach pomieszczenia mieszkalne dla służby. Po stronie prawej w głębi stała bardzo długa, nowoczesna obora – mieszcząca ponad sto sztuk bydła rogatego, ponad pięćdziesiąt sztuk koni, a w dalszej części urządzona była chlewnia z setką świń. Na wprost bramy stał stary, parterowy dworek, witając gości w głównym wejściu podcieniami. Dworek zbudowano na pokaźnej skarpie chyba w 18. wieku, jako posiadłość Jabłonowskich. Dworek posiadał liczne pokoje gościnne, obszerną jadalnią, dużą kuchnię, liczne przegrody w piwnicach oraz strych nad całą budowlą. Dworek miał dwa wejścia. Główne prowadziło do niedużego holu, z którego liczne korytarze prowadziły do pokoi, oraz wejście boczne dla służby. Największą atrakcją dworku była jadalnia, w której chyba jedynie zachowały się meble z epoki, wszystkie dębowe, surowe w stylu i w nienaruszonym komplecie. Przez środek jadalni ustawiony był długi, z litego drzewa stół. Stół ten chyba montowany był bezpośrednio w jadalni, ponieważ wielkość jego nie pozwalała go do tego pomieszczenia wnieść bez rozbiórki. Po obu stronach stołu czterdzieści krzeseł z wysokimi oparciami. Pod jedną ze ścian stał duży kredens z licznymi szufladami, a naprzeciw między oknami stojący duży zegar napędzany odważnikami, którego godziny wydzwaniały kuranty. Wzdłuż sufitu zwisały trzy żyrandole o surowym wyglądzie. Na ścianach zwisały też stare obrazy o mało czytelnym wyglądzie. W owym czasie nie nachodziły mnie takie myśli, ale dziś zastanawiam się, jakim

cudem te meble zachowały się w jadalni po inwazji Armii Czerwonej. Prawdziwym kombinatem produkcyjnym w tym dworku była kuchnia. Tu różnego rodzaju szaf, szafeczek i innych drobiazgów kuchennych było bez liku. To duże pomieszczenie zapełniały swoją wielkością dwa stoły, jeden obity blachą. W rogu stał duży pień, który służył do rąbania mięs. Wielokrążkowa kuchnia wraz z piecem zajmowała połowę ściany. Kuchnia również wyposażona była bogato w różne narzędzia, garnki, brytfanki itp.

W kuchni mama miała do dyspozycji pięć hożych dziewczyn, wszystkie Ukrainki. Ponadto były też sprzątaczki i jeden drwal. Mama odpowiadała za żywienie i porządek w pomieszczeniach. Dysponowała kluczami do spiżarni i magazynu z pościelową bielizną, ręcznikami, obrusami. Pralnia folwarczna urządzona była w budynku gorzelni, gdzie „urzędowała" praczka, z którą ciągłe były kłopoty, ponieważ się upijała. Stan żywionych wahał się od 30 do 60 osób. Oprócz „domowników" do stołu często zasiadali goście przyjezdni. Na folwark ciągle ktoś przyjeżdżał z wyższych urzędów niemieckich. Ponadto główny nadzorca ciągle spraszał gości z Gestapo. Cicho szeptano, że bał się partyzantów i czuł się bezpieczny dopiero wtedy, gdy na folwarku było więcej osób z bronią.

Wymogi kulinarne nadzorcy były bardzo wysokie, który wprawdzie mówił niewiele, ale po obiedzie często wyrażał swoją opinię, chwaląc smaczny posiłek lub ganiąc, jeżeli mu coś nie smakowało. A potrafił być bardzo nieprzyjemny. Mama długo poznawała jego kulinarne upodobania. Pamiętam, że każdy posiłek musiał być kaloryczny, urozmaicony, a obiad obowiązkowo z dobrym deserem. Byłem na tym gospodarstwie jak na swoim, wszystko traktowałem poważnie i pomagałem w kuchni, w stajni przy koniach i nawet w gorzelni. Wszystko mnie ciekawiło i może dlatego chętnie doglądałem koni, powoziłem przy zwożeniu z pól, czyściłem beczki w gorzelni i nigdy się nie nudziłem. Zaprzyjaźniłem się szczególnie z jednym stajennym, który kochał konie i o każdym folwarcznym koniu potrafił coś ciekawego powiedzieć.

W budynku gorzelni na piętrze mieliśmy wydzielony pokój, w którym po pracy spędzaliśmy noc. Pamiętam, że do naszego pokoju musieliśmy przechodzić przez duży pokój, w którym mieszkały młode dziewczyny zatrudnione na folwarku. Wracając na odpoczynek często trafiałem na sceny z życia dziewczyn, które mnie podniecały i jednocześnie onieśmielały. Wiele też nocy mieliśmy nieprzespane, kiedy Niemcy urządzali z tymi dziewczynami libacje. Śpiewy, krzyki i piski towarzyszyły tym zabawom zawsze.

Na folwarku zamieszkałem na stałe, a do domu wracałem jedynie wtedy, gdy trzeba było cioci Juli dostarczyć coś z żywności. Tu na folwarku mieliśmy wszystko, co potrzebne było nam do życia, nawet światło elektryczne mieliśmy. Folwark zelektryfikowany był dużym agregatem, który z kolei napędzany był pasem transmisyjnym przez ropniak zainstalowany w gorzelni. Jak już wspomniałem, byłem jedyny w tym towarzystwie bez określonych obowiązków. Zwiedzałem folwark i otoczenie za ogrodzeniem, szczególnie sąsiednie jary. Było w nich coś tajemniczego. Najwięcej jednak czasu spędzałem w oborze przy koniach, które mnie zawsze fascynowały. Konie karmiłem, czyściłem, czyli szczotkowałem, a zimą dosiadałem na oklep po kolei, jak leci i dla ich zdrowia przeganiałem je po folwarku. Czasami wyjeżdżałem poza ogrodzenie i wtedy to były najwspanialsze wycieczki. Największe w tym względzie przyjemności spotkały mnie, kiedy folwark wyznaczony został przez Niemców na punkt zborny koni konfiskowanych uciekinierom ze wschodu. Do Niżniowa na stację kolejową kierowano całe kolumny zaprzęgów konnych jadących z głębi Rosji. Jechali nimi ludzie, najczęściej całe rodziny, którzy dobrowolnie lub pod przymusem niemieckim uciekali przed nacierającymi bolszewikami na zachód. Do Niżniowa dojeżdżali ze swoim dobytkiem i swoimi wozami – tu Niemcy konie z wozem rekwirowali, dając właścicielom urzędowe pokwitowanie, a samych uciekinierów transportem kolejowym wywożono dalej na zachód. Te właśnie konie wraz z zaprzęgiem spędzane były na folwark. Ponieważ brak było tylu fornali, aby bezkolizyjnie ściągnąć wszystkie zaprzęgi na folwark, brano również i mnie do tego zajęcia. Choć aura była zimowa i siarczysty mróz nie sprzyjał takim kuligom, chętnie konwojowałem te zaprzęgi ze stacji na folwark. Oczywiście większa przyjemność w powożeniu gdy trafiał mi się zaprzęg w sanie. Wtedy był prawdziwy kulig. Utrwaliły mi się sceny z przyjmowania koni od ich właścicieli. Niektórzy żegnali się ze swoim końmi jak żegna się z najbliższymi członkami rodziny. Prawie każdy prosił nas, konwojentów, o troskę i dobre traktowanie ich koników. Płacząc oddawali te konie, które im były tak użyteczne. Żal było patrzeć na te sceny, ale po wyjeździe ze stacyjnego placu opuszczał mnie zaraz ten smutek. Jazda saniami wpływała dodatnio i łagodziła te przykre momenty.

Takie czynności nigdy mnie nie męczyły i nie nudziły, potrafiłem dziennie nawet kilka kursów wykonać. Konie te po kilkudniowym wypoczynku i przeglądzie przez weterynarza zabierano i wywożono transportami kolejowymi w nieznanym mi kierunku. Wozy i sanie pozostały na folwarku do końca, zagracając wszystkie wolne miejsca.

Interesowałem się również gorzelnią i maszynownią. Urządzenia gorzelni i maszynowni były dla mnie cudem techniki. Podziwiałem, jak to możliwe, że jeden motor spalinowy potrafi licznymi pasami i łańcuchami transmisyjnymi poruszać tyle maszyn w gorzelni i dodatkowo maszynę zwaną agregatem. Kiedyś przypatrywałem się, jak jeden z robotników oliwił tryby maszyny, po których posuwał się gruby łańcuch i w pewnym momencie tryb chwycił koniec dużej olejarki i pociągną rękę robotnika. Był to moment. Nieszczęśnik nawet nie krzyczał. Padł na posadzkę, oblany krwią i oliwą. Stracił trzy palce prawej ręki. Innym razem pomagałem robotnikom mieszać zacier. W ostatniej fazie produkcji spirytusu robotnicy dużymi mieszaczami, podobnymi do wioseł, mieszali zacier w potężnych beczkach. W hali takich beczek było sześć i przy każdej zbudowany był pomost. Z tych pomostów wykonywano te czynności. Robotnicy pracując w gorzelni zawsze mieli większy dostęp do spirytusu i z tego dostępu często a niektórzy stale korzystali. Jeden z robotników mieszając zacier zanadto się nachylił, a że był już podpity, wpadł do zacieru. Długo go wyciągali. Gdy go wyciągnęli – już nie żył. Zacieru nie wylano, a denata wywieziono z folwarku bez rozgłosu. Nakazano mi bezwzględne milczenie. Zbiorniki z alkoholami były w części podziemnej. Do nich prowadziły metalowe schody, a pomieszczenie zamykane stalowymi drzwiami podobnymi do zamknięć kas pancernych. Pomimo takich zabezpieczeń nie wiadomo jakimi sposobami robotnicy ciągle wykradali najczęściej czysty spirytus na potrzeby własne i na handel. Niemcy nigdy złodzieja nie wykryli i nie wiem nawet, czy w ogóle o kradzieżach wiedzieli. W 1944 roku po ucieczce Niemców magazyny zostały doszczętnie zrabowane przez pracowników. Spirytus noszono wiadrami, jak wodę ze źródła. Moja mama również dwa wiadra czystego spirytusu przetransportowała do domu. Jak wróciłem ze Stanisławowa, to mama usprawiedliwiała się, że ten spirytus to jedyna zapłata za pracę na folwarku. Innej zapłaty nie otrzymała. Po wkroczeniu do Niżniowa Rosjan za te dobra można było kupić nawet broń.

W listopadzie ciocia Jula skorzystała z mojej pomocy w wyjeździe do Stanisławowa z towarem. Baliśmy się jechać pociągiem z powodu częstych rewizji, dlatego pojechaliśmy wynajętą furmanką. Znajomy Ukrainiec jeszcze tego samego dnia wrócił swoją furmanką do domu a my zostaliśmy na kilka dni u stryjka. Ciocia załatwiła sprawy handlowe, ja zaś ponownie poświęciłam czas na poznawanie miasta. Polubiłem to miasto i chodząc po ulicach przypominałem sobie niektóre miejsca jeszcze z okresu, gdy mieszkaliśmy u cioci Stefy. W czasie takiej włóczęgi byłem

świadkiem jeszcze jednego, małego epizodu drugiej wojny światowej. Do Stanisławowa, nie wiadomo jakimi drogami i w jakim celu, dotarły trzy lekkie czołgi radzieckie. Niemcy byli tak zaskoczeni, że przez pewien czas nawet nie reagowali. Front był przecież jeszcze daleko, ponad 100 kilometrów i już od dłuższego czasu ustabilizowany. Myślę, że dowództwo niemieckie nie bardzo wierzyło w obecność czołgów nieprzyjacielskich w mieście. Trzeba było dużo odwagi i sprytu, aby zdecydować się na taki rajd, ale trzeba było też i dużej głupoty, aby wjeżdżać do miasta, gdzie w ciasnych ulicach przy ograniczonych możliwościach manewru czołg nie ma żadnych możliwości powrotu. Przypadkowo znalazłem się w miejscu, gdzie Niemcy osaczyli te czołgi i nastąpiła krótka walka. W czasie pierwszych strzałów wpadłem do bramy jakiejś posesji i skryłem się pod kamienne schody w takim strachu, że cały dygotałem. Siedziałem skulony pod tymi schodami i czekałem prosząc Boga o przetrwanie. Nasłuchiwałem kiedy ucichną strzały. Gdy nastała cisza wylazłem z tej kryjówki i zobaczyłem na niedawno spokojnej ulicy pobojowisko. Jeden z czołgów już tylko dymił, a na jego pancerzu zwisały dwa zakrwawione ciała. Obok Niemcy z rusznicami przeciwpancernymi na kilku motocyklach. W sąsiednich kamienicach dużo pobitych szyb w oknach.

Przez kilka dni opowiadano o tym zdarzeniu, a opowiadania były tak krańcowo różne i tak kolorystyczne, że podziwiałem ludzką fantazję. Nigdy nie dowiedziałem się, czy czyn ten był świadomie podjęty przez czołgistów radzieckich, czy też był przypadkowym błądzeniem i gdzie podziały się pozostałe dwa czołgi. W domu przemilczałem swoją obecność w tym niebezpiecznym miejscu, bo po pierwsze, wstydziłam się swojego tchórzostwa, że nie obserwowałem bezpośrednio tej walki. Wtedy jeszcze nie zaliczyłem tego postępku (mojego) do rozsądnych, a do tchórzliwych. I po wtóre, gdyby ciocia wiedziała, że byłem tam w czasie tej utarczki, nie pozwoliłaby mi na takie wędrówki po mieście.

Przed świętami Bożego Narodzenia 1943 roku do Pużnik poszedłem sam. Mama nie mogła, musiała pracować i została na folwarku. Jesień tego roku była ciepła i długa, chyba do 20. grudnia, nawet ziemia jeszcze nie była zmarznięta, co o tej porze zawsze się zdarzało. Rok 1943 charakteryzował się dla nas Polaków wzrostem terroru niemieckiego wobec narodu polskiego oraz coraz liczniejszymi mordami popełnianymi przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach, które osiągnęły niespotykane dotychczas rozmiary. Często docierały do nas wieści z okolicznych wiosek o napadach, mordach i zniszczeniach. Polacy żyli w ciągłym strachu, bez pewności jutra. Nawet Niemcy na folwarku z bronią się nigdy nie rozsta-

wali, a nocą zamykali się na cztery spusty. Czasy były niepewne dla całych grup zorganizowanych, jak i pojedynczych osób. Idąc do Pużnik byłem cały czas podszyty strachem. Każdy napotkany człowiek był, w moim wyobrażeniu, banderowcem. Dopiero u babci odetchnąłem pozbywając się tak męczącego stresu.

Jak zwykle zaczęliśmy kompletować zespół do herodów i szykować stroje. W trakcie prac nad strojami okazało się, że braknie nam papieru kolorowego na ułańskie pasy. Ponieważ w Niżniowie miałem papieru i kleju pod dostatkiem, wraz z Bronkiem Działoszyńskim zwanym „Paką" wyruszyliśmy pewnego ranka do Niżniowa. Pamiętam, że w dniu tym pogoda była podobna bardziej do wiosennej niźli do zimowej. Było tak ciepło, że zachęcało do przechadzki boso po nagrzanych słońcem ścieżkach. Idąc przez lasy i pola opowiadaliśmy sobie różne opowieści tak, aby czas się nam nie dłużył. „Paka" był urodzonym kpiarzem i potrafił z dużym talentem i trafnie ośmieszyć każdego, kogo choć trochę poznał. Tuż po wyzwoleniu na Ziemiach Odzyskanych w Niemysłowicach wzięliśmy z kryjówki karabin wraz z nabojami i poszliśmy (Bronek, Leszek, Michał Kamiński i ja) na zające. Był marzec 1946 roku. Na polach błotnista maź, a Bronek swoim kpiarskim zwyczajem chwycił karabin i całkiem poważnie krzyknął do nas: padnij, bo strzelam! Spojrzeliśmy na niego z niedowierzaniem. Któryś z nas upomniał go, aby się nie wygłupiał. Bronek jednak całkiem serio rozdzierającym głosem ponowił swój rozkaz, ładując skierowany w naszą stronę karabin. Co mogliśmy robić, wszyscy padliśmy w to błotko. Wtedy usłyszeliśmy następną komendę: czołgać się. Wykonaliśmy i tę komendę. Kiedy już obrudzeni byliśmy całkowicie, Bronek śmiejąc się powiedział, że jesteśmy tchórzami bez poczucia humoru i na żartach się nie znamy. Zabraliśmy mu karabin i w tym samym żartobliwym tonie nakazaliśmy mu zdjąć portki i pasami odebraliśmy swój honor. Bronek przez tydzień nie wychodził z domu i nigdy o tym nie wspominał. Taki był ten „Paka".

Po krótkim odpoczynku wyruszyliśmy z papierem i klejem w drogę powrotną. Na Werpkę dotarliśmy w godzinach popołudniowych. Werpka, wieś z rzadką zabudową zamieszkana byłam w większości przez Ukraińców. Dochodziliśmy do lasu drogą prowadzącą do Pużnik, gdy zaczepili nas chłopcy, których przy drodze stała spora gromadka. Zaczęło się od słownego znieważania, a skończyło się bijatyką. Bójka skończyła się dla mnie i Bronka bardzo nie po myśli. Do domu wróciliśmy bardzo późno, już prawie nocą, pobici, z licznymi ranami i siniakami oraz bez papieru i kleju.

Była to nasza narodowa i religijna klęska. Po kilku dniach wprawdzie doszedłem do sił, ale niestety i tym razem z herodów nic nam nie wyszło.

Do Niżniowa wracałem w pełni zimy. Tuż przed Świętami spadł obfity śnieg i chwycił przyjemny mrozik. Do wiosny zima nie rozpieszczała nas i przez cały swój kalendarzowy okres była mroźna z dużą ilością śniegu. Po powrocie do domu w następnym dniu udałem się na folwark, ale już na nartach, które będą mi nie tylko rozgrzewką sportową.

Zapasy żywnościowe cioci Juli i babci Paulinki wyczerpały się i należało spiżarnię zapełnić. Mama, mając do dyspozycji tyle produktów żywnościowych od początku pracy na folwarku postanowiła, nie bacząc na ewentualne konsekwencje, pomagać cioci. Cała trudność polegała jedynie na wywiezieniu z folwarku. Główny nadzorca nie był usposobiony do żartów. Krążyła pogłoska, że w poprzednim majątku gdzieś na Podolu, w którym był administratorem, przez nieostrożne obchodzenie się z bronią zabił młodą Polką i z tego powodu wcale nie miał wyrzutów sumienia, ani też nie poniósł żadnej kary. Ta wiadomość dotarła do wszystkich pracowników i każdego, do kogo Niemiec się zbliżał, ogarniało przerażenie. Głównie już swoim wyglądem odbierał chęci do złej roboty i lenistwa, nie mówiąc o kradzieży. Nigdy nie wdawał się w zbędne rozmowy nawet ze swoimi rodakami. Z mamą rozmawiał krótko, wydając jedynie polecenia i ewentualnie wyrażając swoją ocenę, co do jakości potraw podawanych na stół. Mama od początku okupacji niemieckiej dużo czasu poświęcała nauce języka niemieckiego i gdy już była na folwarku, nie musiała korzystać z tłumacza. Tłumaczem był stary, wredny folksdojcz ze Stanisławowa spełniający rolę przekaźnika poleceń swojego szefa skierowanych do personelu. Pamiętam, że folksdojcz nie cieszył się sympatią Niemca, który wykorzystywał jego znajomość języków tylko wtedy, kiedy już musiał. W domu mieliśmy słownik polsko-niemiecki i często sam zaglądałem do niego poznając wiele potocznych słów. Kiedyś Główny wpadł do stajni bez tłumacza i usiłuje wydać polecenie parobkowi, aby mu przygotował konia wierzchowego do przejażdżki. Parobek stał jak wryty w ziemię i tempo patrzył na Niemca nie rozumiejąc o co chodzi. Byłem przy koniach i słuchałem tego monologu. Widziałem, jak w Niemcu dojrzewa wściekłość, że ten dureń nie rozumie. Podszedłem do parobka i przekazałem mu polecenie Głównego. Gdy osiodłany koń stanął na wybiegu przed Niemcem, ten poklepał mnie po ramieniu, pochwalił słowem „gut", wsiadł na konia i pojechał. Parobek był mi tak wdzięczny, że sam nie wiedział, czym się może zrewanżować. Szkoda, że po wojnie zaniechałem naukę

języka niemieckiego. Dopiero podjąłem ją w czasie studiów i wiele słów z tego okresu wracało do mnie jak bumerang.

Jak już wspomniałem, mama nie była obojętna na niedostatki cioci i jej dzieci. Teraz, gdy pola i górki pokryte zostały grubą warstwą śniegu, łatwiej było zjechać z góry na nartach z plecakiem na plecach. Dla większego bezpieczeństwa, przyzwyczajając do tego widoku otoczenie folwarczne, zacząłem kilka razy dziennie zakładać narty i niby to dla treningu, dla zabawy wyjeżdżać z folwarku i wracać z powrotem – przy czym zawsze na plecach miałem plecak. Do znudzenia biegając na nartach wewnątrz ogrodzenia lub za murami zawsze dbałem, aby pokazać się Niemcom. Chciałem ich przyzwyczajać do tego rytuału, aby nikogo nie dziwiły moje wypady poza folwark. Zjazd do Przewału był samą przyjemnością. Cały czas z góry i można było szybko pokonać ten dystans nawet z ciężkim plecakiem. Z folwarku zjeżdżałem zwykle, gdy się zaczynało ściemniać, a wracałem o świcie, aby nie było podejrzeń, że w ogóle wyjeżdżałem. W środku zimy nawet tego już nie przestrzegałem, wracałem o każdej porze. W ten sposób raz, dwa razy w tygodniu dostarczałem swoim bliskim to wszystko, co im do życia było niezbędne. Pewnego popołudnia rozszalała się śnieżyca, która stała się dla mnie dodatkowym sprzyjającym momentem do wypadu. Nie czekając na zmierzch wyruszyłem z wyładowanym plecakiem na plecach. Byłem już daleko za bramą, gdy nabierając rozpędu usłyszałem wołanie „halt" i za moment padł strzał. Zatrzymać się już nie mogłem. Wierzyłem, że w taką pogodę trudno celnie strzelać, a za mną nikt z Niemców nie odważy się gonić, nawet jeżeli siedzi na koniu. O tej porze bali się opuszczać folwark. Po przyjeździe do cioci i zdjęciu tego ciężaru zauważyliśmy w plecaku dziurę, a po wypakowaniu mięsiwa ciocia wyjęła z szynki świńskiej pocisk karabinowy. Dopiero teraz strach mnie obleciał i poczułem, jak zimny pot mnie oblewa. Przed oczami przelatywały mi straszne obrazy, jakie wydarzą się, gdy wrócę na folwark. Ciocia, gdy jej powiedziałem, co się wydarzyło, o mało nie zemdlała. Bałem się wracać, ale raniutko wyruszyłem z nowym plecakiem w drogę powrotną. Tam przecież pozostała mama. Jadąc pod górę nie czułem nawet zmęczenia, zajęty byłem myślami, co i jak się tłumaczyć, gdy wezmą mnie na spytki. Przygotowałem liczne odpowiedzi na pytania: Kiedy wyjechałem z folwarku, po co, kiedy wróciłem, dlaczego nie zatrzymałem się, czy słyszałem ostrzał itp. Jak potwornie wtedy się bałem. Niepotrzebnie. Żadnego dochodzenia, żadnych pytań, nawet o strzelaniu się nie mówiło. Być może strzału nikt nie słyszał, a strzelec się do tego „chybionego" strzału nie chciał

przyznać. Przez dziesięć dni pauzowałem, jeżdżąc na nartach jedynie po terenie folwarcznym. Po tej kwarantannie wszystko wróciło do normy, chociaż ciocia ciągle zakazywała przyjazdu. Mama o strzałach dowiedziała się dopiero po wyzwoleniu. Ciocia Jula przyznała, że każda moja wyprawa doprowadzała ją do ciężkich stresów.

Na folwarku jadałem zwykle w towarzystwie dziewczyn kuchennych, przy stole kuchennym, zaraz po skończonym posiłku w ogólnej jadalni. Kiedy bywałem w kuchni, widziałem jak dziewczyny między sobą wymieniały spojrzenia i bez końca chichotały, co mnie krępowało. Jedna z tych dziewczyn, o imieniu Marijka, nie podzielała tego śmiechu i nie uczestniczyła w tej mistycznej i tajemniczej zabawie. Sprawiała wrażenie, że jakby to ona była powodem tego parskania śmiechem swoich koleżanek. Marijka w mojej obecności była inna niż te pozostałe dziewczyny, nawet inaczej na mnie patrzyła. Jej wzrok był dyskretnie natrętny, zauważyłem, że była stale czujna i obserwowała mnie spod oka – co mnie bardzo onieśmielało. Emanowało od niej dużo kobiecego ciepła i życzliwości. Była to dziewczyna hoża, lat około dwudziestu, o blond długich warkoczach i czarnych oczach. Typowa Ukrainka. Zaplątała się w pamięci mojej i jak żywa tkwi do dziś. Holender, który często zaglądał do kuchni prosząc mamę o swój dodatkowy tatar, nigdy nie był obojętny wobec Marijki. Zawsze klepnął, uszczypnął, pogłaskał po twarzy lub oburącz przycisnął ją do siebie. Z tego powodu w kuchni słychać było piski i chichoty dziewczęce, a Marijka pąsowiała i uciekając od Holendra, notabene bardzo sympatycznego młodego człowieka, zawsze spuszczała oczy. Patrzyłem na te zaloty Holendra i zazdrościłem mu odwagi i śmiałości, bo chociaż Marijka traktowała mnie zawsze przyjaźnie, a nawet uprzejmie, jak dorosłego, i zwracała się do mnie z wyczuwalną słodyczą – ja nie miałem odwagi nawet spojrzeć jej w oczy, a cóż dopiero uścisnąć, podobnie jak czynił to Holender. Ograniczałem się jedynie do marzeń o jej uścisku. Często zwracała się do mnie o pomoc w posługach kuchennych, co chętnie spełniałem, szczególnie jeżeli mieliśmy jakąś pracę wykonać wspólnie. Jej zabiegi o moją pomoc wyraźnie były zawsze delikatne i czułe, a jej bezpośredniość powodowały, że szybko się oswoiłem, pozbywając się nieśmiałości. Zacząłem coraz częściej przesiadywać w kuchni. Pewnego popołudnia, wracając ze stajni, przed wejściem do kuchni spotkałem Marijkę z dużym koszem w ręku. Jak zwykle grzecznie poprosiła mnie o pomoc w przyniesieniu ze stodoły buraków i marchwi do jutrzejszego obiadu. Stodoła oddalona była o 400 m i kosz pełen jarzyn przydźwigać do kuchni było dość kłopotliwe dla pojedynczej osoby, dlatego bez żadnego zdziwienia

uważałem, że pomoc jej się należy, w dwójkę wygodniej. Idąc do stodoły Marijka, aczkolwiek bardzo nieśmiało, cały czas prawiła mi komplementy, że obserwuje mnie już od dłuższego czasu i że widzi, jak zmężniałem, że jestem już dojrzałym chłopcem, że niby jestem dla niej taki dobry, że mam taką delikatną cerę i temu podobne fredrowskie banialuki, które mnie faktycznie wprawiły w dumę i w zakłopotanie jednocześnie. Wprawdzie nie miałem jeszcze czternastu lat, ale życiowe doświadczenia wojennego okresu dawały mnie tych lat o wiele więcej, a sprawy damsko-męskie od dawna nie były mi całkiem obce. Uświadomienie zdobyłem od pastuchów, a różnicę płci w praktyce pokazała mi Margitka. Gdy znaleźliśmy się przed stodołą, z dala od ludzi, Marijka wzięła mnie za rękę i mocno pociągnęła ją do swojej bujnej i jędrnej piersi. Ubrana była w kolorową spódnicę, zgrzebną koszulę, a na wierzchu miała kaftan bez rękawów, obszyty baranim kożuszkiem i niedopinający się u góry z powodu obfitego biustu. Byłem podniecony i ciekawy dalszych wydarzeń. Policzki pomimo chłodu, okrutnie mnie paliły. Weszliśmy do stodoły, Marijka świadoma swoich dążeń zamknęła za nami wrota. W stodole, która była olbrzymią budowlą podzieloną na kilka sektorów – panował półmrok i pachniało sianem. Ponownie poczułem swoją rękę w jej gorącej dłoni i delikatne, ale stanowcze pociągnięcie w stronę, gdzie jeszcze jesienią zwalaliśmy z parobkami ostatni pokos siana. Serce biło mi mocno, a nogi z przerażenia i emocji drżały, jak liście na wietrze. Marijka odnalazła ukryty zakątek wygrzebany w sianie, jakby już uprzednio przygotowany, i… w sposób zgoła nieoczekiwany, zdecydowanie pociągnęła mnie za sobą. Dopiero tam, w ukryciu, zaczęła mnie uspakajać, gładząc po głowie i całując po policzkach. Czułem jej bliskość i gorący oddech na swoim ciele, ale nawet mi na myśl nie przyszło, że mogę ją również całować i dotykać. W pewnym momencie Marijka widząc, że przez cały ten czas jestem drętwy i drżący, włożyła moją rękę za swoją szeroko rozpiętą koszulę, na krągłą, dużą i gorącą pierś. Pierwszy raz w swoim życiu w takiej sytuacji dotknąłem prawdziwej i nagiej piersi dziewczęcej. To było dla mnie niesamowite przeżycie. Owszem, nie jedna okazja była, ale te, które dotykałem u dziewczyn w czasie kąpieli w Tłumaczyku, czy też w trakcie różnych figlarnych zabaw, zawsze były malutkie i rzadko nagie, a te masaże w bani na Syberii też nie były tym samym, co dziś. Czułości i delikatność Marijki ośmieliła mnie nieco, przytulałem się coraz mocniej, ale jej to nie wystarczało. Błyskawicznie zdjęła z siebie całe odzienie i zaczęła powoli mnie rozbierać, jak małe dziecko do kąpieli. Gdy objęła mnie, przyciskając do swojego gorącego, nagiego ciała czułem,

jak przenika to ciepło, aż do mojego wnętrza. Ponownie zaczęła mnie całować i jednocześnie przerywanie szeptać, że uczyni mnie prawdziwym, jak się wyraziła, chłopem, tylko muszę jej słuchać i robić wszystko, o co poprosi, bez lęku i zastanowienia. Pochyliła się całem ciałem nade mną, w nozdrza uderzył mnie oszałamiający zapach ciała młodej kobiety. Nie wiem, jak i kiedy zaczęliśmy całować się wzajemnie. Poczułem w ustach jej język, na wargach jej mięsiste i gorące wargi, a na swojej klatce piersiowej przyjemny i delikatny dotyk jej piersi. Marijka w bliskości rozkwitała, a wspaniałe jej ciało było gorące, a oczy płonęły, jak rozżarzone węgle – mnie zaś brała bezbożna pokusa. Marijka tchnęła drapieżną zmysłowością. Ciężko dysząc zapytała, co czuję. Wyjąknąłem nieśmiało, że mi się w głowie kręci. Powiedziała, że to z rozkoszy, że takie chwile są najpiękniejszymi w życiu i że jej też wszystko wokół wiruje. Tedy zręcznym ruchem wcisnęła się pod spód, a właściwie to mnie jak manekina wrzuciła na swoje ciało, obejmując i ramionami, i nogami, wprowadzając mnie jednocześnie do delikatnego i gorącego miejsca. Byłem w niej i czułem się jak w klatce i było mi dobrze i błogo. Zabiegi i aktywność Marijki nie miały końca. W pewnym momencie wtopiła swoje nad wyraz mocne palce w moje plecy, ścisnęła moje biodra swoimi udami i wydała głośny i niekontrolowany ni to jęk, ni to pisk. Osłupiałem z przerażenia i na krótko przypatrywałem się w półmroku grymasowi jej twarzy. Długo zastanawiałem się, co mogło być przyczyną tego grymasu i jęku. Marijka nie zwracając większej uwagi na moje zdziwienie, nieznacznie się uśmiechnęła przyciskając moje bezwolne ciało do swoich jędrnych piersi, zakończonymi ostrymi brodawkami. Po chwili uaktywniła się od nowa traktując mnie jak zabawkę, a ja nie oponowałem poddając się jej dotykowi, ruchom, gestom i dotykając ją wszędzie tam, dokąd prowadziła moją rękę. To ją jeszcze bardziej uaktywniło i jeszcze z większą zapalczywością obcałowywała moje zmęczone już członki. Kiedy wreszcie zaspokoiliśmy swoje żądze, ciągle jeszcze leżałem przytulony do czułego ciepła jej piersi, nie wiedząc, czy mam wstać, czy nadal korzystać z jej gościnnego ciepła. Jak wyszliśmy z tej stodoły, ze wstydu i wstrętu nie mogłem na nią patrzeć. Moje doznania wyniesione z tego kontaktu cielesnego były bardzo zróżnicowane i początkowo zabijały moją sympatię do Marijki. Szedłem trzymając jedną ręką ucho kosza pełnego jarzyn z głową mocno spuszczoną, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie odzywaliśmy się do siebie. Ach, cóż to była za okropna chwila.

Do kuchni już nie wchodziłem. Nie wyobrażałem sobie, jak spojrzeć w oczy mojej mamie, czułem, że z mej twarzy wyczyta, co między nami

zaszło. Postanowiłem jeszcze tego popołudnia opuścić folwark, zostawiając mamie wiadomość, że przez kilka dni będę w Przewale. Idąc do domu cały czas myślałem o spowiedzi. Byłem głęboko wierzącym, a spowiedź u katolika zawsze jest aktem skruchy, ale aby tej skruchy doznać, należy księdzu wyznać swój wstrętny grzech i najgorsze, jak to zrobić, jakimi słowami powiedzieć to wyznanie. Myślałem jednocześnie, że jeśli ma to być miłość, o której już tyle słyszałem i o której tyle czytałem w powieściach, to ona chyba nie istnieje, bo moje doświadczenie ogranicza się do bólu fizycznego i smaku grzechu, ale zaraz przed oczami jawiła mi się Marijki twarz, jej rozwichrzone włosy i wreszcie jej krągłe, duże piersi. Czułem nadal jej gorące usta i delikatny dotyk rąk. Te sprzeczne myśli towarzyszyły mi do samego domu. W domu napaliłem w piecu i poszedłem spać. Sen w moim życiu „rozwiązał" mi wiele trudnych problemów. Ten sen przytępił ostrość widzenia moich występków. Dopiero po tygodniowej kuracji ciała i ducha wróciłem na folwark. Byłem już innym człowiekiem. Doznania z dziewczyną zmieniły mnie bardzo, nawet inaczej już patrzyłem na Marijke, która przywitała mnie spontanicznie z iskierką w oku. Mój sposób patrzenia na świat był inny, zacząłem inaczej oceniać ludzkie postępowania, następowała powolna zmiana kryteriów ocen. Zdobyłem jeszcze jedno życiowe doświadczenie. Po raz pierwszy poczułem ciepło i zapach kobiecego ciała, delikatnych dotyków dziewczęcych rąk. Pierwszy raz doświadczyłem czegoś, co było bólem i rozkoszą jednocześnie. Tego wszystkiego nigdy nie zapomnę, tego zapomnieć nie sposób.

Zbliżała się wiosna i jak zwykle w tym klimacie gwałtownie topniały śniegi, a rzeki kruszyły lód i zalewały okoliczne łąki i pola. Docierające wieści z frontu były dla nas bardzo optymistyczne. Wiadomo już było, że wojska radzieckie na południu przekroczyły Dniestr i nacierają w kierunku Rumunii. Z tym wiązaliśmy rychłe wyzwolenie.

Niestety, sytuacja na Wołyniu, Podolu i Pokuciu nie była dla nas dobra. Od jesieni nasilały się mordy i napady na wsi i osiedla zamieszkałe przez Polaków. Niemców również nie oszczędzano. Polscy partyzanci na naszym terenie nie wydając Niemcom większych bitew byli częstym zagrożeniem pojedynczych żołnierzy lub małych grup. Atakowano na posterunki, magazyny i pojedyncze samochody. Sytuacja ta miała silne oddziaływanie na Niemców na folwarku. Żyli w ciągłym strachu, a z bronią nie rozstawali się nawet w czasie posiłków. Wyglądało to komicznie. W jadalni z pięknymi starymi meblami stołownicy wieszali na krzesłach swoje karabiny, a na stole układali granaty. Chyba na początku marca załoga folwarku wzmocniona została dodatkowymi

żołnierzami i od tego momentu patrole chodziły po terenie folwarku przez całe noce. Teraz moje wyjazdy z pełnym rubzakiem były wyjątkowo niebezpieczne.

Tuż przed Świętami Wielkanocnymi ciocia Jula postanowiła opuścić Niżniów na stałe. Tu zaczynało być niebezpiecznie dla każdego Polaka. Pomogłem w pakowaniu rzeczy niezbędnych i razem wyjechaliśmy do Stanisławowa. Mama pozostała na folwarku, a ja miałem wrócić, gdy tylko ciocia się urządzi. Chwilowo zatrzymaliśmy się u stryjka Kazika. Stryjek w tym czasie mieszkał już na Górce przy spokojnej ulicy, jeżeli dobrze pamiętam ulica nosiła nazwę Górskiego. Stryjek wynajął mały domek, którego właściciel wyjechał do centralnej Polski. Domek, jak inne domki przy tej ulicy ogrodzony siatką, posiadał przyległy ładny ogród z kilkoma drzewami owocowymi, duże podwórko i dobrze rozbudowane zaplecze z licznymi pomieszczeniami na opał i różny sprzęt gospodarczy. Domek był ładny i wygodny, ale dla jednej rodziny, a nas w tym domku w tym czasie gnieździło się aż 13 osób. Stryjek Kazik z żoną Marysią i z córkami Krystyną i Jadwigą, babcia Paulinka, ciocia Jula z dziećmi Nusiem i Józiem, rodzice stryjenki z najmłodszą córką Zosią, moją rówieśnicą, sąsiad z Niżniowa Olejnik i ja. Początkowo miałem wrócić do domu zaraz po wynajęciu mieszkania dla cioci, ale gdy przyjechaliśmy okazało się, że wystąpiły trudności. Do Stanisławowa, ze względu na bandy, napłynęło dużo ludzi z okolicznych miasteczek i popyt na wolne mieszkania był większy od zasobów. Upłynęło kilka dni w bezowocnym poszukiwaniu wolnego mieszkania, gdy dotarła do nas wiadomość, że powrót do Niżniowa jest niemożliwy z powodu aktywnych działań wojennych na tym terenie, a w strefie frontowej ruch cywilny był wręcz niemożliwy. Byłem więc na przymusowym wygnaniu. Warunki były ciężkie, a najgorsze były noce. Nie miałem stałego miejsca do spania i ciągle chciało mi się spać. Każdej nocy sypiałem w innym miejscu i w większości nie w pościeli, a do tego jeszcze ciągłe naloty i nocne bombardowania. Mieszkaliśmy niedaleko dworca kolejowego i składów amunicji, co było celem lotnictwa radzieckiego i nie tylko. W czasie nocnych nalotów wszyscy w ogólnym zamieszaniu porzucali swoje ciepłe łoża i schodzili do obszernej piwnicy, w której wznoszono modły do niebios, aby tylko nas nie zasypano. Każdy wybuch był kwitowany podziękowaniem Bogu, że był dalej od naszego domu. Po kilku takich nalotach zbuntowałem się i gdy wszyscy na wycie syren w popłochu wskakiwali do piwnicy, ja wchodziłem do pierwszego lepszego łóżka i od razu zasypiałem. W ten sposób byłem jedyny, który z utęsknieniem oczekiwał wycia syren.

Do Stanisławowa wyjechałem na 2–3 dni i nie wziąłem ze sobą nawet bielizny na zmianę. Byłem też na garnuszku stryjenki, który nie zawsze był pełny. W tej sytuacji zmuszony byłem radzić sobie sam. W tajemnicy przed domownikami udałem się do RGO (Rada Główna Opiekuńcza). W RGO przyjęła mnie dystyngowana dama, wysłuchała mojej prośby, w której powiedziałem, że jestem daleko od domu i nie mam żadnych środków do życia. Jeszcze tego samego dnia jednorazowo otrzymałem flanelową koszulę i stare, mocne, za duże spodnie, oraz kartki na codzienną darmową zupę z porcją razowego chleba. Każdego dnia o godzinie 13^{00} stawałem do kolejki po swoje racje żywnościowe. Zupę, która była najczęściej z pęczakiem lub ziemniakami, ale zawsze ze skwarkami – zabierałem do dużej bańki i w domu stryjenka przyrządzała z tego obiad dla kilku osób. Często wlewano mi do tej bańki 2–3 porcje. Chlebem się nie dzieliłem, sam zjadałem na śniadanie i kolację. Niejeden raz wtedy zatęskniłem za folwarkiem, gdzie nigdy nie byłem głodny. Po dokładnym poznaniu trybów funkcjonowania RGO i wykonaniu kilku poleceń kierowniczki kuchni udało mi się dodatkowo zaprowiantować Zosię, i od tej pory przynosiliśmy tyle zupy, że można nią było obdzielić wszystkich mieszkańców naszego domu.

Wprowadzając Zosię do RGO myślałem, ba, byłem pewny, że Zosia, gdy pozna trasę i sposób pobierania przydziału będzie pobierać swoją i moją rację, a ja czas ten będę mógł wykorzystać według aktualnych potrzeb. Tymczasem Zosia była moim balastem. Wychodząc z domu nie odstępowała mnie nawet na chwileczkę, a jeżeli na ulicy znalazło się więcej osób, chwytała się kurczowo mojej ręki. Panicznie bała się ruchu miejskiego i obcych ludzi. Pamiętam, jak pewnego słonecznego dnia z domu wyszliśmy trochę wcześniej, z zamiarem zwiedzenia kościoła MP. W kościele udało mi się niepostrzeżenie oddalić i zostawić Zosię w kościele samą wśród ludzi. Kiedy do niej wróciłem, zobaczyłem jej twarz przestraszoną i zapłakaną. Żal mi się jej zrobiło i od tej pory już takich świńskich kawałów nie robiłem, a po zupę chodziłem sam.

Ciepło wiosenne w 1944 roku zawitało do nas trochę opóźnione, ale przy pełnym słońcu wystarczyło kilka dni dla pełnej wegetacji roślin. Pąki drzew i zieleń traw zachęcały do robienia porządków wiosennych w ogródku. W domu wykonywałem różne usługi. Nie chciałem być darmozjadem. Załatwiałem sprawunki w mieście, wynosiłem śmiecie, sprzątałem podwórko itp. Teraz, gdy wiosna zawitała na stałe, postanowiłem zaniedbany ogród doprowadzić do należytego wyglądu i roli jaką powinien pełnić. Gdy rozpocząłem pracę utwierdziłem się w przekonaniu, że ta

ziemia łopaty nie widziała przez cały okres wojny. Dwa tygodnie poświęciłem grządkom i krzewom, co moje dłonie doprowadziło do opłakanego stanu. Popękane pęcherze zastrupiały i musiałem pauzować, aż do całkowitego wygojenia, ale wyniki mojej pracy już pod koniec maja były obfite, a w czerwcu mieliśmy jarzyn na swoje potrzeby wystarczająco.

Dużo czasu, szczególnie w okresie leczenia pęcherzowych ran, spędzałem na wypadach do miasta. Często zaglądałem do kościołów, cerkwi lub na bazar i obserwowałem targujące się baby wiejskie. Bliskość frontu niewiele wpływała na życie w mieście, nawet wycie syren nie było takie straszne. Ludzie do wszystkiego i złego, i dobrego szybko się przyzwyczajają. Kiedyś, a była to, pamiętam dokładnie, sobota przed ukraińskimi Świętami Wielkanocnymi, przy pięknej wiosennej pogodzie wróciłem z cerkwi po nabożeństwie i święceniu. Wszyscy domownicy korzystając z wiosennego słońca wylegli na podwórko, a stryjek urządził sobie „warsztat" szewski pośrodku podwórka i reperował cioci Juli buty, jak mówiło się w Galicji – meszty. Wziąłem stojące przy schodach wiadro z pomyjami i wyniosłem za bramę z zamiarem wylania do kanału, czyli rynsztoku. Dom nie był skanalizowany. Towarzyszyła mi w tym cała dzieciarnia, w tym całkiem jeszcze mali Jadzia i Józio. Będąc już za furtką usłyszałem w podwórzu cichy warkot samolotów i dopiero po chwili ryk syren. Zadarłem głowę do góry i zobaczyłem na czystym niebie małe błyszczące punkciki. Samoloty powoli zbliżały się do nas, ale cały czas leciały bardzo wysoko. Zacząłem głośno liczyć i kiedy doliczyłem do siedmiu spostrzegłem, że z tych samolotów wysypało się mnóstwo bomb i bomby te lecą prosto na nas. Z całych sił krzyknąłem do dzieci: uciekajmy do piwnicy. Zdążyłem dzieciaki pchnąć do piwnicy, w której już byli wszyscy dorośli i wtedy dopiero usłyszałem szum lecących bomb i wybuchy. Zdążyłem jeszcze wśliznąć się pod schody, którymi wchodziło się do domu. Odczułem wstrząsy i słyszałem, jak z naszych okien wylatywały szyby. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, na co jestem narażony i ogarnął mnie potworny lęk. Przylgnąłem do ściany domu z całych sił i czekałem końca tych wybuchów. Gdy nastała cisza wyszedłem z tej kryjówki i pobiegłem za bramę, gdzie zostawiłem w tym chaosie wiadro i otwartą furtkę. Oczom moim ukazała się ulica przed naszym domem przeorana wybuchami, a naprzeciw naszej bramy jedna z licznych bomb zniszczyła doszczętnie całą bramę i ogrodzenie. Jej odłamki częściowo poprzecinały pręty naszej bramy. Z domów jedynie sąsiedni został zniszczony. Na szczęście ofiar w ludziach nie było. Kiedy już wszyscy wyszli z piwnicy, zaczęła się dyskusja i biadolenie, że ze strachu zapomniano

o dzieciach, mnie pochwalono za refleks i opiekę nad dzieciakami i natychmiast dostałem burę, że naraziłem swoje życie chowając się pod schodami. Gdyby chociaż jedna bomba spadła od strony podwórka, nie miałbym szans na przeżycie, a i wejście do domu byłoby bez schodów utrudnione. Takim żartem zakończono strofowanie, ale o zniszczonej ulicy i rozwalonym budynku mówiono jeszcze wiele dni. Dopiero w następnym dniu stryjenka zauważyła we wiadrze dwie dziury po odłamkach. Te dziury jeszcze raz wszystkich poruszyły... co by, gdyby. „Fachowcy" znający się na rzemiośle wojennym mieli mocny orzech do zgryzienia. Chodziło o rozstrzygnięcie czyje to były samoloty. Sposób wykonania nalotu nie wskazywał na rosyjskich pilotów, oni zwykle nurkowali do zrzucenia bomb, takiej bezpiecznej nonszalancji u ruskich nigdy nie widzieliśmy. A jeżeli nie oni, to kto. Czyżby amerykańskie samoloty mogły się wybrać na taką odległość? Nigdy tego nie rozstrzygnięto.

W maju do Stanisławowa wkroczyli Węgrzy. W mieście było ich wszędzie pełno, jedynie niektóre punkty obsadzone były przez Niemców. Czekaliśmy na wyzwolenie prosząc jednocześnie Boga o wyzwolenie bezkrwawe. Wśród Polaków krążyły pogłoski, że do Stanisławowa mogą wkroczyć wojska polskie. Na wyzwolenie jednak czekaliśmy długo, a czas ten wlókł się żółwim tempem w aureoli częstych nalotów. W czerwcu usłyszeliśmy potężny wybuch, co mogłoby zwiastować rychłe natarcie. Wysadzono most na Bystrzycy. Niemcy robili wszystko, aby opóźnić, odwlec swój koniec.

Wojska radzieckie do Stanisławowa wkroczyły dopiero w połowie lipca. Większych walk o miasto nie pamiętam. Trochę wybuchów i w różnych punktach miasta liczne strzały z broni maszynowej. Nawet większych strat się nie widziało. Ten ostatni dzień okupacji niemieckiej spędziłem w Śródmieściu. Docierały do nas sprzeczne wiadomości. Jedni szeptali, że Niemcy i Węgrzy zorganizowali obronę Stanisławowa i wszystko wskazuje na to, że będą bronić się długo, ponieważ ściągnięto duże siły. Inni głośno obwieszczali, że miasto opustoszało i oczekuje się lada moment wkroczenia wojsk radzieckich. Poszedłem do Śródmieścia, aby dowiedzieć się, co się dzieje, a przy okazji pobrać swój deputat w RGO. Ulice były puste, ruch prawie zamarł. Ulice patrolowali Węgrzy. Nieopodal poczty zobaczyłem kolumnę samochodów ciężarowych konwojowanych przez Niemców. Samochody w większości okryte plandekami. Na odkrytych zauważyłem załadowany sprzęt meblowy oraz drewniane, duże paki. Na skrzyżowaniu ulic zatrzymałem się przed narożnym sklepem, w którym drzwi stały otworem. Wszedłem do tego sklepu i o dziwo nikogo tam nie

zastałem. Sklep już był doszczętnie rozgrabiony. Na podłodze mnóstwo splątanej włóczki i guzików różnej wielkości. W jednej z szuflad znalazłem paczkę igieł i dwa naparstki oraz kilka różnych portfeli. Wtedy do sklepu wpadło kilku innych szabrowników i zaczęli ładować do worków wszystko, co jeszcze było do zabrania, nawet zgarnęli tę włóczkę. Wyszedłem na ulicę z portfelami, igłami i naparstkami oraz z kilkoma fenigami, które w kasie jeszcze się zachowały. Z takim dobytkiem wróciłem do domu. Dziś mogę odnotować, że miałem wtedy dużo szczęścia. Zupy RGO już nie było. Zdrowo myślący ludzie w takich okolicznościach nie narażali się chodzeniem po ulicach, lepiej było przeczekać w domu.

Na drugi dzień Stanisławów zajęli Rosjanie. Nie pamiętam, czy były fanfary i powitania. Zapragnąłem natychmiastowego powrotu do Niżniowa, gdzie została moja mama i od kwietnia nie miałem żadnej wiadomości o jej losie. Wracaliśmy z Olejnikiem i ciocią Julą na drugi dzień po wyzwoleniu Stanisławowa. Olejnik wracał do rodziny, a ciocia po jakieś drobiazgi z domu rodzinnego. Pierwszym zetknięciem z wynikami działań bitewnych na naszej drodze powrotnej były szczątki mostu kołowego na Bystrzycy. Stalowo-betonowy most rozszarpany, a jego szczątki sterczały wokół w rzece i na brzegach po obu stronach. Betonowe kikuty wystające nad wodą wyglądały złowrogo. Na rzece uruchomiono prom i kilka łodzi, którymi przewóz kosztował dość drogo. Do przeprawy ustawiały się długie kolejki. Czekając w kolejce do promu, zobaczyłem młodego oficera w polskim mundurze. Tenże oficer przeprawił się z przeciwległego brzegu. Ludzie natychmiast otoczyli go wypytując o różne rzeczy, aby sprawdzić, czy faktycznie jest Polakiem, czy aby to nie mistyfikacja. Tyle plotek słyszało się o Kościuszkowcach, że trudno było uwierzyć w polskość tych wojaków nie sprawdziwszy uprzednio. Doznaliśmy wszyscy wzruszeń, kiedy ten żołnierz w polskim mundurze, polskiej rogatywce odpowiadał na pytania obecnych tam niedowiarków czystą galicyjską polszczyzną. Przyjechał na dwa dni urlopu do matki mieszkającej w Stanisławowie. Tu się urodził, tu się wychował, tu ma rodzinę i licznych kolegów i znajomych, a więc jego osoba powinna być dowodem, że w armii polskiej walczącej na frontach wschodnich służą Polacy, a nie przebrani Rosjanie, jak głosi wieść gminna. Pomimo jednak tego namacalnego dowodu nie wszystkich oficer przekonał. Ciocia szczerze popłakała sobie, wzruszenie było silniejsze od wątpliwości. Trochę dziwił nas orzeł na rogatywce oficera, że nie taki swojski, że bez korony, ale jednak orzeł i nazwa Kościuszkowcy nie była nam obca. Długo w drodze powrotnej rozmawialiśmy o naszym wojsku, o Polsce, jaka będzie i gdzie będzie.

Zaraz za rzeką w Mykietyńcach wstąpiliśmy do pani Zimermanowej, koleżanki cioci Julii, która po wyjeździe z Niżniowa zamieszkała tu z dziećmi, zostawiając dom do naszej dyspozycji. Ciocia gawędziła z panią Marią, a ja z zachwytem zabawiałem się w towarzystwie swojej koleżanki Lili, która już w Niżniowie bardzo mi się podobała. Była delikatną i nieśmiałą dziewczyną, i gdyby nie jej rodzeństwo, nie nawiązalibyśmy żadnej rozmowy. Po dziesięciu latach Lila zostanie moją żoną i matką moich dzieci.

Po tej krótkiej wizycie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Liczyliśmy na sposobność skorzystania z nadarzającego się jakiegokolwiek środka lokomocji, jadącego w kierunku Niżniowa. Niestety, zawiedliśmy się sromotnie. Ruch był jednostronny, do frontowy i tylko pojazdów wojskowych. Wobec tego do Niżniowa z konieczności wracaliśmy pieszo.

Podróż nasza była wyjątkowo trudna. Na każdym posterunku kierowania ruchem wojsk legitymowano nas wypytując dlaczego, skąd i dokąd idziemy. Gorące promienie słoneczne, kurz wzniecany przez kolumny samochodowe podążające w kierunku Stanisławowa, zniszczone drogi i przeorane czołgami pola, zniszczony sprzęt wojskowy, zepchnięty do rowów przydrożnych, spalone domy i trupy ludzkie, których nie zdążono jeszcze pogrzebać – wszystko to działało na nas przygnębiająco. Dopiero widok tych obrazów po bitwie uświadomił mi, jakie spustoszenie niesie ze sobą wojna. Tuż przed Tyśmienicą zobaczyliśmy zniszczoną furmankę zepchniętą z drogi razem z zabitymi końmi. Spod strzępów furmanki wyglądały okropnie zmasakrowane ciała ludzkie. Wyglądało na ucieczkę całej rodziny, którą spotkał tu pocisk artyleryjski. Widok ten, chociaż nie był zjawiskiem pojedynczym, poruszył ciocię tak mocno, że nie mogła, nie miała sił na dalszą podróż. Olejnik pomógł cioci dobrnąć do Tyśmienicy, a sam podążył do Niżniowa samotnie. Zatrzymaliśmy się na nocleg u stryjenki Rózi. Z tego pobytu u stryjenki nie pamiętam nic szczególnego. Dopiero następnego dnia, gdy byliśmy już na szlaku, zaczęła mnie prześladować myśl, że mojej mamie wydarzyło się coś złego.

Bardzo zmęczeni dotarliśmy do Niżniowa. Miasteczko wyglądało smutnie. Już przed mostkiem na Tłumaczyku ujrzałem po lewej stronie spalony, jedyny w naszych okolicach las iglasty. Z podziwianej przeze mnie leśniczówki, zamiast białych ścian i czerwonego dachu, pozostały czarne ruiny. Całe zbocze, które kiedyś pachniało żywicą i na które wspinaliśmy się z wycieczką szkolną było martwe i ziało smrodliwą spalenizną. U podnóża tego zbocza spalonych kilka domów. Te kikuty sterczące nad pozostałymi domami, wysadzone minami tory kolejowe, kilka zburzonych

domów przy głównej ulicy oraz leje po pociskach artyleryjskich w rynku – to bilans ostatniego akordu bitewnego w Niżniowie.

Mój powrót do domu ucieszył mamę, która bardzo przeżyła naszą rozłąkę nie wiedząc, co się ze mną dzieje. Zaraz po kolacji i kąpieli zasnąłem twardym i spokojnym snem. Rano, zaraz po śniadaniu poszedłem obejrzeć swoje gospodarstwo. Puste klatki po królikach natychmiast zachęciły mnie do wznowienia hodowli tych miłych zwierzątek. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że nasz pobyt w Niżniowie zbliża się ku końcowi, że przyjdzie wnet czas i zostaniemy zmuszeni do opuszczenia Niżniowa, jak wszyscy z rodziny.

Przed rokiem jeden z niemieckich żandarmów, którzy u nas kwaterowali przed wyjazdem z Niżniowa, ofiarował mi młodą kawkę. Ptak uszkodzone miał jedno skrzydło i był już oswojony. Moim zadaniem było dokarmiać ptaka do chwili wygojenia skrzydła. Kawka była wyjątkowo ptakiem pojętnym i szybko przyswoiła sobie pewne moje gesty i zawołania. Po pewnym czasie tak się zadomowiła, że nawet po wyleczeniu skrzydła nie zamierzała odlatywać. Zjawiała się zawsze na moje zawołanie, a gdy wychodziłem z domu lub wracałem siadała mi na ramieniu i czułym gestem ocierała swoją główkę o moje ucho. Miałem dużo radości, gdy już zimą zjeżdżałem z folwarku i byłem witany przez Szaraka, jak ją na początku nazywałem. Szarakowi zrobiłem obszerny domek z wybiegiem, powiesiłem w samym trójkącie dachu i stale zostawiałem mu duży zapas ziarna i suszonego mięsa wołowego. Szarak przyzwyczaił się do swojego domku i zamieszkał tam na stałe. Nie przypuszczałem, że po tak długim czasie, gdy nie otrzymuje pożywienia i nikt się nie zajmuje ptakiem – Szarak nie opuści swojego domku. Rano Szarak się zjawił, usiadł na moim ramieniu i długo ocierał się o moje ucho. Mama przyznała, że dokarmiała Szaraka, ale nigdy się nie zdarzyło, aby ptak usiadł jej lub komu innemu na ramieniu. Wspominam o tym, bo tak wspaniała pamięć u ptaka jest zjawiskiem rzadkim.

Przed południem poszliśmy z ciocią na „górę", do domu babci. Dom był zamknięty, nienaruszony i z wyjątkiem kilku śladów po wybuchach pocisków artyleryjskich w ogrodzie – wszystko było po staremu. Poszedłem w kierunku cmentarza i zobaczyłem rozwalony stary dąb, maskotkę rodzinną. Część jego pięknej korony leżała na szczątkach ław. Wyglądało jakby ktoś celowo koronę i część górnego pnia odciął i zrzucił na ziemię. Gdy powiadomiłem o tym ciocię, ta po głębokim namyśle powiedziała, że chyba sprawdzi się przepowiednia wedle której koniec istnienia dębu będzie końcem naszego tutaj życia. Widziałem, jak rzęsiste łzy spływają

jej po policzkach, oglądać tej ruiny jednak nie chciała. Po kilku dniach ciocia Jula wyjechała do Stanisławowa, pozostawiając dom i wszystko, co w nim jeszcze zostało pod naszą opieką. Było to nasze ostatnie pożegnanie. Żegnając się nie mogłem przypuszczać, że więcej się już nie zobaczymy, że nasze drogi rozejdą się na zawsze.

Kiedy zostaliśmy już z mamą sami zapytałem, jak zakończyła pracę na folwarku, co się stało ze znajomymi i nieśmiało zapytałem o Marijkę. Mama podejrzliwie spojrzała na mnie i na moje pytanie o Marijkę zbyła mnie lakoniczną odpowiedzią. Ponoć Marijka złapana na kradzieży jakiegoś drobiazgu w pokoju niemieckim o mało co nie została rozstrzelana. W końcu jednak wyszła z tego obronną ręką dzięki wstawiennictwu Holendra. O folwarku i rabunkach majątku folwarcznego opowiadała długo. Sama zdobyła jedynie dwa wiadra spirytusu, który długo był poszukiwanym towarem wymiennym.

2

Po wyzwoleniu

Nazajutrz po wyjeździe cioci Juli ochoczo wziąłem się do pracy. Wyszykowałem klatki i komórki na zapleczu, naprawiłem ogrodzenie i zakupiłem, a właściwie wymieniłem za spirytus parę królików oraz małą kózkę. Zajęć miałem mnóstwo. Najwięcej pociechy mieliśmy z kózki, która tak do nas przylgnęła, że ciągle przebywała w naszym towarzystwie, a przy nodze chodziła, jak wytresowany pies.

Życie w miasteczku powoli zaczęło się stabilizować. Każdy we własnym zakresie w swoim otoczeniu usuwał zniszczenia po walce, baby ze wszystkich stron, ze wszystkich okolicznych wiosek przywożą swoje skąpe produkty żywnościowe na targ, dla potrzeb wojska prowadzone są roboty drogowe, nawet początkowo przystąpiono do odbudowy mostów na Dniestrze, a więc wszystko wskazuje na normalizację stosunków i życia w społeczności niżniowskiej, że życie nasze w tym rejonie może być znośne i bezpieczne, tym bardziej że aktywnych nacjonalistów ukraińskich zaczęto wyłapywać i wywozić na Syberię.

To jednak były jedynie pozory. Początkowy zryw do życia aktywnego szybko zamarł. Nie było władzy troszczącej się o mieszkańców, nie było w sklepie towarów, a na targowisku panował jedynie handel wymienny. Zaniechano nawet odbudowy mostów. Jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych moja znajoma Nina Laszczka z domu Zacharska po powrocie z odwiedzin rodziny w Niżniowie mówiła mi, że mostów na Dniestrze i torów kolejowych nadal nie odbudowano.

Po euforii wyzwoleńczej ludzie stali się jeszcze bardziej lękliwi, niepewni. Szczególnie poczucie zagrożenia rosło u Polaków. Z jednej strony nacjonalizm ukraiński wzrastał, mordy na Polakach były coraz częstsze i liczniejsze, z drugiej zaś strony NKWD-yści i ich donosiciele nie traktowali Polaków jak się traktuje sprzymierzeńców. Nie wywożono już całych

rodzin, podejrzanych o udział w konspiracji w czasie okupacji niemieckiej – zaczęto w pojedynczych przypadkach aresztować i bez rozgłosu wywozić.

Mama i ja zostaliśmy w Niżniowie bez rodziny, a w Przewale pozostały już tylko dwie rodziny, my i Giełbutowicze oraz samotna Kaczmarska, u której zimą 1939/40 przed wyjazdem do Stanisławowa mieszkaliśmy z ciocią Julą. Wokół nas sami Ukraińcy, element nam jeżeli nie wrogi, to od pewnego czasu obojętny. Rusinów, którzy sprzyjali idei zbratania się z Polakami w tych czasach prawie już nie było. Nacjonalistyczna propaganda, szerzona w cerkwiach i w licznych broszurach, takie myślenie całkowicie odrzucała, a tych, co temu się nie podporządkowali i myśleli inaczej – unicestwiano lub usuwano w cień. Z okolic docierały do nas wieści czasami wręcz przerażające. Ciężko przeżyliśmy morderstwo popełnione na stryjecznym bracie mego ojca Stanisławie. Wypadki te bardzo negatywnie wpływały na naszą psychikę, a najgorsze, że czyny te w tym czasie uchodziły bezkarnie, co ich bardziej ośmielało i zachęcało do eskalacji. Dotychczas w Niżniowie jeszcze nie ma masowych mordów, po ulicach chodzimy w dzień bez obawy, ale co będzie jutro, czy będziemy bezpiecznie wychodzić z domu? Żyliśmy w ciągłym strachu, nie mając gdzie szukać pomocy i schronienia. Potrzeba i strach zmusza jednak człowieka do myślenia i radzenia sobie nawet w beznadziejnej zdawałoby się sytuacji. Wpadłem na pomysł zmylenia naszych wrogów. Każdego wieczoru wejścia do naszego domu zamykałem na duże kładki, które jeszcze wcześniej wieczorem widoczne były nawet z ulicy. Zamykając drzwi ostentacyjnie wychodziłem na ulicę zatrzaskując furtkę. Gdy już całkowicie się ściemniało, od tyłu, przez zakrzaczenia, niepostrzeżenie docierałem do domu i przez boczne okno wchodziłem do wewnątrz. Sypialnie urządziliśmy sobie na strychu i po wejściu na górę wciągałem za sobą drabinę, co mogło wprowadzić w błąd tych, którzy zdecydowaliby się na ewentualne siłowe wtargnięcie do domu. Latem sypianie na strychu było jeszcze znośne. Chociaż nagrzana blacha, którą dom był kryty, wytwarzała taki zaduch, że trudno było w tej piekielnej duchocie zasnąć. Jesienią natomiast, kiedy noce były już zimne nawet kołdra i koce nie w pełni chroniły nas przed chłodem. Natrętne wieści docierające do nas o okropnościach i zbrodniach popełnianych na Polakach przez ukraińskich rizunów oraz po takich nocach pełnych koszmarów, zimna, niewygód i nerwowego wyczekiwania przez wiele tygodni – czy nie przyjdą – zaczęliśmy rozmyślać nad wyjazdem z Niżniowa, chociaż nie było nam łatwo pozostawić wszystkiego to, czego już dorobiliśmy się po powrocie

z Syberii. Plany nasze dotyczące wyjazdu zachowaliśmy przed sąsiadami w najgłębszej tajemnicy, a przyspieszenie wyjazdu spowodował drobny, wydawałoby się mało znaczący przypadek. Był już listopad 1944 roku, kiedy mama moja pewnego dnia wróciła z targu bardzo zatroskana. Opowiedziała mnie, że Tereszij – nasz znajomy, mieszkający przy tej samej ulicy Ukrainiec spotkał ją na targu i niby od niechcenia, w czasie mało istotnej rozmowy zapytał, gdzie my nocujemy, skoro każdej nocy dom nasz jest zamknięty na kłódkę. Wiedzieliśmy w jakim celu pytał o miejsce naszego noclegu. Był to dla nas sygnał, że dłużej nie możemy tu pozostawać, musimy koniecznie, natychmiast zdecydować się na wyjazd. Dla samej ciekawości ani też w celach towarzyskich Tereszij nie sprawdzał, czy wieczorami przebywamy w domu. Ta wiadomość potrzebna mu była dla innych celów. Właściwie nic prócz wspomnień nie wiązało już nas z Niżniowem, a życie narażać dla uratowania kilku rzeczy materialnych nie było potrzebne. Po głębszej analizie mama zdecydowała wyjechać do Pużnik, chociaż ja gorąco namawiałem na Stanisławów. Ze względów praktycznych zdecydowaliśmy się na Pużniki. Następnego dnia po rozmowie z Tereszijem mama udała się do Pużnik po jakiś środek przewozu. Nie mogliśmy odejść z niczym, przecież w Pużnikach też trzeba było egzystować i nie wiadomo jak długo będziemy na tym wygnaniu. Ja cały czas myślałem, że po uspokojeniu się całej wrogiej psychozy i unormowaniu współżycia wrócimy na nasze stare „śmieci" z wygnania. Zostając w domu, zadaniem moim było przygotować do częściowej przeprowadzki. Przez cały dzień pakowałem co według mnie należało zabrać do Pużnik. Nazajutrz rano mama przyjechała dużą drabiniastą furmanką. Końmi powoził właściciel Zarzycki, mieszkaniec Pużnik. Do pomocy z mamą przyjechała też wujenka Lidzia.

Dzień był wyjątkowo paskudny. Zimno, deszcz, deszcz ze śniegiem – nie sprzyjały przeprowadzce. Ładowaliśmy na wóz w pośpiechu, aby jeszcze przed południem wyjechać. Oprócz rzeczy osobistych zabraliśmy pościel, garnki, wszelkie pamiątki rodzinne, łóżka, komoda oraz krzesła. Przy ładowaniu okazało się, że nie wszystko co zapakowałem można było zmieścić na wozie. Dużo rzeczy już zapakowanych musieliśmy zostawić, nie mówiąc o meblach. Wóz okazał się nie tak pakowny, na jaki wyglądał. Rzeczy załadowane wystawały nad wozem i po bokach, na samą górę zmieściliśmy jako ostatnią rzecz klatkę z królikami, które zdążyły się już rozmnożyć. Zamknąłem dom z pozostawionymi rzeczami i ruszyliśmy w drogę. Dzień ten pamiętam bardzo wyraziście. Wyładowany chłopski wóz widzę, jakby to było wczoraj, a nie przed 41 laty. Pogoda jakby się

odrobinę poprawiła. Wiał wprawdzie zimny wiatr, ale zamiast deszczu ze śniegiem wiało rzadkim, lekkim puchem śniegowym. Wóz był przeładowany i miejsc pasażerskich niestety nie było. Nawet woźnica miał poważne trudności znalezienia sobie miejsca na wozie. Mama, wujenka i ja szliśmy za wozem bacząc, czy czegoś nie gubimy.

Dojeżdżając do Dniestru Zarzycki zatrzymał wóz i w tylnej części wygospodarował miejsce siedzące dla jednej osoby. Postanowiono, że będziemy odpoczywać na zmianę. Jako pierwszy zająłem to siedzące miejsce, które okazało się być wyjątkowo niewygodne. Najmniejszy wstrząs zmuszał siedzącego do chwytania się drabiny, aby nie spaść z wozu. Przez Dniestr przeprawa odbywała się przez most pontonowy jednokierunkowy lub promem. Woźnica wybrał most, ponieważ przyjazd był wolny. Jezdnia tego mostu wyglądała dziwacznie, prawa i lewa jej strona była o piętnaście centymetrów wyższa od części środkowej. Samochody swoim rozstawieniem kół obejmowały oba krawężniki i mogły swobodnie przyjeżdżać po tym podwyższeniu, natomiast chłopski wóz mając węższy rozstaw kół nie mógł przejeżdżać mostem po obu krawędziach jednocześnie, ale i też nie mieścił się w części dolnej, był za szeroki. Na most, ze względu na wiatr wiejący z prądem rzeki, wjechaliśmy kołami prawymi na krawężnik, a lewymi na część dolną. Wóz nachylony był pod wiatr. Gdy wjeżdżaliśmy na most, dało się odczuć silniejszy podmuch wiatru, znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni i każde silniejsze uderzenie wiatru o nasze graty chwiało wozem. Powoli zbliżaliśmy się do głównego nurtu rzeki. W pewnym momencie konie szarpnęły i wóz zmienił kierunek przechyłu. Nastąpił sprzyjający moment i pod naporem wiatru wóz wywrócił się na prawy bok. Wywrotka niegroźna, ale skutki opłakane. Wszystko, co było wrzucone powyżej drabin zleciało do rzeki. Jedynie klatka z królikami spadając zaczepiła się o kłonice wozu i tak zwisała nad nurtami rzeki.

Poczułem silne tąpnięcie i zanim zdążyłem się zorientować w sytuacji, byłem już w nurtach rzeki. W błyskawicznym tempie woda zniosła mnie w kierunku starego, żelaznego mostu drogowego, wysadzonego przez Niemców w powietrze – dosłownie. Ze środkowych przęseł nie został nawet kawałek żelaza. Wyglądało jakby tych przęseł nigdy nie było. Początkowo myślałem, że w dopłynięciu do brzegu większych trudności mieć nie będę. Pływać przecież umiałem, rzekę i jej kaprysy zdradliwe znałem, a w tych miejscach na drugą stronę rzeki dziesiątki, setki razy przepływaliśmy z kolegami. Tu w tym miejscu często urządzaliśmy zawody i popisy sprawnościowe w skokach do wody. Znałem więc groźne i zdradliwe miejsca, ale znałem też tej rzeki łagodne strony. Wiele razy,

dla fantazji i wykazania swojej odwagi, dziś powiedziałbym głupoty, wskakiwaliśmy właśnie tu, przy środkowych filarach, do wartkiego nurtu, aby go pokonać i wypływać z niego zwycięsko. Nie wziąłem jednak pod uwagę, że to nie lato, a późna jesień, że wody w Dniestrze o tej porze poważnie przybrały, tworząc inne prądy, w innych miejscach wiry, i że dodatkowo wschodni, ostry wiatr, wiejący mi teraz prostopadle od lewego, bliższego brzegu rzeki, utrudniały zdecydowanie w wydostaniu się z nurtu pieniących się fal. Dużą też trudność sprawiało mnie moje zimowe odzienie, a szczególnie ciężkie, pełne wody buty żołnierskie, wymienione z żołnierzem za spirytus. Kożuszek pokryty suknem z niemieckiego płaszcza wojskowego początkowo utrzymywał mnie na powierzchni, ale gdy namókł, zaczął ciążyć i ograniczać moje ruchy. Jedynie zdążyłem uwolnić się od czapki, którą zdarłem z głowy, gdy po wpadnięciu wynurzyłem się z wody. Rozpocząłem walkę z żywiołami wody i wiatru, a następnie z zimnem i strachem. W krótkim czasie straciłem dużo sił, a do brzegu zbliżyłem się minimalnie. Często przy silniejszym podmuchu wiatru do upragnionego brzegu nie zbliżałem się, a odwrotnie... oddalałem się. Ciężar mego odzienia zaczął wciągać mnie pod wodę, na dno i teraz mój wysiłek i moja walka z rzeką ograniczały się jedynie do utrzymania się na powierzchni wody, z prądem rzeki przestałem się mocować. Próba pozbycia się kożuszka również nie powiodła się, a dodatkowo jedynie mnie zmęczyła. Przylgnięte do ciała ubranie utrudniało moje ruchy. Ogarnął mnie strach, który jeszcze bardziej osłabiał moje wątłe już siły. Gwałtownie wzrosło bicie serca. Żyć! Żyć! Pragnienie to było tak mocne, że myśl o utonięciu raz jeszcze zmobilizowała resztki moich sił, chociaż wiatr i silny prąd przekreślały możliwości fizyczne nawet dorosłego mężczyzny. Traciłem siły, energię, a z nimi i nadzieję. Ogarnęło mnie zwątpienie. Widziałem już bezsens moich zmagań i zawładniała mną coraz większa rezygnacja. Woda znosiła moje zmęczone ciało tak szybko, że na brzegu ludzie wraz z moją mamą nie mogli dotrzymać mi „kroku". Zarośnięty łozami brzeg utrudniał im poruszanie się. Zacząłem w myślach żegnać się z bliskimi i gorąco prosić Boga o zbawienie mej duszy. Spojrzałem ostatni raz jeszcze na brzeg, gdzie zrozpaczona mama biegła, przedzierając się przez gęste już w tym miejscu łozy, w dół rzeki. Zacząłem tonąć. Czułem, jak olbrzymie siły ciągnęły mnie na dno rzeki, a ja bez oporu poddawałem się. Brak mi było już nawet woli przeżycia. Potworne zmęczenie i chęć skończenia – było to uczucie, jakiego nie doznałem nigdy przedtem, nawet podczas pamiętnego omdlenia w Kościele, czy też podczas maligny w czasie choroby. Chciałem poruszać rękami i nie mogłem, przy oddychaniu

zamiast powietrza do płuc opiłem się wody, w oczach noc ciemna nastała, w uszach szum i silne ciśnienie, a w ustach goryczka. Całkowita drętwota i niemoc. Jedynie jeszcze świadomość mnie nie opuszczała, chociaż świat pozostał już gdzieś daleko, za mną, a ja miałem pozostać w tej zimnej wodzie na zawsze. Przez myśl przebiegły sceny mego krótkiego życia. Wtem… trafiłem na coś twardego, coś, czego mogłem się chwycić, co opierało się prądom rzecznym, co było silniejsze od wody i wiatru. Była to szeroka płaszczyzna osadzona pionowo na dnie rzeki. Opaczność zniosła mnie w to miejsce, gdzie, jak mi się przed chwilą wydawało, miałem zakończyć swój żywot. Uczepiłem się tego żelastwa – promyka nadziei i wychyliłem głowę nad wodę. Obserwatorzy moich zmagań zgodnie stwierdzali, że przed tym szczęśliwym momentem woda kilka razy mnie pochłaniała, a gdy ostatni raz znalazłem się pod wodą i długo nie byłem widoczny – byli przekonani, że już nie wypłynę. Ja tymczasem trzymając się tego zbawiennego przedmiotu mogłem oddychać i trochę odpocząć, i choć trapiły mnie nudności oraz dokuczał kaszel, to jednak siły powoli wracały, a wraz z nimi – wracała nadzieja. Długo tak odpoczywałem nie mając odwagi zdecydować się na ponowną samotną walkę. Ten podwodny kikut był tu jedynym realnym przedmiotem sprzyjającym mi. Jak mogłem zrezygnować z niego i dobrowolnie skazać się na niepewność? Nawet instynkt nakazywał mi trwać w tym miejscu i czekać na ratunek. Odpoczywając odzyskałem możliwość trzeźwego myślenia i realistycznej oceny sytuacji. Wzrok zaczął mi się wyostrzać, brzeg widziałem już dość wyraźnie, a na nim kilka osób naradzających się. Dolatywały do mnie pojedyncze głosy, a szczególnie wyraźny płacz mojej mamy. Domyślałem się, że chcą mnie pomóc, ale jak... Z ich krzyków skierowanych w moją stronę mogłem jedynie wyraźnie zrozumieć, że mam czekać na ich pomoc.

Po pewnym jednak czasie, widząc bezruch na brzegu, doszedłem do wniosku, że jestem nadal osamotniony i liczyć na pomoc innych nie mogę. W takich warunkach pogodowych nikt nie odważy się ryzykować wejściem do wody, a łódki pod ręką nie mają, ja natomiast dłużej w tej wodzie z powodu dokuczliwego zimna – nie wytrzymam. Czułem, że wyziębienie ciała obniży moją sprawność fizyczną. Zacząłem mierzyć swoje siły na zamiary. Do dziś nie wiem skąd się wziął taki realizm w moim rozumowaniu, w sytuacji gdy byłem w takim stresie. Spostrzegłem, że od mojego „bezpiecznego" miejsca, gdzieś około dziesięć metrów, wody są już spokojniejsze, bez większych prądów i zawirowań, już się tak nie pieni, jak wokół mnie. To mnie zdopingowało. Zdecydowałem się dopłynąć do upragnionego brzegu o własnych siłach. Odbiłem się mocno nogami od

tego zbawiennego miejsca i po kilkunastu minutach uporczywego przedzierania się przez silne jeszcze w tym miejscu prądy, będąc w dalszym ciągu znoszony w dół rzeki, znalazłem się na spokojniejszych wodach. Teraz nadzieje na ocalenie nie opuszczały mnie. Bez walki z nurtem rzecznym całą energię mogłem poświęcić li tylko na utrzymanie się na powierzchni wody. Byłem pewny sukcesu. Pozwoliłem nieznacznie znosić się w dół rzeki, wkładając minimalne siły jedynie na ciągłe ukierunkowanie do brzegu. Nawet moje pełne wody buty nie mogły już teraz przeszkodzić w dopłynięciu do upragnionego lądu. W obliczu nadziei człowiek potrafi wydobyć z siebie ostatnie maksimum sił do pokonania wszelkich przeszkód. Nadzieja i wiara to sprzymierzeńcy człowieka. Osoby biegnące brzegiem były coraz wyraźniejsze, przybliżały się. Mając do brzegu jeszcze kilka metrów, mama nie wytrzymała nerwowo, wskoczyła do wody i podając mi długi pręt, którego mocno się chwyciłem, wyciągnęła mnie z wody. Inni dobiegli i pomogli przenieść na wyższe partie brzegowe. Dopiero teraz okazało się, jak wielkiego wyczerpania doznałem w tej kąpieli. Nie pozostało we mnie sił nawet na tyle, aby utrzymać się na własnych nogach. Przylgnąłem do zmarzniętej ziemi nie mogąc się ruszyć z miejsca. Czułem suchą gorycz w ustach, a język odmawiał mi posłuszeństwa. Chciałem spać. Ale spać mi nie pozwolono. Ktoś podniósł mnie z ziemi zachęcając do samodzielnego poruszania się. Niestety, nogi moje, jak dwa wałki z waty, uginały się pod ciężarem. Bez pomocy innych osób nie mogłem o własnych siłach nawet zrobić kroku. Miejsce, w którym wydobyto mnie z wody było gęsto zarośnięte wikliną, a wokół żadnego domostwa. Do mostu, z którego spadłem i gdzie robotnicy palili ognisko, było o wiele za daleko. Nie byłem w stanie dojść o własnych siłach. Wzmagał się mroźny wiatr i zaczął nawiewać suchym śniegiem. Zimno mnie przenikało wraz z wilgocią do kości, a odzienie mi ciążyło jeszcze mocniej niż w wodzie. Za sowitą opłatą dwóch robotników, którzy dla ciekawości aż tu przybiegli, wzięli mnie przemokniętego na ręce i ruszyli w kierunku ogniska. Przy ognisku, gdzie zebrała się spora grupa gapiów opowiadając między sobą całe zdarzenie, mama zdjęła ze mnie mokre łachy, wytarła ręcznikiem i owinęła grubym wełnianym kocem. Wypoczywałem, grzejąc się przy ognisku. Wujenka Lidzia w tym czasie zajęła się zbieraniem ocalałych rzeczy. Wszystko, co spadł do rzeki utonęło lub popłynęło do morza, jedynie pościel związana mocno w duży tłumok zatrzymała się przy filarze zaczepiając o żelastwo powalone z przęseł mostu. Tłumok wydostał, wyłowił jeden z robotników mostowych. Zszedł on drabiną i hakiem pożarowym wciągnął na górę, na rusztowanie. Wszystko, co ocalało, a ocalało

niewiele, wujenka z Zarzyckim załadowali na wóz i wyruszyli w dalszą drogę do Pużnik. Woda zabrała nam dużo cennych rzeczy, między innymi komplet garnków kuchennych, całą garderobę mamy, część pościeli, krzesła i karton z drobiazgami. Przed nami ponowna perspektywa dorabiania się i uzupełniania braków w gospodarstwie domowym.

Po odpoczynku, kiedy poczułem nawrót sił, mama na moje nagie ciało narzuciła swoją jesionkę, głowę owinęła wełnianą chustą i tak wróciliśmy do Kaczmarki. Przechodnie z niedowierzaniem gapili się na nas wypytując o szczegóły. Jesionka, chusta i nagie nogi w mokrych trzewikach wszystko to wyglądało na przebierańców z jakiejś maskarady. Kaczmarka, jak zwykle, przyjęła nas serdecznie i z głośnym płaczem, do którego zawsze skłonna była z byle powodu. Napojono mnie gorącym mlekiem, natarto wywarem ziołowym i szczelnie okryto pierzyną. Zasnąłem mocnym snem. Mama zaś suszyła moje rzeczy, opowiadała zdarzenie i raz jeszcze odnowa wszystko przeżywała. Spałem do południa dnia następnego. Wstałem lekko zakatarzony i z dużym kacem psychicznym. Mama nadal przeżywała wczorajszy dzień. Nie mogła zrozumieć, pogodzić się i wybaczyć Zarzyckiemu, że pomimo iż z jego winy ewidentnej nastąpiła wywrotka, nie zgodził się dać konia do ratowania mojego życia. Taka moralność nie mieściła się w jej pojęciu, tym bardziej, że był chętny chłop wśród gapiów, który godził się popłynąć na koniu w moją stronę. Zarzycki zaś bał się o konia i jak po latach, kiedy go spotkałem na pogrzebie cioci Komarnickiej w 1970 r., przyznał, że nie wierzył w możliwość uratowania mnie przy takiej pogodzie, jaka w tym dniu była, a wszyscy obserwatorzy z brzegu nie dawali mi najmniejszych szans w tej nierównej walce z żywiołem, chociaż podziwiali moje zmagania. On nie widział potrzeby poświęcenia konia, bo nie wierzył w powodzenie takiej akcji ratunkowej. To że nie utonąłem, według jego oceny to tylko cud mógł tego dokonać.

Po trzech dniach odpoczynku wyruszyliśmy do Pużnik. Niżniów, miejsce uświęcone moją młodością, gdzie spoczywają prochy moich przodków, opuściłem na zawsze. Pomimo wszystkich trudności życiowych i koszmarów wojennych, Niżniów pozostawił we mnie ciepły kącik, pełen wzruszeń i miłych wspomnień, które zachowam do końca moich dni. Urok tego miasteczka, urok tych gór, lasów i wreszcie tych wszystkich miejsc, z którymi powiązanych jest tyle wspomnień rodzinnych i osobistych – pozostał we mnie i kto wie, czy nie będą one towarzyszem moich ostatnich chwil świadomości w życiu moim.

W Pużnikach powitano nas serdecznie. Byłem ponownie bohaterem licznych opowiadań prawdziwych i nieprawdziwych. Wiadomość o wyda-

rzeniach sprzed trzech dni rozeszła się po zaścianku błyskawicznie. Rozprawiano przede wszystkim o cudzie, a w aureoli tego cudu byłem ja.

Zaraz po urządzeniu się, zamieszkaliśmy w Klukowie razem z babcią i wujenką Lidzią, poszedłem nawet do szkoły. Przyjęto mnie, po wstępnej rozmowie, do czwartej klasy. Szkoła była okazałym budynkiem obok kościoła, dobrze urządzona i posiadała w swoim gronie dobrych pedagogów. Kierownikiem tej szkoły był Mieczysław Warunek, który w szkole zaprowadził iście żelazną, wojskową dyscyplinę. Sam w niedługim czasie odczuję na prawym uchu, że do szkoły przychodzić należy punktualnie. Niestety, wkrótce Warunek został aresztowany za przynależność do AK. Był oficerem i dowódcą pododdziału AK. Z katorgi Warunek do Polski wrócił dopiero w 1956 roku. Szkoła pozostała bez kierownictwa, a że czasy były niepewne – naukę przerwano. Dla mnie była to wielka strata. Od aresztowania Capiego dopiero teraz trafiłem do szkoły, w której mogłem się czegoś nauczyć. Niektóre wiadomości zdobyte w tej szkole tkwią mi w głowie do dziś. Język niemiecki poznawałem z samouczków i słownika, i dopiero tu, w tej szkole, poznałem deklinacje. Tu otrzymałem początki wiadomości z geografii świata. Ciepło wspominam nauczycieli i nowych kolegów z klasy. Pamiętam, jak na czele ze Zbyszkiem Nowickim, posiadającym uzdolnienia plastyczne, malowaliśmy patriotyczne obrazki, na których obowiązkowo zawsze widniał orzeł biały. Dziś Zbyszek maluje ciekawe pejzaże, choć nie ukończył akademii w tej dziedzinie.

Szkołę w Pużnikach wspominam dobrze, bo była to szkoła polska i o dobrym poziomie nauczania. Szkoda, że czas jej pedagogicznej działalności był dla mnie niedługi i tak brutalnie został przerwany. Nie miałem szczęśliwej drogi edukacyjnej początkowego nauczania, co wycisnęło piętno na moim wykształceniu ogólnym.

Od kilku miesięcy dochodziły już nas wieści, że w naszych okolicach zdarzają się wypadki napadów na polskie wsie i osady nawet w białe dnie. Często obserwowaliśmy wieczorami lub nocą łuny palących się okolicznych osad i wiosek podolskich. Ogarniała nas zgroza na myśl, że wnet przyjdą do nas. Docierały wieści, że banderowcy, jakby planowo, palą i niszczą wszystko, co polskie we wszystkich województwach południowo-wschodnich, w całej Galicji. Żyliśmy w strachu i z ciążącą myślą, że Pużnik ostoi polskości nie ominą, że nawet dobra organizacja obronna nie odstraszy ukraińskich nacjonalistów. Nasze pierwsze ofiary barbarzyństwa były już w listopadzie i grudniu. W listopadzie schwytano kilka kobiet polskich wraz z dziećmi i w sąsiedniej wsi ukraińskiej żywcem spalono, w starej, samotnie stojącej szopie. Wśród ofiar była też

sąsiadka babci, Łapiekowa wraz ze starszą córką Kazimierą. W grudniu zaś banderowcy zastosowali inną metodę mordu. Schwytane kobiety były bite, a następnie rozstrzelane. W lutym 1945 r. w Zalesiu zamordowano kilka osób z Pużnik. Pamiętam, że z tej grupy ciężko ranne przeżyły dwie kobiety, w tym koleżanka mojej mamy Maria Jarzycka, która ciężko ranna (kilka ran postrzałowych) dowlokła się do domu pozostawiając w Zalesiu martwą 10-letnią córkę. Rozpacz matki po stracie jedynej córki nie wygasła przez całe jej życie. Ile razy odwiedzała w Niemysłowicach moją mamę, zawsze wspominała swoje dziecko ze łzami w oczach. Była nieszczęśliwą kobietą przez całe życie. W 1945 r. w Koropcu, już po spaleniu Pużnik, w czasie leśnej obławy złapano dużą ilość banderowców. Jarzycka rozpoznała wśród nich jednego z tych, którzy strzelali do niej i do jej córki. Zapytano ją, jaką karę mu zasądza, a każda zostanie wykonana. Wielu w tym czasie wieszano bez sądu, dla odstraszenia. Jarzycka odpowiedziała na tę propozycję, że nie ona go sądzić będzie, niech go Bóg sądzi. Jeszcze tej samej nocy, dzięki zdradzie wartownika aresztu, razem z innymi oprawcami i ten złoczyńca uciekł. Już w tym czasie zorganizowane były z ochotników tak zwane Istrebitielnyje Bataliony, przeznaczone do walki z banderowcami i zdarzało się, że w szeregi tych batalionów wkradali się nacjonaliści ukraińscy. Bataliony te, w których służyło wielu Polaków, z wielkim poświęceniem tropiły banderowców, ale były to niestety siły zbyt szczupłe.

Wrócę do 1944 roku. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Zima w porównaniu z rokiem poprzednim zawitała do nas wcześniej, a obfite opady śniegu utrwaliły ją na długie miesiące. Była to jeszcze jedna ciężka zima okresu wojny. Święta, tak ważne dla Polaków, mama chciała urządzić tradycyjnie, bez niedostatków na stole wigilijnym. Postanowiła przez handel wymienny zdobyć trochę towaru, który przyczyni się do uświetnienia tych świątecznych chwil. Zdobyła kilka paczek sprasowanego tytoniu, świeże masło, rozlała resztki folwarcznego spirytusu i nie bacząc na niebezpieczeństwa, jakie mogą ją spotkać, wyruszyła do Stanisławowa, obiecując sobie dokonanie świetnych zakupów za sprzedane produkty. Odradzaliśmy matce tę wyprawę. Zima ciężka, drogi zawiane śniegiem, żadnej planowej komunikacji, a do Stanisławowa ponad 40 kilometrów, w tym część drogi przez lasy i ukraińskie wsie. Słowem droga trudna i niebezpieczna. Mama jednak nie zważała na te trudności. Była troskliwą i dobrą kobietą, zdolną do poświęceń nie tylko swoim bliskim. Ten wyczyn chociażby świadczy o jej troskliwości i szlachetnym sercu. Załadowała pełny rubzak towarami i wyruszyła w tę śnieżną zawieję. Trasę

wybrała przez Niżniów. Na jej powrót czekaliśmy z duszą na ramieniu przez kilka, bardzo długich dni. Po tygodniu wróciła zmęczona i bardzo spłakana, bez obiecanych świątecznych łakoci i bez pieniędzy za sprzedany towar. Płacząc opowiadała, jaka przygoda ją spotkała. Po dotarciu do Stanisławowa, zaraz na drugi dzień rano udała się na bazar, gdzie prawie hurtem, za dobrą cenę, sprzedała swój towar. Zysk był znaczny i zanosiło się, że zakupy świąteczne będą obfite. Niestety, spotkało ją to, co w czasie powrotu z Syberii. Czuła zmęczenie i była zmarznięta. Kupiła na straganie herbatę lipową i wtedy cały utarg został jej skradziony. Biedne matczysko, aż się rozchorowała. Nie mogła przeboleć, że tyle trudu poszło na marne i że święta nie będą takie, jakie sobie wymarzyła i na jakie swoim wysiłkiem zasłużyła, na jakie zapracowała. Przyniosła trochę prezentów świątecznych od rodziny i to wszystko. Pamiętam, że od rodziny Kanclerzów mieszkających na Majzlach w Stanisławowie otrzymałem piękną książkę o egzotycznych zwierzętach. Książką tą cieszyłem się zaledwie siedem tygodni. Ogień pożarł ją, jak pozostałe przedmioty.

Święta były skromne. Od przymusowej kąpieli w Dniestrze nie czułem się najlepiej. Stan mego zdrowia ciągle się pogarszał. Ogólne osłabienie połączone z częstymi bólami głowy dokuczały mi przez cały pobyt w Pużnikach. Jeszcze ten ciągły strach towarzyszący nam permanentnie o każdej porze dnia i nocy. Czułem ulgę jedynie w czasie angażowania się w jakieś przedsięwzięcia np. organizowanie zabaw, sportów zimowych, czy w patrolowanie terenu Klukowa. Nawet w Święta Bożego Narodzenia braliśmy udział w obserwowaniu terenu przed wsią wypatrując, czy aby banderowcy nie pokazali się na horyzoncie.

Zbliżał się nowy, 1945 rok. Zapamiętałem północ sylwestrową. Nowy rok przywitaliśmy wyjątkowo radośnie, licząc na jego przychylność włącznie z końcem wojny. Kto miał broń palną, rakietnicę – oddawał salut powitalny na część nowych nadziei i lepszych czasów. Te strzały, a szczególnie rakiety wystrzeliwane w powietrze były dla okolicznych wiosek ukraińskich dowodem, że Pużniki dysponują siłą i są gotowe do odparcia każdego ataku. Ale były to jedynie pozory. Prawda była inna. Wielu mężczyzn ubyło z rodzinnych domów. Jednych NKWD aresztowało, innych powołano do wojska. Obrona pozostała w rękach starszych panów i „młodzieńców". Wieś przeto została poważnie osłabiona i obowiązkiem każdego, kto mógł udźwignąć karabin, było w jakiejkolwiek formie brać udział w czuwaniu i ewentualnej obronie. Zorganizowano kilka punktów obserwacyjnych połączonych w jeden system alarmowy. Mój udział w tym łańcuchu działań zapobiegawczych był skromny. Wraz z innymi dwa razy

w tygodniu obserwowaliśmy przedpole Klukowa oraz drogi wiodące do Pużnik. W tym celu wchodziliśmy na „horb", czyli na wzniesienie zwane z ukraińska „horbem", i tam wypatrywaliśmy wroga. Najprzyjemniejsze dyżury były nocą, szczególnie gdy księżyc oświetlał śniegiem przykrytą ziemię. Bawiliśmy się w zimowy sposób przez całe godziny swojego dyżurowania. Mroźny blask księżyca podkreślał piękno krajobrazu, który zachęcał nas do sportów zimowych. Aby jednak sumiennie pełnić swoje dyżury, nie tracąc ani na chwilę z pola widzenia naszych sektorów, tworzyliśmy rotację, jedna grupka obserwowała, druga zjeżdżała w dół do Potoczka. Po dwóch, trzech zjazdach następowała zmiana. Takie zmiany pozwalały nam nie tylko rozkoszować się zjazdami (na sankach, nartach), ale jednocześnie dawały możliwość przy wejściu na górę – rozgrzania się. Przecież była to zima z niskimi temperaturami. Dla nas młodych były to najpiękniejsze igraszki zimowe, chociaż w scenerii karabinu. Tak w ciągłym wyczekiwaniu upłynął nam styczeń. W lutym babcia zaproponowała, żeby wychodzić na nocleg do cioci Kasi. Z domu babci, w razie napadu, mamy długą drogę ucieczki rowem do lasu. Ciocia mieszkała trochę na uboczu, pod osłoną skarpy z jednej strony i bliżej lasu, a zabudowania położone były tuż nad wąwozem. Zaczęła się wędrówka. W każdy wieczór wychodziliśmy z domu do cioci, pomimo że przy takiej ilości osób wygód tam nie było. Sypialiśmy na podłogach, jak śledzie w beczce, w ubraniach, zdejmując jedynie buty. U cioci na noclegi zbierała się cała rodzina i niektórzy mieszkańcy Klukowa. Bywały noce, że oprócz domowników na nocleg zgłaszało się dwadzieścia osób dodatkowo.

Tak długie czuwanie i niewygody nocą trochę nas wszystkich zmęczyły i uśpiły. Nawet młodym znudziły się harce zimowe. Zbliżał się koniec karnawału. Zaczęliśmy organizować u Leszka tańce i ci, którzy byli wolni od dyżuru, przychodzi na tańce. Były to moje pierwsze kroki taneczne, jeżeli chodzi o taniec towarzyski. Przygrywano na grzebieniu, łyżkach, a stół i przykrywki do garnków służyły jako perkusja. Nie mieliśmy nafty. Izbę oświetlaliśmy łuczywem, co było przyczyną dodatkowej uciechy karnawałowej. Często izba była pełna młodzieży w różnym wieku. Zabawy te zwykle trwały do północy. Po zabawie, gdy do cioci Kasi docierałem, wszystkie miejsca zwykle były już zajęte. Z tego powodu często nie wysypiałem się i po nocy, po powrocie do domu, odsypiałem swoje braki.

Trzynastego lutego kończył się karnawał i kończył się czas zabaw. Zakończenie karnawału zorganizowaliśmy jak zwykle u Leszka. Rozgrzaliśmy kuchnię, do popiołu drzewnego wsypaliśmy sporą ilość ziemniaków, ktoś przemycił trochę samogonu i rozpoczęła się zabawa na sto dwa.

Bawiliśmy się (nie tylko tańcem) do prawie dwunastej. Kiedy po zabawie dotarłem do cioci, była już Środa Popielcowa, zaczął się dzień 14 lutego 1945 roku. Jak w każdą noc, położyłem się obok innych śpiących już osób, zdejmując jedynie trzewiki, kurtkę i marynarkę, i natychmiast zasnąłem, a może jeszcze szybciej. Dobrze już spałem, gdy nad śpiącymi ktoś wykrzykiwał: banderowcy... uciekać do lasu. Ktoś inny zaczął mnie tarmosić i krzyczeć: wstawaj i uciekaj… Zerwałam się z podłogi półprzytomny nie wiedząc, co mam czynić. W izbie powstała panika, jedni usiłowali coś na siebie włożyć, inni wyskakiwali na podwórko, a wszyscy nawzajem ciągle się nawoływali. Usłyszałem głos mamy. Ponaglała babcię do wyjścia. Chwyciłem swoje buty i wyskoczyłem boso na podwórko. Zetknięcie z zimnym śniegiem otrzeźwiło mnie zupełnie. Buty trzymając cały czas w ręku nałożyłem na bose, mokre nogi. Łuny palącego się Klukowa i ryki zwierząt przeraziły mnie tak bardzo, że nie mogłem poradzić sobie z zasznurowaniem swoich butów. Sąsiednie domy już się paliły, a w ogrodach widać było poruszających się bandytów, niektórzy z nich biegli w naszą stronę z palącymi się pochodniami. Z naszego podwórka strzelano z broni strzeleckiej. Kilka osób osłaniało naszą ucieczką do wąwozu i dalej w las. Nawoływano do pośpiechu, a ja nadal nie mogłem sobie poradzić przy sznurowaniu trzewików. Na podwórku ciągle jeszcze słychać strzały naszej osłony, chociaż swąd palących się domów wraz z dymem dolatywał do nas coraz mocniej. Ktoś mnie mocno pchnął w kierunku wąwozu i gdy znalazłem się już w wąwozie odzyskałem w pełni zdolność oceny sytuacji. W wąwozie stwierdziłem, że nie byłem sam. Niektórym mieszkańcom Klulowa udało się dotrzeć do nas i razem ruszyliśmy w dół w kierunku lasu. Niektórzy dźwigali swoje „majętności", wykazując potworne zmęczenie. Uciekaliśmy, aby jak najdalej znaleźć się od pożarów, od zagrożenia. Rozbiegały się rodziny, każdy schronić się chciał jak najskuteczniej i każdy schronienie to organizował na własną rękę. Grożące niebezpieczeństwo często odbiera ludziom rozsądek i możliwości trzeźwego myślenia. Widziałem to w czasie tej ucieczki i sam tego doświadczyłem. Kiedy znalazłem się już na Kopankach zobaczyłem, że jestem wśród ludzi, ale bez najbliższych. Nie wiedziałem, co mogło się wydarzyć, czy aby wszyscy zdążyli opuścić mieszkanie przed podpaleniem? Dopiero po chwili ujrzałem mamę biegnącą razem z babcią. Obie były zmęczone. Staruszka nie nadążała i mama ją prawie ciągnęła. Grupa ludzi, oszalałych ze strachu, powiększała się. Ciągle ktoś do nas dołączał. Za nami rozprzestrzeniała się łuna palącego się już domu cioci Kasi. Z wąwozu na Kopankach widoczne było niebo gorejące, niebo we

wszystkich czarnych cieniach. Zaczęliśmy się nerwowo naradzać i szukać kryjówek. Dołączył do nas jeszcze Janek, syn cioci Działoszyńskiej. Był zmarznięty. Uciekł w jednej cienkiej wiatrówce, która w żadnym razie ogrzać go nie mogła. Ja chociaż miałem ciepłą marynarkę, a on był prawie nagi.

Postanowiliśmy, że babcia razem z innymi podąży dalej do lasu, my zaś wdrapiemy się po skalistym stoku do młodnika grabowego. Skała w nocnej poświacie wyglądała jakby wisiała z lewej strony nad wąwozem. Co nas skłoniło wdrapywać się na nią? Racjonalnie uzasadnić nie potrafię. Wdrapując się na górę musieliśmy pokonać zwisy śniegowe i zamiast zatrzymać się w połowie na tej skale i zagrzebać się w śniegu, brnęliśmy dalej bez zastanowienia. Gdy znaleźliśmy się w zagajniku wyszukałem stary szaniec zasypany śniegiem, w którym z łatwością urządziliśmy sobie „gniazdko", przysypując się śniegiem. Na górze okazało się, że jest nas czworo. Za nami poszła córka sąsiadów Bronka, która jeszcze wczoraj partnerowała mi na zabawie. Mama w ostatniej chwili zabrała koc, który okazał się teraz być niezbędny. Wszyscy przytuleni do siebie, owinięci kocem i mamy jesionką, i przykryci śniegiem leżeliśmy bez ruchu. Poczułem zmęczenie i senność, a po krótkim czasie potworny ziąb. Przez cały czas dolatywały do nas odgłosy strzałów oraz swąd dymu. Leżeliśmy w tym okopie nie wiadomo jak długo, bojąc się poruszyć i rozmawiać. W pewnym momencie usłyszeliśmy zbliżające się, coraz wyraźniejsze odgłosy prowadzonych rozmów w języku ukraińskim, a po chwili nawet skrzypienie śniegu słychać było bardzo wyraźnie. Wesoło opowiadali sobie, przekrzykując się nawzajem, swoje sukcesy… ilu który zabił, ile zagród podpalił… Zamarliśmy ze strachu, a zęby mi tak dzwoniły, że byłem pewny, że jeżeli przestaną głośno mówić, to dzwonienie moich zębów banderowcy usłyszą. Wybór miejsca na schronienie był fatalny. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że tak niedaleko przebiega droga, którą banderowcy będą wracać do swoich ciepłych i bezpiecznych domów po wykonaniu zbrodniczego zadania. Przeżyliśmy ciężkie chwile słysząc ich rozmowy. Odetchnęliśmy, gdy głosy te zaczęły się oddalać i z czasem umilkły. Siedzieliśmy nadal zlodowaceni, bojąc się poruszyć. Przejmujące zimno dokuczało nam coraz okrutniej. Tej nocy mróz przekroczył dwadzieścia stopni, a my półnadzy siedzimy w bezruchu zaparpani w śniegu. Strzały ucichły, łuny widoczne z naszego miejsca coraz słabsze, a przez rzadkie już dymy zaczyna świtać. Postanowiliśmy zejść do wąwozu. Na prawo, w dole dogorywał Kluków i cioci zabudowania. Zjechaliśmy po śniegu do wąwozu. Ludzie powoli wychodzili ze swoich kryjówek i zaczęli

się gromadzić w wąwozie. Każdy badał z wielką ostrożnością teren, czy nie ma już zagrożenia. Jeden drugiego wypytuje o bliskich, znajomych. Rozgrzewamy się bieganiem, tupaniem, ale niewiele to pomaga. Ciało wyziębione niełatwo jest ogrzać. Decydujemy się wracać do Klukowa. Jeszcze nie wiemy, nie znamy finału nocnego polowania… Dziś jeszcze wspominając tę noc, skóra mi cierpnie na grzbiecie. To była potworna noc. Ile to już razy byłem w śmiertelnym zagrożeniu i ile nacierpiałem się zimna, głodu i strachu, a przecież nie byłem żołnierzem walczącym na froncie, nie brałem udziału w walkach partyzanckich. Niech każda wojna i każdy, kto ją wznieca – będą przeklęci.

Nieśmiało i z wielką ostrożnością wracaliśmy wąwozem do swoich domostw. Woń spalenizny biła w nozdrza. Pierwsze pogorzelisko, jakie ujrzałem, to zabudowania cioci Kasi, które przed kilkoma godzinami opuszczaliśmy w popłochu. Spłonęło wszystko, nawet oddalona od zagrody suszarnia tytoniu. Wujek Komarnicki przed ucieczką zdążył wyprowadzić wszystkie zwierzęta, które teraz błąkają się po ogrodzie. Kiedy doszliśmy do Klukowa, wtedy dopiero doznałem morza smutku i rozpaczy. To co zobaczyłem, było już tylko obrazem zgliszcz. Tu nie zdążono uwolnić żywego dobytku, ba, nie wszyscy mieszkańcy sami zdążyli ujść śmierci. Pod mostem kilka ciał pomordowanych, a wśród nich dziadek Anieli Krzywoń – bohaterki spod Lenino. W oborach zwęglone konie, krowy, a niektóre jeszcze się męczyły na uwięzi. Moje króliki, które przez przypadek nie utonęły w Dniestrze, doznały ciężkich poparzeń, a niektóre oślepłe. Żal mi było zwierząt i nie wstydziłem się tego, żałowałem ich więcej niż ludzi, chociaż już w owym czasie często rozmyślałem nad niezrozumiałą dla mnie ludzką śmiercią. Dom babci dogorywał. Kikut komina górował nad czarnym rumowiskiem. Wpadłem, nie bacząc na niebezpieczeństwo zawalenia się do wewnątrz. W naszej izbie wszystko spłonęło, a pośrodku trochę gruzu sufitowego i trochę zwęglonego zboża. Jedyną rzeczą nadającą się jeszcze do użytku w tych zwęglonych szczątkach to samotnie wiszący na ścianie mój śniadaniowy garnuszek, ze złotą otoczką i z napisem, że w każdym domu rano pije się kawę. Był cały, jedynie złote napisy zbladłe. Dotarłem do miejsca, w którym stała komoda przywieziona z Niżniowa. Z komody i jej zawartości jedynie garstka popiołu pozostała. Nad komodą wisiał obraz Kossaka, wierna kopia „Olszynki". Pozostał jedynie zaczep na gwoździu. Najbardziej ubolewałem nad stratą dokumentów i pamiątek rodzinnych, a szczególnie pamiątek po moim ojcu. Nawet muszla morska, którą mi ojciec przed laty przywiózł z Gdyni i z wewnątrz której szumu morza nadsłuchiwałem, nie wytrzymała ognia. Popękała i pozostały jedy-

nie okruchy. Zdjąłem ze ściany garnuszek i ostrożnie wydostałem się z tych zgliszcz. Stanęliśmy z mamą przed spalonym domostwem pogrążeni w apatii, bez wizji dnia jutrzejszego. Takich obrazów nie da się zapomnieć, one zapadają człowiekowi w serce niczym rozległy, piekący ból zawałowca. Do Klukowa coraz więcej mieszkańców docierała do swoich zgliszcz i coraz więcej docierało do nas wieści, kto zginął, kto gdzie się skrył. Zjawiła się wreszcie oczekiwana babcia wraz z wujenką Lidzią. Pamiętam, że wśród wszystkich rozpaczających jedynie babcia była jakby obojętna i pocieszała nas, że Bóg tak chciał, że mogło być gorzej, a wy jeszcze jesteście młodzi i wszystko odbudujecie. Pierwsza wojna, mówiła, także wszystko pochłonęła, zostałam z siedmiorgiem dzieci pod gołym niebem i dzięki Bogu poradziliśmy sobie. Teraz również winniśmy Bogu dziękować, że żyjemy. Zapamiętałem te słowa.

Poszliśmy dalej do wioski, szukając pozostałych bliskich i ocalałego domu, w którym można by było się schronić przed zimnem. Ludzie chodzili jak lunatycy, nawet mało kto płakał. Wszyscy byli przerażeni i nawiedzeni głębokim smutkiem. Znoszono ciała ofiar. Niektóre były w przerażającym stanie. Byli też i ranni, którym udzielono pierwszej pomocy. Ci, którzy pozostali przy życiu, jeszcze tego samego dnia zorganizowali pogrzeb. Wszystkie ofiary pogrzebano w dwóch mogiłach na cmentarzu pużnieckim. Pośrodku mogiły postawiono, naprędce zbite drewniane krzyże, które ponoć do dziś stoją na mogiłach, w których spoczywa ponad 70 osób ofiar napadu. Ceremonia pogrzebu odbyła się w ciszy, bez płaczu i lamentu, co ponownie pobudziło moje rozmyślanie. Długo zastanawiałem się, jak to jest, że ludzie po jednym zmarłym rozpaczają głośno płacząc, omdlewają, ale gdy giną setki – pozostali przy życiu nie lamentują. Swoją rozpacz, swój żal przeżywają w ciszy i w skrytości. Dziś myślę, że w takich chwilach jesteśmy poniekąd uspokojeni, że ten los ofiar nie spotkał nas, że nie my staliśmy się ofiaramim chociaż byliśmy tak samo narażeni. Tu zwycięża ludzki egoizm.

Po pogrzebie mieszkańcy zaczęli się gromadzić w domach, które nie spalono. Niewiele tych budynków oszczędzono. Nienaruszone budynki, takie jak szkoła i probostwo mogły pomieścić większą ilość ludzi i tam zorganizowano punkty zbiorowego żywienia, zajęto się sprawami tych, którzy pozostali przy życiu. Byliśmy bez perspektyw, ale żyć trzeba. Ale zanim coś się postanowi, każdy z żyjących otrzymał solidny obiad ugotowany przez gospodynie. Mięsa było w brud. Dobijano krowy, świnie i inne pomniejsze zwierzęta domowe, które ucierpiały w pożarach. Nikt nie pościł w Środę Popielcową. W czasie posiłku ludzie w przyciszonych

rozmowach dzielili się wrażeniami, każdy opisywał co przeżył i co widział, wspominano też tych, którzy zginęli. W przeciągu trzech miesięcy przeżyłem w potwornym strachu raz walcząc z wodą i drugi raz walcząc ze śniegiem w czasie ucieczki. Banderowcy na Pużniki napadli ze wszystkich stron równocześnie po północy. Jeżeli napotkali na opór w jednym miejscu, szukali dojścia do wioski w innym. Wszystko, co żyło i ruszało się było dla nich celem. Zabijali czym w co był uzbrojony, strzałem z broni strzeleckiej, siekierami, nożami, nawet kołami. Część z tych siepaczy szli od domu do domu i podpalali. W niektórych miejscach Polacy długo się bronili, a np. na probostwie bronili się skutecznie, odpierając atak za atakiem. W tej obronie widziano też ofiary po stronie atakujących, ale przy odstąpieniu banderowcy swoich zabitych i rannych zabierali.

Szeroko komentowano, jak jeden z mieszkańców w ostatniej chwili chwycił niemowlę z kołyski i wybiegł z nim w pole. Tam został trafiony pociskiem i padł razem z dzieckiem. Rano gdy go znaleziono, usłyszano płacz dziecka. Denat leżał twarzą do ziemi, podparty łokciami, a pod jego kożuchem, pod klatką piersiową, w ciepłym gniazdku kwiliło dzieciątko. Ile silnej woli musiał mieć przed skonaniem, że padając na twarz, aby nie udusić dziecka, upadł na zgięte w łokciach ręce i w tej pozycji zastygł. Dziecko płakało rano bardziej z głodu niźli z zimna i niewygód.

Po obiedzie znalazłem w jednej z klas szkolnych cichy kąt, owinąłem się kocem i zasnąłem. Od tej pory nic więcej nie pamiętam. Nie pamiętam, jak długo spałem i kiedy zdecydowano się na wyjazd z zaścianka. Nawet nie zachowałem w pamięci spalonych budynków w środku wioski. Pamiętam jedynie spalony Kluków. Może dlatego Kluków utrwalił mi się w pamięci, ponieważ byłem z nim emocjonalnie związany, tam w popiołach pozostała naszą tożsamość.

Sięgam pamięcią dopiero do dnia, w którym wyszliśmy z zaścianka w drodze do Buczacza. Całą społeczność podzielono na dwie grupy. Jedna grupa udała się do Koropca, druga do Buczacza. Nasza cała rodzina została skierowana do Buczacza. Szliśmy w nieznane opuszczając miejsce, w którym przeżyło wiele pokoleń moich przodków, których kości spoczywają na tutejszym cmentarzu. A przecież jeszcze kilka dni temu tętniło tu życie, które kształtowane było przez wiele pokoleń. Dziś z mozolnej ich pracy pozostają ruiny i garstka popiołu. Po latach docierają do mnie wiadomości, że już nawet ruin nie ma, wszystko zarosło krzewami, sady zdziczały, drogi zanikły, a cała okolica wcale nie przypomina, że tam kiedyś żyli ludzie ze swoimi radościami i troskami. Pozostała jedynie kapliczka Matki Boskiej w Kamiennej jaskini. Mnie zaś często nawie-

dzają sceny ostatniej nocy: Zimno, dymy, sterczący w ruinach komin i te przerażające odgłosy dochodzące ze spalonych obór.

Podróż do Buczacza była smutna i ciężka. Grupa nasza, którą stanowili członkowie kilku rodzin, była liczebnie dość pokaźna. Towarzyszyła nam jedynie furmanka, ta sama z której spadłem do Dniestru. Zarzycki ze swoją rodziną razem z nami podążali do Buczacza, w którym tylko nieliczni mieli znajomych, u których mogą się zatrzymać, pozostali liczyli jedynie na łut szczęścia, że znajdą jakiś dach nad głową. Droga obfitowała w duże zaspy i nasza karawana poruszała się dość wolno. Pamiętam smutno – zabawne zdarzenie z tej podróży. Babcia moja, 69-letnia już kobieta, zmęczona, niefortunnie potknęła się i upadła. Ktoś jej pomógł wygrzebać się z obfitego śniegu i dalej nadal kroczyliśmy po tej nierównej drodze. W pewnym momencie babcia stanęła i woła: Dzieci moje, niech ktoś wróci, bo przy upadku zgubiłam rękę. Trzeba było babci perswadować, że ręka jest na miejscu, tylko z zimna straciła w niej czucie. Babcię wsadzono na wóz, owinięto kocem, ciągle tym samym, i mogliśmy maszerować dalej. Po kilkugodzinnym marszu, późnym wieczorem, dotarliśmy do Buczacza. Ci, którzy mieli tu znajomych, rozeszli się każdy w swoim kierunku, my zaś razem z Zarzyckim zatrzymaliśmy się u jego znajomych. Było nas o wiele za dużo, aby każdemu wymościć posłanie. Znalazłem w zimnej sieni ciemny kąt, owinąłem się kocem i zmęczony zasnąłem natychmiast. Sen miałem twardy, chociaż bez wygód. Rano wstałem zdrętwiały i zziębnięty. Gospodarze dali nam adres w Śródmieściu, gdzie będziemy mogli zatrzymać się, aż coś znajdziemy na dłużej. Byliśmy bez pieniędzy, bez żywności, bez odzieży i bez domu. Pozostał nam jedynie piękny budzik, który mama zawsze zabierała ze sobą idąc na nocleg do cioci. Że też pamiętała o nim w czasie napadu. Pod wskazanym adresem przyjęła nas pani Helena Tatomir życzliwie i gościnnie, chociaż ośmioosobowa grupa zapełniła wszystkie kąty w jej skromnym mieszkaniu. Pani Helena mieszkała w Śródmieściu, naprzeciwko pięknego barokowego ratusza. Przed wojną była właścicielką restauracji i obszernego mieszkania w środku Buczacza. W czasie wojny ilość pokoi w jej mieszkaniu wciąż topniała, władze okupacyjne zabierały na kwatery, a gdy przyszli czerwonoarmiści, dokończyli dzieła konkwistadora, pozostawiając pani Helenie pokój z kuchnią, który zajmowała wraz z przybraną córką Romą. Mąż jej w tym czasie siedział w więzieniu NKWD. Początkowo gościny udzieliła nam wszystkim, tj. cioci Kasi z Władką i Jankiem, cioci Tosi z Cesią i Jankiem oraz nam. Wujek Komarnicki z córką Tosią pozostał z Zarzyckimi na Podzamczu. Było nam ciasno, dziesięć osób to stanow-

czo za dużo na tej niedużej powierzchni, dlatego wszyscy zdawali sobie sprawę, że część z nas musi szukać sobie mieszkania, nie mogliśmy nadużywać dobroci gospodyni. Po tygodniu ciocia Kasia z Władką i Jankiem wyprowadzili się. Było, jak z tą żydowską kozą, teraz całkiem dobrze. Pani Helena zachęcała nas do pozostania w tym składzie do ewentualnego powrotu męża z więzienia, na co cały czas czekała. Dobrzy ludzie są wszędzie. Nasza fundatorka robiła wiele, aby zapewnić nam byt. Dała nam dach nad głową, żywiła ale też i miała dla nas wiele życzliwości. Czyniła wszystko, abyśmy życia swojego nie traktowali jako wegetację, a jej dobroć i wyrozumiałość, jako jałmużnę. Szczególnie ja jej winien jestem wdzięczność i pamięć oraz ciepłe wspomnienie. W krótkim czasie zdobyłem jej sympatię i stałem się jej ulubieńcem. W tajemnicy przed pozostałymi domownikami dawała mi pieniądze na smakołyki, interesowała się moim zdrowiem, które z dnia na dzień pogarszało się, a nawet troszczyła się o moją garderobę. Już w Pużnikach często odczuwałem osłabienie, bóle głowy i nie do wytrzymania mdłości. Teraz te dolegliwości nasiliły się. W nocnych koszmarach ciągle nękali mnie banderowcy o dzikich, obrzydliwie wykrzywionych twarzach. Uciekałem przed nimi, a na drodze zawsze napotykałem ścianę ognia i dymu, który niemiłosiernie mnie dusił, albo bagna, które wciągały mnie w tą obrzydliwą maź. Najgorsze, że nie miałem żadnego zainteresowania życiem. Apatia i mdłości były tak nękające organizm, że sam mój fizyczny wygląd wołał o pomstę do Boga. Pani Helena zatroszczyła się moim zdrowiem, sama prowadziła mnie do różnych lekarzy, pilnowała kuracji i robiła wiele, aby mnie ożywić, czymś zainteresować i doprowadzić do równowagi psychicznej. Lekarze byli bezradni, diagnozy ich były mętne i często krańcowo różne, a mnie miał uleczyć czas.

Nie chciałem i nie mogłem być na łasce nawet tak sympatycznej kobiety, jaką była pani Helena, tym bardziej że i ona miała liczne kłopoty, a szczególnie przygnębiona była aresztowaniem męża. Zabiegała o jego uwolnienie u różnych osób mających wpływ na tego typu sprawy. Wydawała na ten cel oszczędności, dbała, aby nie dokuczał mu głód, dostarczając do więzienia w każdym tygodniu pieczoną kaczkę, aby nie brakowało mu ciepłej bielizny, a on w przyszłości, już po wojnie, potraktuje ją brutalnie i zostawi chorą bez opieki. Robiłem wszystko, aby przezwyciężyć swoją niemoc. W krytycznych chwilach, kiedy siły mnie opuszczały, kładłem się na sofie i po krótkim odpoczynku kontynuowałem swoje zajęcia. Mieliśmy poważne trudności z opałem i aby zdobyć trochę drewna, zacząłem odwiedzać sąsiednie ruiny żydowskich domów, którym

wojna lub czas skróciły żywot. Na szczęście starych ruin było więcej od domów zamieszkałych. Z gruzów wyciągałem stare belki, deski i ściągałem do domu na opał. Razu pewnego odwalając gruz z przypalonych desek, natknąłem się na dużą, w dobrym stanie skrzynię. Po otwarciu oczom moim ukazał się nowy komplet niebieskich garnków. Sprzedawaliśmy te garnki pojedynczo. Ostatni, największy, sprzedałem najkorzystniej na bazarze buczackim. Pieniądze pomogły nam zaopatrzyć się w żywność na wyjazd na Ziemie Odzyskane.

W Buczaczu nauczyłem się robić na drutach. Prułem stare swetry, prałem i następnie robiłem sweter. Zrobiłem wielokolorowy pulower i ciepłe skarpety. Pani Helena żartowała, że to robótka dla dziewczyn, a nie dla kawalera, ale w końcu chwaliła, że szukam sobie pozytywnego zajęcia i zachęcała do podobnych zajęć. Tego typu praca oraz odnoszone sukcesy dawały mi chwilową ulgę, zapomnienie, ale zaraz ponownie wpadałem w apatię i beznadziejność. Podczas słonecznej pogody zwykle kazano mi wychodzić na klatkę schodową i siadać w otwartym dużym oknie, korzystać ze słońca i nagrzanego marcowego powietrza. Wtedy siadałem i gapiłem się na zewnątrz, obserwując piękny rokokowy ratusz, osiemnastowieczną budowlę lub zwykłych przechodniów. Ulica nasza prowadziła od skrzyżowania pod górę i często ludzie na śliskiej jezdni i chodnikach potykali się, stwarzając humorystyczne sytuacje.

Zbliżała się wiosna. Śnieg, a było go tego roku bardzo dużo, już topniał i z góry ulicą spływały śniegowe wody. Słońce tego dnia pięknie dogrzewało, a ja, jak zwykle siedząc w oknie wdychałem świeże powietrze i gapiłem się na przechodniów. Od skrzyżowania pod górę koń leniwie ciągnął zwykłe, chłopskie sanie. Woźnicą był żołnierz radziecki, a na saniach siedział wieśniak, ubrany w kożuszek podpasany sznurkiem, a na głowie miał głęboko naciągniętą kuczmę. Sanie zatrzymały się tuż pod moim oknem. Woźnica-żołnierz zszedł z sań, zapalił papierosa i stał cierpliwie obok konia. Chłop zdjął kuczmę z głowy, zamoczył ręce w spienionej wodzie, umył twarz i palcami zaczął rozczesywać długie powichrzone włosy. Przechodnie przystawali, gapiąc się na chłopa, jakby wiedzieli już, co to za persona. Spojrzałem w dół ulicy i ujrzałem drugiego krasnoarmiejsca. Szedł wolno pod górę z papierosem w ustach. Gdy zbliżył się do sań około 25–30 metrów, nie zatrzymując się zdejmuje z pleców pepeszę, repetuje i nadal idzie. Chłop widząc żołnierza z bronią gotową do strzału wzniósł ręce do góry i przelękniony, błagającym głosem zaczął wołać: „...pane, ja niczo ne wynen". Ludzie stojący obok szybko odskoczyli od sań pod ścianę. Żołnierz nie bacząc na zapewnie-

nia chłopa o jego niewinności, nie licząc się z bezpieczeństwem gapiów i konia, całkiem już z bliskiej odległości oddał w kierunku chłopa dwie długie serie ze swojej pepeszy. Głowa chłopa opadła na sanie, ręce zwisły i zanurzyły się w śniegowej wodzie, a nogi w konwulsyjnych drgawkach jeszcze przez chwilę się poruszały. Nastała śmiertelna cisza. Żołnierze nie przerywając palenia wsiedli na sanie i powoli ruszyli pod górę. Na jezdni pozostała czerwona plama, którą wolno zmywał topniejący śnieg. Patrzyłem obojętnie na te sceny i bez większych wrażeń zanotowałem w pamięci bardzo szczegółowo jedynie suche fakty. Kiedy ten przypadek porównam do innych przypadków zabójstw czy zwykłych morderstw – nie znajduję podobnej reakcji w mojej psychice. Nawet zwykły nieboszczyk, umarły w łóżku, zawsze robił na mnie mocne wrażenie i długo nie dawał mi spokoju, a tu zabójstwo na moich oczach i nic, żadnej reakcji, żadnego wstrząsu. Zastanawiałem się, czym tłumaczyć moją niewrażliwość, moją znieczulicę, brak głębszej reakcji i nieprzejęcie się losem człowieka – który jeszcze przed chwilą spokojnie zmywał nieczystości ze swojej twarzy. Dziś myślę, że powodem stępienia mojej wrażliwości było wyczerpanie fizyczne i psychiczne oraz fakt, że był to jednak banderowiec, których od czasu do czasu wieszano publicznie. A w ogóle, jest to początek zdecydowanej walki, jaką wydała władza radziecka nacjonalizmowi ukraińskiemu. Rosjanie byli zdecydowani zniszczyć wszystkie zalążki polityczno-partyzanckie Ukraińców nie dlatego, że mordowali Polaków, ale dlatego, że zaczęli zagrażać pojedynczym żołnierzom i członkom władz lokalnych. Widywałem często prowadzone kolumny złapanych banderowców ulicami Buczacza. Złapani nie byli hołubieni. NKWD miało swoje sposoby na szybkie ich pozbycie się. Łagry na Syberii były najczęściej rozwiązaniem problemu.

Przed samymi świętami pani Helena otrzymała od władz miejscowych nakaz opuszczenia tego mieszkania dla potrzeb wojskowych. Nie pomogły prośby, że mieszkają tam też pogorzelcy. Otrzymała przydział na mniejsze mieszkanie przy ul. Mickiewicza obok poczty. Pani Helena wyszukała sublokatorskie mieszkanie dla cioci Działoszyńskiej z dziećmi, a nas tzn. mamę i mnie zabrała ze sobą do „nowego" mieszkania. Mieszkanie było nawet ładne, duży pokój i kuchnia z widokiem na ulicę i z dużym balkonem, ale klatka schodowa i wejście do tej klatki – prymitywne i mocno zaniedbane. Szybko urządziliśmy się i nawet nieźle się tam mieszkało. Jedyną ujemną stroną to obecność w piwnicach i na klatce schodowej plagi szczurów. Gryzoni tych było tak dużo, że często widywałem, jak gęsiego cała rodzina szczurza wędrowała w kierunku rzeki, gdzie były

wysypiska śmieci. Szczury były plagą Buczacza, wędrowały stadnie w biały dzień po jezdni nie bojąc się ludzi.

W kwietniu, zaraz po Świętach Wielkanocnych dotarła do nas bardzo smutna wiadomość. W wieku 37 lat 21 marca w Stanisławowie umarła ciocia Jula, zostawiając dwoje małych dzieci z siedemdziesięcioletnią babcią Paulinką. Nawet nie byliśmy w stanie udzielić jakiejkolwiek pomocy w zaopiekowaniu się dziećmi. Dla mnie był to szok. W dniu, w którym otrzymaliśmy tę wiadomość chodziłem w słotny kwietniowy dzień zabłoconymi ulicami miasta i nie wstydząc się łez – płakałem. Płakałem w samotności, jak płacze pozostawione bez opieki małe dziecko. Czułem, że straciłam kogoś bardzo mi bliskiego, kogoś kogo kochałem i komu bezgranicznie ufałem. W przyszłości nawet śmierć matki mojej nie była dla mnie tak bolesną stratą, jak śmierć cioci Julii. Nie mogłem pojąć, że już nigdy jej nie zobaczę, że nie pobiegnę do niej, gdy będę miał do rozwiązania jakiś problem, którego sam rozwiązać nie potrafię, nie usłyszę jej troskliwego głosu, głosu, który zawsze dodawał mi otuchy. Stratę tę odczułem bardzo boleśnie. Umarła tak dawno, a towarzyszy mi jeszcze do dziś, w chwilach, kiedy najbardziej potrzebuję ciepłego i serdecznego wsparcia. Zawsze czuję, jak silne dawała mnie wsparcie moralne i tego nigdy nie zapomnę. Często widzę oblicze pełne macierzyńskiej dobroci i smutne jej oczy. Brakowało mi ojca, a więc brakowało autorytetu, który winien mi wskazywać słuszną drogę w życiu, uczyć odróżniać dobro od złego. Tymi autorytetami w moim dzieciństwie byli – właściwie nie wiem dlaczego – nie mama, a ciocia Jula, stryjek Kazik i babcia Paulinka. Dlatego śmierć cioci Juli przeżywałem tak boleśnie. Muszę też wspomnieć, że zostałem spadkobiercą jej uczuć patriotycznych. To ona przekazywała mi miłość do ojczyzny tłumacząc, że Polskę nie wystarczy kochać, jej w tej miłości należy się poświęcić, a jeżeli będzie taka konieczność, nawet oddać życie. Miała cechy matki Polki z okresu Powstania Styczniowego.

Gdy tak rozpaczałem za ciocią pod ratuszem sam będąc na krawędzi wytrzymałości fizycznej, pojąłem ostatecznie, że jestem skazany na rychłą śmierć i końca wojny nie doczekam. Mama widząc, jak przeżywam śmierć cioci żałowała, że powiadomiła mnie o tej tragedii.

Przeprowadzka pani Heleny była dodatkowym wstrząsem w jej kręgu zmartwień. Pewnej nocy pani Helena dostała silnej gorączki i straciła przytomność. Lekarz stwierdził zapalenie opon mózgowych. Przez dziesięć dni leżała nie odzyskując przytomności. Mama od jej łóżka nie odstępowała. Pielęgnowała ją, jak tylko potrafiła. Wszelkie sprawunki spadły na mnie. Opiekowaliśmy się i panią Heleną, i jej córką Romą. Kiedy pani

Helena odzyskała przytomność, w domu zapanowała radość, cieszyliśmy się nadzieją na jej całkowite wyzdrowienie. Gdy pierwszy raz po chorobie wyszła z mamą na spacer, nie posiadaliśmy się z radości. Zwycięstwo życia nad śmiercią u osób bliskich jest czymś niepowtarzalnym.

Z okazji 1 Maja, modą sowiecką, zradiofonizowano miasto na wszystkich placach i głównych skrzyżowaniach. Z głośników zawieszonych na słupach od świtu do nocy dolatywała do nas cała propaganda oraz wojenne piosenki radzieckie, a o godzinie $12^{\underline{00}}$ każdego dnia puszczano melodie polskie, krakowiaka i oberka. Chyba mieli tę jedyną płytę, bo powtarzano co dnia te same melodie. Vis a vis naszych okien wisiał głośnik i gdy zbliżała się godzina 12., otwieraliśmy okna i do znudzenia słuchaliśmy tych skocznych melodyjek. Przez pięć lat nie słuchaliśmy radia i nie słyszeliśmy koncertującej orkiestry. Byliśmy tego spragnieni i za to byliśmy wdzięczni tym, którzy tę płytę puszczali.

Z tych głośników dowiedziałem się, że 9 maja odbędzie się wiec i manifestacja ludności z okazji zwycięstwa nad faszystowskimi Niemcami. A jednak doczekałem końca wojny, wojny okrutnej, zbrodniczej. Wstałem bardzo rano i wyszedłem na ulicę. Dzień zapowiadał się pogodny i było ciepło. Mieszkańcy Buczacza powoli zapełniali nieduży plac przed ratuszem, gdzie mieli przemawiać bonzowie partyjni. Podniecenie zebranych wzrastało, a po oficjalnych przemówieniach, w których potwierdzano, że to naprawdę już koniec wojny, doszło do zbiorowej euforii. Ludzie radując się szaleją. Tłum ruszył ulicami ze śpiewem, okrzykami i tańcami. W czasie tej manifestacji chłop z pobliskiej wsi drabiniastym wozem z bocznej uliczki wjechał w tłum nie mogąc uspokoić spłoszone konie. Ludzie rozbiegali się, ale pod tylne koła wpadł mały chłopiec. Chłopiec nie zginął, jedynie koło wozu mocno poraniło mu głowę. Gdy ludzie zobaczyli leżące dziecko mocno zakrwawione, rzucili się na chłopa i z pewnością byliby go zlinczowali, gdyby nie pomoc milicji. Chłopca zabrano do szpitala, a manifestacja poszła dalszymi ulicami. Wieczorem z głośników płynęły melodie taneczne i ludzie tańczyli do późnych godzin nocnych. Nie przeżyłem tego dnia w takiej euforii. Patrzyłem obojętnie na tę manifestację zbiorową, mając w pamięci śmierć cioci i rzeź mieszkańców Puźnik, a i sam nie byłem w pełni sił zdrowotnych.

Przez cały czas pobytu w Buczaczu, jeżeli tylko siły mi pozwalały, chodziłem do kina. Kino mieściło się po drugiej stronie rzeki, obok gimnazjum Słowackiego, w dużej sali. Sala ta była wyposażona w prymitywne ławy, bez numeracji, stale przepełnione, widzowie ściśnięci byli jak śledzie, bez wentylacji, zaduch panował potworny, ale widzów nie brakowało. Nie

zawsze miałem pieniądze na pełny bilet i gdy nie mogłem wejść na salę legalnie, organizowaliśmy z chłopakami spółkę. Składaliśmy się na dwa bilety i systemem wahadłowym wchodziło nas kilku. Jeden wychodził z dwoma biletami i wprowadzał następnego, i ponownie jeden wychodził, a dwóch wchodziło. Dlatego na ławach był ścisk. W tym krótkim czasie obejrzałem cały dorobek kinematografii radzieckiej, szczególnie filmy produkcji wojennej. Film mnie trochę ożywiał i wychodząc z kina byłem jakby odrobinę silniejszy, z większym optymizmem.

Zaraz po 9 maja mama wraz z innymi członkami rodziny zgłosiła w urzędzie repatriacyjnym nasz akces na wyjazd do Polski. Już od dawna wiedzieliśmy, że te tereny zostaną na stałe w granicach sowieckich. Na szczycie mocarstw dokonano oficjalnego zaboru. Nikt z rodziny nie zamierzał pozostawać na obczyźnie tym bardziej, że ojcowizna została spalona i wracać nie było gdzie. Pużniki już nie istniałe. Ponadto Ukraińcy mordować Polaków nie przestali. Wspólny wyjazd zaproponowaliśmy pani Helenie, z czego bardzo się ucieszyła. Gorąco namawiałem i zachęcałem do takiej decyzji. Mama nie chciała pozostawić ją samą z problemami wśród obcych ludzi. Pani Helena jednak postanowiła czekać na męża. Czyniła starania, a płacąc złotem wierzyła, że go wreszcie wypuszczą z więzienia i wtedy razem będą mogli wyjechać. Żal nam było opuszczać Panią Helenę, tyle dobrego nam uczyniła, ale innego wyjścia nie było.

W końcu maja rodzina już koczowała za miastem, przy torach, oczekując na transport, którego termin podstawienia był stałą niewiadomą. Baliśmy się opóźnienia, dlatego dołączyliśmy do oczekujących, obiecując pani Helenie natychmiast napisać, gdy tylko dotrzemy na miejsce, które jeszcze nie jest znane. Przy pożegnaniu wszyscy się popłakali. Pani Helena ostatecznie doczekała się powrotu męża. Na ten cel wyasygnowała kilka starych złotych monet. Do Polski państwo Tatomirowie przyjechali w 1946 roku i osiedlili się we Wrocławiu. W 1947 roku na Święta Bożego Narodzenia wraz z córką pani Helena pierwszy raz odwiedziła nas w Niemysłowicach. Była serdecznie u nas goszczona. Drugi raz przyjechała z córką na wakacje. Pamiętam, że chłopcy mi zazdrościli tak ładnej dziewczyny.

Na obszernych błoniach za miastem, tuż przy torach kolejowych, biwakowały setki Polaków oczekujących na miejsce w transporcie. Ponieważ często padały o tej porze roku deszcze, każdy oczekujący organizował sobie jakieś schronienie, gdzie mógł schronić się przed wiosennym deszczem. Wyglądało to komicznie – dwóch podobnych szałasów niepodobna było znaleźć. Najbiedniejsi Cyganie mieli zasobniejszy obóz. Na transport

niektórzy oczekiwali już dwa tygodnie. Wagony podstawiano dorywczo, nawet nocą, jakby nadprogramowo, trzymając ludzi w niepewności, w nędznych warunkach i narażonych na niebezpieczeństwo napadu skrytobójczego. Wreszcie w czerwcu podstawiono nasz upragniony transport. Jedna trzecia wagonów to wagony bydlęce, 2 lub 3 wagony kryte, zaś pozostałe to węglarki i platformy odkryte. Otrzymaliśmy przydział na węglarkę. Mogliśmy zrezygnować, ale wobec perspektywy dalszego czekania i ten środek transportu cieszył. Wszyscy krzątali się przy załadunku szukając dla siebie w miarę wygodnego miejsca, jak w czasie każdej innej podróży, ale gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, nastąpiła chwila, w której uświadomiono sobie, że jest to ucieczka z ojcowizny, że opuszczamy strony rodzinne na zawsze. Powstał zbiorowy płacz, podobny do żydowskiego lamentu po zmarłym. Gdy transport ruszył, wszyscy na naszej węglarce podchwycili zaintonowaną pieśń „Boże coś Polskę". Był to śpiew rozpaczy. Długo jeszcze śpiewano liczne pieśni religijne i patriotyczne. Dopiero na wskutek rzęsistego deszczu, który nas przemoczył do „nitki", nabożno-patriotyczne śpiewanie przerwano. Nocą byliśmy już we Lwowie. Nie pamiętam przekroczenia granicy, ale zapamiętałem przyjazd do Przemyśla. Na dworcu, na peronach duży ruch. Ludzie w oczekiwaniu na pociąg snuli się po peronach, z zazdrością patrząc na transport odjeżdżający w głąb kraju. Wjeżdżając do Krakowa coś mnie ścisnęło za serce, byłem wzruszony. Pierwszy raz, wprawdzie z wagonu, obserwowałem Kraków, starą stolicę Polski, miasto o którym tyle czytałem w szkolnych czytankach i słyszałem w opowiadaniach mojej babci Paulinki, która pierwszy raz zwiedzała to miasto jeszcze w 19 wieku. Transport nasz wszędzie szybko przepuszczali, nawet w Krakowie na zielone światła nie czekaliśmy zbyt długo. Potrzebne były wagony i musieli nas jak najszybciej dowieść do celu. Wjechaliśmy do Kędzierzyna i pociąg nasz zatrzymał się przy peronie. Obok polskich napisów przeświytywały jeszcze napisy niemieckie. Z rozcieńczonej farby wyłaził napis „Hejdeberg". Po długim postoju przy peronie wmanewrowano nas za stację, gdzie jest skrzyżowanie linii kolejowych i pod laskiem kazano nam wysiadać.

Tu kończy się pewien etap mojego życia. W lasku pod Kędzierzynem, przybiega rubież pomiędzy zróżnicowanymi okresami życia. Skończyły się koszmary, niepewność jutra i skończył się głód, który mi tak nadokuczył. Praktycznie dopiero teraz skończyła się dla mnie i moich ziomków wojna. Przecież jeszcze w czasie oczekiwania na wagony pod Buczaczem nie byliśmy pewni, czy aby nas nie napadną. Mieli nas w terenie otwartym, jak na dłoni. Byliśmy bezbronni i nie mieliśmy żadnych szans ucieczki. Ten

cały balast pozostał w przestrzeni i w czasie tam... w Galicji. Dziś dopiero z dystansu, gdy analizuję i rozmyślam nad tym okresem życia rozumiem, jak czasami było mi w czasie wojny źle, jak trudno było żyć. Na moje pokolenie spadło wszystko, co najgorsze. Okropności wojny, powszechność zbrodni i tragicznych przeżyć zahartowały nas do tego stopnia, że nawet nasze odczucia w tych czasach przestały być dramatami... i dopiero po latach włos się jeży na samo wspomnienie o tych czasach wojny, kiedy nie każdego stać było na śmierć w swojej pościeli. W tym minionym okresie poznałem celę więzienną, gorycz, poniżenia i nędzę. Widziałem już z bliska śmierć polującą na mnie, zaznałem poniewierkę po stepach Kazachstanu i rozległych przestrzeniach Rosji, i to wszystko wydarzyło mi się jak we śnie mego dzieciństwa. Pięć i pół lat zmagań zostało za nami. Teraz nadszedł koniec tej epoki dziejowej, która odchodzi do przeszłości i pozostaje tylko bolesnym wspomnieniem, ale która będzie piętnem na całą moją i mego pokolenia przyszłość. Kraj mój był wielką jedną raną, którą przyjdzie nam leczyć przez kilka pokoleń. Żywioł polski tępiony był ze wszystkich stron. Tępili go Niemcy, bolszewicy, Ukraińcy.

Kończąc ten okres chcę jednak stwierdzić, że trudne i ciężkie dzieciństwo nie dało mi jedynie goryczy – ale najtrafniej mówi poeta: „...ty, prawdziwej nie uronisz łzy... ja – duszę na ramieniu mam, cały zbudowany jestem z ran, lecz kaleką nie ja jestem, tylko ty!". Cierpienie człowieka hartuje i pozwala docenić najdrobniejsze radości, ale życie jest długim, nigdy nie kończącym się procesem uczenia się, w życiu nie można się zgubić.

Teraz dopiero w Kędzierzynie dowiedziałem się, że jestem na Ziemiach Odzyskanych. Moi przodkowie na przełomie 17/18 w. też żyli na Ziemiach Odzyskanych, tymi Ziemiami Odzyskanymi od Turków było Podole i Pokucie.

Opisałem swoje przeżycia, które utrwaliły mi się w pamięci. Wielu wydarzeń, które mi się plącze w pamięci, ale co do których nie mam pewności – nie ująłem w swoich zapiskach. Wspomnienia, jak zwykle pisane po latach zawierają przeżycia najsilniejsze.

Warszawa, grudzień 1985 roku

CZĘŚĆ CZWARTA

1

Ziemie Odzyskane

Często kiedy leżę, spaceruję, jadę, wypoczywam lub budzę się nocą – myślę, przypominając sobie złe i dobre momenty w moim dawnym życiu. W takich chwilach czuję atmosferę tamtych czasów, ba, słyszę głosy rozmawiających bliskich mi osób. W tych rozmyślaniach zawsze widzę, że pamięć młodości nigdy się nie starzeje.

Od wyładunku dwa tygodnie mija, a my ciągle w szałasach koczujemy pod Kędzierzynem. Wyładowano nas z transportu w miejscu, gdzie zbiegają się tory kolejowe z różnych stron, przy małym domku dróżnika, naprzeciw zalesionych piaszczystych pagórków. Z drugiej strony otwarta przestrzeń z kolonią domków jednorodzinnych, które pierwsze padły ofiarą penetracji ludzi z transportów.

Początkowo nikt nie był zorientowany, jak długo mamy w tych warunkach oczekiwać na dalsze decyzje PUR, co do miejsca naszego przekazania. Staliśmy bezradni i zmęczeni nie wiedząc, czy szukać noclegu w pobliskich domkach, czy też w lasku, w którym na piaszczystych pagórkach rosły karłowate drzewa iglaste i krzewy. Porównywaliśmy ten dziwny pejzaż do naszych lasów, lasów pużnickich, niżniowskich. Te tereny w niczym nie przypominały nam naszych pól, łąk, zielonych pagórków. Żal za utratą tego, co pozostało w Galicji, przy tych porównaniach wyciskał łzy z oczu. Tu ujrzeliśmy same piaski i karłowate drzewa sosnowe.

Nie widząc żadnej pomocy ze strony władz, zdecydowano rozbić obóz tuż przy torach, aby nie przegapić podstawionych wagonów. Zaczęliśmy „budować" szałasy podobnie jak pod Buczaczem – każdy we własnym zakresie – z tą różnicą, że tu czuliśmy się bezpieczni, nie lękaliśmy się napadu ukraińskich band i nie nękało nas zimno. Po kilku godzinach szałas dla każdej rodziny był gotowy. Nasz, dla czterech osób, zbudowałem z gałęzi, dykty i kawałków starej papy. Dyktę i papę znalazłem w jednym

z domków, pozostałe materiały ściągnąłem z lasu. Wnętrze wymościłem słomą i mchem, zasłałem kocem i spanie dla babci, mamy, cioci, Lidzi i dla mnie było gotowe. Mama w międzyczasie nad rozpalonym ogniskiem ugotowała skromny posiłek.

Korzystając ze studni obok chaty dróżnika masowo odświeżano się, włącznie z drobnymi przepierkami. Cały ten nasz obóz i ludzie w nim koczujący wyglądał nędznie. W tych warunkach, w oczekiwaniu na transport, spędziliśmy dwa tygodnie.

Na drugi lub trzeci dzień, wybrałem się do okolicznych domów w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia. Produkty żywnościowe z Buczacza były już na wyczerpaniu, władza ludowa o nas zapomniała i należało samemu zdobyć żywność. Gdy nas przywieźli do Kędzierzyna, obiecano dowozić ciepłą strawę, ale na obiecankach pozostało. Po drugiej stronie lasu, chodząc od domu do domu, trafiłem do opuszczonego, walącego się domowiska. Kiedyś musiał to być obszerny dom z dużym ogrodem. Najprawdopodobniej pociski artyleryjskie go rozwaliły, mieszkańcy uciekli, a szabrownicy zabrali, co było do zabrania, co przedstawiało jakąś wartość. We wszystkich pomieszczeniach pełno gruzu i szkła, połamane meble oraz mnóstwo rozsypanego pierza. Rumowisko to przypominało mi walące się domy pożydowskie w Buczaczu. Po spenetrowaniu pomieszczeń mieszkalnych i kuchni zdegustowany zamierzałem już wracać do obozowiska, ale wychodząc z kuchni zauważyłem zrujnowaną spiżarkę. Kiedyś musiał tu być porządek i pełno wiktuałów, a dziś jedynie pobite weki, spleśniały ser na zdemolowanej półce oraz potłuczone talerze i szklanki. Zauważyłem w ciemnym kącie spiżarni biały worek przysypany szkłem i skorupami po talerzach. Po odgrzebaniu okazało się, że ów worek zawierał resztki mąki. Było w nim jeszcze 5–6 kg pszennej mąki. Uradowany chwyciłem tę zdobycz i biegiem do obozu. Po dokładnym przesianiu pożyczonym sitem mąka nadawała się do spożycia. Placki i kluchy mieliśmy do końca naszego obozowania.

Innym razem znalazłem w starej szopie zdemolowany rower. Przydźwigałam go do obozu i zająłem się szykowaniem do jazdy. Jeszcze w Niżniowie w czasie okupacji przyglądałem się, jak stryjek Kazik naprawiał rowery i teraz wiedza ta została spożytkowana. Nigdy nie wiemy, kiedy i jaka umiejętność będzie nam potrzebna. Przy tym majsterkowaniu towarzyszył mi cały tabun chłopców z naszego obozu. Żaden z nich nie znał się na tych mechanizmach i nikt z nich nie potrafił jeszcze jeździć na rowerze. Po dniu mozolnej pracy, pomimo braku odpowiednich kluczy, rower prawie był przygotowany do jazdy. Wszystkiego dokonaliśmy jedy-

nie przy pomocy obcęgów. Początkowo myśleliśmy, że jedyny mankament tego wehikułu to dziurawe dętki i popękane opony. Ale czy taka usterka może być poważną przeszkodą? Z wielkim wrzaskiem pognaliśmy na najbliższe ścieżki z zamiarem przejażdżki. Po kilku obrotach pedałami pękł przerdzewiały łańcuch i skończyła się wspaniale zapowiadająca się zabawa. Po naradzie doszliśmy do wniosku, że przecież bez pedałowania z górki można będzie zjeżdżać. Pierwszy zjazd był nawet udany, choć na piaszczystej leśnej ścieżce trudno było utrzymać się na rowerze bez hamulców. Taka zabawa nie wróżyła nic dobrego. Ponownie wypchnęliśmy rower na górę i po raz drugi, przy pomocy kolegów, wsiadłem na siodełko i ruszyłem przed siebie. Rower nabierając pędu zahaczył o korzeń wystający na ścieżce, a ja nie mogąc utrzymać kierunku, runąłem do wykopu z czasów wojny. Rama roweru przełamała się i niefortunnie uwięziła moją nogę. Nie mogłem o własnych siłach wyplątać się z tej uwięzi. Gdy koledzy pomogli mi wstać, okazało się, że nie mogę poruszać prawą stopą. Najmniejszy ruch sprawiał mi taki ból, że zacząłem jęczeć. Do obozowiska koledzy mnie zanieśli, bo o własnych siłach iść nie mogłem. Całą noc cierpiałem z bólu. Rano stopa wyglądała niepokojąco. Cała zasiniaczona i opuchnięta. Mama wystraszona natychmiast na ratunek przyprowadziła wiejskiego znawcę złamanych i zwichniętych kończyn. Znawca stopę obejrzał, opuchliznę lekko podotykał i błyskawicznie, nie uprzedzając, chwycił moją stopę w obie silne ręce i zdecydowanie szarpnął raz w prawo, raz w lewo. Nie wytrzymałem. Z krzykiem padłem na posłaniu zemdlony. Gdy oprzytomniałem, poczułem małą ulgę, a noga moja obłożona z dwu stron deskami byłam już cała owinięta szmatami. Mama z kompresm nachylona nade mną ocierała moje czoło, a gdy już mogłem chodzić żartowała, że w czasie zabiegu darłem się na całe obozowisko. Po kilku dniach zdjęto mi te deski i po paru moczeniach w gorącej wodzie wstałem i choć jeszcze z bólem, ale o własnych siłach. Mogłem już poruszać się po obozowisku. Tak się skończyła przygoda rowerowa.

Po interwencji naszej delegacji w województwie do obozu przyjechał z Katowic oficer w stopniu kapitana, jako przedstawiciel wojewody Śląsko-Dąbrowskiego, przed którym, po odśpiewaniu „Boże coś Polskę", posypały się gorzkie słowa skarg na warunki, w jakich żyjemy i brak zainteresowania władz naszym losem. Zaraz na drugi lub trzeci dzień podstawiono nam kilka towarowych wagonów i po godzinie byliśmy wszyscy załadowani i gotowi do dalszej podróży. Zawieziono nas do Strzelc Opolskich. Tam po pobieżnym zapoznaniu się z sytuacją i terenem, po naradzie w szerszym gronie wydelegowanym spośród starszych osób,

poprosili przedstawiciela PUR o zmianę powiatu. Ten teren, z niewiadomych mi przyczyn, przesiedleńcom nie odpowiadał. Jeszcze tego samego dnia wróciliśmy do Kędzierzyna i nocleg spędziliśmy już w transporcie. Rano wyjechaliśmy do Prądnika, chociaż w tym samym województwie, ale w przeciwnym kierunku do Strzelc. Do Prądnik dotarliśmy w godzinach przedpołudniowych. Była piękna, słoneczna pogoda. Wiosna już w pełni rozkwitnęła i soczysta zieleń drzew i traw radowała nasze strapione dusze i dodawała uroku otoczeniu zabudowań dworcowych. Po wyładowaniu naszego pseudo bagażu na bocznicę, przedstawiciel tutejszego PUR oświadczył, że każdy z osadników indywidualnie lub zbiorowo może wybrać sobie dowolne miejsce zamieszkania na terenie powiatu prądnickiego. Jeżeli są chętni osiedlić się w mieście, ci otrzymają przydział na mieszkanie w Prądniku. Wysłannicy po zapoznaniu się z terenem wybrali wieś Niemysłowice, oddzieloną od miasta około 4 km. Wszędzie dużo żywej zieleni, bite drogi i swojski widok pobliskich gór. Wszyscy byli ucieszeni tymi terenami. Dworzec i okolice dworca zrobiły na mnie więcej niż dobre wrażenie. Wszędzie na dworcu i przy dworcu schludny porządek, chociaż ani pasażerów, ani też kolejarzy prawie się nie widziało. Transport nasz nie był w Prądniku pierwszym transportem przesiedleńców, ale jednym z pierwszych. Na murach dworca widniały jeszcze niemieckie napisy, strzałki wskazujące zejście do schronu, a pod polską nazwą Prądnik przeświytywała niemiecka nazwa miasta – Neustadt. Z placu przeddworcowego przyjrzałem się panoramie miasta. Z odległości miasto wydało mi się nawet duże, chociaż emanował z niego spokój i wyglądało, jakby było uśpione.

Przemarsz do Niemysłowic – niemiecka nazwa Buchelzdorf – oraz rozdział na poszczególne rodziny domów odbywał się wyjątkowo sprawnie. Do wioski prowadziła piękna droga, początkowo w cieniu starych lip rosnących po obu stronach, a dalej przy lekkim zakręcie w szpalerze młodych drzew, aż do granic wsi. Tu ponownie droga biegła między starymi lipami, aż do lekkiego wzniesienia. Niedaleko wioski pozostałość wojny. W jednym miejscu zasypany już szeroki rów przeciwczołgowy przecinający drogę, ze sterczącymi słupami po bokach, w innym zwisający z drogi nad rowem czołg niemiecki, zaś już w samej wiosce wypalone mury dwupiętrowego budynku hotelowego i restauracyjnego. Dalej droga przebiega obok wioski w kierunku Nysy.

Moja mama oraz jej siostra Tosia Działoszyńska wspólnie otrzymały przydział dużego gospodarstwa, jednego z największych gospodarstw we wsi. Przydziały nadawano z marszu, bez głębszej analizy potrzeb i moż-

liwości zagospodarowania. Czasu na rozważania nie było. Trzeba gdzieś zanocować, coś przygotować do zjedzenia. Stąd ten pośpiech. A i tak pomyłek niewiele było.

Zajęliśmy cały parter dużego domostwa, dwa duże pokoje i olbrzymią kuchnię. Górę jeszcze zajmował właściciel gospodarstwa, Niemiec w starszym wieku wraz z żoną i piękną 18-letnią córką. Do domu mieszkalnego przylegała stajnia dla koni i obora dla krów. Po drugiej stronie podwórza chlewnia wraz z pomieszczeniem na maszyny rolnicze, a całość zamykała stodoła. Podwórko brukowane kamieniami z dużym obmurowanym wykopem na gnój. Tuż przy domu duża staroświecka pompa studzienna. Za stodołą łąka, a z tyłu budynku sad. Byłem zachwycony całością, a najbardziej cieszył mnie koń, który w następnych dniach stał się koniem niezgody wytrawnych gospodarzy, ponieważ był chyba jedynym zwierzęciem czworonożnym w całej wsi. Brakowało nawet psów i kotów, a i gołębie były rzadkością, chociaż w każdym domu były gołębniki. Nie spotkało się w obejściach gospodarskich tego drobiazgu, co zwykle biega po podwórkach wiejskich. Odczuwało się jeszcze smak wojny i to chyba jedyny akcent smutku.

Wioska była wyjątkowo dobrze zorganizowana. Miała wewnętrzną, odrębną od głównej szosy drogę, swoją piekarnię, kuźnię oraz dwa sklepy. Środkiem wioski przebiegał uzbrojony kanał ściekowy. Każde gospodarstwo ogrodzone ze swoją studnią. Po środku 18-wieczny Kościół z ogrodzonym cmentarzem, a obok głównej szosy szkoła i obszerny dom, w którym mieściła się sala widowiskowa ze sceną. W różnych częściach Niemysłowic kilka domów zniszczonych w czasie działań wojennych oraz dwa lub trzy domy pod strzechą, co przypominało po części Pużniki. Było to wszystko dla nas Zabużan nowe, może trochę za bogate, ale, jak się wkrótce okazało, nowi mieszkańcy bardzo szybko przyswoili sobie niemiecki sposób gospodarowania. Początkowo nawet na wzór niemiecki dbano o porządek na swoich obejściach, jak również na swoim odcinku drogi. Droga wiejska była zawsze sprzątnięta. Napisałem początkowo, bo w latach następnych różnie bywało. W Pużnikach przez cały zaścianek przebiegała droga wyjątkowo błotnista i przy większych deszczach była trudna do przebycia nawet wozem, dlatego nikt tam drogi nie sprzątał, nie było takiego zwyczaju.

Już w Kędzierzynie zdrowotnie poczułem się całkiem dobrze. Osłabienie fizyczne ustąpiło i poczułem radość życia, którego tak mi brakowało w Buczaczu. Symbole biedy wojennej pod postacią pokrzywy i obierków ziemniaczanych pozostały gdzieś daleko i przestały straszyć mój

żołądek. Byłem wtedy przekonany, że w nowych warunkach życia głód i bandy UPA mnie już straszyć nie będą.

Z Niemcem, gospodarzem tego domu, ułożyliśmy bardzo dobre wzajemne stosunki. Początkowo Niemiec był nieufny, patrzył na nas podejrzliwie. Nie bardzo wierzył, że dwie kobiety z trójką dorastających dzieci poradzą sobie z tak dużym gospodarstwem. Być może też zamierzał pozostać na swojej ojcowiźnie i widział w nas tych, którzy to gospodarstwo mogą mu odebrać i przeszkodzić w pozostaniu. Wkrótce jednak nabrał do nas zaufania i zmienił swój stosunek do nas i do naszej pracy na bardziej przychylny. Wspólnie wspieraliśmy się w potrzebie i razem pracowaliśmy przy gospodarstwie i w polu. W tym czasie my również nie wiedzieliśmy jeszcze, jak się potoczą sprawy i jaki los czeka naszego gospodarza, czy pozostanie w Niemysłowicach, czy też, jak uczynili inni, wyjedzie na zachód.

Dla mnie był to świat zupełnie nowy. Nigdy nie pracowałem na roli, a moja znajomość tego rzemiosła ograniczała się do uprawy ogródka i pasienia krowy, nawet na Syberii wykorzystywany byłem tylko do posług oraz do poganiania wołów przy wyrobie cegieł. A tu trzeba się uczyć orać, siadać, zbierać i obsługiwać maszyny rolnicze. Początkowo nie było dużo pracy. Zboże dojrzewało, inwentarza oprócz konia nie było, maszyny rolnicze, które się zachowały były sprawne, pozostało jedynie utrzymanie porządku w obejściu oraz przygotowanie stodoły do przyjęcia skoszonego zboża, a wszystkim, jak na razie, kierował gospodarz. Przeto miałem dużo swobody w wykorzystywaniu wolnego czasu.

Wszystko się zmieniło pewnej nocy, z powodu hańbiących zdarzeń. Gdzieś po godzinie 23^{00}, usłyszałem bardzo hałaśliwe dobijanie się do drzwi wejściowych. Ponieważ pokój w którym spałem ja i spała mama był najbliżej, wyszedłem zapytać, kto się tak mocno dobija do naszych drzwi. Do sieni weszło pięciu czerwonoarmiejców z bronią i pytają, czy są tu jeszcze Niemcy. Nie mogłem kłamać nie wiedząc o co im chodzi. We wsi już były aresztowania Niemców, którzy w przeszłości dali odczuć swoją nazistowską zwierzchność nad robotnikami innej narodowości. Pomyślałem, czy też i nasz gospodarz nie jest na liście przestępców, ponieważ przymusowych robotników w swoim gospodarstwie również wykorzystywał. Wskazałem im drogę na piętro i czekałem w sieni, żeby po ich wyjściu ponownie zamknąć drzwi. Po chwili jeden z nich zszedł na dół i tonem rozkazującym obwieścił, że oni tu zabawią do rana, a ja mam zamknąć drzwi i położyć się spać. Odgłosy ucztowania dochodziły do nas przez całą noc. Rano, skoro świt, Rosjanie wyjechali i nastała

cisza. Dopiero po kilku godzinach Niemka zwierzyła się mojej mamie, co się nocą na górze wydarzyło. Było nam żal szczególnie tej młodej dziewczyny, która zszokowana wyglądała jak obłąkana. Ojciec nie dawał poznać, że przeżywa ten gwałt na swojej żonie i jedynej córce w jego obecności. Zachował przed otoczeniem kamienne, blade oblicze, ale wszyscy wiedzieli, co on czuje i co w nim pozostanie przez całe życie. Wzgarda do Rosjan pozostanie już na całe życie w całej rodzinie i w następnych pokoleniach. Współczuliśmy im serdecznie. Niemiec od tej pory stał się apatyczny i milczący. Przestał się zajmować gospodarstwem i nawet koń, do którego czuł wielki sentyment, przestał go zajmować. Jedna noc zmieniła tak wiele w naszych stosunkach i w jego życiu.

Nie bardzo mogę umiejscowić w czasie, ale było to chyba w lipcu 1945 roku. Do Niemysłowic, z liczną ochroną, zawitał generał Aleksander Zawadzki, wojewoda Śląsko-Dąbrowski. Towarzyszyli mu też dwaj generałowie radzieccy i płk radziecki, komendant miasta Prądnika. Sołtys Karol Wiśniewski naprędce zwołał na małym placyku przed kuźnią mieszkańców na spotkanie z gośćmi. Wojewoda przemówił do Polaków bardzo serdecznie i z ojcowską troską wypytywał mieszkańców, jak się w nowych warunkach żyje i dlaczego nie na wszystkich domach – zauważył to przejeżdżając przez wieś – wiszą chorągiewki o naszych barwach narodowych. Początkowo nieśmiało, a gdy wojewoda zachęcał do szczerości i odwagi, posypały się pytania i żale. Pytano, czy Niemcy, którzy jeszcze nie wyjechali, pozostaną w Niemysłowicach na stałe, czy zboże zebrane z pola należy do nas, czy też mamy je oddać Rosjanom, jak tego sobie życzy obecny komendant miasta, że komendant nakłada na nas kontrybucje, nie tylko na zboże, ale w ogóle pan pułkownik Polaków traktuje jak przymusową siłę roboczą, natomiast Niemców gloryfikuje, że nie czujemy się tu gospodarzami nawet w domach, z których Niemcy już wyjechali. Jeden z mieszkańców doniósł, że Komendant nawet maszyny kazał demontować w fabryce włókienniczej i szykuje je do wywózki jako zdobycz wojenną. Było w tych żalach wiele prawdy. Niektórzy z zebranych w trakcie spotkania płakali.

Jeden z generałów radzieckich, gdy mu te skargi przetłumaczono, zwrócił się do obecnego pułkownika, który zdobył sobie przydomek polakożercy, czy to, co usłyszał od mieszkańców jest prawdą i nie czekając na odpowiedź ordynarnie go zrugał. To ruganie trwało dość długo. Stałem obok komendanta i uważnie obserwowałem go. Bardzo się dziwiłem, że oficer frontowy, obyty z ciężkimi warunkami wojennymi, będąc z pewnością nie jeden raz w zagrożeniu, ze strachu przed generałem trząsł

się jak galareta nie w pełni jeszcze zastygła. Pomyślałem, że ja będąc na jego miejscu nigdy nie dałbym poznać otoczeniu swojego strachu w tak widoczny sposób.

Spotkanie zakończono jak zwykle patriotycznie odśpiewaniem Roty „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród". Następnego dnia dotarła do nas wiadomość, że w Prądniku komendantem miasta został inny oficer, który okazał się później być Polakom przyjaznym.

Po wyjeździe Zawadzkiego kilku Niemców zostało aresztowanych za jakieś przewinienia z czasów wojny, a pozostali w pośpiechu pakowali na małe, podręczne wózki swoje majętności i zaczęli opuszczać wieś.

Ponieważ nasz gospodarz po niemiecku mógł porozumieć się jedynie z moją mamą i ze mną – nasza wspólna nauka tego języka w latach 1942–44 ponownie stała się przydatna – przyszedł do naszego pokoju i po raz pierwszy od tej złowrogiej nocy przemówił. Krótko zapytał, co mogą z domu zabrać na wyjazd do Rajchu. Trochę nas zdziwiło jego pytanie i nie bardzo wiedzieliśmy, o jakie dobra mu chodzi, ale mama, nie uzgadniając nawet z ciocią Tosią odpowiedziała mu również krótko: co chce i co może zabrać, co jest w stanie zabrać, niech zabiera. Niemiec skłonił się, powiedział danke i wyszedł. Sceny związane z wyjazdem naszych gospodarzy utrwaliły mi się z wyjątkową dokładnością. Pomagałem w załadunku na średniej wielkości wózek, podobny do wiejskiej fury drabiniastej wszystko, co przygotowali do zabrania. Były tam przedmioty pierwszej potrzeby. Pościel, trochę garnków, osobista garderoba, rodzinne portrety, żywność na drogę oraz osobiste drobiazgi. W niczym im nie utrudnialiśmy. Co mogli zabrać na ten wózek – zabrali. Pożegnania nie było. Jedynie Niemka płacząc uścisnęła się z mamą i ciocią. Jeszcze dziś widzę, jak Niemiec stał przez chwilę blady, patrząc na swoje gospodarstwo, a następnie trzymając za dyszel pociągnął w stronę szosy załadowany po brzegi wózek, a żona z córką z torbami i plecakami podążały za nim. Pomyślałem wtedy, że choć Niemiec zapewne przeżywał podobny żal, który rozrywał nasze serca, gdy opuszczaliśmy swojej strony, swoje dobra doczesne, to jednak myśmy wyjeżdżali w innych warunkach, o których Niemcowi się nawet nie śniło, nie mieliśmy tyle szczęścia, co oni. Nasze straty były nieporównywalnie większe i my byliśmy wypędzenie dosłownie, nie mieliśmy wózków, ani co włożyć do tych wózków.

Po kilkunastu minutach zdyszany Niemiec ponownie pojawił się w domu, przepraszając gorąco, prosi żeby mu zezwolić zabrać pamiątkową rzecz, którą w pośpiechu zapomnieli zapakować. Poszedłem z nim na górę do pokoju, w którym stała duża szafa. Niemiec się schylił i spod

szafy wyciągnął zawiniątko w zielonym suknie. W mojej obecności rozwinął ten pakuneczek i pokazał jego zawartość. Był tam złoty, kieszonkowy zegarek z dewizką, i z dedykacją z 1905 roku, złota broszka, chyba dwa pierścionki z brylantami oraz długi, rozerwany łańcuszek o grubych ogniwach. Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem i po chwili namysłu wziął do ręki łańcuszek i wręczył mi go na pamiątkę. Nie czekając na moją reakcję szybko zbiegł schodami do sieni i zniknął w drzwiach.

Ewakuacja Niemców, myślę, że trafniejsze będzie określenie – wyjazd Niemców – trwał kilka dni. Polacy wykazali w stosunku do nich dużo ciepłych, ludzkich uczuć. Nikt im nie urągał, nikt nie pomstował, nawet ci, którzy nie mieli czystego sumienia w stosunku do Polaków pracujących u nich nie byli przez nas gnębieni. Tymi zajęła się bezpieka lub NKWD.

Gdy Niemcy opuścili wioskę, Karol Wiśniewski, korzystając z władzy sołtysa zaproponował nam osobne, nie zajęte jeszcze domy. Nęciło go duże gospodarstwo i koń w tym gospodarstwie. Było mi trochę żal tego domu, ale mama nowym, zaproponowanym domem byłam zachwycona. Zaraz po wyprowadzeniu się całe gospodarstwo przyszło w ręce licznej rodziny Wiśniewskich. W latach następnych w tej olbrzymiej kuchni urządzano dla starszej młodzieży wieczory taneczne. Nasz dom położony był od dwa numery dalej, a cioci Tosi obok gospodarstwa cioci Kasi. Teraz wszyscy z naszej rodziny mieli swoje samodzielne gospodarstwa.

Właścicielami naszego domu pod numerem 85 byli niezbyt bogaci Niemcy. Urządzenie domu było bardzo skromne. Staroświeckie meble i ubogie wyposażenie gospodarstwa domowego mogło świadczyć, że jedynym dochodem tych mieszkańców był sklep. Dom opuszczony został jeszcze przed naszym przyjazdem. Przypuszczam, że ktoś w tym domu był członkiem NSDAP, ponieważ na strychach pozostawiono, obok niezliczonej ilości książek, potężną ilość faszystowskich materiałów propagandowych. Plakaty, portrety dostojników partyjnych, zdjęcia z partyjnych defilad i zebrań, gazety, a nawet flagi ze swastykami. Być może wszystko, co było na strychach, przeznaczone było do sprzedaży, ale komu potrzebne były zdjęcia z zebrań partyjnych?

Mając tak straszne doświadczenia wojenne, wiedząc z jakim okrucieństwem Niemcy traktowali Żydów, Polaków, Rosjan, rozważyłem i ciągle pytałem starszych, czy jest to możliwe, aby obok portretu Hitlera wisiał w pokoju sielski obrazek o charakterze religijnym. Obrazek ów, oprawiony w duże profilowane ramki, przedstawiał piękne urwisko, do którego, biegnąc za motylem, zbliża się mały chłopiec w granatowym marynarskim ubranku, o bujnych blond włosach, a nad nim w niebiesko-białej

szacie unosi się z białymi, potężnymi skrzydłami anioł czuwający nad bezpieczeństwem malca. Oglądając ten obrazek, który wisiał w moim pokoju, nie mogłem pogodzić właścicieli tego wizerunku z okrucieństwem hitlerowców. Ta sprzeczność długo mnie męczyła.

Do domu prowadziły masywne, choć bardzo wąskie drzwi, nad którymi była wnęka. Tam zawsze spoczywał dużych rozmiarów klucz, gdy wszyscy wychodzili z domu. Sień duża z piecem do wypieku chleba. Z sieni wejście do kuchni, do pokoju, dwóch spiżarek, małej stajenki i do sklepu. Sklep z dużą szybą wystawową, ladą oraz licznymi półkami. Na górze duży pokój i kilka ściętych strychów. Na zapleczu domu duże pomieszczenie, nadające się do rozbudowy 2–3 pokoi. Wszystkie na parterze okna podwójne i małe. Sklep z drugim wejściem od podwórka. Dom podpiwniczony, a piwnica każdej wiosny i jesieni zalewana wodami podskórnymi. Przed domem płytka studnia z dużą ręczną pompą. Podwórko nachylone ku drodze, wyłożone „kocimi łbami". Obok domu piętrowa budowla, gdzie w części górnej pomieszczenie na drobiazgi, zaś na dole był chlew i pomieszczenie na króliki oraz WC. Na tyłach sad, a w nim kilka jabłoni i śliw. To była nasza majętność z półtora hektarowym polem uprawnym. Miałem czternaście lat, wreszcie własny dom, ukończoną pierwszą klasę szkoły powszechnej i wielką, jeszcze nie zagojoną, wojenną ranę w duszy. Słowem przechlapane dzieciństwo i mgliste perspektywy na przyszłość.

Myślę, że w tym miejscu należy wspomnieć o naszych początkach na Ziemiach Odzyskanych. Już w Kędzierzynie poznaliśmy słowo szaber i jego znaczenie. Otóż szaber to przywłaszczenie sobie wszystkiego, co zostało bez właściciela i bez opieki. A więc wszelkie rzeczy zabrane np. z opuszczonego domu nazwano szabrem. Szaber w pierwszych latach powojennych był tak popularny, że przykładowo zrabowane maszyny z publicznych urządzeń miejskich nie nazywano zwykłą kradzieżą, a szabrem, który nie był z różnych względów karany. Otóż nasze początki uświęcone były szabrem. Szaber stał się publicznym, codziennym rytuałem. Wszyscy czegoś szukali, coś ściągali do swoich domów, wzbogacając w ten sposób swoje majętności. Ja również wiele czasu poświęciłem temu procederowi. Chodziłem po obejściach, penetrowałem opuszczone domy i szukałem, czegoś nieokreślonego, co by się nadawało na szaber. Kiedyś w jednym domu znalazłem nowy damski but, który odpowiadał rozmiarowi nogi mamy. Następne dwa dni poświęciłem szukaniu drugiego buta. Wśród rupieci znalazłem drugi i byłem usatysfakcjonowany nie żałując czasu, jaki poświęciłem szukaniu. Innym razem na szaber dotarłem aż do Prądnika. Tam znalazłem wieczne pióro „Pelikana", które służyło mi

kilka lat, oraz aluminiowy odlew katedry gotyckiej w Kolonii. Odlew ten o tyle zasługuje na wspomnienie, ponieważ wykonany był z taką precyzją, że wszyscy podziwiali. Każdy szczególik był mocno zaakcentowany. Często gapiłem się na tę katedrę podziwiając żmudną, precyzyjną pracę artysty. Ostatnią zdobyczą z szabru był stary, popsuty, z wielką tubą patefon, któremu poświęciłem wiele godzin pracy, aż go doprowadziłem do jako takiej sprawności. Inni szabrowali narzędzia, maszyny, meble i inne sprzęty potrzebne w domowym gospodarstwie, a ja szukałem drobiazgów. Moje jednak największe i najcenniejsze zdobycze to rowery i części do rowerów. W przyszłości do końca mojego pobytu w Niemysłowicach zawsze miałem dwa, trzy rowery i byłem zaopatrzeniowcem w części do rowerów dla całej okolicy. Sklepów z rowerami jeszcze długo nie będzie.

Taki szaber trwał dość długo. Wytrawni szabrownicy wywożąc z Ziem Odzyskanych do centralnej Polski meble i różnego rodzaju maszyny – robili kokosowe interesy. My ograniczyliśmy się jedynie do małych wózków, które w tym czasie były modne i krążyły po okolicach wyładowane dobrami doczesnymi. Władza miasta nie była jeszcze zorganizowana na tyle, aby mogła zapobiec opróżnianiu mieszkań, które otworem stały przed szabrownikami.

Życie w Niemysłowicach zaczęło się stabilizować. Mama, nie wiem gdzie, zdobyła dwie kury, ja w sąsiedniej wsi w Rudziczce za koło do roweru przyniosłem do domu kotną samicę królika, zaraz po żniwach kupiłem parę gołębi, co było moim marzeniem, w domu znalazł się, tak w tym czasie potrzebny kot, a już zimą w naszym chlewiku kwiczał mały prosiaczek. Wieś zaczęła żyć normalnym życiem. Od Rosjan za bimber kupowano krowy, konie, które, jako zdobycz wojenną pędzili tabunami na wschód. Za litr samogonu można było zdobyć przy odrobinie szczęścia dobrą krowę. W krótkim okresie we wsi było już kilkanaście koni i kilkadziesiąt krów. Zaczęły też napływać dary z UNRA. W naszej stajence również pojawiła się jałówka, która już w następnym roku jako młoda krowa dostarczała nam mleka.

Lato 1945 roku zapamiętałem jako jedno ze wspanialszych. Pierwsze powojenne lato było piękne pod każdym względem. Słoneczne, ciepłe i spokojne, bez nalotów i bez napadów ukraińskich, bez pożarów i ucieczek, i wreszcie bez strachu o życie swoje oraz najbliższych. Odnosiło się wrażenie, że żyjemy w słonecznej Italii, opisywanej przez poetów. Było to beztroskie moje jedyne i ostatnie lato. Wszystkie inne były już pracowite, obciążone różnymi obowiązkami domowymi, społecznymi oraz szkolnymi.

Z ważniejszych momentów zbiorowego życia naszej społeczności były starania o księdza i otwarcie kościoła. Pamiętam, że trwało to dość długo, a gdy osiemnastowieczny kościół został otwarty dla wiernych, okazało się, że kuria przysłała księdza autochtona, co parafianom nie odpowiadało. Ponownie wystąpiono do Kurii o księdza „swojskiego" i walczono do skutku.

Młodzi zaczęli się pobierać, urządzać wesela i chrzciny. Pierwszym nieboszczykiem był mieszkaniec Niemysłowic o nazwisku Kret (śmierć jego była zagadkowa – mówiono, że zmarł ze strachu przed odpowiedzialnością za grzechy okupacyjne). Życie zaczęło nabierać sensu. Gdy sięgam pamięcią do tego okresu to widzę, jak mocno i drobiazgowo dawne zwyczaje, a nawet animozje przywlekliśmy ze sobą z Pużnik na Ziemie Odzyskane. Bardzo trafnie przedstawia ten okres film „Sami swoi".

Do ważnych przedsięwzięć tego okresu zaliczyć należy zwalczanie na polach szkodników. Latem 1945 roku plaga mysz niszczyła obfite zbiory w zastraszającym tempie. Wolny czas często poświęcaliśmy na oczyszczania pól i stodół z tych gryzoni. Oprócz codziennych zajęć domowych zaczęto organizować różnego rodzaju uroczystości, nadrabiając zaległości na wskutek zawirowań wojennych. Jeszcze wtedy w ludziach dominowała euforia wyzwolenia i wiara w lepszą przyszłość. Powracające wojska – jeżeli szlak powrotny prowadził przez Niemysłowice – były pretekstem do wydawania przyjęć powitalnych. Nad szosą zbudowano bramę powitalną i niektóre oddziały wojskowe zatrzymywano na nocleg w przygotowanych na ten cel domach i stodołach. Wszystkich żołnierzy goszczono serdecznie i uroczyście. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy późną nocą dowódca kompanii, Rosjanin, łamaną polszczyzną rozkazał podoficerowi obudzić śpiących żołnierzy do modlitwy, która powinna być odmawiana rano i wieczorem w każdych okolicznościach. Dla wierzącego chrześcijanina wydarzenie to było godne zastanowienia, że z ust bolszewika takie polecenia są wydawane. Często do tego momentu wracałem rozważając nad apolitycznością wojska. Mieszkańcy wioski doczekali się też swojego bohatera. Z wojny powrócił, jako pierwszy Pużnianin, sierżant Jarzycki. To on w następnych tygodniach ćwiczył chłopaków przygotowując ich do służby wojskowej.

Po żniwach w Niemysłowicach zorganizowano huczne dożynki. Ustawione stoły na łące przy szosie obfitowały w napoje i zakąski. Wśród zaproszonych gości nawet osobiście pan starosta prądnicki bawił, oklaskując tańce i recytacje przygotowane przez młodzież na tę okoliczność. Drętwych przemówień okolicznościowych jeszcze w tym czasie nie wygłaszano. Zastąpiono je toastami. Bawiono się do późnych godzin nocnych.

Już na początku września rozpoczęła swoją działalność szkoła. Kuratorium na stanowisko kierownika szkoły skierowało pana Mężyka, a do grona nauczycieli kierownik przyjął dwie nauczycielki miejscowe i jedną skierowaną przez Kuratorium. Początek nauczania nie był jak w normalnej szkole. Nie wszyscy uczniowie mieli świadectwa, natomiast wszyscy mieli przerwy w nauczaniu i duże luki w wiedzy. Należało przeprowadzić selekcję i w/g poziomu wiedzy przydzielić każdego ucznia do odpowiedniej klasy. Teoretycznie przewidziano pięć klas na początek. Długo zastanawiałem się, w której klasie powinienem rozpocząć naukę. Miałem ukończoną zaledwie pierwszą klasę w 1939 roku i po kilka tygodni w klasie drugiej, trzeciej i czwartej. Najdłużej w czasie wojny chodziłem do szkoły na Syberii oraz w 1943 r. zimą do szkoły w klasztorze. Byłem bardziej samoukiem. Miałem potworne luki, z których zdawałem sobie sprawę i nie czułem się na siłach pójść, jak inni koledzy, do szkoły w Prądniku. Bałem się kompromitacji. Wiekowo odpowiadałem w spokojnych czasach klasie gimnazjalnej, ale wiedzą? Na próbę zapisałem się do klasy piątej. Rozpocząłem po pięciu latach przerwy normalną naukę w normalnej polskiej szkole. Przez tydzień kierownik każdego z osobna poznawał, co sobą reprezentujemy i co umiemy. Klasówki, głośne czytanie, opowiadanie, co przeczytaliśmy, i nauka wiersza oraz rozwiązywanie prostych zadań arytmetycznych przy tablicy. Po tygodniu kierownik każdemu uczniowi poświęcił chwilę zalecając, w czym należy się „podciągnąć" nadrabiając braki i jak samodzielnie pracować, aby w krótkim czasie poziom w klasie wyrównać. Najwięcej utyskiwań i narzekań wypowiadanych było na brak umiejętności płynnego czytania. Ten zarzut stawiany był prawie wszystkim uczniom. Na zakończenie tego omówienia kierownik wymienił dwa nazwiska zalecając tym uczniom rozpoczęcie nauki w klasie czwartej, natomiast mnie zaproponował rozpocząć naukę w klasie szóstej w Prądniku. Stwierdził, że w tej klasie przy poziomie tych uczniów zmarnuję tylko jeszcze jeden rok. Z tej przyczyny znalazłem się w klasie szóstej Publicznej Szkoły Powszechnej nr 1 w Prądniku.

Szkoła w Prądniku niestety jeszcze nie funkcjonowała. W czasie działań frontowych budynek szkoły zajęty był przez wojsko i teraz wymagał gruntownego przygotowania dla potrzeb oświaty. Uczniowie starszych klas byli wykorzystywani do prac porządkowych. Znalazłem się w grupie uczniów przeznaczonej do przenoszenia sprzętu szkolnego, wywiezionego z budynku szkolnego. Nie było środka lokomocji i wszystkie meble bez względu na wielkość i ciężar, a także pomoce szkolne, złożone w magazynach o kilka ulic dalej, przenosiliśmy do szkoły na plecach, indywidualnie

i grupowo, po 3–4 uczniów. Po kilku dniach porządkowania rok szkolny rozpoczęliśmy dopiero w końcu września. Najstarszą klasą była klasa szósta. Uczniom, którzy nie zamierzali dalej się kształcić, siódmą klasę otwarto dopiero w następnym roku.

Nasza klasa była dziwnym powojennym tworem. Rozpiętość wiekowa sięgała 7 lat. Pamiętam kilku już dorosłych dziewiętnastolatków, a byli też i trzynastolatkowie. Nauka w tej klasie była podobna bardziej do nauczania indywidualnego. Nie było podręczników, książek, mieliśmy np. do języka polskiego i historii jedną czytankę pt. „Ku lepszej przyszłości". Z niej czerpaliśmy wiedzę wszechstronną. Utkwił w pamięci wiersz z tej czytanki pt. „Pogrzeb Kościuszki". Wiersz ten był kanwą nauczania historii okresów rozbiorowych, a z języka polskiego rozbioru gramatycznego poszczególnych wersetów. Pamiętam nauczyciela – polonistę, któremu Oświęcim odebrał zdrowie i fizyczne, i psychiczne. Pomimo tego z pasją wkładał nam do tych zakutych łbów treści „Pana Tadeusza". Ponieważ jedyny egzemplarz, jakim dysponował nauczyciel, nie mógł zaspokoić potrzeb wszystkich uczniów, połowę lekcji poświęcał dyktowaniu poszczególnych ksiąg do nauki w domu, a połowę wyjaśnianiu tła historycznego i społecznego. Lubiłem te lekcje polskiego. Wychowawcą naszej klasy był pan Tkacz. W latach sześćdziesiątych spotkałem go na Marszałkowskiej w Warszawie. Uczył nas matematyki. Miał w tym ułatwione zadanie. Tablica i kreda wystarczały w uczeniu tego przedmiotu. Największe trudności występowały w nauczaniu geografii i przyrody. W tych przedmiotach odczuwaliśmy bolesny brak podręczników. Świeżo wydaną mapę Polski zdobyłem dopiero w 1946 roku. Nie było podręczników, brakowało książek, ale byli nauczyciele, którzy chcieli nas czegoś pozytywnego nauczyć i robili więcej od etatowych i statutowych obowiązków nauczyciela, aby wyrównać poziom i przygotować nas do egzaminów wstępnych do gimnazjum. Mam wiele wdzięczności dla tych pedagogów poświęcających nam tyle czasu osobistego i cierpliwości, choć sami przeszli przez piekło wojny i niektórzy powinni leczyć swoje wojenne rany. Nasz wychowawca w latach następnych został dyrektorem tej szkoły i uczył moją bratanicę. Dziś myślę, że choć dużo skorzystałem w tym roku szkolnym – szkołę powszechną skończyłem nawet z wynikiem dobrym – to jednak popełniłem błąd, że nie odważyłem się wstąpić od razu do gimnazjum, razem z kolegami z Niemysłowic. Rok w gimnazjum dałby mi więcej korzyści, nawet zakładając, że w pierwszej klasie repetowałbym.

Do Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Mickiewicza przyjęty zostałem bez egzaminu wstępnego i we wrześniu 1946 roku rozpocząłem naukę

w innych już warunkach i w innym klimacie. Gimnazjum mieściło się w klasycznym budynku szkolnym, wśród zieleni drzew, na styku z parkiem i otoczone niskim murkiem. Wnętrze budynku urządzone w staroświeckim stylu, nawet klamki i zamki w drzwiach były kuty w żelazie, być może na przełomie wieków 18. i 19. Na piętrze wspaniała aula ozdobiona freskami, bogato wyposażone warsztaty oraz sala przeznaczona do prowadzenia zajęć z biologii, fizyki i chemii. Niestety nie było w szkole sali gimnastycznej, a ubikacje poza budynkiem głównym w podwórzu. Gros pedagogów z wyższym wykształceniem lub dyplomem nauczyciela szkół średnich. Do Prądnika przyjechali z różnych stron kraju. Uczyli nie tylko w naszym gimnazjum. W mieście w owym czasie były cztery gimnazja, dwa technika oraz szkoła dla dorosłych i nasi pedagodzy musieli podejmować pracę również w pozostałych szkołach średnich.

Dopiero tu, po kilku tygodniach uświadomiono mi, że moja edukacja ma takie luki, które trudno mi będzie uzupełnić bez dodatkowej pomocy, tym bardziej, że coraz więcej czasu musiałem poświęcać pracom w gospodarstwie domowym. Poczuwałem się do obowiązku pomagać mamie, a niektóre prace były moją codziennością. Początkowo nasze pole było w dwóch oddalonych od siebie miejscach. Nie było to dla nas dogodne w uprawach. Jesienią 1947 roku, gdy już nadawano przydziały na stałe, w ramach korekty otrzymaliśmy w całości 1,5 ha za drogą do Laskowic. W tym miejscu ziemia była bardzo dobra, urodzajna i dla nas dwojga wystarczająca do uprawy. Nie znałem się na pracach polowych i jak zaobserwowałem mojej mamie również praca na roli nie bardzo odpowiadała. Wybrała wieś jedynie dlatego, że tu wśród swoich czuła się bezpieczna, a osiąść w mieście to na owe czasy była duża niewiadoma. Tego się bała.

Wrócę jeszcze do roku 1945. Zbliżała się zima. Podstawowych produktów mieliśmy pod dostatkiem. Głód nam nie zagrażał. Zaopatrzyliśmy się w węgiel i drewno, nawet zdążono przed zimą z dostawą prądu, co sprzyjało wieczornej nauce. Jedynym niedostatkiem był brak pieniędzy i ciepłego odzienia. Miałem na świątek i piątek jeden sweterek i sfatygowaną kurteczkę. Można było otworzyć sklep, ale na takie przedsięwzięcie potrzebne były pieniądze.

Na początku grudnia zgłosił się do nas mieszkaniec Sosnowca chętny wynająć pomieszczenie sklepowe za niewielką zapłatę. Była to dla nas duża ulga tym bardziej, że najemca zostawił do prowadzenia sklepu swojego syna, 14-letniego Zdzicha, który zamieszkał i żywił się u nas płacąc gotówką. Ojciec Zdzicha dojeżdżając z Sosnowca raz w tygodniu dostarczał do sklepu towar.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, pierwsze święta na Ziemiach Odzyskanych. Zima ta wyjątkowo obfita była w śniegi, co zbliżało nas do świąt i atmosfery galicyjskiej, nawet drzewko (taką nazwę w Galicji nosiła choinka) udekorowane było na starą modłę. Dużo wykonanych ręcznie ozdóbek z papieru, orzechów, cukierków, jabłek. Kto dziś na choinkę wiesza cukierki lub jabłka?

Dzięki skromnym sumom za sklep i wyżywienie mogliśmy pierwszą zimę i święta przeżyć nie odczuwając głodu ani zimna. Oczywiście święta nie mogły obyć się bez kolędników. Zwyczaje te były w latach powojennych szczególnie pielęgnowane. Poprosiłem ojca Zdzicha o kolorowy papier, z którego wykonaliśmy stroje „herodowe", i strojni, jak tego wymagał zwyczaj, odwiedziliśmy z kolędą wszystkie domy w Niemysłowicach, przypominając domownikom święta pużnieckie. Nasza Kolenda niejednemu wycisnęła łzy z oczu. Był to mój ostatni udziału w herodach.

Wracam do mojej nauki w gimnazjum ogólnokształcącym. Zimę 1946/47 przepracowałem solidnie. Bardzo dużo czytałem. Do nauki podchodziłem bardzo poważnie i po pewnym czasie stwierdziłem, że nie jestem już outsiderem i mogę znaleźć swoje lepsze miejsce wśród uczniów mojej klasy. Dużo w tym zawdzięczam poloniście profesorowi Mierzwińskiemu, który zachęcał mnie do odwiedzania biblioteki szkolnej. Profesor Mierzwiński przed wojną był dyrektorem gimnazjum w Tłumaczu. Na pierwszej z naszą klasą lekcji, przy sprawdzeniu obecności i wyczytaniu mojego nazwiska zapytał, czy jestem synem Michała z Niżniowa. Nic poza tym. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego padło to pytanie, w jakich okolicznościach poznał mego ojca i jaka ich łączyła znajomość. Zapytać o to profesora nie śmiałem, natomiast zawsze czułem jego pomoc i troskę oraz wyjątkową surowość w ocenie moich skromnych umiejętności w posługiwaniu się językiem ojczystym. Niejedno moje pisemne wypracowanie upiększone było czerwonym pismem profesora i surową oceną. W bibliotece, którą osobiście prowadził, profesor zawsze lekturę dobierał mnie sam. Był bardzo dobrym polonistą i wymagającym pedagogiem. Powszechnie nazywany był przez uczniów Ramzesem II., czyli Wielkim.

Biologii uczył profesor Porczak zwany globusem z powodu swojej łysiny. Niewiele nas nauczył, bo i przedmiot był mało ciekawy. W innych klasach uczył matematyki i fizyki. Bardzo ciekawym człowiekiem był profesor Lalewicz, artysta malarz i jednocześnie rzeźbiarz. Uczył nas rysunków oraz prowadził zajęcia z dziedziny stolarki i ślusarki. Miał kompleksy z powodu niskiego wzrostu, czym złośliwcom dostarczał powodów do kawałów. Pamiętam jego wzburzenie, gdy przy wyjściu z pracowni

któryś ze śmiałków dmuchnął w jego łysinę. Długo nie mógł się uspokoić. Niewątpliwie był artystą, z czym zawsze się obnosił. Byłem kiedyś w jego prywatnej pracowni pełnej rzeźb i obrazów. Chlubą jego była rzeźba przedstawiająca piękny akt jego żony. Szczególnie imponująca była głowa uwieńczona wspaniałym kokiem. Podobieństwo rzeźby do modelu doprowadzone do perfekcji. Pod kierownictwem profesora Lalewicza, w czasie prac stolarskich w naszej pracowni, wykonałem w miniaturze drabiniasty wóz. Praca ta została wyróżniona i przez kilka lat mój wóz stał w gablocie wśród innych wyróżnionych, a wykonanych pod nadzorem artysty. Lalewicz ponoć wyjechał do Stanów z całą rodziną.

Najzabawniejszy wśród grona nauczycielskiego był profesor Towarnicki. Stary kawaler ze wszystkimi przywarami starokawalerstwa. Do szkoły, bez względu na porę roku i pogodę, zawsze przyjeżdżał rowerem ubrany w czarny surdut i czarny melonik. Uczył ćwiczeń cielesnych i był opiekunem drużyny harcerskiej. Niektórzy go ignorowali, przedrzeźniali i urządzali mu brzydkie kawały. Dziś wstydzę się za siebie i za swoich kolegów. W latach dziewięćdziesiątych chodząc po cmentarzu prudnickim natknąłem się na jego grób. Pochowano go obok siostry. Razem mieszkali i razem spoczywają.

Najgroźniejszą osobą w gimnazjum był jego dyrektor Baraniuk. Był prawdziwym postrachem nie tylko uczniów. Nawet licealiści, którzy ukończyli już 18 lat, wychodząc w czasie przerwy do ubikacji na papierosa zawsze stawiali kogoś na czatach, by czasami dyrek ich nie przyłapał z papierosem w ustach. Chyba z bojaźni nikt nie ośmielił się nawet nadać dyrektorowi ksywę. Dziś nie jest do pomyślenia, aby w szkole utrzymać taką dyscyplinę. Pomimo ogólnego niedostatku w rodzinach, wszyscy uczniowie musieli nosić schludne garnitury, granatowe czapki gimnazjalne z oznaką szkolną, a po godzinie 20^{00} zabronione było uczniom bez opieki poruszać się po mieście. Był też stanowczy zakaz chodzenia do kina na filmy przeznaczone dla dorosłych. Na zabawach organizowanych w naszym gimnazjum, w których uczestniczyły uczennice z innych szkół, przestrzegano form dobrego wychowania, bez głośnych zachowań i kategorycznie bez alkoholu i papierosów.

Gdy dziś patrzę na wykaz imienny naszych pedagogów, widzę jak z różnych stron ściągnęli do tego cichego miasteczka. Np. Baraniuk przyjechał jako repatriant z Kołomyjni, Dominik z Cieszyna (więzień obozu w Dachau i Gross-Rosen), Mierzwiński z Tłumacza, Towarnicki z Czortkowa, Dutkiewicz ze Lwowa, Marcinkiewicz z Krzemieńca, Piekarczyk z Grybowa, Hołubowicz z Tarnopola, Ilnicki z Rumunii, Kru-

czek z Krakowa (więzień obozu w Oświęcimiu), Porczak ze Lwowa itd. Podobnie wyglądała zbiorowość uczniowska i cała aglomeracja prądnicka. Wśród uczniów rozpiętość wiekowa, tak jak w szkole powszechnej, również wynosiła od 5 do 6 lat. W mojej klasie rozpiętość wiekowa wynosiła 5 lat. Ja byłem w grupie uczniów wiekowo starszych.

Gimnazjum podejmowało liczne zobowiązania do wykonywania określonych prac społecznych na rzecz miasta. Pracowaliśmy w godzinach pozalekcyjnych w gazowni miejskiej, wodociągach, przy rozsypywaniu żużlu na drogach błotnistych na peryferiach miasta, oczyszczaniu parku itp. Prace te nie były moją pasją. W domu czekały mnie również zajęcia przy gospodarstwie. Nie śmiałem jednak uchylać się od tych prac społecznych, ponieważ nie było to mile widziane przez kolegów, z drugiej zaś strony zawsze miałem żyłkę społecznika i stale komuś w czymś pomagałem.

Po odejściu z gimnazjum księdza Janasa religii zaczął nas uczyć ojciec dr Ogarek –misjonarz, wielce światły człowiek, znający świat i życie. Urodzony gawędziarz. Znał kilka języków, w tym język chiński. Szkoda, że takich ludzi nie ma zbyt dużo wśród księży. Uczył nas nie tylko religii, uczył nas życia, szacunku do ludzi, uczył odróżniać dobroć od zła. Gdy opowiadał piękną polszczyzną o swojej pracy misjonarskiej w Azji i Afryce, w klasie słyszało się latającą muchę. Nikt w szkole nie cieszył się takim szacunkiem co ten człowiek w białym habicie. Na jego lekcji nie zdarzały się wypadki, jakie często miały miejsce na lekcjach innych nauczycieli: granie w cybergraja lub rozmowy w ławkach. Po latach, gdy słuchałem pogadanek w telewizji o. Bocheńskiego – przychodził mi na myśl o. Ogarek. Podobne mieli podejście do nauki, do życia. Wiedzę obaj traktowali bez patosu, z odrobiną humoru i obaj nosili białe habity.

Wspominam o. Ogarka również dlatego, ponieważ dzięki niemu, dzięki jego podejściu do nas uczniów wstąpiłem do Sodalicji Mariańskiej. Sodalicja obok harcerstwa i klubu sportowego „Sparta" była w owym czasie równoprawną organizacją młodzieżową w naszym gimnazjum. O ile pamięć mnie nie zawodzi, już w 1948 roku Sodalicja została wyprowadzona ze szkoły do kościoła, a z czasem jej działalność zamarła. Myślę, że sztandar, który z naszych składek został ufundowany, znajduje się w kościele parafialnym w Prudniku.

Na wspomnienie zasługuje też nasz wychowawca profesor Michał Kruczek. Uczył nas języka francuskiego. Był miłym człowiekiem i dobrym wychowawcą. Organizował nam różne zajęcia pozalekcyjne. Zwiedzaliśmy z nim miejską drukarnię, gdzie szczegółowo wyjaśniał nam pracę lino-

typu, zorganizował zwiedzanie fabryki włókienniczej, z pieszą wycieczką zwiedziliśmy klasztor, w którym po latach więziono kardynała Wyszyńskiego. Idąc wzdłuż drogi Krzyżowej wyjaśniał wykute w skale ołtarze i wskazał na piękno każdej rzeźby. Pamiętam, jak jego staraniem w kinie Capitol wyświetlono nam film pt. „Majdanek", z którego groza obozu zagłady pozostała w mojej psychice do dziś. Profesor poświęcał nam wiele osobistego czasu, traktując nas serdecznie i z wyrozumiałością. Był dla mnie w latach następnych, kiedy już sam byłem wychowawcą, wzorem podejścia do podwładnych, do wychowanków.

Chodząc do gimnazjum zorientowałem się, że mam w swojej mowie wyjątkowo rażący, galicyjski zaśpiew, który określał moje zabużańskie pochodzenie. I choć większość chłopaków z mojej klasy z tych samych stron, ja najbardziej, tak mi się wydawało, zaciągam z rosyjska. Chciałem jak najszybciej pozbyć się tego akcentu i w tym celu garnąłem się bardziej do kolegów pochodzących z Polski centralnej. Dużo czytałem na głos, szczególnie wiersze polskich poetów, u których i rym, i rytm można było akcentować. Chciwość na książki w tym okresie przekraczała wszelkie granice. Potrafiłem czytać ciekawą książkę przez całą noc i rano nie czułem większego zmęczenia.

Gdy rozpoczynałem naukę w gimnazjum, rozpocząłem w klasie pierwszej, a po zmianach organizacyjnych już za pierwsze półrocze otrzymałem świadectwo klasy wyrównawczej. Byłem z tej reorganizacji, która cofnęła mnie o rok, bardzo niezadowolony i już od półrocza zacząłem rozmyślać nad zmianą szkoły. Mnie się śpieszyło i nie mogłem biernie godzić się z taką sytuacją.

Wójtem w naszej gminie Rudziczka został nasz rodak Jaworski. Jaworscy mieszkali w najładniejszym domu w Niemysłowicach, położonym w dobrze zagospodarowanym ogrodzie, tuż przy głównej szosie. Zawsze byłem ciekaw jak urządzony jest wewnątrz. Pewnego dnia, chyba w lutym 1946 roku, Wiesiek, syn wójta, zapytał mnie, czy nie zechciałbym popracować społecznie przy spisie mieszkańców naszej wioski. Pamiętam, że kiedyś w Pużnikach w ich domu brałem udział w tłoce przy łuskaniu kukurydzy i wtedy bardzo mi się taka kolektywna praca podobała. Ponadto w tym domu była też córka, z którą zjeżdżałem na sankach z garbu pużnickiego. Teraz wiedząc, że będzie nas kilka osób pracować przy spisie, ochoczo wyraziłem zgodę. Byłem z takiego wyboru dumny, że zauważony zostałem do tak poważnego zadania. Było nas chyba 5 osób. Ja byłem najmłodszy i czułem się w w tym towarzystwie skrępowany. Zostaliśmy pouczeni w wypełnianiu ankiet i gdzieś w połowie lutego

chodziłem od domu do domu zbierając dane personalne wszystkich domowników. Ankieta skomplikowana nie była. Pytania były proste i w jednym dniu obszedłem cały przydzielony mi rejon. Następnie przez kilka wieczorów wykonywaliśmy różne wykazy oraz imienne spisy na osobnych listach, co zostało przekazane do gminy. Była to moja pierwsza praca społeczna w Niemysłowicach. Pierwsza, ale nie ostatnia. Pamiętam też inne wydarzenia tego okresu o charakterze politycznym. W czerwcu tegoż roku przeprowadzone zostało w kraju referendum, z którego napisy na murach domów 3 X TAK można jeszcze i dziś spotkać. W styczniu zaś 1947 roku odbyły się wybory do sejmu. Wydarzenia te poprzedzone były tak agresywną propagandą, że nie sposób ich zapomnieć. Ludzie wówczas mało wiedzieli o rzeczywistym kierunku, w którym kraj podąża. Wykorzystując zwycięstwo nad Niemcami, a wiadomo skąd ono do nas przyszło, odzyskanie ziem zachodnich i północnych, propaganda grała swoje melodie na uczuciach patriotycznych rodaków. Przeciętny mieszkaniec naszego kraju niewiele rozumiał w tym politycznym rozgardiaszu. Wielu z żyjących w tym czasie znalazło się w sytuacji, w której człowiek traci zdrowy rozsądek i staje się narzędziem wszechwładnej propagandy. Nawet pytanie w referendum ułożono tak, że trudno Polakom było powiedzieć NIE, chociaż władza i ustrój mu nie odpowiadały. Obywatele mieli odpowiedzieć: 1) Czy jesteś za zniesieniem senatu? 2) Czy jesteś za reformą rolną i unarodowieniem przemysłu? 3) Czy chcesz utrwalać granice na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej? Bądź mądry i daj odpowiedź, która by przeciwstawiała się władcom.

W mojej pamięci utrwaliły się jeszcze inne wydarzenia otoczone wielką propagandą. W marcu 1947 roku śmierć generała się Świerczewskiego wykorzystana została do totalnego potępienia band grasujących w Bieszczadach. Zwołany wiec na tę okoliczność był przepełniony przemówieniami chwalącymi zasługi Świerczewskiego oraz nawoływaniem do ostatecznego rozprawienia się z niedobitkami ukraińskich nacjonalistycznych band. Gdy wracałem z wiecu do domu, tak się tą śmiercią przyjąłem, że sam chętnie wyruszyłbym z wyprawą zbrojną w Bieszczady.

1 Maja tegoż roku pierwszy raz wziąłem udział w pochodzie. Ponieważ do pochodu nas zmuszono pod groźbą obniżenia stopnia ze sprawowania, pozostał we mnie jakiś psychiczny uraz do tego święta. Niechęć pozostała i przez całe lata jak tylko mogłem unikałem udziału w pochodach. Gdy sytuacja mnie do tego zmuszała, zawsze czułem się w pochodzie nieswojo.

Nadszedł upragniony koniec roku szkolnego. W końcu czerwca wręczono nam świadectwa i po uroczystej akademii w pięknej auli rozpusz-

czono nas do domów. Nauka w Gimnazjum Ogólnokształcącym, chociaż trwała zaledwie jeden rok, wzbogaciła mnie nie tylko w wiedzę ogólną, ale określiła moje miejsce w szeregu, niestety, miejsce podłe, w ogonie. W Gimnazjum zrozumiałem, że bez solidnej pracy skazany będę na wleczenie się w ogonie moich rówieśników. To, że mój kolega z Niemysłowic chodzący do tej samej klasy, co ja – nie otrzymał promocji do klasy następnej – oraz kilku innych również z Niemysłowice, którzy pozostali w tej samej klasie na następny rok – wcale nie wprowadziło mnie w euforię. Byłem wobec siebie krytyczny i stawiałem przed sobą wyższą poprzeczkę od innych.

Do Gimnazjum Ogólnokształcącego w roku szkolnym 46/47 uczęszczało nas ośmiu chłopaków z Niemysłowic i zaledwie trzech otrzymało promocję do następnej klasy, w tym jeden z poprawką. Ta statystyka potwierdza niski poziom naszej wojennej edukacji i wskazuje, jak dużo wysiłku musieliśmy włożyć, aby w przyszłości innym dorównać.

Mam też z tego okresu bardzo nieprzyjemne wspomnienie. Jak już wspomniałem, w klasie należałem do grupy starszych chłopców, a za najbliższych kolegów uważałem Zygmunta Batluka, Józka Federczuka i Janka Bochenka. Miałem z nimi bardzo dobre kontakty. Pewnej wiosennej soboty na ostatniej lekcji mieliśmy ćwiczenia cielesne. W ramach tej lekcji prof. Towarnicki zgodził się na rozegranie meczu piłki nożnej. Od rana czułem się osłabiony z powodu rozstroju żołądka i nie wziąłem udziału w rozgrywce. Byłem kibicem. Zygmunt zdjął z ręki zegarek i dał mi go na przechowanie. W czasie meczu poczułem się gorzej i nie czekając końca pojechałem do domu zapominając o zegarku w mojej teczce. W poniedziałek jeszcze nie doszedłem do pełnego zdrowia i pozostałem w domu. We wtorek, gdy zjawiłam się w szkole, dowiedziałem się, że zostałem okrzyczany złodziejem. O zegarku zapomniałem do tego stopnia, że nawet go nie nakręcałem i w takim stanie go oddałem Zygmuntowi. Czułem się zniesławiony i nawet po przeprosinach na forum klasy żal do Zygmunta miałem okrutny. Nie mogłem strawić, że przez jeden dzień znany byłem całej klasie jako złodziej. Ten kolec kłuje mnie do dziś. Dla mnie honor zawsze był czymś, czego szargać nie wolno. Od tego incydentu przez całe życie nigdy nie posądzałem ludzi o złe uczynki nie mając podstaw. Nawet filmy, w których podobne przypadki się przewijają, denerwują mnie do żywego.

Wakacje miałem bardzo pracowite. Prowadziliśmy już normalną wiejską gospodarkę. Zasiana pszenica dojrzewała, buraki i ziemniaki wymagały oczyszczenia z chwastów i opłuszkowania, trawę trzeba było skosić

na siano, krowę wypędzić na wypas i oczyścić stajnię, króliki i gołębie wymagały pielęgnacji, słowem pracy mnóstwo, a dzień krótki, choć lato w pełni. Początkowo było mi ciężko. Nie potrafiłem sobie należycie tych prac organizować. Trzeba było wszystkiego się uczyć, nawet posługiwanie się kosą stwarzało nie lada problem. Ale z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień zdobywałem rolniczą wiedzę i w teorii, i w praktyce. W czasie żniw potrafiłem już obsługiwać kosiarkę o zaprzęgu konnym, a po żniwach poznałem tajniki młockarni i silnika elektrycznego. Najgorsze dla mnie prace, których nie znosiłem, a które musiałem wykonywać to te, które wymagają ciągłego nachylania się, a więc prace przy pielęgnacji i wykopkach buraków i ziemniaków. Wolałem cięższe, byleby tylko nie schylać się. Z przyjemnością wychodziłem z krową na pastwisko. Przy krówce można było poczytać lub porozmawiać z dziewczyną również pilnującą krowę. Na pastwisku przeczytałem, przy zupełnej ciszy, niejedną ciekawą opowieść i zacząłem poznawać przyjemność w rozmowie z dziewczyną. Szukałem okazji do spotkania na pastwisku Anieli, która pasała krowy swoich rodziców. Była zwykłą zdrową i ładną wiejską dziewczyną. Umiała słuchać mojego bajdurzenia, a sama niewiele mówiła. Miała smutne oczy i spragnione usta. Pierwszy raz gdy całowaliśmy się, poczułem w tym przyjemny smak. Często umawialiśmy się na pastwisku lub wieczorami przy jej domu. Czuliśmy się w swoim towarzystwie wyjątkowo swobodnie.

1 września 1947 roku rozpocząłem naukę w gimnazjum handlowym. Uważałem, że w tej szkole zdobędę zawód, a jak z mojego doświadczenia okupacyjnego wynika, nikt w tym fachu biedy nie klepie. Ponownie znalazłem się w nowym środowisku. Gimnazjum było koedukacyjne, a w naszej klasie chłopcy byli w mniejszości. Budynek szkolny przy ul. Traugutta z wyglądu w niczym nie przypominał szkoły. Była to normalna kamienica z dużymi izbami. W porównaniu do budynku gimnazjum ogólnokształcącego – i męskiego, i żeńskiego – budynek handlówki, jak powszechnie się mówiło, wyglądał nędznie.

W nowej szkole szybko się zaaklimatyzowałem. Nowe koleżanki, nowi koledzy, nowe przedmioty i częściowo nowi nauczyciele. Dyrektorem szkoły był prof. Kopiński, a naszym wychowawcą prof. Placzek (w 2003 roku w telewizji podano do wiadomości o jakiejś aferze w Prudniku, którą rozpatrywał prokurator Placzek, zapewne syn profesora, bo nawet podobny do ojca). W tym gimnazjum spotkałem się z wyjątkowo przyjemną atmosferą. Szczególnie utkwił mi przyjazny stosunek dyrektora, w którym zawsze czułem opiekę nad moją osobą. Nazywał mnie zdrobniale Szczupciem. Znał moją sytuację rodzinną, moje warunki domowe,

często ze mną rozmawiał i zachęcał do nauki. Niejeden raz przed klasą (uczył nas arytmetyki handlowej) wychwalał moją pracowitość. Zabiegał w komitecie rodzicielskim o sfinansowanie mojego udziału w wycieczkach organizowanych przez szkołę. Gdy zorganizowano kilkudniową wycieczkę do Częstochowy na zwiedzanie wystawy przemysłowo – rolniczej oraz klasztoru na Jasnej Górze, dyrcio, jak go nazywaliśmy, dołożył starań, aby komitet rodzicielski koszty mojego udziału w wycieczce pokrył całkowicie. Zachowałem o nim jak najlepsze wspomnienia. Nić sympatii do tego człowieka pozostanie na zawsze.

Nie miałem i nie mam uzdolnień lingwistycznych. Dobrze władałem językiem rosyjskim, ukraińskim, bo wśród nich mieszkałem i w codziennym obcowaniu tymi językami posługiwać się musiałem. Podczas okupacji konieczność mnie zmusiła do wkuwania słówek niemieckich, którymi lepiej lub gorzej mogłem się posługiwać. Roczna nauka języka francuskiego w Gimnazjum Ogólnokształcącym nie dała pożądanych efektów i dziś pamiętam jedynie kilka zdań. Pamiętam jednak, że język francuski, jak na moje zdolności, był dla mnie przystępny i gdybym naukę kontynuował, może jakieś efekty bym odniósł. Tu w gimnazjum handlowym uczono jedynie angielskiego, który dla mnie sprawiał trudności nie do pokonania. Nie potrafiłem – i nadal mam wstręt do tego języka – pokonać bariery niechęci poznawania gramatyki i pisowni angielskiej. Profesor Grabski – wytworny pan, rozsiewający wokół zapach wody kolońskiej i aromatu fajkowego – nazywał mnie Anglikiem z Kołomyji. Opowiadał nam, nawiązując do moich ułomności językowych, że będąc w czasie wojny w Anglii obserwował Polaków, którzy, jak ja, przez pięć lat pobytu w tym kraju nie potrafili opanować tego języka nawet w stopniu podstawowym. Z oceny niedostatecznej z języka angielskiego, jak pamięcią sięgam, nigdy nie wyszedłem.

W klasie naszej panowały bliskie, koleżeńskie stosunki. Przyjacielskie więzi były wyjątkowo silne, chociaż poza szkołą spotykaliśmy się sporadycznie. Ja nigdy nie miałem żadnych osobistych scysji z koleżankami i kolegami, chociaż wyczuwałem u jednych sympatię, u innych obojętność, ale nigdy w klasie wrogów nie miałem. W klasie było kilka osób wyjątkowo zdolnych. Wśród dziewczyn Ala Kucharczyk, która po studiach zajmowała stanowisko prezesa wojewódzkiej spółdzielni w Opolu, Pinkosz – inteligentna i bystra dziewczyna, miała ostry dowcip i wesołe usposobienie. Niewątpliwie wśród chłopców najzdolniejszym uczniem był Mieczysław Kobaj, późniejszy profesor, znany ekonomista. Wyróżniał się nie tylko nauką, ale był też koleżeński, służący zawsze pomocą tym, którzy jej

potrzebowali. Ceniłem sobie wysoko przyjaźń z chłopakami, ale lubiłem towarzystwo dziewczyn i te upodobania pozostałe mi na długie lata. W klasie ciągle zmieniałem miejsca, przechodząc z ławki do ławki, w której w danym dniu było wolne miejsce obok koleżanki. Profesor Augustyniak często żartował, że szukam kobiecego ciepła i zastanawiał się, kiedy go znajdę. Najlepszymi moimi przyjaciółkami spośród koleżanek klasowych były Irena Smolińska i Ola Kucharczyk. Irena była pedantyczną czyściochą. Sterylność widoczna była nie tylko na jej odzieniu, ale w każdym zeszycie, we wszystkich jej rzeczach. Zeszyty Irenki, używane przez kilka miesięcy wyglądały jak nowe, jakby wczoraj je kupiła. W torbie zawsze miała perfekcyjny ład. Podziwiałem i zazdrościłem jej tej umiejętności. Dawała mi zawsze nowy numer „Przyjaciółki" do przeczytania rubryki „między nami" i dokładałem starań, aby pismo wracało do właścicielki bez plam i załamań. Ola również była podziwianą dziewczyną. Po śmierci jej matki prowadziła dom, była zawsze gustownie ubrana i do tego osiągała bardzo dobre wyniki w nauce. Miała piękne gęste włosy i smutny uśmiech. Od wielu lat już nie żyje (zmarła w 1983 r.).

Najpiękniejszymi dziewczynami były Zdzicha Kostecka i Krysia Maćkowiak. Zdzicha bystra, inteligentna i wyjątkowo zalotna. Mieliśmy też w swojej klasie Helę Mastykarz, która znana była z „ostrego języka". Ta dziewczyna nigdy i nikomu nie pozwoliła sobie w kaszę dmuchać. Nikt nie dążył do zwady z Helą.

Wśród kolegów z naszej klasy przyjaźniłem się szczególnie z Mietkiem Kabajem i przyjaźń ta przetrwała do dziś, oraz z Ryszardem Nowakiem, późniejszym zakonnikiem Zakonu Paulinów. W czasach szkolnych Ryszard był aktywnym działaczem Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza, którego, dzięki niemu, zostałem członkiem. Przyjaźniłem się też z Czesławem Obalem, którego poznałem na zabawie w Gimnazjum. Czesław, nie znając nikogo, stał na uboczu nie angażując się w zabawie, czym mnie zainteresował, poruszając moją żyłkę opiekuńczą nad sierotami. Wprowadziłem go do naszego towarzystwa zabawowego, a następnie do naszego gimnazjum handlowego. Zostaliśmy przyjaciółmi na długie lata. Ostatni raz widziałem go w Krakowie w 1953 roku. Przypadkowe spotkanie na dworcu Głównym. Osiadł na stałe we Wrocławiu. Kilka razy rozmawialiśmy telefonicznie. W naszym kręgu był też bardzo sympatyczny kolega Romek Adamaszek, pochodzący z Sosnowca. Zdolny uczeń i bardzo uczynny kolega. Po wyjeździe z Prudnika kontakty nasze zamarły.

Oczywiście do bliskich moich przyjaciół zaliczyć należy także młodzież z Niemysłowic uczęszczającą do szkół w Prudniku. Szkolnictwo po

wojnie, w ramach masowego awansu społecznego, udostępnione zostało szerokim rzeszom młodzieży, która z różnych względów przed wojną nie mogła się uczyć. Teraz masowo, nawet z oddalonych wiosek, młodzi garnęli się do oświaty. Handlówka szczególnie cieszyła się względami tych, którzy dążyli do zdobycia intratnego zawodu, ale i też w późniejszych latach znaczna część absolwentów tej szkoły ukończyła wyższe studia.

Niemysłowice oddalone od miasta zaledwie 4 km były wyjątkowo dogodne do korzystania z dobrodziejstw zdobywania wiedzy. W każdym gimnazjum z naszej wioski uczyło się po kilka osób. Do handlówki uczęszczało nas ponad 10 osób, w tym w mojej klasie było czworo: Irena Baraniecka, Franek Działoszyński, Staszek Baraniecki i ja. Rano, gdy wszyscy wychodziliśmy z domów na lekcje, na drodze do Prudnika byliśmy widoczni i słyszani. Ja dojeżdżałem rowerem, ale gdy zacząłem traktować Irenkę nie tylko jako koleżankę, często wyruszałem pieszo i tylko dlatego, aby być blisko i jak najdłużej w jej towarzystwie.

Urodzaj w tym roku, jak i w poprzednim, był obfity. I zboża, i okopowe dały plon obfity. Jesienią po dostawie buraków cukrowych do skupu i sprzedaży kilkunastu worków jęczmienia, mogliśmy zakupić węgiel na zimę, uregulować należności podatkowe oraz zasiać oziminę. Mogłem wreszcie kupić część podręczników szkolnych oraz przybory do pisania i potrzebne zeszyty. W październiku zawiozłem do młyna, chyba w Łące Prudnickiej, kilka worków pszenicy do zmielenia na mąkę i otręby dla świnki i krówki, piwnicę zapełniliśmy ziemniakami, a zimą zabiliśmy świniaka. Spiżarka została zapełniona kiełbasami, salcesonami, kaszankami, przetopionym z cebulą smalcem oraz zawekowanym mięsem. Zima straszna nam już nie była. Ciągle jednak brakowało nam gotówki na porządne ubrania i na drobne, codzienne wydatki.

Późną jesienią 1947 roku z przymusowych robót w Niemczech wrócił mój przyrodni brat Mietek. Ucieszyłem się na jego powrót. Było to dla nas zaskoczenie i radość wielka. Mama zaczynała już wątpić w jego powrót. Z prac przymusowych wszyscy już powrócili, a po nim ślad zaginął. Odnalazł nas przez przypadek. Zaraz po zakończeniu wojny błąkał się po kraju szukając rodziny i dopiero w Krakowie przypadkowo spotkał znajomego z Pużnik i w ten sposób dotarł do Niemysłowic. Liczyliśmy z mamą, że Mietek, jako dorosły mężczyzna obejmie zwierzchnictwo nad naszą gospodarką, którą można będzie nawet powiększyć i będzie się nam żyło przyzwoicie. A nawet, jeżeli nie zechce z nami, ma jeszcze możliwości usamodzielnienia się, wolne domy jeszcze w tym czasie były do zagospodarowania. Niestety, nic z tych planów nie wyszło, a moja

radość z posiadania brata szybko zaczęła przygasać. Mietek okazał się być niesfornym synem, który chadza własnymi drogami. W domu tylko mieszkał i doglądał pędzonego bimbru, co spędzało nam sen z powiek. Za bimber w owym czasie karano więzieniem. Pewnego dnia wpadli do nas milicjanci i znaleźli dużą beczkę zaczynu. Na szczęście Mietka nie było w domu, a do beczki przyznałem się biorąc na siebie całą winę, tłumacząc się, że nie wiedziałem, że pędzenie bimbru jest zabronione. Milicjanci zagrozili mamie więzieniem, kazali natychmiast zniszczyć wszystko, co związane jest z produkcją. Na szczęście w domu nie było aparatury i przedstawiciele władz uwierzyli, że jest to pierwszy początkujący przypadek. Jeszcze raz pogrozili i odeszli. Za kilka tygodni jeszcze raz przeszukali dom i więcej już nas nie nawiedzali. Mama kategorycznie zabroniła pędzenia bimbru w naszym domu.

Mietek po powrocie z Niemiec zaprzyjaźnił się z samotnym sąsiadem w tym samym wieku – Kulikowskim. Kulikowskiego matka zamordowana została przez banderowców, a on sam życie pędził na birbantkach. Gdy Mietek z nim się zaprzyjaźnił, stworzyli nierozłączną parę. Razem się zabawiali z dziewczynami, razem rozrabiali na zabawach, wszystko czynili razem. W tym towarzystwie Mietek zaczął nadużywać alkoholu, a że miał słabą głowę, szybko się upijał. Mama bardzo te jego wyskoki przeżywała. Tłumaczenia i prośby nie pomagały. Gdy był trzeźwy, był wspaniałym człowiekiem i wtedy mogliśmy znaleźć wspólny język, ale gdy tylko wypił, nawet niewielką ilość, natychmiast zmieniało się jego zachowanie. Więź, jaka nas łączyła na początku, zaczęła się rwać. Bardzo krótko byliśmy razem, a na skutek innego stosunku do życia zamiast zbliżenia, oddalaliśmy się od siebie. Myślę dziś, że nie było to nic innego tylko inność, która nie dawała się przetłumaczyć i zrozumieć otoczeniu. Najbardziej z tego układu ubolewała babcia Poterałowiczowa, która Mietka wychowała i często nakłaniała nas do braterskiej zgody i miłości. Nasze stosunki poprawiły się i stały się normalne dopiero gdy Mietek założył rodzinę. Zosia, jego żona potrafiła czuwać i nie dopuszczała Mietka do alkoholu. Małżeństwo ich było bardzo udane i szczęśliwe. Wychowali swoją córkę i wiele włożyli do wychowania wnuczek. Dziś, gdy się spotykam z Zosią, zawsze słyszę żal po zgonie Mietka i słowa pochwały jego dobrego serca.

Po incydencie z milicją i beczką zaczynu Kulikowski założył w swoim domu bimbrownię. Tym razem wykrycie nie było tak łagodne, jak u nas. Nie pamiętam z jakich przyczyn po Kulikowskiego przyjechali UB-owcy i podczas rewizji znaleźli jakieś nielegalne dokumenty i całą bimbrownię. Dwa lub trzy dni po aresztowaniu przyszła wiadomość, że Kulikowski

powiesił się w areszcie. Nie słyszałem, czy śmierć jego została dokładnie wyjaśniona. We wsi szeptano, że samobójstwo to blef. Sami go zatłukli, a następnie powiesili. Ponieważ oficjalnie podano wiadomość o samobójstwie, ciało zostało pochowane na skrawku ziemi, gdzie chowano innowierców jeszcze za czasów niemieckich. Po śmierci przyjaciela Mietek poszedł do pracy w Prudniku. Zatrudnił się w fabryce włókienniczej, gdzie pracował do końca, do emerytury.

Zacząłem posługiwać się nazwą Prudnik, a nie jak na początku Prądnik. Otóż w roku 1946 rozgorzała namiętna dyskusja nad nazwą miasta. Jak zwykle bywa u naszych rodaków głosy były podzielone. Jedni bronili nazwy Prądnik, jako najbardziej polskiej, inni zaś optowali za nazwą Prudnik. Po licznych dyskusja historyków i polonistów w miejscowej prasie, choć Prudnik jest nazwą bardziej czeską niźli polską – zwyciężyli prudniczanie i już w 1947 roku nazwa Prudnik występuje we wszystkich dokumentach i publicznych napisach.

Historia wojennych losów mojej rodziny przeplatała się z losami wszystkich rodaków. Wojna nikogo nie oszczędziła i pozostawiła swoje piętno na mojej rodzinie, jak na każdej w naszym kraju. Pużniki spalone, w Niżniowie pozostawiliśmy wszystko na co pokolenia pracowały, rodziny z obu stron rozproszone, a nasze przesiedlenie nie było pomocne w odnalezieniu bliskich. Czerwony Krzyż, który był główną skrzynką poszukiwań zaginionych w czasie wojny nie mógł nadążyć za społecznym zapotrzebowaniem i sprawy poszukiwań trwały latami. Jeszcze w 1947 roku nie wiadomo nam było, czy żyją i gdzie przebywają ciocia Stefa z Martą, od której od 1941 roku nie mieliśmy żadnej wiadomości, żadna wieść z Syberii do nas nie dotarła. Nie wiadomo też co się dzieje z jej mężem Romanem, który w 1939 roku dostał się do niewoli niemieckiej. Z Węgier żadna wiadomość nie dociera, chociaż na stary adres wujka Franka wysłano kilka listów. Pomimo poszukiwań przez Czerwony Krzyż nie docierają do nas żadne wiadomości o cioci Domci, uczestniczce Powstania Warszawskiego. Nie wiadomo co się dzieje z Janiną, córką cioci Kasi, którą wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec.

Szczupaczyńscy, rodzina od strony mojego ojca, ponieśli jeszcze większe straty. Stryjeczny brat ojca Franciszek zamordowany w Katyniu, drugi brat stryjeczny Adolf wraz z żoną wywieziony, na Syberii zaginął bez wieści. Trzeci brat stryjeczny Stanisław zamordowany przez bandy ukraińskie. Jego dwaj synowie również ponieśli śmierć – Marian zginął śmiercią żołnierza pod Berlinem, Stanisław zamordowany przez Ukraińców. Rodzona siostra ojca umarła w Stanisławowie tylko dlatego, że

czas wojenny nie pozwolił przeprowadzić zwykłej operacji przepukliny. Z jej mężem nie mieliśmy również kontaktu z Węgier, gdzie przebywał od 1939 roku. Nie wiadomo co się dzieje z babcią Paulinką i z chłopcami cioci Julii. Rodzony brat mojego ojca Stanisław po klęsce wrześniowej znalazł się w Anglii, gdzie już pozostał na zawsze. Jeden z braci ojca Janek ranny dostał się do niewoli niemieckiej i po wojnie również żadne o nim wiadomości nie docierały. Brat ojca Władysław zmarł w czasie okupacji w Tyśnienicy. Nawet wieści od stryjka Kazika do nas nie docierały, chociaż wiadomo nam było, że wyjechał z rodziną do Dębicy. O innych członkach rodziny również nie mieliśmy żadnych wiadomości. Rozjechali się po Polsce i trzeba było kilku lat poszukiwań i czekania, aby rodziny się odnalazły.

Początkowo nie odczuwałam żadnej tęsknoty za bliskimi, losy których nie były mi znane. Zajęty byłem swoimi sprawami, obowiązkami, które pochłaniały mnie całkowicie. Jednak gdy do Niemysłowic zaczęły powracać osoby zagubione w wojennej zawierusze, zacząłem rozmyślać nad niewiadomymi losami poszczególnych członków rodziny, z którymi spędziłem lata przedwojenne. Zacząłem intensywniej pisywać do Czerwonego Krzyża w poszukiwaniu osób mi bliskich. Pamiętam, jaka szaleńcza radość mnie ogarnęła, gdy odnalazł nas stryjek Kazik. Jego przyjazd do Niemysłowic był dla mnie wielkim świętem. Wzruszenie było ogromne. Od tego momentu zaczęły do nas docierać informacje i z Czerwonego Krzyża, i z innych źródeł – różne wiadomości, wiadomości pewne oraz zasłyszane, które wymagały sprawdzenia. Z biegiem lat krąg odszukanych powiększał się i dopiero w 1956 roku, kiedy odszukałem ciocię Domcię, krąg ten został zamknięty. Jedynaście lat trwały poszukiwania zawieruszonych w czasie pięciu lat wojny.

Gdy byłem w gimnazjum ogólnokształcącym ponownie poczułem żyłkę harcerską i na krótko przed zakończeniem roku szkolnego wstąpiłem do drużyny harcerskiej. W handlówce harcerstwa nie było, a przynależność do drużyny w ogólniaku nie była możliwa – moje harcerzowanie zostało zawieszone w próżni. Początkowo z Romkiem Adamaszkiem usiłowaliśmy zorganizować drużynę w handlówce, ale chętnych zbyt wielu nie było, a wyjazd Romka z Prudnika pomysł ten przekreślił ostatecznie. Ponieważ idea harcerstwa pociągała mnie zawsze, ciągle myślałem o założeniu drużyny, jeżeli nie w handlówce, to może w Niemysłowicach. W tym celu wykorzystałem znajomości z harcerzami drużyny z ogólniaka i zacząłem ubiegać się o zorganizowanie drużyny harcerskiej w Niemysłowicach. Zadania tego podjął się z uprawnieniami druh Chadryś, uczeń klasy

maturalnej. Zabiegi nasze trochę przedłużyły się, ale ostatecznie zgodę z hufca otrzymaliśmy i w końcu listopada 1947 roku drużyna zgłoszona została do hufca. Zaczęliśmy teraz drążyć odpowiednie władze o wsparcie materiałowe nowopowstałej drużyny harcerskiej. Drużynowym został Chadryś, mnie zaś przypadła funkcja przybocznego. Do drużyny wstępowali uczniowie szkół w Prudniku, ale gros stanowili uczniowie szkoły powszechnej w Niemysłowicach. Drużynowy Chadryś, z racji klasy maturalnej, nie mógł dużo czasu poświęcać drużynie, musiał przygotować się do egzaminów maturalnych. Jako przyboczny otrzymałem pełnomocnictwo do zastępowania drużynowego we wszystkich sprawach dotyczących drużyny. Nadchodziła zima i aby mieć jakieś schronienie, udałem się do kierownika szkoły pana Mężyka z prośbą o pozwolenie na korzystanie chociaż raz w tygodniu z pomieszczenia szkolnego na zbiórki drużyny. Po zobowiązaniu się, że będziemy przestrzegać i dbać o porządek w szkole, otrzymałem od kierownika do naszej dyspozycji obszerne pomieszczenie na poddaszu budynku szkolnego, kilka krzeseł oraz oszkloną witrynę na książki. Prosiłem o tak niewiele, a otrzymałem tak dużo. Poczułem się panem na włościach. Zaraz po otrzymaniu kluczy do świetlicy, tak nazywaliśmy naszą siedzibę, udałem się do komendy hufca po pomoc w wyposażeniu tej świetlicy. Trafiłem w gorącym momencie. Akurat otrzymali nowy stół pingpongowy i zastanawiali się, gdzie go zainstalować. Poprosiłem też o pomoc w uzyskaniu dostępu do wypożyczalni książek w większej ilości. W krótkim okresie zorganizowaliśmy w świetlicy bibliotekę – książki po 50 wolumenów wymienialiśmy co pewien czas – zainstalowaliśmy półki, stół pingpongowy oraz wykonaliśmy grafik dyżurów w dniach przeznaczonych dla ogółu. Jeden dzień przeznaczony był w każdym tygodniu wyłącznie do dyspozycji drużyny harcerskiej.

Z biblioteki naszej korzystała wieś. Różnorodność tematyczna książek mogła zaspokoić nie tylko młodzież. Do świetlicy czasami niespodziewanie zaglądał pan Mężyk i zawsze wyrażał pochwały za porządek i wdzięczność za opiekę nad młodzieżą niezorganizowaną.

Przy pomocy nauczycielki pani Zahaczewskiej, która reżyserowała wszystkie spektakle, wystawiliśmy dwie, lub trzy sztuki w ramach naszego kółka teatralnego. Zapamiętałem z tej zabawy w teatr jedną komedię, autorstwa Zwierzchowskiego „Małżeństwo pani Loli". Grałem we wszystkich sztukach, a w tej przydzielono mi rolę Papcia. Przedstawienie to odniosło przy pełnej sali widowiskowej największy sukces. Komedia bawiła widownię i jeszcze dziś niektórzy pamiętają zabawne sceny tego przedstawienia. Podczas jednej z prób prowadzonych w naszej

świetlicy pani Zahaczewska całkiem serio namawiała mnie do angażowania się w amatorskim zespole teatralnym w Prudniku i przygotowania się do studiów aktorskich. Spostrzegła jakąś iskrę dającą nadzieję na spełnienie się w tym zawodzie. Według niej po maturze celem moim powinny być studia aktorskie. Ta wskazówka długo mnie prześladowała i kto wie, czy po maturze, gdybym dotrwał, nie próbowałbym sił w dostaniu się na studia aktorskie. Tak się nie stało. Niejeden raz w swoim życiu pomyliłem drogę.

Zimową porą grywaliśmy też w ping-ponga, ale gdzieś w duszy wszyscy z niecierpliwością oczekiwali wiosny, aby wyjść z piłką na boisko. Często na błotnistym jeszcze boisku rozpoczynaliśmy sezon piłkarski, ale pełna wolność wybuchała dopiero po zakończeniu roku szkolnego. I chociaż i wiosną, i latem miałem większe obowiązki wobec domu, czas na rozgrywki w piłkę zawsze się znalazł. Organizowaliśmy rozgrywki w piłkę nożną lub w dwa ognie. Gdy wyjechałem do Torunia, życiem sportowym w Prudniku zajął się ksiądz Wawrzyński, wielki kibic piłki nożnej i miłośnik gry w piłkę siatkową.

Kiedyś, będąc na urlopie szkolnym, w mundurze podchorążego stanąłem na szosie obok szkoły, czekając na okazję do Prudnika. Patrzę, a to księżulo ubrany w sutannę i czarny krótki surducik biegnie pod górkę i woła zdyszany, że bardzo mu się spieszy na mecz i we dwójkę łatwiej nam będzie jakiś środek lokomocji okazyjnie złapać. Czekamy, a tu jak na złość nic nie jedzie. Ksiądz się denerwuje i zaczyna nawet złorzeczyć. Wreszcie od strony Szybowiec jedzie ciężarowy załadowany słomą. Kierowca zatrzymał się i zażenowany tłumaczy, że wiezie słomę i patrząc na nasze uniformy rozkłada bezradnie ręce. Księdza zaprasza do kabiny, a mnie pozostaje siedzenie na słomie. Ks. Wawrzyński jednak nie skorzystał z kabiny. Stwierdził, że razem czekaliśmy i razem pojedziemy w jednakowych warunkach, na miękkich siedzeniach i na wolnym powietrzu. Kierowca dowiózł nas pod bramę stadionu. Sensacją było nasze czyszczenie garniturów ze słomy, ksiądz swoją sutannę, ja swoje szasery. Na stadionie przekonałem się, że ksiądz jest znaną osobą wśród kibiców i sam potrafi kląć kibicując drużynie prudnickiej. Prudnik miał wtedy trzecioligową drużynę Pogoni (później zmieniono nazwę na Włókniarz). W Niemysłowicach opowiadano, że niedzielne nieszpory zawsze podporządkowane były czasowi rozgrywanych meczy. Wybaczano księdzu. Uważano, że jakaś rozgrywka mu się należy.

Praca w drużynie harcerskiej była moim ulubionym zajęciem i miała różne formy. Obozów nie organizowaliśmy, ale wypady do pobliskiego lasu

na dobę, dwie miały miejsce. W ramach rywalizacji pomiędzy zastępami organizowałem podchody, marsze w/g azymutu, w/g znaków itp. Czasami drużyna w umundurowaniu i w szyku brała udział w nabożeństwie w kościele. Nie tak dawno Józek Jarzycki, mieszkający teraz w Warszawie, opowiadał mi, że będąc w Niemysłowicach, podczas spotkań z dawnymi koleżankami i kolegami, jedna z koleżanek naszych wspominała, jak po mszy pod kościołem prowadziłem defiladę drużyny przed parafianami wychodzącymi z Kościoła.

Dziś zastanawiam się, czy prawdą jest to wszystko, o czym piszę. Skąd czerpałem siły i czas na te wszystkie obowiązki. Przecież nikt za mnie do szkoły nie chodził, nikt moich zadań domowych nie wykonywał, a pedagodzy czasami nawet przesadzali w pracach domowych, i wreszcie nikt nie wyręczał mnie w obowiązkach gospodarskich. Do tego jeszcze dodam, że często w sobotnie wieczory organizowaliśmy u Pirloma tańce, a w niedzielę przy dobrej pogodzie chodziliśmy pomoczyć się w pobliskiej rzeczce Prudnik. Były też niedziele wycieczkowe, kiedy rowerami udawaliśmy się do Pokrzywnej i Jarmołtówka. W letnie pogodne wieczory zbieraliśmy się w naszych ulubionych miejscach przy głównej szosie i opowiadaliśmy anegdoty, treść ostatniego filmu lub śpiewaliśmy popularne piosenki z repertuaru piosenkarzy zarówno przedwojennych, jak i współczesnych. Modni byli Bogucki, Fogg... Prym dzierżył Franek Działoszyński, który miał świetny głos i umiał się nim posługiwać. W latach następnych głos jego zostanie wykorzystany w zespole rewelersów w OSArt w Toruniu.

Dużo też w tych latach czytałem. Książka była już dostępna masowo. Szkolne biblioteki były coraz bogatsze, w naszej pojawiały się ciągle nowości, książka była na wyciągnięcie ręki. Każdą wolną chwilę poświęcałem książce. Do dziś pamiętam wiele tytułów przeczytanych książek w owym czasie i pamiętam też, że wiele nocy spędziłam w łóżku z książką. Przeczytane pozycje w większości nie były zaliczane do lektury szkolnej. Interesowały mnie książki przygodowe, o tematyce wojennej i związane z lotnictwem. Czytałem też romanse, poezję i pod wpływem tych treści pragnąłem w przyszłości zakochać się na całe życie. Zacząłem marzyć o kochającej się mojej rodzinie. Książka wzbogacała moją wiedzę o życiu oraz dodawała mi bodźców do marzeń i fantazji. Lekturę zawsze traktowałem serio i wierzyłem, że literatura jest prawdziwsza od codzienności, literatura dotykała moich czułych punktów – patriotyzmu i miłości, pomagała odróżnić dobro od zła. Mama moja ciągle zwracała mi uwagę, że za dużo czytam romansów i zaniedbuję lekturę szkolną. Kiedyś w mojej obecności utyskiwała przed swoją siostrą Kasią, że tracę czas

na romansidła. Ciocia Kasia wtedy odrzekła: „A kiedy będzie poznawał tajemnice miłości? Ten wiek jest odpowiednią porą na naukę o miłości. Daj mu spokój, on wie najlepiej, co ma czytać". Od tej pory mama przestała interesować się, co czytam.

Ulubioną moją rozrywką było też kino. W Prudniku mieliśmy dwa kina. Najbardziej uczęszczanym było kino „Capitol", w którym wyświetlano filmy przedwojenne i z okresu drugiej wojny. W repertuarze przewijały się wszystkie dostępne filmy polskie, było dużo filmów amerykańskich, radzieckich, angielskich, nawet szwedzkich. Byłem zapalonym kinomanem. Każdą złotówkę odkładałem na bilet do kina.

Wynajęty sklep, w którym kupić można było mydło i powidło, dawał najemcy coraz większy zysk. Obroty wzrastały, a asortyment w każdym tygodniu powiększany był nowym towarem. Towary z wystawy zachęcały nabywców. Przed zbliżającymi się Świętami Bożego Narodzenia w sklepie znalazło się trochę więcej towaru, szczególnie wódek i wędlin. Za oknem wystawowym wisiały pęta kiełbasy i kilka butelek różnych wódek. Zima była już w pełni. Przy lekkim mrozie cały czas od kilku dni padał śnieg.

Pewnego wieczoru do domu naszego zawitało dwóch żołnierzy radzieckich pod pretekstem zakupów żywności. Była pora kolacji i wszyscy siedzieliśmy przy stole. Na kolacji oprócz domowników był też lokator babci, który uczył mnie gry na skrzypcach. Miał ze sobą skrzypce i bandżo. Gdy Rosjanie weszli do kuchni, mama zaprosiła ich do stołu i poczęstowała kolacją. Zdzich przyniósł ze sklepu butelkę wódki, którą ochoczo w pośpiechu wypili. Po kolacji goście proszą „muzykanta" o wesołą melodię, a oni pośpiewają i potańcują. Zaczęli wywijać hołubce. W czasie tego niezamierzonego, a może zamierzonego zamieszania jeden z nich wyszedł, aby odetchnąć świeżym powietrzem, natomiast drugi nie przerywając, jeszcze głośniej zaczął wybijać ciężkimi butami rytm melodii, aż podłoga trzeszczała. Po kilku minutach do kuchni wpadł ten ze świeżego powietrza i oznajmił, że ktoś im ukradł konie i muszą złodzieja łapać. Przed wyjściem kupili tylko bochen chleba i poszli ścigać złodziei. Zdzich, gdy wszedł do sklepu po chleb, nie mógł zauważyć spustoszenia na wystawie, ponieważ okno wystawowe od wewnątrz zamknięte było drzwiami oszklonymi grubym szkłem matowym. Dopiero gdy nasz muzyk wyszedł, zauważył wybitą dziurę w wystawie. Straty były znaczne. Z wystawy zgarnął cały zapas wędlin i wszystkie znajdujące się na wystawie wódki. Do śniadania brakowało im tylko chleba. Przed domem nie zauważyliśmy żadnych śladów po postoju „ukradzionych" koni. Wspominam o tym zdarzeniu, ponieważ po tej kradzieży sklep został zamknięty, a my

straciliśmy dodatkowe wpływy do naszej ubogiej kasy rodzinnej. Szafę wystawową posklejałem i latem sklep nam służył za kuchnię. Później wiele razy zastanawiałem się, czy nie otworzyć sklepu i prowadzić handel na własny rozrachunek. Na otwarcie jednak potrzebna była gotówka, której niestety nie posiadałem.

Na Święta Bożego Narodzenia w 1947 roku do rodziny w Niemysłowicach przyjechał pewien młodzieniec w szykownym marynarskim mundurze. Był uczniem Szkoły Jungów przygotowującej specjalistów dla potrzeb marynarki handlowej. W granatowym mundurze wyglądał imponująco. W kościele ciemny granat wyróżniał go wśród wiernych i wszyscy go obserwowali. Chłopcy mu zazdrościli, a ja szczerze podziwiałem sportową postawę i precyzję wilka morskiego. Zacząłem go wypytywać, jak, gdzie i do kogo należy się zwrócić, aby dostać się do takiej szkoły. Oprócz marynarskiego bajdurzenia marynarz ze znajomością rzeczy szczegółowo mi wyjaśnił, do kogo należy zwrócić się z podaniem, rodzaj egzaminów oraz jakie wymogi zdrowotne stawiają przed kandydatami. Kilka razy podkreślał, że umiejętność znalezienia się w trudnej sytuacji w wodzie morskiej i ogólna tężyzna fizyczna są traktowane przez komisję kwalifikacyjną priorytetowo. Te wiadomości były w późniejszych miesiącach podstawą mojego planu pracy nad sobą. Miałem 16 lat, duże luki w wiedzy, byłem świadom mojej niechęci do pracy na roli, oraz tego, że moja aktualna sytuacja to jedynie czasowe zajęcie i że aby zmienić swój status muszę ukończyć jakąś ciekawą szkołę, która da mi możliwość startu. Zacząłem poważnie zastanawiać się nad swoją przyszłością. Czułem się dojrzały na tyle, aby pokierować swoim życiem nie czekając na ślepy los. Nie ukrywam, że ten marynarz zdopingował mnie do tych analiz, co dalej robić ze swoim życiem? W szkołach powojennych uczyłem się nędznie, ciągle nie mogłem nadążyć za innymi. Moje wyniki w szkole nigdy mnie nie satysfakcjonowały. A że należałem do tych osobników, którzy uważnie obserwują życie i z niego, z nowych w nim zjawisk wyciągają dla siebie wnioski – szukałem wyjścia z tego kręgu. Zacząłem śledzić informacje i ogłoszenia o naborze do licznych szkół, które kusiły młodzież świetlaną przyszłością, a dla kraju były zbawienną potrzebą. Analizowałem wszystkie możliwe rozwiązania, ale żadne mi na tym etapie życia nie odpowiadało, ponieważ każde wymagało lepszego przygotowania teoretycznego oraz dłuższego czasu, a mnie jakby coś popychało, chciałem iść na skróty. Myślę też, że ciągły brak gotówki – a ten brak odczuwałem coraz bardziej i był wyjątkowo dokuczliwy – przyczyniał się do moich, jak na razie, cichych planów.

Chwyciłem się myśli, że moim środkiem do celu winna być ta szkoła Jungów, w której karmią, ubierają i uczą. Zacząłem intensywnie przygotowywać się do egzaminu. Codzienne ćwiczenia miały podnieść moją tężyznę fizyczną, a dla poszerzenia klatki piersiowej oraz utrzymania sylwetki w pionie przy każdej okazji cierpliwie torturowałem się nosząc kij na plecach przeplatany ramionami w tylnej pozycji. W każdym dniu mierzyłem szerokość klatki piersiowej i grubość bicepsów. Śledziłem dokładnie, czy są postępy. Zimą ćwiczyłem biegi narciarskie, a w czasie odwilży do upadłego jazda na rowerze. Latem piłka nożna i biegi. To była droga dojścia do upragnionego celu. Nie pamiętam, co mnie skłoniło, ale zacząłem czytać prasę sportową. Nazwiska znanych sportowców z okresu międzywojennego i aktualnych, ich rekordy i osiągnięcia wkuwałem jak tabliczkę mnożenia.

W maju 1948 roku napisałem podanie o przyjęcie do szkoły morskiej i złożyłem władzom powiatowym nowo powstałej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce". O tym, że ubiegam się o przyjęcie do szkoły morskiej nikt nie wiedział, nawet mamę nie informowałem i w związku z tym nic się wokół mnie nie zmieniło, życie toczyło się starym zwyczajem. Szkoła, praca w polu, zajęciach w świetlicy, obowiązki harcerskie oraz sport.

Zaraz po rozdaniu świadectw szkolnych, otrzymałem skierowanie i bilet kolejowy trzeciej klasy do Łeby na egzaminy do szkoły morskiej. W domu i wśród kolegów pełne zaskoczenie. Moja mama, chociaż zaskoczona moim wyjazdem w gorącym momencie prac polowych, rozsądnie powiedziała, że jeżeli ta decyzja ma rozwiązać moje życiowe problemy, to ją szczerze popiera. Mam jechać, w domu się nic nie zawali. Przypominam sobie, że na egzaminy w Łebie otrzymał też skierowanie inny chłopak z Prudnika. Matka jego była tym przejęta do tego stopnia, że błagała mnie o opiekę nad nim. Byłem zdziwiony i zażenowany, że proszą mnie o opiekę nad chłopakiem pełnoletnim, o głowę wyższym i o kilka kilogramów tęższym, a jeszcze bardziej dziwiło mnie, że tenże chłopak dobrowolnie i całkowicie oddaje się pod moją opiekę. Tak się w moim życiu układa, że począwszy od opieki nad Michasiem, moim braciszkiem, często kimś się opiekuję, czasami nawet przypadkowymi osobami, z którymi nic mnie nie łączy. Na drugi dzień mój podopieczny i ja znaleźliśmy się w Gdyni. Przy pięknej pogodzie nie mogłem odmówić sobie przyjemności zwiedzenia Gdyni. Byłem zachwycony miastem, które czystością i zapachem morskim zniewoliło mnie całkowicie. Gdy pierwszy raz znalazłem się nad morzem jego spokojny, ciemno niebieski odblask wywarł na mnie piorunujące wrażenie. Przypomniałem sobie

muszle przywiezione przez ojca zwiedzającego Gdynię. Stałem tak nad taflą błękitnego, spokojnego morza i pomyślałem, że kiedyś być może ojciec mój też przeżywał podobnie, widząc morze po raz pierwszy.

Z Gdyni pojechaliśmy do Lęborka, gdzie mieliśmy przesiadkę do Łeby. Ośrodek szkolenia w Łebie usytuowany był, o ile dobrze pamiętam, pomiędzy jeziorem Sarbsko a morzem. Do ośrodka zjechała się młodzież z całej Polski. Początkowo było nas ponad trzysta osób w wieku od 16 lat w górę. Zostaliśmy zakwaterowani w jakimś budynku z wyglądu przypominający bardziej stajnie niźli koszary. W pomieszczeniach po 30–40 osób. Łóżka spiętrzone, sienniki wypchane słomą, a przy łóżku taboret. Spartańskie kwaterowanie, a następnie, jak się okazało i spartańskie warunki życia, które przeraziły wielu chłopaków. Początkowo stworzono nam takie warunki i takie sytuacje – myślę, że z rozmysłem – aby w naturalnej selekcji wyeliminować nieodpornych na trudy życia na okrętach. Oto próbka z jednego dnia. Pobudka o godzinie 6^{00}. Biegiem boso po kamieniach i nadmorskich trawach do morza. Tam intensywna gimnastyka i pierwsza toaleta w morskiej wodzie. Powrót i normalna toaleta pod kranem. Wszystko w biegu. Śniadanie – chleb i ryba w różnej postaci. Krótki instruktaż i ośmioosobowymi szalupami w morze. Po takim wiosłowaniu pierwszego dnia pełne dłonie pęcherzy. W morzu – po śledziu z beczki i kubku pitnej wody. Po wyjściu na ląd, dla rozluźnienia mięśni – gimnastyka i biegi. Obiad składający się najczęściej z kapuśniaku lub krupniku oraz ryby z kaszą. Po obiedzie w ramach odpoczynku – czyszczenie szalup, czyli zdzieranie za pomocą szkła starej warstwy farb. Dwie godziny zajęć teoretycznych, kolacja i odpoczynek. O dziesiątej przychodził na salę bosman i sprawdzał porządek. Jeżeli na sali było coś, co mu się nie spodobało się – dawał nam w kość przez godzinę, dwie. Za nawet najdrobniejsze przewinienie karano bardzo surowo. Np. w zależności od wagi ciała winowajcy kazano wziąć 2–4 cegły w naręczu i biegiem dookoła ośrodka. Po tygodniu zostało nas około stu. Dzień po dniu słabsi i wygodniccy rezygnowali. Mój podopieczny z Prudnika już po trzech dniach zrezygnował i był bardzo zmartwiony, że ja zostaję, a on musi do domu wrócić sam. Nigdy go więcej nie spotkałem.

Po dwóch tygodniach takiej zaprawy przystąpiono do egzaminów. Nie były to typowe egzaminy. Prowadzono indywidualne rozmowy z kandydatami, w czasie których sprawdzano ogólny poziom. Na jeziorze sprawdzono umiejętność pływania, a najpocieszniejszy dla mnie był sprawdzian spostrzegawczości. Przez salę przeszedł marynarz, któremu mieliśmy się uważnie przyjrzeć. Następnie mieliśmy odnotować zauważone nieprawi-

dłowości w jego umundurowaniu. Wydaje się takie proste, a proste dla nas nie było. Ostatnim sprawdzianem była umiejętność radzenia sobie z falami morskimi. Wskakiwaliśmy odziani w kapok do wzburzonego morza i po kilku minutach o własnych siłach należało wejść do łodzi, którą fale morskie kołysałe na wszystkie strony. Końcowym etapem były badania lekarskie. Do badań pozostało już tylko około 70 osób. Po badaniach, w czasie prac Komisji, zawieziono nas do Gdyni, gdzie zwiedzaliśmy słynny żaglowiec „Dar Pomorza", dziś już statek muzeum.

Wyniki badań lekarskich nie były dla mnie pomyślne. Laryngolog stwierdził, że mam polipa, a ta dolegliwość może przeszkadzać w wykonywaniu ciężkich prac na statku. Byłem zaskoczony takim werdyktem, ale gdzieś głęboko w mojej psychice doznałem ulgi i byłem nawet zadowolony. Owszem, zawód marynarza bardzo mi się spodobał, ale w czasie zajęć na morzu odkryłem, że nie znoszę dobrze wiatrów, co mi do dziś pozostało. Być może, że gdyby uznano mnie za zdrowego i zdolnego do pracy na morzu – sam bym zrezygnował. Nie rezygnowałem w trakcie, ponieważ moim honorem było dotrzeć do końca.

Opalony i pełen morskich wrażeń wróciłem do domu, nawet nie bardzo zawiedziony. Wiatry na morzu tak mi dokuczały, że tylko moja chęć hartu trzymała mnie do finału, tego prawdziwie morskiego sprawdzianu. W drodze powrotnej zwiedziłem Lębork. Miasteczko bardzo mi się spodobało, ale gdy przyjadę tu ponownie za kilka lat, wrażenia tego już nie podtrzymam. Z Łeby zachowałem miłe wspomnienia, a zapamiętałem szczególnie piękny park oraz ruchome wydmy. W komendzie SP zwróciłem dokumenty i nie spotkałem się z żadnym zapytaniem, jak było na kursie, z jakich przyczyn nie zostałem przyjęty, i w ogóle o wrażenia. Myślałem, że przyzwoitość nakazuje wykazać minimum zainteresowania. Pierwszy raz zauważyłem automatyzm urzędniczy, który cechuje ludzi bezmyślnych. Temu gatunkowi porządek w papierkach całkowicie zasłania człowieka i jego problemy.

Moja nieobecność ujemnie wpłynęła na gospodarzenie przez samotną mamę, jak i spowodowała uśpienie życia w drużynie i w świetlicy. Wszyscy potrzebujemy bodźców dopingujących do pracy. Po tygodniu życie potoczyło się swoją utartą drogą. Młodzież moich czasów nie miała komputerów, telewizorów, ba, nawet dostęp do radia nie był powszechny. Zainstalowane tzw. kołchoźniki nadawały najczęściej audycje propagandowe i ludowe melodie. Rzadko w tym głośniku można było usłyszeć coś rozrywkowego. Rozrywki musieliśmy sami sobie organizować. Dziś młodzież ma całkowicie odmienne warunki życia. To co moje pokolenie

cieszyło, dziś byłoby potraktowane ze wzgardą. Mamy odmienne czasy, inne zwyczaje i inne uznawane wartości. Mody i zwyczaje zmieniają się tak szybko, że niełatwo się w nich zorientować, trudno nadążyć. Kiedyś uczono i wymagano samodyscypliny i trzeba było wiedzieć, że pewnych rzeczy robić nie wolno. Dziś normy bycia powszechnie obowiązujące wśród młodzieży uległy głębokiej erozji, wszystko jest dozwolone bez względu na wynik. Za mojej młodości, chociaż wojna nas demoralizowała, były bezpieczne granice, które rzadko przekraczano. Nie wyobrażam sobie siebie w wieku 16 lat demolującego przystanek autobusowy lub nieustąpienie pierwszeństwa starszemu. Teraz widoki takie na ulicach, w środkach komunikacji, w sklepach – są nagminne. Z drugiej strony, przypominam sobie, że kiedyś czytając św. Augustyna, jego wspomnienia z lat młodości, doszedłem do wniosku, że młodzi zachowują się podobnie bez względu na epokę i miejsce na ziemi, i zawsze są w opozycji do pokolenia starszego.

Pod koniec 1946 roku dotarła do nas wiadomość, że w Bytomiu osiedlił się wujek Szklaryk i tam też są jego i cioci Julii dzieci, Nusio i Józio. Zaraz po świętach Bożego Narodzenia pojechałem do Bytomia. Chciałem jak najszybciej ich zobaczyć. Mama nie mając nic godnego do zaofiarowania z okazji pierwszych w Bytomiu odwiedzin, napełniła dużą bańkę, którą do dziś przechowuję na pamiątkę, swojską, kiszoną kapustą i w drogę. Pociągiem dotarłem do Chebzia, a z Chebzia tramwajem do Bytomia. Radość moja ze spotkania z chłopcami była tak wzruszająca, że aż się popłakałem. Ostatni raz widziałem dzieciaki w lipcu 1944 roku. Od tego czasu chłopcy podrośli, zmądrzeli i można już było z nimi wspominać ich dzieciństwo. Mama dając bańkę kapusty zapewniała, że wujek będzie z tego prezentu zadowolony. Tak też się stało i moje zażenowanie zniknęło, gdy zobaczyłem z jakim apetytem zajadał ten, jak się wyraził – rarytas niżniowski.

Dzieci do Polski przywiozła babcia Paulina, która po śmierci cioci Juli opiekowała się nimi. W Bytomiu nie została, ponieważ nigdy nie polubiła swojego jedynego zięcia. Dzieci zostawiła z ojcem, a sama wyjechała do syna. Janek w tym czasie sołtysował gdzieś na północy kraju. Do Bytomia od tego czasu jeździłem często, a chłopcy w każde wakacje przyjeżdżali do Niemysłowic pod opiekę mojej mamy. Józio był jej chrześniakiem i jego tragiczną śmierć bardzo mocno przeżyła.

Pobyt w Łebie, choć tak krótki, zmienił moją mentalność. Bardzo dojrzale zacząłem myśleć o przyszłości. Myślę, że właśnie tam, w ośrodku szkolenia marynarki handlowej, stałem się w pełni odpowiedzialny za swoje czyny i swoją przyszłość. Po powrocie zacząłem gorączkowo szukać

odpowiedzi, co dalej. Powiadają, że podróże kształcą. Tak, potwierdzam. Moja pierwsza samodzielna podróż i mój samodzielny pobyt wśród obcych mi ludzi dały cały wachlarz zagadnień do przemyśleń. Nie marzyłem o wielkości, o wielkich sukcesach życiowych. Chciałem jedynie mieć zapewnioną przyszłość i w życiu swoim coś pożytecznego dla innych i dla siebie zrobić. Mając już pewne doświadczenie życia na wsi wiedziałem, że praca na roli nie da mi satysfakcji i na wsi nie zostanę. Moja mama również nie widziała mojej przyszłości na wsi i może dlatego nie ubiegała się o większe gospodarstwo. Zastanawiałem się nawet, czy nie poszukać sobie pracy w Prudniku i jednocześnie kontynuować naukę w tzw. wieczorówce.

1 września zjawiłam się w swoim gimnazjum z mocnym postanowieniem kontynuowania nauki w normalnym, dziennym trybie. Postanowiłem utrzymać status quo do powrotu Mietka z wojska. Nie mogłem mamy pozostawić samej. W szkole, jeszcze dobrze nie zdążyliśmy zapoznać się z programem, na pierwszej lekcji z organizacji i techniki handlu prof. Augustyniak, znany PPR-owiec, rozdał nam ankiety i bez wyjaśnień nakazał natychmiast wypełnić. Ankieta była jednocześnie prośbą o przyjęcie do nowopowstałego Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Czasu na zastanowienie się nam nie dano. W czasie kilku minut ankiety profesor kazał zebrać i wtedy z ironiczną dumą oświadczył, że zostaliśmy członkami ZMP, a klasowe zebranie wyborcze zostanie zwołane po wypisaniu legitymacji członkowskich. Dotychczas do żadnej politycznej organizacji nie należałem i co niektórzy ZWM-owcy mieli mi nawet za złe, że nie deklarowałem swoich politycznych poglądów. Ja natomiast nie miałem żadnych poglądów ani prawicowych, ani lewicowych, i nie zamierzałem się w tym kierunku opowiadać. Harcerstwo i Sodalicja Mariańska całkowicie wypełniały moje wnętrze – patrioty. Ponadto należałam do Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza, bo właśnie wojsko uważałem za zbiorowość apolityczną i wyjątkowo patriotyczną.

Ostatecznie ankietę ZMPowską podpisałem, bo czy mogłem nie podpisywać, jeżeli cała klasa wyraziła swój akces? Dopiero na zebraniach mogłem zorientować się kto jest kto, jak oficjalna postawa niektórych członków ZMP zmieniła ich stosunek do rzeczywistości, do kolegów.

Raz jeszcze cofnę się do zimy 1946 roku. Na Boże Narodzenie z Wrocławia zawitała do nas moja dobrodziejka, pani Helena Tatomir ze swoją córką Romą. Bardzo ucieszyły nas te odwiedziny. Doskonale pamiętaliśmy, kim pani Helena była dla nas w Buczaczu. Do dziś nie potrafię wystarczająco wyrazić swojej wdzięczności za jej bezinteresowną opiekę

w tak dla nas ciężkich chwilach. Pani Helena nie straciła nic ze swojej urody i nadal była przystojną damą. Roma wydoroślała, wyładniała i stała się ponętną pannicą o żywym usposobieniu. Panie powtórnie odwiedziły nas latem następnego roku. Pamiętam, że chłopcy mi zazdrościli takiej dziewczyny, a ja nie wiem dlaczego Romę traktowałem jedynie jak koleżankę, jak siostrę, choć sama Roma robiła wiele, aby się podobać. Po tej wizycie jeszcze przez pewien czas pisywaliśmy listy, wymienialiśmy kartki świąteczne, a w 1948 roku na krótko zamieszkał u nas mąż pani Heleny, mając jakieś zadania służbowe do wykonania w Prudniku.

Jak to zwykle w życiu bywa, kontakty się urwały, choć pamięć pozostała. Dopiero po śmierci mojej mamy, na początku lat siedemdziesiątych, postanowiłem, będąc we Wrocławiu, odwiedzić panią Helenę. Początkowo nie poznała mnie. Dwadzieścia pięć lat zrobiły swoje. Gdy pomogłem jej pamięci, widziałem łzy radości na jej policzkach. Mąż jej, który nie okazał wdzięczności za wyrzeczenia w czasie, gdy siedział w więzieniu, już nie żył. Mieszkała sama. Z Romą spotkałem się dopiero w następnym roku. Drzwi otworzyła córka Romy. Z wrażenia aż wydałem jakiś niekontrolowany dźwięk. Coś tak podobnego z urody i głosu do matki, gdy była w tym wieku, rzadko się spotyka. Zostałem przyjęty przez Romę i drugiego jej męża bardzo serdecznie. Podczas rozmowy dowiedziałem się, że Roma w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych z pierwszym mężem mieszkali przy ul. Ogrodowej w Warszawie, a więc mogliśmy się nawet przypadkowo spotkać na ulicy. Drugi mąż Romy, starszy i miły pan, serdecznie zapraszał mnie w odwiedziny, gdy tylko będę we Wrocławiu. Roma pełna wigoru i zalotności kobiecej, gdy znaleźliśmy się sami w samochodzie posmutniała i nie trudno było domyśleć się przyczyny tego stanu. Dwie godziny spędziliśmy w samochodzie wspominając nasze młodzieńcze lata. Ostatni raz odwiedziłem Romę pod koniec lat osiemdziesiątych. Pani Helena już nie żyła od kilku lat, mąż zmarł przed rokiem, a córka wyszła za mąż i rzadko ją odwiedza. Roma w tym bardzo dużym mieszkaniu w samotności, zrezygnowana wyglądała jak staruszka oczekująca śmierci. Już nawet pamięć ją zawodziła. Pomyślałem wtedy, gdzie jest ta dziewczyna, której koledzy mi zazdrościli, bo przede mną siedzi bardzo stara kobieta, choć młoda jeszcze wiekiem.

Lubiłem towarzystwo dziewczyn – miałem liczne koleżeńskie kontakty z dziewczynami naszego gimnazjum oraz innych szkół. Początkowo zapałałem sympatią do Oli Kucharczyk. Ola posiadała wiele zalet. Była mądra, miła i bardzo koleżeńska. Lubiłem przesiadywać w jej ławce, jeżeli było wolne miejsce. Marzyłem o takiej w przyszłości żonie. Zauroczenie

Olą trwało dość długo, aż do czasu, gdy zacząłem dostrzegać zalety Irenki Baranieckiej. Irka, jak ją wszyscy nazywali, była uczennicą naszej klasy. Razem dojeżdżaliśmy na lekcje. Irenka zawładnęła moją osobą, moimi myślami – całkowicie, choć nie była piękna i uczyła się przeciętnie, miała natomiast coś, co się ogólnie nazywa kobiecością. Była jasną blondynką o niebieskich oczach, miała zgrabne nogi, ponętny obfity biust i wydatny, ale zgrabny nos. Perfekcyjnie grała w dwa ognie oraz była doskonałą tancerką. Taniec z nią to sama przyjemność. Czujnie reagowała na partnera, jeżeli partner w tańcu nie w pełni sobie radził – potrafiła umiejętnie nim pokierować. Każdy z kolegów zabiegał o taniec z Irką. Czułem się przy tej dziewczynie początkowo onieśmielony, co mnie denerwowało i wpędzało w kompleksy. Irenka zawsze dla mnie była zagadką. Należała do tych tajemniczych dziewczyn, wobec których odczuwałem onieśmielenie. W jej obecności często czułem, że mam ścisk gardła, iż nie zdołam wydobyć słowa. Jeżeli wśród koleżanek i kolegów w rozmowach i dysputach na różne tematy radziłem sobie doskonale, mając zawsze coś ciekawego do powiedzenia, to w obecności Irenki, szczególnie gdy byliśmy sami – czułem ciężar milczenia i zawsze oczekiwałem na ratunek z jej strony. Gdy wracając ze szkoły czasami brałem Irenkę na ramę roweru, często w milczeniu jechaliśmy aż do Niemysłowic. Byłem sparaliżowany swoją nieśmiałością, a pomimo tego robiłem wszystko, żeby Irenkę „niespodziewanie" spotkać, przejść się w jej towarzystwie po wiosce, zagrać z nią w dwa ognie, choć piłka nożna pociągała mnie bardziej. Ten patologiczny mój stan trwał dość długo, zanim zdołałem go pokonać i dać Irence odczuć, że mi na niej bardzo zależy.

Niestety, jak to często w takich przypadkach bywa, nie byłem jedynym, któremu Irenka zaległa w sercu. Miałem trudnych do pokonania konkurentów. Jednym z nich był mój bliski kolega, z którym chodziłem do tej samej klasy w ogólniaku. Mietek Stanisławski zwany Pilusiem lub Bocianem. O naszych amorach do Irenki wszyscy wiedzieli i żartem zawsze podsycali atmosferę niechęci między rywalami. Pewnego wieczoru, koledzy spragnieni mocnych wrażeń zaczęli podsycać we mnie uczucie zazdrości, dając do zrozumienia, że jedynie unicestwienie Pilusia może dać mi jakąś szansę u Irenki. Piluś był chłopcem wysokim i bardzo szczupłym, stąd ksywa Bocian, i wyjątkowo bojaźliwym. Gdy przy ogólnym dopingu moje wzburzenie doszło do zenitu, natarłem na Pilusia z pięściami (w szkole często trenowałem przy worku uderzenia pięściami i znany byłem z silnego uderzenia) gotowymi do zadania ciosu. Zobaczyłem niezgrabną zasłonę twarzy chudymi rękoma Pilusia i jego

bezradne spojrzenie zza gardy. Moja prawa pięć zawisła w powietrzu, tuż przy zasłoniętej twarzy rywala. W tym momencie zrozumiałem bezsens mojego głupiego postępku. Było mi cholernie głupio. Poczułem wstyd i zażenowanie. Z Pilusiem nadal byliśmy dobrymi kolegami. Ale, jak przysłowie mówi, gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Gdy byłem już w Toruniu tym trzecim został Zbyszek Nowicki, ale i on z przyczyn mi nieznanych z Irenką na długo nie został.

Z Torunia pisywałem do Irenki. Początkowo nawet miłe listy otrzymywałem od niej. W ostatnim liście Irenka napisała, że nie widzi naszej wspólnej przyszłości i zaproponowała przyjaźń. Jako powód podała odległość, jaka nas dzieli. Przeżyłem tę czarną polewkę bardzo mocno. Jedynie dzięki intensywnym zajęciom i obowiązkom w oficerskiej szkole – zawiedzione uczucie powoli zostało uśpione, ale nie wygasłe. Piluś również wyjechał z Niemysłowic i ostatnio słyszałem, że gdzieś na zachodzie kraju prowadzi dużą restaurację. Natomiast Zbyszek wstąpił do lotnictwa wojskowego i latał śmigłowcami. Dziś jako emeryt mieszka w Warszawie. Na naszych spotkaniach nigdy nie wspominamy Irenki. Temat tabu.

Irenka nie była repatriantką. Razem z matką i siostrami przyjechały do Niemysłowic z Pomorza. W Niemysłowicach mieszkała już bardzo liczna rodzina Baranieckich i do niej dołączyli inni. W rodzinie pięciu braci było sześcioro dzieci mego pokolenia, w tym aż trzynaście dziewczyn. Te, które dołączyły z Pomorza – cztery dorodne panny – nazwane zostały UNR-ą i ta nazwa pozostała na długie lata. Niestety, Irenka oraz jej siostry – Cecylia i Krystyna już od dawna nie żyją. Czwarta siostra Staszka wyszła za mąż za Wieśka Jaworskiego i mieszka w Opolu. Nawiasem mówiąc z tej szesnastki żyje już tylko sześć osób, pozostałe zmarły w średnim wieku życia. Marysia i Staszek mieszkają w Warszawie i z nimi mam częsty kontakt.

Moja mama zawsze była filantropką. Jak pamięcią sięgnę, stale pomagała ludziom będącym w potrzebie służąc radą i pomocą materialną. W Niemysłowicach przez nasz dom przewinęła się spora ilość lokatorów. Nawet przez jedną zimę mieszkała część rodziny Józka Wiśniewskiego, późniejszego męża Cesi. Jesienią 1948 roku mama przyjęła pod swoją opiekę i pod nasz dach młodą, ładną dziewczynę. Marysia miała 19 lat. Przyjechała aż ze Zwardonia w poszukiwaniu pracy oraz, czego nie ukrywała, męża. Pochodziła z biednej i licznej rodziny. Gdy ją mama przedstawiła oświadczając, że Marysia będzie z nami mieszkać i pracować – trochę zdziwiłem się z tą decyzją. Z nami mieszkała już babcia, od kiedy jej synowa Lidka wyjechała do swojej rodziny. I jeżeli chodzi

o pracę, to zimą co taka dziewczyna może robić. Długo się nad tym nie zastanawiałem. Było mi to całkowicie obojętne. Miałem swój pokój i żadna sublokatorka nie mogła mi zagrażać. Marysia chodź ładna, nie była tą dziewczyną, która mogłaby zagrozić Irence, w której już wtedy byłem na zabój zakochany. Marysia, bez określenia jej statusu w tym domu, ulokowana została w bocznym pokoju na parterze. Nowy domownik szybko zyskała sobie sympatię otoczenia. Była uczynna, pracowita i bardzo dbająca o czystość, czym mamę ujęła. Miałem zawsze sprzątnięty pokój i zostałem częściowo odciążony w obowiązkach gospodarskich. Traktując ją, jak siostrę zabierałem Marysię na potańcówki, do świetlicy i nawet chodziliśmy razem do kina. Poznała kilku chłopaków, ale nigdy się z nimi nie umawiała, choć takie propozycje miała.

Była już późna jesień i w moim nieogrzewanym pokoju bez pieca odczuwałem chłód. Szczególnie nieprzyjemnie było wchodzić do zimnego łóżka. Przy kolacji głośno rozmyślałem, jak zdobyć kuchenkę elektryczną lub piecyk do ogrzania powietrza w pokoju tuż przed spaniem. Takiego grzejnika w owym czasie nie sposób było zdobyć i pozostało, jak było. Najwyżej butelka z gorącą wodą może rozwiązać częściowo te dokuczliwości. Po kilku dniach od tej rozmowy po kolacji poszedłem jeszcze do kolegi, u którego trochę zabawiłem. Wróciłem, gdy w domu już wszyscy spali, w każdym razie tak mi się wydawało. Zamknąłem drzwi i schodami poszedłem na górę do swojego pokoju. Nie zapalając światła szybko przebrałem się w piżamę i podążam w kierunku łóżka. Patrzę i oczom nie wierzę. W łóżku moim leży Marysia i bez żenady mówi, że ona jedynie grzeje mi łóżko, ponieważ ona nie może korzystać z ciepłego pokoju, gdy ja sypiam w takiej zimnicy. Znalazłem się w głupiej i beznadziejnej sytuacji. Stałem przed łóżkiem i zastanawiałem się, czy wypada korzystać z takich usług, z ciepła tej dziewczyny, która szczerze zaprasza do korzystania z ogrzanej pościeli. Nie potrafię określić, jak długo stałem nie wiedząc, co czynić. Dopiero ocknąłem się, gdy Marysia chwyciła moją dłoń i pociągnęła w stronę szerokiego łoża. Zrobiła to tak błyskawicznie, że nie mogłem, a może nie chciałem dłużej się zastanawiać. Marysia przez wiele zimnych wieczorów ogrzewała moje łoże, aż w końcu tak się do tego z upodobaniem przyzwyczaiłem, że nawet nie chciałem skorzystać z propozycji mamy na nocleg w kuchni. Długo zastanawiałem się, jak to może być, że ja o takim usposobieniu romantyka, kochający Irenkę i wreszcie z takim zaangażowaniem religijnym, idę do łóżka z dziewczyną, która uczuciowo jest mi obojętna. Nigdy się nie dowiedziałem, czy mama się domyślała naszych kontaktów i cicho zezwalała na to, czy też Marysia

chodziła po schodach tak ostrożnie i cicho, że nikt nie mógł usłyszeć jej bosych kroków po skrzypiących schodach. Moje skrupuły i poczucie winy minęły, gdy w Toruniu otrzymałem ostatni list od Irenki, w którym otrzymałem propozycję jedynie przyjaźni. Marysia swoim zachowaniem, swoją życiową postawą nauczyła mnie wiele i nie tylko w dziedzinie seksu. Gdy przyjechałem z Torunia na pierwszy urlop wiosną 1950 roku, Marysi w Niemysłowicach już nie było. Wyjechała i nikt nie wiedział dokąd.

Przyszła wiosna 1949 roku i nieubłaganie zbliżał się koniec roku szkolnego. W roku tym jeszcze bardziej obniżyłem swoje i tak już niskie loty w nauce. Straciłem chęć do nauki. Widziałem w niektórych przedmiotach i tematach bezsens wkuwania ich treści do głowy. Ulotnił się mój zapał do nauki i choć promocję do następnej klasy otrzymałem, po świadectwo do szkoły już nie poszedłem. Brakowało mi wytrwałości. Gdzieś po drodze roztrwoniłem swój zapał do nauki. Nie opuściła mnie jedynie ochota do pracy w drużynie harcerskiej i w prowadzeniu świetlicy. Tu pozostałem wierny swoim ideałom do końca.

W naszym gospodarstwie pracowałem, ale efektów finansowych ciągle nie odczuwałem. Miałem 17 lat a spodnie nosiłem – wbrew ówczesnej modzie – wąskie i bez mankietów, które ktoś, kiedyś nosił do fraka. O garniturze i porządnych butach nawet marzyć nie mogłem. Kiedy na bazarze kupiłem modne, szerokie spodnie z materiału z pokrzywy – nie mogłem nawet swobodnie usiąść, bo zaraz powstawały zdeformowania. Całe lato chodziłam w tenisówkach, bo jedyne buty musiałem szanować na większe uroczystości. Jedynie jesionkę miałem porządną. Uszył mi ją krawiec z Niżniowa za bezcen. Myślę, że była to pewnego rodzaju łapówka. Ów krawiec miał w moim wieku córką Jolę, która upatrzyła sobie we mnie swojego chłopaka. Często przychodziła z Prudnika do Niemysłowic i czasami nawet zostawała na noc. Była dobrze zbudowaną dziewczyną, o potężnym biuście i choć twarz miała ładną i miłą, krępowałem się z nią spacerować po wiosce. Zawsze czułem skrępowanie nie wiedząc, jak ją odstraszyć, bo siedzenie z nią w domu stawało się nudne. Jestem przekonany, że kapota uszyta została z jej inicjatywy i przy poparciu mojej mamy. Znajomość ta nie trwała długo. Jola zrozumiała, że nie może liczyć na uczucie z mojej strony i chyba nie chciała marnować swojego czasu. Jeszcze przed wyjazdem do Torunia spotkałem ją w Prudniku przed kinem. Była w ciąży.

Trudności te, jak również myśl, że mój brat wróci z wojska i może zechce zająć się gospodarowaniem, były przyczyną mocnego postanowienia zmiany mojego położenia, włącznie z wyjazdem z Niemysłowic.

W dalszym ciągu śledziłem modne w tym czasie ogłoszenia o naborze do różnych szkół zawodowych. Byłem już w tym dobrym specem i swoimi doświadczeniami chętnie dzieliłam się z kolegami.

Wujek Szklarek, gdy przywiózł chłopców na wakacje, słysząc o moich problemach zaproponował mi szkołę górniczą w Bytomiu. Byłem już w tej szkole i zwiedziłem nawet sale wykładowe. Wujek zachęcał darmowym internatem oraz dużymi zarobkami po skończonym technikum. Jeżeli internat mi nie będzie odpowiadał, mogę zamieszkać u niego. Mieszkanie duże, trzy pokoje, miejsca dość dla wszystkich. Obiecałem przemyśleć, ale jak narazie cieszyłem się obecnością chłopców, Nusia i Józia. Czułem się z nimi silnie związany uczuciowo. Oni byli przecież dziećmi mojej ukochanej cioci Juli, jedynej siostry mojego ojca, oni przypominali mi Niżniów, dom babci i rodzinną atmosferę. Z przyjemnością poświęcałem im swój czas. Byłem spragniony kontaktów z rodziną mego ojca. Podniecała mnie każda wiadomość od rodziny – napływająca do nas coraz częściej. Pamiętam jak uszczęśliwiony byłem odwiedzinami Stryjka Kazika, jak emocjonalnie przeżyłem kontakt z Nusiem i Józiem po pierwszej wizycie w Bytomiu. Jak skakałem z radości, gdy dotarł do nas pierwszy list od babci Paulinki. Tych przeżyć zapomnieć się nie da do końca życia. Więzy krwi były i są dla mnie bardzo ważne, nawet z dalszymi krewnymi. Mama moja również chciała otoczyć chłopców troskliwą opieką i stworzyć im na czas wakacyjny prawdziwie rodzinny dom.

Latem 1949 roku na terenie Niemysłowic zorganizowałem ostatnią bardzo pożyteczną pracę społeczną. W moim ówczesnym widzeniu świata nie było miejsca na bunty przeciw rzeczywistości, w jakiej przyszło mi żyć. Zacząłem nagle dostrzegać pozytywy w nowym ustroju i choć nie angażowałem się politycznie (przynależność do ZMP była tylko formalnością) uważałem, że moje miejsce jest przy odbudowie kraju, w ramach moich możliwości, niekoniecznie angażując się po stronie władzy ludowej. Kraj, a nie władza, tego wymagał od swoich obywateli. I to powinno przyświecać każdemu Polakowi. Ta dewiza spowodowała, że pomyślałem o konkretach, które były w świetlicy często dyskutowane. We wsi mieliśmy kilka domów zniszczonych działaniami wojennymi. Mury tych domostw sterczące straszyły i ciągle przypominały okrucieństwa wojny. Warszawa w tym czasie lecząc rany popowstaniowe potrzebowała dużo budulca. Szczególnie duże zapotrzebowanie było na cegłę. Gdy latem 1947 roku razem z moim bratem siostrzanym Leszkiem jechaliśmy do Ratowic z odwiedzinami u naszej ciotecznej siostry, obserwowałem na dworcach długie transporty z cegłą ze zburzonej Nysy i spalonej Oławy, udekorowane transparentami „Na

odbudowę Warszawy". Innym razem widziałem podobne transporty pokazywany w kinach na kronikach filmowych. Pomyślałem, że z Niemysłowic również można taki transport z cegłą wysłać do stolicy z napisem: „Dar Niemysłowic Warszawie". W rozmowie z harcerzami i kolegami ustaliliśmy, że na zmianę, każdy z nas przepracuje 15 godzin przy rozbiórce ścian i 5 godzin przy czyszczeniu i układaniu cegieł przeznaczonych na odbudowę Warszawy. Kilka dni trwały moje zabiegi w Prudniku o zgodę i transport. Gdy formalności zostały załatwione, przystąpiliśmy do pracy. Po tygodniu ruiny dwóch domów zniknęły, a oczyszczona cegła ułożona w pryzmy gotowa była do transportu.

Byliśmy wszyscy zdegustowani, że żaden z urzędników nie potraktował poważnie naszej pracy. Pomimo wielokrotnych zgłoszeń i przypomnień, nie było kompetentnych do zorganizowania transportu, chociaż zapewnialiśmy załadunek własnymi siłami. Cegłę zabrano dopiero w listopadzie, gdy ja już byłem w Toruniu, ale do dziś nie wiadomo, kto ją zabrał i do czyich celów została zużyta. To już drugi przypadek niesumienności urzędniczej z jaką się spotkałem w czasach mojej młodości.

Podczas tych prac rozbiórkowych pamiętam, że nie mieliśmy sprzyjającej pogody. Cały czas mżawka towarzyszyła nam w pracy. Robiliśmy krótkie przerwy na gorącą herbatę, którą Nusio i Józio dostarczali nam od mojej mamy. W czasie takich przerw rozmawialiśmy o różnych możliwościach dalszej nauki. Ktoś rzucił hasło „idziemy do woja". Decyzja moja była natychmiastowa. Bez głębszej analizy powiedziałem kolegom, że takie rozwiązanie jak najbardziej mnie odpowiada. Upodobania i zainteresowanie mundurem kiełkowało i dojrzewało we mnie od czasów jeszcze przedharcerskich i nie wiem dlaczego do tej pory wojska nie było w moich planach. Nawet nad SP już rozważałem, ale nie nad wojskiem. Kilka dni trawiliśmy ten problem. W dyskusji wyłaniały się przeróżne problemy przemawiające za i przeciw. Nie wszyscy byliśmy pełnoletni i większość z nas wymagała zgody rodziców. Ponadto problemem było wybranie specjalności. Nie mieliśmy wzorców. W Niemysłowicach był jedyny oficer artylerii przeciwlotniczej. Ja byłem zdecydowany zostać pilotem, pozostali wyboru jeszcze nie dokonali, zostawiając to na później. Ostatecznie pięciu nas wyraziło chęć rozpoczęcia starań i zaraz po zakończeniu prac postanowiliśmy zgłosić się do RKU. W międzyczasie załatwiłem pisemną zgodę mojej mamy, potwierdzoną przez sołtysa. Najważniejszy dokument miałem już w kieszeni.

Do Nysy, gdzie mieściła się Rejonowa Komenda Uzupełnień, wyruszyliśmy rano rowerami. W tym dniu warunki atmosferyczne były trudne.

Deszcz i przeciwny wiatr zniechęciły część kolegów do kontynuowania dalszej podróży i już za Rudziczką postanowili wrócić do domu. Pozostało nas trzech z silnym postanowieniem dotarcia do Nysy bez względu na pogodę. Pokonanie w takich warunkach trasę 30 km wymagało od nas dużego hartu i mocnego postanowienia. Gdy weszliśmy do komendy, byliśmy zziębnięci i mokrzy. Przy każdym pojawiła się kałuża na podłodze. Woda z nas ściekała ciurkiem. Oficer komendy widząc zmoczoną podłogę, zaprowadził nas do osobnego pokoju celem wysuszenia naszej garderoby. Otrzymaliśmy ręcznik i gorącą kawę żołnierską na rozgrzewkę. Taka troska w pierwszym zetknięciu z instytucją wojskową wywarła na nas bardzo pozytywne wrażenie. Zaczęliśmy nawet żartować, że nawet w ochronce takiej troski byśmy nie zaznali.

Po wysuszeniu garderoby i doprowadzeniu się do normalności zostaliśmy przyjęci na indywidualne rozmowy. Rozmowy z nami prowadził oficer, a po rozmowach tych zabrał nas wszystkich – było nas 7–8 chłopaków – wąsaty sierżant, który poinformował nas ogólnie o warunkach przyjęcia do oficerskich szkół, o rodzajach szkół i sposobie wypełnienia wręczonych nam ankiet. W ankiecie wymieniłem jako pierwszą oficerską szkołę lotniczą. Długo się zastanawiałem, którą ze szkół wymienić, jeżeli ze względów zdrowotnych lotnictwo odpadnie. Zdecydowałem się na artylerię, którą Franek Działoszyński wybrał jako pierwszą i jedyną. O lotnictwie marzyłem przez wiele lat. Jeszcze w czasach wojennych nie zważając na niebezpieczeństwo gapiłem się na walki samolotów nad mostami na Dniestrze, podziwiając odwagę lotników. W wypożyczalni dostałem do naszej biblioteki piękną książkę z ciekawymi ilustracjami o rozwoju lotnictwa, którą przeczytałem wiele razy. Poznałem historię lotnictwa cywilnego i wojskowego. Przeczytałem, co było dostępne z Janusza Meissnera. W „Najeźdźcach" Dobraczyńskiego podziwiałem niemieckiego lotnika występującego w powieści. Moje zainteresowania lotnictwem dokumentowałem dodatkowo ukończonym kursem szybowcowym. Kursu tego nie opisałem w szczegółach na tych stronach, ponieważ cały kurs ulotnił mi się z pamięci. Zapamiętałem jedynie strzępek wrażeń z tego kursu oraz to, że kurs odbył się w 1947 roku.

Dziś mogę wyznać, że mam lęk wysokości. Każdy balkon sprawia wrażenie, że lada moment runie na dół. Natomiast nie doznaję lęku lecąc szybowcem, samolotem, czy też skacząc ze spadochronem. W tych okolicznościach doznaję samych przyjemności i wspaniałych wrażeń.

Do domu z Nysy – już przy lepszej, bezdeszczowej pogodzie – wracaliśmy dumni i zadowoleni, że pierwsza przeszkoda została pokonana. Teraz

należało, zgodnie ze wskazaniami otrzymanymi od sierżanta z RKU, gruntownie przygotować się do egzaminu wstępnego.

Wszystkie wolne chwile poświęcałem jedynemu celowi, przygotować się jak najlepiej do egzaminu w szkole Orląt. W powiatowym komitecie ZMP zdobyłem różne broszury z dziedziny polityki, planów gospodarczych, zagadnień bieżących itp. Z matematyki i fizyki przygotowałem się z podręczników szkolnych. W domu wszystko podporządkowane było moim przyszłym egzaminom.

W pierwszej połowie sierpnia otrzymałem drogą pocztową skierowanie do Krakowa na badania lekarskie w 5. Okręgowym Szpitalu Wojskowym. Cieszyłem się na ten wyjazd. Kraków znany mi był jedynie z książek oraz widoków z transportu przesiedleńców. Teraz zamierzałem wykorzystać okazję i zwiedzić historyczne miejsca, takie jak Wawel, Kościół Mariacki, rynek na którym Kościuszko składał przysięgę... Te miejsca uważałem za ważne. Podróż ta bardzo mnie ekscytowała. Do Krakowa przyjechałem rano i z marszu udałem się do szpitala pod wskazanym adresem. Tam otrzymałem kartę badań i rozpocząłem bieganinę po gabinetach lekarskich. Lekarze specjaliści bardzo powierzchownie, takie odniosłem wrażenie, przeprowadzali badania, a swoje diagnozy wpisywali do karty opierając się bardziej na moim opowiadaniu o zdrowiu, aniżeli na wynikach swoich badań. Jedynie solidnie zbadano mnie u okulisty i kardiologa. Jednemu nie zgadzała się zbieżność w moich oczach, a drugiemu coś z sercem i zmienność w ciśnieniu krwi. Obaj specjaliści wydali negatywną opinię co do lotnictwa, natomiast bez zastrzeżeń do innych szkół. Pamiętam też dopisek coś o zatokach. Zdziwiłem się, że laryngolog nie wykrył mojego polipa, który zaważył na mojej karierze w marynarce handlowej. Po piętnastej wezwano mnie i kilku innych przed oblicze przewodniczącego komisji i oznajmiono nam, że ze względów zdrowotnych nie możemy zostać pilotami, ale nic nie stoi na przeszkodzie w skierowaniu do innych szkół. Orzeczenia lekarskie zostaną przesłane do RKU i stamtąd otrzymamy wiadomość ostateczną. Ślepy los stawia często pod znakiem zapytania sens naszych szczytnych marzeń oraz naszych wysiłków.

Byłem niepocieszony. Nawet zwiedzenie miasta nie cieszyło mnie na tyle, na ile sobie obiecywałem. Czasu zbyt wiele już nie pozostało i Wawelu, na czym mnie bardzo zależało, nie zwiedziłem. Przed odjazdem zdążyłem jedynie wejść do Kościoła Mariackiego oraz do Sukiennic. Gdy znalazłem się już w domu, pogodziłem się z tą decyzją, a że na innych szkołach tak bardzo, jak na lotniczej, mnie nie zależało, przestałem

poświęcać cały czas na przygotowanie się do egzaminu. Jedynie jeszcze zaglądałem do podręcznika z matematyki, co później dało dobre rezultaty.

W trzeciej dekadzie ponownie wezwano mnie do RKU. Musiałem dostarczyć pisemną zgodę mamy oraz chcieli potwierdzenia mojej zgody na skierowanie do OSArt. Przy tej okazji wręczono mi skierowanie oraz bilet kolejowy do Torunia na egzamin wstępny do Oficerskiej Szkoły Artylerii. Jeżeli jadąc do Krakowa na badania lekarskie przez całą podróż odczuwałem podniecenie, o tyle w podróży do Torunia byłem spokojny, prawie obojętny. Artyleria nie miała mocnego miejsca w moich marzeniach, ja chciałem latać.

W Toruniu zakwaterowano nas w działowni. Haubice wytoczono na plac – miały być ciekawostką i zachętą ubiegającym się o status podchorążego artylerii. Gdy tylko przekroczyłem bramę szkoły, odczułem dyscyplinę i porządek. Teren szkoły był wyjątkowo czysty i uporządkowany. Przyjeżdżający od razu trafiali do swoich grup i otrzymywali miejsce na sienniku ułożonym na betonie z czystą pościelą. Zająłem przeznaczone mi miejsce, zjadłem upieczony przez mamę podróżny cwibak i natychmiast zasnąłem kamiennym snem. Gdy po pobudce zaprowadzono nas na stołówkę, oceniłem że rywalizacja będzie mocna i trudno będzie z tego tłumu wyjść zwycięsko. Po smacznym śniadaniu nasz dowódca grupy – a był nim podchorąży trzeciego rocznika, z którym po latach spotkałem się w Orzyszu, gdy odchodził już w stan spoczynku – zapoznał nas z planem egzaminów. Przez godzinę informował, gdzie i jaki egzamin nas czeka, jakie wymogi z wychowania fizycznego i jaka ogólnie tematyka będzie na egzaminach pisemnych. Przy każdej sposobności, przekazując te wiadomości, przemycał hymny pochwalne o szkole, osiągnięciach dydaktycznych i zaszczytach bycia oficerem artylerii. Z egzaminów pozostały mi w pamięci wyraziście jedynie wydarzenia z boiska i hali sportowej. Pamiętam, że wbrew moim obawom zaliczałem wszystkie próby, a w skoku w dal, w biegu na „setkę" i rzucie granatem do okopu zdobyłem nawet czołowe lokaty. Moje zaangażowanie sportem szkolnym oraz wyczynami sportowymi w Niemysłowicach dały pozytywne rezultaty. Mój wynik w sprincie musiał być dobry, bo zaraz po rozpoczęcie nauki brano mnie na treningi i w następnym roku reprezentowałem szkołę w zawodach POW w biegu na 100 m zdobywając pierwsze miejsce.

Z egzaminów ustnych i pisemnych również osiągnąłem oceny pozytywne, choć tu już taki dumny nie byłem. Mgliście przypominam sobie, że z pięciu zadań z matematyki rozwiązałem poprawnie trzy, a jednego nawet nie zacząłem. Ogólnie po egzaminach nie miałem żadnych rozterek

ani stresów. Bardzo przyjemne wrażenie wywoziłem z Torunia. Ujmujący sposób prowadzenia egzaminów, wygląd czystych placów na terenie szkoły, piękna hala sportowa oraz smaczne posiłki, wszystko to wpłynęło na pewną zmianę mojej orientacji z lotnictwa na artylerię. Po powrocie do domu do gimnazjum już nie poszedłem. Intuicyjnie przeczuwałem, że do OSArt zostanę przyjęty i obojętnie oczekiwałem na potwierdzającą wiadomość z Torunia.

Zaistniała konieczność pomocy mamie w przygotowaniu domu do nadchodzącej zimy. Mietek z wojska miał być zwolniony dopiero jesienią i wiele ciężkich prac należało wykonać przed moim wyjazdem. Wziąłem się solidnie do pracy i tu ponownie odczułem znaczną pomoc Marysi. Pracowała ciężko, jakby zamierzała pozostać z mamą na dłużej. Zebrane zboże zmłóciłem młockarnią wujka Komornickiego, ziarno zwiozłem do domu i zeskładowałem na strychu, wykonałem orkę pod jesienne siewy, część ziemniaków po wykopkach zwiozłem do piwnicy. Z prac polowych pozostałe jeszcze wykopki buraków cukrowych i siew oziminy. Na te prace było jeszcze za wcześnie i czasu już mi nie starczało. Liczyłem, że Mietek po powrocie do domu zajmie się gospodarstwem i te prace zakończy.

W połowie września otrzymałem wiadomość oraz skierowanie z biletem kolejowym. Termin stawiania się w OSArt wyznaczony został na 21.09.1949. Przyjęty został również Franek Działoszyński. Ostatnich dni na wolności nie pamiętam. Nie pamiętam pożegnań, reakcji mojej mamy i moich bliskich. Wszystko co działo się w ostatnich dniach przed wyjazdem, poszło gdzieś w niepamięć. Pamiętam jedynie, że było mi potwornie żal rozstawać się z gołębiami i królikami. Może to śmieszne użalać się nad gołębiami, ale przez cztery lata dokładałem tyle starań w zdobywaniu gołębi różnych ras i teraz muszę ten dorobek zostawić. Byłem „gołębiarzem", a moje piękne stado gołębi (ponad 40 par) uchodziło wśród hodowców w okolicy za wyróżniające. Obserwatorzy zawsze zazdrościli mi niektórych okazów, szczególnie pary Garłaczów oraz czarnego olbrzyma, który regularnie dwa razy do roku zmieniał partnerkę i nigdy ze swojego stada. Zwykle odrywał się od stada i po kilku dniach nieobecności powracał z wykradzioną gołębicą z innego stada. Po powrocie zakładał nowe gniazdo i razem ze swoją nową połowicą wysiadywali jajka.

Gołębiom poświęcałem dużo czasu. Kiedyś nawet przez gołębie i swoją nieuwagę spadłem ze strychu na stare graty. Gdy oprzytomniałem, ledwie dowlokłem się do swojego pokoju. W lustrze ujrzałem sine jajo pod brodą i starą deskę przybitą do mojego lewego boku. Ponieważ zardze-

wiały gwóźdź wszedł między żebra zbyt głęboko i rana mocno krwawiła, znalazłem się w szpitalu. Dostałem zastrzyk, ranę opatrzono, a lekarz stwierdził, że miałem dużo szczęścia, bo niewiele brakowało do zranienia serca. Rana szybko się zagoiła, pozostawiając na zawsze bliznę, ale opuchlizna na brodzie utrzymywała się długo i była bolesna.

Do Torunia wyruszyłem w towarzystwie Frania Działoszyńskiego i poznanego na egzaminach Mariana Kusia. Wybraliśmy trasę via Katowice–Warszawa. Była okazja zwiedzić stolicę, dla której przygotowaliśmy prezent, a której jeszcze nie miałem szczęścia zwiedzić. Do Warszawy dotarliśmy 20 września rano. Po nieprzespanej nocy oraz całodziennym bieganiu po mieście poczuliśmy zmęczenie i na dworzec na Pradze ledwie dotarliśmy. Widok ruin Warszawy wywarł przygnębiające wrażenie. Nowa trasa W–Z wprawdzie wyglądała okazale, ale wiele ulic, dzielnic straszyło ruinami. Dworce warszawskie w nędznych barakach nie zachęcały do przyjazdu do tego niegdyś pięknego miasta. Dziś sięgając do tych wspomnień mogę świadomie zgodzić się z Miłoszem, że „Warszawa najpiękniejsze z urojonych miast i najsmutniejsze z prawdziwych".

Pomimo tego ponurego widoku odczuwało się, że miasto żyje, a jego mieszkańcy rąk nie załamują, bo oprócz licznych straganów ustawionych na ulicach zapamiętałem też mnóstwo budów i duży ruch uliczny. Zastanawialiśmy się, gdzie ci ludzie mieszkają. Domów mieszkalnych nienaruszonych mało, a ludzi wszędzie dużo.

Posiłek i dwa lub trzy kieliszki wódki zrobiły swoje. Zmęczony i śpiący zacząłem poszukiwać cichego kąta na małą drzemkę. Znalazłem go przy oknie na dworcu Wileńskim i od razu zasnąłem snem niewinnego dziecka. Obudziły mnie krople deszczu wlatujące przez otwarte okno. Odczytana godzina na kolejowym zegarze wskazywała, że mój pociąg dawno już odjechał i jak się później okazało, odjechał z moimi kolegami. W Toruniu tłumaczyli, że nie mogli mnie znaleźć. Rano pomyślałem, że powinienem wykorzystać swój pobyt w W-wie i odszukać domu przy ulicy Chłodnej, gdzie przed wojną mieszkała ciocia Domcia. Trasą W–Z dostałem się na plac Bankowy i stamtąd pieszo podążyłem we wskazanym przez przechodnia kierunku. Ulica Chłodna była prawie nieprzejezdna. Sterczące mury nie wskazywały, że można kogoś tu odnaleźć. Nawet odnalezienie domu pod numerem, który zapamiętałem było bardzo trudne. Wróciłem na Pragę, która nie doznała takich zniszczeń co lewobrzeżna części Warszawy. Na tablicy informacyjnej wyczytałem, że najbliższy pociąg dowiezie mnie do Torunia dopiero po dziesiątej wieczór. Zacznę swoją służbę wojskową pierwszym wykroczeniem – spóźnieniem.

Kończąc ten rozdział widzę, jak wiele faktów godnych odnotowania uszło mojej uwadze. Opisane zdarzenia nie w pełni oddają zaangażowania, zapału młodości, pięknych marzeń i tak wiele nadziei na ich spełnienie. Spostrzegam też brak tu wyraźnego opisu, przeobrażeń, jakie się dokonały w ciągu czterech lat po wojnie, zmian w mentalności mojej i pużnieckiej społeczności oraz wielu innych zjawisk naszego życia. Dla nas Zaburzan po osiedleniu się na Ziemiach Odzyskanych skończyła się pewna epoka, którą formowali i pielęgnowali nasi protoplaści przez setki lat. W Niemysłowicach z biegiem lat rozcieńczą się, a następnie całkowicie rozmyją przodków zwyczaje, zmieni się styl naszej mowy potocznej, pękną nasze więzi, które kiedyś były tak trwałe.

Cztery lata spędzone w Niemysłowicach nie uważam za zmarnowane. Nauczyłem się tam szanować pracę, zdobyłem doświadczenie w radzeniu sobie w trudnych sytuacjach, nauczyłem się obserwować i myśleć, przeżyłem tam pierwszą młodzieńczą miłość oraz doznałem pięknych wzlotów i przykrych niepowodzeń. Brakowało mi ojca, ale z tego okresu mam satysfakcję życiową, że praktycznie od 1945 roku sam o swoim życiu decyduję. Może moje decyzje i wybrane drogi nie zawsze bywają trafne, ale są moje. Ciężkie życie ponoć wzmacnia charakter, stąd też moje przedwczesne dojrzewanie i szybkie wejście w życie dorosłe, które nauczyło mnie też odpowiedzialności.

Strachów, październik 1989 r.

Prudnik 1947